

Trzecia część cyklu SIGMA FORCE

# JAMES ROLLINS



CZARNY  
ZAKON

# O książce

**Czym się mogą skończyć próby ingerencji w przebieg ewolucji?**

**I „jakaż to prawda jest zbyt piękna, by pozwolić jej  
szeznać,  
i zbyt straszna, by puścić ją samopas”?**

## **Tragedia w Himalajach**

W buddyjskim klasztorze wybucha tajemnicza epidemia: mnisi w amoku zabijają się nawzajem, dochodzi do aktów kanibalizmu. Dyrektor Sigmy Painter Crowe i lekarka Lisa Cummings, którzy niezależnie od siebie przybyli na miejsce, by zbadać to zjawisko, stają się celem ataku bezwzględnych zabójców. Komuś bardzo zależy na tym, żeby nikt nie przeżył.

## **Aukcja w Kopenhadze**

W środowisku antykwariuszy panuje poruszenie. Niespodziewanym zainteresowaniem zaczynają się cieszyć książki związane z uczonymi epoki wiktoriańskiej, zwłaszcza Biblia należąca niegdyś do Darwina. Żeby ją zdobyć, niektórzy są gotowi zabijać.

## **Zaskakujące przymierze**

Żadnemu z agentów Sigmy nie przyszłoby do głowy, żeby współpracować z nazistami. Czasem jednak trzeba się sprzymierzyć nawet z wrogiem... przeciwko groźniejszemu wrogowi. A tego należy szukać w RPA, w ściśle chronionej posiadłości tamtejszego miliardera. Który – jak wszystko na to

wskazuje – ma w rękach coś, czego pod koniec II wojny światowej pilnie strzegli hitlerowcy. Coś, co zagraża ludzkości.

# JAMES ROLLINS

## CZARNY ZAKON

Z angielskiego przełożył  
LECH Z. ŻOŁĘDZIOWSKI

Wydanie elektroniczne



# JAMES ROLLINS

Amerykański pisarz, z zawodu weterynarz, z zamiłowania pływacz i grotolarz. Absolwent University of Missouri, karierę literacką rozpoczął w 1999 r. powieścią o wyprawie do wnętrza Ziemi, **Podziemny labirynt**. Kolejne – m.in. **Ekspedycja, Amazonia** oraz książki z cyklu SIGMA FORCE zapoczątkowanego w 2004 r. **Burzą piaskową** – których akcja toczy się często w niedostępnych rejonach świata – dżunglach, głębinach oceanów, podziemnych grotach oraz na pustyniach i lodowcach – odniosły międzynarodowe sukcesy. Obecnie trwają przygotowania do ekranizacji **Mapy Trzech Mędrców**.

[www.jamesrollins.com](http://www.jamesrollins.com)

## *Tego autora*

LODOWA PUŁAPKA  
AMAZONIA  
OŁTARZ EDENU  
EKSPEDYCJA  
PODZIEMNY LABIRYNT

### **Cykl SIGMA FORCE**

BURZA PIASKOWA  
MAPA TRZECH MĘDRCÓW  
CZARNY ZAKON  
WIRUS JUDASZA  
KLUCZ ZAGŁADY  
OSTATNIA WYROCZNIA  
KOŁONIA DIABŁA  
LINIA KRWI  
OKO BOGA  
SZÓSTA APOKALIPSA  
LABIRYNT KOŚCI

**James Rollins, Rebecca Cantrell**  
**Cykl ZAKON SANGWINISTÓW**

EWANGELIA KRWI  
NIEWINNA KREW  
DIABELSKA KREW



Tytuł oryginału:  
BLACK ODRER

Copyright © Jim Czajkowski 2006  
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2017

Polish translation copyright © Lech Z. Żołędziowski 2007

Redakcja: Beata Słama

Zdjęcie na okładce: Bildagentur Zoonar GmbH/Shutterstock

Projekt graficzny okładki i serii: Mariusz Banachowicz

ISBN 978-83-7985-396-0

*Wydawca*

WYDAWNICTWO ALBATROS SP. Z O.O.  
(dawniej Wydawnictwo Albatros Andrzej Kuryłowicz s.c.)  
Hlonda 2a/25, 02-972 Warszawa  
[www.wydawnictwoalbatros.com](http://www.wydawnictwoalbatros.com)  
[Facebook.com/WydawnictwoAlbatros](https://Facebook.com/WydawnictwoAlbatros) |  
[Instagram.com/wydawnictwoalbatros](https://Instagram.com/wydawnictwoalbatros)

*Niniejszy produkt jest objęty ochroną prawa autorskiego. Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku osobę, która wykupiła prawo dostępu. Wydawca informuje, że publiczne udostępnianie osobom trzecim, nieokreślonym adresatom lub w jakikolwiek inny sposób upowszechnianie, kopiowanie oraz przetwarzanie w technikach cyfrowych lub podobnych – jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom.*

Przygotowanie wydania elektronicznego: Michał Nakoneczny, [88em.eu](http://88em.eu)

# SPIS TREŚCI

Podziękowania

Komentarz historyczny.

Komentarz naukowy.

1945

CZEŚĆ PIERWSZA

1. Dach świata

2. Biblia Darwina

3. UKUFA

4. Ognie upiorów

5. Coś śmierdzi

6. Brzydkie kaczątko

KSIĘGA DRUGA

7. Czarna mamba

8. Mieszanka krwi

9. Sabotażysta

10. Czarny Camelot

KSIĘGA TRZECIA

11. Demon w maszynie

12. UKUFA

13. XERUM 525

14. Menażeria

15. Rogi bawołu

16. Zagadka runów

Epilog

Nota autora

Przypisy.



*DLA DAVIDA*  
*za wszystkie przygody*

# PODZIĘKOWANIA

Pisanie powieści to – poza czasem spędzonym samotnie nad czystą kartką – rezultat współpracy bardzo wielu osób, które odciskają piętno na ostatecznej wersji książki. Przede wszystkim niech wolno mi będzie podziękować Penny Hill za długie lunche i cenne uwagi, ale przede wszystkim za jej przyjaźń. To samo dotyczy Carolyn McCray, która wciąż potrafi kuksańcem zmusić mnie do jeszcze większego wysiłku. Mam też zaszczyt podziękować grupie przyjaciół – spotykającej się co drugi tydzień w restauracji Coco's – a do której należą: Steve i Judy Prey, Chris Crowe, Lee Garrett, Michael Gallowglas, Dave Murray, Dennis Grayson, Dave Meek, Jane O'Riva, Dan Needles, Zach Watkins i Caroline Williams. Wszyscy oni tworzą klikę wspierającą autora. Szczególną wdzięczność wyrażam pisarzowi Joemu Konrathowi za jego energię, podtrzymywanie mnie na duchu i cenne uwagi na temat wątków zawartych w książce, a także Davidowi Sylvianowi za jego niezmordowane taszczenie sprzętu fotograficznego także na najwyższy szczyt w łańcuchu Sierra. Pragnę też z wdzięcznością wymienić książki Nicka Cooka i intrygujące badania Johnjoe McFaddena, które stały się źródłem inspiracji do napisania tej powieści. Na koniec dziękuję czterem osobom, które w trakcie powstawania tej książki wywarły istotny wpływ na jej ostateczny kształt: mojemu wydawcy Lyssie Keusch i jej współpracownicy May Chen oraz moim agentom – Russowi Galenowi i Danny'emu Barorowi. Jak zwykle pragnę podkreślić, że odpowiedzialność za wszelkie błędy i przeinaczenia obciąża wyłącznie mnie.

# KOMENTARZ HISTORYCZNY

Wraz z upadkiem Niemiec w ostatnich miesiącach drugiej wojny światowej w gronie aliantów rozgorzała zupełnie nowa wojna, której celem było przechwytywanie osiągnięć nazistowskich naukowców. W batalii toczonej przez Brytyjczyków, Amerykanów, Francuzów i Rosjan każdy kraj walczył o swoje. Wykradano sobie niemieckie patenty, na przykład na nowe lampy próżniowe, nieznane chemikalia i tworzywa sztuczne, a nawet na metodę pasteryzacji mleka przy użyciu ultrafioletu. Większość najważniejszych patentów utonęła jednak w sejfach ściśle tajnych akcji w rodzaju operacja Spinacz, w ramach której setki naukowców zatrudnionych do pracy nad programem broni raketowej V2 przerzucono potajemnie do Stanów Zjednoczonych.

Przejmowanie najnowszej technologii napotykało na zdecydowany opór samych Niemców, którzy próbowali chronić swoje tajemnice w nadziei na odrodzenie się Rzeszy. Naukowców mordowano, laboratoria badawcze niszczone, dokumentację ukrywano w górskich jaskiniach, zatapiano w jeziorach i grzebano w podziemnych kryptach. Wszystko po to, by nazistowskie sekrety nie trafiły do rąk aliantów.

Rozpoczęły się mozolne poszukiwania. Wiele nazistowskich laboratoriów, w których pracowano nad nowymi rodzajami broni, mieściło się w podziemnych bunkrach na terytorium Niemiec, Austrii, Czechosłowacji i Polski. Jedno z najlepiej strzeżonych znajdowało się w starej kopalni w pobliżu Wrocławia. Prowadzony tam program badawczy oznaczony był kryptonimem *Die Glocke*, czyli Dzwon, a mieszkańcy

okolicznych wiosek opowiadali o pojawianiu się dziwnego światła i nękających ludność tajemniczych chorobach i nagłych zgonach.

Pierwsze dotarły na miejsce wojska rosyjskie, znalazły jednak kopalnię całkowicie opróżnioną. Wszystkich sześćdziesięciu dwóch naukowców uczestniczących w programie badań rozstrzelano, a urządzenia wywieziono w nieznanym kierunku.

I tylko jedno wiadomo na pewno: Dzwon istniał naprawdę.

# KOMENTARZ NAUKOWY

Życie bywa dziwniejsze od fikcji literackiej. Wszystkie rozważania na temat mechaniki kwantowej, sztucznej inteligencji i procesów ewolucji przedstawione w tej książce oparte są na faktach naukowych.



*Czy to, że ewolucja stanowi kręgosłup biologii, przez co biologia nabiera szczególnego charakteru nauki opartej na wzmocnionej teorii, czyni ją nauką, czy przedmiotem wiary?*

KAROL DARWIN

*Nauka bez religii jest chroma, religia bez nauki jest ślepa.*

ALBERT EINSTEIN

*A kto powiedział, że nie jestem pod szczególną opieką Boga?*

ADOLF HITLER

# 1945

## **Festung Breslau**

**4 maja, godzina 6.22 czasu miejscowego**

Zwłoki płynęły podziemnym kanałem ściekowym w strumieniu nieczystości. Ciało chłopca było rozdęte, nadgryzione przez szczury i pozbawione butów, spodni i koszuli. W oblężonym mieście nic nie mogło się zmarnować.

Obergruppenführer SS Jakob Sporrenberg ominął trupa i brnął dalej w śmierdzącej mazi pełnej odpadków i fekaliów, krwi i wydzielin. Wilgotny kawałek materiału, którym zakrył sobie nos i usta niewiele pomógł w walce ze smrodem. Oto, czym się kończy wielka wojna. Władcy Europy, którzy jak szczury uciekają śmierdzącymi kanałami. Ale jak rozkaz, to rozkaz.

W górze trwała kanonada rosyjskiej artylerii, która ostrzeliwała miasto. Każdy kolejny wybuch Jakob odczuwał jak cios wymierzony jemu osobiście. Rosjanie wdarli się już na teren miasta, zbombardowali lotnisko, ich czołgi chrzęściły na ulicznym bruku, a transportery opancerzone dotarły już do Kaiserstrasse. Śródmiejską arterię zamieniono w lądowisko dla samolotów, znakując je po bokach rzędami beczek z płonąca ropą. Wydobywający się z nich czarny dym mieszał się z dymami pożarów i jeszcze bardziej zasnuwał poranne niebo, nie pozwalając przebić się promieniom wstającego słońca. Walczono o każdą ulicę i każdy dom od piwnic aż po dach.

Każdy dom jest twierdzą.



Tak brzmiał ostatni rozkaz wydany ludności cywilnej przez gauleitera Hankego. Miasto miało się bronić do końca. Od tego zależała przyszłość Trzeciej Rzeszy.

Od tego i od powodzenia misji Jakoba Sporrenberga.

– *Mach schnell* – upomniął idących za nim ludzi.

Jego oddział *Sicherheitsdienst*, zwany komandem ewakuacyjnym, liczył czternastu ludzi, którzy szli za nim po kolana w śmierdzącej brei. Wszyscy byli ubrani na czarno, w rękach mieli broń, a na plecach ciężkie plecaki. Środek grupy tworzyli czterej najrośniejsi – byli dokerzy z portów Morza Północnego – niosący kilka skrzyń na drągach trzymanyh na ramionach.

Rosjanie nie bez powodu z taką zajadłością atakowali to nieznaną się na głównej linii natarcia miasto, leżące u podnóża Sudetów na pograniczu Niemiec i Polski. Festung Breslau stanowiła bramę do ciągnących się dalej terenów górskich, gdzie więźniowie dowożeni z obozu koncentracyjnego w Gross-Rosen przez ostatnie dwa lata drążyli tunele i pieczary w zboczu jednej z gór. Posługując się ładunkami wybuchowymi i kilofami, wydrążyli blisko sto kilometrów tuneli w jednym tylko celu: by uchronić przed dociekliwością aliantów pewien ściśle tajny projekt:

*Der Riese... Olbrzym.*

Mimo wszystko wieści o prowadzonych pracach trafiły do wielu niepowołanych uszu. Być może ktoś mieszkający w pobliżu kopalni zaczął rozpowiadać o tajemniczych chorobach i nagłych zgonach nękających miejscową ludność.

Gdyby tylko mieli więcej czasu na dokończenie badań...

Jakob Sporrenberg aż się wzdrygnął. Wprawdzie poza nazwą ściśle tajnego projektu – Chronos – nie znał zbyt wielu szczegółów, wiedział wystarczająco dużo. Widział zwłoki ludzi używanych do doświadczeń i słyszał ich krzyki...

Przerażające.

To jedyne określenie, jakie przychodziło mu do głowy i mroziło krew w żyłach.

Przeprowadzenie egzekucji grupy naukowców nie sprawiło mu żadnych trudności. Sześćdziesięcioro dwoje kobiet i mężczyzn wyprowadzono na zewnątrz i zabito dwoma strzałami w tył głowy. Nikt nie mógł się dowiedzieć, co naprawdę działo się w czeluściach kopalni Wenceslas, ani co się w niej znajdowało. Darowano życie tylko jednej osobie z personelu naukowego.

Doktor Toli Hirszfeld.

Jakob słyszał za plecami, jak z wysiłkiem wlecze się z rękami związanymi na plecach, niemal ciągnięta przez jednego z jego ludzi. Wysoka, niespełna trzydziestoletnia, obdarzona przez naturę niedużymi piersiami, rozłożystymi biodrami i zgrabnymi nogami, miała długie czarne włosy i mlecznobiałą cerę, która od wielu miesięcy była pozbawiona światła słonecznego. Zginęłaby wraz z pozostałymi gdyby nie to, że jej ojciec, Hugo Hirszfeld, kierownik naukowy projektu *Oberarbeitsleiter*, ostatecznie ujawnił swą zdradziecką naturę półkrwi Żyda i podjął próbę zniszczenia dokumentacji prowadzonych badań. Na szczęście jednemu ze strażników udało się temu zapobiec i zastrzelić go, nim zdążył zdetonować ładunek wybuchowy w swym podziemnym gabinecie. To, że musiał pozostać przy życiu ktoś mający pełną wiedzę o programie *Die Glocke* po to, by móc w przyszłości kontynuować pracę, uratowało życie jego córce. Będąc jak ojciec wybitnym naukowcem, Tola Hirszfeld znała szczegóły programu lepiej niż ktokolwiek z pozostałych pracowników naukowych.

Ale z góry było wiadomo, że łatwo nie pójdzie.

Oglądając się za siebie, Jakob widział w jej oczach jarzący się gniew i czuł emanującą z niej nienawiść, ale wiedział, że w końcu, wzorem ojca, podejmie z nimi współpracę. Jakob umiał sobie radzić z *Juden*, a już szczególnie z mieszancami. *Mischlinge*. Ci byli najgorsi... Niemcy z domieszką krwi żydowskiej. W siłach zbrojnych Trzeciej Rzeszy służyło około stu tysięcy *Mischlinge*, Żydów w niemieckich mundurach. Stosowanie wyjątków w egzekwowaniu nazistowskich

przepisów rasowych pozwalało takim mieszańcom służyć Trzeciej Rzeszy i w ten sposób uchodzić z życiem. Każdorazowo wymagało to indywidualnej zgody i zwykle tacy *Mischlinge* okazywali się najgorliwszymi wykonawcami rozkazów. Musieli codziennie udowadniać, że lojalność wobec Rzeszy jest dla nich ważniejsza od rasy.

Ale Jakob i tak nigdy im do końca nie ufał, a postępek ojca Toli dowodził, że jego podejrzliwość była uzasadniona. Próba sabotażu podjęta przez doktora go nie zaskoczyła. *Juden* zasługują tylko na eksterminację, nie na zaufanie.

Tyle że w papierach Hugo Hirszfelda widniał podpis samego Führera, który osobiście wyraził zgodę nie tylko na zatrudnienie ojca i córki, ale także na oszczędzenie wiekowych rodziców doktora, którzy mieszkali gdzieś w środkowych Niemczech. I o ile Jakob nie miał za grosz zaufania do *Mischlinge*, o tyle niezłomnie wierzył, że Führer zawsze podejmuje słuszne decyzje. Rozkaz nie pozostawiał cienia wątpliwości: wywieźć z kopalni wszystko, co pozwoli kontynuować pracę, resztę zniszczyć.

A to wymagało pozostawienia tej kobiety przy życiu.

Jej i tego niemowlaka.

Miesięczne niemowlę płci męskiej, rasy żydowskiej, opatulono i włożono do plecaka. Wcześniej podano mu lekki środek uspokajający, by nie zdradziło ich kwileniem.

Ten bękart sprawiał, że Jakob był sfrustrowany i czuł odrazę do całej sytuacji. Bo oto najszczytniejsze plany i nadzieje Trzeciej Rzeszy znalazły się nagle w maleńkich rączkach żydowskiego noworodka. Na samą myśl o tym dławiała go wściekłość i chętnie nadziałby szczeniaka na bagnet. Ale rozkaz to rozkaz.

Widział też spojrzenia Toli, jakimi obrzucała niemowlę. W jej oczach była zawziętość, ale i żal. Do jej obowiązków należała nie tylko praca naukowa pod kierunkiem ojca, ale także pełnienie roli zastępczej matki malca – usypianie go i karmienie. To dziecko było właściwie jedynym powodem, dla którego zgodziła się współpracować. Zagrożenie jego życia

ostatecznie przechyliło szalę i skłoniło Tolę do ustępstw wobec żądań Jakoba.

Pocisk z moździerza rozerwał się tak blisko nad ich głowami, że wszyscy przyklękli, czując nieznośne dzwonięcie w uszach. Betonowe sklepienie zatrzeszczało i na ich głowy posypał się cementowy pył.

Jakob zaklął pod nosem i podniósł się pierwszy.

Podszedł jego zastępca Oskar Henricks i pokazał odchodzącą w bok odnogę kanału.

– Pójdziemy tamtędy, *Herr Obergruppenführer*. To stary burzowiec. Z planu miasta wynika, że główny kanał burzowy dochodzi do rzeki w pobliżu Wyspy Katedralnej.

Jakob skinął głową. W pobliżu wyspy powinny na nich czekać dwie zamaskowane kanonierki z załogą złożoną z członków ich komanda. Są już blisko.

Ruszył ze zdwojoną energią, wsłuchując się w przybierające na sile rosyjskie bombardowanie nad głowami. Wzmozona kanonada świadczyła zapewne o tym, że wróg szykuje się do ostatecznego szturmu. Jakob nie miał wątpliwości, że losy miasta są przesądzone.

Dotarł do odnogi i wspiął się na betonowy próg, którym zaczynał się kanał burzowy. Buty nasiąknięte obrzydliwą mazią z kanału ściekowego zaskrzypiały na suchym betonowym dnie burzowca, a rozsiewany przez nie dławiący smród fekaliów zdawał się jeszcze intensywniejszy. Kanał ściekowy nie pozwalał o sobie zapomnieć.

Reszta oddziału ruszyła za nim.

Jakob oświetlił latarką ciągnący się przed nimi burzowiec. Wydało mu się, że wyczuwa świeższy powiew, i to dodało mu sił. Do końca przeprawy, a tym samym do wypełnienia powierzonej mu misji, było już bardzo blisko. Nim Rosjanie dotrą do pełnego szcurów podziemnego labiryntu kopalni Wenceslas, jego oddział będzie już na drugim krańcu Śląska, a w kopalni powita ich jeszcze parę zastawionych przez niego min pułapek. Na Ruskich i ich sprzymierzeńców nie czekało w tamtych górach nic poza śmiercią.

Pokrzepiony tą myślą, szybko posuwał się w stronę coraz wyraźniej odczuwalnego prądu świeżego powietrza. Dno kanału lekko opadało i cała grupa przyspieszyła kroku. Dodatkowo mobilizowała ich cisza, jaka nagle zapadła na górze. Znaczyło to zapewne, że Rosjanie przystąpili do szturm.

Zostało im bardzo mało czasu. Już niedługo rzeką nie da się uciec.

Jakby wyczuwając ogarniające wszystkich napięcie, niemowlę zaczęło cicho płakać. Widocznie środek uspokajający przestał działać. Zresztą Jakob uprzedził sanitariusza, że ilość środka ma być bardzo mała. Bał się, że większa dawka mogłaby dziecku zaszkodzić. Może jednak się przeliczył...

Płacz niemowlaka przybierał na sile.

Gdzieś dalej, na północy, usłyszeli wybuch pojedynczego pocisku moździerzowego.

Płacz zaczynał przechodzić w krzyk, który zwielokrotnionym echem odbijał się od kamiennych ścian tunelu.

– Uciszcie tego bachora! – rzucił Jakob do żołnierza niosącego niemowlaka.

Chudy jak tyczka żołnierz o ziemistej cerze zsunął z ramion plecak, przy okazji strącając też z głowy czapkę. Zaczął rozsznurowywać plecak, co jeszcze bardziej wzmogło dochodzący z niego wrzask.

– Dajcie... dajcie go mnie! – wykrzyknęła Tola, próbując wyszarpnąć łokieć z uścisku pilnującego ją żołnierza. – On mnie potrzebuje.

Żołnierz mocujący się z plecakiem spojrzał pytająco na Jakoba. W świecie nad ich głowami panowała głucha cisza i tylko ten kanał rozbrzmiewał wrzaskiem.

Jakob skrzywił się i kiwnął głową.

Przecięto więzy krępujące nadgarstki Toli. Rozmasowała je sobie, by przywrócić krążenie, i sięgnęła po dziecko. Żołnierz skwapliwie pozbył się ciężaru, a ona ułożyła dziecko na zagiętej ręce i podtrzymując mu główkę, zaczęła je łagodnie kołysać. Tuląc dziecko, czule do niego przemawiała.

Płacz dziecka zaczął powoli cichnąć i przechodzić w kwilenie.

Jakob z zadowoleniem kiwnął głową i dał znak pilnującemu Tolę żołnierzowi. Ten uniósł rękę i przycisnął lufę lugera do pleców kobiety. Zapadła cisza i oddział wznowił wędrówkę podziemnym kanałem burzowym pod miastem Breslau.

Wkrótce smród ścieków zastąpiła gryząca woń dymu. Latarka Jakoba oświetlała coraz gęściejsze kłęby dymu wciskające się do kanału przez jego ujście do rzeki. Ostrzał artyleryjski zupełnie ustał, natomiast coraz wyraźniejsza stawała się zbliżająca się od wschodu kanonada z ręcznej broni maszynowej. Coraz głośniejszy był też chlupot wody.

Jakob kazał ludziom zatrzymać się i ręką przywołał do siebie radiooperatora.

– Daj sygnał łodziom – rozkazał.

Żołnierz służbiście kiwnął głową i rozpląnął się w mroku. Chwilę później kilkakrotnie błysnął lampą w stronę pobliskiej wyspy, przekazując umówiony sygnał. Na opuszczenie kryjówek i dopłynięcie do wylotu kanału kanonierki potrzebowały nie więcej niż minutę.

Jakob popatrzył na Tolę, która nie przestawała tulić dziecka. Niemowlę ucichło, zamknęło oczy.

Tola odwzajemniła harde spojrzenie Jakoba.

– Dobrze wiesz, że mój ojciec miał rację – powiedziała spokojnym, pewnym siebie tonem. Jej wzrok na moment powędrował do opieczętowanych skrzyń. – Widzę to po twojej minie. Posunęliśmy się w naszych badaniach... za daleko.

– O tym nie decyduje żadne z nas – odwarknął.

– A kto?

Jakob wzruszył ramionami i odwrócił głowę. Rozkaz, jaki otrzymał, pochodził od samego Heinricha Himmlera i zastanawianie się nad jego sensem miało się z celem. Przez skórę czuł, że kobieta nie spuszcza z niego wzroku.

– To jak wyrzeczenie się Boga i natury – powiedziała cicho.

Dochodzące z końca kanału wołanie zwolniło go od odpowiedzi.

– Łodzie już tu płyną! – powtórzył radiooperator, podchodząc bliżej.

Jakob wydał rozkazy i poderwawszy oddział, ruszył w stronę wylotu kanału kończącego się na stromym brzegu Odry. Wprawdzie zbawcze ciemności już się rozpraszały i na wschodzie widać było wstające słońce, ale mieli szczęście, bo rzekę pokrywały kłęby czarnego dymu, które gęstniejąc przy powierzchni wody, tworzyły otulający ich całun.

Tylko jak długo będzie ich jeszcze osłaniał?

Salwy z broni ręcznej nie ustawały – zupełnie jakby ktoś strzelał na wiwat, ciesząc się ze zniszczenia Breslau.

Wydobyszy się z kanałowego smrodu, Jakob odjął od twarzy wilgotną szmatkę i tocząc wzrokiem po ołowianoszarych wodach rzeki, pełną piersią zaczerpnął świeżego powietrza. Kilkadziesiąt metrów dalej zobaczył prujące w ich stronę dwie sześciometrowe kanonierki i usłyszał równy warkot ich silników. Na dziobach widać było po dwa lekko tylko zamaskowane karabiny maszynowe MG-42.

Za łodziami wyłaniała się z dymu ciemna masa wyspy. Wbrew swej nazwie Wyspa Katedralna nie była już właściwie wyspą, bo z biegiem lat nurt rzeki naniósł tyle piachu, że już w dziewiętnastym wieku połączyła się z przeciwległym brzegiem. Z ich brzegu na wyspę prowadził pochodzący z tego samego okresu szmaragdowozielony żelazny most i to właśnie pod nim skryły się napływające szybko kanonierki.

Uwagę Jakoba przyciągnął na chwilę refleks wschodzącego słońca na dwóch potężnych wieżach katedry, której wyspa zawdzięczała nazwę. Oprócz niej stało tam jeszcze pięć innych kościołów.

W uszach wciąż dźwięczały mu słowa Toli Hirszfeld:

„To jak wyrzeczenie się Boga i natury”.

Poranny chłód przenikał na wskroś jego przemoczone ubranie i powodował, że po skórze przebiegały mu zimne dreszcze. Cieszyło go, że już niedługo się stąd wydostanie i że będzie mógł zapomnieć o wszystkim, co się tu działo.



Pierwsza z łodzi przybiła do brzegu, co kazało mu odsunąć od siebie myśli o przeszłości i zająć się teraźniejszością. Wydał rozkaz, by załadowano skrzynie na łodzie.

Tola z dzieckiem na rękach stała z boku pilnowana przez jednego z żołnierzy. Ona też patrzyła na lśniące w zadymionym powietrzu wieże, jednocześnie wsłuchując się w coraz bliższe odgłosy walki. Dawało się już rozróżnić chrzęst gąsienic sunących ku nim czołgów. Wszystkiemu towarzyszyły okrzyki i wrzaski.

Gdzież jest teraz Bóg, którego wyrzeczenia się obawiała?

Bo na pewno nie tu.

Po skończonym załadunku Jakob podszedł do Toli.

– Wsiadaj – rozkazał. Chciał to powiedzieć tonem nieznoszącym sprzeciwu, ale coś emanującego z jej twarzy złagodziło jego głos.

Bez słowa wykonała polecenie. Nie odrywała wzroku od wież, ale jej myśli szybowały jeszcze wyżej.

Jakob po raz pierwszy stwierdził, że jest piękna... chociaż *Mischling*. Chwilę potem zahaczyła o coś obcasem, zachwiała się i z trudem uniknęła upadku. Mimo to nie upuściła dziecka. Wróciła myślami do otaczającej ją zadymionej szarości, jej twarz spochmurniała i stężała. Gdy zaczęła szukać wzrokiem miejsca dla siebie i dziecka, jej spojrzenie znów było kamiennie twarde.

Wybrała ławkę przy prawej burcie, a pilnujący ją żołnierz stanął obok.

Jakob usiadł przy przeciwległej burcie i dał znak szyprowi, że może odbijać.

– Nie wolno nam się spóźnić – mruknął, wbijając wzrok w wody rzeki. Ruszyli na zachód, odwracając się tyłem do zbliżającego się frontu i wschodzącego słońca.

Jakob spojrział na zegarek. Zgodnie z planem ich transportowy junker Ju 52 powinien już czekać na starym, zrujnowanym lotnisku dziesięć kilometrów od miasta. Samolot miał mieć znaki Niemieckiego Czerwonego Krzyża i udawać

jednostkę transportu medycznego, co było dodatkowym zabezpieczeniem przed atakiem.

Łodzie wypłynęły na głębszą wodę, silniki zawyły na wyższych obrotach. Rosjanie już ich nie zatrzymają. Udało się.

Nagle wzrok Jakoba przyciągnął nieoczekiwany ruch koło przeciwległej burty.

Tola pochyliła się nad dzieckiem i delikatnie ucałowała jego pokrytą miękkim puszkim główkę. Potem uniosła głowę i spojrzała Jakobowi w oczy. W jej wzroku nie dostrzegł ani uległości, ani agresji. Tylko determinację.

W mgnieniu oka pojął, co zamierza zrobić.

– Nie!

Ale było już za późno.

Tola zerwała się z miejsca, przechyliła do tyłu przez niski reling, zrobiła zamach nogami i trzymając dziecko przy piersi, rzuciła się w zimne wody Odry.

Pilnujący jej żołnierz osłupiał, po czym skoczył do burty i zaczął na oślep strzelać w wodę.

Jakob jednym susem dopadł go i podbił rękę trzymającą pistolet.

– Możesz trafić dziecko! – wrzasnął.

Przechylił się przez reling i zaczął wpatrywać w nurt rzeki. Wszyscy rzucili się do burty i łódź zakołysała się niebezpiecznie. Na ołowianej powierzchni wody widać było tylko odbicie ich głów. Jakob wrzasnął na pilota, by popłynął w koło.

Nurt rzeki był pusty.

Rozglądał się za pęcherzykami powietrza, ale wiry po śrubie obładowanej łodzi burzyły ołowianą toń i wszystko zamazywały. W bezsilnej złości uderzył pięścią w reling.

Jaki tatuś... taka córeczka...

Tylko *Mischling* może wymyślić coś tak drastycznego. Był już świadkiem podobnych zdarzeń, kiedy żydowskie matki odbierały życie własnym dzieciom po to, by je uchronić przed większymi cierpieniami. Myślał, że Tola jest silniejsza, bardziej uodporniona. Musiała jednak uznać, że nie ma innego wyjścia.

Krążyli na tyle długo, by pozbyć się wszelkich wątpliwości. Potem jego ludzie przeszukali jeszcze oba brzegi, bez skutku. Tola zniknęła. Gwizd przelatującego nad głowami pocisku z moździerza zniechęcił ich do dalszych poszukiwań.

Gestem ręki Jakob przywołał swoich ludzi, potem machnął ku zachodowi, gdzie czekał na nich samolot. Przynajmniej zostały im skrzynie z urządzeniami i dokumentacją. Zniknięcie Toli stanowiło nieoczekiwaną komplikację, ale nie było czymś, z czym nie można sobie poradzić.

– W drogę! – rozkazał.

Łodzie skręciły na zachód i stopniowo zaczęły nabierać szybkości.

W ciągu paru minut rozplynęły się w dymach pożarów trawiących Breslau.

Tola wsłuchiwała się w oddalający się warkot silników.

Tkwiała zanurzona w wodzie, kryjąc się za jednym z potężnych kamiennych filarów, na których wspierała się żelazna konstrukcja starego Mostu Katedralnego. Jedną dłonią zatykała buzię niemowlęciu. Modliła się w duchu, by umiało zaczerpnąć dość powietrza przez nos. Widać było, że dziecko ledwo dyszy.

Podobnie jak ona.

Jeden z pocisków trafił ją w szyję i rana obficie krwawiła, zabarwiając na czerwono otaczającą ją wodę. Czowała, jak stopniowo mąci jej się wzrok, wciąż jednak walczyła, by utrzymać główkę niemowlęcia nad powierzchnią wody.

Najpierw miała zamiar po prostu utopić siebie i dziecko, poczuwszy jednak przenikliwie zimno i szarpiący ból w szyi, stwierdziła, że jej determinacja słabnie i zmienia się w wolę walki. W pamięci został jej błysk rozświetlający katedralne wieże. To, co wtedy poczuła, nie miało nic wspólnego z jej wiarą czy pochodzeniem, uświadomiło jej natomiast, że nad otaczającym człowieka mrokiem jest światło. I że są takie

miejsca, gdzie brat nie walczy z bratem, a matki nie zabijają swoich dzieci.

Pracując nogami, wypłynęła na środek i pozwoliła się nieść prądowi w stronę mostu. Nabierała powietrza i zanurzając się pod wodę, wtłaczała je w usta dziecku, ściskając mu jednocześnie nosek. Wprawdzie w chwili skoku miała zamiar zakończyć swoje i jego życie, to od chwili, gdy podjęła walkę, o władnęło ją bez reszty pragnienie uratowania ich obojga.

Chłopiec nie miał nawet imienia.

A nikt nie powinien umierać bezimiennie.

Wtłaczała mu szybkie, małe hausty powietrza, jednocześnie walcząc z nurtem. Szczęśliwym trafem prąd zniósł ją wprost na jeden z filarów i udało jej się znaleźć za nim kryjówkę.

Ale teraz, gdy łodzie już odpłynęły, siły zupełnie ją opuściły i nie była już w stanie wytrzymać ani chwili dłużej.

Czując, jak uchodzi z niej krew, podejrzewała, że tylko przenikliwe zimno utrzymuje ją przy życiu. Jednak to samo zimno powoli pozbawiało życia kruche niemowlę.

Zaczęła z całych sił machać nogami, kierując się ku brzegowi. Była tak osłabiona i zdrętwiała z zimna, że jej ruchy były bezładne i nieskoordynowane. W pewnej chwili zaczęła się zanurzać, pociągając z sobą dziecko.

Nie!

Z najwyższym wysiłkiem wynurzyła głowę, czując, że woda robi się coraz cięższa i trudniejsza do pokonania.

Wciąż się jednak nie poddawała.

A potem pod stopami poczuła śliskie kamienne dno. Wydała okrzyk radości, zapominając, że wciąż jest jeszcze pod wodą, i zakrztusiła się. Raz jeszcze poszła na dno i ostatnim wysiłkiem odbiła się nogami od kamieni. Wynurzyła głowę i szarpnęła ciało ku brzegowi.

Stopy natrafiły na stromy brzeg rzeki.

Opierając się na jednej ręce i kolanie i przyciskając dziecko do szyi, zaczęła gramolić się z wody. Wydostała się na brzeg i runęła twarzą na warstwę kamieni. Nie miała siły się ruszyć.

Ostatnim wysiłkiem woli zmusiła się do spojrzenia na ubrudzone jej własną krwią dziecko.

Nie ruszało się i nie oddychało.

Zamknęła oczy, czując, jak z wolna zapada się w przepastną czerń.

Zacznij płakać, cholera, płacz...

Płacz dziecka pierwszy usłyszał ojciec Varick.

Wraz z resztą braci zakonnych tkwił w piwnicach na wino w podziemiach kościoła Świętych Piotra i Pawła. Gdy ostatniej nocy rozpoczęło się bombardowanie Breslau, schronili się tam, by na klęczkach modlić się o uratowanie ich wyspy. Pochodzący z XV wieku kościół przetrwał w nienaruszonym stanie różne nawałnice i zmienne koleje losu, jakie na przestrzeni wieków nękały miasto na obu brzegach rzeki. Teraz znów przyszło im prosić opatrzność o opiekę nad ich świątynią.

Właśnie dzięki pobożnemu skupieniu do uszu zakonników dotarło ciche popiskiwanie.

Ojciec Varick bez słowa wstał z klęczek, co dla jego starych kości było nie lada wyczynem.

– Dokąd się wybierasz? – zapytał Franz.

– Wzywa mnie moja trzódka – odrzekł zakonnik. Od dwudziestu lat wynosił nad rzekę resztki jedzenia dla dzikich kotów i bezdomnych kundli, które zbierały się u stóp kościoła.

– Nie czas na to – wtrącił inny z braci wystraszoneg głosem.

Ale ojciec Varick przeżył zbyt wiele lat, by tak po młodzieńczemu obawiać się śmierci. Przeszedł przez piwnicę i pochylił głowę w wejściu do niskiego korytarzyka prowadzącego do tylnej bramki od strony rzeki. Kiedyś zaopatrywano tędy kościół w węgiel, który składowano w piwnicy, obecnie pełnej omszałych zielonych butelek na dębowych regałach.

Dotarł do węglowej bramki, uniósł sztabę i odsunął zasuwę.

Potem pchnął ją ramieniem, a bramka głośno skrzypnęła.

Najpierw poczuł gryzącą woń dymu, a zaraz potem usłyszał cichy płacz i spojrzał na ziemię.

– *Mein Gott im Himmel...*

Parę kroków od bramki na kamiennej podmurówce leżała nieruchoma postać kobieca. Zakonnik padł na kolana, szepcząc słowa modlitwy.

Pomacał szyję kobiety w poszukiwaniu oznak życia, ale natrafił tylko na ranę pokrytą zakrzepłą krwią. Kobieta była skąpana we krwi i zimna.

Bez wątpienia nie żyła.

A potem nagle znów rozległo się kwilenie.

Uniósł ciało kobiety i ujrzał pod nim niemowlę, jak ona całe zalane krwią.

Było sine z zimna, ale wciąż jeszcze żywe. Wyciągnął je spod ciała kobiety i ciężki od wody becik zsunął się z jego ciała.

Chłopiec.

Szybko przejechał dłonią po skórze dziecka, upewniając się, że krew nie jest jego.

To była krew matki.

Ze smutkiem spojrzał na kobietę. Tyle śmierci wokół. Popatrzył przez rzekę na drugi brzeg. Miasto płonęło, a poranne niebo zasnuwały kłęby czarnego dymu. Słysząc było strzelaninę. Czyżby ta kobieta przypłynęła tu przez kanał? Żeby ratować dziecko?

– Odpoczywaj w pokoju – szepnął. – Zasłużyłaś na to.

Wytarł dziecko z krwi i osuszył. Jego rzadkie jedwabiste włosy były śnieżnobiałe. Nie mogło mieć więcej niż miesiąc.

Zabiegi ojca Varicka spowodowały, że płacz dziecka przybrał na sile, a jego twarzyczka nabrała koloru, było jednak bardzo osłabione i przemarznięte.

– Płacz, maleńki.

Jakby reagując na jego głos, chłopczyk uniósł opuchnięte powieki i spojrzał na Varicka błękitnymi oczami, błyszczącymi i czystymi. Wprawdzie większość noworodków ma oczy błękitne, ale zakonnik czuł, że te zachowają ten niebiański błękit na zawsze.

Przytulił dziecko, chcąc je trochę ogrzać, i zobaczył coś na jego nóżce. *Was ist das?* Przyjrzał się maleńkiej stópce. Na piętce ktoś narysował znak.

Nie, nie narysował. Dla pewności lekko potarł piętę.

Wytatuował szkarłatnym tuszem.

Varick wpatrzył się w znamię. Kształtem przypominało ślad kurzej łapki.



Lata młodości ojciec Varick spędził w Finlandii, więc bez trudu rozpoznał, że to jeden z nordyckich symboli runicznych, choć nie znał ani jego nazwy, ani znaczenia. Ze zdumieniem pokręcił głową. Komu mógł przyjść do głowy tak dziwaczny pomysł?

Spojrzał na matkę i ściągnął brwi.

Nieważne. Grzechy rodziców nie obciążają dzieci.

Otarł główkę dziecka z resztek krwi i okrył je swoim ciepłym habitem.

– Biedny *Junge*... Cóż za okropne powitanie zgotował ci ten świat.



# **CZĘŚĆ PIERWSZA**

# 1 DACH ŚWIATA

## **Baza pod Everestem, Himalaje 16 maja, godzina 6.43 czasu miejscowego**

– Ten wiatr niesie z sobą śmierć.

Taski, przywódca Szerpów, wygłosił tę opinię z powagą i pewnością siebie, do jakiej upoważniał go wykonywany zawód przewodnika. Był przysadzisty i miał niecały metr pięćdziesiąt wzrostu, wliczając w to zniszczony kowbojski kapelusz, roztaczał jednak wokół siebie taką aurę ważności, jakby przerastał o głowę wszystkich uczestników wyprawy. Jego skośne oczy wbite były w trzepocące na wietrze chorągiewki modlitewne.

Doktor Lisa Cummings skierowała na niego wizjer swego nikona D-100 i zrobiła zdjęcie. Taski był nie tylko przewodnikiem całej ekipy, ale także przedmiotem prowadzonych przez nią badań psychometrycznych. Idealnym obiektem dla jej testów.

Przyjechała do Nepalu w ramach stypendium przyznanego jej na badanie zjawisk fizjologicznych, jakie towarzyszą wspinaczce na Everest bez użycia tlenu. Do roku 1978 nikomu nie udało się wspiąć na szczyt bez tlenu. Na tych wysokościach powietrze jest bardzo rozrzedzone i nawet doświadczeni himalaiści wyposażeni w butle z tlenem doświadczają uczucia skrajnego wyczerpania, mają trudności z koordynacją ruchową, podwójnie widzą i mają halucynacje. Panowała wówczas

opinia, że mierzący ponad osiem tysięcy osiemset metrów szczyt bez tlenu jest nie do zdobycia.

A potem nadszedł rok 1978 i dwaj wspinacze z Tyrolu dokonali niemożliwego i wspięli się na szczyt, posługując się wyłącznie własnymi zmęczonymi płucami. W ciągu następnych lat w ich ślady poszło około sześćdziesięcioro himalaistów obojga płci, ustanawiając dla wspinaczkowej elity nowe standardy.

Lisa nie potrafiła wyobrazić sobie lepszej okazji do badań wysiłkowych w warunkach obniżonego ciśnienia atmosferycznego.

Niedługo przed wyjazdem do Nepalu zakończyła pięcioletni program badań nad wpływem podwyższonego ciśnienia na procesy fizjologiczne człowieka. W ramach programu znaczną część czasu spędziła na pokładzie statku naukowego *Deep Fathom*, zajmując się badaniem zjawisk zachodzących w organizmach nurków głębinowych. Po zakończeniu programu musiała coś ze sobą zrobić, i to zarówno w sprawach zawodowych, jak osobistych, i to skłoniło ją do przyjęcia niezbyt szczodrego stypendium na przeprowadzenie badań odwrotnych: nad fizjologicznymi efektami przebywania w warunkach niskiego ciśnienia.

Konsekwencją tej decyzji stała się jej podróż na Dach Świata.

Ustawiła kolejny kadr z Szerpą z plemienia Taski w centrum. Podobnie jak większość jego ziomków Taski używał nazwy swej grupy etnicznej jako nazwiska.

Mężczyzna oddalił się od trzepocących na wietrze chorągiewek, zdecydowanym ruchem kiwnął głową i papierosem wetkniętym między palce wskazał na górujący nad nimi masyw.

– Niedobry dzień. Ten wiatr niesie śmierć – powtórzył.

Potem włożył papierosa do ust i odwrócił się. Dla niego temat został wyczerpany.

Czego nie można było powiedzieć o pozostałych członkach wyprawy.

Wśród wspinaczy rozległy się szmery niezadowolenia. Wszyscy siedzieli z zadartymi głowami, wpatrując się w bezchmurne błękitne niebo. Dziesięcioosobowa ekipa od dziewięciu dni czekała bezczynnie na otwarcie się okienka pogodowego. Tyle że wcześniej nikt nie protestował przeciw oczywistej decyzji przeczekania szalejącej od tygodnia burzy, którą wywołał potężny cyklon znad Zatoki Bengalskiej. Wichury osiągające szybkość stu sześćdziesięciu kilometrów na godzinę atakowały obóz, przewracały ludzi i szarpały namiotami tak, że porwany został jeden z namiotów gospodarczych. Zacinały przy tym igielkami zlodowaciałego śniegu, które na gołą skórę działały jak papier ścierny.

I wreszcie wstał słoneczny ranek, piękny jak ich marzenia o zdobyciu szczytu. Promienie słońca lśniły na lodowcu Khumbu i opadających z niego jezorach lodu. Nad wszystkim górował pokryty śniegiem Everest, stojąc w otoczeniu swych dostojnych sióstr i przypominając orszak weselny w bieli.

Lisa zrobiła już około setki zdjęć, starając się uchwycić zmieniające się światło w całej jego krasie. Teraz już rozumiała, dlaczego Chińczycy nazywali Everest Czomolungma, czyli Boska Matka Świata. Nepalczyki mówili na niego Sagarmatha – Bogini Nieba.

Spowita chmurami góra istotnie była jak bogini lodu i skał, do której zjeżdżali się wspinacze, by oddać hołd i udowodnić, że zasługują na ucałowanie nieba z jej szczytu. A nie było to ani łatwe, ani tanie. Sześćdziesiąt pięć tysięcy dolarów od każdego uczestnika wyprawy. W tej cenie mieścił się już jednak cały potrzebny ekwipunek, tragarze, Szerpowie i oczywiście tyle jaków, ile dusza zapragnie. Ryk jednego z dwudziestu czterech zwierząt potoczył się właśnie po dolinie i powrócił echem odbitym od ścian. Bąble namiotów w czerwono-niebieskie pasy ubarwiały obozowisko – jedno z sześciu rozłożonych w tej dolinie w nadziei, że bogowie burz znajdą sobie wreszcie inne zajęcia.

A teraz okazało się, że zdaniem ich Szerpy ten dzień jeszcze nie nadszedł.

– To jeden wielki przekręt – prychnął szef bostońskiej firmy produkującej sprzęt sportowy. Ubrany w ostatni krzyk himalajskiej mody, puchowy kombinezon, stał obok swego spakowanego plecaka. – Ponad sześćset dolców dziennie za bezczynne siedzenie na tyłku. Oni nas tu specjalnie przetrzymują. Na zasranym niebie nie ma ani jednej chmurki!

Powiedział to półgłosem, jakby chciał podpuścić innych, samemu zbytnio się nie wychylając.

Lisa знаła ten typ. Osobowość typu P. P jak palant. Myśląc o nim teraz, nie potrafiła zrozumieć, jak to się stało, że poszła z nim do łóżka. Na samo wspomnienie aż ją skręcało z obrzydzenia. Do amorów doszło jeszcze w Stanach. Poznała go na zebraniu organizacyjnym w hotelu Hyatt w Seattle i wypiła z nim o jedną whisky za dużo. Bostoński Bob stał się kolejną przystanią, do której rzucił ją miotający nią życiowy sztorm... Nie pierwszą i zapewne nie ostatnią. Natomiast jednego była pewna: w tej przystani już nigdy nie zacumuje.

Podejrzewała, że właśnie to jest jedną z głównych przyczyn jego wojowniczości i ciągłego niezadowolenia.

Odwróciła głowę spokojna, że jej młodszy brat poradzi sobie z głosami krytyki. Josh był himalaistą z dziesięcioletnim stażem i to on doprowadził do włączenia jej do kolejnej wyprawy na Everest. Od lat co najmniej dwa razy w roku jeździł na wyprawy w różne rejony świata.

Josh Cummings podniósł rękę. Jak siostra szczupły i jasnowłosy, ubrany był w czarne dżinsy z nogawkami wetkniętymi w stoptuty Millet One Sport i szarą puchową kamizelkę. Potoczył wzrokiem po uczestnikach i odchrząknął.

– Taski był na Evereście dwanaście razy. Zna górę i jej kaprysy. Jeśli uważa, że pogoda jest zbyt niepewna na wspinaczkę, poświęćmy ten dzień na aklimatyzację i ćwiczenia techniczne. Jeśli są chętni, mogę zorganizować dwóch Szerpów, którzy poprowadzą jednodniową wycieczkę do lasu rododendronowego na dolnym piętrze doliny Khumbu.

Jeden z uczestników podniósł rękę.

– A może zamiast tego jednodniowa wycieczka do hotelu Everest View? Od sześciu dni kiśniemy w tych cholernych namiotach. Nie miałbym nic przeciwko gorącej kąpieli.

Przez grupę przetoczyła się fala potakiwań.

– Nie jestem pewien, czy to dobry pomysł – ostudził ich zapach Josh. – Do hotelu jest dzień marszu. By zapobiec chorobie wysokościowej, wszystkie pokoje mają wymuszony dopływ tlenu. Noc w hotelu mogłaby zakłócić waszą aklimatyzację i opóźnić atak na szczyt.

– Jakbyśmy i bez tego nie byli wystarczająco opóźnieni – mruknął Bostoński Bob.

Josh zignorował jego uwagę. Lisa była pewna, że brat nie popełni błędu i nie da się namówić na ryzyko wspinaczki w niesprzyjających warunkach pogodowych. Niebo było bezchmurne, ale wiedziała, że pogoda w górach potrafi zmienić się w ciągu paru minut. Wychowali się z Joshem w nadmorskim rejonie Cataliny i potrafili wywróżyć pogodę nie tylko z braku chmur na niebie. Może Josh nie umie przewidzieć pogody w Himalajach tak dobrze jak Szerpowie, ale z całą pewnością ma respekt dla tych, którzy umieją to robić.

Lisa spojrzała na pióropusz śniegu nad szczytem Everestu. Oznaczał on, że w rejonie wierzchołka wieje huragan, który w porywach osiąga szybkość dobrze ponad trzysta kilometrów na godzinę. Tuman śniegowego pyłu unosił się nad szczytem. Wprawdzie szalejąca w ostatnich dniach burza ustała, ale powyżej ośmiu tysięcy metrów występowały skoki ciśnienia, a potężne prądy powietrzne mogły w każdej chwili przyciągnąć z powrotem sztormową pogodę.

– Moglibyśmy chociaż podejść do pierwszego obozu – nie rezygnował Bostoński Bob. – Zabiwakować i zobaczyć, co przyniesie pogoda.

W jego głosie pojawił się irytujący jękliwy ton, który miał skłaniać do ustępstw. Aż poczerwieniał z rozdrażnienia.

Lisa nie potrafiła zrozumieć, jak mogła się kimś takim zainteresować.

Ale nim jej brat zdążył zareagować, do uszu wszystkich dotarł jakiś dudniący dźwięk, jakby odległe bicie w bębny. Oczy wszystkich zwróciły się na wschód. W oślepiających promieniach wschodzącego słońca pojawiła się sylwetka śmigłowca – przypominający czarnego szerszenia model B-2 Squirrel A-Star Ecuriel, specjalnie zaprojektowany do lotów w wysokich górach i używany w akcjach ratunkowych.

Zapadła cisza.

Tydzień wcześniej, tuż przed ostatnią burzą, od strony Nepalu wyruszyła na szczyt kolejna ekspedycja. Według komunikatów radiowych wspinacze dotarli do obozu drugiego leżącego na wysokości ponad 6400 metrów.

Lisa przysłoniła oczy dłonią. Czyżby jednak coś się stało?

Po drodze odwiedziła należący do Himalajskiego Pogotowia Ratunkowego szpital w Pheriche, do którego trafiały zwożone z gór ofiary wszelkiego rodzaju wypadków i chorób – połamane kończyny, obrzęk płuc czy mózgu, odmrożenia, niewydolność pracy serca, dyzenteria, ślepotą śnieżną i wszelkiego rodzaju choroby zakaźne łącznie z wenerycznymi. Wyglądało na to, że nawet zarażonych rzeżączką czy chlamydia gna ambicją zdobywania Everestu.

Ale o co chodzi teraz? Na radiowym kanale ratunkowym nie odebrano żadnego wołania o pomoc. Zresztą z uwagi na rozrzedzenie powietrza śmigłowiec i tak nie mógłby polecieć dużo wyżej ponad bazę. Oznaczało to, że korzystanie z transportu powietrznego i tak wymagało znoszenia rannych z większych wysokości. Wszystkich nieszczęśników, którzy ulegli wypadkom powyżej 7600 metrów, z reguły zostawiano własnemu losowi, przez co górne partie Everestu stopniowo zamieniały się w cmentarzysko porzuconego sprzętu, pustych butli tlenowych i zwłok zmumifikowanych przez mróz.

Zmienił się dźwięk łoskotu wirników.

– Lecą do nas – orzekł Josh, zarządzając, by wszyscy schowali się w namiotach. Chciał, by miejsce pośrodku bazy, które służyło jako lądowisko dla helikopterów, było puste.

Czarny śmigłowiec obniżył się i zawisł nad ziemią, podrywając tuman piachu i kamyków. Puste opakowanie po snickersie przefrunęło tuż obok nosa Lisy, chorągiewki modlitewne gwałtownie furkotały na sznurze, jak i rozbiegały się w popłochu. Po tylu dniach górskiej ciszy hałas wydawał się ogłuszający.

B-2 osiadł na płozach tak lekko i z taką gracją, jakby nic nie ważył. Drzwi się otworzyły i wysiadło z niego dwóch mężczyzn. Jeden ubrany był w połowy mundur Królewskiej Armii Nepalu i trzymał zawieszony na ramieniu karabin automatyczny. Drugi, wyższy od niego, miał ogoloną głowę i ubrany był w przewiązaną w pasie luźną czerwoną szatę buddyjskiego mnicha.

Podeszli do dwóch Szerpów i wymienili kilka szybkich zdań w miejscowym dialekcie. Nastąpiła chwila gorączkowej gestykulacji, potem ramię jednego z Szerpów wyciągnęło się.

W stronę Lisy.

Mnich ruszył ku niej, obok kroczył nieodstępujący go żołnierz. Sądząc po kurzych łapkach wokół oczu, mnich miał pod pięćdziesiątkę, jego skóra była koloru kawy z mlekiem, a oczy jasnobrązowe.

Żołnierz miał skórę ciemniejszą i blisko osadzone oczy. Szedł, nie odrywając wzroku od dekoltu Lisy, która stała w rozpiętej kurtce. Najwyraźniej zafascynował go jej wystający spod puchowej kamizelki sportowy stanik.

W przeciwieństwie do niego mnich skromnie opuścił wzrok i z szacunkiem lekko skłonił głowę. Mówił doskonale po angielsku, z lekkim brytyjskim akcentem.

– Przepraszam, pani doktor, za najście, ale sytuacja jest wyjątkowa. Powiedziano mi w szpitalu HPR, że jest pani lekarką.

– Jestem – potwierdziła Lisa, lekko się krzywiąc.

– Niedaleko stąd, w klasztorze, wybuchła tajemnicza epidemia, która zaatakowała niemal wszystkich jego mieszkańców. Z sąsiadującej z klasztorem wioski wysłano człowieka, który szedł trzy dni do szpitala w Khunde. Mieliśmy



nadzieję, że uda nam się wysłać do klasztoru jednego z lekarzy HPR, ale z powodu lawiny w szpitalu brakuje rąk do pracy. I wtedy doktor Sorenson powiedziała mi o pani.

Lisa dobrze pamiętała przysadziłą Kanadyjkę. Kiedyś spędziły wieczór we dwie, z sześciopakiem carlsberga i dzbankiem słodkiej herbaty z mlekiem.

– Ale w czym ja mogę pomóc?

– Czy nie zechciałaby pani towarzyszyć mi do klasztoru? Wprawdzie znajduje się w głębi gór, ale można tam dolecieć helikopterem.

– A jak długo... – zaczęła i spojrzała niepewnie na Josha, który stanął obok.

Mnich pokręcił głową. Widać było, że jest zmieszany swoim natręctwem.

– Lot zajmie nam jakieś trzy godziny. Tylko nie wiem, co znajdziemy na miejscu – dodał i z zafrasowaną miną znów pokręcił głową.

– I tak jesteśmy uziemieni na resztę dnia. – Josh wzruszył ramionami. Po chwili jednak dotknął łokcia Lisy i przysunął się bliżej. – Ale powinienem polecieć z tobą – dodał.

Aż się zachnęła. Sama umie o siebie zadbać. Uprzedzono ją jednak, że od roku 1996 sytuacja polityczna w Nepalu jest napięta. Maoistowscy rebelianci prowadzili w górach wojnę partyzancką, której celem było obalenie monarchii konstytucyjnej i zastąpienie jej rządami komunistów. Znane były przypadki odcinania ofiarom kończyn sierpami. Wprawdzie formalnie obowiązywało teraz zawieszenie broni, to jednak od czasu do czasu zdarzały się brutalne napaści.

Spojrzała na groźnie wyglądający karabin na ramieniu żołnierza. Skoro nawet święty mąż potrzebuje zbrojnej eskorty, może powinna się zastanowić nad propozycją brata?

– Tylko, że ja... mam niewiele ponad apteczkę pierwszej pomocy i parę prostych instrumentów diagnostycznych – powiedziała niepewnie. – Nie jestem przygotowana na zajmowanie się poważnymi przypadkami, zwłaszcza u dużej grupy pacjentów.

Mnich pokiwał głową ze zrozumieniem i wyciągnął rękę w stronę pracującego na wolnych obrotach śmigłowca.

– Doktor Sorenson wyposażyła nas we wszystko, co może być potrzebne. Nie mamy zamiaru zabierać pani więcej niż jeden dzień. Pilot dysponuje telefonem satelitarnym, więc będziemy mogli przekazać wszystkie pani zalecenia. Może się zresztą okazać, że problem został już rozwiązany i przed wieczorem będziemy z powrotem.

Gdy wypowiadał ostatnie słowa, po jego twarzy przemknął cień i widać było, że sam w to nie wierzy. W jego głosie dało się wyczuć niepokój... może nawet strach.

Lisa westchnęła głęboko i wciągnęła do płuc haust rozrzedzonego powietrza, czując, że wcale ich nie wypełnia. Złożyła przecież przysięgę. A poza tym miała dość robienia zdjęć i chętnie zajęłaby się czymś konkretnym.

Mnich musiał chyba wyczytać coś z jej twarzy, bo powiedział z nadzieją w głosie:

– Więc zgadza się pani?

– Tak.

– Liso... – zaczął Josh ostrzegawczo.

– Dam sobie radę. Ty musisz zostać i tłumić bunt w ekipie. – Josh bezwiednie zerknął na Bostońskiego Boba i westchnął. – Więc sprawuj się dzielnie, póki nie wrócę.

Odwrócił się twarzą do niej. Widać było, że nie jest do końca przekonany, ale już nie próbował protestować.

– Tylko uważaj na siebie – powiedział z troską w głosie.

– Będą mnie strzegli najlepsi synowie Królewskiej Armii Nepalu.

Josh popatrzył na błyszczący od smaru karabin żołnierza.

– I to mnie właśnie niepokoi – mruknął. Spróbował obrócić to w żart i zakończył parsknięciem, ale zabrzmiało to jeszcze bardziej złowieszczo.

Wiedząc, że i tak nic więcej z niego nie wydusi, Lisa pospiesznie ucisnęła brata, wzięła z namiotu torbę lekarską i po chwili przemykała z pochyloną głową pod wirującą gilotyną śmigła. Wsiadła do śmigłowca i zajęła miejsce z tyłu.

Pilot nawet nie odwrócił głowy. Żołnierz usiadł na miejscu drugiego pilota, mnich, który przedstawił się jej jako Ang Gelu, dołączył do Lisy.

Założyła na uszy ochraniacze, ale i tak ryk silników był ogłuszający. Śmigłowiec zakołysał się szarpany przez wirnik, starający się wycisnąć z rozrzedzonego powietrza wystarczającą nośność. Łoskot silników osiągał poddźwiękowe rejestry. W końcu maszyna oderwała się od ziemi i zaczęła się wznosić ponad usłane kamieniami lądowisko.

Przyglądając się, jak śmigłowiec zatacza łuk nad sąsiednim wąwozem, Lisa czuła, że żołądek wciska jej się w samo dno jamy brzusznej. Przez boczne okienko przypatrywała się skupisku barwnych namiotów i kręcącym się wokół jakom. Dojrzała też sylwetkę brata. Stał z ręką uniesioną w pożegnalnym geście, choć może tylko tak jej się wydawało w blasku słońca. Obok niego stał Szerpa Taski, łatwo rozpoznawalny dzięki kowbojskiemu kapeluszowi.

Przypomniała sobie jego przepowiednię i poczuła w sercu lodowate ukłucie.

„Ten wiatr niesie śmierć”.

Nie była to w tych warunkach najmielsza myśl.

Wargi siedzącego obok mnicha poruszały się w cichej modlitwie. Wyglądał na zdenerwowanego... Może nie lubi latać, a może obawia się tego, co czeka ich w klasztorze.

Opadła na oparcie fotela. W uszach dźwięczały jej słowa Szerpy.

To rzeczywiście nie jest dobry dzień.

**6675 m n.p.m.**

**Godzina 9.13**

Wspinał się dnem głębokiej rozpadliny długimi miarowymi krokami. Jego raki wbijały się głęboko w śnieg i lód. Po bokach

strzelały w górę strome nagie skały, gdzieś tam ubarwione kępami porostów. Żleb piął się ostro w górę.

Wprost ku celowi jego wspinaczki.

Ubrany był w kombinezon w maskujące biało-czarne plamy. Na głowie miał czapkę z polaru, pół twarzy zakrywały gogle. Na plecach niósł ważący dwadzieścia jeden kilo plecak, do którego przypięty był czekan i lina.

Ekwipunek uzupełniał karabinek szturmowy Heckler & Koch, dodatkowy magazynek z dwudziestoma nabojami i torba z dwudziestoma granatami zapalającymi.

Nawet na tej wysokości nie potrzebował butli z tlenem. Od czterdziestu czterech lat góry były jego domem i zdążył przywyknąć do wysokości jak Szerpa, choć nie mówił ich językiem, a po jego oczach – jednym błękitnym jak lodowiec, drugim zupełnie białym – można było rozpoznać całkiem inne etniczne pochodzenie. Te niezwykle oczy stanowiły cechę wyróżniającą go równie zdecydowanie, jak tatuaż na jego ramieniu. Nawet spośród innych *Sonnenkönige*, Królów Słońca.

W zahaczonej na uchu słuchawce radiotelefonu zatrzeszczało.

– Dotarłeś już do klasztoru?

Dotknął dłonią gardła.

– Czternaście minut.

– Pamiętaj, wiadomość o wypadku nie może wydostać się na zewnątrz.

– Dopilnuję tego.

Oddychał przez nos spokojnie i miarowo. W tonie rozmówcy słyhać było władczość zmieszana ze strachem. Co za przejaw słabości. Między innymi dlatego tak rzadko bywał w *Granitschloss*, Granitowym Zamku. Wolał trzymać się na uboczu, do czego miał prawo.

Zresztą nikt go nawet nie prosił, żeby przeniósł się bliżej.

Zwracali się do niego tylko w sytuacjach nadzwyczajnych.

W słuchawce znów zatrzeszczało.

– Już niedługo będą w klasztorze.

Nie chciało mu się nawet odpowiadać, bo już słyszał narastający łoskot wirników. Dokonał w myślach szybkich obliczeń. Nie ma powodu do pośpiechu. Góry uczą cierpliwości.

Wyrównał oddech i rozpoczął łagodne zejście ku niewielkiemu skupisku kamiennych budynków z czerwoną dachówką. Klasztor Temp Och zbudowano w niecce na krawędzi urwiska, do której z dołu wiodła tylko jedna droga. Mieszkający tu mnisi i ich uczniowie nie musieli się specjalnie przejmować resztą świata.

Aż do wypadku, który miał miejsce trzy dni temu.

Jego rolą było posprzątanie po nim.

Łoskot wirników nadlatującego z dołu śmigłowca przybrał na sile, on jednak nie przyspieszył kroku. Ma mnóstwo czasu. Wolał zresztą, żeby tamci pierwsi weszli do klasztoru.

Będzie łatwiej ich wszystkich zabić.

## **Godzina 9.35**

Świat widziany z pokładu śmigłowca przypominał zamrożony negatyw. Studium kontrastów bieli i czerni. Śniegu i skał. Zamglonych szczytów i pogrążonych w mroku rozpadlin. Blasku porannego słońca odbijającego się od oblodzonych grani i pól lodowych, który raził oczy i groził śnieżną ślepotą.

Mrużąc powieki i chroniąc oczy przed blaskiem, Lisa patrzyła w dół. Komu chce się żyć na takim odludziu i w tak nieprzyjaznym środowisku? Dlaczego ludzie tak często uparcie trwają w ekstremalnych warunkach i nie chcą ich zamienić na łatwiejsze życie?

Musiała jednak przyznać, że nawet jej matka zadawała jej to samo pytanie. Dlaczego tak się naraża i męczy? Pięć lat spędzonych na pokładzie statku badawczego, potem rok wytężonego treningu i przyzwyczajanie się do trudów wysokogórskich wspinaczek, w końcu wyjazd do Nepalu

z zamiarem zdobycia Everestu. Po co tak ryzykować, skoro na wyciągnięcie ręki miała znacznie łatwiejsze życie?

Odpowiedź Lisy była zawsze tak samo prosta: bo lubi wyzwania. Legendarny himalaista George Mallory na pytanie, dlaczego wspina się na Everest odpowiedział. „Bo jest!”. Oczywiście prawdą było też to, że tej słynnej odpowiedzi udzielił nękany pytaniami namolnego dziennikarza. Zatem czy odpowiedź Lisy na gderanie matki nie była też czymś w rodzaju odruchu obronnego? Bo co tak naprawdę tu robi? Zwykle codzienne życie pełne było wystarczająco wielu wyzwań: jak związać koniec z końcem, jak zapewnić sobie pogodną starość, jak znaleźć kogoś, kogo da się pokochać, jak nie poddawać się przeciwnościom losu, jak dobrze wychować dzieci.

Na samą myśl o takim życiu Lisa aż się wzdragała. I czuła niepokój, wiedząc, co to naprawdę może oznaczać. Czy to możliwe, że szukam skrajności po to, żeby nie stawiać czoła wyzwaniom codziennego życia? Czy dlatego przez moje życie przewinęło się tak wielu mężczyzn i żaden nie został na dłużej?

Bo tak to wyglądało. Trzydziestotrzyletnia, samotna, bez perspektyw, uważająca badania naukowe za treść życia, a śpiwór za jedyne łóżko. Więc może lepiej pójść na całość, ogolić głowę i zamieszkać w jednym z tych górskich klasztorów?

Śmigłowcem zatrzęsło i rzuciło w górę.

Lisa wróciła myślami do teraźniejszości.

Cholera...

Wstrzymała oddech, patrząc, jak śmigłowiec z trudem przelatuje nad ostrą granią, a jego płozy niemal dotykają wysmaganego przez wichry lodowca, po czym spływa w ukazującą się za granią nieckę.

Zmusiła się do rozluźnienia palców kurczowo wczepionych w podłokietniki. Standard w postaci domu z trzema sypialniami na górze i dwa koma pięć dziesiątych dziecka na parę wydał jej się nagle znacznie bardziej atrakcyjny.

Siedzący obok Ang Gelu pochylił się do przodu i wsuwając rękę między przednie fotele, pokazał coś w dole. Coś

powiedział, ale jego słowa utonęły w łoskocie silników.

Lisa przytuliła policzek do szyby z pleksiglasu i spojrzała w dół. Pod nimi widać było pierwszy barwny fragment: skupisko dachów z czerwoną dachówką. Na płaskim dnie niecki otoczonej z trzech stron sześciotysięcznikami, a z czwartej ograniczonej stromym urwiskiem stało osiem niedużych kamiennych pawilonów.

Klasztor Temp Och.

Śmigłowiec gwałtownie obniżył lot. Lisa dojrzała po jednej stronie tarasowe poletko ziemniaków, po drugiej zagrody dla zwierząt i budynki gospodarcze, wszędzie jednak panował martwy bezruch. Nie widać było żadnego poruszenia wśród mieszkańców, nikt nie wyszedł na powitanie hałaśliwego przybysza.

Jeszcze bardziej złowieszczo wyglądały stadka kóz i błękitnych owiec bharali zamkniętych w niewielkich zagrodach. Żadne ze zwierząt nie poruszyło się i nie przestraszyło nadlatującego śmigłowca, co byłoby przecież naturalne. Wszystkie trwały nieruchomo, leżąc z podkurczonymi nogami i nienaturalnie skręconymi głowami.

Ang Gelu też to zauważył, bo opadł bezwładnie na oparcie i spojrzał na Lisę przerażony. Co tu się stało? Między pilotem a żołnierzem wywiązała się dyskusja na temat tego, co robić. Najwyraźniej pilot nie chciał lądować, jednak żołnierz położył dłoń na kolbie karabinu i to przeważało. Pilot skrzywił się i poprawił maskę tlenową, dociskając ją mocniej do nosa i ust. Zapewne nie z braku powietrza, lecz z obawy przed zarazą.

Mimo to wykonał polecenie i jeszcze bardziej obniżył maszynę. Skierował śmigłowiec jak najdalej od zagrody ze zwierzętami i wybrał miejsce lądowania na krawędzi pola uprawnego.

Pole wznosiło się tarasami ku górze, po bokach ograniczone było rzędami karłowatej roślinności. Wysokogórską uprawę ziemniaków wprowadzili tu Anglicy w początkach XIX stulecia i od tej pory ziemniaki stały się jednym z podstawowych płodów rolnych w tym rejonie świata. Płozy śmigłowca

z głośnym zgrzytem poszorowały po kamienistym podłożu, gniotąc przy okazji zasadzone rośliny. Podmuch powietrza od wirników przygiął do ziemi rosnące wokół kępy kosodrzewiny.

W dalszym ciągu nikt nie wyszedł, by ich powitać. Mając w pamięci leżące pokotem zwierzęta, Lisa zaczęła mieć wątpliwości czy w ogóle jest ktoś żywy, kogo da się uratować. Co tu się mogło stać? Przez głowę przemknęły jej różne sposoby przedostania się zarazków do organizmu: układ pokarmowy, oddechowy, dotyk. Może to jakaś epidemia? Potrzeba jej więcej danych.

– Niech pani na razie tu zostanie – zaproponował Ang Gelu, odpinając pasy. – Pójdziemy sprawdzić, co się dzieje w środku.

Lisa podniosła z podłogi torbę lekarską i pokręciła głową.

– Nie boję się chorych. A możecie natknąć się na pytania, na które tylko ja będę znała odpowiedź.

Ang Gelu skinął głową, powiedział coś do żołnierza i otworzył tylny właz. Wyskoczył na zewnątrz i wyciągnął rękę, by pomóc Lisie.

Do ciepłej kabiny wdarł się strumień zimnego powietrza, tłoczony dodatkowo przez pracujące wirniki. Lisa wciągnęła na głowę kaptur, czując, jak mroźny podmuch pozbawia jej płuca resztek tlenu zawartego w rozrzedzonym powietrzu. A może to nie brak tlenu ją dławi, tylko paralizujący strach? Jej buńczuczne słowa nie oddawały tego, co naprawdę czuła.

Wsparła się na wyciągniętej dłoni i mimo grubej wełnianej rękawicy, poczuła bijące od mnicha siłę i ciepło. Nie osłonił nawet swej łysej czaszki, jakby nie czuł lodowatych podmuchów.

Lisa wygramoliła się na zewnątrz, kuląc się w obawie przed wirującym śmigłem. Żołnierz wysiadł ostatni, pilot został w kabinie. Chociaż wykonał polecenie i wylądował, nie miał zamiaru dodatkowo ryzykować i opuszczać fotela za sterami.

Ang Gelu zatrzasnął drzwi i cała trójka ruszyła biegiem przez kartoflisko w stronę stojących kawałek dalej kamiennych pawilonów.



Teraz budynki wyglądały okazalej niż z powietrza, a ten stojący pośrodku miał dwa piętra i był przykryty spadzistym czerwonym dachem typowym dla pagód. Wszystkie ozdobiono bogato freskami w tęczyowych kolorach. Girlandy złotych liści zdobiły nadproża, z narożników dachów rozdziawiały paszcze smoki i mityczne stwory. Między poszczególnymi budynkami ciągnęły się zadaszone portyki, tworząc zamknięte dziedzińce i zakamarki. Na słupach widniały mandale pokryte starodawnymi napisami, a nanizane na sznury różnobarwne chorągiewki wściekle furkotały w podmuchach wiatru.

Chociaż z daleka całość wyglądała sielsko jak wysokogórskie Shangri-La, Lisa podświadomie zwolniła kroku. Nigdzie nie było śladu ruchu, większość okiennic była zamknięta. Panowała martwa cisza.

I do tego ta charakterystyczna woń wisząca w mroźnym powietrzu. Wprawdzie Lisa zajmowała się głównie pracą badawczą, to jako stażystka w szpitalu miała okazję wielokrotnie zetknąć się ze śmiercią. Cuchnących wyziewów, jakie towarzyszą procesom gnilnym, niełatwo się pozbyć i Lisa modliła się w duchu, by ich źródłem były tylko padłe zwierzęta w zagrodzie, jednak panująca wokół martwota nie pozwalała mieć złudzeń.

Ang Gelu szedł pierwszy, tuż za nim maszerował żołnierz i Lisa musiała przyspieszyć kroku, by nie zostać w tyle. Przeszli między pawilonami i skierowali kroki ku centralnej budowli.

Na dziedzińcu leżały narzędzia gospodarskie, porozrzucane w nieładzie, jakby w pośpiechu. Kawałek dalej leżał przewrócony na bok dwukołowy wóz z zaprzężonym do niego jakiem. Zwierzę miało rozdęty brzuch, zasze bielmem oczy spoglądały martwo, z pyska wystawał obrzmiały poczerniały jęzor.

Lisa zwróciła uwagę na to, że nie ma much ani żadnych innych insektów, jakie zwykle ciągną do padliny. Ale czy na tej wysokości w ogóle są muchy? Nie była pewna. Spojrzała w niebo. Nie latały po nim żadne ptaki, a jedynym dźwiękiem był monotonny szum wiatru.

– Tędy – ponaglił ją Ang Gelu.

Podszedł do głównego wejścia do centralnej budowli, która najwyraźniej była świątynią. Stwierdziwszy, że skobel nie jest zablokowany od środka, pchnął drzwi, które otworzyły się z głośnym zgrzytem zawiasów.

W progu natknęli się na pierwszy przejaw życia. Po obu stronach wejścia płonęły ogromne lampy maślane wielkości beczek, każda zaopatrzona w tuzin knotów. Fetor w środku był jeszcze silniejszy, co nie wróżyło niczego dobrego.

Teraz nawet żołnierz się zawahał i niepewnie przełożył automatyczny karabin z jednego ramienia na drugie, jakby miało mu to w czymś pomóc. Mnich jednak śmiało wkroczył do środka i wykrzyknął słowa powitania. Jego głos odbił się echem od pustych ścian.

Lisa podążyła za nim, żołnierz został na straży przy drzwiach.

Wnętrze rozświetlały dalsze lampy. Po obu stronach do ścian przytwierdzono ogromne młynki modlitewne, stojący zaś pośrodku dwuipółmetrowy posąg Buddy z drewna tekowego obstawiony był pachnącymi jałowcem świecami i pękami wonnych trociczek. Po bokach i nieco z tyłu stały rzędy innych świętych posągów.

Wzrok Lisy przywykał do mroku i powoli zaczęły wyłaniać się liczne malowidła ścienne i misternie rzeźbione drewniane mandale, z których migotliwe światło lamp wydobywało sceny pełne demonów. Z belek stropu zwisały lampy, jednak żadna z nich się nie paliła.

Ang Gelu znów coś zawołał.

Gdzieś wysoko nad ich głowami coś zaskrzypiało.

Ten niespodziewany dźwięk obojgu zmroził krew w żyłach. Żołnierz zapalił latarkę i oświetlił nią sklepienie. Światło wydobyło z mroku dziwaczne cienie, jednak nikogo nie dostrzegli.

Chwilę później znów usłyszeli skrzypnięcie deski w podłodze. Ktoś chodził na górze. Wprawdzie oznaczało to, że ktoś jednak przeżył, Lisa poczuła na plecach zimne dreszcze.

– Na górze jest pomieszczenie do samotnych medytacji – wyjaśnił Ang Gelu. – Tam w rogu są schody. Pójdę sprawdzić, wy zostańcie tutaj.

W pierwszej chwili Lisa była gotowa go posłuchać, jednak torba na ramieniu przypomniła jej o ciężarze lekarskiej odpowiedzialności. Była pewna, że zwierzęta w zagrodzie nie zginęły z ręki człowieka, jeśli więc jest ktoś, kto będzie mógł opowiedzieć, co się tutaj stało, powinna to jak najszybciej usłyszeć.

– Idę z panem – oświadczyła, poprawiając torbę na ramieniu.

Powiedziała to wprawdzie pewnym siebie głosem, ale puściła Ang Gelu przodem.

Mnich obszedł posąg Buddy i skierował się do widocznego w głębi wejścia z ciężką, przetykaną złotem brokatową zasłoną, za którą znajdował się korytarz prowadzący w głąb budynku. Było tu mroczno, bo przez zasłonięte okiennicami okna przedostawały się tylko pojedyncze promyki światła, jednak nawet w tak mizernym oświetleniu nie mogło być wątpliwości, co znaczą ciemnopurpurowe ślady na pobielonej ścianie.

Krew.

W głębi zauważyli wystające z otwartych drzwi i leżące w czarnej kałuży gołe nogi. Ang Gelu dał Lisie znak, że ma zawrócić do świątyni, lecz ona pokręciła głową i wyminęła go. Nie łudziła się, że zdoła udzielić pomocy leżącemu – na odległość było widać, że na to jest już za późno – ale ciekawość kazała jej zobaczyć, co się stało. Przeszła parę kroków i dotarła do drzwi.

Spojrzała w dół i aż się zatoczyła.

Poza odciętymi w połowie ud nagimi nogami nie było nic więcej. Zmusiła się, by zajrzeć w głąb izby, gdzie musiała wydarzyć się tragedia. Na środku leżało kilkanaście odciętych kończyn, które ktoś rzucił na stertę jak kawałki drewna na opał.

A potem zobaczyła odcięte głowy. Leżały ułożone równo pod ścianą i patrzyły na nią martwymi oczami, w których czaiło się jeszcze śmiertelne przerażenie.

Ang Gelu dołączył do niej i na widok tej krwawej jatki stanął jak wryty. Zaczął coś mamrotać pod nosem, ale nie wiedziała czy się modli, czy po cichu klnie.

Być może to jego szept spowodował, że w pomieszczeniu coś się poruszyło. Zza sterty kończyn wyłoniła się naga łyśa postać, cała ubrudzona krwią. Jeden z tutejszych mnichów.

Postać wydała z siebie dziki świszczący charkot szaleńca. Skąpe światło odbiło się w jego oczach, które rozbłysły jak u wilka.

Mnich ruszył ku nim, wlokąc po podłodze metrowej długości sierp. Lisa odskoczyła w głąb korytarza, ale Ang Gelu nawet nie drgnął. Uniósł obie dłonie na znak bezbronności i powiedział cichym, uspokajającym tonem:

– Relu Na. Relu Na.

Lisa domyśliła się, że zwraca się do niego po imieniu, które widać zapamiętał z poprzednich wizyt w klasztorze. Prosty zabieg wypowiedzenia na głos imienia jakby uczłowieczył szaleńca, ale jednocześnie jeszcze bardziej podkreślił grozę sytuacji.

Mnich z dzikim wrzaskiem rzucił się na pobratymca, ale Ang Gelu uchylił się przed ciosem sierpem. Szaleniec musiał być w równym stopniu osłabiony umysłowo co fizycznie, bo Ang Gelu bez trudu złapał go za ramiona i przyparł do framugi drzwi.

Lisa szybko się opanowała, zdjęła z ramienia torbę, rozpięła kieszeń i wyciągnęła metalowe pudełko. Nacisnęła wieczko kciukiem i otworzyła.

W środku znajdował się zestaw gotowych do użycia plastikowych strzykawek, napełnionych różnego rodzaju środkami: morfiną dla uśmierzania bólu, epinefryną na anafilaksję, lasiksem na duszności. Były opisane, ale ona i tak знаła na pamięć ich rozmieszczenie. W sytuacjach awaryjnych liczy się każda sekunda. Wyjęła pierwszą z brzegu strzykawkę.

W środku był midazolam – środek uspokajający. Ataki szaleństwa i halucynacje na tych wysokościach zdarzały się dość często i pomoc farmakologiczna bywała niezbędną.

Zębami ściągnęła nasadkę z igły i ruszyła ku drzwiom.

Ang Gelu wciąż przypierał mnicha do framugi, choć ten cały czas wściekle walczył. Szarpał się i wyrywał i zdołał już swemu prześladowcy rozciąć wargę i podrapać szyję.

– Trzymaj go mocno! – krzyknęła.

Ang Gelu starał się jak mógł, ale w tym momencie – być może wyczuwając zamiary kobiety – szalenie szarpnął się do przodu i wbił zęby w policzek Anga Gelu.

Mnich zawył z bólu, czując, jak zęby docierają aż do kości.

Mimo to nie pozwolił mu się wyrwać.

Lisa skoczyła na pomoc, wbiła igłę w kark szaleńca i wcisnęła tłoczek.

– Możesz go puścić!

Ang Gelu odepchnął mnicha z taką siłą, że jego głowa uderzyła o framugę. Oboje się cofnęli.

– Środek zadziała za niecałą minutę.

Lisa wolałaby go podać dożylnie, ale dzikie skoki szaleńca zupełnie to wykluczały i musiała się zadowolić wstrzyknięciem leku domięśniowo. Kiedy trochę się uspokoi, będzie mogła podjąć dalsze zabiegi, a może uda jej się też wycisnąć z niego jakieś informacje.

Czując piekący ból, mnich zawył i zaczął rozcierać sobie kark. Potem schylił się po sierp, wyprostował i runął w ich stronę.

Lisa pociągnęła Anga Gelu do tyłu.

– Czekał, zaraz mu...

Huknęło.

Odgłos wystrzału w ciasnej izbie prawie ich ogłuszył, a głowa mnicha wręcz eksplodowała fontanną krwi i odłamków kości. Impet pocisku odrzucił go w tył i jego ciało runęło bezwładnie na podłogę.

Lisa i Ang Gelu przerażeni rozejrzeli się za strzelcem.

Kilka kroków od nich z karabinem przyłożonym do ramienia stał ich nepalski żołnierz. Spiorunowany wzrokiem, powoli go opuścił i w milczeniu wysłuchał potoku słów, jakie wylał na

niego Ang Gelu, który z trudem się powstrzymał, by nie wyszarpnąć mu broni.

Lisa pochyliła się nad ciałem i zbadła puls. Brak było jakichkolwiek oznak życia. Przyjrzała się leżącym zwłokom, jakby szukając odpowiedzi w ich wyglądzie, wiedziała jednak, że do ustalenia przyczyn ataku szaleństwa potrzebna jest sekcja, i to z użyciem najnowszych metod medycyny sądowej. Z informacji przekazanych przez posłańca wynikało, że problem, jaki zaistniał w klasztorze, nie dotyczył jednego przypadku. Reakcja pozostałych jego mieszkańców musiała być mniej więcej podobna.

Ale reakcja na co? Czyżby do organizmów mnichów przedostały się jakieś metale ciężkie, na przykład w wodzie pitnej? Albo pojawiły się jakieś trujące gazy? A może zadziałały toksyny ze zleżalego zboża? Jakiś wirus podobny do eboli? A nawet zmutowana postać choroby szalonych krów? Lisa nie wiedziała, czy wirus ten może być groźny dla jaków. Pamiętała rozdęte zwłoki zwierząt, ale nic z tego nie wynikało.

Dołączył do niej Ang Gelu. Miał głęboko rozorany krwawiący policzek, ale mnich zdawał się nie zwracać uwagi na ból. Sprawiał wrażenie, jakby dużo bardziej cierpiał z powodu śmierci szaleńca.

– Nazywał się Relu Na Havarshi.

– Znał go pan?

Kiwnięcie głowy.

– Był kuzynem męża mojej siostry. Pochodził z małej wioski w Raise. Dał się omamić maoistowskim buntownikom, ale nie mógł się pogodzić z ich coraz większą brutalnością i uciekł. Dla maoistów to zdrada karana śmiercią. Pomogłem mu się ukryć i znalazłem miejsce w tym klasztorze... tu jego dawni kompani nigdy by go nie znaleźli. Miał tu mieć spokój, który pozwoli mu dojść do siebie... W każdym razie o to się modliłem. Teraz będzie musiał sam odnaleźć drogę do spokoju.

– Przykro mi.

Lisa wyprostowała się. Przypomniała sobie stertę odciętych kończyn w pomieszczeniu obok. Czy szaleństwo wyzwoliło

w nim pourazowy szok, który spowodował odtworzenie najbardziej traumatycznej sytuacji?

Nad ich głowami znów zaskrzypiała podłoga.

Wszyscy troje spojrzeli w górę.

Zdążyła już zapomnieć, po co tu w ogóle weszli. Ang Gelu wskazał wąskie schody prowadzące z korytarza tuż obok zasłoniętego kotarą przejścia do sali modlitw. Wcześniej ich nie zauważyła. Zresztą bardziej przypominały drabinę niż schody.

– Sprawdzę na górze – powiedział.

– Nie, trzymajmy się razem – zaproponowała. Sięgnęła do torby i napełniła nową strzykawkę środkiem uspokajającym. – Tylko niech pan uważa, żeby temu kowbojowi znów nie zachciało się strzelać.

Pierwszy wszedł na górę żołnierz. Rozejrzał się i dał im znak, że mogą iść za nim. Pomieszczenie na górze było zupełnie puste i tylko w jednym z narożników leżała sterta cienkich poduszek. Pachniało żywicą, z dołu dolatywała woń trociczek.

Żołnierz wycelował w drewniane drzwi w głębi. W smudze migotliwego światła przedostającego się przez szparę przy podłodze coś się ruszało.

Za drzwiami ktoś był.

Ang Gelu podszedł i zapukał.

Skrzypienie ustało.

Zawołał coś głośno. Lisa nie zrozumiała, co powiedział, ale osoba za drzwiami najwyraźniej tak, bo dało się słyszeć skrzypnięcie podłogi i szcęk zasuwki. Drzwi lekko się uchyliły i zapadła cisza.

Ang Gelu wyciągnął rękę.

– Ostrożnie – szepnęła Lisa, zaciskając dłoń na strzykawce będącej jej jedyną bronią.

Stojący obok żołnierz ścisnął mocniej karabin.

Ang Gelu pchnął drzwi, otwierając je na oścież. Izba była wielkości garderoby. W rogu stało nieposłane łóżko, na stoliku paliła się lampka olejowa. Powietrze przesycone było dławiącym smrodem fekaliów, który dobywał się z niczym niezasłoniętego naczynia w nogach łóżka. Widać było, że osoba

przebywająca w tym pomieszczeniu nie opuszczała go od wielu dni.

W kącie stał starzec odwrócony do nich plecami. Tak jak Ang Gelu miał na sobie czerwoną szatę mnicha, tyle że poplamioną i podartą. Była podwinięta i obwiązana wokół ud, ukazując gołe nogi. Nie zwracając na nich uwagi, starzec malował coś na ścianie, a właściwie mazał po niej palcami jednej dłoni.

Palce miał umoczone we własnej krwi.

Kolejny szalenciec.

W drugiej ręce trzymał krótki sztylet, a na obu jego nogach widać było liczne ślady krwawiących nacięć. Nie zwrócił uwagi na wchodzących i ani na chwilę nie przerwał swego zajęcia.

– Lamo Khemsar – odezwał się Ang Gelu. W jego głosie była troska, ale i nieufność.

Lisa stanęła obok ze strzykawką w wyciągniętej dłoni. Ang Gelu spojrział na nią, ona kiwnęła głową i ruchem ręki powstrzymała żołnierza. Nie może dopuścić do powtórki dramatu z dołu.

Lama Khemsar odwrócił się twarzą do nich. Skórę miał obwisłą, oczy szkliste i nieprzytomne, ale w migotliwym świetle lampki widać było rumieńce na policzkach. Były aż nazbyt wyraźne, jak u człowieka w gorączce.

– Ang Gelu – mruknął starzec, nie odrywając wzroku od bohomasów, którymi zdążył już pokryć wszystkie ściany celi. Znieruchomiał z wyciągniętym przed siebie, zakrwawionym palcem, jakby chciał bezzwłocznie powrócić do przerwane go zajęcia.

To uspokoiło Anga Gelu. Będący przełożonym klasztoru starzec najwyraźniej nie stracił do końca kontaktu z rzeczywistością, a to pozwalało mieć nadzieję, że uda się uzyskać odpowiedzi na podstawowe pytania. Podeszedł bliżej i powiedział coś w nepali.

Mnich skinął głową potakująco, ale widać było, że myślami jest przy swoich krwawych malunkach. Lisa rozejrzała się po izbie. Stwierdziła, że ściany pokryte są powtarzającymi się seriami identycznych znaków.



## 5GND I LAM4M44M

Przekonana, że nie są to nic nieznaczące bohomy, sięgnęła do torby, wyjęła aparat i nie unosząc go do oczu, skierowała obiektyw na ścianę. Nacisnęła przycisk, zapominając niestety o fleszu.

Celę wypełnił oślepiający błysk.

Starzec krzyknął rozpaczliwie i zaczął na oślepiec wymachiwać sztyletem. Ang Gelu odskoczył, jednak nie on był celem ataku. Wrzeszcząc z przerażenia, lama Khemsar zamachnął się i przeciągnął sztyletem po swoim gardle. Purpurowa kreska szybko zamieniła się w otwartą pulsującą ranę, z której buchnęła krew. Sztylet musiał przeciąć krtań, bo we krwi pojawiły się pęcherzyki powietrza.

Ang Gelu rzucił się do przodu i wytrąciwszy sztylet z ręki starca, wziął go w objęcia i ostrożnie posadził na podłodze. Leżąca się z rany krew wsiąkała w jego szatę.

Lisa rzuciła aparat i torbę na podłogę i pospieszyła z pomocą. Ang Gelu próbował tamować krew, uciskając ranę, ale wszelkie wysiłki były daremne.

– Pomóż mi go ułożyć na podłodze! – krzyknęła. – Trzeba udrożnić...

Ang Gelu pokręcił głową. Wiedział, że już nic nie da się zrobić. Nie wypuszczając starca z objęć, zaczął go lekko kołysać. Sygnalizowany malejącymi porcjami pęcherzyków powietrza, oddech ранego praktycznie ustał. Podeszły wiek, ubytek krwi i odwodnienie robiły swoje. Lama Khemsar odchodził z tego świata.

– Tak mi przykro – szepnęła Lisa. – Pomyślałam... – omiotła ręką ściany – ...że to może być coś ważnego.

Ang Gelu pokręcił głową.

– To tylko bazgroły. Bohomy szaleńca.

Nie bardzo wiedząc co zrobić, Lisa wyciągnęła z torby stetoskop i przyłożyła go do piersi starca. Chciała choć trochę

zagłuszyć w sobie poczucie winy i próbować jeszcze coś zrobić. Wsłuchiwała się jednak na próżno. Serce rannego przestało bić. Pod stetoskopem wyczuła na skórze jakieś zgrubienia. Delikatnie odchyliła nasiąkniętą krwią szatę starca i obnażyła jego klatkę piersiową.

Ang Gelu spojrział w dół i zadrżał.

Wyglądało na to, że lama Khemsar nie ograniczył się do pokrywania znakami ścian celi i kolejny symbol wyrył sobie na skórze. Nie było wątpliwości, że symbol został wycięty tym samym sztyletem i tą samą ręką. Tyle że w odróżnieniu od tajemniczych znaków na ścianach, krzyża o zgiętych ramionach nie sposób było nie rozpoznać.



Swastyka.

Nim zdążyli cokolwiek powiedzieć, budynkiem wstrząsnął pierwszy wybuch.

## **Godzina 9.55**

Obudził się ogarnięty paniką.

Huk pioruna wytrącił go z otępienia. Nie, to nie piorun, to eksplozja. Z niskiego pułapu posypały mu się na głowę drobiny tynku. Usiadł zdezorientowany, próbując uzmysłowić sobie, co się z nim dzieje. Całe pomieszczenie lekko wirowało. Rozejrzał się i zrzucił z siebie brudny wełniany koc. Siedział na prycy, ubrany tylko w płócienną przepaskę na biodrach. Spróbował unieść rękę. Drżała. W ustach czuł dziwny smak i choć

w pomieszczeniu panował półmrok, bolały go oczy. Ciałem wstrząsnął nagły paroksyzm dreszczy.

Nie umiał określić, gdzie ani nawet kiedy się to wszystko dzieje.

Spuścił nogi z pryczy i spróbował stanąć. Świat zawirował i ponownie pociemniało mu w oczach. Opadł na pryczę i pewnie znów zapadłby się w niebyt, gdyby nie poderwał go odgłos serii z broni maszynowej. Gdzieś bardzo blisko. Jedna krótka seria i cisza.

Podjął jeszcze jedną próbę, tym razem z większą determinacją. Wlokąc się ku drzwiom, poczuł, że wraca mu pamięć. Oparł się o ścianę i trzymając się ręką framugi, drugą sięgnął do klamki.

Drzwi były zamknięte.

## **Godzina 9.57**

– To był nasz helikopter – powiedział Ang Gelu. – Wysadzili go.

Lisa stała przy wysokim oknie. Usłyszawszy chwilę wcześniej grzmot eksplozji, zwolnili blokady okiennic i otworzyli je na oścież. Żołnierz, któremu wydało się, że widzi jakiś ruch na dziedzińcu, wystrzelił krótką serię, ale nikt nie odpowiedział ogniem.

– Może to sam pilot? – zastanowiła się Lisa. – Może coś stało się z silnikiem i musiał się ewakuować.

Żołnierz ukląkł przy oknie w pozycji strzeleckiej i oparłszy kolbę o parapet, przyłożył oko do lunety i zaczął przez nią przepatrywać teren.

Ang Gelu wyciągnął rękę w kierunku słupa smoliście czarnego dymu, który bił w niebo za kartofliskiem. Dokładnie tam, gdzie zostawili śmigłowiec.

– Nie wierzę, że to była zwykła usterka techniczna – oświadczył z przekonaniem.

– To co my teraz zrobimy? – zmartwiła się Lisa. Czy helikopter wysadził w powietrze kolejny oszalały mnich? A jeśli tak, ilu jeszcze takich szaleńców kręci się po klasztorze? Wciąż miała przed oczami bestię w ludzkim ciele wymachującą sierpem i szaleńca podrzynającego sobie gardło... Co się tu, u diabła, dzieje?

– Musimy uciekać – powiedział Ang Gelu.

– Jak i dokąd?

– Dzień marszu stąd jest kilka osad i pojedynczych chałup. Nie wiem, co się tutaj wydarzyło, ale we trójkę na pewno sobie z tym nie poradzimy.

– Co z resztą mieszkańców klasztoru? Może nie na wszystkich podziałało to tak jak na pańskiego krewnego. Czy nie należy spróbować im pomóc?

– Przede wszystkim odpowiadam za pani bezpieczeństwo, pani doktor. Ponadto trzeba koniecznie zawiadomić władze.

– A jeśli to, co się tu stało, to jakaś epidemia? Ruszając się stąd, możemy ją przenieść na innych.

– Zniszczenie helikoptera oznacza – rzekł mnich, pocierając lekko swój zmasakrowany policzek – że nie mamy żadnych środków łączności. Więc jeśli tu zostaniemy, umrzemy jak tamci... a świat nawet o tym nie usłyszy.

To ją przekonało.

– Póki nie dowiemy się czegoś więcej, ograniczymy kontakt z otoczeniem do minimum – ciągnął mnich. – Sprowadzimy pomoc, ale zachowamy dystans.

– Bez żadnego fizycznego kontaktu.

– Sytuacja uzasadnia podjęcie takiego ryzyka – przytaknął mnich.

Lisa wolno pokiwała głową i popatrzyła na słup czarnego dymu na błękitnym niebie. Pewnie znaczyło to, że jeden z ich ekipy nie żyje. Trudno było ocenić liczbę ofiar wśród mieszkańców klasztoru, ale jeśli został jeszcze ktoś przy życiu, eksplozja na pewno pobudzi go do działania. Jeśli mają uciekać, należy to zrobić jak najszybciej.

– Ruszamy – zdecydowała.

Ang Gelu powiedział coś rozkazująco do żołnierza, a ten kiwnął głową i z bronią gotową do strzału opuścił posterunek przy oknie.

Lisa obrzuciła ostatnim spojrzeniem celę i zwłoki mnicha. Obawiała się, że jeśli panująca w klasztorze choroba jest zakaźna, mogli się nią zarazić. Zmierzając do wyjścia, zaczęła analizować swoje samopoczucie. W ustach czuła suchość, bolały ją mięśnie szczęk, miała przyspieszone tętno. Tyle że wszystko to mogło być skutkiem stresu i stanowić naturalną reakcję organizmu człowieka, który staje przed wyborem „walczyć czy walczyć”. Dotknęła ręką czoła. Było zroszone potem, ale nie rozpalone. Odetchnęła głęboko, starając się uspokoić i uwolnić od ponurych myśli. Nawet jeśli choroba jest zakaźna, okres inkubacji musi trwać dłużej niż godzinę.

Przeszli przez salę z posągiem Buddy; wpadające przez uchylone drzwi światło dzienne raziło w oczy.

Pierwszy wysunął się na zewnątrz żołnierz. Przez dłuższą chwilę rozglądał się po dziedzińcu i dopiero wtedy dał im znak ręką, że wszystko w porządku. Lisa i Ang Gelu również wyszli.

Lisa szybko przebiegła wzrokiem ciemne zakamarki, ale nigdzie nie dostrzegła żadnego podejrzanego ruchu. Wszędzie panowała martwa cisza.

Niestety, niezbyt długo.

Potężna detonacja w pawilonie po drugiej stronie dziedzińca rzuciła ją na ziemię. Przeturlała się na bok i uniósłszy głowę, spojrzała za siebie.

Widać było słup ognia i fruwające w powietrzu dachówki. Z obu wyrwanych okien wystrzeliły ogromne ogniste kule, a w miejsce rozerwanych na kawałki drzwi pojawiły się kłęby dymu i płomienie. Nad ich głowami przetoczyła się fala takiego żaru, jakby ktoś tuż obok otworzył klapę pieca hutniczego.

Podmuch towarzyszący eksplozji powalił stojącego parę kroków dalej żołnierza i przewrócił na plecy. Dzięki temu, że kurczowo zacisnął palce na skórzanym pasku, udało mu się nie wypuścić z rąk karabinu. W gradzie lecących z nieba kawałków dachówek zaczął niezgrabnie wstawać.

Ang Gelu również wstał i podał rękę Lisie.

I w tym momencie został trafiony.

Ponad hurgot spadających dachówek i hałas buchającego ognia wybił się głośniejszy pojedynczy huk. Wystrzał z broni palnej. Górna część twarzy mnicha zamieniła się w krwawą miazgę.

Lisa nie miała wątpliwości, że tym razem to nie sprawka ich ochroniarza.

Jego karabin zwisał bezwładnie na ramieniu, a on sam próbował zasłaniać się przed spadającymi odłamkami dachówek. Zachowywał się tak, jakby w ogóle nie usłyszał strzału, i dopiero gdy zobaczył padającego Anga Gelu, dotarło do niego, co się stało. Zareagował tak, jak go tego uczono: zrobił gwałtowny unik w prawo, padł na ziemię i podczołgał się do ściany najbliższego budynku, jednocześnie wykrzykując coś niezrozumiale do Lisy.

Ta zaczęła cofać się na czworakach w stronę wejścia do świątyni. Rozległ się kolejny huk wystrzału i tuż obok od bruku dziedzińca odbił się pocisk, krzesząc snop iskier. Lisa jednym susem pokonała próg i wpadła w mroczne wnętrze świątyni.

Wystawiając ostrożnie głowę przez drzwi, przyglądała się poczynaniom żołnierza, który czołgał się wzdłuż ściany, pilnując się, by nie wejść w pole ostrzału.

Wstrzymując oddech, zaczęła się rozglądać, wodząc szeroko otwartymi oczami po dachach i oknach pawilonów. Kto strzelał do Anga Gelu?

Po chwili go zobaczyła.

W kłębach dymu wydobywających się z pawilonu po drugiej stronie dziedzińca mignęła jakaś sylwetka. Zauważyła też odblask płomieni na metalu broni przebiegającego. Snajper opuścił swoją dotychczasową pozycję i widać szukał teraz lepszego miejsca.

Lisa wyślizgnęła się na zewnątrz i modląc się, by snajper jej nie wypatrzył, machnęła ręką i krzyknęła do żołnierza, który opierając się plecami o ścianę, wolno sunął w stronę świątyni.

Jego wzrok i karabin skierowane były na dach i najwyraźniej nie zauważył manewru snajpera.

– Uciekaj! – krzyknęła.

Nie знаła języka nepali, ale panika w jej głosie nie wymagała tłumacza. Żołnierz spojrział na nią, a ona ponagliła go ruchem ręki, starając się pokazać na migi, którądy pobiegł snajper. Nie wiedziała natomiast, gdzie jest teraz i czy zajął już nową pozycję.

– Biegnij! – wrzasnęła.

Żołnierz zrobił krok w jej stronę, ale błysk, jaki się w tym momencie ukazał za jego plecami świadczył o tym, że źle oceniła sytuację. Snajper nie szukał nowej pozycji strzeleckiej. Z okna, pod którym stał żołnierz, strzeliły płomienie. Kolejny granat...

O Boże...

Wybuch dopadł żołnierza w pół kroku. Drzwi za jego plecami wyleciały w fontannie płonących drzazg i runęły na niego w momencie, gdy podmuch wybuchu uniósł go w powietrze i cisnął na środek dziedzińca. Runął bezwładnie na twarz i poszorował po bruku.

Potem znieruchomiał i już się nie poruszył, mimo że jego mundur zaczął się palić.

Lisa wpadła do świątyni i nie spuszczając wzroku z wejścia, zaczęła się cofać ku przejściu za posągiem Buddy. Nie miała żadnego planu, bo prawdę powiedziawszy, z trudem udawało jej się zebrać myśli.

Jednego była pewna: Ang Gelu i żołnierza nie zamordował mnich w ataku szału. Działania zabójcy były zbyt precyzyjnie zaplanowane i wykonane.

Teraz została już tylko ona.

Zajrzała ostrożnie do korytarzyka, ale poza zakrwawionymi zwłokami Relu Na nie było w nim nikogo. Gdyby udało jej się dotrzeć do ciała i zabrać sierp... przynajmniej nie byłaby tak zupełnie bezbronna...

Wślizgnęła się do środka.

Nie zdołała postawić drugiego kroku, gdy tuż za nią wyrosła jakaś postać. Naga ręka złapała ją od tyłu i ścisnęła za szyję, czyjś chrapliwy głos tuż przy uchu powiedział:

– Nie ruszaj się.

Lisa nigdy nie należała do osób potulnie wykonujących polecenia i tym razem nie było inaczej. Niemal odruchowo machnęła łokciem i z całej siły walnęła napastnika w brzuch.

Usłyszała miłe dla ucha „uff”, ręka puściła jej szyję i napastnik zwinął się bólu, pociągając za sobą ciężką haftowaną kotarę zasłaniającą wejście.

Lisa odwróciła się do tyłu sprężona i gotowa rzucić się do ucieczki.

Nie licząc przepaski na biodrach, mężczyzna był zupełnie nagi. Miał skórę brązową od słońca i miejscami pokrytą starymi bliznami, długie czarne włosy opadały mu na twarz, częściowo ją zasłaniając. Wyglądem i atletyczną budową bardziej przypominał amerykańskiego Indianina niż tybetańskiego mnicha.

Może przez tę przepaskę na biodrach...

Mężczyzna westchnął i spojrział na nią jasnoblękitnymi oczami, w których tańczyły refleksy płomienia lampy.

– Coś ty za jeden? – warknęła Lisa.

– Painter – stęknął mężczyzna. – Painter Crowe.



## 2

# BIBLIA DARWINA

**Kopenhaga, Dania**

**16 maja, godzina 6.05 czasu miejscowego**

Dlaczego koty tak upodobały sobie antykwariaty?

Komandor Grayson Pierce rozgryzł kolejną tabletkę claritine i wyszedł z hotelu na Nyhavn. Wczorajsze szperanie w bibliofilskich zasobach Kopenhagi zawiodło go do kilku najważniejszych antykwariatów miasta i w każdym z nich napotkał wyliniałe kocury, które wyraźnie czuły się jak u siebie w domu, wylegając się na kontuarach i łażąc po regałach pełnych kurzu i parciejącej skóry.

Do teraz musiał zмагаć się z kichaniem. A może to jednak początki przeziębienia? Wiosna w Kopenhadze okazała się wilgotna i zimna jak zima w Nowej Anglii. Nie był na to przygotowany i zabrał z sobą zbyt lekkie rzeczy.

Teraz miał na sobie sweter kupiony w absurdalnie drogim butik w pobliżu hotelu. Golf z grubej owczej wełny w kolorze naturalnym, bez żadnych wzorów. Gryzący jak diabli, ale przynajmniej chroniący przed przenikliwym porannym chłodem. Choć od świtu minęła już godzina, blade słońce na szarym niebie nie zapowiadało większego ocieplenia. Drapiąc się co chwila po szyi, ruszył w stronę dworca głównego.

Jego hotel zbudowano nad jednym z kanałów. Po obu stronach ciągnęły się rzędy kolorowych domów ze sklepami, pensjonatami i prywatnymi mieszkaniami, przypominając atmosferą Amsterdam. Na wodzie cumowała zbieranina

wszelkiego rodzaju sprzętu pływającego – od zdezelowanych, płaskodennych łodzi przez kolorowe stateczki wycieczkowe po dostojne drewniane szkunery i wymuskane białe jachty. Przechodząc obok jednego z nich, Gray pokręcił głową. Jacht wyglądał jak pływający tort weselny. Mimo wczesnej pory kręciło się już trochę obwieszonych aparatami i kamerami turystów. Spacerowali wzdłuż brzegu i wchodzili na mostki, cały czas zawzięcie pstrykając.

Gray przeszedł przez kamienny mostek na drugą stronę i ruszył nabrzeżem kanału. Po kilkudziesięciu metrach stanął i wychylił się przez balustradę. Woda w kanale była tak nieruchoma, że w dole dojrzał swoje odbicie. Patrzyła na niego twarz ojca ze smolistoczarnymi włosami, jasnobłękitnymi oczami i lekko zakrzywioną bruzdą na brodzie – kanciasta twarz, zdradzająca walijskie pochodzenie. Nie było wątpliwości, że jest synem swego ojca. Ostatnio dużo o tym myślał i spędzało mu to sen z powiek.

Co jeszcze, poza fizycznym podobieństwem, odziedziczył po ojcu?

Para czarnych łabędzi zmąciła spokojną toń i zniekształciła odbicie. Płynęły w stronę mostka majestatycznie wyprostowane, rozglądając się obojętnie.

Idąc za ich przykładem, Gray wyprostował się i pod pozorem fotografowania rzędu zacumowanych łodzi przyjrzał się uważnie mostkowi, przez który przed chwilą przeszedł. Szukał kogoś niepasującego do reszty, jakiejś znajomej twarzy, czegoś podejrzanego. To jedna z zalet mieszkania w hotelu nad kanałem. Mostki stanowią idealne miejsce do sprawdzenia, czy nie jest się śledzonym. Przechodząc na drugą stronę kanału, zmuszał kogoś idącego za nim do wyjścia na otwartą przestrzeń. Stał tak dobrą minutę, starając się zapisać w pamięci twarze i chód ludzi na mostku. Potem ruszył dalej.

Miał tu do wykonania dość banalne zadanie i jego zachowanie wynikało bardziej z przyzwyczajenia niż rzeczywistej potrzeby, ale noszona na szyi pamiątka przypominała mu o tym, że czujność należy zachowywać

zawsze. Był nią łańcuszek z talizmanem w postaci małego srebrnego smoka, który dostał od agentki strony przeciwnej. Nosił go ku pamięci i przestrodze.

Poczuł w kieszeni wibrację. Wyjął telefon i otworzył klapkę. Kto może dzwonić o tak wczesnej porze?

– Pierce – rzucił.

– Gray. Jak dobrze, że cię złapałam.

Dobrze znane ciepło jej głosu od razu poprawiło mu humor. Na jego napiętej twarzy pojawił się uśmiech.

– Rachele? – Zwolnił nieco kroku. – Coś się stało?

Rachele Verona była główną przyczyną, dla której poprosił o przydzielenie zadania, które zawiodło go na drugą stronę Atlantyku. Choć śledztwem tym można było bez trudu obarczyć szeregowego agenta Sigmy, podróż do Danii dawała doskonałą okazję do spotkania z piękną, ciemnowłosą porucznik karabinierów. Poznali się rok temu przy okazji toczącej się w Rzymie sprawy<sup>1</sup>, i od tamtej pory oboje używali przeróżnych pretekstów, by móc się spotkać. Nie było to łatwe. Jej praca wiązała ją na stałe z Europą, jego pozycja w Sigmie drastycznie ograniczała możliwość wyjazdów z Waszyngtonu. Od ich ostatniego spotkania upłynęło niemal osiem tygodni.

Zdecydowanie za długo.

Gray wciąż miał w pamięci ich ostatnie spotkanie w willi w Wenecji – jej sylwetkę na tle otwartych drzwi balkonowych, skórę lśniącą złociście w promieniach zachodzącego słońca. Cały wieczór spędzili w łóżku. Pamiętał cynamonowo-czekoladowy smak jej ust, upajający zapach wilgotnych włosów, żar jej oddechu na szyi i jej ciche jęki, splecione ciała, jedwabisty dotyk...

Miał nadzieję, że nie zapomniła zabrać z sobą tego czarnego body.

– Mój lot jest opóźniony – powiedziała, przerywając marzenia brutalną prozą życia.

– Co? – Zatrzymał się nad kanałem, nie potrafiąc ukryć zawodu.

– Przesadzili mnie na KLM. Ląduję o dwudziestej drugiej.

Skrzywił się. To oznacza odwołanie romantycznej kolacji w St. Gertruds Kloster, eleganckiej restauracji w podziemiach średniowiecznego klasztoru. Stolik musiał zarezerwować z tygodniowym wyprzedzeniem.

– Przepraszam – bąknęła Rachele, przerywając ciszę.

– Nie... nic się nie stało. Bylebyś doleciała. Tylko to się liczy.

– Wiem. Tak strasznie za tobą tęsknię.

– Ja też.

Aż się skrzywił, tak sucho to zabrzmiało. W jego sercu działo się dużo więcej, ale nie potrafił wyrazić tego słowami. Dlaczego wciąż się to powtarza? Za każdym razem swój pierwszy wspólny dzień tracili na przełamywanie tkwiącej w obojgu sztywności, czegoś na kształt wstydu. Czym innym było wyobrażanie sobie, jak na powitanie padną sobie w ramiona, czym innym twarda rzeczywistość. Przez kilka pierwszych godzin byli dla siebie jak obcy, których coś łączyło w przeszłości. Oczywiście od pierwszej chwili przytulali się, całowali, mówili czułe słowa, ale rozbudzenie głębszych emocji wymagało czasu. Całych godzin, które spędzali na wypełnianiu luk w znajomości swych losów po obu stronach Atlantyku. A także, co ważniejsze, na odnajdywaniu wewnętrznego rytmu – wzajemnego ciepła, które musiało dopiero rozjarzyć się płomieniem prawdziwej namiętności.

I za każdym razem Gray bał się, że może im się nie udać.

– Co u twojego taty? – spytała Rachele, robiąc pierwszy krok w tym kontredansie.

Ucieszyła go ta okazja do dygresji, choć niekoniecznie sam temat. Ale mógł jej przynajmniej przekazać dobrą wiadomość.

– Czuje się świetnie. Ostatnio objawy niemal zupełnie zanikły. Miewa tylko chwilowe okresy otępienia. Mama uważa, że tę poprawę zawdzięcza curry.

– Curry? Tej przyprawie?

– Właśnie. Wyczytała w jakimś artykule, że kurkuma, ten żółty barwnik zawarty w curry, działa jako przeciwutleniacz i środek przeciwzapalny. Niewykluczone też, że pomaga

rozbijać płytki amyloidalne, których obecność w organizmie wiąże się z alzheimerem.

– Brzmi obiecująco.

– Więc teraz mama dodaje curry do wszystkiego. Nawet do porannej jajecznicy taty. W całym domu pachnie jak w hinduskiej knajpie.

Pogodny chichot Rachele był jak promyk słońca na zachmurzonym niebie.

– Przynajmniej ma okazję pogotować.

Gray też się uśmiechnął. Jego matka, profesor biologii na Uniwersytecie George'a Washingtona, była powszechnie znana z niechęci do zajęć domowych. Była zbyt zajęta budowaniem kariery zawodowej, co stało się koniecznością po tym, jak niemal dwadzieścia lat temu jego ojciec miał wypadek przy pracy i został kaleką. Ostatnio na rodzinę spadła nowa klęska: stwierdzono u niego początki alzheimera. Matka Graya wzięła urlop na uniwersytecie, by mieć czas na opiekę nad ojcem, jednak ostatnio zaczynała przebąkiwać o powrocie do pracy. Wszystko w domu wróciło do normy na tyle, że Gray mógł sobie pozwolić na krótki wyjazd z Waszyngtonu.

Ale nim zdążył coś powiedzieć, telefon zasygnalizował drugą rozmowę. Rzucił okiem na wyświetlacz. Cholera...

– Rachele, mam telefon z centrum dowodzenia. Muszę odebrać. Przepraszam.

– Dobra, już cię zwalniam.

– Zaraz, czekaj. Podaj mi swój nowy numer lotu.

– KLM, lot numer czterysta trzy.

– Zaraz zapiszę. Do zobaczenia wieczorem.

– Wieczorem – powtórzyła Rachele i rozłączyła się.

Gray odebrał oczekującą rozmowę.

– Pierce przy telefonie.

– Komandorze Pierce. – Lekko snobistyczny akcent rodem z Nowej Anglii nie pozostawiał cienia wątpliwości, kto dzwoni. Logan Gregory, drugi co do rangi szef oddziału Sigmy, podlegający bezpośrednio dyrektorowi naczelnemu Painterowi Crowe. Jak to było w jego zwyczaju, nie tracił czasu na zbędne

wstępy. – Mam nowe informacje, które mogą się wiązać z pana misją w Kopenhadze. Interpol donosi o nagłym wzroście zainteresowania dzisiejszą aukcją.

Gray przekroczył kolejny mostek i ponownie się zatrzymał. Dziesięć dni temu komputerowa baza danych Narodowej Agencji Bezpieczeństwa zasygnalizowała serię czarnorynkowych transakcji, których przedmiotem były historyczne dokumenty wiążące się z uczonymi epoki wiktoriańskiej. Najwyraźniej ktoś kolekcjonował ich dzieła, a także wszelkiego rodzaju dokumenty, listy i pamiętniki z tego okresu, wśród których było wiele o niezbyt jasnych tytułach własności. I choć z zasady tego rodzaju działalność nie leżała w kręgu zainteresowań Sigmy, której celem było strzeżenie bezpieczeństwa kraju w wymiarze globalnym, z bazy danych NSA wynikało, że za niektórymi transakcjami stali ludzie związani ze znanymi organizacjami terrorystycznymi. Przepływy gotówki w tych kręgach były zawsze skrupulatnie monitorowane.

Tyle że nie miało to zbyt wielkiego sensu. Bo choć tego rodzaju archiwalia od pewnego czasu cieszyły się rosnącym zainteresowaniem na rynku inwestycji spekulacyjnych, nigdy nie przyciągały terrorystów. No, ale czasy się zmieniają.

W tej sytuacji Sigmie powierzono rozpracowanie uczestników tych transakcji i zadaniem Graya było uzyskanie maksimum informacji na temat aukcji, która miała się odbyć tego popołudnia dla zamkniętego kręgu zaproszonych gości. Z tym też wiązała się jego dwudniowa wędrówka po antykwariatach i przeglądanie szczególnie interesujących pozycji. Wystawiono je na widok publiczny w licznych miejscowych antykwariatach, ulokowanych przy wąskich uliczkach starej Kopenhagi. Najbardziej owocna była wizyta w antykwariacie przy Højbro Plads, którego właścicielem okazał się były adwokat z Georgii. Dzięki informacjom uzyskanym od ziomka Gray poczuł się dużo lepiej przygotowany do czekającego go zadania. Na dzisiejsze przedpołudnie zaplanował sobie zapoznanie się z miejscem

aukcji i rozmieszczenie kilku mikroskopijnych kamer w pobliżu wejść i wyjść z budynku. Podczas samej aukcji jego rola miała sprowadzić się jedynie do obserwacji uczestników i w miarę możliwości rejestrowania ich twarzy. Nic wielkiego, ale jeśli pozwoli to uzupełnić bazę danych walki z terroryzmem o kilku graczy zaplecza, tym lepiej.

– A co było bezpośrednią przyczyną? – zapytał.

– Pojawienie się w katalogu aukcji nowej pozycji. Wzbudziła zainteresowanie paru uczestników, którzy nas interesują. Stare wydanie Biblii. Wystawione na sprzedaż przez prywatnego właściciela.

– A co w niej takiego niezwykłego?

– Zgodnie z opisem zamieszczonym w katalogu, egzemplarz ten należał kiedyś do Darwina.

– Karola Darwina, ojca ewolucji?

– Zgadza się.

Gary w zamyśleniu postukał pięścią w kamienną balustradę. Kolejny naukowiec epoki wiktoriańskiej. Zastanawiając się nad znaczeniem uzyskanej informacji, nie spuszczał z oka pobliskiego mostka.

Jego uwagę zwróciła dziewczyna w zapiętej na suwak granatowej kurtce z kapturem. Miała siedemnaście, może osiemnaście lat i gładką skórę w kolorze karmelu. Hinduska? Pakistanka? Widać było, że ma długie czarne włosy, bo spod kaptura wysunął się gruby warkocz. Szła z przewieszonym przez lewe ramię podniszczonym zielonym plecakiem, jak to ma w zwyczaju młodzież.

Ale Gray widział ją już wcześniej, przechodzącą przez pierwszy mostek. Na moment ich spojrzenia się spotkały, po czym dziewczyna szybko odwróciła głowę. Zbyt szybko i zbyt ostentacyjnie.

Więc jednak go śledzi.

– Wpisałem adres właściciela do bazy w twoim telefonie. Zdasz z nim porozmawiać jeszcze przed aukcją.

Na wyświetlaczu pojawił się adres wraz z kropką naniesioną na plan miasta. Załedwie osiem przecznic dalej, w bok od

Strøgetu, głównego deptaka Kopenhagi. Niedaleko.

Tylko najpierw...

Kątem oka obserwował odbicie mostka w spokojnej wodzie kanału. W lekko falującym zwierciadle widział, jak dziewczyna unosi plecak i podejmuje dość nieudolną próbę zasłonięcia sobie twarzy.

Czy to znaczy, że już wie, że została zauważona?

– Komandorze Pierce? – odezwał się Logan.

Dziewczyna dotarła do końca mostka, skręciła w przeciwną stronę i znikła w bocznej uliczce. Gray był ciekaw, czy spróbuje za chwilę zawrócić.

– Komandorze Pierce, ma pan ten adres?

– Tak, zajrzę tam.

– Doskonale – powiedział Logan i rozłączył się.

Gray stał przy balustradzie, dyskretnie obserwując otoczenie. Spodziewał się zobaczyć za chwilę dziewczynę lub jakiegoś jej zmiennika. Pożałował nawet, że zostawił glocka w hotelowym sejfie, ale w zaproszeniu z domu aukcyjnego było wyraźnie napisane, że wszyscy uczestnicy zostaną przy wejściu dokładnie zrewidowani i będą musieli przejść przez wykrywacz metali. Dlatego jedyną bronią, jaką wziął ze sobą, był nóż z karbonizowanego plastiku, który trzymał w pochwie na nodze. Nic więcej.

Gray wciąż czekał.

Miasto się budziło i strumień przechodniów gęstniał. Tuż za jego plecami jakiś chudy sklepikarz napełniał pokruszonym lodem misy na stojącym przed sklepem straganie i wrzucał do nich świeże ryby z nocnego połowu: sole, dorsze, węgorze i wszechobecne śledzie.

Woń bijąca od straganu w końcu ruszyła Graya z miejsca. Poszedł dalej, cały czas dyskretnie zerkając za siebie.

Mogła to być tylko jego wybujała wyobraźnia, ale w tym zawodzie taka przypadłość nie tylko nie świadczy o szwankującym zdrowiu, ale bywa gwarancją przeżycia. Dotknął końcami palców wisiorka ze smokiem i skręcił w stronę centrum.



Po minięciu kilku przecznic poczuł się na tyle bezpiecznie, że stanął i wyjął z kieszeni notes. Na pierwszej stronie wynotował szczególnie interesujące pozycje z dzisiejszej aukcji.

1. Dysertacja Gregora Mendela z roku 1865 z zakresu genetyki.
2. Książki Maxa Plancka z dziedziny fizyki: *Vorlesungen Thermodynamik* z roku 1897 i *Vorlesungen über die Theorie der Wärmestrahlung* z roku 1906, obie z autografami autora.
3. Zapiski botanika Hugo de Vriesa z roku 1901 na temat mutacji roślin.

W trakcie wczorajszych wizyt w antykwariatach Gray zebrał maksimum informacji na temat wszystkich trzech pozycji. Teraz dopisał do listy czwartą.

4. Biblia rodzinna Karola Darwina.

Zamknął notes i po raz setny od przyjazdu zadał sobie pytanie: Jaki to wszystko ma ze sobą związek?

Może lepiej zostawić rozwiązanie zagadki komuś innemu z Sigmy. Przyszło mu nawet do głowy, by zaproponować Loganowi włączenie do sprawy kolegów Monka Kokkalisa i Kathryn Bryant. Oboje wykazali się umiejętnością składania do kupy okruchów informacji i tworzenia z nich logicznej całości. Tylko że tym razem może nie ma jednej logicznej całości? Zbyt wcześnie, by o tym przesądzać. Potrzebuje więcej danych, więcej faktów, zwłaszcza na temat tej ostatniej pozycji.

Więc na razie zostawi te dwie papużki nierozłączki w spokoju.

**Waszyngton, DC**  
**Godzina 21.32 czasu miejscowego**

– Mówisz serio?

Monk położył dłoń na gołym brzuchu ukochanej. Klęczał przy jej łóżku w pomarańczowo-czarnych elastycznych spodenkach Nike, mokra od potu koszulka leżała na podłodze, rzucona po wieczornym bieganiu. Jego brwi – jedyne owłosione miejsce na głowie – uniosły się w pełnym nadziei oczekiwaniu.

– Tak – potwierdziła Kat.

Delikatnie odsunęła jego dłoń, przeturlała się na drugą stronę łóżka i wstała.

Twarz Monka rozpromieniała się w coraz szerszym uśmiechu. Nie mógł się opanować.

– Jesteś pewna?

Kat ruszyła do łazienki, ubrana jedynie w białe majtki i za duży T-shirt z napisem „Georgia Tech”. Jej proste kasztanowe włosy opadały luźno na ramiona.

– Spóźnia się pięć dni – rzuciła nadąsana. – Wczoraj zrobiłam test.

– Wczoraj? – Monk podniósł się z kolan. – I nic mi nie powiedziałaś?

Kat weszła do łazienki i zamknęła za sobą drzwi.

– Kat?

Usłyszał szum prysznic. Obszedł łóżko i podszedł do drzwi łazienki. Chciał dowiedzieć się czegoś więcej. Zaskoczyła go ta wiadomością, kiedy wrócił z wieczornego joggingu i zastał ją skuloną w łóżku. Oczy miała zaczerwienione, twarz spuchniętą od płaczu. Musiał się natrudzić, nim wyciągnął od niej, co się stało.

Zapukał do drzwi. Pukanie zabrzmiało głośniejsze i natarczywiej, niż zamierzał. Popatrzył na swoją dłoń i skrzywił się. Jego pięciopalcowa proteza była najnowszym osiągnięciem techniki, w którym zastosowano wszystkie nowinki techniczne DARPA. Dostał ją po utracie dłoni podczas wykonywania zadania. Ale tworzywo sztuczne i metal to nie to samo, co żywe ciało. Stukanie do drzwi zabrzmiało tak, jakby je chciał rozwalić.

– Kat, porozmawiaj ze mną – powiedział łagodnie.

– Chcę wziąć prysznic.

Mimo pozorów normalności w jej głosie słycać było napięcie. Zajrzał do łazienki. Wprawdzie byli z sobą od blisko roku i miał już u niej szufladę ze swoimi rzeczami, wkraczanie na jej teren miało swoje granice.

Kat siedziała na zamkniętym sedesie, z głową opartą na rękach.

– Kathryn...

Podniosła głowę, wyraźnie zaskoczona jego wtargnięciem.

– Monk! – prychnęła z wyrzutem i wyciągnęła rękę, by zamknąć drzwi.

Przytrzymał je stopą.

– Przecież nie korzystasz z łazienki.

– Czekam, aż się woda podgrzeje.

Spojrzał na zaparowane lustro. W łazience pachniało jaśminem, co budziło w nim bardzo romantyczne wspomnienia. Wszedł i ukląkł przed Kat.

Odchyliła się do tyłu.

Położył na jej kolanach obie dłonie, prawdziwą i sztuczną.

Nie spojrzała na niego i nie podniosła głowy.

Rozchylił jej kolana i sunąc dłońmi po zewnętrznej stronie ud chwycił ją za pośladki. A potem ją przyciągnął.

– Muszę... – zaczęła.

– Musisz się do mnie przytulić – przerwał jej.

Uniósł ją i posadził na sobie. Jej twarz była tak blisko, że czuł jej oddech.

– Prze... przepraszam – szepnęła, podnosząc wreszcie wzrok.

Przytulił ją jeszcze mocniej.

– Za co? – powiedział, muskając wargami jej wargi.

– Powinnam bardziej uważać.

– Nie przypominam sobie, żebym narzekał.

– Ale taka wpadka...

– Nigdy! – Niemal zmiażdżył jej usta wargami, choć nie było w tym śladu złości. Tylko gest otuchy. – Nigdy tego tak nie nazywaj.

Wtuliła się w niego, splatając mu ręce na karku. Jej włosy pachniały jaśminem.

– I co my teraz zrobimy?

– Może nie wiem wszystkiego, ale akurat to wiem.

Przekręcił się na bok i ułożył ją pod sobą na łazienkowym dywaniku.

– Aha – mruknęła.

## **Kopenhaga, Dania**

### **Godzina 8.55 czasu miejscowego**

Gray siedział w kawiarni vis-à-vis małego antykwariatu i przyglądał się budynkowi po drugiej stronie ulicy.

Na szybie wystawowej księgarni widniał napis SJÆLDEN BØGER, RZADKIE KSIĄŻKI. Sklep zajmował parter szeregowego jednopiętrowego domu z czerwoną dachówką. Wyglądał tak samo jak wszystkie domy stojące wzdłuż tej uliczki i jak niemal cała zabudowa biedniejszej części miasta gwałtownie domagał się remontu. Okna na piętrze były zabite dyktą, sklep na parterze wyposażony był w stalowe żaluzje.

Wciąż jeszcze zamknięte.

Czekając na otwarcie, Gray sączył coś, co w Danii uchodzi za czekoladę, a co gęstością przypomina rozpuszczoną tabliczkę czekoladowy. Wpatrując się w budynek, starał się widzieć w nim coś poza ślepych oknami na piętrze. Dom wyglądał wprawdzie dość biednie, ale nadal bił od niego urok Starego Świata: poddasze miało okrągłe mansardowe okno, w ścianie piętra widać było kratownicę z grubych belek, spadzisty dach wykonano z myślą o długich śnieżnych zimach. Pod oknami na górze wciąż widać było ślady po wiszących tam niegdyś skrzynkach z kwiatami.

Puścił wodze fantazji i zaczął układać w głowie plan remontu, który pozwoliłby przywrócić budynkowi dawną świetność. Sprawdzań zmysłu inżynierskiego i estetycznego.

Prawie poczuł zapach trocin.

To ostatnie skojarzenie wytrąciło go z rozmarzenia. Opadły go nagle zupełnie inne wspomnienia, nieproszone i niechciane: stolarski warsztat ojca w garażu, do którego wpadał po szkole. Zaczynało się zazwyczaj od jakiegoś drobiazgu, a kończyło na kłótni i wykrzykiwaniu słów, których nie dało się już cofnąć. Wieczne awantury doprowadziły w końcu do tego, że Gray rzucił szkołę i zaciągnął się do wojska. Dopiero wiele lat później ojciec i syn na nowo spróbowali się porozumieć. Nauczyli się znajdować to, co łączy, i akceptować to, co dzieli.

Mimo to Graya od dawna prześladowała rzucona mimochodem uwaga matki, że dostrzega w nich więcej podobieństw niż różnic. Dlaczego ta sprawa tak go ostatnio nęka? Pokręcił głową, nie mając ochoty się nad tym zastanawiać.

Odpędził wspomnienia i spojrzał na zegarek. Chciał jak najszybciej wrócić do ustalonego planu dnia. Zdążył już odwiedzić miejsce aukcji i ukryć dwie mikrokamery w pobliżu obu wejść, od frontu i od tyłu. Wszystko, co miał dziś do zrobienia, to rozmowa w antykwariacie o Biblii Darwina i strzelenie paru fotek uczestnikom aukcji. Potem zostanie już tylko czekanie na Rachele i długi wspólny weekend.

Przypomniał sobie jej uśmiech i poczuł, jak rozluźniają się naprężone mięśnie między łopatkami.

W końcu z drugiej strony ulicy dobiegł go brzęk dzwonka zawieszzonego nad drzwiami i stalowa żaluzja zaczęła sunąć do góry.

Zobaczywszy, kto otwiera antykwariat, Gray aż podskoczył. Czarny warkocz, oliwkowa cera, wielkie migdałowe oczy. Dziewczyna, która dziś rano za nim chodziła! Ubrana była nawet w tę samą kurtkę, z jej ramienia zwisał zielony plecak.

Wyjął z kieszeni kilka banknotów i położył na kawiarnianym stoliku. Czuł ulgę, że może wreszcie porzucić wspomnienia i zająć się bieżącymi sprawami.

Przeszedł na drugą stronę ulicy i podszedł do dziewczyny w chwili, gdy kończyła blokować żaluzje. Spojrzała na niego bez zdziwienia.

– Niech zgadnę, kolego – powiedziała czystą angielszczyzną z wyraźnym brytyjskim akcentem. – Amerykanin?

Trochę go jej obcesowość zmroziła, bo jak dotąd nie odezwał się do niej ani słowem, jednak zrobił tylko lekko zdziwioną minę. Postanowił nie dać po sobie poznać, że wie, iż rano go śledziła.

– Jak na to wpadłaś?

– Po tym jak chodzisz z wypiętym tyłkiem. Wszystkich was to zdradza.

– Naprawdę?

Skończyła blokowanie żaluzji i odwróciła się do niego twarzą. Jej kurtkę zdobiło kilka znaczków: tęcza chorągiewka Greenpeace’u, srebrny znak celtycki i złoty egipski *ankh* – krzyż z pętlą, który w starożytnym Egipcie był symbolem życia. Otaczały je kolorowe odznaki z hasłami po duńsku i jedna po angielsku: LEMINGI NAPRZÓD. Całości dopełniała biała gumowa bransoletka z wytłoczonym słowem NADZIEJA.

Machnęła ręką, żeby się odsunął, ale i tak go potrąciła, bo widać nie zrobił tego dość szybko. Rzuciła w jego stronę: „Otwieramy za godzinę. Przykro mi, kolego”, i weszła tyłem na jezdnię.

Stojąc pod sklepem, Gray przyglądał się dziewczynie. Przeszła na drugą stronę ulicy i weszła do kawiarni. Mijając jego stolik, schyliła się, wzięła jeden z zostawionych banknotów i weszła do środka. Gray czekał, patrząc przez okno, jak zamawia dwie kawy i płaci za nie podwędzonym banknotem.

Wróciła, trzymając w dłoniach dwa duże styropianowe kubki.

– Jeszcze tutaj? – parsknęła.

– Na razie nigdzie mi się nie spieszy.

– Szkoda. – Dziewczyna spojrzała na zamknięte drzwi i znaczącym gestem uniosła obie dłonie. – No?

– Aa! – Gray podszedł i otworzył przed nią drzwi.

Przepchnęła się obok niego.

– Bertal! – wrzasnęła, po czym spojrzała na Graya i dodała: – To jak, wchodzisz czy nie?

– Zdawało mi się, że mówiłaś, że...

– No dobra. – Przewróciła oczami. – Przestań się zgrywać. Nie udawaj, że mnie nie zauważyłeś.

Graya zmroziło. Więc to jednak nie był przypadek. Dziewczyna naprawdę go śledziła.

– Bertal! – krzyknęła ponownie w głąb sklepu. – Przywlecz no tu swoje dupsko.

Lekko zbity z tropu, Gray wszedł za nią do sklepu, ale zatrzymał się tuż za drzwiami. Chciał w razie czego mieć możliwość szybkiej rejterady.

Sklep był długi i wąski jak kiszka. Obie ściany zabudowane były od podłogi do sufitu półkami, na których zgromadzono wszelkiego rodzaju książki, broszury i skrypty. W głębi sklepu stały naprzeciw siebie dwie oszklone gabloty wyglądające na zamknięte na klucz. Wewnątrz widać było podniszczone księgi w skórzanych oprawach i jakieś zwoje w białych ochronnych tubusach.

Gray wszedł głębiej.

W przenikających do środka promieniach porannego słońca widać było tańczące drobiny kurzu, powietrze było zastale i cuchnęło butwiejącym papierem. Gray pomyślał, że wonie te kojarzą mu się z wieloma miejscami w Europie. Współzycie z tradycją i historią było tu czymś codziennym.

Jakby na przekór zewnętrznemu wyglądowi budynku, sam sklep zachęcał starannym wystrojem – od kinkietów z witrażowego szkła po rozstawione wzdłuż półek nowoczesne drabinki. Obok wejścia stały nawet dwa miękkie fotele dla klientów.

I coś, co Graya zaskoczyło najbardziej...

Głęboko wciągnął powietrze.

Ani śladu kotów.

Tajemnica szybko się wyjaśniła.

Za jednego z regałów wyłoniło się wielkie kudłate psisko. Wyglądał na mieszańca bernardyna, był w mocno zaawansowanym wieku i patrzył wielkimi brązowymi ślepiami spod obwisłych powiek. Z ponurą miną ruszył ku nim, utykając

na lewą przednią łapę. Widać było, że jeden z pazurów ma mocno wykrzywiony.

– No, wreszcie, Bertal. – Dziewczyna pochyliła się i przelała zawartość jednego z kubków do ceramicznej miski na podłodze.

– Póki nie dostanie porannej kawki z mleczkiem, stare kundlisko jest do niczego. – Powiedziała to z wyraźną czułością w głosie.

Bernardyn podszedł do miski i z zapalem zaczął chleptać.

– Nie wydaje mi się, żeby kawa była zdrowa dla psów – bąknął Gray.

Dziewczyna wyprostowała się i odrzuciła warkocz na plecy.

– A tam! Bezkofeinowa – mruknęła, ruszając w głąb sklepu.

– A co mu się stało w łapę?

Chciał ją wciągnąć w rozmowę i w tym czasie nieco lepiej wyczuć sytuację, w której się znalazł. Poklepał przyjaźnie psa, który zareagował machnięciem ogona.

– Odmroził sobie. *Mutti* go znalazła dawno temu.

– *Mutti?*

– Moja babcia. Czeka na ciebie.

Z głębi sklepu dobiegł kobiecy głos.

– *Er et ham der vil købe bøgerne*, Fiona?

– *Ja, mutti*. To ten amerykański nabywca. Możesz mówić po angielsku.

– *Send ham ind paa mit kontor*.

– *Mutti* czeka w biurze – powiedziała Fiona i ruszyła w głąb sklepu. Posilony poranną kawą pies raźniej poczłapał za Grayem.

W połowie długości sklepu minęli niewielkie stanowisko kasowe z komputerem Sony i drukarką. Nowoczesność zdążyła już dotrzeć i tu.

– Mamy też własną stronę internetową – rzuciła Fiona, zauważwszy jego spojrzenie.

Dotarli w końcu do pomieszczenia na zapleczu, do którego drzwi otwarte były na oścież i które przypominało bardziej salonik niż biuro. Stała w nim kanapa, stolik i dwa fotele, i nawet stojące w rogu biurko zdawało się służyć bardziej jako



podstawa pod elektryczną kuchenkę i czajnik niż do pracy biurowej. Pod jedną ze ścian stał jednak rząd czarnych szafek na dokumenty, a wpadające przez umieszczone nad nimi zakratowane okno łagodne światło poranka oświetlało siedzącą za biurkiem kobietę.

Kobieta wstała i wyciągnęła rękę.

– Witam, doktorze Sawyer. – Użyła nazwiska, którym posługiwał się podczas tej misji. A więc zebrała o nim trochę informacji. – Nazywam się Grette Neal.

Uścisk jej dłoni był po męsku mocny. Była chuda jak patyk, ale choć cerę miała bladą, tryskała zdrowiem typowym dla jej rodaków. Ruchem ręki zaprosiła Graya, by usiadł w fotelu. Zarówno jej zachowanie, jak i ubiór charakteryzowała naturalna swoboda. Miała na sobie granatowe dżinsy, turkusową bluzkę i proste czarne czółenka. Długie siwe włosy były gładko zaczesane, co podkreślało jej powagę, ale w oczach tańczyły przekorne chochliki.

– Moją wnuczkę już pan poznał. – Grette Neal mówiła po angielsku płynnie, choć z wyraźnym duńskim akcentem. W przeciwieństwie do wnuczki.

Gray przyglądał się starszej kobiecie i ciemnowłosej dziewczynie. Nie dostrzegał w nich żadnego rodzinnego podobieństwa, ale powstrzymał się od komentarza. Miał ważniejsze sprawy na głowie.

– Tak, już się spotkaliśmy. – Kiwnął głową. – A ściśle mówiąc, to chyba nawet dwukrotnie.

– Ach, to jej wścibstwo wpędzi ją kiedyś w prawdziwe tarapaty. – Krytyczna uwaga pod adresem wnuczki została okraszona ciepłym uśmiechem. – A portfel panu oddała?

Gray zmarszczył czoło i poklepał się po kieszeni spodni. Była pusta.

Fiona sięgnęła do kieszeni plecaka i wyciągnęła jego brązowy skórzany portfel.

Gray ze złością wyrwał go jej z ręki. Pamiętał to potrącenie pod sklepem. A więc nie chodziło tylko o niegrzeczny pośpiech.

– Proszę się nie gniewać – powiedziała Grette. – To jej sposób poznawania gości.

– Wszystkie dane personalne pasują – mruknęła Fiona, wzruszając ramionami.

– No to oddaj panu również paszport.

Gray pomacał kieszeń marynarki. Pusta. Och, na litość boską!

Fiona rzuciła w niego granatową książeczką z amerykańskim orłem na okładce.

– Czy to już wszystko? – syknął zjadliwie Gray, obmacując kieszenie.

Dziewczyna znów wzruszyła ramionami.

– Raz jeszcze proszę o wybaczenie wnuczce. Czasem przesadza z ostrożnością.

Gray popatrzył na obie kobiety.

– Czy ktoś mógłby mi wyjaśnić, o co tu właściwie chodzi?

– Przyjechał pan w sprawie *Bibel* Darwina – rzekła Grette.

– Znaczą Biblii – wyjaśniła Fiona.

Grette przytaknęła, a Gray pomyślał, że to, że starsza pani użyła duńskiego słowa zamiast angielskiego, najlepiej świadczy o jej skrywanym zdenerwowaniu.

– Reprezentuję kupca, który może być nią zainteresowany – potwierdził.

– Tak, wiemy. A cały wczorajszy dzień spędził pan na wypytywaniu o inne pozycje z aukcji Ergenschein.

Gray uniósł brwi.

– Stanowimy w Kopenhadze bardzo wąskie grono bibliofilów. Wiadomości szybko się rozchodzą.

Gray się skrzywił. Wydawało mu się, że zachowuje się dyskretnie.

– To właśnie pańskie pojawienie się skłoniło mnie do wystawienia Biblii Darwina na aukcji. Kręgi antykwaryczne są poruszone rosnącym zainteresowaniem pracami naukowymi z czasów wiktoriańskich.

– A więc to dobry moment na sprzedaż – dodała Fiona bez namysłu, jakby już wcześniej to między sobą ustaliły. – Jesteśmy

miesiąc do tyłu z czynszem za mieszkanie.

Grette uciszyła ją gestem ręki.

– To była trudna decyzja. Biblię kupił mój ojciec w tysiąc dziewięćset czterdziestym dziewiątym i był z niej bardzo dumny. W środku są zapisane imiona członków rodziny Darwinów do dziesięciu pokoleń przed słynnym Karolem. Ale Biblia ma też walor historyczny. Towarzyszyła Karolowi w jego podróży dookoła świata na pokładzie HMS *Beagle*. I nie wiem, czy pan wie, ale Karol Darwin poważnie rozważał wstąpienie do seminarium duchownego. W ten sposób w Biblii nakładają się na siebie dwaj ludzie: człowiek religijny i uczony.

Gray pokiwał głową. Kobieta najwyraźniej starała się go zaciekawić. Czy chodziło jej tylko o zachęcenie go do udziału w aukcji? O podbicie ceny? Pomyślał, że tak czy owak będzie mógł to wykorzystać.

– A dlaczego pani wnuczka mnie śledziła? – zapytał.

– Raz jeszcze przepraszam za jej wścibstwo – powiedziała Grette znużonym głosem. – Jak mówiłam, w ostatnim czasie obserwujemy znaczny wzrost zainteresowania przedmiotami z epoki wiktoriańskiej, a nasze środowisko jest niewielkie. Wszyscy słyszeliśmy o transakcjach prowadzonych... no, jeśli nie na czarnym, to na pewno na szarym rynku.

– Do mnie też to dotarło. – Gray uśmiechnął się w nadziei, że w ten sposób wydobędzie z niej więcej informacji.

– Zdarzali się kupcy, którzy w ostatniej chwili wycofywali się z wylicytowanej ceny albo chcieli płacić brudnymi pieniędzmi, albo czekami bez pokrycia i tak dalej. Fiona stara się dbać o moje interesy i niestety czasami posuwa się za daleko. Wykorzystuje swoje umiejętności, o których powinna zapomnieć.

Mówiąc to, przewierciła wnuczkę wzrokiem i uniosła brew na znak dezaprobaty. Fionę nagle zainteresowało coś na podłodze.

– Rok temu zjawił się tu pewien jegomość, który przez miesiąc grzebał w moich świadectwach pochodzenia. Historycznych dokumentach potwierdzających tytuł własności.

– Skinęła głową w stronę szafek z dokumentami. – Po to tylko, żeby w końcu ukraść mi kartę kredytową i zniknąć. On też interesował się Biblią Darwina.

– A więc nigdy nie dość ostrożności – wtrąciła twardo Fiona.

– Wie pani może, kim był ten człowiek?

– Nie, ale bez trudu bym go poznała. Był taki dziwnie wypłowiwały.

– Śledztwo wdrożone przez bank – Fiona się ożywiła – natrafiło na ślady prowadzące do Nigerii, później do RPA. Ale tam wszelki ślad po nim zaginął. Pieprzony drań dobrze się gdzieś schował.

– Uważaj na swój język, młoda damo – powiedziała Grette, krzywiąc się.

– Ale dlaczego aż takie śledztwo w sprawie kradzieży karty?  
– zdziwił się Gray.

Fiona znów dostrzegła coś interesującego na podłodze.

– Ma prawo poznać prawdę – mruknęła Grette, nie spuszczać wzroku z wnuczki.

– *Mutti...* – Fiona pokręciła głową.

– Jaką prawdę? – spytał Gray.

Dziewczyna popatrzyła na niego uważnie, po czym odwróciła głowę.

– Powie innym i cena od razu poleci o połowę.

– Jestem znany z dyskrecji – zapewnił Gray, unosząc rękę jak do przysięgi.

Grette przymrużyła oko i przyjrzała mu się badawczo.

– Czy także z prawdomówności, doktorze Sawyer... bardzo chciałabym to wiedzieć.

Czuł, że obie nie do końca mu ufają i starają się go przejrzeć. Czy jego kamuflaż jest wystarczająco szczelny? Od ich spojrzeń zeszywniał mu kark.

W końcu Grette przemówiła:

– Powinien pan o tym wiedzieć. Krótco po zniknięciu tego wymoczka z całą wiedzą, jaką tu zebrał, miało miejsce włamanie do sklepu. Nic nie zginęło, ale wyłamano zamki i otwarto gablotkę, w której trzymałyśmy Biblię Darwina. Na

szczęście, jako że Biblia Darwina jest naszym najcenniejszym eksponatem, na noc chowamy ją do sejfu pod podłogą. Policja szybko zareagowała na alarm i spłoszyła włamywaczy. Sprawców włamania do dziś nie złapano, ale wiemy, kto za tym stał.

– Tamten myszkujący palant... – mruknęła Fiona.

– Od tamtej nocy Biblię trzymamy w sejfie w naszym lokalnym banku, ale i tak w ciągu ostatniego roku dwukrotnie się do nas dobierano. Złodziejom udało się wyłączyć alarm i dokładnie przetrząsnąć cały sklep.

– Szukali Biblii – domyślił się Gray.

– Tak przypuszczamy.

Gray zaczynał rozumieć dylemat kobiet. Nie chodziło im tylko o korzystne sprzedanie Biblii, ale także o pozbycie się kłopotu. Komuś wyraźnie zależało na księdze i jego nachalność może z czasem przybrać na sile. A to oznacza, że ten, kto kupi Biblię, może stać się nowym celem ataków.

Kątem oka obserwował Fionę. Wszystkie jej wyskoki miały na celu ochronę interesów babci. Nawet teraz w jej oczach pojawiały się błyski świadczące o tym, że babcia zrobiłaby lepiej, trzymając język za zębami.

– Biblia może być bezpieczniejsza w prywatnych zbiorach w Ameryce – ciągnęła Grette. – Może związanym z nią kłopotom nie uda się przepłynąć Atlantyku.

Gray pokiwał głową z uznaniem dla kupieckiej uczciwości antykwariuszki.

– Czy udało się pani ustalić, co tak bardzo zainteresowało tego człowieka w tej akurat Biblii?

Teraz z kolei Grette w milczeniu zapatrzyła się w dal.

– Tego rodzaju informacja mogłaby dodatkowo zachęcić mojego klienta – drążył Gray.

Grette powoli przeniosła na niego wzrok. Jakimś cudem musiała wyczuć kłamstwo w jego głosie i teraz wpatrywała się w niego w milczeniu, jakby chciała przejrzeć coś więcej niż tylko jego oszustwo. Jakby starała się zajrzeć mu do serca...

W tym momencie do kantoru wkroczył Bertal. Tęsknie obwąchał talerzyk z herbatnikami, podszedł do fotela Graya i z westchnieniem ulgi zwałił się na podłogę, układając sobie pysk na jego bucie. Wyraźnie zaakceptował obecność tego obcego w ich rodzinie.

Jakby na to czekając, Grette westchnęła i przymknęła oczy, a jej rysy wyraźnie złagodniały.

– Nie wiem na pewno. Mam tylko pewne podejrzenia.

– Zadowolę się tym, co mi pani powie.

– Tego człowieka wyraźnie interesowały informacje o księgozbiorze, który tuż po wojnie został rozprzedany. Nawiasem mówiąc, cztery pozycje z tego zbioru znajdują się dziś na aukcji: dziennik de Vriesa, egzemplarz pracy naukowej Mendla i dwie książki Maksa Plancka.

Gray pamiętał, że właśnie te pozycje figurują w jego notesie. To nimi szczególnie interesowali się nabywcy uznawani za podejrzanych. A więc kto je kupuje i po co?

– Może mi pani powiedzieć coś więcej o tym księgozbiorze? Czy w świadectwach pochodzenia znajdowało się coś szczególnego?

Grette wstała zza biurka i podeszła do szafek z dokumentami.

– Mam tu gdzieś oryginał pokwitowania z tysiąc dziewięćset czterdziestego dziewiątego wystawionego mojemu ojcu. Jest w nim wymieniona nazwa wioski i jakiegoś majątku. Zaraz spróbuję to odnaleźć.

Stała w promieniach światła wpadających przez okno i wyciągnęła środkową szufladę.

– Nie mogę dać panu oryginału, ale nie mam nic przeciwko temu, żeby Fiona zrobiła panu kserokopię.

Kobieta zabrała się do przeszukiwania szuflady i w tym momencie Bertal uniósł łeb ze zwisającą strużką śliny i głucho warknął.

Warknięcie nie było skierowane do Graya.

– O, jest!

Grette odwróciła się, wyciągając do niego rękę z poślizniętym kawałkiem papieru w plastikowej koszulce.

Gray nawet na nią nie spojrzał. Nie odrywał wzroku od stóp kobiety, po których właśnie przesunął się jakiś nikły cień.

– Na podłogę! – krzyknął.

Rzucił się w stronę kanapy, chcąc pchnąć na nią starszą panią.

Za jego plecami Bertal głośno szczerknął, co niemal zagłuszyło brzęk tłuczonego szkła.

Huk był potężny. Grayowi zabrakło paru centymetrów i mógł już tylko podtrzymać padające do tyłu ciało Grette Neal, której twarz po strzale snajpera zza okna zamieniła się w krwawą miazgę fragmentów skóry i kości. Złapał ją w pół i delikatnie ułożył na kanapie.

Fiona krzyknęła przeraźliwie.

Dał się słyszeć kolejny brzęk szkła i przez wybite tylne okno do kantoru wpadły dwa czarne kanistry. Szurnęły po podłodze pod przeciwległą ścianę, odbiły się i z brzękiem wylądowały na podłodze.

Gray poderwał się i energicznie wypchnął Fionę z kantoru. Pies pokuśtykał za nimi.

Popychając ją i niemal niosąc, ledwie zdążył wcisnąć się za jeden z regałów, gdy w kantorze rozległy się dwa potężne wybuchy i cała ściana działowa runęła w lawinie ognia, fragmentów muru i odłamków drewna.

Jeden z regałów przechylił się i oparł o przeciwległy, tworząc coś na kształt szałas. Gray wepchnął do niego Fionę.

Nad ich głowami zaczynał płonąć papier, zasypując ich ognistym deszczem.

Gray odszukał wzrokiem psa. Wiek i niesprawna łapa spowodowały, że nie dość szybko odskoczył, wybuch rzucił nim o ścianę i ogłuszył. Leżał pod nią nieruchomo, a jego sierść zaczynała się tlić.

Gray zasłonił sobą widok Fionie.

– Musimy się stąd wydostać.

Kiedy ją wyciągał spod pochylonego regału, była zszokowana i bezwolna. Tył sklepu wypełniały już płomienie i gęsty dym. Na suficie włączyły się automatyczne zraszacze, polewając wszystko letnią mgiełką, ale było tego za mało i za późno.

– Uciekajmy przez frontowe drzwi! – ponaglił ją.

Ruszyli w stronę wejścia.

Za późno.

Na ich oczach stalowa żaluzja na drzwiach opadła i odcięła im drogę ucieczki. Za zakratowanym oknem wystawowym Gray dostrzegł poruszające się cienie. Zapewne następni bandyci.

Spojrzał za siebie. Ściana ognia i dymu ogarniała wnętrze sklepu i sunęła w ich stronę.

Znaleźli się w pułapce.

## **Waszyngton, DC**

### **Godzina 23.57 czasu miejscowego**

Monk trwał w stanie szczęśliwego otępienia między rozkoszą a snem. Przenieśli się z podłogi w łazience na łóżko w sypialni, a burza namiętności ustąpiła miejsca cichym szeptom i łagodnym pieścotom. Skotłowana pościel nadal owijała ich nagie ciała, ale żadnemu nie chciało się z niej wyplątywać. Ani dosłownie, ani w żadnym innym sensie.

Monk delikatnie powiódł palcem po krągłości piersi Kat. Zrobił to leniwie, bardziej, by zaznaczyć bliskość, niż obudzić żądzę. Miękkim wygięciem stopy łagodnie pieściła jego łydkę.

Tak wygląda szczęście.

Takie, którego nic nie może zburzyć...

Rozległo się świdrujące brzęczenie, tak przenikliwe, że oboje zeszywnieli.

Dobiegało z leżących obok łóżka spodenek, które Monk w pośpiechu zrzucił, czy ściślej mówiąc, które zostały z niego zdarte. Położył na nich pager, ale pamiętał, że po powrocie



z joggingu przełączył go na tryb wibracji. Wiedział, że tylko jeden typ wiadomości może się przez to przebić.

Alarm.

Chwilę później w identyczny sposób odezwał się pager na nocnym stoliku po drugiej stronie łóżka.

Pager Kat.

Oboje unieśli się na łóżku i popatrzyli na siebie z niepokojem.

– Centrum dowodzenia – mruknęła Kat.

Monk wziął pager i spojrzawszy na wyświetlacz, skinął głową.

Opuścił nogi na podłogę i sięgnął po telefon. Kat usiadła obok i ściągnąwszy prześcieradło, zakryła nagie piersi, jakby telefoniczna rozmowa z szefostwem wymagała należytej skromności. Gray wybrał bezpośredni numer dowództwa oddziału Sigma. Telefon odebrano od razu.

– Kapitan Bryant? – zabrzmiał głos Logana Gregory’ego.

– Nie, szefie. Tu Monk Kokkalis. Ale Kat... kapitan Bryant jest obok.

– Chcę was oboje widzieć w centrum. Natychmiast.

A potem podenerwowanym głosem przekazał szczegóły.

Monk słuchał, od czasu do czasu kiwając głową.

– Już jedziemy – zakończył i odłożył słuchawkę.

Kat spojrzała na niego spod ściągniętych brwi.

– Coś się stało?

– Kłopoty.

– Z Grayem?

– Nie, z nim na pewno wszystko w porządku – powiedział wciągając spodni. – Pewnie się z Rachele świetnie bawią.

– To z kim?

– Chodzi o dyrektora Crowe’a. Coś się stało w Nepalu. Szczegóły są dość niejasne. Chyba jakaś zaraza.

– I to wiadomość od dyrektora?

– Właśnie w tym rzecz. Ostatnia wiadomość od niego pochodzi sprzed trzech dni. Potem z powodu burzy została zerwana łączność, więc nikt się tym specjalnie nie przejął. Ale

dzisiaj burza ustała, a łączności nadal nie ma. A dodatkowo dochodzą wieści o zarazie, ofiarach śmiertelnych i czymś w rodzaju buntu. Może chodzi o atak partyzantów.

Kat otworzyła szeroko oczy.

– Logan wzywa nas do centrum dowodzenia – zakończył Monk.

Ześlizgnęła się z łóżka i sięgnęła po ubranie.

– Ale co się tam mogło wydarzyć?

– Nic dobrego, tego możemy być pewni.

## **Kopenhaga, Dania**

### **Godzina 9.22 czasu miejscowego**

– Są tu gdzieś schody na górę? – zapytał Gray.

Fiona stała nieruchomo, wpatrując się szeroko otwartymi oczami w opuszczoną żaluzję. Było jasne, że dziewczyna wciąż jest w szoku.

– Fiono... – Gray stanął tuż przed nią. Niemal dotykał nosem jej twarzy, zasłaniając całe pole widzenia. – Fiono, musimy się stąd wydostać.

Widział, jak za jej plecami ogień gwałtownie się rozprzestrzeniła, pożerając kolejne sterty starodruków i wysuszone sosnowe półki. Płomienie sięgały sufitu, dym wydostawał się już na dach. Sufitowe zraszacze wciąż działały, ale jedynym efektem było to, że toksycznym wyziewom pomagała dodatkowo para wodna.

Powietrze stawało się coraz gorętsze i z każdym oddechem coraz bardziej parzyło. Mimo to dziewczynę przebiegł dreszcz, gdy ujął jej dłonie, ale przynajmniej spowodował, że na niego spojrzała.

– Są tu gdzieś schody na górę? Wejście na piętro?

Fiona spojrzała w górę. Warstwa dymu zasłaniała blaszane płytki sufitowe.

– Stare mieszkanie. Strych... – wymamrotała.

– Tak. Świetnie. Jak możemy tam wejść?

Pokręciła głową, najpierw powoli, potem energiczniej, jakby dopiero teraz docierało do niej zagrożenie.

– Nie, jedyne schody są... – Niepewnie machnęła ręką w stronę ognia. – Z tyłu za budynkiem.

– Na zewnątrz?

Skinęła głową. Ściana ognia zbliżała się coraz bardziej i wokół wirowało coraz więcej spopielonych strzępów papieru.

Gray zaklął pod nosem. Kiedyś musiały tu być wewnętrzne schody łączące sklep z mieszkaniem właścicieli na górze, ale widocznie je zlikwidowano. Trzeba improwizować.

– Macie tu siekierę? – zapytał.

Fiona pokręciła głową.

– Może łom? Jakąś metalową łapkę do otwierania skrzyń?

Fiona wzdrygnęła się i kiwnęła potakująco.

– Koło kasy – dodała.

– Zaczekaj tutaj.

Ruszył w głąb sklepu, trzymając się lewej ściany. Ogień jeszcze jej nie dosięgnął i było pod nią w miarę bezpiecznie.

Dziewczyna ruszyła za nim.

– Powiedziałem, że masz tu poczekać.

– Wiem, gdzie jest ten pieprzony łom – prychnęła.

W jej głosie było więcej przerażenia niż złości, ale pomyślał, że to i tak wielki postęp w porównaniu ze stanem otępienia chwilę wcześniej. Zresztą, złościąc się, lepiej pasowała do jego stanu ducha. Był na siebie wściekły. Nie dość, że dał się podejść smarkuli, to jeszcze pozwolił się zamknąć w pułapce zastawionej przez jakichś nieznanych bandziorów. Za dużo myślał o Rachele i zbyt beztrosko potraktował tę misję. A teraz w niebezpieczeństwie znalazło się nie tylko jego życie.

Fiona przepchnęła się do przodu. Oczywiście miała zaczerwienione i krztusiła się od dymu.

– Tutaj – rzuciła.

Przechyliła się przez biurko i wyciągnęła zza niego długi, pomalowany na zielono metalowy pręt.

– Idziemy – zarządził Gray, podchodząc w stronę zbliżającego się ognia. Zdjął sweter, podał Fionie i wziął od niej łom.

– Zmocz sweter. Przyłóż do tamtego zraszacza i dobrze zmocz – powiedział. – I przy okazji siebie też.

– Co chcesz zrobić?

– Schody awaryjne.

Wdrapał się na jedną z regałowych drabinek. Tuż nad jego głową przewalały się kłęby dymu, a powietrze aż parzyło. Dziabnął łomem w spoinę między blaszanymi płytkami na suficie. Płytką bez trudu dała się podważyć i oderwać. Tak jak sądził, sufit był podwieszany i zasłaniał belkowo-deskową konstrukcję stropu.

Wspiął się na sam szczyt drabinki i zrzucił zawartość kilku górnych półek regału, potem przeniósł się na regał i stamtąd wbił łom między dwie deski podłogowe piętra. Łom wszedł głęboko. Gray napał z całej siły i podważył deskę. Stał bez trudu zagłębiła się w stare drewno, ale efektem jego zabiegów okazał się tylko maleńki otwór, w którym mogła zmieścić się mysz.

Oczy piekły i łzawiły, ciałem wstrząsnął atak spazmatycznego kaszlu. Niedobrze. Czekał go wyścig skuteczności łomu i dymu. Spojrzał w stronę ognia. Pożar coraz bardziej się rozprzestrzeniał, dym był coraz gęstszy.

W tym tempie nigdy mu się nie uda.

Nagle jego wzrok przyciągnął jakiś ruch na dole. Na drabince pod nim stała Fiona. Znalazła gdzieś chusteczkę, zmoczyła ją i obwiązała sobie wokół dolnej części twarzy jak włamywacz, z czym akurat było jej do twarzy.

Podawała mu jego ociekający wodą sweter. Sama też się zmoczyła i wyglądała teraz jak zmoknięte szczenię. Patrząc na nią, Gray zdał sobie sprawę, że nie ma nawet siedemnastu lat, na jakie ją wcześniej ocenił. Najwyżej piętnaście. W jej zaczerwienionych oczach malowało się przerażenie, ale też nadzieja i niezłomna wiara w powodzenie jego wysiłków.

Nie znosił, kiedy ludzie tak na niego patrzyli... bo zawsze osiągnęli swój cel.

Obwiązał szyję rękawami swetra i zarzucił go sobie na plecy. Usta i nos zasłonił kawałkiem mokrej wełny, tworząc z niej filtr dla aż gęstego od popiołu powietrza.

Czując na plecach wilgoć przesiąkającą przez koszulę, ukląkł, by znów zaatakować odporne deski. Czuł wzrok wpatrzonej w niego Fiony i ciężącą na nim odpowiedzialność.

Szukając rozwiązania, zajrzał w szparę między podwieszonym sufitem a belkami stropowymi. Była wypełniona splątanymi przewodami elektrycznymi i rurami, które kładziono stopniowo, dokonując adaptacji domu mieszkalnego na sklep na parterze i mieszkanie na piętrze. Wszystkie dodatkowe instalacje były ułożone niechlujnie i na chybcika, wyraźnie odstając od solidnego wykonawstwa dawnych fachowców.

Wzrok Graya zatrzymał się w miejscu, w którym równy ciąg belek i desek nagle się urywał. Wyraźnie odróżniający się od reszty kwadrat o wymiarach metr na metr był obudowany dodatkowymi wzmocnieniami. A więc nie mylił się! Nie miał wątpliwości, że ma przed sobą zasklepiony otwór w stropie, przez który wchodziło się na piętro od dawna nieistniejącymi schodkami wewnętrznymi.

Ciekawe, jak bardzo się przyłożono do solidnego zasklepienia otworu.

Był tylko jeden sposób, by się o tym przekonać.

Wspiął się na regał i posuwając się po nim jak po równoważni, ruszył w stronę dawnego otworu w stropie. Dzielilo go od niego tylko kilka metrów, ale dotarcie tam wymagało przemieszczenia się w głąb sklepu i bliżej szalejącego ognia.

– Dokąd ty idziesz? – zaniepokoiła się Fiona.

Grayowi szkoda było oddechu na odpowiedź. Z każdym krokiem dym stawał się gęstszy i coraz bardziej dławiał, a żar bijący od ognia przypominał otwarty piec hutniczy. W końcu znalazł się tuż pod otworem.

Spojrzał w dół i stwierdził, że półki pod nim zaczynają się tlić. Znalazł się teraz na pierwszej linii ataku ognia.

Nie było chwili do stracenia.

Natężył się i uderzył łomem w sufit.

Koniec łomu bez trudu przebił się przez cienką warstwę. Otwór zasklepiono tylko kawałkiem płyty pilśniowej i pokryto płytkami PCW. Tak jak liczył, odwalono zwykłą partaninę. Chwała Bogu, że nie obowiązuje już dawna etyka zawodowa.

Czując, jak żar pali mu płuca i pokrywa skórę bąblami, zaczął gorączkowo rozbijać sufit. Już po chwili udało mu się zrobić otwór na tyle duży, że dawało się przez niego przecisnąć.

Wrzucił łom przez otwór i usłyszał, jak z brzękiem ląduje na podłodze piętra.

Obejrzał się i ruchem ręki przywołał Fionę.

– Wejdź na regał i...

– Widziałam, jak szedłeś. – Dziewczyna nie pozwoliła mu dokończyć i wdrapała się na regał.

Z dołu usłyszał głośny trzask i regał się zachwiał.

Jego waga i nadpalenie fragmentów szybko nadwyrężyły wytrzymałość regału. Sięgnął do otworu i podciągnął się, by choć trochę odciążyć konstrukcję.

– Pospiesz się – ponaglił Fionę, która z rękami rozpostartymi dla zachowania równowagi posuwała się po regale w jego stronę. Został jej jeszcze jakiś metr. – Pospiesz się – powtórzył.

– Nie musisz mi powta...

Odcinek regału pod Grayem zawalił się z głośnym trzaskiem. Czując, że półka ucieka mu spod nóg i spada, jeszcze mocniej wparł się w krawędzie otworu. Z dołu buchnął kłęb żaru, popiołu i ognia.

Fiona krzyknęła. Odcinek regału pod nią zachybotał się, ale jeszcze stał.

Zwisając na rękach, Gray krzyknął:

– Skacz na mnie! Złap mnie za szyję!

Regał pod dziewczyną ponownie się zachybotał i to ją zmobilizowało. Skoczyła na Graya z impetem, złapała go za

szyję i oplotła nogi wokół jego pasa. Niewiele brakowało, a spadłby pod jej ciężarem, ale jakoś wytrzymał.

– Spróbuj się wspiąć po mnie na górę. Dasz radę? – stęknął.

– Chyba... chyba tak.

Przez chwilę wisiała bez ruchu, jakby nie mogła się zdecydować.

Poszarpane krawędzie otworu zaczynały trzeszczeć pod ich ciężarem.

– Fiono... – ponaglił ją.

Czuł, że cała dygoce, w końcu jednak zaczęła przesuwać się na jego plecy. Od tej chwili jej wspinaczka stała się szybsza i sprawniejsza. Zaczepiła palcami stóp o jego pasek, stanęła mu na ramionach i chwilę później ze zręcznością małpki wpełzła na górę.

W dole pod nimi zaczynały już płonąć książki i drewniane półki.

Gray z ulgą podciągnął się za Fioną, przecisnął przez otwór i rozpląszczył na podłodze. Znajdowali się w środkowej części holu, skąd prowadziły drzwi do pokoi.

– Tu też się pali – szepnęła Fiona, jakby nie chcąc głośniejszym odezwaniami się przyciągnąć uwagi ognia.

Podnosząc się, Gray dostrzegł jarzącą się w głębi lokalu migotliwą czerwień. Zadymienie było tu nawet większe niż na dole.

– Ruszamy – rzucił. Wyścig jeszcze się nie skończył.

Pobiegł przez hol w kierunku przeciwnym do ognia i dotarł do jednego z zabitych frontowych okien. Przytknął oko do szpary między deskami. Na ulicy pod domem zebrał się już tłumek gapiów, w oddali słyhać było wycie syren. Był pewny, że wśród ciekawskich są też ich uzbrojeni prześladowcy.

Gdyby spróbowali wydostać się przez okno, wystawiliby się na strzał.

Fiona też przypatrywała się stojącym na ulicy ludziom.

– Nie dadzą nam tędy uciec, prawda?

– Znajdziemy inny sposób.

Gray odszedł od okna i spojrzał na sufit. Pamiętał widziane z ulicy mansardowe okno na poddaszu. Muszą wydostać się na dach.

Dziewczyna od razu domyśliła się, o co mu chodzi.

– W pokoju obok jest składana drabinka na strych – powiedziała, ruszając przodem. – Czasem przychodziłam tu poczytać, kiedy *mutti*... – Głos jej się załamał i umilkła.

Gray wiedział, że śmierć babci będzie ją prześladować latami. Spróbował ją objąć, ale ze złością odtrąciła jego rękę i odsunęła się.

– Tutaj – mruknęła, wchodząc do pomieszczenia, w którym kiedyś musiał być salon. Teraz stało tu tylko kilka skrzyń i stara zdezelowana kanapa.

Wskazała na klapę w suficie i zwisający z niej postrzępiony sznur.

Gray pociągnął za niego i z sufitu zjechała składana drewniana drabina. Wszedł na nią pierwszy, Fiona tuż za nim.

Strych nie nadawał się do mieszkania. Nad ich głowami sterczały gołe belki dachu, brodzili w płatach szklanej waty i szczurzych odchodach. Światło dzienne wpadało przez dwa okrągłe mansardowe okna w dachu, z których jedno wychodziło na ulicę, drugie na tył domu. Strych zasnuwała już cienka mgiełka dymu, ale nie było śladów ognia.

Gray postanowił skorzystać z tylnego okna. Wychodziło na zachód i cała połać dachu była o tej porze dnia pogrążona w cieniu. Również od tej strony zaczął się pożar, więc można było liczyć na to, że czujność podpalaczy będzie mniejsza.

Przeskakując z belki na belkę, ruszył w stronę okna. Pod stopami czuł bijący z dołu żar, a w jednym płacie izolacji zaczynało się już topić włókno szklane.

Dotarł do okna i wyjrzał. Dach wystawał na tyle, że zasłaniał podwórko, ale skoro nie mógł dojrzeć napastników, oni również nie mogli dojrzeć jego. Kłęby dymu buchające z okien na dole stanowiły dodatkową zasłonę.

Choć raz ogień okazał się ich sprzymierzeńcem.



Mimo to Gray uważał, by podczas otwierania okna stać z boku i nie być widocznym. Odczekał chwilę, ale nie padł żaden strzał. Dźwięk syren słyhać już było z ulicy przed domem.

– Pójdę pierwszy – szepnął Fionie na ucho. – Jeśli się okaże, że wszystko jest...

Nagle usłyszeli za plecami głąchą detonację.

Odwróciwszy się, zobaczyli, że ze środka tłącego się płata szklanej waty wystrzelił jęzor ognia, sięgnął belki dachowej i plując dymem, zaczął ją lizać. Dany im czas dobiegał końca.

– Za mną – rzucił Gray.

Wysunął się na zewnątrz i skulił. Na dachu było cudownie chłodno, a po tak długim przebywaniu w dymie powietrze wydawało się krystalicznie czyste.

Sprawdził stopami stabilność dachówek. Dach był dość stromy, ale podeszwy zapewniały dobrą przyczepność. Uznał, że przy zachowaniu ostrożności da się po nim przejść i skierował się ku prawej połaci dachu. Dzielący ich od dachu następnego domu odstęp wynosił niecały metr. Powinni bez trudu przeskoczyć.

– Dobra, Fiono... Tylko uważaj – rzucił półgłosem w stronę okna.

Dziewczyna wystawiła głowę i przez chwilę rozglądała się, potem wysmyknęła z okna i stanęła na dachu. Podparła się rękami i zamarła bez ruchu.

– Wszystko w porządku. Dobrze sobie radzisz – zapewnił ją Gray.

Spojrzała na niego i nie dostrzegła pękniętej dachówki, która pod jej ciężarem z głośnym trzaskiem złamała się na pół. Tak ją to wytrąciło z równowagi, że padła na brzuch i zaczęła się zsuwać po stromiźnie dachu.

Rozpościerając ręce i nogi, próbowała znaleźć punkt zaczepienia, ale bezskutecznie.

Gray skoczył ku niej, ale jego palce złapały powietrze.

Fiona zsuwała się coraz szybciej. Jej rozpaczliwe próby zatrzymania się skończyły się wyrwaniem kilku następnych

dachówek, które z hurgotem zjechały po dachu.

Gray leżał rozciągnięty na brzuchu. Nie mógł nic zrobić, by pomóc dziewczynie.

– Rynna! – krzyknął, zapominając o ostrożności. – Złap się rynny!

Ale wyglądało na to, że jego słowa nawet do niej nie dotarły. Rozpaczliwie darła palcami i stopami o dach, wydłubując kolejne dachówki. Potem przekreśliła się na bok i zaczęła się toczyć. Z jej piersi wyrwał się krzyk przerażenia.

Kilka pierwszych dachówek dotarło do krawędzi i poleciało w dół. Gray słyszał, jak uderzają w bruk podwórka i z hukiem roztrzaskują się na kawałki.

Chwilę później przyszła kolej na Fionę. Machając rękami, dotarła do krawędzi dachu i zawisała nad przepaścią.

I już jej nie było.

# 3

## UKUFA

### **Rezerwat zwierząt Hluhluwe Umfolozi Kwazulu, RPA Godzina 10.20 czasu miejscowego**

Dziesięć tysięcy kilometrów od Kopenhagi i w zupełnie innym świecie po dzikich bezdrożach Republiki Południowej Afryki pędził otwarty jeep.

Żar był już taki, że nad rozciągającą się wokół, wypaloną słońcem sawanną pojawiały się migotliwe miraże. W lusterku wstecznym widać było spieczoną równinę z pojedynczymi kępami suchych, kolczastych zarośli, przed maską wyrastało niewielkie wzniesienie gęsto porośnięte guzowatymi akacjami i wyschniętymi szkieletami żelaznych drzew.

– Tutaj, pani doktor? – upewnił się Khamisi Taylor.

Skręcił kierownicę, przejechał w poprzek wyschniętego koryta strumienia, wzbijając gęsty tuman pyłu, i spojrzał pytająco na siedzącą obok kobietę.

Doktor Marcia Fairfield, lekko wychylona do przodu, oparła rękę o ramę okna.

– Od drugiej strony – powiedziała, wyciągając drugą rękę. – Za tym wzniesieniem jest głęboka kotlina.

Khamisi zredukował bieg i skręcił w prawo. Jako strażnik zwierzyny w Parku Narodowym Hluhluwe Umfolozi miał obowiązek pilnować, by przestrzegano prawa. Kłusownictwo było poważnym przestępstwem, ale także codzienną

rzeczywistością. Szczególnie w bardziej oddalonych rejonach rezerwatu.

Nawet jego współplemieńcom Zulusom zdarzało się czasem oddawać tradycyjnym praktykom łowieckim i bywało, że musiał wymierzać kary kompanom własnego dziadka. Starszyzna plemienna nadała mu pseudonim, który w języku Zulusów oznaczał „Tłuszcioch”. Nazywano go tak bez chęci sprawienia mu przykrości, ale Khamisi wiedział, że to przezwisko ma pejoratywny podtekst. Jako ktoś pełniący obowiązki przynależne białym i tuczący się na krzywdzie swoich pobratymców, był w ich oczach odszczepieńcem. A nawet kimś obcym. Po śmierci matki, gdy miał dwanaście lat, wyjechał z ojcem do Australii, gdzie spędził znaczną część życia. Mieszkał w pobliżu Darwin na północy kraju i zaliczył nawet dwa lata na uniwersytecie stanowym Queenslandu. W wieku dwudziestu ośmiu lat wrócił do ojczyzny i zatrudnił się jako strażnik zwierzyny w rezerwacie. O przyjęciu do pracy zdecydowało zarówno wykształcenie, jak i jego plemienne korzenie.

Tuczy się na krzywdzie innych.

– Nie możesz jechać trochę szybciej? – niecierpliwiła się pasażerka.

Marcia Fairfield, szpakowata doktor biologii z Cambridge, cieszyła się powszechnym uznaniem w kręgach naukowych. Należała do ekipy, która zapoczątkowała operację Nosorożec i była często nazywana „Jane Goodall od nosorożców”<sup>2</sup>. Khamisi lubił z nią pracować. Ujmowała go jej naturalność i bezpośredniość – od wypłowiałej kurtki safari po przetykane siwizną włosy, związane w kucyk.

A także niezłomna pasja, która nią kierowała. Tak jak teraz.

– Nawet jeśli samica zdechła przy porodzie, cielak może jeszcze żyć. Tylko jak długo? – Uderzyła pięścią w ramę szyby. – Nie możemy stracić obojga.

Jako strażnik zwierzyny Khamisi doskonale ją rozumiał. Od roku 1970 populacja czarnych nosorożców w Afryce zmalała

o dziewięćdziesiąt sześć procent. Władze Parku Narodowego Hluhluwe Umfolozi chciały zapobiec dalszemu spadkowi pogłowia tak, jak udało się to zrobić z białymi nosorożcami.

Liczył się każdy czarny nosorożec.

– Natknęliśmy się na nią tylko dzięki temu, że ma wszczepiony nadajnik – ciągnęła doktor Fairfield. – Namierzyli ją z helikoptera. Ale jeśli urodziła, to cielaka w ten sposób nie znajdziemy.

– Czy cielak nie będzie się trzymać blisko matki? – spytał Khamisi. Kiedyś był świadkiem podobnego zdarzenia. Dwa lata temu natknął się na dwa małe lwiątko, które tuliły się do wystygłego brzucha lwicy zastrzelonej przez jakiegoś kłusującego „sportowca”.

– Wiesz, jaki jest los sierot. Do ciała matki zaczną się schodzić padlinożercy. Jeśli małe będzie w pobliżu, zwłaszcza jeśli będzie jeszcze ubrudzone krwią porodową...

Khamisi pokiwał głową. Wcisnął pedał gazu i podjechał w górę kamienistego zbocza. Tylne koła zatańczyły na piargach, ale się tym nie przejął.

Po drugiej stronie wzniesienia teren opadał licznymi rozpadlinami, w których szemrały strumyki. Porastała je też znacznie bujniejsza roślinność: sykomory figowe, mahoń i drzewa nyala. Był to jeden z nielicznych „mokrych” rejonów parku, a jednocześnie jedno z najdzikszych i oddalonych od zwykłych szlaków turystycznych miejsc w całym rezerwacie. Przebywanie w tym rejonie wymagało specjalnej przepustki i było możliwe tylko za dnia. Biwakowanie w nocy było kategorycznie zabronione. Teren, którego dotyczyły te obostrzenia, rozciągał się aż do zachodniej granicy parku.

Zjeżdżając wolno ze zbocza, Khamisi rozglądał się po okolicy. Jakiś kilometr dalej widać było biegnące w poprzek ogrodzenie. Trzymetrowej wysokości płot oddzielał park od sąsiadującego z nim prywatnego rezerwatu zwierząt. Tego typu prywatne posiadłości często sąsiadowały z państwowymi rezerwatami, dzięki czemu ich zamożni goście mogli liczyć na bliższy kontakt ze zwierzętami.

Tyle że akurat to sąsiedztwo nie należało do zwyczajnych.

Założony w 1895 roku rezerwat Hluhluwe Umfolozi był najstarszym parkiem narodowym w Afryce, podobnie, jak przylegający do niego prywatny rezerwat był najstarszą posiadłością tego typu. Teren ten był własnością prywatną jeszcze przed powstaniem parku i nadal należał do południowoafrykańskiej dynastii Waalenbergów – jednego z burskich rodów o korzeniach sięgających siedemnastego stulecia. Rezerwat rozciągał się na powierzchni równej jednej czwartej parku narodowego i mówiło się, że na jego terenie aż roi się od dzikich zwierząt, i to nie tylko przedstawicielei wielkiej afrykańskiej piątki: słoni, nosorożców, lampartów, lwów i bawołów, ale także przedstawicielei wszystkich występujących na kontynencie drapieżników i ich ofiar: krokodyli nilowych, hipopotamów, gepardów, hien, różnych gatunków antylop, szakali, żyraf, zebr, guźców i pawianów. Mówiono też, że w rezerwacie Waalenbergów uchowało się nawet stado niezwykle rzadkich okapi, i to zanim w roku 1901 odkryto i opisano tego krewniaka żyrafy.

Jednak na temat rezerwatu Waalenbergów krążyły też różne opowieści i pogłoski. Można się było do niego dostać tylko helikopterem lub niewielkim samolotem, bo drogi dawno już zarosły i wtopiły się w busz. Gośćmi rezerwatu bywali tylko wielcy tego świata i opowiadano na przykład, że po powrocie z polowania Teddy Roosevelt nakazał, by amerykańskie parki narodowe wzorować na rezerwacie Waalenbergów.

Khamisi dałby wiele za możliwość spędzenia tam choćby jednego dnia.

Jednak spośród pracowników parku zaszczyt ten przypadał tylko naczelnikowi całego Hluhluwe. Jednym z przywilejów związanych z objęciem stanowiska była tura po rezerwacie Waalenbergów, choć nawet wówczas wymagano pisemnego zobowiązania do zachowania dyskrecji. Khamisi miał nadzieję, że któregoś dnia i on zasłuży na ten zaszczyt.

Ale jednocześnie w to nie wierzył.

To nie było stanowisko dla czarnych.

Zuluskie pochodzenie i dobre wykształcenie mogłyby mu wprawdzie pomóc w ubieganiu się o nie, ale nawet po zniesieniu apartheidu istniały pewne granice. Tradycje z trudem odchodzą do lamusa, i to zarówno w umysłach białych, jak i czarnych. Niemniej swoją obecną pracę uważał za krok we właściwym kierunku. Jedną ze smutnych spuścizn apartheidu było to, że całe pokolenie czarnych dzieci dorosło niemal całkowicie pozbawione dostępu do oświaty, a jego znajomość świata od lat sprowadzała się tylko do sankcji, segregacji i zamieszek. Prawdziwie stracone pokolenie. I dlatego robił, co w jego mocy, by uchylać wszelkie drzwi i trzymać je otwarte dla wszystkich, którzy byli gotowi wejść.

Dlatego mógł być nawet Tłusciochem.

A jednak...

– Tam! – wykrzyknęła doktor Fairfield, sprowadzając jego myśli z powrotem ku wyboistemu, ledwie dostrzegalnemu szlakowi. – Skręć w lewo przy baobabie.

Khamisi dojrzał w oddali olbrzymie prehistoryczne drzewo, z którego gałęzi smutno zwisały ogromne białe kwiaty. Na lewo od niego teren ostro opadał, przechodząc na samym dole w rozłożystą kotlinę. Na jej dnie widać było lśnienie wody.

Wodopój.

Na terenie parku było wiele takich miejsc. Niektóre powstały w sposób naturalny, w powstaniu innych pomógł człowiek. Były najlepszymi punktami obserwacji zwierząt, ale stanowiły też największe zagrożenie dla ludzi.

Khamisi zatrzymał jeepa pod drzewem.

– Stąd będziemy musieli iść na piechotę.

Doktor Fairfield skinęła głową. Sięgnęli po strzelby, bo choć oboje byli zagorzałymi obrońcami przyrody, wiedzieli, jakie niebezpieczeństwa czyhają na wyżynie Weld.

Khamisi wysiadł i zarzucił na ramię swą wielkokalibrową dubeltówkę Nitro Holland & Holland Royal, kalibru .465, którą można było powstrzymać szarżującego słonia. Do łażenia po gęstym buszu wolał ją od strzelb z mechanizmem zamkowym.

Przedzierając się przez kłujące trawy i kępy ostrokrzewu, zaczęli schodzić z boczem. Splątane wysoko gałęzie osłaniały ich wprawdzie od słońca, ale tworzyły też głęboki cień wokół nóg. Khamisiego zaskoczył panujący wokół spokój. Poza bzyczeniem owadów nie było słycać nic: ani śpiewu ptaków, ani przekomarzania się małp. Trochę go ta cisza zaniepokoiła.

Idąca obok doktor Fairfield rzuciła okiem na ekranik monitora GPS i pokazała coś ręką.

Khamisi posłusznie skręcił i obszedł błotniste bajoro. Przedzierając się przez trzciny, czuł coraz wyraźniejszy smród zgnilizny. Chwilę później dotarł na skraj gęstego lasu i ujrzał jego źródło.

Samica czarnego nosorożca musiała ważyć z półtorej tony i była prawdziwym kolosem.

– Boże święty! – wykrzyknęła doktor Fairfield, zakrywając usta i nos chustką. – Kiedy Roberto namierzył ją z helikoptera...

– Z dołu zawsze wyglądają gorzej – zauważył Khamisi.

Podszedł do leżącego na lewym boku, rozdętego cielska. Ich nadejście poderwało w powietrze chmurę much. Brzuch zwierzęcia był rozpruty i wylewały się z niego napęczniałe od gazów wnętrzności. Była ich taka góra, że wydawało się niemożliwe, by mogły się kiedyś zmieścić w środku. Organy wewnętrzne zwierzęcia były rozwleczone po błocie, a krwawa smuga prowadząca w głąb gęstwiny pokazywała, którądy wywleczono wybrane kęski.

Muchy wróciły na swoje miejsce.

Khamisi ominął kawał nadjedzonej wątroby i przyjrzał się tylnej nodze nosorożca. Wyglądała na oderwaną od reszty ciała. Jak potężnych szczęk potrzeba było, by zrobić coś takiego...?

Nawet ogromny lew miałby z tym trudności.

Khamisi obszedł zwierzę i stanął obok głowy.

Jedno z krótkich uszu nosorożca było odgryzione, gardło brutalnie rozszarpane, martwe oczy szeroko otwarte, jakby chciały przekazać moment końcowej paniki. Wargi były cofnięte, świadcząc o bólu lub przerażeniu, z pyska wystawał



szeroki jezor, pod którym zebrała się kałuża skrzepłej krwi. Ale wszystko to nie było ważne.

Khamisi wiedział, co się liczy.

Nad pokrytymi pianą nozdrzami sterczał długi, lekko zakrzywiony, nietknięty róg.

– To zdecydowanie nie sprawka kłusownika – zawyrokował.

W przeciwnym razie rogu by nie było. Rogi były główną przyczyną wciąż szybko postępującego spadku populacji nosorożców. Sproszkowany róg trafiał na rynki azjatyckie, gdzie sprzedawano go jako lek na zaburzenia erekcji – swego rodzaju homeopatyczną viagrę. Na jednym rogu można było zbić majątek.

Khamisi wyprostował się.

Doktor Fairfield przykucnęła przy drugim końcu ciała. Oparła o nie strzelbę, na ręce założyła gumowe rękawiczki.

– Nie wygląda mi na to, żeby urodziła – rzekła zamyślona.

– A więc nie mamy osieroconego cielaka?

Biolog okrążyła zwierzę i podeszła do brzucha. Nachyliła się, bez cienia obrzydzenia odciągnęła płat rozszarpanej skóry i sięgnęła do środka.

Khamisi odwrócił głowę.

– Dlaczego to zwierzę nie padło łupem padlinożerców? – zastanawiała się, nie przestając grzebać w jego wnętrznościach.

– To straszna góra mięsa – mruknął Khamisi, podchodząc bliżej. W panującej wokół głuchej ciszy lejący się z nieba żar zdawał się jeszcze bardziej dokuczliwy.

Kobieta nie przerywała badania.

– Chyba nie w tym rzecz. Ciało leży od wczoraj w pobliżu wodopoju. Przynajmniej brzuch powinien być wyjedzony przez szakale.

Khamisi ponownie przyjrzał się zwierzęciu, jego niemal oderwanej od ciała tylnej nodze i rozszarpanemu gardłu. Tego nosorożca powaliło coś potężnego. I bardzo szybkiego.

Poczuł dreszcz na plecach.

I co z padlinożercami?

Te rozmyślania przerwał głos doktor Fairfield.

– Cielaka nie ma – powiedziała, unosząc głowę.

– Jak to? – Spojrzał na nią zdziwiony. – Mówiła pani, że nie urodziła.

Doktor Fairfield wyprostowała się, ściągnęła rękawiczki, wzięła do ręki strzelbę i nie odrywając wzroku od ziemi, przeszła kilka kroków. Khamisi dostrzegł, że podąża za krwawą smugą, którą zostawiło coś, co drapieżnik odciągnął w gęstwinę.

O Boże...

Poszedł jej śladem.

Doktor Fairfield rozgarnęła końcem strzelby nisko zwisające gałęzie drzew i ich oczom ukazały się resztki tego, co zostało wywleczone z brzucha padłej samicy.

Nienarodzonego cielaka nosorożca.

Jego wątłe ciało było poszarpane tak, jakby ktoś stoczył o nie walkę.

– Myślę, że w chwili wyrywania z macicy cielę jeszcze żyło – stwierdziła doktor Fairfield, wskazując ślady krwi. – Biedactwo...

Khamisi cofnął się parę kroków. Coraz bardziej nękało go pytanie zadane przez panią biolog: dlaczego nosorożcem nie zajęli się padlinożercy? Sępy, szakale, hieny, a nawet lwy. Kobieta miała rację. Takie góry mięsa nigdy nie stają się jedynie łupem much i robaków.

Coś tu jest nie tak.

Chyba że...

Serce Khamisiego zabiło mocniej.

Chyba że drapieżnik wciąż kręci się w pobliżu.

Bezwiednie uniósł dubeltówkę, raz jeszcze odnotowując panującą wokół martwą ciszę. Nawet w głębi lasu. Niemal tak, jakby cała dżungla zamarła ze strachu przed tym, co zabiło nosorożca.

Stojąc nieruchomo, zaczął węszyć nasłuchiwać, rozglądać się. Mrok wokół niego zdawał się gęstnieć.

Spędził dzieciństwo w Afryce Południowej i dobrze znał miejscowe przesady i podawane z ust do ust opowieści o potworach, które straszyły i napadały w dżungli. Takich jak

*ndalawo* – wyjący ludojad z lasów Ugandy; *mbilinto* – hipopotam wielkości słonia, żyjący na mokradłach Kongo; *mngwa* – kudłate straszdyło z nadbrzeżnych lasów kokosowych.

W Afryce nawet mity okazują się czasem prawdą. Tak było z *psui-fisi*. Nazywano tak pasiastego potwora ludojada z Rodezji, którego biali osadnicy od dawna uważali za stworzenie z baśni... aż do chwili, gdy po kilkudziesięciu latach okazało się, że pod nazwą tą kryje się nieznana dotąd odmiana geparda, sklasyfikowana później jako *Acinomyx rex*.

Rozglądając się nerwowo po zaroślach, Khamisi miał w głowie jeszcze jednego legendarnego potwora, znanego pod różnymi nazwami na terenie całej Afryki. Nazywano go *dubu*, *lumbwa*, *kerit*, *getet* i już sama wzmianka o nim wydobywała z ust krajowców okrzyk przerażenia. Wielkością dorównywał goryłom, był piekielnie szybki, przebiegły i straszliwie krwiożerczy. Od wieków znane były opowieści myśliwych – zarówno czarnych, jak i białych – którzy twierdzili, że się na niego natknęli. Dzieci uczono rozpoznawać charakterystyczne wycie potwora i kraj Zulusów nie był pod tym względem wyjątkiem.

– *Ukufa...* – wymamrotał Khamisi.

– Mówiłeś coś? – spytała doktor Fairfield. Nadal stała pochylona nad szczątkami cielęcia.

Tak brzmi zuluska nazwa potwora, którą przekazywano sobie szeptem w szałasach i obozowiskach.

*Ukufa.*

Śmierć.

Wiedział, dlaczego właśnie ten potwór przyszedł mu do głowy. Pięć miesięcy temu pewien wiekowy członek plemienia oznajmił, że widział w tych stronach *ukufę*. Pół zwierzę, pół upiór z płonącymi oczami, upierał się starzec. Ale tylko tacy jak on wiekowi i pomarszczeni starcy słuchali tego z zainteresowaniem. Inni – wśród nich Khamisi – udawali, że sobie ze starego pokpiwają.

Ale teraz, w mrocznej gęstwinie drzew...

– Powinniśmy już iść – powiedział głośno.

- Nie wiemy jeszcze, co ją zabiło.
- W każdym razie nie kłusownicy.

I ta wiedza całkowicie mu wystarczała. Machnął dubeltówką w stronę jeepa. Połączy się z szefem przez radio, przekaże raport i na tym sprawa się zakończy. Nosorożec zabity przez drapieżnika. Żadnych śladów kłusowania. Martwe zwierzę stanie się łupem padlinożerców. Zwyczajna kolej życia.

Doktor Fairfield wyprostowała się niechętnie.

Gdzieś z prawej, z mrocznej głębi dżungli, dobiegło posępne wycie zakończone dzikim świrdującym w uszach chichotem.

Khamisi zadygotał. Wycie wwierciło mu się w szpik, przywołując na myśl nocne obozowiska i opowieści przy ognisku o śmiertelnym niebezpieczeństwie i lejącej się krwi. Ale potrafiło w nim też czulsze struny, wywołując poczucie czegoś pierwotnego, czegoś nawiązującego do czasów, kiedy człowiek nie umiał jeszcze mówić i kierował się instynktem.

*Ukufa.*

Śmierć.

Wycie ustało i znów zapadła śmiertelna cisza.

Khamisi zmierzył w myślach odległość dzielącą ich od jeepa. Muszą się wycofać, ale nie wolno im wpaść w panikę. Oznaki strachu ofiary tylko pobudzają żądzę krwi u drapieżcy.

A potem rozległo się kolejne wycie.

I następne.

I jeszcze jedno.

Każde z innej strony.

Zapadła cisza i Khamisi pomyślał, że została im tylko jedna szansa.

– Uciekajmy!

**Kopenhaga, Dania**

**Godzina 9.31 czasu miejscowego**

Gray leżał na dachu, patrząc na miejsce, gdzie zniknęła mu z oczu Fiona. Nie mógł się uwolnić od widoku dziewczyny przy zasnutej dymem krawędzi dachu. Serce waliło mu jak oszalałe.

Boże, co ja narobiłem...

Poczuwszy na plecach falę żaru, obejrzał się i stwierdził, że z okna w dachu wydobywają się jęzory ognia. Było jasne, że musi zebrać się w sobie i uciekać.

Niechętnie wsparł się na łokciach, potem na dłoniach, w końcu wstał.

Ogień zrobił sobie chwilę przerwy i wycofał się z okna. W ciszy, jaka zapadła, słychać było dochodzące z dołu podniecone głosy, ale także... chyba jęk bólu. Jakby tuż zza krawędzi dachu.

Czyżby Fiona?

Ponownie rozpląszczył się na brzuchu i zaczął ostrożnie zsuwać. Dym buchający z okna na piętrze dławił go, ale jednocześnie stanowił doskonałą zasłonę.

Dotarł do rynny i ostrożnie spojrział w dół.

Tuż pod sobą zobaczył balkon z metalowych prętów... nie, nie balkon, podest schodów. Zewnętrznych schodów, o których wspominała Fiona.

I to ona leżała rozciągnięta na podeście.

Dziewczyna znów jęknęła, przekręciła się na brzuch i złapawszy się prętów balustrady, zaczęła wstawać.

Niestety, ci na dole też ją dojrzeli.

Gray wypatrzył dwóch mężczyzn. Jeden stał pośrodku wyłożonego płytami podwórka i z karabinem przyłożonym do ramienia czekał na ukazanie się celu. Czarny dym buchający z wybitego okna na piętrze całkowicie zasłaniał Fionę i strzelec widać czekał, aż dziewczyna wystawi głowę nad ogrodzenie podestu.

– Nie podnoś się – syknął do niej Gray.

Fiona spojrzała w górę. Z jej czoła kapała krew.

Drugi bandzior krążył po podwórku, trzymając w wyciągniętych rękach czarny pistolet. Pilnował schodów, by zapobiec wszelkim próbom ucieczki.

Gray pokazał Fionie na migi, żeby się nie podnosiła, potem przetoczył się wzdłuż krawędzi dachu i znalazł bezpośrednio nad człowiekiem z rewolwerem. Wydobywający się z okna dym w dalszym ciągu go zasłaniał, zresztą tamten i tak całą uwagę skupiał na schodach. Gray czekał. W ręce trzymał ciężką kamienną dachówkę – jedną z tych, które Fiona obluzowała w trakcie zsuwania się po dachu.

Wiedział, że może spróbować tylko raz.

Ten z rewolwerem postawił nogę na pierwszym stopniu schodów.

Gray wyjrzał za krawędź i uniósł rękę.

A potem przenikliwie gwizdnął.

Bandzior spojrzał w górę, jednocześnie wycelowując broń i przyklękając na jedno kolano. Był piekielnie szybki...

Ale nie da się wygrać z siłą ciężenia.

Cięnięta przez Graya dachówka rozpruła powietrze jak siekierka i trafiła bandziora prosto w zwróconą ku górze twarz. Krew buchnęła ze zmiążdżonego nosa i mężczyzna bezwładnie runął do tyłu. Uderzył głową w płytę chodnikową i znieruchomiał.

Gray przetoczył się z powrotem w stronę Fiony.

Człowiek z karabinem krzyknął.

Komandor nie spuszczał z niego oka. Miał nadzieję, że przygoda kolegi go zniechęci, ale się przeliczył. Bandzior przebiegł na drugą stronę podwórka i ukrył się w śmietniku mieszczącym kontener. Był w nim bezpieczny, nie tracąc pola ostrzału.

Gray dotarł nad Fionę i dał jej znak, by nadal się nie podnosiła. Uznał, że próba wciągnięcia jej na dach nie ma szans powodzenia. Oboje będą wtedy wystawieni na strzał i oboje zginą.

Zostało tylko jedno wyjście.

Trzymając się rynny, wysunął się poza krawędź i zawisł na jednej ręce. Puścił się, z metalicznym brzęknięciem spadł na podest i natychmiast przyłgnął do kraty.

Trafiona karabinową kulą cegła tuż nad jego głową rozpękła się z trzaskiem.

Gray sięgnął do pochwy przytroczonej do nogi i wyciągnął nóż.

Fiona patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami.

– Co my teraz...

– Ty zostajesz – powiedział twardo.

Położył rękę na poręczy. Wiedział, że jedyną jego przewagą może być moment zaskoczenia. Nie miał na sobie kamizelki kuloodpornej, nie dysponował żadną bronią poza nożem.

– Na mój sygnał zaczynasz zbiegać. Prosto w dół schodami, potem przez płot do sąsiadów. Zgłoś się do pierwszego lepszego policjanta albo strażaka. Dasz radę?

Fiona wlepiła w niego wzrok i przez chwilę wyglądało na to, że zacznie protestować. W końcu jednak zacisnęła usta i kiwnęła głową.

Dzielna dziewczyna.

Gray ważył nóż w dłoni. Znów miał tylko jedną szansę. Nabral powietrza, i trzymając się poręczy, wyskoczył.

– Biegiem! – wrzasnął i jednocześnie cisnął nóż w stronę człowieka z karabinem. Nie liczył na to, że go trafi. Chodziło mu bardziej o wywołanie zamieszania, które pozwoli mu go dopaść. W walce wręcz karabin jest mało przydatny.

Lądując na podwórku, odnotował dwie rzeczy.

Jedną dobrą, drugą złą.

Usłyszał nad głową tupot nóg na metalowych schodkach.

Fiona zbiegała na dół.

To dobrze.

Widział też, jak rzucony sztylet szybuje w kłębach dymu, uderza w śmietnik, odbija się i spada na ziemię. Nawet nie zbliżył się do celu.

A to niedobrze.

Snajper wyłonił się z kryjówki, spokojnie uniósł karabin i wycelował prosto w pierś Graya.

– Nie! – krzyknęła Fiona, która właśnie dobiegła do końca schodów.

Nawet nie siląc się na uśmiech triumfu, bandzior pociągnął za spust.

**Rezerwat zwierząt Hluhluwe Umfolozi  
Kwazulu, RPA  
Godzina 11.05 czasu miejscowego**

– Uciekajmy! – powtórzył Khamisi.

Doktor Fairfield nie potrzebowała zachęty i oboje puścili się pędem w stronę jeepa. Dotarłszy do wodopoju, Khamisi dał jej znak, że ma biec przodem. Spojrzała na niego i bez słowa wpadła między wysokie trzciny. Spostrzegła w jego oczach przerażenie i to jeszcze wzmogło jej strach.

Cokolwiek to było, co odbywało się w lesie, było na pewno wielkie, silne i rozjuszone krwią zabitej ofiary. Khamisi raz jeszcze spojrzał na zmasakrowane ciało nosorożca. W gruncie rzeczy nie było ważne, czy w leśnej gęstwinie, labiryncie strumyków i głębokich rozpadlin, kryje się upiór czy coś innego.

Odwrócił się i ruszył za Marcją. Idąc, odwracał głowę i nasłuchiwał, upewniając się, że nic ich nie ściga. Coś chlupnęło do pobliskiego bajora, ale tym się nie przejął. Chlupnięcie nie było zbyt głośne, a właściwie zdecydowanie za ciche. Jego wyćwiczony umysł analizował wszystkie dźwięki i odsiewał niegroźne w rodzaju brzęczenia owadów czy trzasku trzciny pod nogami. Był nastawiony na dźwięki sygnalizujące niebezpieczeństwo. Ojciec zaczął go uczyć polować, gdy miał zaledwie sześć lat. Wbijał mu wtedy do głowy, na jakie dźwięki powinien zwracać uwagę w trakcie podchodzenia zwierzyny.

Tyle że teraz to on stał się zwierzyną.

Gwałtowny łopot skrzydeł stanowił sygnał alarmowy dla wzroku i słuchu.

Coś się poruszyło.

Nieco dalej w lewo.



Na niebie.

W powietrze wzbiła się samotna dzierzba.

Coś ją musiało wystraszyć.

Coś, co się rusza.

Khamisi dogonił doktor Fairfield na skraju trzciny.

– Szybciej – szepnął. Wszystkie zmysły miał w stanie najwyższej gotowości.

Doktor Fairfield wyciągnęła szyję i machnęła strzelbą. Ciężko dyszała, jej twarz poszarzała. Khamisi podążył za jej wzrokiem. Jeep stał wysoko nad nimi, zaparkowany w cieniu baobabu na samej krawędzi wzniesienia. Dzielące ich od niego zbocze wydawało się znacznie dłuższe i bardziej strome, niż gdy tędy schodzili.

– Ruszajmy – ponaglił ją.

Obejrzał się i dostrzegł niewielką skalną antylopę, która wyskoczyła z lasu i pognęła skokami w górę zbocza, wzbijając obłoki kurzu.

Po chwili zniknęła mu z oczu.

Oni też muszą zniknąć.

Marcia Fairfield mozolnie wdrapywała się na zbocze. Khamisi podążał jej śladem, co chwilę odwracając się i omiatając dubeltówką linię lasu.

– To coś nie zabiło po to, żeby się pożywić – stęknęła doktor Fairfield.

Khamisi raz jeszcze spojrzał na ciemną plamę lasu. Jemu też coś mówiło, że nie chodziło o jedzenie.

– Motywacją nie był głód – ciągnęła biolog, jakby chcąc logicznym wywodem uspokoić nerwy. – Prawie nic nie zostało zjedzone. Wyglądało to tak, jakby zabito dla przyjemności. Jak domowy kot polujący na mysz.

Khamisi miał do czynienia z wieloma drapieżnikami i wiedział, że czegoś takiego w przyrodzie się nie spotyka. Lwy po uczcie są praktycznie niegroźne. Zwykle wylegają się leniwie i pozwalają nawet podejść do siebie dość blisko. Syty drapieżnik nie rozszarpałby nosorożca i nie wyrwałby z jego brzucha nienarodzonego cielaka dla samej tylko przyjemności.

Doktor Fairfield ciągnęła swój wywód, jakby rozwiązanie zagadki eliminowało grożące im niebezpieczeństwo.

– W świecie zwierząt domowych to właśnie syte, dobrze odżywione koty polują najczęściej. Mają dość energii i czasu na takie zabawy.

Zabawy?

Khamisi poczuł na plecach dreszcz.

– Proszę się pospieszyć – rzucił szorstko. Miał dość tych wywodów.

Kobieta skinęła głową, ale jej słowa wciąż dźwięczały mu w uszach. Bo jaki drapieżnik zabija dla czystej przyjemności? Oczywiście jest na to tylko jedna odpowiedź.

Człowiek.

Tego nosorożca nie mógł zabić człowiek.

Jego uwagę znów zwrócił jakiś ruch. Kątem oka dojrzał, jak na linii ciemnego lasu przesuwa się jakiś mglisty kształt i znika. Wszystko odbyło się tak szybko, że nie zdążył mu się przyjrzeć.

Pamiętał słowa starego Zulusa.

Pół zwierzę, pół upiór...

Mimo upału poczuł zimny dreszcz. Przyspieszył, niemal popychając swą starszą towarzyszkę. Spod ich stóp obsuwały się luźne łupki i piaszczysta gleba, dodatkowo utrudniając podchodzenie. Ale byli już niemal u celu. Do jeepa zostało im nie więcej jak trzydzieści metrów.

I wtedy Marcia się potknęła.

Upadła na kolano i osunęła się, wpadając na Khamisiego.

Ten zrobił krok do tyłu, nie postawił jednak dobrze stopy i z impetem wylądował na siedzeniu. Upadek i stromizna spowodowały, że zaczął koziółkować do tyłu i zanim udało mu się wyhamować piętami i kolbą dubeltówki, znalazł się znów prawie w połowie wzniesienia.

Kobieta siedziała nieruchomo, spoglądając przerażonym wzrokiem w jego stronę.

Ale nie na niego.

Patrzyła na las za jego plecami.

Khamisi podciągnął kolana i odwracając się, poczuł przeszywający ból w kostce. Sprawiała wrażenie zwichniętej, może nawet złamanej. Spojrzał w stronę lasu, ale nie dostrzegł niczego podejrzanego. Mimo to uniósł dubeltówkę.

– Uciekaj! – krzyknął. Kluczyki zostawił w stacyjce jeepa. – Uciekaj!

Wpatrując się w las, usłyszał, że doktor Fairfield z chrzęstem łupków gramoli się na nogi.

Od strony lasu rozległo się jeszcze jedno zawodzące wycie, szarpące i nieludzkie.

Khamisi skierował dubeltówkę w stronę lasu i pociągnął za spust. Huk wystrzału poniósł się po całej kotlinie. Wystraszona doktor Fairfield krzyknęła. Khamisi mógł mieć tylko nadzieję, że nie ją jedną wystraszył jego strzał.

– Biegnij do jeepa! – wrzasnął. – Ruszaj! Nie czekaj na mnie!

Podniósł się, starając się obciążać tylko jedną nogę i trzymać broń w pogotowiu. W lesie znów zapadła cisza.

Usłyszał, że doktor Fairfield dotarła wreszcie do szczytu wzniesienia.

– Khamisi! – zawołała.

– Bierz jeepa!

Zaryzykował i zerknął przez ramię do tyłu.

Zobaczył, że kobieta odwraca się i rusza w stronę samochodu. Jego uwagę zwrócił jakiś ruch w gałęziach baobabu. Kilka wielkich białych kwiatów lekko się zatrzęsło.

Przecież nie ma wiatru.

– Marcia! – wrzasnął. – Nie...

Tuż za nim rozległo się dzikie wycie, w którym utonęła reszta jego słów. Marcia Fairfield spojrzała w jego stronę.

Nie...

Jakiś mglisty kształt wyprysnął z głębokiego cienia potężnych konarów drzewa, runął w dół na kobietę, powalił na ziemię i wraz z nią zniknął Khamisiemu z pola widzenia. Strażnik usłyszał tylko przeraźliwy krzyk kobiety, zdławiony w pół oddechu.

I znów zapadła cisza.

Khamisi spojrział na krawędź lasu.  
Śmierć na górze i śmierć na dole.  
Została mu tylko jedna szansa.  
Zapominając o bólu w kostce, rzucił się do ucieczki.  
W dół zbrocza.

Pozwolił, by pod wpływem własnego ciężaru bardziej bezładnie spadał, niż zbiegał. Dotarł do podstawy wzniesienia, z trudem utrzymując się na nogach. Nie zatrzymując się skierował dubeltówkę w stronę lasu i wypalił z drugiej lufy.

Buum!

Nie liczył, że w ten sposób wystraszy polujących na niego drapieżców. Chodziło mu tylko o zyskanie na czasie. Odrzut strzelby pomógł mu też w utrzymaniu równowagi, bo zbocze już się skończyło i stał na płaskim gruncie. Kostka bolała jak przypalana żywym ogniem, serce waliło jak młot.

Dostrzegł – a może tylko wyczuł – ruch czegoś dużego na samej krawędzi lasu. Jakby jaśniejszego odcienia ciemności.

Pół zwierzę, pół upiór.

Choć niczego nie widział, nie miał wątpliwości, z czym ma do czynienia.

*Ukufa.*

Śmierć.

Jeszcze nie dzisiaj...

Rzucił się w trzciny i skoczył głową w przód w mętny wodopój.

## **Kopenhaga, Dania**

### **Godzina 9.32 czasu miejscowego**

Krzyk Fiony zlał się z hukiem wystrzału z karabinu bandziora.

Gray szarpnął się gwałtownie, by uniknąć śmiertelnego zranienia. W tym samym momencie w wypalonej dziurze po oknie na parterze coś się poruszyło.

Strzelec też to musiał zauważyć i ten nieoczekiwany ruch na tyle go zdekoncentrował, że spudłował o milimetry.

Gray poczuł, jak wystrzelony pocisk rozszarpuje mu skórę pod lewym ramieniem.

Mimo to udało mu się odskoczyć z linii strzału.

Coś wielkiego wyskoczyło z otworu okiennego, runęło na kontener na śmieci i dało susa na człowieka z karabinem.

– Bertal! – krzyknęła Fiona.

Ociekający wodą kudłaty bernardyn zacisnął potężne szczęki na ręce bandziora. Ten niespodziewany atak do tego stopnia go zaskoczył, że wypuścił karabin i cofnął się w głąb śmietnika.

Gray skoczył do przodu i złapał broń.

Za plecami usłyszał skowyt psa. Nim zdążył zareagować, bandzior skoczył nogami do przodu i trafił go obcasem w ramię. Uderzenie było tak silne, że Gray runął na bruk i napastnik bez trudu go przeskoczył.

Komandor przekręcił się na bok i spróbował wycelować karabin, ale mężczyzna biegł jak gazela. Powiewając czarnym płaszczem, dał susa przez murek otaczający ogród i zniknął. Chwilę później Gray usłyszał tupot nóg w uliczce.

– Łajdak...

Podbiegła Fiona z pistoletem w ręce.

– Ten drugi... – sapnęła, pokazując za siebie. – Zdaje się, że nie żyje.

Gray powiesił karabin na ramieniu i wyjął jej z rąk pistolet. Nawet nie próbowała protestować. Zbyt była zajęta czym innym.

– Bertal...

Pies wyłonił się ze śmietnika, ledwo powłócząc nogami. Jeden bok miał przypalony.

Gray spojrział na ogarnięty płomieniami sklep. Jak temu biedakowi udało się przeżyć? Pamiętał, gdzie widział go po raz ostatni. Ogłuszony wybuchem bomb zapalających i rzucony podmuchem o ścianę, leżał nieprzytomny na podłodze.

Fiona kucnęła i objęła ociekającego wodą psa.

Widać znalazł się bezpośrednio pod zraszaczem.

Uniosła mu łeb i zbliżyła twarz do jego pyska, tak że prawie stykali się nosami.

– Dobry pies.

Gray podzielał tę opinię. W końcu zawdzięczał mu życie.

– Masz u mnie tyle kaw, kolego, ile tylko sobie zażyczysz – powiedział.

Pies się zachwiał. Najpierw usiadł niepewnie, potem położył się na boku. Adrenalina, która tak pobudziła go do działania, wyraźnie przestawała działać.

Z lewej dobiegły ich podniesione głosy, wykrzykujące coś po duńsku. Wysoko nad ich głowami trysnął strumień rozpylonej wody. Walczący z pożarem strażacy przeszli na tyły kamienicy.

Gray nie mógł sobie pozwolić na dalsze stanie.

– Muszę iść – oznajmił. Fiona uniosła głowę i wlepiła w niego wzrok, potem przeniosła go na psa. – Zostań tu z Bertalem. Trzeba go zawieźć do weterynarza.

– A ty tak sobie po prostu odejdziesz... – syknęła. W jej oczach błysnęła złość.

– Przykro mi, muszę.

Po tym, co ostatnio przeżyła – śmierci babci, pożarze sklepu, uniknięciu o włos śmierci – zabrzmiało to dość miłą, ale nic innego nie przyszło mu do głowy, a na opowiadanie wszystkiego nie było czasu. Odwrócił się i bez słowa ruszył w głąb ogrodu.

– Jasne, idź sobie, spieprzaj! – wrzasnęła za nim.

Przeskoczył murek, czując, że pali go twarz.

– Zaczekaj!

Szybkim krokiem ruszył uliczką między ogrodami. Nie chciał jej tak zostawiać, ale nie miał wyboru. Wiedział, że da sobie radę bez niego. Służby ratunkowe, które zjechały się do pożaru, zajmą się nią. Tam, gdzie musi iść, nie ma miejsca dla piętnastolatek. Ale i tak czuł palący wstyd. Choć przyznawał też, że w głębi duszy czuje ulgę, iż uwalnia się od niej i odpowiedzialności za jej los.

Zresztą nieważne... sprawa zakończona.

Szedł szybkim krokiem cichą wąską uliczką. Pistolet wetknął za pasek spodni, ale magazynek karabinu opróżnił z naboju, zamachnął się i rzucił broń za stertę drewna do kominka. Zbyt rzucałaby się w oczy. Nie zatrzymując się, wciągnął na siebie sweter. Wiedział, że musi jak najszybciej wymeldować się z hotelu i zmienić tożsamość. Śmierć dwóch osób spowoduje śledztwo. Pora uśmiercić także doktora Sawyera.

Ale zanim to się stanie, musi jeszcze coś zrobić.

Wyciągnął z kieszeni spodni telefon i wcisnął automatyczne wybieranie numeru centrum dowodzenia. Po chwili połączono go z Loganem Gregorym, szefem operacyjnym misji.

– Mamy problem – zameldował.

– Co się stało?

– Dzieje się tu coś znacznie poważniejszego, niż zakładaliśmy. Na tyle poważnego, że są gotowi zabijać. – Zrelacjonował pokrótce ostatnie wydarzenia, po czym w słuchawce zapadło długie milczenie. – W tej sytuacji – rzekł w końcu Logan ponuro – najlepiej będzie, jeśli zawiesimy wszelkie działania do czasu wzmocnienia naszych sił na miejscu.

– Ale jeśli będę czekał na posiłki, zrobi się za późno. Aukcja jest za kilka godzin.

– Został pan zdekonspirowany, komandorze Pierce.

– Nie jestem tego pewien. Według uczestników aukcji jestem tylko nadmiernie wścibskim kupcem z Ameryki. Na pewno nie podejmą żadnych otwartych działań. Na aukcji będą tłumy, budynek jest dobrze chroniony. Mam jeszcze czas, żeby się rozejrzeć i spróbować dojść, o co tu naprawdę chodzi i kto za tym wszystkim stoi. Potem schowam się do dziury i poczekam na posiłki.

Chciał choć na chwilę dotknąć Biblii Darwina, rzucić na nią okiem.

– Nie uważam tego za rozsądny plan – oświadczył Logan. – Potencjalne zagrożenia znacznie przewyższają potencjalne korzyści. Zwłaszcza dla kogoś działającego samotnie.

To Graya zdenerwowało.

– Więc najpierw te łajdaki próbują usmażyć mi tyłek – powiedział podniesionym głosem – a teraz ja mam sobie na nim usiąść i beczynnie czekać, tak?

– Komandorze!

Gray zacisnął palce na telefonie. Logan najwyraźniej spędza zbyt dużo czasu za biurkiem. Jako zawiadujący misją rozpoznawczą był wystarczająco sprawny, jednak ta misja przestała polegać na zbieraniu danych. Szybko przekształcała się w misję wymagającą pełnego zaangażowania operacyjnego oddziału Sigmy. A skoro tak, powinien nią kierować ktoś z doświadczeniem operacyjnym.

– Może powinniśmy się zwrócić do dyrektora Crowe’a? – powiedział nieco łagodniej.

Znów zapadło długie milczenie. Może nie powinien tego mówić? Nie chciał obrazić Logana ani go pomijać. Tyle że człowiek sam powinien wiedzieć, kiedy należy ustąpić miejsca innym.

– Obawiam się, komandorze Pierce, że obecnie nie jest to możliwe.

– Dlaczego?

– Straciliśmy łączność z Nepalem.

Gray zmarszczył czoło.

– Z Nepalem? A co dyrektor robi w Nepalu?

– Jest tam w pana sprawie, komandorze.

– Co?

I dopiero po chwili go olśniło.

Odebrał ten telefon jakiś tydzień temu.

Zadzwoił stary przyjaciel.

Myśli Graya pobiegły w przeszłość, do jego początków w oddziale Sigmy. Jak wszyscy agenci Sigmy Gray miał za sobą służbę w siłach specjalnych. Jako osiemnastolatek wstąpił do wojska, mając dwadzieścia jeden lat przeniósł się do komandosów. Jednak gdy za uderzenie wyższego rangą oficera stanął przed sądem wojskowym, prosto z Leavenforth wcielono go do oddziału Sigma. Ale i tak miał poczucie krzywdy. Uderzenie oficera było jego zdaniem w pełni uzasadnione, bo



beztroska i brak kompetencji tego człowieka doprowadziły w Bośni do wielu niepotrzebnych śmierci, w tym także dzieci. Bunt Graya miał jednak głębsze podłoże. Chodziło o skomplikowaną kwestię sprzeciwu wobec wszelkich autorytetów, w czym istotną rolę odegrały jego relacje z ojcem. I choć kwestia ta nie została nigdy w pełni rozwiązana, to dzięki mądrości pewnego człowieka udało mu się odnaleźć własną ścieżkę przez życie.

Człowiek ów nazywał się Ang Gelu.

– Chcesz powiedzieć, że dyrektor Crowe jest w Nepalu w związku z tym moim buddyjskim mnichem?

– Painter wie, ile ten człowiek dla ciebie znaczy.

Gray się zatrzymał.

W ramach szkolenia w Sigmie spędził cztery miesiące w Nepalu jako uczeń Anga Gelu. A ściślej mówiąc, mnich był w dużej mierze autorem jego indywidualnego programu szkoleniowego. Program przewidywał przyspieszone studia z biologii i fizyki, ale to Ang Gelu spowodował, że jego nauka została poszerzona o umiejętność osiągnięcia stanu równowagi. Dostrzeganie harmonii przeciwieństw. Taoistyczną koncepcję yin i yang. Jedyńki i zera.

Umiejętność przeprowadzania autoanalizy pomogła Grayowi ostatecznie uporać się z demonami przeszłości.

Przez cały okres dorastania zmuszony był borykać się ze sprzecznościami. Wprawdzie jego ucząca w katolickiej szkole matka zaszczerpiła w nim potrzebę autentycznej duchowości, to jako wybitny biolog wierzyła niewzruszenie w teorię ewolucji i potęgę umysłu. Z takim samym entuzjazmem i wiarą podchodziła do prawd głoszonych przez naukę i Kościół.

No i był jeszcze ojciec, Walińczyk z Teksasu, grubo ciosany nafciarz, którego wypadek przy pracy w sile wieku spowodował do roli gospodyni domowej. Spowodowało to u niego poczucie krzywdy i chęć odwetu.

Wiadomo: jaki ojciec, taki syn.

I dopiero Ang Gelu pokazał Grayowi inną drogę.

Ścieżkę wijącą się pośród przeciwności. Kroczenie nią nie było łatwe i w równym stopniu zahaczało o przeszłość, co o przyszłość, i Gray wciąż się na niej gubił.

Ale Ang Gelu bardzo mu pomógł w jej znalezieniu i Gray był mu za to wdzięczny. I dlatego, gdy tydzień temu usłyszał jego wołanie o pomoc, nie potrafił zbyć tego milczeniem. Zwłaszcza że Ang Gelu opowiadał o dziwnych zdarzeniach – nagłych zniknięciach i tajemniczych chorobach – w górskiej dziczy w pobliżu chińskiej granicy.

Mnich nie miał do kogo zwrócić się o pomoc. Rząd w Nepalu był zbyt zajęty walką z maoistowskimi rebeliantami, natomiast o Grayu wiedział, że ma jakiś związek z prowadzeniem tajnych operacji. I dlatego zwrócił się do niego. Mając już na głowie misję w Danii, Gray powiadomił o prośbie Paintera Crowe'a.

Czyli zagrał w „podaj dalej”...

– Chodziło mi tylko o to, żeby Painter wysłał tam jakiegoś młodziaka – wybąkał Gray, nie wierząc własnym uszom. – Żeby sprawdził, co się tam dzieje. Chyba mógł ktoś inny...

– Mamy zastój – przerwał mu sucho Logan.

Gray przełknął przekleństwo. Wiedział, co Logan ma na myśli. Ten sam okres ciszy w globalnych zagrożeniach spowodował, że on sam znalazł się w Danii.

– I pojechał tam sam?

– Zna pan dyrektora. Zawsze pierwszy do wkładania palców w ogień. – Logan westchnął. – No i mamy problem. Przez kilka dni łączność była zerwana przez burzę, ale teraz burza się skończyła, a łączności nie udało się nawiązać. Natomiast z innych źródeł docierają do nas niepokojące wieści. Z gatunku tych, o których mówił twój przyjaciel. Nagłe zachorowania, epidemie, ofiary śmiertelne, może nawet zbrojny atak rebeliantów. Cały czas się to nasila.

Gray dopiero teraz zrozumiał, skąd bierze się to napięcie w głosie Logana.

Wyglądało na to, że nie tylko on znalazł się w tarapatach.

Nieszczęścia chodzą parami...

– Mogę panu podesłać Monka. On i kapitan Bryant właśnie są w drodze do mnie. Może być w Kopenhadze w ciągu dziesięciu godzin. Ale do jego przyjazdu ma pan zawiesić wszelkie działania.

– Tylko że wtedy będzie już po aukcji...

– Komandorze Pierce, to rozkaz.

– Szefie, mam już rozmieszczone mikrokamery przy wejściu i wyjściu z domu aukcyjnego. – Gray powiedział to nieco podniesionym tonem. – Niewykorzystanie tego byłoby niewybaczalne.

– Zgoda. Zatem proszę monitorować obraz z kamer, ale tylko z bezpiecznej odległości. I wszystko rejestrować. Ale nic więcej. Czy to jasne, komandorze Pierce?

Gray czuł narastającą złość, ale wiedział, że Logan ma na głowie ważniejsze sprawy. I że on sam mu je na tę głowę spuścił swoją prośbą o przysługę. Nie wypadało teraz narzekać.

– Tak jest, szefie.

– Poproszę o raport po aukcji – dodał Logan.

– Tak jest.

Połączenie zostało przerwane.

Gray ruszył w dalszą drogę. Trzymał się bocznych uliczek, cały czas czujnie się rozglądając. Czuł ogarniający go niepokój.

I o Paintera, i Anga Gelu...

Co się, do diabła, dzieje w tym Nepalu?

# 4

## OGNIE UPIORÓW

### Himalaje

#### Godzina 11.18 czasu miejscowego

– Jest pani pewna, że Ang Gelu nie żyje? – raz jeszcze upewnił się Painter, oglądając się za siebie.

Lisa potwierdziła skinieniem głowy.

Opowiedziała mu o „wypożyczeniu” jej z wyprawy szykującej się do ataku na Everest, by zbadała tajemniczą epidemię w klasztorze. Pokrótce zrelacjonowała wszystkie potworności, jakich była świadkiem: ataki szaleństwa i śmierć mnichów, wybuchy, atak bezlitosnego snajpera.

Painter słuchał, prowadząc ją podziemnymi korytarzami pod klasztorem. Wykute w kamieniu wąskie i niskie przejścia nie zostały zrobione z myślą o kimś jego postury i musiał się przez nie przeciskać skulony, a i tak często zaczepiał głową o zwisające pęki suszonego jałowca, z którego produkowano wonne pochodnie na potrzeby świątyni. Tej świątyni, która zamieniła się teraz w jedną wielką pochodnię, strzelającą płomieniami i kłębamii dymu w bezchmurne niebo.

Schronili się do piwnic przed ogniem. Byli bezbronni i Painter zdążył tylko porwać po drodze grubą opończę i parę wysokich futrzanych butów. Wyglądał w nich jak Indianin, choć naprawdę był nim tylko w połowie. Nie miał czasu szukać zabranego mu ubrania i ekwipunku.

W klasztorze stracił trzy dni życia.

A także pięć kilogramów wagi.

Narzucając na siebie opończę, zauważył, że żebra mu sterczą. Nawet ramiona wydawały się bardziej kościste. Chyba nie udało mu się całkiem uniknąć klasztornej zarazy, ale siły już mu wracały.

Na szczęście.

Bo w klasztorze wciąż grasował morderca.

Nawet w piwnicach słyhać było pojedyncze serie wystrzałów. Zabójca widocznie strzelał do każdego, kto próbował uciec z płonącego klasztoru. Lekarka opisała wygląd samotnego snajpera, ale zapewne byli też inni. Czyżby maoistowscy rebelianci? Bez sensu. Po co mieliby urządzić rzeź mnichów?

Painter szedł pierwszy, oświetlając drogę kieszonkową latarką, tuż za nim posuwała się Lisa.

Powiedziała mu, że jest Amerykanką, lekarzem medycyny, i że uczestniczy w wyprawie na Everest. Od czasu do czasu obrzucał ją taksującym spojrzeniem. Miała długie nogi, dość atletyczną budowę, blond włosy związane w koński ogon, policzki zaczerwienione od wiatru. I biło od niej przerażenie. Trzymała się blisko niego i nerwowo podskakiwała na odgłos wystrzałów nad ich głowami. Ale nie marudziła, nie płakała i nie opóźniała marszu. Wyglądało na to, że siłą woli trzyma nerwy na wodzy.

Tylko na ile jej tej siły starczy?

Gdy musiała odgarnąć z twarzy pęk suszącej się trawy cytrynowej, zauważył, że jej dłonie drżą. W miarę jak zagłębiali się w korytarze, powietrze stawało się coraz bardziej przesycone wonią ziół: rozmarynu, piołunu, górskiego rododendronu, khenpy. Wszystkie służyły do produkcji kadzideł.

Przełożony klasztoru, lama Khemsar, uczył Paintera sztuki doboru ziół zależnie od przeznaczenia: do oczyszczania ciała, do rozbudzania boskiej energii, do uwalniania się od szkodliwych myśli, a nawet do leczenia astmy i zwykłego przeziębienia. Jednak teraz Paintera najbardziej interesowały jego uwagi na temat układu podziemnych korytarzy

i przypominanie sobie drogi do tylnego wyjścia. Piwnice ciągnęły się pod wszystkimi budynkami klasztornymi i podczas wielkich opadów śniegu mnisi przechodzili pod ziemią z jednej części klasztoru do drugiej.

A także do stodoły, którą zbudowano na obrzeżach klasztoru. Stała z dala od innych zabudowań, nieobjęta pożarem i zapewne poza centrum uwagi snajpera.

Gdyby udało się tam dotrzeć... a potem przedostać się do wioski na dole...

Musi jak najszybciej nawiązać łączność z centrum dowodzenia Sigmy.

W głowie aż mu wirowało od natłoku myśli i wijących się korytarzy.

Zatrzymał się i oparł ręką o ścianę.

To chyba jednak coś więcej, bo poczuł zawrót głowy.

– Źle się pan czuje? – spytała Lisa z lekarską troską w głosie, zatrzymując się.

Parę razy głęboko odetchnął i pokręcił głową. Od momentu przebudzenia miewał zawroty głowy i chwile dezorientacji. Ale jeśli się nie oszukiwał, zdarzały mu się coraz rzadziej.

– Co się tam naprawdę wydarzyło? – spytała.

Zabrała mu latarkę, którą wcześniej wyjęła z apteczki pierwszej pomocy, i poświeciła mu w oczy.

– Nie wiem... nie jestem pewien... Ale musimy iść dalej.

Painter spróbował oderwać się od ściany, ale Lisa przytrzymała go dłonią położoną płasko na piersi. Nie przestawała bacznie wpatrywać się w jego oczy.

– Ma pan wyraźne objawy nystagmii poziomej – szepnęła, ściągając brwi i opuszczając latarkę.

– Czego?

Podawała mu menażkę z wodą i gestem ręki kazała usiąść na beli sprasowanego siana. Nie zaprotestował. Siano było twarde jak beton.

– Oczy wykazują oczopląs i tik źrenic. Ktoś uderzył pana w głowę?

– Chyba nie. To coś poważnego?

– Trudno powiedzieć. Ale może świadczyć o urazie oka lub mózgu... udar, stwardnienie rozsiane, uraz mechaniczny. Biorąc pod uwagę pańskie zawroty głowy, powiedziałabym, że doznał pan urazu układu przedsionkowego. Na przykład ucha wewnętrznego. Albo centralnego systemu nerwowego. Prawdopodobnie to stan przejściowy. – Tę ostatnią uwagę wymamrotała pod nosem bez większego przekonania.

– Co to znaczy „prawdopodobnie”, pani doktor?

– Proszę mi mówić Lisa. – Pewnie chciała odwrócić jego uwagę.

– Chętnie. Czy to znaczy, Liso, że to może być trwały uraz?

– Musiałabym zrobić więcej badań – powiedziała wymijająco. – Bliżej poznać przyczyny. Więc może zacznijmy od ustalenia, co się tak naprawdę wydarzyło.

Upił łyk wody. Bardzo chciałby jej odpowiedzieć, ale każda próba sięgnięcia pamięcią w przeszłość wywoływała świdrujący ból w oczodołach. Ostatnie dni okrywała gęsta mgła.

– Zatrzymałem się w wiosce poniżej klasztoru. Wiem, że w nocy w górach pojawiły się jakieś dziwne błyski, choć na własne oczy ich nie widziałem. Zanim się obudziłem, już ich nie było. Rano wszyscy w wiosce zaczęli się skarżyć na bóle głowy i nudności. Ja też je odczuwałem. Spytałem jednego z członków starszyny o te błyski. Powiedział, że pojawiają się od czasu do czasu, już od bardzo wielu lat. Ognie upiorów. Chodzi o jakieś złe duchy mieszkające w głębi gór.

– Złe duchy?

– Pokazał mi, gdzie pojawiają się te ognie. Wysoko w górach, w trudno dostępnym rejonie pełnym głębokich rozpadlin i pól lodowcowych, który ciągnie się w stronę chińskiej granicy. Ziemia niczyja, bardzo trudny teren. W niecce otoczonej tą dziczą stoi klasztor.

– A więc klasztor znajduje się bliżej źródła tych ogni, czy tak?

Painter skinął głową.

– W ciągu doby zdechły wszystkie owce. Niektóre padły tak, jak stały. Inne rozbijały sobie głowy o skały. Następnego dnia

wróciłem do klasztoru. Miałem silne bóle głowy i wymiotowałem. Lama Khemsar dał mi do wypicia jakieś zioła i to jest ostatnie, co pamiętam. – Upił następny łyk z menażki i westchnął. – Ocknąłem się zamknięty w jakiejś celi. Żeby się stamtąd wydostać, musiałem wyważyć drzwi.

– Miał pan szczęście – powiedziała Lisa, odbierając mu menażkę.

– Dlaczego?

– Że spędził pan tamtą noc z dala od klasztoru. Wygląda na to, że im bliżej ognia, tym ostrzejsze objawy. – Uniosła głowę i wbiła wzrok w sklepienie korytarza, jakby chciała je przewiercić na wylot. – Może to jakieś promieniowanie. Mówił pan, że niedaleko stąd do granicy chińskiej, tak? Więc może to jakiś próbny wybuch jądrowy?

Jemu też przyszło to do głowy.

– Dlaczego kręci pan głową?

Nawet nie zdawał sobie z tego sprawy. Położył sobie dłoń na czole.

– Nie powiedział mi pan – rzekła Lisa, marszcząc czoło – co pan tam właściwie robił.

– Proszę mi mówić po imieniu. Painter.

Lisa kiwnęła obojętnie głową.

Przez chwilę zastanawiał się, jak dużo ma jej powiedzieć, w końcu jednak uznał, że w tej sytuacji najlepsza będzie szczerłość. Przynajmniej w granicach rozsądku.

– Pracuję w amerykańskiej agencji rządowej o nazwie DARPA. Zajmujemy się...

– Wiem, czym jest DARPA. To centrum badawczo-rozwojowe armii amerykańskiej. Dostałam od nich stypendium na prace badawcze. A czego oni szukają w tym regionie?

– Cóż, wygląda na to, że nie tylko ciebie Ang Gelu poprosił o pomoc. Jakiś tydzień temu zwrócił się też do nas. Prosił o zajęcie się przypadkami masowych zachorowań w tym rejonie. Przyjechałem tu na rekonesans. Chciałem tylko ustalić, jakich specjalistów powinniśmy tu przysłać: lekarzy, geologów,



może wojskowych, ale zatrzymały mnie burze. Nie sądziłem, że zostaną odcięty na tak długo.

– I udało ci się coś ustalić?

– Na podstawie zebranych informacji zacząłem się obawiać, że miejscowe grupy rebeliantów mogły wejść w posiadanie odpadów nuklearnych i że pracują nad zbudowaniem brudnej bomby. Czyli mniej więcej to, co powiedziałaś o Chińczykach. Dlatego, czekając, aż skończy się burza, przeprowadziłem pomiary poziomu promieniowania. Nie stwierdziłem jednak żadnych anomalii.

Lisa przyglądała mu się badawczo jak naukowiec, który natknął się na nieznaną gatunek owada.

– Gdyby udało się zbadać cię w laboratorium – powiedziała zamyślona – może poznalibyśmy odpowiedź.

Nie owad tylko świnka morska.

Przynajmniej awansował na wyższy szczebel w drabinie ewolucji.

– Musimy najpierw wyjść stąd żywi – mruknął.

Sprowadzona tą uwagą na ziemię, Lisa uniosła głowę i spojrzała na sklepienie korytarza. Od pewnego czasu nie było słychać żadnych wystrzałów.

– Może uznali, że wszystkich już załatwili, więc jeśli posiedzimy tu spokojnie...

Painter wstał z beli siana.

– Z twojej opowieści wynika, że atak przeprowadzono bardzo metodycznie, według planu. A skoro tak, to napastnicy na pewno wiedzą o tych piwnicach i wcześniej czy później je przeszukają. Nasza jedyna nadzieja w tym, że zrobią to dopiero, kiedy ogień trochę przygaśnie.

– No to w drogę. – Lisa skinęła głową.

– I na pewno nam się uda – zapewnił, opierając się ręką o ścianę. – Na pewno – powtórzył bardziej do siebie niż do niej.

Ruszyli.

Po kilku krokach Painter poczuł, że już pewniej stoi na nogach.

No i dobrze.

Do wyjścia nie może być daleko.

Jakby na potwierdzenie poczuł powiew świeżego powietrza, który zaszeleścił pękami suchych ziół. Poczawszy na twarzy muśnięcie chłodu, od razu wyteżył słuch. Zadziałał instynkt tropiciela, wyrobiony podczas ćwiczeń operacyjnych, ale odziedziczony też po indiańskich przodkach. Sięgnął za siebie i ostrzegawczo ścisnął łokieć Lisy.

Zgasił też latarkę.

Niedaleko przed nimi coś ciężkiego spadło na ziemię. Odgłos uderzenia poniósł się echem po korytarzu. Nastąpiła długa chwila ciszy, a potem jakby trzaśnięcie drzwiami. Świeży podmuch ustał.

Już nie byli sami.

Zabójca przykucnął w korytarzu i zamarł w bezruchu. Nie miał wątpliwości, że ktoś się kryje w piwnicach, nie wiedział tylko, czy to jeden człowiek, czy kilku? Zarzucił karabin na ramię i wyjął pistolet Heckler & Koch MK23. Na rękach miał tylko cienkie wełniane rękawiczki bez palców. Trwał w bezruchu, nasłuchując.

Ciche szmery i oddalający się szelest stóp.

Jest ich co najmniej dwóch... może trzech.

Sięgnął nad głowę i pociągnął klapę w podłodze stodoły. Zamknęło to dopływ światła i świeżego powietrza i w korytarzu zapanowała ciemność. Naciągnął na twarz noktowizyjne gogle i włączył przyczepioną do ramienia lampę ultravioletową. Korytarz przed nim rozjarzył się srebrzystozielonkawą poświatą.

Ciągnące się wzdłuż ścian półki zastawione były konserwami i rzędami uszczelnionych woskiem słoików z bursztynowym miodem. Minął je, stąpając wolnym miarowym krokiem. Nie musiał się spieszyć. Pozostałe wyjścia z piwnicy znajdowały się w ogarniętym płomieniami pogorzeliśku. Wcześniej pozabijał mnichów, którym resztki

świadomości kołaczącej się w zaburzonych umysłach kazały uciekać od ognia.

Zrobił to w akcie litości.

Sam to wiedział najlepiej.

Za mocno uderzono w Dzwon.

To był wypadek. Jeden z wielu, do jakich ostatnio doszło.

W ciągu minionego miesiąca wśród załogi *Granitschloss* wyczuwało się nastrój podniecenia. Było tak jeszcze przed wypadkiem. W zamku działo się coś, co docierało nawet do pustkowiec, gdzie mieszkał. Ale nie zwracał na to uwagi. Nie miał powodu się tym przejmować.

Potem zdarzył się ten wypadek... i sprawa zaczęła go dotyczyć.

Musiał po nich posprzątać.

Należało to do jego obowiązków, jako jednego z ostatnich żyjących *Sonnenkönige*. Królowie Słońca kończyli się – zarówno pod względem liczby, jak i znaczenia – przemieniając się stopniowo w grupę anachronicznych dziwolaków, których wszyscy zaczęli unikać i wręcz wstydzić się. Ich dni były policzone.

No i dobrze.

Przynajmniej dzisiejsze zadanie było niemal skończone. Do posprzątania została mu już tylko piwnica i będzie mógł wrócić do swej pustelni. Dramat w klasztorze pójdzie na konto maoistowskich rebeliantów. Bo komu poza bezbożnymi maoistami chciałoby się atakować strategicznie nieistotny klasztor?

By uprawdopodobnić tę wersję, posługiwał się amunicją używaną przez rebeliantów.

A także bronią.

Z pistoletem w wyciągniętej ręce przesunął się obok kilkunastu otwartych dębowych beczek z zapasami żywności. Zboże, ryż, mąka, nawet suszone jabłka. Posuwał się bardzo ostrożnie, uważając, by nie wpaść w zasadzkę. Mnisi mogli mieć zaburzone umysły, ale nawet szalenciec zapędzony do narożnika potrafi wykrzesać z siebie dużo sprytu.

Korytarz skręcał w lewo. Zabójca oparł się o prawą ścianę i zaczął nasłuchiwać wszelkich podejrzanych szmerów. Zsunął z oczu noktowizyjne gogle.

Absolutna czern.

Ponownie nasunął gogle i korytarz ukazał się w zielonkawej poświacie. Pozwoli mu to dostrzec ruchy przeciwników dużo wcześniej, zanim oni zauważą jego. Nie mają szans na ucieczkę. By dostać się do jedyne go bezpiecznego wyjścia, muszą przejść obok niego.

Wysunął się za załom korytarza.

W poprzek przejścia leżała niewielka bela siana, zapewne strącona w pośpiechu przez uciekających. Spojrzał w głąb korytarza. Widać było kolejne beczki, ze sklepienia zwisały pęki suszących się ziół.

Panowała martwa cisza i całkowity bezruch.

Przełożył nogę nad belą i przeniósł ciężar ciała na drugą stronę.

Usłyszał trzaśnięcie suchej gałązki jałowca.

Spojrzał pod nogi. Podłoga zasłana była warstewką gałązek.

Pułapka.

– Teraz!

Podniósł wzrok w chwili, gdy korytarz przed nim wypełnił się oślepiającym światłem. Seria błysków, wzmocnionych jeszcze przez noktowizyjne gogle, wwierciła mu się w mózg i na moment zupełnie oszołomiła.

Flesz aparatu fotograficznego.

Wystrzelił na oślep.

Huk wystrzału w ciasnym wnętrzu piwnicy był ogłuszający.

Czający się w ciemnościach widać czekali na trzask gałązki pod butem. Dźwięk zdradził jego pozycję i wtedy zaatakowali. Odruchowo zrobił krok do tyłu i potknął się o belę siana.

Oddany w tej samej sekundzie strzał poszedł w sklepienie.

To był błąd.

Wykorzystując moment zaskoczenia, ktoś go zaatakował. Został uderzony nisko w nogi i runął do tyłu przez belę siana. Wyrznął plecami w kamienną podłogę i w tym samym

momencie poczuł ukłucie w udo. Próbując podnieść się na kolana, usłyszał stęknienie tego, kto go trzymał.

– Już! – krzyknął ten ktoś, przygważdżając do podłogi jego rękę z pistoletem. – Uciekaj!

Napastnik krzyczał po angielsku. A więc to nie mnisi.

Dzięki powracającej zdolności widzenia dostrzegł jakiś przemykający obok cień i usłyszał tupot nóg biegnących w stronę wyjścia w stodole.

– *Scheisse* – zaklął wściekle.

Szarpnął się i bez trudu strząsnął z siebie napastnika. *Sonnenkönige* nie byli zwykłymi ludźmi. Napastnik grzmotnął w ścianę korytarza, odbił się i zaczął gramolić się na nogi, chcąc zapewne ruszyć za pierwszym uciekinierem. Ale zdolność widzenia wróciła zabójcy już w pełni, a blask oddalającego się światła nieco rozjaśnił ciemności. Z wściekłością chwycił napastnika za kostkę i pociągnął ku sobie.

Tamten zamachnął się drugą nogą i wymierzył mu kopniaka w łokieć.

Zabójca stęknął z bólu i wgniótł kciuk w unerwione miejsce za ścięgnem Achillesa. Napastnik zawył. Zabójca dobrze wiedział, jaki ból sprawia ucisk tego miejsca. Jakby ktoś łamał ci nogę w kostce. Pociągnął napastnika za nogę.

Wyprostował się i wtedy poczuł, że cały świat zaczyna wirować, a siły uchodzą jak powietrze z przekłutego balonu. Czuł pieczenie na udzie w miejscu zranienia. Spojrzał na nogę. Nie, to nie zranienie. To ukłucie igłą strzykawki, która wciąż jeszcze tkwiła wbita w jego udo.

Czymś go odurzono.

Napastnik wywinął się z jego słabnącego chwytu, odskoczył i zaczął uciekać.

Nie może puścić go żywego.

Uniósł pistolet – teraz ciężki jak sztaba żelaza – i strzelił. Pocisk odbił się rykoszetem od ziemi. Czując, że szybko słabnie, wystrzelił ponownie, ale cel zniknął za załomem.

Słysząc już było tylko tupot nóg.

Opadł na kolana, czując w kończynach obezwładniający ciężar. Jego serce waliło jak oszalałe. Serce dwukrotnie większe od serca zwykłego człowieka, ale normalne dla Króla Słońca.

Kilka razy głęboko odetchnął, czekając, aż jego metabolizm wróci do normy.

*Sonnenkönige* nie są zwykłymi ludźmi.

Powoli podniósł się na nogi.

Ma zadanie do wykonania.

Tylko po to przyszedł na ten świat.

By służyć.

Painter wyszedł z podziemia i opuścił za sobą klapę.

– Pomóż mi – rzucił, kuśtykając w głąb stodoły. Na całą nogę promieniował mu nieznośny ból. – Musimy nasunąć te skrzynie na klapę.

Uniósł pierwszą z brzegu. Okazała się zbyt ciężka; wymknęła mu się z rąk i upadła na podłogę z metalicznym brzękiem. Zaczął ją ciągnąć. Nie miał pojęcia, co jest w środku, ale była piekielnie ciężka.

Ustawił skrzynię na klapie w podłodze.

Lisa zaczęła mocować się z drugą. Pomógł jej, chwytając jednocześnie trzecią. Wspólnym wysiłkiem dociągnęli je do klapy.

– Jeszcze jedną – sapnął Painter.

Lisa popatrzyła na stertę trzech skrzynek.

– Przecież nikt tego nie podniesie – zdziwiła się.

– Jeszcze jedną – powtórzył Painter, ciężko dysząc. – Zaufaj mi.

Przeciagnęli ostatnią skrzynię i wspólnym wysiłkiem ułożyli ją na wierzchu.

– Ten zastrzyk wyłączy go z obiegu na dobre parę godzin. – Lisa się skrzywiła.

Jakby na przekór jej słowom, rozległ się huk wystrzału, pocisk przebił klapę i utkwiał w belce dachowej.

– Chyba będziesz musiała zweryfikować swoją diagnozę – mruknął Painter, odciągając Lisę na bok.

– Wstrzyknąłeś mu cały midazolam... ten trankwilizator, który ci dałam?

– Jasne.

– No to jakim cudem...

– Nie wiem. I specjalnie mnie to teraz nie interesuje.

Pociągnął ją ku otwartym drzwiom stodoły. Upewnili się, że nikt nie pilnuje wyjścia, i wyszli na zewnątrz. Na lewo od nich ciągnęły się dopalające się i dymiące ruiny klasztornych zabudowań, z których strzelały w niebo wirujące w powietrzu płonące szczapy.

Gęste czarne chmury całkowicie zakrywały wznoszące się nad nimi szczyty.

– Taski miał rację. – Lisa westchnęła, naciągając na głowę kaptur skafandra.

– Kto?

– Nasz przewodnik, Szerpa. Ostrzegał nas, że dziś nadejdzie nowy front burzowy.

Painter podążył wzrokiem za strzelającymi w niebo płomieniami. Z góry zaczęły lecieć ogromne, białe płatki śniegu; tańczyły wśród chmur żarzącego się czarnego popiołu. Ogień i lód zmieszane. To odpowiedni sposób upamiętnienia kilkudziesięciu mnichów, którzy żyli w tym klasztorze.

Painter miał okazję poznać tutejszych, pełnych dobroci i łagodności mieszkańców i czuł narastającą wściekłość. Kto mógł dokonać tak bestialskiej rzezi niewinnych mnichów?

Nie umiał powiedzieć kto, ale domyślał się dlaczego.

Powodem musiał być ten nagły wybuch epidemii.

Coś się wydarzyło i ktoś próbował to zatuszować.

Rozmyślenia przerwała mu potężna eksplozja w stodole. Z otwartych drzwi wydobył się kłęb ognia i dymu, w powietrzu poszybowała pokrywa którejś ze skrzyń.

Painter złapał Lisę za rękę.

– Czy to znaczy, że sam się wysadził w powietrze? – jęknęła, wpatrując się z niedowierzaniem w drzwi stodoły.

– Nie „się”, tylko wyście z piwnicy. Uciekajmy. Pożar długo go tam nie zatrzyma.

Ruszyli po oblodzonej ziemi i obszedłszy z daleka zamarznęte ciała padłych owiec oraz kóz, dotarli do wyjścia z zagrody.

Śnieg sypał coraz obficie. Z jednej strony było to szczęśliwe zrządzenie losu, z drugiej groziło dodatkowymi komplikacjami. Painter miał na sobie tylko wełnianą opończę i wysokie futrzane buty, co nie stanowiło ubioru godnego polecenia na śnieżycę, za to mogli liczyć, że padający gęsto śnieg szybko zasypie ich ślady i uczyni ich praktycznie niewidzialnymi.

Painter poprowadził Lisę ścieżką nad krawędzią urwiska, która dalej wiła się zakosami ku leżącej daleko w dole wiosce. Tej samej, w której kilka dni wcześniej spędził noc.

– Spójrz! – krzyknęła nagle Lisa.

U stóp urwiska widać było strzelający w niebo słup dymu – nieco tylko skromniejszą wersję tego, co mieli za plecami.

– Wioska... – syknął Painter, zaciskając pięści.

A więc postanowiono pozbyć się świadków nie tylko w klasztorze. Kilkanaście chat w kotlinie też podpalono.

Painter cofnął się ze ścieżki biegnącej tuż przy krawędzi urwiska. Była zbyt dobrze widoczna z dołu.

Podpalacze mogli jeszcze być w wiosce i mieć na oku ścieżkę prowadzącą z klasztoru.

Lisa i Painter zawrócili po swoich śladach na pogorzelnisko.

– No i dokąd teraz pójdziemy? – spytała martwym głosem.

Painter wyciągnął przed siebie rękę.

– Tam, przez ziemię niczyją – odrzekł.

– Ale przecież właśnie tam...

– ...widziano te ognie – dokończył. – Ale w tej dziczy łatwiej będzie się zgubić. Znaleźć schronienie. Zaszyć się w jakiejś dziurze i przeczekać nawałnicę. Poczekamy, aż ktoś się zjawi, żeby zbadać przyczynę pożaru.

Raz jeszcze popatrzył na bijący w niebo słup czarnego dymu. Powinien być widoczny z odległości wielu kilometrów. Jak sygnał dymny, jakich jego indiańscy przodkowie używali do



porozumiewania się. Tylko czy ktoś go zauważy? Spojrzał na kłębiące się nisko chmury. Chciałby je rozpędzić wzrokiem, by dym rozchodzący się po czystym niebie mógł z daleka sygnalizować niebezpieczeństwo.

Ale zanim tak się stanie...

Nie miał wyboru.

– Ruszamy – rzucił.

## **Waszyngton, DC**

### **Godzina 1.25 czasu miejscowego**

Monk i Kat wkroczyli na ciemny Capitol Plaza. Szli ramię w ramię, krok w krok, choć zespała ich bardziej wzajemna uraza niż miłosne uniesienie.

– Wolałabym odczekać – powtórzyła Kat. – Jeszcze za wcześnie. Jeszcze wszystko może się zdarzyć.

Monk czuł od niej woń jaśminu. Po rozmowie z Loganem wzięli razem szybki prysznic, pieszcząc się i stojąc ciasno spleceni w strumieniu wody. Jednak gdy już zaczęli się wycierać i ubierać, z każdym zapinanym guzikiem i każdym zasuwany zamkiem dopadało ich coraz wyraźniejsze poczucie rzeczywistości, studzącej namiętność równie skutecznie jak nocny chłód.

Monk zerknął na idącą obok Kat.

Ubrana była w granatowe spodnie, białą bluzkę i wiatrówkę z emblematem US Navy. Jak zawsze zapięta na ostatni guzik, tryskająca profesjonalizmem i lśniąca gotowością, jak jej wyczyszczone na glans, czarne skórzane pantofle. Jakby dla kontrastu Monk miał na sobie czarne reeboki, džinsy, jasnobezowy golf i baseballówkę z emblematem Chicago Bulls.

– Póki nie będę całkowicie pewna – upierała się Kat. – Do tego czasu wolałabym nic nie mówić o ciąży.

– Co to znaczy „póki nie będę zupełnie pewna”? Póki nie będziesz pewna, że chcesz tego dziecka? Póki nie będziesz

pewna nas?

Spierali się tak przez całą drogę od wyjścia z mieszkania Kat w starym wiktoriańskim domu noclegowym przy Logan Circle, który przebudowano na niewielki apartamentowiec. Do Kapitolu było stąd tylko parę kroków, ale tego wieczoru nawet ten krótki spacer dłużył im się niemiłosiernie.

– Monk...

Zatrzymał się. Już wyciągał do niej rękę, ale w pół drogi ją opuścił. Mimo to stanęła.

– Czekam na odpowiedź, Kat – rzekł, wbijając w nią wzrok.

– Chcę mieć pewność, że ta ciąża... sama nie wiem... że wszystko jest w porządku. Zanim komuś o tym powiem, chcę, żeby się trochę rozwinęła.

Oczy jej błyszczały, jakby zbierało jej się na płacz.

– Kochanie, właśnie dlatego powinniśmy wszystkim powiedzieć. – Podszedł bliżej i położył rękę na jej brzuchu. – Dla bezpieczeństwa tego, co tu teraz rośnie.

Odwróciła się do niego tyłem i jego dłoń znalazła się na jej plecach.

– Może masz rację – przyznała. – Może chodzi mi o karierę... może to nie jest właściwy moment.

– Gdyby wszystkie dzieci miały się rodzić tylko we właściwym momencie, świat szybko stałby się bezludną pustynią. – Monk westchnął.

– Monk, to nie fair. Łatwo ci mówić, bo nie chodzi o twoją karierę.

– Akurat! Wydaje ci się, że przyjście na świat dziecka nie wpłynie na moje życie, na moje zawodowe decyzje? Wszystko się zmieni.

– Właśnie. I to mnie najbardziej przeraża.

Oparła się o niego, a on otoczył ją ramieniem.

– Przejdziemy przez to wszystko wspólnie – szepnęła. – Przrzekam.

– Ale i tak wolałabym nic na razie nie mówić. Przynajmniej przez kilka dni. Nawet nie byłam jeszcze u lekarza. Może test ciążowy oszukuje?

– Ile razy go zrobiłaś? – Wtuliła się w niego. – No, ile?

– Pięć – szepnęła.

– Pięć? – Z trudem się powstrzymał, by nie parsknąć śmiechem.

Wymierzyła mu żartobliwego kuksańca, ale i tak zaboląo.

– Nie kpj sobie ze mnie – obruszyła się, ale w jej głosie dźwięczał śmiech.

– Zgoda – powiedział, obejmując ją mocniej. – Więc na razie to będzie nasz sekret.

Obróciła się w jego ramionach i pocałowała go, ale nie namiętnie. Ot, zwykłe cmoknięcie dla wyrażenia wdzięczności. Rozwarli ramiona, lecz ich palce pozostały splecione. Pogodzeni, ruszyli przed siebie.

Przed nimi wznosił się rześiście oświetlony cel ich wędrówki: zamek Smithsonian. Zbudowane z czerwonej cegły mury obronne, baszty i wieże połyskiwały w ciemnościach, stanowiąc dość dramatyczny dysonans w jednorodnej zabudowie miasta. W głównym budynku mieściło się centrum informacyjne Smithsonian Institution, w dawnym schronie przeciwbombowym w podziemiach zlokalizowano natomiast centrum dowodzenia Sigmy, przez co ściśle tajne projekty badawcze naukowców DARPA prowadzone były w samym sercu kompleksu muzeów i instytutów badawczych Smithsonian.

Zbliżali się już do zabudowań zamkowych i Kat uwolniła palce z dłoni Monka.

Spojrzał na nią uważnie. Niektóre jej reakcje wciąż budziły jego niepokój.

Mimo zawartego porozumienia czuł, że niepewność jej nie opuszcza. Czyżby chodziło o coś więcej niż tylko o dziecko?

Póki nie będę całkowicie pewna.

Pewna czego?

Niespokojne myśli towarzyszyły mu przez całą drogę korytarzami do podziemnej siedziby centrum dowodzenia Sigmy, jednak gdy już znalazł się w środku i wysłuchał relacji

Logana Gregory'ego, jego myślami zawładnęły zupełnie inne zmartwienia.

– W całym regionie wciąż trwają burze śnieżne, w rejonie Zatoki Bengalskiej szaleją sztormy z silnymi wyładowaniami elektrycznymi – mówił Logan, siedzący za lśniącym nieskazitelnym porządkiem biurkiem. Cała ściana jego gabinetu pokryta była ekranami płaskich monitorów komputerowych. Na dwóch płynęły jakieś wykazy danych. Na jednym widać było obraz przekazywany na żywo z satelity meteorologicznego nad Azją.

Monk podał Kat fotografię wykonaną podczas jednego z wcześniejszych okrążeń satelity.

– Mamy nadzieję, że jeszcze przed wschodem słońca uzyskamy nowe informacje – ciągnął Logan. – O świcie czasu miejscowego Ang Gelu poleciał helikopterem, żeby dowieźć do klasztoru lekarza. Wykorzystali okres spokoju między kolejnymi atakami burzy. W Nepalu jest dopiero południe, więc za wcześnie na komunikat, ale mamy nadzieję, że wkrótce się czegoś dowiemy.

Monk i Kat wymienili spojrzenia. Wiedzieli o misji dyrektora, ale dopiero teraz dowiedzieli się, że od trzech dni nie ma z nim łączności. Widać też było, że jego zastępca przez cały ten czas nie zmrużył oka. Ubrany był wprawdzie jak zawsze w granatowy garnitur, ale wygnieciony na łokciach i kolanach, co jak na zastępcę szefa Sigmy było szczytem niechlujstwa. Dzięki blond czuprynie i opaleniźnie wyglądał zawsze bardzo młodzieńczo, tym razem jednak widać było, że ma czterdzieści kilka lat. Oczy miał podpuchnięte, cerę ziemistą, między brwiami widniały dwa Wielkie Kaniony.

– A co z Grayem? – spytała Kat.

Logan zdecydowanym ruchem dłoni złożył otwarty na biurku skoroszyt z aktami, jakby zamykając w ten sposób sprawę, odsunął go na bok, i jak zwykle bez chwili wahania sięgnął po następny.

– Godzinę temu miał miejsce zamach na życie komandora Pierce'a – oznajmił.

– Co takiego? – Monk raptownie pochylił się do przodu. – To gdzie się podziały wszystkie nasze prognozy?

– Spokojnie. Jest bezpieczny i czeka na wsparcie. – Logan zreferował w punktach najważniejsze wydarzenia w Kopenhadze, aż po udaną ucieczkę z pożaru. – Monk, chcę żebyś dołączył do komandora Pierce’a w Kopenhadze. Na lotnisku Dullesa czeka samolot, którego start zaplanowano za dziewięćdziesiąt dwie minuty.

Monk pomyślał z podziwem, że mówiąc to, Logan nie spojrział nawet na zegarek.

– Kapitanie Bryant. – Logan przeniósł wzrok na Kat. – Chciałbym panią zostawić na miejscu i powierzyć monitorowanie sytuacji w Nepalu. Mamy łączność z naszą ambasadą w Katmandu. Przyda nam się wasze doświadczenie z pracy wywiadowczej w kraju i za granicą.

– Oczywiście, szefie.

Włączenie Kat do obsługi wywiadowczej ucieszyło Monka. Na czas trwania nepalskiego kryzysu zostanie prawą ręką Logana, a siedząc w bezpiecznych podziemiach zamku Smithsonian, uniknie niebezpieczeństw pracy operacyjnej. Przynajmniej jeden kłopot z głowy.

Spojrząwszy na nią, zauważył wprawdzie, że jakby czytając w jego myślach, wbija w niego pełne złości spojrzenie, udał jednak, że tego nie widzi, i obojętnie odwrócił wzrok.

Logan wstał zza biurka.

– Nie będę wam zabierał czasu. Musicie się przygotować – powiedział. Podeszedł do drzwi i je otworzył. Równało się to wyproszeniu ich z gabinetu.

Na korytarzu Kat złapała Monka za rękę nad łokciem i ścisnęła.

– To znaczy, że wybierasz się do Danii, tak?

– Tak, no i co?

– A co... – Pociągnęła go do damskiej toalety, o tej porze pustej. – A co z dzieckiem?

– Nie rozumiem. Co ma dziecko do...?

– A jeśli coś ci się stanie?

– Nic mi się nie stanie. – Uśmiechnął się.

Chwyła go za rękę z protezą.

– Nie jesteś niezniszczalny.

Wyrwał jej rękę i schował za plecami.

– Wystąpię tylko jako dama do towarzystwa – powiedział naburmuszony. – Będę go po prostu niańczył do końca misji. Przecież Rachele też tam będzie. Moja rola sprowadzi się pewnie do bycia ich przyzwoitką. A potem wsiądziemy w pierwszy samolot i wrócimy.

– Więc skoro to takie dziecinnie proste, to niech jedzie ktoś inny. Mogę powiedzieć Loganowi, że będę potrzebowała twojej pomocy.

– Akurat ci uwierzy.

– Monk...

– Polecę, Kat. Przecież to ty chcesz trzymać ciężę w tajemnicy. Ja bym to chętnie ogłosił całemu światu. Ale niezależnie od wszystkiego, mamy obowiązki. Ty swoje, ja swoje. I zaufaj mi, będę uważał. – Położył dłoń na jej brzuchu. – Będę pilnował swojego tyłka dla dobra nas trojga.

Położyła dłoń na jego ręce i westchnęła.

– Cóż, tyłek masz rzeczywiście niezły.

Uśmiechnął się. Odpowiedziała bladym uśmiechem, który nie rozjaśnił jednak jej zmęczonych i zatroskanych oczu. Znał tylko jedną odpowiedź.

Nachylił się, musnął jej usta wargami i szepnął:

– Przyrzekam.

– Co przyrzekasz? – spytała, lekko się odsuwając.

– Wszystko – odparł i pocałował ją namiętnie.

I naprawdę tak myślał.

– Możesz powiedzieć Grayowi – szepnęła, gdy wreszcie się rozdzielili. – Ale pod warunkiem, że będzie dyskretny.

– Naprawdę? – Oczy Monka rozbliły, ale zaraz pojawiła się w nich podejrzliwość. – A właściwie dlaczego?

Wyminęła go, wymierzając mu klapsa, i stanęła nad umywalką.

– Bo chcę, żeby też pilnował twojego tyłka.

– Rozumiem. Tylko o ile wiem, te sprawy w ogóle go nie interesują.

Kat pokręciła głową i spojrzała w lustro.

– No i co ja mam z tobą zrobić?

Stanął za nią i objął ją w pasie.

– Cóż, pan Gregory powiedział, że mam jeszcze całe dziewięćdziesiąt dwie minuty.

## **Himalaje**

### **Godzina 12.15 czasu miejscowego**

Lisa z trudem dotrzymywała kroku Painterowi.

Ze zwinnością kozicy prowadził ją w dół stromego żlebu usłanego wielkimi głazami i oblodzonymi piargami. Sypiący wciąż gęsty śnieg otulał ich kłębiącym się i tańczącym przed oczami tumanem białych płatków. Ograniczało to widoczność do paru metrów i redukowało blask światła dziennego do dziwnej szarej poświaty. Na szczęście nie nękały ich już lodowate podmuchy, bo głęboki żleb niemal całkowicie osłaniał ich od wiatru.

Temperatura wciąż jednak spadała i nie sposób było uchronić się od przenikliwego chłodu. Mimo rękawic i ciepłej kurtki Lisa dygotała z zimna. Od wyruszenia w drogę nie minęła jeszcze godzina, ale żar bijący od pożaru był już tylko odległym wspomnieniem i nieosłonięte miejsca na twarzy piekły od wiatru i zimna jak pocierane papierem ściernym.

Wiedziała, że Painterowi musi być jeszcze zimniej. Wprawdzie miał na sobie grube spodnie i ciepłe rękawice, które ściągnął z martwego mnicha, ale na głowie nie miał kaptura i jedynie dolną część twarzy owinął sobie szalem. Wydychane przez niego powietrze zamieniało się w białe obłoczki i osiadało szronem.

Muszą znaleźć jakieś schronienie.

I to jak najszybciej.

W pewnym momencie Lisa poślizgnęła się i zjechała na siedzeniu po szczególnie stromym fragmencie żlebu. Wreszcie dotarli do miejsca, w którym żleb raptownie skręcał i chował się między niemal pionowymi ścianami.

Warstwa świeżo spadłego śniegu miała już trzydzieści centymetrów.

Dalsze posuwanie się bez rakiet śnieżnych stawało się coraz bardziej niebezpieczne.

Jakby czytając jej w myślach, Painter pokazał ścianę wąskiego żlebu, z długą przewieszką, zapewniającą jako taką osłonę przed zamiecią. Brnąc przez głębokie zasy, ruszyli w jej stronę.

Marsz pod osłoną skały okazał się łatwiejszy.

Obejrzawszy się za siebie, Lisa stwierdziła, że zostawione przez nich ślady są już na wpół zasypane i że za parę minut znikną zupełnie. Wprawdzie wiedziała, że pomaga im to w ucieczce, ale czuła się przez to jeszcze bardziej zagubiona. Było trochę tak, jakby padający śnieg wymazywał ich istnienie.

– Orientujesz się choć trochę, gdzie jesteśmy i dokąd idziemy? – spytała, podnosząc wzrok na Paintera. Powiedziała to szeptem, nie tyle z obawy, że ktoś może ich usłyszeć, ile przytłoczona potęgą szalejącej burzy.

– Mniej więcej – odrzekł Painter. – Nie ma szczegółowej mapy terenów nadgranicznych. Całe fragmenty są zupełnie dziewicze, nietknięte ludzką stopą. – Zatoczył łuk ręką. – Po przyjeździe oglądałem zdjęcia satelitarne tego rejonu, ale zbyt wiele z nich nie wynikało. Teren jest tak ukształtowany, że niemal uniemożliwia pomiary.

Kilka następnych kroków przeszli w milczeniu.

– Wiesz, że w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym dziewiątym roku w Himalajach odkryto Shangri-La? – powiedział Painter, zatrzymując się i spoglądając do tyłu.

Lisa przyjrzała mu się podejrzliwie, ale szal zakrywający pół jego twarzy uniemożliwiał zorientowanie się, czy to tylko żart mający podtrzymać ją na duchu.



– Shangri-La... tak, jak w *Zagubionym horyzoncie*? – Pamiętała dobrze film i książkę o tym tytule. Ponadczasowy utopijny raj, ukryty gdzieś w himalajskich lodach.

Painter podjął wędrówkę.

– Dwaj badacze z „National Geographic” – ciągnął – odkryli kilkaset kilometrów stąd na południe niezwykle głęboki wąwóz. Był osłonięty nawisami skalnymi i nie pojawiał się na żadnych zdjęciach satelitarnych. Na jego dnie mieścił się podzwrotnikowy raj z wodospadami, sosnowo-jodłowym lasem, łąkami pełnymi rododendronów i strumieniami porośniętymi bujną roślinnością. Jak kipiący życiem ogród pośród lodów i śniegów.

– Shangri-La?

– Najlepszy dowód – wzruszył ramionami – że nauka i satelity bywają bezsilne w próbach wydzierania Ziemi jej tajemnic.

Słysząc było, jak mówiąc, dzwoni zębami. Muszą jak najszybciej znaleźć swoje Shangri-La.

Zamilkli, prąc naprzód w coraz gęściej padającym śniegu.

Dziesięć minut później przewieszka nad ich głowami skończyła się, skała uciekła w bok i znów znaleźli się na otwartej przestrzeni.

Przystanęli i z niepokojem rozejrzeli się dookoła.

Od tego miejsca żleb opadał ostro w dół, jednocześnie poszerzając się. Ściana padającego śniegu całkowicie zasłaniała widok i tylko porywy wiatru rozpędzające chwilami śnieżycę pozwoliły im dojrzeć leżącą u wylotu żlebu głęboką kotlinę.

Niestety, w niczym nie przypominała Shangri-La.

Widać było dzielące ich od niej pokryte lodem i zasypane śniegiem urwisko, pełne uskoków – zbyt strome, by się w nie zapuszczać bez liny. Spadający z wysoka górski potok tworzył ciąg kaskad, które na mrozie zamieniły się w długie jęzory czystego lodu.

Dalej ciągnął się zasnuty śnieżną i lodową mgłą przepaścisty wąwóz, który widziany z góry, zdawał się nie mieć dna. Prawdziwy koniec świata.

– Nie przejmuj się, znajdziemy jakąś drogę w dół – pocieszył Lisę Painter.

Ruszył pierwszy, torując drogę w kopnym śniegu. Szedł, zapadając się do pół łydki, by po chwili wpaść w śnieg prawie po kolana.

– Czekaj – sapnęła Lisa, czując, że nie daje już rady. Zaciskając zęby, dotarła aż tu, ale dalszy marsz przekraczał jej możliwości. – Tutaj.

Pociągnęła go pod ścianę urwiska, gdzie było nieco spokojniej.

– Gdzie... – zaczął Painter, ale koniec zdania utonął w szczękaniu zębami.

Wskazała zamarznąłą kaskadę, która lodowym jęzorem spadała z urwiska nad ich głowami. Szerpa Taski uczył ich sztuki przetrwania w wysokich górach. Jedną z pierwszych zasad było znalezienie schronienia.

Miała w pamięci listę pięciu najdogodniejszych miejsc, gdzie należało go szukać.

Podeszła do miejsca, w którym jęzor lodu przecinał ich ścieżkę, i zgodnie z zaleceniami Szerpy, odszukała linię styku czarnej skały z białoniebieskim lodem. Według jego zapewnień letnie roztopy zamieniały jęzory lodu w huczące wodospady o takiej sile, że woda żłobiła w litej skale głębokie zagłębienia. Pod koniec lata strumienie wody traciły impet i zamarzając, przykrywały czapą lodu puste wyżłobienia w skale.

Z ulgą stwierdziła, że i ta kaskada nie jest wyjątkiem, i pomodliła się z wdzięcznością za Taskiego i wszystkich jego przodków.

Łokciem rozbiła lodową skorupę i poszerzyła otwór między taflą lodu a ścianą. Ukazało się wąskie przejście do niewielkiej wnęki.

Dołączył do niej Painter.

– Czekaj, sprawdzę, czy w środku jest bezpiecznie – powiedział.

Przecisnął się przez otwór i zniknął. Chwilę później przez lodową taflę błysnęło światelko.

Lisa zajrzała do środka.

Painter stał we wnętrzu z kieszonkową latarką w ręce i rozglądał się.

– Wygląda nieźle. Może uda się tu przeczekać burzę.

Lisa precyzyjnie się przez otwór i stanęła obok Paintera. Już samo schowanie się przed wiatrem i śniegiem spowodowało, że zrobiło się jej dużo cieplej.

Painter zgasił latarkę. Nie potrzebowali dodatkowego źródła światła. Oddzielająca ich od świata tafła lodu nie tylko przepuszczała światło dzienne, ale zdawała się intensyfikować jego stłumiony przez śnieżycę blask. Zamarznięty wodospad skrzył się i lśnił.

Painter odwrócił się do Lisy. Patrzyły na nią oczy niemal tak błękitne, jak otaczający ich lód. Przyjrzała się jego twarzy, poszukując śladów odmrożeń. Pod wpływem wiatru jego skóra nabrała sinoczerwonej barwy, jeszcze bardziej upodabniając go do indiańskich przodków. W połączeniu z błękitem oczu dawało to niezwykle efekt.

– Dziękuję – wymamrotał. – Niewykluczone, że właśnie uratowałaś nam życie.

– Musiałam ci się jakoś odwdzięczyć. – Lisa wzruszyła ramionami i odwróciła głowę.

Mimo pozornej obojętności czuła, jak jego słowa rozlewają się miłym ciepłem wokół serca. Miłszym, niż mogła oczekiwać.

– Skąd wiedziałaś, gdzie... – Reszta jego słów utonęła w potężnym kichnięciu.

Lisa zdjęła z ramion torbę i wyjęła z niej płachtę NRC. Mimo że cienka, zatrzymywała do dziewięćdziesięciu procent ciepła wytwarzanego przez ciało człowieka. W dodatku okazało się, że Lisa ma w zanadrzu coś jeszcze.

Wyciągnęła z torby niewielki podgrzewacz katalityczny.

– Siadaj – poleciła, rozkładając koc na lodowato zimnej skale.

Painter nawet nie próbował protestować.

Usiadła obok niego i owinęła ich oboje płachtą jak ciasnym kokonem. Usadowiła się wygodnie i włączyła bezpłomieniowy podgrzewacz, zasilany z niewielkiej butli z gazem, której

zawartość wystarczała na czternaście godzin grzania. Przy oszczędnej eksploatacji i równoczesnym korzystaniu z płachty powinno im to wystarczyć na dwa do trzech dni.

Czuła, jak Painter, dygocąc obok niej, czeka, aż podgrzewacz zadziała.

– Zdejmij rękawice i buty – poleciła, sama robiąc to samo. – Ogrzej dłonie nad grzejnikiem i rozmasuj sobie palce rąk i nóg, nos i uszy.

– Żeby nie dopuścić do od... odmrożenia...

Kiwnęła głową.

– Wsuń między siebie a skałę wszystko, co się da. Chodzi o to, żeby zmniejszyć do minimum straty ciepła.

Pozdejmowali z siebie część rzeczy i jako tako wymościли swoje gniazdko.

Wkrótce w środku zrobiło się wręcz gorąco.

– Mam też parę kostek PowerBar – oznajmiła. – Możemy stopić trochę śniegu na wodę.

– Prawdziwa z ciebie mistrzyni przetrwania – powiedział Painter nieco raźniejszym głosem. Wraz ze wzrostem temperatury rósł też jego optymizm.

– Ale i tak nie mam nic do obrony przed pociskami – mruknęła i zwróciła ku niemu twarz, tak że ich nosy niemal się zetknęły.

Painter westchnął i pokiwał głową. Udało im się pokonać zimno, ale przecież niebezpieczeństwo nie minęło. Szalejąca burza, która dotąd stanowiła zagrożenie, teraz zapewniała im swoistą ochronę. Tylko co dalej? Pozbawieni byli łączności, nie mieli żadnej broni.

– Zostaniemy w ukryciu – odezwał się Painter. – Podpalacze klasztoru nas tu nie znajdą. Kiedy skończy się burza, zjawią się ekipy ratunkowe. Miejmy nadzieję, że przylecą helikopterami. Będziemy mogli zwrócić ich uwagę, wystrzeliwując flarę, którą widziałem w twojej torbie.

– I modlić się, żeby ratownicy dotarli do nas wcześniej niż tamci.

Położył jej dłoń na kolanie i ścisnął. Była mu wdzięczna, że oszczędził jej fałszywych słów pociechy i nie lukruje rzeczywistości. Położyła dłoń na jego dłoni i też ścisnęła. Tego rodzaju gest pociechy zupełnie jej wystarczył.

Trwali w milczeniu, zatopieni w myślach.

– A kim według ciebie są ci „tamci”? – spytała w końcu Lisa.

– Nie wiem. Ale kiedy rzuciłem się na tego bandziora w piwnicy, usłyszałem jak zaklął po niemiecku. To było jak zderzenie z czołgiem.

– Po niemiecku? Jesteś pewien?

– Niczego już nie jestem pewien. To chyba jakiś płatny morderca. W każdym razie z całą pewnością ma za sobą przeszkolenie wojskowe.

– Zaraz – stęknęła Lisa i zaczęła się wiercić, starając się sięgnąć do plecaka. – Mój aparat.

Painter wyprostował się i przy okazji obluzował róg płachty, szybko jednak wetknął go na miejsce, zamykając ich kokon.

– Myślisz, że możesz go mieć na zdjęciu?

– Przed włączeniem flesza przestawiłam aparat na serię zdjęć. W tym ustawieniu aparat cyfrowy robi pięć klatek na sekundę. Ale nie mam pojęcia, co się zapisało.

Odwróciła się i wydobyła aparat.

Siedząc ramię w ramię, wpatrywali się w maleńki ekranik, przeglądając ostatnią serię zdjęć. Większość była rozmyta, ale oglądane jedno po drugim przypominały kadry z filmu o ich ucieczce. Zabójca wyraźnie zaskoczony błyskiem. Uniesiona ręka, którą odruchowo próbuje zasłonić oczy. Strzał w chwili, gdy Lisa chowa się za beczkę. Atak Paintera.

Na kilku klatkach widać było fragmenty jego twarzy. Składając je razem jak puzzle, można było odtworzyć przybliżony wygląd napastnika. Jasnoblond włosy, gęste brwi, wysunięta do przodu szczeka. Ostatnie zdjęcie z serii musiało się zapisać w chwili, gdy Lisa przeskakiwała przez ich splecione ciała. Widać było zbliżenie oczu mężczyzny, których nie przesłaniały noktowizyjne gogle, w tym momencie zsunięte na

bok. W jego wzroku płonęła wściekłość, a dzikość spojrzenia podkreślały „czerwone oczy” wywołane błyskiem flesza.

Lisa przypomniała sobie Relu Na – krewniaka Anga Gelu – który rzucił się na nich z sierpem i którego płonące szaleństwem oczy też świeciły na czerwono. Poczuła na plecach zimny dreszcz, którego tym razem nie wywołał chłód panujący w nocy.

Zauważyła coś jeszcze.

Jego oczy były różne.

Jedno lśniło czystym arktycznym błękitem.

Drugie pokrywała martwa biel.

Choć może tak wygląda to tylko w błysku flesza...

Lisa nacisnęła przycisk i wróciła do początku, potem przywołała na ekran ostatnią fotografię zapisaną w pamięci przed piwniczną serią. Ukazywała fragment ściany pokrytej bazgrołami namazanymi krwią. Zdążyła już o tym zapomnieć.

– A to co? – zainteresował się Painter.

Wcześniej opowiedziała mu już o dramatycznej śmierci przełożonego klasztoru, lamy Khemsara.

– To jeden z napisów, które lama nabazgrał na ścianie. Wyglądały na powtarzające się ciągi takich samych znaków.

Painter przyjrzał się fotografii.

– Możesz to powiększyć?

Nacisnęła przycisk powiększenia i napis przybliżył się, choć jednocześnie stracił nieco na ostrości.

Painter ściągnął brwi.

– Nie wygląda to na tybetański czy nepalski. Spójrz, jak kanciaste są te znaki. Bardziej przypomina mi to nordyckie runy czy coś w tym rodzaju.

– Tak myślisz?

– Niewykluczone. – Odchylił się do tyłu i stęknął. – W każdym razie może to dowodzić, że lama Khemsar wiedział coś więcej.

Lisa dopiero teraz przypomniała sobie coś, o czym zapomniała wcześniej powiedzieć.

– Po tym, jak poderżnął sobie gardło, na jego piersi znalazłam wycięty na skórze symbol. Wtedy uznałam to za jeszcze jeden przejaw szaleństwa, ale teraz nie jestem już taka pewna.

– Pamiętasz jak wyglądał? Mogłabyś go narysować?

– Nie muszę. To była swastyka.

– Swastyka? – powtórzył Painter, unosząc brwi.

– Tak sędzę. Czy myślisz, że mógł w ten sposób odnosić się do przeszłości? Starać się odreagować coś, co go kiedyś przeraziło?

Opowiedziała mu historię krewniaka Anga Gelu, o jego ucieczce z oddziału maoistów, bo nie mógł się pogodzić z ich brutalnością wobec niewinnych chłopów, którym sierpami obcinali członki. A także o tym, jak w ataku szaleństwa robił to samo, jakby odreagowując traumę.

– Lama Khemsar był dobrze po siedemdziesiątce – powiedział Painter, marszcząc czoło. – To by znaczyło, że w czasie drugiej wojny światowej miał kilkanaście lat, więc to możliwe. Naziści wysyłali w Himalaje ekspedycje naukowe.

– Aż tutaj? Po co?

Painter wzruszył ramionami.

– Podobno szef SS Heinrich Himmler miał hopla na punkcie okultyzmu. Studiował stare wedyjskie teksty sprzed tysięcy lat. Łajdak ubzdurał sobie, że te góry były kiedyś kolebką rasy aryjskiej, i wysyłał ekspedycje, by zdobyły na to dowody. Oczywiście brakowało mu piątej klepki.

Lisa się uśmiechnęła.

– Więc może stary lama zetknął się w młodości z którąś z tych ekspedycji? Był ich przewodnikiem czy kimś w tym rodzaju.

– Może. Tylko że już nigdy się tego nie dowiemy. Wszystkie swoje sekrety zabrał do grobu.

– A może nie? Może chciał temu zapobiec i o tym myślał w ostatnich dniach życia. Może chciał się uwolnić od jakiegoś strasznego wspomnienia? Może próbował oczyścić sumienie wyjawiając coś, co na nim ciążyło?

– Strasznie dużo tych „może”. – Painter potarł czoło i skrzywił się. – No to ja dołożę jeszcze jedno. Może to wszystko pozbawione sensu majaczenia?

Lisa nie wiedziała, co odpowiedzieć. Westchnęła, czując, jak spada poziom adrenaliny wywołany ucieczką i jak ogarnia ją obezwładniające zmęczenie.

– Ciepło ci? – upewniła się.

– Tak, dzięki.

Wyłączyła grzejnik.

– Trzeba oszczędzać gaz.

Painter skinął głową i ziewnął.

– Powinniśmy się trochę przespać – mruknęła. – Na zmianę.

Wiele godzin później Paintera obudziło gwałtowne potrząsanie za ramię. Wyprostował się i oderwał plecy od skały. Na zewnątrz zapadły ciemności i tafla lodu przed nimi była tak czarna jak skała.

Wyglądało na to, że śnieżycy wreszcie ustała.

– Coś się stało? – zapytał.

Lisa siedziała, odsunawszy róg płachty.

– Czekaj – szepnęła, pokazując przed siebie ręką.

Pochylił się do przodu, strząsając z powiek resztki snu. Minęło pół minuty i nic się nie wydarzyło. Na zewnątrz było zupełnie cicho. Wycie wiatru ustało, burza śnieżna na pewno się skończyła. Na skalne urwiska i głębokie kotliny spłynęła krystaliczna zimowa cisza. Wyteżył słuch, szukając w niej czegoś podejrzanego.

Bo przecież coś musiało Lisę zaniepokoić.



Czuł bijący od niej strach. Był niemal namacalny, jakby jej sprężone ciało wysyłało jakieś fale.

– Lisa, co się...?

Nagle tafła lodu przed nimi rozjaśniła się oślepiającym błyskiem, jakby ktoś tuż za nią wystrzelił sztuczne ognie. Tyle że nie towarzyszył temu żaden dźwięk. Pulsujące światło na moment rozświetliło warstwę lodu i zgasło, a lód znów przybrał ciemną barwę.

– Ognie upiorów... – szepnęła Lisa, unosząc głowę.

Painter wrócił pamięcią do zdarzeń sprzed trzech dni. To wtedy wszystko się zaczęło. Epidemia w wiosce, atak szalu w klasztorze. Pamiętał też uwagę Lisy, że im bliżej upiornych ogni, tym bardziej nasilały się objawy choroby.

A oni znaleźli się w samym środku zagrożenia.

Bliżej niż ktokolwiek inny.

Po chwili tafła lodu znów rozbłysła upiornym blaskiem. Ognie upiorów powróciły.

# 5

## COŚ ŚMIERDZI

**Kopenhaga, Dania**  
**Godzina 18.12 czasu miejscowego**

Czy w Europie nigdy nic nie może odbyć się punktualnie?

Gray rzucił okiem na zegarek.

Początek aukcji zapowiedziano na siedemnastą.

Pociągi i autobusy kursują tu z taką punktualnością, że można według nich regulować zegarki, ale gdy chodzi o planowanie imprez, wszystko może się wydarzyć. Minęła już szósta, ale według najświeższych informacji aukcja nie rozpocznie się przed wpół do siódmej. Powodem miało być spóźnienie części uczestników, bo szalejąca nad Morzem Północnym burza spowodowała opóźnienia wielu lotów do Kopenhagi.

Gray rzeczywiście widział, że do budynku po drugiej stronie ulicy wciąż wchodzą ludzie.

Siedział w promieniach zachodzącego słońca na balkonie pierwszego piętra hotelu Scandic Webers, vis à vis domu aukcyjnego Ergenschein, nowoczesnego trzypiętrowego budynku, który z wyglądu przypominał bardziej galerię sztuki niż siedzibę domu aukcyjnego i stanowił wyraz mody na oszczędność duńskiej architektury, wykorzystującej głównie szkło i jasne drewno. Aukcja miała się odbyć w podziemiach budynku.

Oby jak najszybciej.

Gray ziewnął i przeciągnął się.

Wcześniej wstąpił do hotelu na Nyhavn, szybko spakował swój szpiegowski sprzęt i wymeldował się. Posługując się nowym nazwiskiem i wystawioną na niego kartą MasterCard, zameldował się w nowym hotelu, z którego okien roztaczał się wspaniały widok na okolice kopenhaskiego rynku. Z oddali dochodził stłumiony gwar i muzyka z jednego z najstarszych parków rozrywki na świecie, słynnych ogrodów Tivoli.

Na kolanach miał otwartego laptopa i nadgryzionego hot doga, którego kupił u ulicznego sprzedawcy w pobliżu hotelu – jedyny posiłek od rana. Wbrew powszechnie panującej opinii życie agenta tajnych służb wcale nie upływa w kasynach Monte Carlo i luksusowych restauracjach. Zresztą hot dog był naprawdę pyszny, nawet jak na cenę wynoszącą w przeliczeniu pięć dolarów amerykańskich.

Obraz na ekranie laptopa podrygiwał przy każdym kolejnym zdjęciu robionym przez kamerę uruchamianą czujnikiem ruchu. Gray obejrzał dzięki temu kilkudziesięciu uczestników aukcji: paru nadętych bankierów i bogatych europejskich snobów, trzech mężczyzn o byczych karkach w połyskliwych garniturach, którzy mieli na czołach wypisane „mafioso”, pulchną kobietę o wyglądzie profesjonalnej antykwariuszki i czterech nowobogackich w białych garniturach i identycznych białych marynarskich czapkach. Ci ostatni rozmawiali oczywiście po angielsku z amerykańskim akcentem. Głośno.

Pokręcił głową.

Chyba nikt więcej się już nie zjawi.

I właśnie w tym momencie pod dom aukcyjny podjechała długa czarna limuzyna. Wsiadły z niej dwie osoby – obie wysokie, szczupłe, ubrane w podobne czarne stroje od Armaniego. Kobieta i mężczyzna. On miał krawat w kolorze morskiej wody, ona ubrana była w jedwabną bluzkę w tym samym odcieniu. Oboje mieli po dwadzieścia kilka lat i oboje roztaczali wokół siebie aurę kogoś znacznie poważniejszego. Być może przyczyniały się do tego ich utlenione na biało włosy, niemal identycznie ostrzyżone i przylizane gładko jak u gwiazd filmu niemego z lat dwudziestych. Z ich wyglądu i zachowania

biła ponadczasowa gracia. Twarze mieli poważne, ale pozbawione surowości, i nawet na zdjęciach w komputerze widać było w ich oczach wesołe iskiereki.

Portier otworzył im drzwi.

Oboje jednocześnie podziękowali kiwnięciem głowy. Wprawdzie nie zaszczycili go uśmiechami, ale portier i tak musiał czuć się usatysfakcjonowany. Chwilę później zniknęli w środku. Portier zawiesił na drzwiach wywieszkę i podążył za nimi. Widać czekano na tę parę i po niej nie miano zamiaru już nikogo wpuszczać. Pewnie przez nich to opóźnienie.

Ciekawe, co to za jedni?

Niestety, jego ciekawość będzie musiała pozostać niezaspokojona. Otrzymał od Logana Gregory'ego jednoznaczne dyspozycje.

Przejrzał na ekranie wcześniejsze zdjęcia, by się upewnić, że ma wyraźne podobizny wszystkich uczestników. Potem przegrał cały plik na pendrive'a i schował do kieszeni. Teraz musi już tylko poczekać do końca aukcji. Dzięki swym kontaktom Logan zorganizował wydanie mu wykazu wszystkich sprzedanych przedmiotów i nazwisk ich nabywców. Niewątpliwie niektóre nazwiska będą fałszywe, ale Gray wiedział, że wykaz trafi następnie do amerykańskich sił specjalnych do walki z terroryzmem, a także do Europolu i Interpolu. Wiedział też, że może się nigdy nie dowiedzieć, o co w tym wszystkim chodziło.

Na przykład, dlaczego stał się celem ataku. Albo dlaczego zabito Grette Neal.

Zmusił się do rozwarcia zaciśniętej w pięść dłoni. Przez całe popołudnie toczył wewnętrzną walkę, ale w końcu pogodził się z podcięciem mu skrzydeł przez Logana. Rzeczywiście nie miał pojęcia, co się dzieje, a próba działania na ślepo i pod wpływem impulsu mogła przynieść kolejne ofiary śmiertelne.

Jednak ciężące na nim poczucie winy powodowało, że nie mógł spokojnie usiedzieć i większość popołudnia spędził na nerwowym krążeniu po pokoju hotelowym. Przed oczami wciąż stawały mu wydarzenia kilku ostatnich dni.

Gdyby był ostrożniejszy... lepiej się zakamuflował...

W kieszeni poczuł wibrację komórki. Wyjął ją i rzucił okiem na ekranik. Chwała Bogu! Otworzył klapkę, wstał i wyszedł na balkon.

– Rachele... tak się cieszę, że dzwonisz.

– Dostałam twoją wiadomość. Wszystko w porządku?

Wyczuwał w jej głosie troskę, ale i profesjonalną chęć dowiedzenia się czegoś więcej. Zostawił jej w poczcie lakoniczną wiadomość, że ich spotkanie będzie nieco krótsze. Nie podał żadnych szczegółów. Mimo łączącego ich uczucia, nadal obowiązywały ograniczenia co do dzielenia się poufnymi informacjami.

– U mnie tak. Ale w drodze jest Monk. Spodziewam się go tu trochę po północy.

– Ja też doleciałam dopiero do Frankfurtu – powiedziała Rachele. – Został mi jeszcze ostatni odcinek do Kopenhagi. Odsłuchałam twoją wiadomość zaraz po wylądowaniu.

– Jeszcze raz przepraszam...

– Czy to znaczy, że powinnam zawrócić?

Za żadne skarby nie chciał jej w to mieszać.

– Chyba byłoby lepiej. Będziemy musieli zmienić plany. Kiedy wszystko się wyklaruje, może uda mi się przed powrotem do Stanów wpaść na chwilę do Rzymu.

– Byłoby miło.

W jej głosie słychać było zawód.

– Obiecuję, że ci to wynagrodzę. – Pozostawało tylko mieć nadzieję, że będzie mógł dotrzymać tej obietnicy.

W jej westchnieniu nie było irytacji, tylko zrozumienie. Nie mieli złudzeń co do swego związku na odległość. Dwa kontynenty, dwie różne kariery zawodowe. Ale oboje byli skłonni wykazywać maksimum dobrej woli, by się przekonać, dokąd ich to zaprowadzi.

– Miałam nadzieję, że uda nam się porozmawiać – powiedziała z żalem.

Wiedział, co kryje się za jej słowami. Dużo razem przeszli, mieli okazję poznać swoje dobre i złe strony i nadal – wbrew

trudnościom wpisanym w romans na odległość – żadne nie kwapiło się do złożenia broni. Oboje zdawali sobie natomiast sprawę, że przyszedł czas na omówienie następnego kroku.

Na skrócenie dystansu.

Pewnie to właśnie było powodem, że ostatni raz spotkali się aż osiem tygodni temu. Jakby bez słów zgadzali się, że oboje potrzebują więcej czasu, żeby wszystko przemyśleć. No i teraz przyszedł moment na wyłożenie kart na stół.

Iść dalej razem czy nie.

Tylko czy on sam zna odpowiedź? Kochał Rachele, był gotów spędzić z nią życie i nawet w którymś momencie wspomnieli o dzieciach. Ale mimo to coś go dręczyło i tak naprawdę poczuł ulgę, że ich spotkanie w Kopenhadze nie dojdzie do skutku. I na pewno nie chodzi tu o przyziemny strach przed związaniem się z kimś na resztę życia. Tylko jeśli nie o to, to o co?

Może rzeczywiście powinni porozmawiać.

– Przyjadę do Rzymu – powiedział. – Obiecuję.

– Upprzedzam, że to wyegzekwuję. Będę trzymała gotowy do podgrzania gar *vermicelli alla panna* wuja Vigora. – Czuł, że się rozluźniła. – Tęsknię za tobą, Gray. Nasze...

Jej słowa utonęły w gwałtownej kakofonii klaksonów.

Spojrzał w dół, na ulicę. Nie zważając na pędzące samochody, przez jezdnię przebiegała kobieta w aksamitnym zakiecie i długiej sukni, z upiętymi w kok włosami. W pierwszej chwili Gray jej nie poznał. Dopiero gdy wystawiła palec w stronę trąbiącego kierowcy...

Fiona.

Co ona tu, do diabła, robi?

– Gray... – usłyszał w słuchawce głos Rachele.

– Przepraszam, Rachele – powiedział szybko. – Muszę kończyć.

Rozłączył się i schował telefon do kieszeni.

Patrzył, jak dziewczyna dobiega do drzwi domu aukcyjnego i wciska się do środka. Odwrócił się i spojrzał na ekran laptopa. Kamera zarejestrowała jej twarz przez szybę w drzwiach. Widać było, że kłóci się z portierem. W końcu mężczyzna

w liberii wziął do ręki kartkę, którą machała mu przed nosem, skrzywił się i dał znak ręką, że może wejść.

Dziewczyna przemknęła obok jak burza i zniknęła we wnętrzu. Kamera się wyłączyła.

Gray patrzył niepewnie to na ekran, to na ulicę.

Jasna cholera...

Logan nie będzie zachwycony. Zapowiedział, że nie będzie tolerował pochopnych akcji...

Ale co by w tej sytuacji zrobił Painter Crowe?

Gray wrócił do pokoju. Marynarka od garnituru leżała na łóżku. Tak na wszelki wypadek.

Painter z całą pewnością nie siedziałby beczynnienie.

## **Himalaje**

### **Godzina 22.22 czasu miejscowego**

– Musimy zachować spokój – powiedział Painter. – Nie ruszaj się.

Przed ich oczami upiorne światła rozbłyskiwały i przygasaly, zimne i bezgłośnie. Rozświetlały tafle lodu oślepiającym blaskiem, a gdy gasły, w nyży robiło się jeszcze czarniej i bardziej lodowato.

Lisa przysunęła się do Paintera, odszukała jego dłoń i mocno ścisnęła.

– Nic dziwnego, że nie próbowali nas ścigać – jęknęła. Gardło miała ściśnięte przerażeniem. – Po co uganiać się za nami w tej zamieci, skoro wystarczy włączyć te piekielne ognie i nas napromieniować. Przed tym nie ma ucieczki.

Painter wiedział, że Lisa ma rację. Ogarnięci szaleństwem, staną się zupełnie bezbronni. Gdy będą w stanie umysłowego zamroczenia, trudny górski teren i przenikliwe zimno zabiją ich równie szybko i skutecznie jak kula snajpera.

Ale nie miał zamiaru się poddawać.

Popadanie w szaleństwo trwa wiele godzin i nie miał zamiaru tracić ich na bezczynne czekanie. Jeśli uda im się przez ten czas uzyskać pomoc, może da się odwrócić efekt napromieniowania.

– Jakoś się z tego wygrzebiemy – uspokoił ją, choć sam nie bardzo w to wierzył.

To ją tylko zirytowało.

– Ciekawe jak?

Ognie znów rozbłysły i w diamentowym blasku zalewającym nyzę Lisa odwróciła się do Paintera. W jej oczach nie było paniki, jak się tego spodziewał. Czaił się w nich strach – zupełnie w tej sytuacji zrozumiały – ale także hardość.

– Nie traktuj mnie jak dziecko – powiedziała, zabierając rękę.

– O nic więcej nie proszę.

Painter posłusznie skinął głową.

– Jeśli są przekonani, że do zabicia nas wystarczy to promieniowanie, to może niezbyt dokładnie pilnują gór. Burza się już skończyła, więc może...

Przerwała mu seria strzałów, które brutalnie rozdarły lodową ciszę.

Spojrzeli po sobie.

Oboje odnieśli wrażenie, jakby strzały padły gdzieś bardzo niedaleko.

Jakby na potwierdzenie tego, tafłę lodu zasypał grad pocisków. Oboje wyplątali się z płachty i wcisnęli w kąt ciasnej nyzę. Znaleźli się w pułapce.

Dopiero teraz Painter zwrócił uwagę na coś jeszcze.

Ogień upiorów nie zgasł do końca, jak to się działo dotąd. Tafla lodu dzieląca ich od świata nadal lśniła jednostajnym zimnym blaskiem, rozświetlając wnętrza ich kryjówek.

Usłyszeli metaliczny głos z megafonu.

– Painter Crowe! Wiemy, że ty i kobieta jesteście w środku!

Groźnie brzmiący głos należał do kobiety. I miał wyraźnie obcy akcent.

– Wychodźcie! Z rękami w górze!



Painter złapał Lisę za ramię i ścisnął, jakby chciał jej w ten sposób dodać otuchy.

– Zostań tu – szepnął.

Wskazał ręką kurtkę i buty i na migi polecił, żeby się ubrała. Sam też włożył buty, podszedł do otworu w lodzie i ostrożnie wystawił głowę.

Jak to bywa w górach, burza śnieżna skończyła się równie nagle, jak się zaczęła, i czarne niebo było usiane gwiazdami. Pasma Drogi Mlecznej wisiało nad widoczną w oddali, pokrytą lodem i śniegiem kotliną, nad którą snuły się strzępy mgieł.

Znacznie bliżej ich kryjóWKi błyszczał snop światła skierowany wprost na zamarznęty wodospad. Jakies pięćdziesiąt metrów od nich na jednej ze skał widać było zarys ludzkiej sylwetki, której ręce spoczywały na reflektorze skutera śnieżnego. Reflektor był zapewne standardowym szperaczem, w jakie wyposaża się skutery, choć sądząc po intensywności i błękitnym zabarwieniu światła, najwyraźniej ksenonowym.

A więc to nie tajemnicze ognie upiorów.

Painter poczuł przypływ nadziei. Czyżby cały czas oglądali tylko światła zbliżającego się skutera? Skuterów było więcej; doliczył się pięciu. Dojrzał też kilkanaście postaci w białych kurtkach; obstawiali ich kryjóWKę od dołu i z boków. Wszyscy byli uzbrojeni w karabiny.

Nie widząc innego wyjścia, a także popychany ciekawością, Painter podniósł ręce i wysunął się z nyży. Najbliżej stojący, potężnie zbudowany mężczyzna ruszył ku niemu, mierząc do niego z karabinu. Painter dostrzegł na swych piersiach tańczącą czerwoną plamkę celownika laserowego.

Był zupełnie bezbronny i mógł tylko trwać w bezruchu, choć przemknęła mu przez głowę myśl, by spróbować wyrwać karabin z rąk napastnika.

Szansę na to były bliskie zeru.

Wbił wzrok w oczy mężczyzny z karabinem.

Jedno było lodowato niebieskie, drugie jakby pokryte szronem.

Zabójca z klasztoru.

Pamiętał dobrze nadludzką siłę tego człowieka. Nie, z całą pewnością jego szanse w bezpośrednim starciu nie są duże. Nie mówiąc o tym, że gdyby nawet mu się udało, jest otoczony przez kilkunastu innych uzbrojonych mężczyzn.

Zza pleców mężczyzny wysunęła się jakaś postać. Kobieta. Zapewne ta, której głos słyszeli przed chwilą przez megafon. Wyciągnęła rękę i jednym palcem skierowała lufę karabinu ku ziemi. Painterowi przemknęła przez głowę myśl: ciekawe, czy potrafiłby to zrobić jakikolwiek mężczyzna?

Postąpiła krok do przodu, co pozwoliło mu dokładnie przyjrzeć jej się w blasku reflektora. Wyglądała na około czterdzieści lat, miała zielone oczy i czarne włosy, które wymykały się spod kaptura białej kurtki. Jej figurę zniekształcał puchowy kombinezon, ale poruszała się z gracją osoby szczupłej i zwinnej.

– Doktor Anna Sporrenberg – powiedziała, wyciągając rękę.

Painter spojrział na jej dłoń w rękawicy. Gdyby udało mu się pociągnąć ją ku sobie, złapać za gardło i użyć jako zakładniczki...

Wbity w niego nieruchomy wzrok zabójcy z klasztoru spowodował, że szybko porzucił ten zamiar. Wyciągnął rękę i uściśnął dłoń kobiety. Skoro od razu go nie zastrzelili, nie zaszkodzi zachować się grzecznie. Jeśli pomoże im to ująć z życiem, był gotów podjąć taką grę.

– Dyrektorko Crowe – odezwała się kobieta – wygląda na to, że międzynarodowe kręgi wywiadowcze od paru godzin aż huczą od domysłów, co się z panem dzieje.

Crowe zachował kamienną twarz. Nie widział powodu, by wypierać się swojej tożsamości. Pomyślał, że może wręcz uda mu się ją wykorzystać.

– Zatem zdaje sobie pani zapewne sprawę, jakich te same kręgi użyją środków, żeby mnie odnaleźć.

– *Natürlich*. Choć nie stawiałabym na ich sukces. Na razie muszę prosić pana i pańską towarzyszkę o udanie się z nami.

Painter zrobił krok do tyłu, jakby chciał zasłonić sobą Lisę.

– Doktor Cummings nie ma z tym nic wspólnego. Przybyła do klasztoru jako lekarka, którą wezwano, by pomogła chorym. O niczym nie wie.

– Wkrótce się o tym przekonamy.

Sprawa została postawiona jasno. Żyją tylko dzięki temu, że podejrzewają ich o posiadanie jakiejś wiedzy, którą będą chcieli z nich wydusić za cenę krwi i bólu. Przyszło mu nawet na myśl, by od razu wszystko zakończyć. Szybka śmierć zamiast powolnego umierania w męczarniach. W głowie miał zbyt wiele ważnych danych wywiadowczych, by ryzykować poddanie się torturom.

Ale nie był sam. Przypomniawszy sobie Lisę z ufnością grzejącą dłonie w jego dłoniach. Póki żyją, zawsze jest iskierka nadziei.

Podeszli pozostali strażnicy i z bronią gotową do strzału wyprowadzili Lisę z niży. Potem wszyscy ruszyli w kierunku skuterów.

Patrząc w oczy Lisy, Painter widział czające się w nich przerażenie.

Był gotów zrobić wszystko, co się da, żeby ją chronić.

Anna Sporrenberg podeszła bliżej.

– Zanim stąd odjedziemy – powiedziała, patrząc, jak strażnicy krępują im ręce i nogi – chcę być z wami zupełnie szczerą. Nie możemy sobie pozwolić na to, żeby was wypuścić. Myślę, że to rozumiecie. Więc nie będę wam robiła fałszywych nadziei, ale mogę wam obiecać bezbolesną i godną śmierć.

– Jak tym nieszczęsnym mnichom – prychnęła wściekle Lisa.  
– Widzieliśmy w klasztorze, jacy potraficie być litościwi.

Painter próbował uciszyć ją wzrokiem. Uważał, że nie powinni antagonizować swych oprawców. Ci łajdacy najwyraźniej nie mają żadnych oporów przed zabijaniem kogo popadnie. Oboje powinni więc odgrywać rolę więźniów chętnych do współpracy.

Ale było już za późno.

Anna stanęła twarzą do Lisy, jakby dopiero teraz ją zauważyła. W jej głosie słychać było napięcie.

– To był przejaw litości, doktor Cummings. – Obrzuciła spojrzeniem stojącego obok zabójcę z klasztoru. – Nic pani nie wie o przebiegu tej choroby. O cierpieniach, jakie czekały mnichów. A my wiemy. Ich śmierć to nie zabójstwo. To eutanazja.

– A kto wam dał takie prawo? – warknęła Lisa.

– Liso, może jednak... – wtrącił Painter, przysuwając się bliżej.

– Nie, panie Crowe – przerwała mu Anna, też podchodząc. – Pyta pani, kto nam dał takie prawo? Nasze doświadczenie, doktor Cummings. Doświadczenie. Może mi pani wierzyć... Śmierć była dla tych ludzi wybawieniem, nie aktem okrucieństwa.

– A ci, z którymi przyleciałam? Ich śmierć też była wybawieniem?

Anna westchnęła, wyraźnie mając dość tej rozmowy.

– Musieliśmy podjąć pewne trudne decyzje. Nasze dzieło ma zbyt wielkie znaczenie, by się przed nimi cofać.

– A co z nami?! – krzyknęła Lisa za odchodzącą kobietą. – Bezbolesny zastrzyk, jeśli pójdziemy na współpracę? A jeśli nie pójdziemy?

– Nie uciekniemy się do wyrywania wam paznokci, jeśli o to pani chodzi – rzuciła przez ramię Anna, podchodząc do pierwszego skutera. – Mamy środki farmakologiczne. Nie jesteśmy barbarzyńcami, pani doktor.

– Jasne, za to tylko nazistami! – syknęła Lisa. – Widzieliśmy swastykę.

– Proszę się nie wygłupiać. Nie jesteśmy żadnymi nazistami.  
– Anna zatrzymała się przy skuterze i odwróciwszy się, obrzuciła ich przeciągłym spojrzeniem. – Już nie.

**Kopenhaga, Dania**

**Godzina 18.38 czasu miejscowego**

Gray ruszył przez ulicę do wejścia do domu aukcyjnego.

Co jej strzeliło do głowy, żeby po tym wszystkim, co się zdarzyło, nagle się tu zjawiać?

Naprawdę zaniepokoił się o bezpieczeństwo Fiony, ale z przyjemnością powitał też pretekst, jakiego dostarczyło mu jej pojawienie się. Coś, co uzasadniało konieczność jego uczestnictwa w aukcji. Bo kimkolwiek byli podpalacze antykwariatu, mordercy Grette Neal i niedoszli mordercy jego i Fiony, ich ślady wyraźnie prowadziły tutaj.

Dotarł na drugą stronę ulicy i zwolnił kroku. Promienie zachodzącego słońca zamieniły szybę w drzwiach wejściowych w złociste lustro. Obrzucił krytycznym spojrzeniem swoje odbicie. Pospiesznie włożył przygotowane wcześniej eleganckie ubranie. Granatowy garnitur w prążki od Armaniego leżał dobrze, ale wykrochmalona biała koszula miała nieco przyciasny kołnierzyk. Poprawił węzeł bładożółtego krawata.

Strój dość wyzywający, ale pasujący do kogoś występującego w imieniu bogatego amerykańskiego finansisty.

Pchnął drzwi wejściowe i wkroczył do środka. Hol miał typowo skandynawski wystrój, to znaczy był go całkowicie pozbawiony: dominowało jasne drewno, szklane przepierzenia i niewiele więcej. Jedynym meblem było samotne ażurowe krzeselko ustawione przy stoliku wielkości znaczka pocztowego, na którym stała doniczka z samotną orchideą. Na końcu trzciniowatej łodygi widniał anemiczny, różowobrazowy kwiat.

Portier zdusił papierosa w doniczce i z niechętną miną ruszył w stronę intruza.

Gray sięgnął do kieszeni i wyjął zaproszenie na aukcję. Zdobycie go wymagało wpłacenia na konto domu aukcyjnego wadium w wysokości ćwierć miliona euro. Wadium stanowiło gwarancję, że uczestnik aukcji dysponuje wystarczającymi środkami finansowymi, by uczestniczyć w tak ekskluzywnym wydarzeniu.

Portier rzucił okiem na zaproszenie, skinął głową i podszedł do aksamitnego sznura, który zamykał dostęp do szerokich

schodów wiodących w dół. Odczepił go i gestem ręki zaprosił Graya.

Szerokie wahadłowe drzwi prowadziły do głównej sali aukcyjnej. Stało przy nich dwóch ochroniarzy, z których jeden trzymał ręczny wykrywacz metali. Gray rozłożył szeroko ręce i pozwolił się obszukać. Zauważył też dwie kamery wideo, po jednej z obu stron wejścia. Ochrona rzeczywiście była szczelna. Po skończonej kontroli drugi z ochroniarzy nacisnął przycisk i otworzył drzwi.

Gray wkroczył w wielojęzyczny gwar. Do jego uszu docierały pojedyncze słowa włoskie, niderlandzkie, francuskie, arabskie i angielskie. Wyglądało, jakby cały świat wyznaczył sobie spotkanie właśnie w tej sali.

Gdy wszedł, przyciągnął kilka spojrzeń, jednak uwaga większości obecnych skupiała się na szklanych gablotach stojących pod ścianami. Za ladą przypominającą zwykły sklep jubilerski stali ubrani w identyczne czarne stroje pracownicy domu aukcyjnego. Wszyscy mieli na rękach białe rękawiczki i pomagali potencjalnym kupcom, chcącym przyjrzeć się z bliska eksponatom wystawionym na sprzedaż.

W rogu sali cicho grał kwartet smyczkowy, po sali kręciło się paru kelnerów z tacami, na których stały wysokie kieliszki z szampanem.

Gray zgłosił swoje przyjście przy biurku obok wejścia, otrzymał paletkę z numerem i ruszył na obchód sali. Część ludzi siedziała już na miejscach, wśród nich w pierwszym rzędzie jasnowłosa para młodych gwiazdorów filmu niemego, przez których opóźniło się rozpoczęcie aukcji. Paletka z numerem spoczywała na kolanach kobiety, mężczyzna siedział pochylony ku niej i szeptał jej do ucha. W jego pozie było coś intymnego. Być może powodowała to jej smukła, gibka szyja wygięta w łuk, jakby w oczekiwaniu na pocałunek.

Wzrok kobiety padł na Graya idącego środkowym przejściem między rzędami, prześlizgnął się po nim obojętnie i powędrował dalej.

Nie dostrzegł w nim błysku rozpoznania.

Gray kontynuował obchód aż do pierwszego rzędu i umieszczonego przed nim podwyższenia z niewielką mównicą, potem powoli zawrócił. Nie dostrzegł niczego, co mogłoby stanowić zagrożenie.

Nie dostrzegł też Fiony.

Gdzie ona się podziała?

Skręcił ku gablotom z eksponatami i ruszył wzdłuż ściany, próbując wychwytywać strzępki toczących się wokół rozmów. Minął jednego z pracowników w chwili, gdy ten sięgał do gabloty po opasłe tomisko w skórzanej oprawie i z nabożną czcią kładł na ladzie przed zażywnym jegomościem. Mężczyzna pochylił się nad księgą i wpatrzył w nią przez zsunięte na czubek nosa okulary.

Gray rzucił okiem na tytuł.

Traktat o motylach z ręcznie wykonanymi rycinami, wydanie z 1884 roku.

Poszedł dalej wzdłuż rzędu gablot. Dotarłszy do końca, stanął twarzą w twarz z pulchną kobietą, którą wcześniej widział na ekranie laptopa. Kobieta bez słowa wyciągnęła ku niemu niedużą białą kopertę, a on machinalnie ją od niej wziął. Nim zdążył o cokolwiek zapytać, kobieta oddaliła się z obojętną miną.

Poczuł bijącą od koperty lekką woń perfum.

Dziwne.

Oderwał paznokciem zaklejoną zakładkę i wyjął złożony arkusik ekskluzywnej papeterii opatrzonej wodnym znakiem. Widniała na nim krótka, napisana starannym pismem wiadomość.

NAWET GILDIA NIE KRĘCI SIĘ TAK BLISKO TEGO OGNIA.  
UWAŻAJ NA SIEBIE.  
CAŁUSY.

Liścik nie był podpisany, ale w dolnym rogu widniał narysowany szkarłatnym tuszem obrazek zwiniętego smoka.

Ręka Graya odruchowo powędrowała do szyi i wiszącego na niej srebrnego talizmanu o identycznym kształcie. Podarunku od konkurencji.

Od Seichan.

Była agentką Gildii, tajnego syndykatu organizacji terrorystycznych, z którymi oddział Sigmy nieraz miał już do czynienia. Gray poczuł, że jeżą mu się włoski na karku. Odwrócił się i powiódł wzrokiem po sali. Pulchna kobieta, która przekazała mu liścik, zniknęła.

Ponownie przeczytał wiadomość.

Ostrzeżenie.

Lepiej późno niż wcale...

Przynajmniej Gildia nie jest w to zamieszana. O ile, oczywiście, można wierzyć w to, co mówi Seichan.

Choć Gray skłonny był jej uwierzyć.

Złodziejski honor i różne takie.

Jego uwagę przyciągnęło otwarcie się drzwi prowadzących na zaplecze.

Na salę wkroczył postawny mężczyzna. Był nim ubrany w smoking pan Ergenschein, licytator. Przygładził dłonią nażelowane i niewątpliwie ufarbowane włosy i potoczył wzrokiem po zebranych. Na jego kościstej twarzy widniał przyklepiony, jak wyjęty z książki sztuczny uśmiech.

Osoba będąca powodem jego widocznego zmieszania weszła tuż za nim, a właściwie została wprowadzona przez ochroniarza trzymającego ją za ramię.

Fiona.

Twarcz jej pałała, usta miała zaciśnięte i zbieleły ze złości.

Była wściekła.

Gray ruszył w ich kierunku.

Ergenschein zszedł z podwyższenia i skierował się w stronę głównej gabloty ustawionej z przodu sali, która do tej pory była pusta. W ręce trzymał jakiś przedmiot owinięty w kawałek zamszu. Ktoś z obsługi otworzył kluczem gablotę, Ergenschein ostrożnie odwinął zamsz i umieścił eksponat w gablocie.



Widząc zbliżającego się Graya, otrzepał dłonie i złożywszy je jak do modlitwy, zwrócił ku niemu twarz. Za jego plecami pracownik zamknął gablotę na klucz.

Gray spojrział na nowy eksponat.

Biblia Darwina.

Na widok Graya Fiona otworzyła szeroko oczy.

Nie zwracając na nią uwagi, podszedł do Ergenscheina.

– Jakież kłopoty? – zapytał.

– Ależ skąd, proszę pana. Po prostu wypraszamy tę młodą osobkę. Dostała się tu bez zaproszenia.

Gray wyjął z kieszeni zaproszenie.

– O ile wiem, mam prawo wprowadzić jedną osobę – powiedział, wyciągając drugą rękę do Fiony. – Cieszę się, że sama tu dotarła. Zatrzymała mnie telekonferencja z moim mocodawcą. Rozmawiałem już wcześniej z panną Neal w sprawie pewnych zakupów. Chodziło mi szczególnie o jedną pozycję.

Pokazał głową gablotę z Biblią Darwina.

Ergenschein aż się przygarbił z udawanego przejęcia.

– Okropna tragedia. Mam na myśli ten pożar. Obawiam się jednak, że Grette Neal pisemnie powierzyła tę pozycję naszemu domowi aukcyjnemu i bez pisemnej zmiany tej decyzji z podpisem jej pełnomocnika pozycja ta musi trafić na aukcję. Tak stanowi prawo.

Fiona szarpnęła się w uścisku ochroniarza i wbiła w mówiącego sztylęty oczu.

Ergenschein udawał, że tego nie zauważył.

– Tak więc obawiam się, że szanowny pan będzie musiał wziąć udział w licytacji. Bardzo mi przykro, ale mam związane ręce.

– Zatem nie ma pan chyba nic przeciwko temu, żeby panna Neal mi towarzyszyła. Jej wiedza może mi się przydać przy oględzinach eksponatu.

– Jak pan sobie życzy. – Ergenschein niechętnie dał znak ochroniarzowi, a jego twarz na moment wykrzywił grymas. –

Tylko pod warunkiem, że przez cały czas pozostanie w pańskim towarzystwie. Ponosi pan za nią pełną odpowiedzialność.

Ochroniarz puścił Fionę, ale idąc na miejsce Gray zauważył, że przez całą drogę sunął pod ścianą równo z nimi, nie spuszczać z nich wzroku.

Usiedli w ostatnim rzędzie i chwilę potem zabrzmiał gong zwiastujący, że do rozpoczęcia aukcji została minuta. Miejsca na sali szybko się zapełniły, ale głównie z przodu. Gray i Fiona byli jedynymi, którzy usiedli w ostatnim rzędzie.

– Co ty tu robisz? – spytał szeptem.

– Odzyskuję moją Biblię – mruknęła Fiona. – Przynajmniej próbuję.

Rozsiadła się na krześle i złożyła ręce na skórzanej torebce.

Ergenschein wszedł na mównicę i zaczął od omówienia kwestii porządkowych. Poinformował, że licytacja odbędzie się w języku angielskim, zrozumiałym dla większości międzynarodowej klienteli. Przypomniał też zasady podbijania ceny, wysokość marż i opłat na rzecz domu aukcyjnego, a nawet obowiązującą uczestników etykietę. Najważniejszym warunkiem było to, iż oferowana cena nie może przekraczać dziesięciokrotności wpłaconego wadium.

Gray większość uwag puszczał mimo uszu, kontynuując rozmowę z Fioną. Wywołało to pełne zgorszenia spojrzenia osób siedzących przed nimi.

– Wróciłaś po Biblię? Ale dlaczego?

Dziewczyna milczała.

– Fiono...

Spojrzała na niego ze złością.

– Bo należała do *mutti*! – Oczy jej się zaszklily. – Bo przez nią ją zabili. Nie pozwolę, żeby ją dostali.

– Ale kto?

Machnęła ręką.

– Ci bandyci, którzy ją zabili. Odzyskam ją i spalę.

Gray westchnął i odchylił się do tyłu. Każdy sposób pomszczenia babci był dla Fiony dobry. Po prostu chciała się na

nich odegrać, obojętnie jak. Gray potrafił to zrozumieć... tyle że takie igranie z ogniem mogło się skończyć dla niej tragicznie.

– Biblia jest nasza. Musi być jakiś sposób, żeby ją wycofać z aukcji i odzyskać.

Głos jej się lekko załamał, pokręciła głową i nerwowo pociągnęła nosem.

Gray otoczył ją ramieniem.

Skrzywiła się, ale się nie odsunęła.

Aukcja się rozpoczęła i w górę zaczęły wyskakiwać i opadać tabliczki z numerami. Licytowane kolejno eksponaty trafiały do nowych właścicieli, ale jak zwykle najważniejsze zostawiono na koniec. Gray obserwował kupujących. Szczególnie interesowali go nabywcy trzech pozycji zapisanych w notesie: rozprawy Mendla o genetyce, fizyki Plancka i zapisków de Vriessa o mutacjach.

Wszystkie trzy kupili gwiazdorzy filmu niemego.

Ich tożsamość pozostawała nieznana i do uszu Graya docierały szepty z rzędu przed nimi. Nikt nie wiedział, kim są. Identyfikował ich tylko numer podnoszonej tabliczki.

Numer 002.

Gray nachylił się do Fiony.

– Poznajesz tych ludzi? Byli kiedyś w waszym sklepie?

Uniosła głowę i przez dobrą minutę wpatrywała się w parę w pierwszym rzędzie, potem znów zapadła się w siebie.

– Nie.

– A kogoś z tej sali?

Wzruszyła ramionami.

– Jesteś pewna?

– Tak – prychnęła. – Pewnie, do cholery, że jestem pewna!

To przyciągnęło kolejne zgorszone spojrzenia.

W końcu do zlicytowania pozostała już tylko jedna, ostatnia pozycja. Otwarto gablotę, wyjęto Biblię Darwina, i z czcią należną relikwii ułożono na sztaludze ustawionej z przodu sali i oświetlonej specjalnym halogenowym punktowcem. Na pierwszy rzut oka nie wyglądała imponująco. Niepozorny wolumin, oprawiony w wytartą i poplamioną czarną skórę bez

jakichkolwiek napisów, nieróżniący się niczym od pierwszej lepszej książki z antykwariatu.

Fiona wyprostowała się na krześle. Widać było, że tylko dla tej chwili tu przyszła i wysiedziała spokojnie na miejscu.

– Naprawdę przystąpisz do licytacji? – spytała z nadzieją, biorąc Graya za rękę.

W pierwszym odruchu skrzywił się, ale zaraz uzmysłowił sobie, że właściwie to niezły pomysł. Jeżeli ludzie gotowi są za nią zabijać, może wzięcie udziału w licytacji pozwoli mu głębiej wejrzeć w całą sprawę. A niezależnie od wszystkiego chciał choć przez chwilę się jej przyjrzeć. Oddział Sigmy wpłacił wadium w wysokości dwustu pięćdziesięciu tysięcy euro, dzięki czemu miał prawo licytować do wysokości dwóch i pół miliona. Szacunkowa wartość Biblii wynosiła dwukrotnie mniej, więc gdyby udało mu się przelicytować konkurencję, mógłby poddać swój nabytek skrupulatnym oględzinom.

Pamiętał też jednak słowa Logana Gregory'ego. Przychodząc tu za Fioną, złamał jego zakaz i nie miał ochoty pakować się w jeszcze większe tarapaty.

Czuł na sobie badawczy wzrok dziewczyny.

Jeśli włączy się do licytacji, narazi życie swoje i jej na niebezpieczeństwo. Równie dobrze mógłby namalować sobie tarczę strzelniczą na plecach. A jeśli przegra licytację i tak całe ryzyko pójdzie na marne. Czy nie dość przygód jak na jeden dzień?

– Proszę państwa, zastanawiam się, od jakiej kwoty powinniśmy rozpocząć licytację naszej gwiazdy wieczoru – oznajmił Ergenschein uroczystym tonem. – Co państwo powiedzą na cenę otwarcia sto tysięcy euro? Ach, proszę bardzo, mamy już sto tysięcy... i to od nowego uczestnika aukcji. Pięknie. Witamy numer sto czterdzieści cztery.

Gray opuścił tabliczkę, czując na sobie wzrok całej sali. Nowy gracz.

Siedząca obok Fiona uśmiechnęła się radośnie.

– Mamy podwojenie ceny! – wykrzyknął Ergenschein. – Dwieście tysięcy od numeru zero zero dwa!

Gwiazdorzy kina niemego.

Gray czuł, że uwaga wszystkich – łącznie z parą w pierwszym rzędzie – jest teraz skierowana na niego. Za późno, żeby się wycofać. Uniósł paletkę.

Licytacja ciągnęła się przez następne pełne napięcia dziesięć minut. Publiczność nie opuszczała miejsc, chcąc się dowiedzieć, za ile ostatecznie sprzedana zostanie Biblia Darwina. Sympatia sali była wyraźnie po stronie Graya. Zbyt wielu uczestników musiało uznać wyższość numeru 002. Gdy cena przekroczyła magiczną barierę dwóch milionów euro – znacznie powyżej wcześniejszych szacunków – przez salę przeszedł szmer podniecenia.

Powodem było nieoczekiwane włączenie się do licytacji klienta licytującego przez telefon, jednak gdy numer 002 przebił i tę ofertę, uczestnik telefoniczny wycofał się.

Ale nie Gray. Dwa miliony trzysta. Czuł, że dłonie ma mokre od potu.

– Dwa miliony czterysta od numeru zero zero dwa! Proszę państwa o pozostanie na miejscach.

Gray raz jeszcze uniósł tabliczkę.

– Dwa miliony pięćset.

Wiedział, że osiągnął kres swoich możliwości, i mógł już tylko bezsilnie się przyglądać, jak tabliczka numer 002 powoli wędruje do góry.

– Trzy miliony – powiedział blady młodzieniec, wyraźnie znużony tą zabawą. Mimo to spojrział na Graya, jakby zachęcając do podjęcia jego wyzwania.

Gray jednak wyczerpał swój limit i gdyby nawet chciał, nie wolno mu było pójść wyżej. Ściskając w dłoni tabliczkę, pokręcił głową. Uznał się za pokonanego.

Młodzieniec skłonił lekko głowę w jego stronę i uchylił nieistniejący kapelusz. Przy okazji tego gestu na jego prawej dłoni Gray dostrzegł niebieskawą znamień między kciukiem a palcem wskazującym. Tatuaż. Towarzysząca mu kobieta, która – co przyszło mu do głowy dopiero teraz – musiała być

jego siostrą, a może wręcz bliźniaczką, miała na lewej dłoni identyczny znak.

Gray zapisał sobie w pamięci wzór znaku, w nadziei że pomoże mu to później zidentyfikować dziwną parę.



Jego rozmyślania przerwały słowa mistrza ceremonii.

– Wygląda na to, że numer sto czterdzieści cztery się wycofał! – ogłosił Ergenschein. – Czy mamy jeszcze jakieś oferty? Trzy miliony po raz pierwszy... po raz drugi... po raz trzeci. – Uniósł młotek, przytrzymał w górze przez króciutki, zapierający dech w piersiach moment, po czym stuknął nim w krawędź mównicy. – Sprzedane!

Zwycięzców nagrodziły zdawkowe brawa.

Gray nie miał wątpliwości, że gdyby to on wyszedł zwycięsko z licytacji, brawa byłyby znacznie gorętsze. Zaskoczyło go natomiast, że ktoś bije brawo tuż obok niego.

– Chodźmy już stąd – powiedziała Fiona, klaszcząc, i uśmiechnęła się.

Wmieszali się w tłum opuszczający salę. Parę osób wyraziło nawet współczucie i złożyło kondolencje z powodu przegranej. Wkrótce wszyscy wylegli na ulicę i rozpiezchli się w różne strony.

Fiona poprowadziła go parę domów dalej do ciastkarni urządzonej na modłę francuską, łącznie z perkalowymi zasłonkami i stolikami z giętego żelaza. Wybrała stolik obok gabloty pełnej ptysiów z bitą śmietaną, czekoladowych eklerów i innych ciastek, ale także *smørrebrød* – słynnych duńskich kanapek.

Siadając, nawet na nie nie spojrzała. Tryskała radością.

– Co cię tak cieszy? – nie wytrzymał w końcu Gray. – Przecież przegraliśmy licytację.

Usadowił się twarzą do okna. Wiedział, że od teraz muszą bardzo uważać, choć miał również cichą nadzieję, że skoro tamtym udało się kupić Biblię, to może napastnicy dadzą im już spokój.

– Aleśmy ich podpuścili! – parsknęła. – Na całe trzy melony. Bomba!

– Myślę, że akurat dla nich pieniądze nie są najważniejsze.

Fiona wyciągnęła szpilę z koka i rozpuściła włosy. Od razu ubyło jej dziesięć lat, ale oczy nie zmieniły wyrazu; błyszczały rozbawieniem z dodatkiem złośliwej satysfakcji.

Gray poczuł nagle, że żołądek zawiązuje mu się w twardey supeł.

– Fiono, coś ty nabroiła?

Dziewczyna położyła torebkę na stoliku, otworzyła i przesunęła w stronę Graya. Pochylił głowę i zajrzał do środka.

– Rany boskie... Fiono...

W torebce znajdowała się książka w zniszczonej skórzanej oprawie.

Dokładnie taka, jak sprzedana przed chwilą Biblia Darwina.

– Ta jest prawdziwa? – spytał Gray zduszonym głosem.

– Zwinęłam ją na zapleczu wprost spod nosa tego ślepego pierdziela.

– Ale jak...

– Stary numer z odwróceniem uwagi i podmianką. Cały dzień spędziłam na szukaniu Biblii o odpowiedniej wielkości i kształcie. Oczywiście musiałam trochę nad nią popracować, ale później wystarczyły już tylko moje łzy, wrzaski i lekkie zamieszanie... – Wzruszyła ramionami. – Spoko, wszystko poszło jak trzeba.

– Skoro już miałaś Biblię, to dlaczego chciałaś, żebym licytował? – I nagle do niego dotarło. – Specjalnie mnie wrobiłaś!

– Żeby ci dranie musieli wybulić trzy melony za bezwartościową podróbkę!

– Ale oni szybko się zorientują, że to nie autentyk. – Gray był coraz bardziej przerażony.

– Pewnie, tylko że wtedy już mnie tu dawno nie będzie.

– Dokąd się wybierasz?

– Z tobą – parsknęła, zatraskując torebkę.

– Wątpię.

– Pamiętasz, co *mutti* opowiadała o rozsprzedanym księgozbiorze? Tym, z którego pochodziła Biblia Darwina?

Gray pamiętał. Grette Neal sugerowała, że ktoś stara się odtworzyć stary księgozbiór naukowy. Chciała nawet zrobić kserokopię oryginalnego pokwitowania zakupu, tylko że właśnie wtedy nastąpił atak i wszystko strawiły płomienie.

Fiona klepnęła się w czoło.

– Mam ten adres zapisany tu, w pamięci. – Wyciągnęła rękę do Graya. – No to jak?

Skrzywił się, ale ją uścisnął.

Wyszarpnęła mu dłoń z niesmakiem.

– Aha, akurat – prychnęła i obróciła rękę dłonią do góry. – Najpierw chcę zobaczyć twój prawdziwy paszport. Myślisz, że nie umiem poznać podróbki?

Przez chwilę mierzyli się wzrokiem. Już wcześniej wykradła mu inny paszport i teraz patrzyła na niego twardo, bez cienia uśmiechu. Skrzywił się, sięgnął do kieszeni marynarki i wyjął prawdziwy paszport.

Fiona zajrzała do środka.

– Grayson Pierce – przeczytała i rzuciła paszport na stolik. – Miło cię poznać... w końcu.

– No więc co z tą Biblią? – spytał, chowając paszport. – Skąd pochodzi?

– Powiem ci, jak stąd wyjedziemy. Razem.

– Nie bądź śmieszna. Nie możesz ze mną jechać. Jesteś jeszcze dzieckiem.

– Dzieckiem z Biblią Darwina.

Te próby szantażu zaczynały go męczyć. Mógł bez trudu odebrać jej Biblię, ale nie mógł zrobić tego samego z wiedzą w jej głowie.

– Fiono, to nie jest zabawa.

Spojrzała na niego twardo, znów wyglądała na starszą.



– Myślisz, że o tym nie wiem? – powiedziała zimno. – A ty gdzie się podziewałeś, kiedy zabierali *mutti* w plastikowym worku. W pieprzonym plastikowym worku!

Gray przymknął oczy. Trafiła go w czuły punkt, ale nie miał zamiaru popuścić.

– Fiono, naprawdę mi przykro – rzekł zduszonym głosem. – Ale to, o co prosisz, jest po prostu niewykonalne. Nie mogę cię zabrać...

Potężna eksplozja zatrzęsa ciastkarnią jak trzęsienie ziemi. Szyba wystawowa zabręczczała, talerze posypały się na podłogę. Nieco z boku, po drugiej stronie ulicy, wyrósł kłęb czarnego dymu i wzbił się w wieczorne niebo. Z jednego z okien strzeliły płomienie i rozpełzły się po ścianie.

Fiona popatrzyła na Graya.

– Niech zgadnę – powiedziała.

– Mój pokój w hotelu.

– No i to by było tyle, jeśli chodzi o nasze fory na starcie.

## **Himalaje**

### **Godzina 23.47 czasu miejscowego**

Posadzili Paintera i Lisę na przyczepie skutera i przywiązali plastikowymi paskami do siedzenia, związali z sobą i wyruszyli w drogę. Od tej chwili minęła już blisko godzina.

Painter w miarę możliwości osłaniał Lisę, grzejąc ją ciepłem własnego ciała, ona też się w niego wtulała, ale nic więcej nie mogli zrobić.

Tuż przed sobą mieli zabójcę z klasztoru, który siedział na tylnym siedzeniu zwrócony ku nim twarzą. Trzymał skierowany w ich stronę karabin i nie spuszczał z nich niesamowitych oczu. Skuter prowadziła Anna Sporrenberg, która najwyraźniej dowodziła całą grupą.

Grupą byłych nazistów.

Ewentualnie zreformowanych nazistów.

Czy kim tam naprawdę są.

Painter odłożył tę kwestię na później. Stało przed nim znacznie ważniejsze pytanie.

Jak wyjść cało z tej opresji?

Szybko doszedł do tego, dlaczego prześladowcy tak łatwo ich odnaleźli w lodowej kryjówce. Posłużyli się podczerwienią. W lodowato zimnym otoczeniu ciepło wydzielane przez ciało działa jak nadajnik, co pozwoliło łatwo ich namierzyć.

Z tych samych powodów wszelkie próby ucieczki w tym terenie były z góry skazane na niepowodzenie.

Mimo to jego myśli kręciły się wokół jednego tematu.

Jak uciec?

Kawalkada skuterów śnieżnych od blisko godziny parła do przodu w lodowatych ciemnościach. Pięć skuterów sunęło po krawędziach urwisk, zjeżdżało w głębokie rozpadliny i przemykało po lodowych mostach nad przepaściami.

Painter starał się w miarę możliwości zapamiętać drogę, ale zmęczenie i ciągłe zmiany kierunku jazdy praktycznie to uniemożliwiały. Na domiar złego znów poczuł łupanie w głowie. Pulsujący ból, któremu towarzyszyła utrata orientacji i coraz silniejsze zawroty głowy. Musiał sam przed sobą przyznać, że objawy choroby wcale nie ustąpiły. A także to, że nie ma pojęcia, gdzie się znajdują.

Zadarł głowę i wpatrzył się w nocne niebo.

Gwiazdy świeciły zimnym, obojętnym blaskiem.

Może na ich podstawie uda mu się ustalić pozycję?

Wpatrując się w nie z napięciem, zauważył świetlne punkty, które nagle zaczęły tańczyć na niebie. Poczuł ostre ukłucie bólu w oczodołach i spuścił wzrok.

– Dobrze się czujesz? – usłyszał za sobą szept Lisy.

Tylko stęknął w odpowiedzi, bojąc się otworzyć usta.

– Znowu atak nystagmii? – domyśliła się.

Ostrzegawcze warknięcie pilnującego ich zabójcy zniechęciło ich do dalszych prób porozumiewania się. Ale Painter poczuł wdzięczność. Przymknął oczy i wzięwszy kilka głębokich oddechów, czekał, aż atak minie.

I rzeczywiście w końcu minął.

Otworzył oczy w chwili, gdy kawalkada dotarła do skalnej grani i zatrzymała się. Rozejrzał się, ale poza skałami niczego tu nie było i tylko od grani ciągnął się w prawo pokryty lodem uskok. Znowu zaczął padać śnieg.

Dlaczego się zatrzymali?

Zabójca wysiadł z przyczepy, Anna zrobiła to samo. Wielkolud stanął do niej twarzą i zaczął perorować coś po niemiecku.

Painter wyteżył słuch i wychwycił końcowe słowa.

– ...i powinniśmy ich po prostu zabić.

W jego głosie nie było nienawiści. Po prostu czysty pragmatyzm.

– Musimy więcej od nich wyciągnąć, Guntherze – odrzekła Anna, krzywiąc się. Spojrzała na Paintera i dodała: – Wiesz, jakie problemy mieliśmy ostatnio. Skoro go tu wysłali, może wiedzieć coś, co pomoże nam wybrnąć z całej tej sytuacji.

Painter nie wiedział, o czym mówią, ale nie miał zamiaru wyprowadzać ich z błędu. Zwłaszcza jeśli dzięki temu uda mu się uratować życie.

Zabójca niechętnie pokręcił głową.

– Będą z nim kłopoty. Czuję to.

Mówił to beznamietnie jak człowiek, który tylko robi to, co musi. Już miał się odwrócić, gdy powstrzymała go Anna, kładąc mu dłoń na policzku. W jej geście była czułość, wdzięczność... może nawet coś więcej.

– Dziękuję, Guntherze.

Mężczyzna odwrócił się bez słowa, choć zrobił to na tyle wolno, że Painterowi udało się dostrzec w jego oczach coś na kształt cierpienia. Podeszedł do uskoku w ścianie i wcisnął się w skalną szczelinę. Chwilę później ze szczeliny wydobył się obłoczek pary i snop migotliwego światła, potem wszystko znikło.

Najwyraźniej w środku otworzyło się i zamknęło jakieś wejście.

Jeden z uzbrojonych strażników parsknął pogardliwie i rzucił pod nosem obelgę, jednak na tyle cicho, że mogli ją usłyszeć tylko najbliżej stojący.

*Leprakönig.*

Król trędowatych.

Painter odnotował też, że strażnik odczekał z rzuceniem obelgi do chwili, aż człowiek zwany Guntherem znajdzie się poza zasięgiem jego głosu. Zapewne nie ośmieliłby się powiedzieć mu tego w twarz, jednak z zachowania i opuszczonych ramion olbrzyma wynikało, że musiał już nieraz słyszeć ten epitet.

Anna wsiadła na skuter, jeden z uzbrojonych strażników zajął miejsce Gunthera i kawalkada ruszyła dalej.

Okrążyli występ i zaczęli zjeżdżać stromym żlebem w skalnym masywie. Pod nimi wisiał tuman zmrożonej mgły, zasłaniając widok na leżącą u ich stóp kotlinę. Z morza mgły wyłaniał się tylko przewieszony występ skalny, przypominający kształtem wyciągnięte dłonie.

Po chwili wjechali w gruby kożuch mgły, rozświetlany tylko reflektorami skuterów.

Wkrótce widoczność spadła poniżej metra i rozgwieżdżone niebo nad ich głowami rozmyło się.

Otoczający ich mrok jeszcze bardziej zgęstniał i Painter domyślił się, że wjechali pod występ skalny. Jednak temperatura powietrza nie tylko nie spadała, ale wyraźnie wzrastała i po chwili pojawiły się nawet wystające spod śniegu i ociekające wodą bloki skalne.

Painter domyślił się, że znajdują się w pobliżu jednego z lokalnych ognisk aktywności geotermicznej. Wiedział, że w Himalajach jest wiele gorących źródeł, choć trudno jest się na nie natknąć, a ich położenie znane jest głównie miejscowym. Ogromne ciśnienie powstałe w wyniku naporu indyjskiej płyty tektonicznej na płytę azjatycką doprowadziło do powstania licznych ognisk aktywności geotermicznej, a te z kolei dały początek legendzie Shangri-La.

Śniegu było coraz mniej, aż wreszcie konwój musiał stanąć. Strażnicy przecięli pasy krępujące Paintera i Lisę, postawili ich na nogi i związali im ręce w nadgarstkach. Painter starał się trzymać blisko Lisy, ale gdy wreszcie udało mu się spojrzeć jej w oczy, dojrzał w nich tylko strach.

Gdzie oni nas, do diabła, przywieźli?

Otoczył ich oddział uzbrojonych strażników w białych kurtkach i w dalszą drogę ruszyli pieszo. Resztki śniegu pod ich stopami wkrótce ustąpiły miejsca mokrej skale, a ta wykutym w kamieniu stopniom, po których spływał strumyk wody z topniejącego śniegu. Nieprzenikniona mgła zaczęła rzednąć i widoczność stawała się coraz lepsza.

Parę kroków dalej z mroku wyłoniła się krawędź urwiska z przewieszoną skalną ścianą. Dalej rozciągała się głęboka kotlina, która jednak nie miała nic z rajskiego ogrodu. Wszędzie sterczały tylko ociekające wodą i parujące groźne bloki czarnego granitu.

Krajobraz bardziej przypominał piekielną otchłań niż Shangri-La.

Lisa zachwiała się i Painter z trudem ją podtrzymał związanymi rękami. Nie zdziwiło go, że nogi się pod nią ugięły.

Przed nimi z mgły wyłonił się zamek.

A może raczej pół zamku.

Z bliska widać było, iż jego fasadę wyciosano w skale. Po obu stronach centralnej części wznosiły się dwie ogromne baszty zwieńczone blankami. Przez okna o grubych szybach widać było blask palącego się wewnątrz światła.

– *Granitschloss* – powiedziała z dumą Anna, prowadząc ich w stronę czterometrowej wysokości bramy, po której obu stronach stali wykuci z granitu rycerze.

Dębowa brama nabita była czarnymi metalowymi ćwiekami i takimiż listwami. Nim zdążyli podejść, podjechała w górę niczym obronna kratownica w bramie średniowiecznego zamczyska.

– Wchodźcie – zachęciła ich Anna. – Macie za sobą długą noc.

Poprowadzono ich pod bronią do wejścia. Idąc, Painter przyglądał się fasadzie zamkowej z pieczołowicie wykutymi parapetami i łukowatymi oknami. Zbudowana z bloków czarnego granitu fasada zroszona była wodą ściekającą małymi strużkami, jak wyciskany z czarnej skały olej. Wyglądało to tak, jakby fasada rozpływając się, chciała się wtopić w skałę.

Widoczny w kilku oknach migotliwy blask powodował, że zamek jarzył się upiornym światłem jak na obrazach Hieronima Boscha, piętnastowiecznego malarza specjalizującego się w alegorycznych obrazach piekła. Gdyby artysta był również rzeźbiarzem i chciał wyrzeźbić bramę piekieł, wznoszący się przed nimi zamek mógłby z powodzeniem posłużyć za model.

Painterowi nie pozostało nic innego, jak podążyć za Anną i wkroczyć do zamku. Uniósł głowę i rozejrzał się w poszukiwaniu napisu, który wedle Dantego miał widnieć u wejścia nad bramą piekieł.

Porzućcie wszelką nadzieję ci, którzy tu wchodzicie.

Napisu wprawdzie nie było, ale pewnie tylko przez przeoczenie.

Porzućcie wszelką nadzieję...

Chyba do tego się wszystko sprowadza.

## **Kopenhaga, Dania**

### **Godzina 20.15 czasu miejscowego**

Gdy tylko ucichł huk eksplozji, Gray złapał Fionę za rękę i pociągnął za sobą do bocznego wyjścia. Przecisnęli się między gośćmi siedzącymi w ogródku i ruszyli chodnikiem.

Z oddali dobiegało wycie syren.

Wyglądało na to, że kopenhaska straż pożarna ma tego dnia wyjątkowo dużo pracy.

Dobiegli do narożnika cichej uliczki. Tuż przy uchu Gray usłyszał trzask odłupywanej cegły i śpiewny rykoszet pocisku.

Ktoś do nich strzelał. Odwrócił się, pociągnął za sobą Fionę i nisko pochylony, wpadł w uliczkę. Potem wyjrzał zza węgła, szukając wzrokiem tego, kto strzelał.

I wypatrzył.

Tę, nie tego.

Bardzo niedaleko.

Kilkadziesiąt metrów dalej, po drugiej stronie ulicy.

Strzelała do nich białowłosa kobieta z aukcji. Tyle że zdążyła się już przebrać w czarny elastyczny kombinezon i dobrać właściwy do stroju dodatek: pistolet z tłumikiem. Trzymając go przy kolanach, szła szybkim krokiem w ich stronę. Uniosła dłoń do ucha i poruszyła ustami.

Rozmawiała przez radiotelefon.

I dopiero gdy padło na nią światło ulicznej latarni, Gray stwierdził, że się pomylił. To nie była kobieta z aukcji. Ta miała dłuższe włosy i ostrzejsze rysy twarzy. Starsza siostra tamtych dwojga.

Odwrócił się i ruszył w głąb uliczki.

Spodziewał się ujrzeć Fionę daleko przed sobą. Zobaczył ją niecałe pięć metrów dalej. Siedziała na mocno nadgryzionej zębem czasu vespie w kolorze jasnozielonym.

– Co ty, na litość boską...?

– Organizuję nam transport – burknęła, wrzucając śrubokręt do torebki.

Gray skoczył ku niej.

– Nie ma czasu na odpalanie – syknął.

Odwróciła głowę, nie przestając majstrować przy przewodach zapłonowych. Skręciła dwa z nich, silnik kaszlnął, zajęczał i zapalił.

Cholera...

Jest naprawdę dobra. Podziw i zaufanie Graya miały jednak swoje granice.

– Ja poprowadzę – mruknął, odsuwając Fionę.

Dziewczyna wzruszyła ramionami i przesiadła się na tylne siedzenie. Gray zepchnął skuter z nówek i podkręcił gaz. Nie

zapalając światła, ruszył w głąb ciemnej uliczki. A właściwie ledwo co popyrkotał.

– No, dawaj! – ponaglił silnik.

– Wrzuć z powrotem dwójkę – poradziła Fiona. – Trzeba tego starego rżęcha złapać za jaja.

– Nie potrzebuję rad z tylnego siedzenia – obruszył się Gray.

Mimo to posłuchał, wcisnął sprzęgło i przerzucił bieg. Skuter wyrwał do przodu jak wystraszony żreback. Popędzili wąską uliczką, manewrując wśród pojemników na śmieci.

Za plecami usłyszeli wycie syren. Gray się obejrzał. Główną ulicą przemknął wóz strażacki, pędząc do miejsca wybuchu. Nim Gray zdążył odwrócić głowę, na końcu uliczki pojawiła się ciemna sylwetka, dobrze widoczna na tle jasno oświetlonej przecznicy.

Kobieta z pistoletem.

Wyduśił jeszcze odrobinę mocy z silnika i objechawszy wysoki kontener, schował się za nim. Do skrzyżowania z następną przecznicą pozostał im już tylko krótki odcinek. Jeśli będzie się trzymał blisko ściany, może się udać.

Wylot uliczki na jasno oświetloną przecnicę świecił jak przyjazna latarnia morska.

Ich jedyna szansa.

Nie odrywając wzroku od prostokąta światła, zobaczył, jak z mroku wyłania się ciemna postać i staje dokładnie pośrodku. W światłach przejeżdżającego samochodu srebrzyście rozbłysły jasnoblond włosy. Kolejna kopia rodzeństwa, tym razem rodzaju męskiego. Mężczyzna miał na sobie długi czarny prochowiec. Rozsunął jego poły i wyciągnął spod niego strzelbę.

Widać kobieta zawiadomiła go przez radio, zamykając im drogę ucieczki.

– Trzymaj się mocno! – krzyknął Gray.

Mężczyzna jedną ręką uniósł strzelbę i Gray dostrzegł, że druga jest od nadgarstka do łokcia zabandażowana i umieszczona na temblaku. Choć twarz mężczyzny pozostawała w cieniu, Gray wiedział, z kim ma do czynienia.

Morderca Grette Neal.



Zabandażowana ręka była pamiątką po spotkaniu z Bertalem.

Zdrową ręką mierzył prosto w Graya.

Nie było chwili do stracenia.

Gray skręcił kierownicę tak gwałtownie, że położył skuter w poślizg i piszcząc oponami, runął bokiem na napastnika.

Usłyszał stłumiony huk wystrzału i głośny stuk kuli trafiającej w drzwi sąsiedniego domu.

Fiona pisnęła ze strachu.

Ale strzelec miał w strzelbie tylko jeden nabój i nie pozostało mu nic innego, jak uskoczyć przed sunącym na niego skuterem. Minąwszy go, Gray ostro dodał gazu i z piskiem opon wyprowadził pojazd z poślizgu. Wymuszając pierwszeństwo, wcisnął się w strumień pojazdów, co kierowca najbliższego audi powitał wściekłym trąbieniem.

Nie przejmując się, Gray popędził przed siebie.

Fiona rozluźniła dłonie wczepione w jego ramiona.

Znaleźli się na opadającej w dół ulicy i manewrując wśród wolniejszych samochodów, stopniowo nabierali szybkości. Kawalek dalej ich ulica kończyła się na ruchliwej przecznicy, przy której rosły drzewa. Chcąc zwolnić przed ostrym skrętem, Gray nacisnął hamulec, ale skuter nie zareagował. Spojrzał w dół. Obok tylnego koła coś wlokło się po jezdni.

Linka hamulcowa.

Musiała się zerwać w trakcie dramatycznego poślizgu.

– Zwolnij! – krzyknęła Fiona.

– Nie ma hamulca! – odkrzyknął. – Trzymaj się!

Zredukował bieg i zaczął wytracać szybkość, kładąc skuter w boczne poślizgi jak kręcący na stoku narciarz. Szurnął tylnym kołem po krawężniku tak, że opona aż zadymiała.

Mimo to na skrzyżowanie wjechali zbyt szybko.

Gray położył skuter na boku, aż spod trącej o asfalt blachy trysnął snop iskier. Wciąż jednak sunęli do przodu, przemykając tuż przed maską wielkiej ciężarówki. Rozległ się ryk klaksonów i pisk opon.

Z impetem grzmotnęli w krawężnik po drugiej stronie jezdni.

Gdy skuter podskoczył, Graya i Fionę wyrzuciło w powietrze.

Zetknięcie z ziemią zostało w przeważającej mierze zamortyzowane przez żywopłot, którym obrośnięty był ciągnący się wzdłuż chodnika ceglany mur. Gray podniósł się na nogi i podszedł do Fiony.

– Nic ci się nie stało?

Podniosła się bardziej naburmuszona niż potłuczona.

– Zapłaciłam za tę spódnicę dwieście euro – odburknęła. Na boku widać było długie rozdarcie. Zgarnęła je jedną ręką, drugą sięgnęła po torebkę.

Garnitur od Armaniego Graya ucierpiał jeszcze bardziej. Nogawka spodni była rozdarta na kolanie, cała prawa strona marynarki wyglądała, jakby ją ktoś wyszorował drucianą szczotką. Ale poza paroma sińcami i zadrapaniami oboje wyszli z opresji bez szwanku.

Samochody mijają miejsce kraksy, jakby nic się nie stało.

Fiona ruszyła przed siebie, pociągając za sobą Graya.

– Vespy wciąż się tu wywracają – wyjaśniła. – I są najczęściej kradzione. Posiadanie skutera w Kopenhadze jest sprawą dość umowną. Potrzebny ci skuter? To go sobie weź. A potem zostaw dla następnego. Nikt się tym nie przejmuje.

Okazało się, że w ich przypadku ktoś to jednak zauważył.

Usłyszeli za plecami pisk opon i obejrzel się. Dwie przecznice dalej na ulicę gwałtownie wypadł czarny sedan i ruszył w ich stronę. W środku rysowały się dwie sylwetki, ale było zbyt ciemno, by dało się je rozpoznać. Świecące w ich stronę reflektory samochodu dodatkowo to utrudniały.

Gray pociągnął Fionę do szpaleru drzew porastających skraj chodnika, rozglądając się gorączkowo za jakąś kryjówką. Chodnik przylegał do ceglanego muru, który ciągnął się wzdłuż całej ulicy. Nie widać w nim było żadnych załomów, budynków ani przecznic. Nic, tylko wysoki nagi mur, spoza którego dochodziły radosne dźwięki piszczałek i skrzypiec.

Czarny sedan zatrzymał się przy przewróconej vespie. Jego pasażerowie wyraźnie szukali Graya i Fiony.

Widać wiadomość o ich ucieczce skuterem przekazano dalej.

– Tutaj – rzuciła Fiona.

Pociągnęła Graya ku stojącej pod murem ławce i przewiesiwszy torbę przez ramię, wskoczyła na nią. Potem wspięła się na oparcie, wyskoczyła w górę i złapała się konara drzewa wystającego nad murem. Wyrzuciła w górę nogi i objęła nimi konar.

– Co ty wyprawiasz?

– Dzieci ulicy zawsze tak robią. Wchodzenie na gapę.

– Co?

– No, ruszaj się.

Przekładając ręce, przesunęła się po grubym konarze nad murem, puściła się i zniknęła po drugiej stronie.

Niech to diabli.

Sedan ruszył wolno i zaczął się zbliżać.

Grayowi nie pozostało nic innego, jak pójść w ślady dziewczyny. Wdrapał się na oparcie ławki i skoczył. Dochodząca zza muru muzyka stała się głośniejsza, mieniła się barwami i tworzyła w ciemnościach magiczny nastrój. Z głową w dół wyjrzał za mur.

W dole rozciągało się bajkowe królestwo kolorowych lampionów, miniaturowych pałaców i grających karuzeli.

Ogrody Tivoli.

Pochodzący z przełomu wieków i leżący w samym sercu Kopenhagi park rozrywki. Z tej wysokości widać było jezioro, w którego tafli odbijały się tysiące lampionów i kolorowych żarówek. We wszystkich kierunkach rozchodziły się od niego ukwiecone alejki, prowadzące do rzęście oświetlonych pawilonów, kolejek górskich, niezliczonych karuzeli i diabelskich młynów. Bardziej niż nadmiernie stechnicyzowany Disneyland, przypominało to przyjazny park zabaw z dzieciństwa.

Gray ruszył po gałęzi na drugą stronę muru.

Dojrzał Fionę ukrytą za jakąś szopą. Pomachała do niego.

Opuścił nogi i zawisł na rękach.

Tuż obok jego prawej dłoni odprysnął kawał kory. Zaskoczony puścił się, i machając rękami dla utrzymania pionu, poleciał w dół. Opadł ciężko na klomb, boleśnie tłukąc sobie kolano. Na szczęście miękki dywan z kwiatów osłabił siłę uderzenia. Zza muru dobiegł warkot silnika i trzaśnięcie drzwi.

Zostali odkryci.

Z grymasem bólu na twarzy dołączył do Fiony, a ta wlepiała w niego wystraszone oczy. Widocznie też usłyszała wystrzał. Bez słowa zanurzyli się w labirynt alejek ogrodów Tivoli.

## BRZYDKIE KACZĄTKO

### Himalaje

#### Godzina 1.22 czasu miejscowego

Było już dawno po północy, ale Lisa wciąż wylegiwała się w wannie pełnej gorącej wody z naturalnego źródła. Zamknąwszy oczy, mogła sobie łatwo wyobrazić, że znajduje się teraz w ekskluzywnym SPA gdzieś w Europie. Najbliższe otoczenie niewątpliwie wzmagало to wrażenie: puszyste ręczniki i płaszcze kąpielowe frotté, sypialnia z ogromnym łóżem z baldachimem na czterech słupach, z luksusową pościelą i puszystymi poduchami. Na ścianach wisiały średniowieczne gobeliny, kamienna posadzka pokryta była tureckimi dywanami.

W sypialni czekał Painter, dokładając polana do niewielkiego kominka.

Przyszło im dzielić tę luksusową celę.

Painter zapewnił Annę Sporrenberg, że z Lisą znają się jeszcze ze Stanów. Skłamał, nie chcąc, żeby ich rozdzielono.

A Lisa nie zaprotestowała.

Ona też nie chciała być sama.

Choć woda miała temperaturę tylko trochę niższą od wrzątku, Lisa poczuła dreszcze. Wiedza lekarska podpowiadała, że to reakcja organizmu na nagły spadek poziomu adrenaliny, która dotąd utrzymywała ją na wysokich obrotach. Przypomniała sobie swoją ostrą reakcję na słowa

Niemki i jak niewiele brakowało, a rzuciłaby się na nią z pięściami. Przez nią oboje mogli zginąć.

I ten niewzruszony spokój Paintera. Nawet teraz stukot polan wrzucanych do kominka dodawał jej otuchy. Zwykły dźwięk, ale dający poczucie, że ktoś się o nią troszczy. Przecież on też musi być wykończony. Kazała mu pierwszemu wziąć gorącą kąpiel w ogromnej wannie – nie tyle dla higieny, ile by zapobiec odmrożeniom. Zauważyła białe plamy na małżowinie jego uszu i uparła się, że on pierwszy musi się rozgrzać.

Była ciepłej ubrana i lepiej od niego zniosła mróz.

Zanurzyła się z głową w gorącej wodzie, pozwalając, by jej włosy rozpląnęły się po powierzchni. Gorąco przenikało ją na wskroś, rozgrzewając wszystkie mięśnie. Pomyślała, że wystarczyłoby teraz wciągnąć wodę do płuc i nie podejmując walki, po prostu się utopić. Moment paniki i byłoby po wszystkim. Po dręczącym ją strachu i po nerwach. Przejęłaby kontrolę nad własnym losem. Wymknęłaby się prześladowcom.

Wystarczy jeden wdech...

– Kończysz już? – dotarł do niej stłumiony przez wodę głos Paintera. – Przynieśli nam coś do jedzenia.

Lisa wynurzyła się w obłoku pary z twarzą oblepioną ociekającymi wodą włosami.

– Zaraz... zaraz przyjdę.

– Nie spiesz się.

Usłyszała, jak dokłada kolejne polano do ognia.

Jak on może się ruszać? Trzy dni spędzone w łóżku, potem przejścia w piwnicy, zmaganie się ze śniegiem i mrozem, a on wciąż jest pełen energii. To napawało otuchą. Może był to u niego tylko odruch rozpacz, ale ona wyczuwała w nim pokłady siły i to nie tylko fizycznej.

Myślenie o Painterze pomogło jej ostatecznie przewalczyć dreszcze.

Wyszła z wanny i wytarła parujące ciało. Na ścianie wisiał gruby płaszcz kąpielowy, lecz nie od razu go włożyła. Obok antycznej umywalki wisiało sięgające podłogi lustro. Było zaparowane, ale i tak odbijało zarys jej nagiego ciała. Stała

bokiem i obejrzała swoje nogi. Nie chciała podziwiać swoich wdzięków, tylko obejrzeć mapę sińców. Rwący ból w łydkach uzmysłowił jej to, co najważniejsze.

Że wciąż jeszcze żyje.

Spojrzała na wannę.

Nie, nie da im tej satysfakcji. Stawi im czoło.

Włożyła płaszcz kąpielowy, zawiązała pasek i odsunęła ciężką metalową zasuwkę w drzwiach. W pokoju było nawet cieplej. Dzięki parowemu ogrzewaniu było w nim i tak znośnie, ale płonący w kominku ogień wytworzył prawdziwie ciepłą atmosferę. Płomień strzelał wesoło, wypełniając pokój ciepłą czerwonawą poświatą. Jedynym poza nim źródłem światła było kilka świec obok łóżka, co dodatkowo podkreślało domową atmosferę.

W pokoju nie było elektryczności.

Wprowadzając ich tu, Anna Sporrenberg z dumą wyjaśniła, że większość zużywanej w zamku energii ma pochodzenie geotermiczne i opiera się na pomysłe sprzed ponad stu lat. Jego autorem był urodzony we Francji niemiecki inżynier Rudolf Diesel – ten sam, który później wynalazł silnik wysokoprężny. Mimo to energia elektryczna była ściśle reglamentowana i przeznaczano ją niemal wyłącznie na potrzeby określonych części zamku.

Ich sypialnia do nich nie należała.

Painter uniósł głowę i spojrzał na Lisę. Po kąpeli jego włosy sterczały niesfornie na wszystkie strony, co nadawało mu zawadiacki, chłopięcy wygląd. Był boso i miał na sobie identyczny płaszcz kąpielowy. Wyciągnął do Lisy kubek z parującym płynem.

– Herbata jaśminowa – powiedział, zapraszając ją ruchem ręki na kanapę przed kominkiem.

Na stoliku stał talerz z serem i plastrami rostbefu, bochenek ciemnego chleba, na tacy stała musztarda, miseczka czarnych jagód i mały dzbanuszek śmietanki.

– Nasza ostatnia wieczerza? – Lisa się uśmiechnęła. Chciała, żeby zabrzmiało to pogodnie, ale nie bardzo się udało. Czowała, że

od rana zaczęły ich dręczyć przesłuchaniami.

Painter usiadł na kanapie i poklepał miejsce obok siebie.

Lisa dołączyła do niego.

Zabrał się do krojenia chleba, a ona wzięła kawałek ostrego cheddara. Uniosła go do ust, powąchała i odłożyła. Nie miała apetytu.

– Powinnaś coś zjeść – upomniał ją Painter.

– Po co? Żeby być silniejsza, kiedy zaczną nas faszerować narkotykami?

Zwinął w rulonik plaster wołowiny i wsunął do ust.

– Nic nigdy nie jest z góry przesądzone – powiedział z pełnymi ustami. – Jeśli życie czegokolwiek mnie nauczyło, to właśnie tego.

Lisa nie wyglądała na przekonaną.

– Więc co? – Pokręciła głową. – Mamy czekać w nadziei, że coś się wydarzy, tak?

– Osobiście wolę mieć jakiś plan.

Spojrzała na niego pytająco.

– I co, masz?

– Bardzo prosty. Nie wymaga strzelania ani rzucania granatami.

– Mianowicie?

Przełknął mięso i zwrócił ku niej twarz.

– Oparty na czymś, co zaskakująco często się sprawdza.

– Ale na czym? – ponagliła go niecierpliwie.

– Na szczerości.

Opuściła ramiona i oparła się o kanapę.

– Rewelacja – mruknęła niechętnie.

Painter wziął do ręki kromkę chleba, posmarował gruboziarnistą musztardą, położył plaster rostbefu, a na wierzch kawałek cheddara.

– Zjedz to – rozkazał, wyciągając do niej rękę.

Westchnęła i przyjęła kanapkę, ale głównie po to, by zrobić mu przyjemność.

Drugą taką samą przygotował dla siebie.



– Jestem dyrektorem oddziału DARPA o nazwie Sigma. Specjalizujemy się w zwalczaniu niebezpieczeństw grożących Ameryce i w tym celu zatrudniamy byłych żołnierzy sił specjalnych. Jesteśmy siłą uderzeniową DARPA w operacjach poza granicami kraju.

Lisa żuła kawałek skórki od chleba, czując na języku palący smak musztardy.

– Czy to znaczy, że możemy liczyć na interwencję twoich komandosów?

– Bardzo wątpliwe. Nie w skali czasowej, z jaką mamy tu do czynienia. Stwierdzenie, że moich zwłok nie ma wśród ofiar pożaru klasztoru musi zająć kilka dni.

– No to nie bardzo rozumiem...

Painter uniósł rękę.

– Chodzi mi o to, żeby postawić na szczerść. Wyjawić wszystko szczerze i otwarcie i zobaczyć, do czego nas to doprowadzi. Coś już przyciągnęło uwagę Sigmy do tego miejsca. Doniesienia o dziwnych zachorowaniach. Skąd po latach funkcjonowania w pełnej konspiracji nagle tyle wpadek w ciągu paru ostatnich miesięcy? Nie wierzę w zbiegi okoliczności. Podśluchałem rozmowę Anny z tym zabójcą. Wyraźnie mówiła o jakichś kłopotach. O czymś, co ich zaskoczyło. Coś mi mówi, że cele naszych organizacji mogą nie być aż tak bardzo rozbieżne. Może istnieje pole dla współpracy.

– I wtedy zostawią nas przy życiu? – Lisa powiedziała to z powątpiewaniem, choć w jej głosie pojawił się cień nadziei. Chcąc go ukryć, zabrała się do jedzenia.

– Tego nie wiem – odrzekł Painter szczerze. – Pewnie dopóty, dopóki będziemy im przydatni. Ale jeśli dzięki temu uda nam się zyskać na czasie... Nasze szanse na ratunek albo na zaistnienie nowych okoliczności wzrosną.

Lisa jadła w zamyśleniu. Nawet nie zauważyła, kiedy przełknęła ostatni kęs. Nadal czuła głód. Potem polali jagody śmietanką i podzielili się nimi.

Painter ukazał jej się w nowym świetle. Było w nim coś więcej niż nieustępliwość. Za jego błękitnym spojrzeniem kryła

się przenikliwość i dużo zdrowego rozsądku. Jakby czując na sobie jej taksujące spojrzenie, podniósł wzrok. Szybko spuściła oczy i wbiła wzrok w talerz.

Jedli w milczeniu, popijając gorącą herbatą. Po posiłku oboje poczuli tak obezwładniające zmęczenie, że nawet rozmowa stała się wysiłkiem. Zresztą Lisa z przyjemnością siedziała w ciszy. Wystarczała jej bliskość Paintera, słuchanie jego oddechu, zapach jego świeżo umytej skóry...

Dopiła herbatę z miodem i zauważyła, że Painter zaczyna pocierać skroń, lekko przy tym zezując. Kolejny atak bólu głowy. Nie chcąc go znów martwić medycznymi diagnozami, ograniczyła się do ukradkowej obserwacji. Palce jego leżącej na oparciu dłoni wyraźnie drżały, źrenice wpatrzone w przygasający ogień lekko drgały.

Painter mówił o szczerości. Czy od niej też oczekuje prawdy o swoim stanie? Ataki powtarzały się coraz częściej. Wiedziała, że jej niepokój o jego zdrowie ma podłoże czysto egoistyczne. Martwił ją nie tylko jego stan, ale także ich wspólny los. Świeżo rozbudzona nadzieja utwierdzała ją w przekonaniu, że jest jej po prostu potrzebny.

– Powinniśmy się przespać – powiedziała, wstając z kanapy.  
– Do świtu nie zostało już zbyt dużo czasu.

Painter stęknął boleśnie, ale skinął głową i też wstał. Zachwiał się i Lisa musiała go przytrzymać za łokieć.

– Czuję się dobrze – zapewnił.

Tak wygląda jego szczerość.

Zaprowadziła go do łóżka i odgarnęła kołdrę.

– Mogę spać na kanapie – zaproponował.

– Nie bądź śmieszny. Kładź się. Nie czas na przestrzeganie konwenansów. Jesteśmy w jaskini nazistów.

– Byłych nazistów.

– Dobra. Wielka mi różnica!

Bez dalszych protestów zwałił się na łóżko, tak jak stał, w płaszczu kąpielowym. Lisa obeszła łóżko i zrobiła to samo, zdmuchując po drodze świece. Zrobiło się ciemniej, choć gasnący płomień wypełniał pokój przyjemną czerwoną

poświata. Lisę bardzo to ucieszyło. Nie była pewna, jak by się poczuła w nieprzeniknionych ciemnościach.

Wsunęła się pod kołdrę i naciągnawszy ją na siebie aż po brodę, odwróciła się do Paintera plecami. Musiał wyczuć, że jest spięta, bo odwrócił się twarzą do niej.

– Jeśli umrzemy – szepnął – to przynajmniej razem.

Przełknęła ślinę. Nie były to najbardziej pocieszające słowa, jakich mogła się po nim spodziewać, ale i tak przyniosły jej dziwną ulgę. Brzmienie jego głosu, bijący od niego spokój, zawarta w słowach obietnica znaczyły dla niej więcej, niż gdyby ją zapewniał, że nic im się nie stanie.

Wierzyła mu.

Przysunęła się bliżej i odnalazła jego dłoń. Ich palce splotły się. Nie było w tym geście nic erotycznego. Po prostu gest dwojga ludzi potrzebujących swojego dotyku. Uniosła jego rękę i położyła sobie na brzuchu.

Uścisnął jej dłoń. Uścisk był pewny, dodawał otuchy.

Wtuliła się w niego, on przekręcił się na bok i ją przygarnął.

Lisa zamknęła oczy, choć nie liczyła, że uda jej się zasnąć.

Nawet nie wiedziała, kiedy zapadła w sen.

## **Kopenhaga, Dania**

### **Godzina 22.39 czasu miejscowego**

Gray spojrzął na zegarek.

Siedzieli tu już od dwóch godzin. Schowali się w pomieszczeniu służbowym kolejki o nazwie *Minen*, czyli Kopalnia. Była to staromodna kolejka z wagonikami jeżdżącymi wśród ruchomych stworów podobnych do kretów, które w przebraniu górników ryły w podziemnych pieczarach. Towarzyszył temu grany w kółko prosty motyw muzyczny, który po pewnym czasie stał się dźwiękową wersją chińskiej tortury wodnej.

Udając ojca z córką, wkrótce po przedostaniu się do ogrodów Tivoli wskoczyli do jednego z wagoników kolejki, by na pierwszym niepilnowanym zakręcie wyskoczyć i ukryć się w służbowej pakamerze. Prowadziły do niej wahadłowe drzwi ze znakiem błyskawicy, która ostrzegała przed porażeniem prądem. Nie dojechali do końca trasy i tylko wyobraźnia podpowiadała Grayowi wygląd końcowej sceny: chore na pylicę kretopodobne stwory leżą na szpitalnych łózkach i nucą natrętną melodyjkę.

Przynajmniej tak to powinno wyglądać.

Melodyjka powtórzyła się po raz tysięczny i Gray pomyślał, że choć może nie brzmi tak okropnie, jak grane w Disneylandzie *It's A Small World*, dużo jej nie brakuje.

Siedząc w ciasnym pomieszczeniu, rozłożył sobie na kolanach Biblię Darwina i z latarką w ręce zaczął ją przeglądać strona po stronie, szukając czegoś, co tłumaczyłoby zainteresowanie, jakim się cieszy. W mózg wwiercała mu się natrętna muzyczka.

– Masz może spluwę? – stęknęła Fiona. Siedziała w kucki pod ścianą, trzymając ręce skrzyżowane na piersiach. – Bo jak masz, to weź mnie od razu zastrzel.

– Jeszcze tylko godzina – westchnął Gray.

– Nie dożyję.

Mieli zamiar doczekać do zamknięcia parku. Znajdowało się w nim tylko jedno oficjalne wyjście dla gości, ale Gray był pewien, że wszystkie wyjścia służbowe też zostały już obstawione i ich jedyną szansą jest wmieszanie się w tłum opuszczający Tivoli około północy. Próbował zadzwonić, by dowiedzieć się czegoś o przylocie Monka do Kopenhagi, ale metalowa konstrukcja skutecznie ograniczała zasięg. Wiedzieli tyle, że muszą jak najszybciej dostać się na lotnisko.

– Znalazłeś coś w tej Biblii? – zainteresowała się Fiona.

Gray pokręcił głową. Prawdziwym bibliofilskim rarytasem było narysowane na wewnętrznej stronie okładki drzewo genealogiczne rodu Darwinów, natomiast na kruchych stronicach księgi nie natrafił jak dotąd na nic niezwykłego.

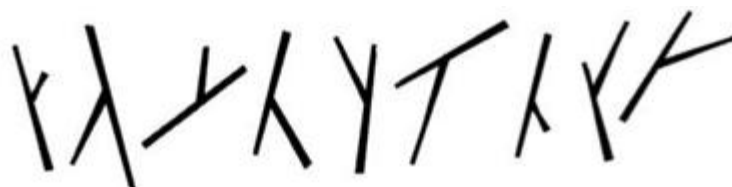
Znalazł tylko kilka bohomazów. Powtarzał się wciąż ten sam motyw w różnych pozycjach i nachyleniach.

Gray otworzył notes i przerysował do niego rysunki z marginesów Biblii. Mogły być wykonane ręką samego Karola Darwina, ale równie dobrze mógł je tam nanieść któryś z późniejszych posiadaczy Biblii.

Podsunał notes pod oczy Fiony.

– Czy coś z tego wydaje ci się znajome?

Fiona westchnęła, rozplotła ręce i pochyliła głowę.

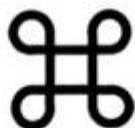


– Jakieś kurze łapki. – Skrzywiła się. – Za coś takiego chyba nie warto mordować.

Gray przewrócił oczami, ale powstrzymał się od komentarza. Widział, że Fiona jest przygnębiona, i pomyślał, że woli już jej zادیorność i ciągle czepianie się. Siedząc bez ruchu w ciasnym wnętrzu, jakby zapadła się w sobie. Gray czuł, że żał po stracie babci i chęć jej pomszczenia pozwoliły jej skupić myśli i energię na odzyskaniu Biblii. Teraz zaczynała do niej docierać ponura rzeczywistość.

Co mógł na to poradzić?

By zająć czymś jej myśli, narysował kolejny symbol – tatuaż dostrzeżony na dłoni bladoliciego mężczyzny.



Podsunał go jej przed oczy.

– A to?

Znów się pochyliła, wydając jeszcze głośniejsze i jeszcze boleśniejsze westchnienie.

– Czterolistna koniczynka. – Pokręciła głową. – Bo ja wiem. A co to ma... zaraz, czekaj... – Wzięła od niego notes i dokładnie przyjrzała się rysunkowi. – Już to gdzieś widziałam.

– Gdzie?

– Na wizytówce. Tylko że wyglądało trochę inaczej. Było puste w środku. – Wzięła od Graya długopis i zaczęła rysować.

– Na jakiej wizytówce?

– Tego sukinsyna, który parę miesięcy temu grzebał w naszych papierach. Tego, który podwędził nam kartę kredytową – wyjaśniła, nie przestając rysować. – A gdzie to widziałeś?

– Na dłoni człowieka, który kupił Biblię.

Fiona aż się zachłysnęła.

– Wiedziałam! Więc cały czas stał za tym ten sam sukinsyn. Najpierw próbował ją nam ukraść, potem chciał zatrzeć ślady, zabijając *mutti* i podpalając sklep.

– Pamiętasz nazwisko z tej wizytówki? – spytał Gray.

Fiona pokręciła głową.

– Tylko ten symbol. Bo go skojarzyłam.

Przesunęła w jego stronę swój rysunek. Była to bardziej szczegółowa wersja tatuażu, ukazująca złożoną konstrukcję symbolu.



Gray postukał palcem w rysunek.

– I ty to skojarzyłaś?

– Zbieram odznaki – przytaknęła. – Oczywiście nie mogłam ich założyć do tego durnego ciucha.

Gray pamiętał, że jej kurtka z kapturem – ta, w której zobaczył ją po raz pierwszy – upstrzona była odznakami o przeróżnych kształtach i rozmiarach.

– Mam za sobą okres celtycki – wyjaśniła. – Nie słuchałam wtedy innej muzyki, a na większości moich odznak były celtyckie wzory.

– A ten konkretny?

– Mówią na niego Kwadrat Ziemi, albo Krzyż Świętego Hansa. Ma podobno chronić od zła za pomocą sił z czterech stron świata. – Stuknęła palcem w zaokrąglone listki koniczyny. – Dlatego nazywają to czasem węzłem tarczowym. Bo służy do ochrony.

Gray zamyślił się, jednak nic mu się z tym nie skojarzyło.

– Właśnie dlatego powiedziałam *mutti*, że może mu zaufać. – Fiona odchyliła się do tyłu i zniżyła głos do szeptu, jakby bojąc się wypowiedzieć to głośno. – Jej się ten palant od razu nie podobał. Od pierwszego wejrzenia. Ale gdy na jego wizytówce zobaczyłam ten znak, pomyślałam sobie, że musi być w porzo koleś.

– Nie mogłaś przewidzieć.

– A *mutti* przewidziała – zachnęła się Fiona. – A teraz nie żyje. I to przeze mnie. – Powiedziała to ze złością, ale i poczuciem winy.

– Bzdura. – Gray przysunął się bliżej i objął ją ramieniem. – Kimkolwiek są ci ludzie, od samego początku byli zdecydowani na wszystko. Sama wiesz. Znaleźliby jakiś sposób, żeby wydobyć te informacje z waszego antykwariatu. Nic by ich nie powstrzymało. Gdybyś nie namówiła babci, żeby dopuściła go do dokumentacji, mogłyście obie zginąć już wtedy.

Dziewczyna przytuliła się do Graya.

– Twoja babcia... – zaczął.

– Nie była moją babcią – przerwała mu ponuro.

Już się tego domyślał, ale pozwolił jej się wygadać.

– Przyłapała mnie, jak próbowałam podwędzić coś z jej sklepu. Dwa lata temu. Ale nie wezwała policji, tylko poczęstowała mnie zupą. Rosołem z kaszką.

Gray wiedział bez patrzenia, że Fiona mówi to z uśmiechem.

– Taka właśnie była. Zawsze pomagała dzieciakom z ulicy. I zawsze przyjmowała pod dach przybłądy.

– Takie jak Bertal?

– I ja. – Zamilkła na dłuższą chwilę. – Moi rodzice zginęli w wypadku samochodowym. Przyjechali do Anglii z Pakistanu. Z Pendżabu. Mieliśmy nieduży domek w Waltham Forest w Londynie. Był tam nawet ogród i mieliśmy kupić psa. A potem... potem umarli.

– Bardzo mi przykro.

– Wzięli mnie do siebie wujostwo... dopiero co przyjechali z Pendżabu. – Znow zapadła długa cisza. – Po miesiącu wujek zaczął mnie nachodzić nocami w moim pokoju.

Gray zamknął oczy. Boże święty...

– No to uciekłam... Parę lat przeżyłam na ulicach Londynu, ale potem naraziłam się niewłaściwym ludziom i musiałam wiać. Wyjechałam z Anglii i zaczęłam się włóczyć po Europie. Jakoś sobie radziłam. Aż w końcu wylądowałam tutaj.

– I tu przygarnęła cię Grette.

– A teraz ona też nie żyje. – W jej głosie Gray znow dosłyszał poczucie winy. – Może to ja przynoszę pecha.

Przytulił ją mocniej.

– Widziałem, jak na ciebie patrzyła. Twoje pojawienie się w jej życiu nie przyniosło jej pecha. Ona cię kochała.

– Ja... ja to wiem. – Fiona odwróciła głowę i jej ramionami wstrząsnął szloch.

Gray trzymał ją mocno. W końcu zwróciła ku niemu twarz, po czym wtuliła ją w ramię i teraz z kolei jego zalała fala poczucia winy. Grette miała tak wielkie serce, była tak opiekuńcza i wyrozumiała, tak pełna dobroci i współczucia. Zginęła, a on miał swój udział w jej śmierci. Gdyby postępował ostrożniej... mniej nachalnie wypytywał...

Zapłacała za jego brak profesjonalizmu.

Szloch Fiony nie ustawał.

Nawet jeśli zabicie Grette i podpalenie sklepu nie były bezpośrednim wynikiem jego partaniny, później też się specjalnie nie popisał. Uciekł, zostawiając dziewczynę na pastwę losu, by samotnie zmagala się z bólem po śmierci *mutti*.



Pamiętał, jak za nim wołała – początkowo ze złością, potem błagalnie.

A on się nie zatrzymał.

– Teraz nie mam już nikogo – chlipnęła cicho Fiona.

– Masz mnie.

Odepchnęła go i uniosła ku niemu zalaną łzami twarz.

– Ty też wyjedziesz.

– A ty ze mną.

– Ale przecież powiedziałeś, że...

– Nieważne, co powiedziałem. – Gray wiedział, że dziewczynie grozi tu niebezpieczeństwo. Wyeliminują ją, nawet jeśli nie w celu odzyskania Biblii, to po to, by ją raz na zawsze uciszyć. Za dużo wie. Na przykład... – Powiedziałaś, że pamiętasz ten adres z pokwitowania za Biblię.

Fiona popatrzyła na niego podejrzliwie. Przestała szlochać i odchyliwszy głowę do tyłu, wlepiała w niego wzrok, jakby chciała przejrzeć go na wylot. Czy udaje współczucie, żeby wyciągnąć od niej wszystko, co wie? Gray doskonale rozumiał podejrzliwość, której nauczyło ją życie na ulicach.

I wiedział, że nie wolno mu naciskać.

– Pewien mój znajomy właśnie leci tu prywatnym samolotem. Powinien wylądować koło północy. Możemy się do niego przyłączyć i polecieć, dokąd zechcemy. Możesz mi podać ten adres dopiero po wejściu na pokład.

Wyciągnął do niej rękę.

Przyglądając mu się niepewnie, Fiona ujęła jego dłoń i uścisnęła.

– Umowa stoi. – Skinęła głową.

Był to tylko niewielki opatrunek na wiele ran powstałych w wyniku jego błędów, ale na początek dobre i to. Nie miał wątpliwości, że dziewczyna nie jest tu bezpieczna i że trzeba ją stąd zabrać. Na pokładzie samolotu znajdzie się pod opieką załogi, a on i Monk będą mogli zająć się dalszym śledztwem.

Fiona oddała mu notes z rysunkami.

– W każdym razie mogę ci już teraz powiedzieć, że musimy polecieć do Paderborn w środkowych Niemczech. Dokładny

adres podam na miejscu.

Gray wiedział, że to jej ustępstwo dowodzi rodzącego się między nimi zaufania.

– W porządku. – Kiwnął głową.

Powtórzyła jego gest i umowa została zawarta.

– Jeszcze jakbyś mógł coś zrobić z tą pieprzoną muzyką – jęknęła.

Jakby za dotknięciem czarodziejskiej różdżki muzyka ucichła. Ustało też dochodzące przez cały czas do ich uszu ciche zgrzytanie trybów i pobrzękiwanie wagoników. W ciszy, jaka nagle zapadła, usłyszeli, że do ich kryjówki zbliżają się czyjeś kroki.

Gray zerwał się na równe nogi.

– Schowaj się za mnie – syknął.

Fiona złożyła Biblię i upchnęła ją w torebce, Gray wziął do ręki wypatrzony wcześniej metalowy pręt.

Drzwi się otworzyły i oślepił ich snop jasnego światła.

Przybysz zachnął się, zaskoczony niespodziewanym widokiem.

– Co wy tu robicie? – warknął po duńsku.

Gray wyprostował się i opuścił pręt. Niewiele brakowało, a rzuciłby się z nim na umundurowanego pracownika parku.

– Jazdy już skończone – warknął mężczyzna, odsuwając się od wejścia. – Wynoście się stąd, bo wezwę ochronę.

Gray wyszedł bez słowa, odprowadzony pogardliwym spojrzeniem. Nie miał złudzeń, jak to wygląda w oczach tego człowieka. Starszy facet siedzący po ciemku z nastolatką w służbowej pakamerze.

– U ciebie wszystko w porządku, panienko? – zapytał z troską. Widać zauważył jej podpuchnięte od płaczu oczy i podartą spódnicę.

– Wszystko gra. – Fiona wsunęła rękę pod ramię Graya i lekko zakołysała biodrami. – Za tę jazdę zapłacił ekstra.

Mężczyzna skrzywił się z obrzydzeniem.

– Tam jest tylne wyjście. – Wskazał podświetlony napis. – I żebym was tu więcej nie widział. Włóczenie się po zapleczu

jest niebezpieczne.

Ale nie tak niebezpieczne, jak chodzenie po parku, pomyślał Gray. Podeszli do wyjścia i pchnęli drzwi. Spojrzał na zegarek. Było dopiero nieco po jedenastej. Park zostanie zamknięty dopiero za godzinę, więc może warto spróbować wymknąć się już teraz?

Gdy wyszli z za narożnika baraku stwierdzili, że ta część parku już zupełnie opustoszała. Pewnie dlatego zamknęli kolejkę trochę wcześniej.

Muzyka i gwar dochodziły od strony jeziora.

– Wszyscy zbierają się na elektryczną paradę. Parada i pokaz sztucznych ogni kończy każdy wieczór w parku – poinformowała Fiona.

Oby tym razem nie doszło do poranienia widzów i zamieszania, pomyślał Gray. Rozejrzał się. Lampiony rzeźbiście rozświetlały nocne ciemności, barwne tulipany gęsto porastały liczne klomby, wybetonowane alejki i placówki były niemal puste. On i dziewczyna byli tu bardzo dobrze widoczni.

Zauważył strażników parkowych – kobietę i mężczyznę – którzy podejrzenie zdecydowanym krokiem zmierzali w ich stronę. Czyżby pracownik kolejki spełnił swoją groźbę i zawiadomił ochronę?

– Gubimy się – rzucił, pociągając Fionę w bok. Ruszyli w stronę gromadzącego się tłumu. Szli szybkim krokiem, trzymając się blisko drzew. Dwoje gości parku spieszących na paradę.

Wyszli z labiryntu alejek i wkroczyli na główny plac nad jeziorem. Wszystko tonęło w powodzi świateł licznych lampionów i bogato iluminowanych pawilonów i pałaców stojących wokół jeziora. Z oddali dobiegła wrzawa i oklaski witające pierwszy wpływający na plac pojazd parady. Był wysoki na dwa piętra i przedstawiał postać syreny na skale. Syrena tonęła w powodzi błękitnych i szmaragdowych świateł i pozdrawiała widzów. Za nią zaczęły płynąć kolejne pojazdy z ruchomymi pięciometrowymi postaciami z bajek. Piszczalki piszczały radośnie, bębny bębniły.

– Parada Hansa Christiana Andersena – wyjaśniła Fiona. – Dla uczczenia dwusetnej rocznicy jego urodzin. Jest patronem miasta.

Zbliżyli się do widzów stojących na brzegu jeziora. Z głośnym hukiem wystrzelił w niebo ogromny, ognisty kwiat, odbijając się jak w lustrze w nieruchomej tafli jeziora. Posypały się kolorowe kaskady iskier, z sykiem wirujących na nocnym niebie.

Zbliżając się do falującego tłumu, Gray przez cały czas rozglądał się czujnie. Szukał jasnowłosych postaci w czerni. Jednak był w Kopenhadze, gdzie co piąta osoba ma jasne włosy, czerń zaś wydawała się najmodniejszym kolorem sezonu.

Serce waliło mu w rytmie bębnów, uszy bolały od huku kolejnych eksplozji sztucznych ogni. W końcu wmieszali się w tłum.

Wprost nad ich głowami zakwitł kolejny ognisty kwiat, strzelając i plując iskrami.

Fiona zachwiała się.

Czując dzwonięcie w uszach, Gray złapał ją za ramię i podtrzymał.

Po niebie przetoczył się huk. Fiona wlepiła w niego przerażony wzrok i wyciągnęła do niego rękę, on ją złapał i pociągnął z tłumu.

Jej dłoń była cała we krwi.

## **Himalaje**

### **Godzina 4.02 czasu miejscowego**

Painter obudził się w nieprzeniknionych ciemnościach. Kominek zgasł i zrobiło się zimno. W pokoju nie było okien, nie mógł więc stwierdzić, jaka jest pora doby, nie wiedział też jak długo spał, ale czuł, że niezbyt długo.

Coś musiało go obudzić.

Uniósł się na łokciu.

Stwierdził, że Lisa też już nie śpi i w milczeniu wpatruje się w drzwi.

– Też to poczułeś? – wyszeptała.

Gdzieś z daleka dotarła do nich potężna detonacja i cały zamek aż zadrżał w posadach.

Painter odrzucił kołdrę.

– Będą kłopoty – szepnął i wskazał stertę ubrań dostarczonych przez gospodarzy. W pośpiechu wciągnęli ciepłą bieliznę, sprane dzinsy i grube swetry.

Lisa zapaliła świece i włożyła stopy w ciężkie buciory. Przez następne dwadzieścia minut trwali w milczeniu, wsłuchując się w cichnące hałasy za drzwiami.

W końcu oboje usiedli na łóżku.

– Jak myślisz, co się tam mogło stać? – spytała cicho Lisa.

Znow usłyszeli jakieś głosy.

– Nie mam pojęcia... Ale zdaje się, że wkrótce się dowiemy.

Przez masywne dębowe drzwi dotarł do nich z korytarza odgłos ciężkich kroków. Painter wstał i zaczął nasłuchiwać.

– Idą do nas.

Jakby na potwierdzenie jego słów, drzwi aż się zatrzęsły od walenia pięściami. Painter cofnął się i pociągnął za sobą Lisę. Usłyszeli metaliczny szczęk masywnej zasuw.

Drzwi otworzyły się i do pokoju wkroczyło czterech mężczyzn z gotowymi do strzału karabinami. Za nimi wszedł ktoś piąty, łudzaco podobny do Gunthera, zabójcy z klasztoru. Był jak tamten potężnie zbudowany, miał szerokie bary i masywną szyję, na końcu której tkwiła głowa porośnięta srebrzystoblond szpeciną. Ubrany był w luźne brunatne spodnie z nogawkami wpuszczonymi w czarne buty z cholewami i brunatną koszulę.

Do wizerunku nazistowskiego bojówkarza brakowało mu tylko opaski ze swastyką.

Czy może byłego nazistowskiego bojówkarza.

Jego twarz była równie blada jak twarz Gunthera, ale jej lewa strona wyglądała na sparaliżowaną, jak u kogoś po udarze

mózgu. Również lewa ręka, którą oparł się o drzwi, sprawiała wrażenie częściowo niesprawnej.

– *Kommen Sie mit!* – warknął.

Kazał im iść z sobą i nie czekając na ich reakcję, odwrócił się i ruszył korytarzem. Jakby nie przyszło mu do głowy, że ktoś mógłby nie wykonać jego rozkazu. Zapewne niebagatelne znaczenie miały w tym względzie wymierzone w nich cztery karabiny.

Painter skinął głową na Lisę i oboje ruszyli za przywódcą, za nimi podążyło czterech strażników. Wykuty w skale korytarz był dość wąski i z trudem mieścił idące obok siebie dwie osoby. Jedynym źródłem światła były latarki przytwierdzone do karabinów strażników, co powodowało, że przez całą drogę towarzyszyły im dziwaczne, tańczące po ścianach cienie. W korytarzu było zimniej niż w pokoju, ale nie lodowato.

Nie szli zbyt długo. Painter ocenił, że kierują się ku wyjściu z zamku, i nie pomylił się, a do ich uszu dotarło nawet niezbyt odległe wycie wiatru. Widać znów nadciągnęła burza.

Prowadzący ich wielkolud zatrzymał się przed rzeźbionymi drzwiami i zapukał. Ze środka dobiegł stłumiony głos, polecający wejść. Znaleźli się w smudze światła i ciepłego powietrza.

Strażnik wszedł pierwszy i przytrzymał drzwi.

Weszli za nim i rozejrzeli się po wnętrzu. Wszystkie ściany wysokiego, urządzonego w rustykalnym stylu gabinetu pokrywały półki z książkami. Na wysokości pierwszego piętra biegła masywna galeryjka z prostych, surowych, żelaznych prętów, na którą wchodziło się po stromej drabinie.

Źródłem ciepła było wielkie kamienne palenisko, na którym płonęło nieduże ognisko. Ze ściany patrzył na nich olejny portret mężczyzny w niemieckim mundurze.

– Mój dziadek – wyjaśniła Anna Sporrenberg, zauważywszy spojrzenie Paintera. Na ich powitanie uniosła się zza monstrualnie wielkiego biurka. Także ona ubrana była w dzinsy i sweter. Widać był to strój obowiązujący w zamku. – To on przejął po wojnie ten zamek.

Wskazała fotele stojące koło paleniska. Painter zauważył, że ma podkrążone oczy i sprawia wrażenie, jakby w ogóle nie spała. Bijąca od niej woń przypominała spalony proch strzelniczy.

Ciekawe.

Gdy szedł w stronę fotela, obrzuciła go badawczym spojrzeniem i Painter poczuł ciarki na plecach. Mimo widocznego zmęczenia była w tej kobiecie drapieżność, spryt i zimna kalkulacja. Niewątpliwie była osobą, z którą należy się liczyć. Przyglądała mu się uważnie, oceniająco.

Co tu jest grane?

– *Setzen Sie sich, bitte* – powiedziała i zaprosiła ich ruchem ręki.

Usiedli z Lisą obok siebie, Anna wybrała fotel naprzeciwko nich. Strażnik stanął przy zamkniętych drzwiach i skrzyżował ręce na piersiach. Painter nie miał wątpliwości, że reszta ludzi pilnuje drzwi od strony korytarza. Już wcześniej rozejrzał się za możliwymi drogami ucieczki i wiedział, że poza drzwiami wejściowymi jedynym otworem w tym pomieszczeniu jest niewielkie okno we wnęce.

Miało matową szybę i było zakratowane, i jako droga ucieczki nie wchodziło w grę.

Painter spojrzał na Annę. Trzeba będzie znaleźć jakieś inne wyjście. Jej zachowanie było czujne i pełne rezerwy, ale przecież po coś ich tu przyprowadzili. Przydałoby mu się więcej informacji, Painter wiedział jednak, że trudno mu będzie coś z niej wydobyć. Dopiero po chwili dostrzegł jej wyraźne podobieństwo do mężczyzny na portrecie i uznał to za dobry punkt wyjścia.

– Powiedziała pani, że dziadek przejął zamek – zaczął. Temat był w miarę bezpieczny i mógł dostarczyć jakichś odpowiedzi. – A kto był jego wcześniejszym użytkownikiem?

Anna rozparła się wygodnie w fotelu, wyraźnie rozkoszując się chwilą wytchnienia blisko ognia. Ale nawet teraz nie opuściła jej czujność i trzymając ręce złożone na kolanach, uważnie ich obserwowwała.

– Granitowy Zamek ma długą i mroczną historię, panie Crowe. Wie pan, kim był Heinrich Himmler?

– Drugim co do ważności po Hitlerze.

– *Ja*. Szefem SS. A jednocześnie mordercą i szaleńcem.

Taka ocena zaskoczyła go. Czy to podstęp? Czuł w tym wszystkim jakąś intrygę, tylko nie wiedział, o co w niej chodzi... Jeszcze nie.

– Himmler uważał się za reinkarnację króla Henryka Pierwszego, niemieckiego króla Saksonii z dziesiątego wieku. Twierdził nawet, że utrzymuje z nim więź duchową.

– Słyszałem, że interesował się okultyzmem – przypomniał sobie Painter.

– Miał na tym punkcie obsesję. – Anna wzruszyła ramionami. – Zresztą to pasjonowało wielu Niemców, i nie tylko. Choćby Helenę Bławatską, która wymyśliła aryjskość. Utrzymywała, że dzięki studiom w buddyjskim klasztorze posiadała tajemną wiedzę. Jej mistrzowie mieli jej uświadomić, że ludzkość wywodzi się z rasy wyższej i pewnego dnia do niej powróci.

– Chodziło o sławetną rasę panów – wtrącił Painter.

– Właśnie. Guido von List powiązał jej teorie z niemiecką mitologią i doszedł do nordyckich źródeł owej mitycznej rasy aryjskiej.

– A naród niemiecki z ochotą połknął ten haczyk razem ze sławikiem i całą wędką. – Painter miał nadzieję, że i ona połknie jego przynętę.

– I miał ku temu powody. Po klęsce w pierwszej wojnie światowej schlebiało to naszej narodowej próżności. Zbiegło się to w czasie z rozkwitem łóż okultystycznych w Niemczech. Stowarzyszenie Thule, Stowarzyszenie Vril, Zakon Nowych Templariuszy.

– O ile wiem, Himmler był członkiem Stowarzyszenia Thule.

– Tak, Reichsführer święcie wierzył w ten mit. Podobnie jak w magiczne właściwości nordyckich symboli runicznych. Właśnie dlatego wybrał podwójny znak Sig, dwa symbole błyskawicy, na herb swojego zakonu księży wojowników



*Schutzstaffel*, czyli SS. Studiując dzieła Bławatskiej, doszedł do wniosku, że rasa aryjska wywodzi się z Himalajów i że tu odrodzi się na nowo.

– I dlatego wysyłał w Himalaje ekspedycje badawcze – odezwała się po raz pierwszy Lisa i spojrzała porozumiewawczo na Paintera. Rozmawiali o tym wcześniej i okazało się, że nie byli dalecy od prawdy. Jednak jemu wciąż chodziła po głowie dziwna uwaga Anny.

Nie jesteśmy nazistami. Już nie.

Chciał wyciągnąć od niej jak najwięcej, ale ona zdawała się nie potrzebować żadnej zachęty z jego strony. Czuł też, że szykuje jakiś podstęp, nie potrafił jednak jej przejrzeć. Bardzo go to drażniło, ale nie dawał tego po sobie poznać.

– No to czego on tu szukał? – zapytał. – Zagubionego plemienia arian? Jakiegoś Shangri-La białych nadludzi?

– Niezupełnie. Pod pretekstem prowadzenia badań antropologicznych i zoologicznych wysyłał tu swoich esesmanów, by szukali dowodów na istnienie dawno zaginionej rasy panów. Był przekonany, że tu natrafią na jej ślady. I choć niczego nie znaleziono, on coraz bardziej utwierdzał się w swojej obsesji, graniczącej z szaleństwem. Gdy na jego polecenie przystąpiono do przebudowy w Niemczech zamku Wewelsburg, głównej siedziby SS, postanowił jego idealną kopię zbudować w Himalajach. W tym celu przerzucono samolotami tysiące niewolników z niemieckich obozów koncentracyjnych, a jednocześnie dla zapewnienia powodzenia całej operacji przetransportowano tonę złota w sztabach. Nawiasem mówiąc, właściwe zainwestowanie skarbu pozwoliło osiągnąć cel.

– Ale dlaczego tutaj? – zdziwiła się Lisa.

Painter już się domyślał.

– Bo wierzył, że tu odrodzi się rasa aryjska, i chciał zbudować dla niej pierwszą ostoję.

Anna z uznaniem skinęła głową, jakby w toczącym się między nimi meczu zdobył punkt.

– Wierzył także, że tajemni mistrzowie, którzy niegdyś uczyli Helenę Bławatską, wciąż jeszcze żyją. I z myślą o nich chciał

stworzyć miejsce, w którym rozwijać się będzie ich wiedza i doświadczenie.

– I co, tajemni mistrzowie rzeczywiście się tu pojawili? – Painter nie krył ironii.

– Nie. Za to pod koniec wojny zrobił to mój dziadek. I przywiózł z sobą coś, co mogłoby urzeczywistnić marzenia Himmlera.

– Cóż takiego? – spytał Painter.

Anna pokręciła głową.

– Zanim o tym porozmawiamy, muszę zadać panu pytanie. I proszę o szczerą odpowiedź.

To nagłe zvekslowanie rozmowy trochę Paintera zaskoczyło.

– Wie pani przecież, że nie mogę niczego przyrzec.

Po raz pierwszy Anna lekko się uśmiechnęła.

– Doceniam pańską szczerą przynajmniej w tej sprawie, panie Crowe.

– A jak brzmi pytanie? – Czuł, że zbliżają się wreszcie do sedna sprawy.

– Czy pan nie jest chory? – Anna obrzuciła go badawczym spojrzeniem. – Bo jakoś nie mogę sama tego ocenić. Wydaje mi się, że myśli pan całkiem trzeźwo.

Painter wybałuszył na nią oczy. Takiego pytania się nie spodziewał.

Nim zdążył odpowiedzieć, ubiegła go Lisa.

– Tak.

– Liso... – obruszył się.

– I tak się o tym dowie. Nie trzeba mieć dyplomu z medycyny, żeby to zauważyć. – Lisa zwróciła się do Anny: – Ma objawy migotania przedsionków i nystagmii, zawroty głowy i utratę orientacji.

– A migreny, którym towarzyszą nagłe rozbłyski światła?

Lisa przytaknęła.

– Tak myślałam.

Anna opadła na oparcie fotela niemal z ulgą, jakby ta informacja ją uspokoiła.

Ciekawe dlaczego? – pomyślał ponuro Painter.

– A co mu dolega? – Lisa nie miała zamiaru na tym poprzestać. – Myślę, że mamy... że ma prawo wiedzieć.

– To wymaga szerszego omówienia. Ale rokowanie mogę podać już teraz.

– Mianowicie?

– Śmierć nastąpi w ciągu trzech dni. W strasznych męczarniach.

Painter z trudem się opanował, by nie wybuchnąć.

Lisa zachowała kamienny spokój.

– Jest na to jakieś antidotum? – spytała obojętnym tonem profesjonalistki.

Anna spojrzała najpierw na Paintera, potem na Lisę.

– Nie ma żadnego.

## **Kopenhaga, Dania**

### **Godzina 23.18 czasu miejscowego**

Należało jak najszybciej udzielić dziewczynie pomocy lekarskiej. Obejmując ją i podtrzymując, Gray czuł, jak sącząca się z rany krew przesiąka przez jej ubranie.

Tłum wokół nich napierał i zewsząd błyskały flesze, stanowiąc dodatkowy powód do zdenerwowania. Przed szpalerem widzów sunęła parada, a towarzysząca jej wrzawa i muzyka powracały echem odbitym od tafli jeziora. Nad tłumem wznosiły się olbrzymie, kiwające głowami, machające rękami i sunące do przodu kukły.

Nad jeziorem wybuchały kolejne girlandy sztucznych ogni.

Jednak nic z tego nie przyciągało uwagi Graya. Stał przyuczajony, szukając wzrokiem snajpera, który postrzelił Fionę. Rzucił okiem na ranę. Nic poważnego. Powierzchnowe draśnięcie, ale opalony naskórek i obfite krwawienie wymagały interwencji lekarza. Musiało ją bardzo boleć, bo jej twarz pobiadła.

Strzał padł z jakiegoś miejsca za nimi, a to znaczyło, że snajper kryje się za drzewami lub w krzakach. Mieli szczęście, że udało im się wcześniej schować w tłumie. Zostali wypatrzeni i ich prześladowcy zapewne się skrzykują, a kilku z nich już wmieszało się w tłum.

Spojrzał na zegarek.

Do zamknięcia parku zostały trzy kwadransy.

Musi obmyślić plan działania. Nowy plan, bo nie mogą już czekać do północy i próbować wmieszać się w tłum opuszczający park. Prześladowcy dopadną ich wcześniej. Muszą uciekać już teraz.

Tylko że alejki dzielące trasę parady od wyjścia były zupełnie puste, a wszyscy goście zgromadzili się wokół jeziora. Jeśli ruszą biegiem w stronę wyjścia, będą widoczni jak na dłoni. Nie mówiąc o tym, że wyjście też na pewno jest obstawione.

Dziewczyna przyciskała rękę do krwawiącego boku i między jej palcami kapłała krew. Gdy spojrzała na Graya, w jej oczach widać było panikę.

– I co teraz? – wyszeptała.

Przeciskał się przez tłum i torował jej drogę. Przychodził mu do głowy tylko jeden pomysł. Wiązało się to z narażeniem się na duże niebezpieczeństwo, ale wiedział, że bez podjęcia ryzyka nie wydobędą się z parku. Stał twarzą do Fiony.

– Muszę ubrudzić sobie dłonie krwią.

– Co?

Wskazał jej przesiąkniętą krwią bluzkę.

Skrzywiła się, ale uniosła jej brzeg.

– Tylko ostrożnie...

Delikatnie starł palcami krew kapiącą z rany. Dziewczyna skrzywiła się i aż sapnęła.

– Przepraszam.

– Masz strasznie zimne ręce – mruknęła.

– Trzymasz się?

– Przeżyję.

I o to mu właśnie chodziło.

– Za chwilę wezmę cię na ręce i zacznę nieść – powiedział Gray, prostując się.

– Coś ty...

– Na mój znak po prostu zacznij wrzeszczeć.

Zmarszczyła nos nic nie rozumiejąc, ale skinęła głową.

Począł na właściwy moment. Z oddali dotarły do nich dźwięki piszczałek i bębnów. Gray powoli popychał Fionę w stronę głównego wyjścia. Nad głowami dzieci ze szkolnej wycieczki dostrzegł znajomą sylwetkę w prochowcu z ręką na temblaku. Morderca Grette. Przepychał się między dziećmi i rozglądał czujnie.

Gray wmieszał się w grupę Niemców śpiewających chóralnie jakąś balladę do wtóru piszczałek i bębnów. Pieśń dobiegła końca i w niebo wystrzeliła kolejna porcja sztucznych ogni.

– Teraz – powiedział Gray półgłosem i pochylił się. Przejechał zakrwawionymi dłońmi po twarzy, wziął Fionę na ręce i wrzasnął po duńsku:

– Bomba!

Jego okrzyk utonął w kolejnych eksplozjach.

– Wrzeszcz – szepnęła Fionie na ucho.

Dziewczyna posłusznie zaniósła się bolesnym wyciem.

– Bomba! – wrzasnął Gray ponownie.

Głowy widzów odwróciły się w ich stronę. Wybuchy nad głowami nie ustawały, na policzkach Graya lśniła świeża krew. W pierwszej chwili wszyscy jakby zamarli. Potem, jak to się dzieje przy powracającej fali, wystarczyło, że cofnęła się jedna osoba i potrąciła kogoś za sobą, ten ktoś krzyknął, a kolejni ludzie zaczęli się cofać.

Gray posuwał się tuż za nimi, nie odstępując tych najbardziej spanikowanych.

Fiona wrzeszczała i miotała się. Wyciągnęła w górę rękę i z jej palców kapą krew.

Zamieszanie rozprzestrzeniało się niczym pożar wyschniętego stepu. Gray swoim okrzykiem dotknął czułego miejsca, szczególnie nabrzmiałego po zamachach w Londynie

i Madrycie. W tłumie odezwały się kolejne okrzyki: „Bomba!”, rozchodząc się coraz dalej.

Jak stado wystraszonych zwierząt ludzie zaczęli się przepychać i wpadać na siebie. Poczucie zagrożenia wzmagало dodatkowo uczucie klaustrofobii, jakie wywołuje przebywanie w tłumie. Pokaz sztucznych ogni przerwano, a krzyki strachu słychać już było na całej trasie parady. Podjęcie ucieczki przez jedną osobę natychmiast skutkowało przyłączeniem się kilku następnych. Popłoch narastał w postępie geometrycznym. Z drogi prowadzącej do wyjścia dochodził tupot kilkudziesięciu biegnących nóg.

Strumyk zamienił się w rwącą rzekę.

Ludzie ruszyli w stronę wyjścia.

Gray z Fioną na rękach dawał się unieść tej fali i tylko modlił się w duchu, by nikt nie został stratowany. Jednak tłum nie osiągnął stanu paniki. Wybuchy na niebie ustały i ludzie zdawali się bardziej zdezorientowani niż przerażeni. Mimo to ludzka rzeka nie przestawała płynąć w stronę głównej bramy.

Gray postawił Fionę na ziemi i rękawem marynarki starł z twarzy krew. Dziewczyna jedną ręką trzymała go za pasek, by prący do przodu tłum ich nie rozdzielił.

Do bramy było już niedaleko.

– Gdyby coś poszło nie tak – powiedział Gray, wskazując głową bramę – to wiej. I nie oglądaj się.

– Nie wiem, czy dam radę. Cholernie mnie ten bok napieprza.

Gray zauważył, że idzie zgięta wpół i lekko utyka.

Koło bramy widać było strażników parkowych, którzy starali się zapanować nad tłumem i nie pozwolić, by ktoś został uduszony czy stratowany. Gray dostrzegł też dwoje strażników stojących z boku, którzy wyraźnie nie włączali się w zmagania z tłumem. Młody mężczyzna i młoda kobieta, oboje jasnowłosi. Jego konkurenci z sali aukcyjnej. Ubrani w mundury strażników pilnowali bramy. Oboje mieli rozpięte kabury i oboje trzymali dłonie na rękojeściach pistoletów.

Przez moment spoczął na nim wzrok kobiety.

Jej oczy prześlizgnęły się po nim i podążyły dalej.

I zaraz powróciły.

Został zauważony.

Gray zaczął się cofać pod prąd, walcząc z napierającym tłumem.

– Co jest? – syknęła Fiona, przeciskając się za nim.

– Wracamy. Musimy znaleźć inną drogę.

– Ale jaką?

Przeciskał się do tyłu, jednocześnie przesuając się w bok i odsuwając od głównego nurtu. Napór tłumu był tak silny, że cofanie się środkiem było praktycznie niemożliwe. Chwilę później udało im się wydostać z największego ścisku i dotrzeć do skraju ludzkiej rzeki, gdzie musieli wymijać już tylko pojedynczych ludzi.

To stworzyło kolejny problem.

Byli coraz lepiej widoczni i należało gdzieś się schować.

Gray stwierdził, że są znów na wyludnionej trasie parady. Uczestniczące w niej pojazdy stały unieruchomione i choć wciąż migwały światłami, muzyka już umilkła. Wyglądało na to, że ich kierowcy również wpadli w popłoch i porzucili swoje wozy. Nawet strażnicy strzegący porządku na paradzie też zmiierzali do wyjścia.

Gray zauważył otwarte drzwiczki kabiny jednego z pojazdów.

– Tutaj – rzucił.

Na wpół niosąc Fionę, podszedł do porzuconego wozu. Nad kabiną wznosiła się ogromna podświetlona postać kaczki z karykaturalnie wielkim dziobem. Gray domyślił się, że przedstawia postać z bajki Andersena *Brzydkie kaczątko*.

Weszli pod błyskające żółtymi lampkami skrzydło, którym podczas parady kaczka zapewne machała. Gray pomógł Fionie wgramolić się do kabiny, w napięciu czekając, czy nie usłyszy huku wystrzału i nie dostanie kulki w plecy. Wcisnął się do środka za Fioną i jak najciszej zatrzasnął za sobą drzwi.

Wyjrawszy przez przednią szybę, pogratulował sobie przeczności.

Kawałek dalej z tłumu wyłonił się mężczyzna ubrany na czarno. Morderca Grette. Wiedząc, że uwaga wszystkich teraz skierowana jest na wyjście, nawet nie starał się ukrywać strzelby. Wydostał się z ciżby tłoczącej się do bramy i ruszył w ich stronę.

Gray i Fiona skulili się w kabinie.

Mężczyzna minął ich w odległości kilku metrów i podążył wzdłuż trasy zastawionej porzuconymi pojazdami.

– Niewiele brakowało – szepnęła Fiona. – Powinniśmy...

– Ciii. – Gray wyciągnął rękę i położył palec na jej wargach. Łokciem potrącił przy tym jakąś wystającą dźwignię i na desce rozdzielczej coś pstryknęło.

O jasna cholera...

Głośniki umieszczone w głowie kaczki ożyły.

„Kwak, kwak, kwak... kwak, kwak, kwak”.

Brzydkie kaczątko obudziło się do życia, wszystkich o tym informując.

Gray uniósł głowę. Trzydzieści metrów dalej polujący na nich bandzior obrócił się na pięcie i spojrzał w ich stronę.

Zostali zdekonspirowani.

Zawarczał silnik pojazdu. Zerkając w bok, Gray zobaczył, że Fiona zwalnia sprzęgło.

– W stacyjce był kluczyk – powiedziała, wrzucając bieg. Wehikuł szarpnął do przodu i wyłamał się z szyku.

– Fiono, pozwól, że ja...

– Ty już prowadziłeś. I zobacz, gdzie nas dowiozłeś. – Skierowała pojazd wprost na bandziora ze strzelbą. – A poza tym mam z tym skurwielem porachunki.

Więc ona też rozpoznała w nim mordercę babci. Nim zdążył unieść strzelbę, dziewczyna wrzuciła dwójkę i nabierając szybkości, zaczęła sunąć prosto na niego.

Nie chcąc siedzieć bezczynnie, Gray zaczął nerwowo rozglądać się po kabinie.

Mnóstwo różnych dźwigni...

Bandzior strzelił.



Gray skulił się, ale Fiona zdążyła szarpnąć kierownicą i tylko róg przedniej szyby pokrył się pajęczyną pęknięć, rozchodzących się od śladu pocisku. Strzał był niecelny. Fiona ponownie szarpnęła kierownicą i wróciła do poprzedniego kierunku jazdy.

Nagły skręt spowodował jednak, że wysoki pojazd zachwiał się i dwa koła uniosły się.

– Trzymaj się! – wrzasnęła Fiona.

Wprawdzie po chwili opadli z łoskotem na cztery koła, ale wahnięcie pozwoliło ich prześladowcy odskoczyć w lewo. Był bardzo zwinny i szykował się do oddania kolejnego strzału, tym razem tuż zza bocznej szyby.

Żadne uniki na nic się nie zdadzą.

Gray omiótł wzrokiem wnętrze kabiny i rozmieszczone w niej dźwignie, potem nacisnął pierwszą z lewej, modląc się w duchu, by okazała się tą właściwą. Zgrzytnęły tryby i uniesione lewe skrzydło kaczątka opadło z hukiem i grzmotnęło bandziora w kark, gruchocąc mu kręgi szyjne. Wyrzucony w górę mężczyzna runął na ziemię.

– Kieruj się do bramy! – krzyknął Gray.

Brzydkie kaczątko po raz pierwszy poznało smak krwi.

„Kwak, kwak, kwak... kwak, kwak, kwak”.

Głośne kwakanie torowało im drogę. Ludzie w panice odskakiwali na boki, a chcący uciec tłum staranował strażników przy bramie, nie wyłączając dwójki przebierańców. By rozładować napierających, otwarto na oścież znajdującą się obok bramę gospodarczą.

Fiona ku niej właśnie skierowała swój wehikuł.

Kaczątko okazało się jednak zbyt duże, rozległ się przenikliwy zgrzyt i ptak stracił swe śmiercionośne lewe skrzydło. Pojazdem aż zatrzęsło, ale wyjechał już na ulicę i nie redukując szybkości, Fiona ruszyła w miasto.

– Skręć w pierwszą w lewo – powiedział Gray, wskazując palcem przecnicę.

Wykonała polecenie i jak wprawny kierowca przed skrętem zredukowała bieg. Kaczątko płynnie okrążyło narożnik

i popędziło dalej. Po kolejnych dwóch zakrętach Gray kazał jej zwolnić.

– Nie możemy jeździć czymś takim po mieście. Za bardzo rzucamy się w oczy.

– Tak myślisz? – Dziewczyna spojrzała na niego spode łba i czupurnie potrząsnęła głową.

Gray wygrzebał ze skrzynki z narzędziami długi klucz, kazał Fionie zatrzymać się na szczycie wzniesienia i polecił wysiąść. Potem wrzucił bieg, zwolnił sprzęgło i położywszy klucz na pedale gazu, wyskoczył z kabiny.

Brzydkie kaczątko ruszyło biegnącą w dół ulicą, migając światłami i szorując swym jedynym skrzydłem po zaparkowanych samochodach. Gray miał nadzieję, że gdy wreszcie solidnie o coś zahaczy i przewróci się, katastrofa przyciągnie ich prześladowców.

Ruszyli w przeciwnym kierunku. Przez kilka najbliższych godzin powinni być bezpieczni. Spojrzał na zegarek. Zostało im jeszcze dość czasu na dojazd na lotnisko i na powitanie Monka. Jego samolot powinien niedługo wylądować.

Fiona kuśtykała obok Graya, co chwilę oglądając się za siebie.

Za plecami słyszeli oddalające się kwakanie kaczątko.

„Kwak, kwak, kwak... kwak, kwak, kwak”.

– Będzie mi go brakowało. – Fiona westchnęła.

– Wiesz, że mnie też?

## **Himalaje**

### **Godzina 4.35 czasu miejscowego**

Painter stał obok paleniska. Podszedł tam, gdy usłyszał wyrok śmierci z ust Anny.

Wielkolud przy drzwiach natychmiast zareagował i ruszył w jego stronę, lecz Anna powstrzymała go ruchem ręki.

– *Nein, Klaus. Alles ist in Ordnung.*

Painter odczekał, aż Klaus wróci na posterunek przy drzwiach.

– I nie ma na to żadnego lekarstwa? – upewnił się.

Anna pokręciła głową.

– Powiedziałam prawdę.

– To dlaczego Painter nie ma takich objawów szaleństwa jak mnisi? – spytała Lisa.

Anna nie spuszczała wzroku z Paintera.

– Spędził pan noc poza klasztorem, *ja?* W tej wiosce na dole. Więc był pan mniej narażony. Zamiast szybkiej degeneracji neurologicznej występuje u pana powolniejsza i ogólniejsza degeneracja fizyczna. Ale to i tak równoznaczne jest z wyrokiem śmierci.

Coś w wyrazie jego twarzy skłoniło ją do mówienia dalej:

– Wprawdzie nie ma na to lekarstwa, ale istnieje nadzieja na spowolnienie procesu degeneracji. Przez lata doświadczeń na zwierzętach opracowaliśmy pewne wzorce postępowania, które pozwalają mieć nadzieję. Możemy przedłużyć panu życie. Albo przynajmniej mogliśmy.

– O czym pani mówi? – spytała Lisa.

– Właśnie po to was tu sprowadziłam – odparła Anna, wstając z fotela. – Chcę wam coś pokazać. – Dała znak strażnikowi przy drzwiach. – Chodźcie ze mną. Może uda nam się znaleźć sposób na to, żebyśmy mogli sobie wzajemnie pomóc.

Ruszyła do wyjścia, Painter podał rękę Lisy. Słowa Anny rozbudziły w nim ciekawość. Nadal węszył jakiś podstęp, ale zaświecił mu też promyk nadziei.

Rzucono mu niezłą przynętę...

Lisa pochyliła głowę w jego stronę.

– O co w tym wszystkim chodzi? – szepnęła mu do ucha.

– Nie bardzo wiem – odparł i spojrzął na Annę, która stanęła przy Klausie i wdała się z nim w rozmowę.

„Może uda nam się znaleźć sposób na to, żebyśmy mogli sobie wzajemnie pomóc”.

Przecież on sam chciał zaproponować coś podobnego Annie i nawet omawiał to z Lisą. To pozwoliłoby rozpocząć negocjacje i zyskać na czasie. A może ktoś podsłuchał ich rozmowę? Może w pokoju założono podsłuch? A może tutejsze sprawy stoją tak źle, że ich pomoc stała się naprawdę nieodzowna?

To zaniepokoiło go nie na żarty.

– To musi mieć jakiś związek z tym wybuchem, który słyszeliśmy – orzekła Lisa.

Painter przytaknął. Zdecydowanie musi zdobyć więcej danych. Na razie odsunął na bok myśli o swoim stanie zdrowia, choć nie było to łatwe, bo w oczodołach czuł zbliżający się kolejny atak szarpiącego bólu. Zaczynały go rwać zęby trzonowe, każde kolejne ukłucie bólu zapowiadało nadchodzący atak.

Anna przywołała ich ruchem ręki. Klaus usunął się na bok, choć zrobił to z wyraźną niechęcią. Jak dotąd jego twarz ani na chwilę się nie rozchmurzyła i Painter pomyślał, że chyba lepiej będzie, jeśli tak już zostanie. Czuł, że wyrazowi zadowolenia na twarzy Klause muszą towarzyszyć okrzyki bólu i widok lejącej się krwi.

– Proszę za mną – powiedziała Anna z chłodną uprzejmością.

Wyszła z gabinetu i w towarzystwie dwóch strażników ruszyła korytarzem. Klaus ani na krok nie odstępował Paintera i Lisy, na końcu szło pozostałych dwóch mężczyzn.

Minęli korytarz prowadzący do ich luksusowej celi i po kilku zakrętach znaleźli się na prostym odcinku tunelu. Był znacznie szerszy od innych korytarzy i zdawał się prowadzić w głąb górotworu. Oświetlały go rozmieszczone na jednej ścianie żarówki w drucianych osłonach. Stanowiły pierwszy przejaw nowoczesności, na jaki natknęli się w zamku.

Painter zauważył, że w powietrzu czuć dym, a jego intensywność nasila się wraz z zagłębianiem się w tunel. Wrócił myślami do Anny.

– Więc pani wie, co spowodowało moją chorobę, tak? – odezwał się.

– Ma to związek z wypadkiem, o którym wspomniałam.  
– Wypadkiem dotyczącym czego?  
– Odpowiedź nie jest taka prosta. Sprawa sięga daleko w przeszłość.

– Do czasów, kiedy byliście jeszcze nazistami?

Spojrzała na niego ponuro.

– Do początków życia na naszej planecie.

– Doprawdy? To jak długo potrwa ta odpowiedź? Bo proszę pamiętać, że zostały mi już tylko trzy dni.

Anna uśmiechnęła się i pokręciła głową.

– Zatem przejdę od razu do czasów, gdy mój dziadek po raz pierwszy pojawił się w Granitowym Zamku. Czyli do zakończenia wojny. Wie pan, jakie wtedy panowało zamieszanie? Jaki chaos ogarnął Europę po upadku Niemiec?

– Wszyscy wszystko sobie wyrywali.

– I nie tylko niemieckie ziemie i dobra materialne, ale także wyniki badań naukowych. Alianci wysyłali ekspedycje złożone z naukowców i wojskowych, którzy przetrząsali teren i kradli wszystkie tajne niemieckie technologie. Wszędzie obowiązywała wolnoamerykanka. – Spojrzała na nich i zmarszczyła brwi. – Tak się to mówi?

Oboje przytaknęli.

– Sami tylko Brytyjczycy wysłali pięciotysięczny oddział wojskowych i cywili pod kryptonimem T-Force – T jak technologia – którego oficjalnym zadaniem było wyszukiwanie niemieckich osiągnięć technologicznych i chronienie ich przed rabunkiem i szabrem. Jednak ich prawdziwym zadaniem był właśnie rabunek i szaber, konkurowanie w tej dziedzinie z podobnymi grupami Amerykanów, Francuzów i Rosjan. Czy wie pan, kto stał na czele brytyjskiego T-Force?

Painter pokręcił głową. Uderzyło go podobieństwo brytyjskich metod z czasów drugiej wojny światowej do zasad funkcjonowania jego oddziału Sigmy. Rabusie technologii. Chętnie by o tym podyskutował z twórcą Sigmy, Seanem McKnightem. Gdyby ten był jeszcze wśród żywych.

– No to kto nimi dowodził? – spytała Lisa.

– Komandor Ian Fleming.

Lisa parsknęła z niedowierzaniem.

– Ten od Jamesa Bonda?

– We własnej osobie. Mówi się, że wzorował swojego bohatera na niektórych członkach tamtego oddziału. To daje pewne wyobrażenie o bezwzględności i kawalerskiej fantazji tych grabieżców.

– Zwycięzca ma prawo do łupów wojennych – orzekł sentencjonalnie Painter i wzruszył ramionami.

– Być może. Obowiązkiem dziadka było uratować tyle, ile się da. Był oficerem w *Sicherheitsdienst*. – Mówiąc to, spojrzała badawczo na Paintera, jakby testując jego wiedzę.

A więc gra jeszcze się nie skończyła. Wciąż jest wystawiany na próbę.

– *Sicherheitsdienst* składało się z oddziałów komandosów SS, których zadaniem było wywiezienie niemieckich skarbów: dzieł sztuki, złota, antyków i technologii – odpowiedział.

Anna potwierdziła skinieniem głowy.

– Pod koniec wojny, kiedy Rosjanie wkroczyli już od wschodu na terytorium Niemiec, dziadkowi powierzono coś, co wy, Amerykanie, nazywacie działaniem w „ciemnej strefie”. Rozkaz dostał bezpośrednio od Himmlera niedługo przed jego pojmaniem i samobójczą śmiercią Reichsführera.

– I cóż to był za rozkaz? – chciał wiedzieć Painter.

– Ewakuacja i ochrona lub doszczętne zniszczenie projektu naukowego o kryptonimie Chronos. Jego sercem było urządzenie nazwane *Die Glocke*, czyli Dzwon. Laboratoria badawcze mieściły się głęboko pod ziemią w starej kopalni w Sudetach. Wtedy jeszcze nie wiedział, czego dotyczy projekt. Dowiedział się dopiero później i niewiele brakowało, by go wtedy zniszczył. Ale rozkaz to rozkaz.

– Czy to znaczy, że udało mu się uciec z Dzwonem? Jak?

– Przygotowano dwie trasy ucieczki drogą lotniczą. Jedna wiodła na północ przez Norwegię, druga na południe przez Adriatyk. Obie trasy były obstawione agentami, których zadaniem było udzielenie wszelkiej pomocy. Dziadek wybrał

trasę północną. Od Himmlera wiedział o istnieniu Granitowego Zamku i przedostał się tu wraz z grupą nazistowskich naukowców, z których niektórzy mieli na swym koncie badania na więźniach obozów koncentracyjnych. Wszystkim zależało na zaszyciu się w bezpiecznym miejscu. Dziadek machał im jeszcze przed nosem programem badań, któremu żaden naukowiec nie potrafiłby się oprzeć.

– Opartym na Dzwonie? – domyślił się Painter.

– Właśnie. Program dawał im szansę osiągnięcia czegoś, do czego dążyli od dawna, tylko innymi metodami.

– Czego mianowicie?

Anna westchnęła i spojrzała na Klause.

– Perfekcji. – Zamilkła i przez chwilę trwała smutna i zamyślona.

Dotarli wreszcie do końca korytarza, który wyznaczały potężne żelazne wrota. Były otwarte na oścież, za nimi biegły w dół spiralne schody. Szyb mieszczący klatkę schodową wyrąbano w skale, ale stopnie zamocowano wokół stalowego słupa o grubości pnia potężnego drzewa.

Painter spojrzał w górę. Słup zagłębiał się w sklepieniu i prowadził gdzieś wyżej... może nawet przez całą grubość górotworu nad nimi. Jak odgromnik, pomyślał Painter. W powietrzu czuło się też woń ozonu, która tu była nawet ostrzejsza od dymu.

Anna zauważyła jego zainteresowanie.

– Komin służy do odprowadzania na zewnątrz nadmiaru energii – wyjaśniła.

Pokiwał głową. Pamiętał opowieści miejscowej ludności o ogniach upiorów. Czy to ten komin był ich przyczyną? Zarówno ogni, jak i tajemniczej choroby?

Opanował wzbierającą złość i ruszył w dół po schodach. Kręcenie się wokół słupa wzmagало ból i zawroty głowy, i chcąc wyzwolić się od myśli o chorobie, podjął rozmowę.

– A wracając do Dzwonu. Czemu to miało służyć?

Annę też wyrwało to z zadumy.

– Początkowo nikt tego nie wiedział. Zaczęło się od poszukiwania nowych źródeł energii. Niektórym zdawało się nawet, że Dzwon może stanowić prymitywny wehikuł czasu. Dlatego zresztą całemu programowi nadano kryptonim Chronos.

– Pojazd do podróżowania w czasie? – zdziwił się Painter.

– Musi pan pamiętać, że w pewnych dziedzinach techniki Niemcy o całe lata świetlne wyprzedzały inne kraje. Dlatego właśnie po wojnie rozpoczęło się tak gorączkowe polowanie na niemieckie osiągnięcia naukowe. Ale cofnijmy się trochę. W początkach dwudziestego wieku konkurowały ze sobą dwie odmienne teorie naukowe: teoria względności i teoria kwantowa. I choć nie były całkowicie sprzeczne, to nawet Einstein, twórca teorii względności, uważał, że tych dwóch koncepcji nie da się z sobą pogodzić. Środowisko naukowe podzieliło się na dwa obozy. Dziś wiemy doskonale, po czyjej stronie opowiedziała się większość świata zachodniego.

– Po stronie Einsteina i jego teorii względności.

Anna przytaknęła.

– To w konsekwencji doprowadziło do rozbicia atomu, bomby i energii jądrowej. Cały świat stał się uczestnikiem Projektu Manhattan. A wszystko w oparciu o prace Einsteina. Naziści wybrali inną drogę, poświęcając jej równie dużo wysiłku i zaangażowania. Oni też opracowali swój własny Projekt Manhattan, tyle że na podstawie drugiej teorii naukowej. Kwantowej.

– Ale dlaczego? – zdziwiła się Lisa.

– Z bardzo prostego powodu – odrzekła Anna, odwracając się do niej. – Ponieważ Einstein był Żydem.

– Co takiego?

– Nie zapominajcie o kontekście historycznym. Einstein był Żydem. W oczach nazistów pozbawiało to jego prace wszelkiej wartości. Znacznie więcej warte były dla nich odkrycia dokonywane przez czysto niemieckich naukowców. Swoją wersję Projektu Manhattan oparli więc na pracach takich uczonych jak Werner Heisenberg i Erwin Schrödinger,



a zwłaszcza Max Planck, ojciec teorii kwantowej. Wszyscy oni mieli solidne niemieckie korzenie, i głównie dlatego nasiłci podjęli badania nad praktycznymi aspektami mechaniki kwantowej, co do dziś jest uważane za osiągnięcie o przełomowym znaczeniu. Nazistowscy naukowcy wierzyli, że da się uzyskać źródło energii na podstawie eksperymentów z modelami kwantowymi. Czyli coś, co dopiero dziś dochodzi do głosu. Ten rodzaj energii współczesna nauka nazywa energią punktu zerowego.

– Punktu zerowego? – powtórzyła niepewnie Lisa i spojrzała na Paintera.

Ten skinął głową. Znał dobrze teorię naukową leżącą u podstaw tej koncepcji.

– Gdy zamrozimy materię do temperatury zera absolutnego, czyli niemal do minus trzystu stopni Celsjusza, ruch atomów zamiera. Wszystko staje w miejscu i osiągamy punkt zerowy przyrody. Ale nawet wówczas mamy do czynienia z energią. Z promieniowaniem tła, którego teoretycznie nie powinno być. Dlatego występowania tego rodzaju energii nie dawało się wyjaśnić za pomocą tradycyjnych teorii.

– Natomiast można to zrobić za pomocą teorii kwantowej. – Głos Anny stał się twardszy. – Teoria ta tłumaczy ruch w sytuacji, gdy materia zostaje zamrożona w absolutnym bezruchu.

– Ale jak to jest możliwe? – zdziwiła się Lisa.

– W temperaturze zera absolutnego cząsteczki nie mogą się poruszać w górę, w dół, w lewo czy prawo, ale zgodnie z zasadą mechaniki kwantowej mogą zniknąć i ponownie się pojawiać, wydzielając przy tym energię. I właśnie tę energię nazwano energią punktu zerowego<sup>3</sup>.

– Zniknąć i się pojawiać? – W głosie Lisy słychać było powątpiewanie.

Pałeczkę przejął Painter.

– Fizyka kwantowa bywa trochę dziwaczna. Ale jeśli nawet sama teoria brzmi nieprzekonująco, istnienie tej energii jest

faktem. Uzyskano ją w warunkach laboratoryjnych i uczeni całego świata głowią się teraz, jak dobrać się do energii występującej u źródła istnienia. Opanowanie jej dawałoby dostęp do niewyczerpanej i nieograniczonej mocy.

– A naziści – wtrąciła Anna, kiwając głową – prowadzili badania w tym zakresie z zapalem nie mniejszym niż wasi naukowcy pracujący nad Projektem Manhattan.

– Nieograniczone źródło mocy? – Lisa otworzyła szeroko oczy. – Gdyby im się to udało, wojna potoczyłaby się zupełnie inaczej.

Anna uniosła rękę w geście protestu.

– A kto mówi, że się nie udało? Z dokumentów wynika, że w ostatnich miesiącach wojny naziści zanotowali przełomowe osiągnięcia. Myślę o takich projektach jak *Feuerball* i *Kugelblitz*. Szczegóły można znaleźć w odtajnionych aktach brytyjskiego T-Force. Tyle że tych odkryć dokonano zbyt późno. Ośrodki zbombardowano, naukowców zabito, dokumentację rozkradziono. A to, co się uratowało, trafiło do projektów w ciemnych strefach różnych krajów.

– Ale nie Dzwon – przypomniał Painter. Chciał skierować rozmowę na poprzednie tory. Męczące go nudności zniechęcały do zbyt odległych dygresji.

– Ale nie Dzwon – potwierdziła Anna. – Dziadkowi udało się uratować serce projektu Chronos, które nawiązywało do badań energii punktu zerowego. Dziadek nadał mu też nowy kryptonim: *Schwarze Sonne*.

– Czarne Słońce – przetłumaczył Painter.

– *Sehr gut*.

– Co z tym Dzwonem? Do czego służył?

– To właśnie on spowodował pańskie dolegliwości. Uszkodził cząstki elementarne na poziomie kwantowym, z czym nie mogą sobie poradzić żadne lekarstwa ani zabiegi.

Niewiele brakowało i Painter omsknąłby się na schodku. Musiał oswoić się z tą informacją. Uszkodzenie cząstek elementarnych na poziomie kwantowym? Co to, u diabła, znaczy?

Dotarli do końca schodów, gdzie przejście zamykała krata z drewnianych belek pilnowana przez dwóch strażników z karabinami. Mimo trudności z koncentracją Painter zauważył, że ściana skalnego szybu nad ostatnią spiralą schodów jest mocno okopcona.

Za kratą rozpościerała się wykuta w skale pieczara. Nie widać było jej końca, ale Painter od razu poczuł bijący ze środka żar. Wszystkie ściany były okopcone, na podłodze leżały ułożone obok siebie i przykryte plandekami podłużne kształty. Ciała zabitych.

Znaleźli się w strefie słyszanego wcześniej wybuchu.

Z wnętrza pieczary wyłoniła się jakaś postać. Twarz miała pokrytą sadzą, ale rysy wciąż były rozpoznawalne. Gunther – niedawny zabójca mnichów i podpalacz klasztoru. Wyglądało na to, że przyszło im zbierać owoce swej działalności.

Ogień za ogień.

Gunther zbliżył się do kraty, Anna i Klaus podeszli do niego. Widząc ich po raz pierwszy razem, Painter wyraźnie widział podobieństwo łączące Gunthera i Klause. Nie chodziło przy tym o rysy twarzy, tylko taką samą posturę, twardość psychiczną i trudną do zdefiniowania inność.

Gunther kiwnął Klausowi głową.

Ten nie odwzajemnił powitania. Zachowywał się tak, jakby go nie dostrzegął.

Anna nachyliła się do Gunthera i zaczęła mówić coś szybko po niemiecku. Painter wychwycił jedno słowo brzmiące podobnie we wszystkich językach.

Sabotaż.

A więc źle się dzieje w Granitowym Zamku. Czyżby mieli w swoim gronie zdrajcę? A jeśli tak, kto nim jest? I do czego zmierza? I czy jest ich przyjacielem, czy jeszcze jednym wrogiem?

Gunther spojrzał na Paintera i jego wargi poruszyły się, ale Painter nie był w stanie zrozumieć słów. Anna pokręciła głową. Najwyraźniej miała inne zdanie. Oczy Gunthera zwęziły się, ale posłusznie skinął głową.

Painter czuł, że powinien się cieszyć.

Gunther obrzucił go jeszcze jednym ponurym spojrzeniem, odwrócił się i ruszył w głąb osmolonej pieczary.

– To właśnie chciałam wam pokazać – powiedziała Anna, podchodząc i zataczając łuk ręką.

– Dzwon – domyślił się Painter.

– Został zniszczony. Akt sabotażu.

– I to właśnie Dzwon spowodował chorobę Paintera? – zdziwiła się Lisa. Rozejrzała się po zrujnowanym wnętrzu.

– A także dawał jedyną szansę wyleczenia.

Painter przyjrzał się zniszczeniom.

– Nie macie drugiego takiego Dzwonu? – spytała Lisa. – Albo nie możecie go zrobić?

Anna wolno pokręciła głową.

– Nie mamy jednego z kluczowych składników. Xerum pięćset dwadzieścia pięć. Przez sześćdziesiąt lat nie udało nam się go odtworzyć.

– A więc nie ma ani Dzwonu, ani ratunku – podsumował Painter.

– Ale może istnieje pewna szansa... o ile sobie pomożemy. – Anna wyciągnęła rękę. – Jeśli będziemy współpracowali... Daję panu słowo.

Painter z trudem uniósł rękę i ujął jej dłoń. Coś go jednak powstrzymało. Wciąż węszył podstęp. Było coś, czego Anna nie powiedziała. Ta cała opowieść... te obszerne wyjaśnienia. Wszystko to miało zamydlić mu oczy. I do czego w ogóle jest jej potrzebny?

I nagle go olśniło.

Już wiedział.

– Ten wypadek... – zaczął.

Poczuł, jak palce Anny sztywnieją w jego dłoni.

– To wcale nie był wypadek, prawda? – Przypomniał sobie słowo usłyszane podczas rozmowy Anny z Guntherem. – To też był akt sabotażu.

Anna potwierdziła skinieniem głowy.

– Początkowo myśleliśmy, że to wypadek. Od dawna mieliśmy kłopoty z nierównomierną pracą i skokami mocy Dzwonu. Ale to nie było nic poważnego. Emisje mocy powodowały tylko zachorowania wśród miejscowej ludności, czasem śmiertelne.

Painter z trudem powstrzymał się, by nie wybuchnąć. Śmie to nazywać „niczym poważnym”. Sytuacja była na tyle poważna, że skłoniła Anga Gelu do zwrócenia się o międzynarodową pomoc, a to stało się bezpośrednią przyczyną jego przyjazdu tutaj.

– Ale kilka dni temu podczas rutynowego testu Dzwonu ktoś celowo pozmieniał nastawy, co spowodowało gwałtowny, wykładniczy wzrost mocy Dzwonu.

– I zagładę klasztoru oraz wioski.

– No właśnie.

Painter ścisnął dłoń Anny. Zrobiła ruch, jakby ją chciała wyrwać, ale jej nie puścił. Czuł, że nie powiedziała jeszcze wszystkiego. Tyle że prawda jawiła mu się teraz równie ostro, jak rozrywający mu głowę ból. Już rozumiał, czego ta kobieta od niego oczekuje.

– Rzecz w tym, że ucierpieli nie tylko mnisi i mieszkańcy wioski, prawda? – powiedział. – Wasza załoga też. Wszyscy jesteście napromieniowani. Nie w stopniu powodującym gwałtowną degenerację neurologiczną, tak jak u mieszkańców klasztoru, ale powolniejszą degenerację fizyczną, tak... jak u mnie.

Anna przyjrzała mu się spod zmrużonych powiek, wyraźnie zastanawiając się, jak daleko może się posunąć w szczerości. W końcu przytaknęła.

– Byliśmy tu częściowo zasłonięci, do pewnego stopnia zabezpieczeni. Zasadnicza część mocy Dzwonu poszła w górę i na zewnątrz.

Painter pamiętał ognie upiorów, które widziano na szczytach gór. Próbując ratować własną skórę, Niemcy napromieniowali całą okolicę, w tym także pobliski klasztor.

Ale i tak ich personelowi nie udało się wyjść z tego bez szwanku.

Anna popatrzyła mu w oczy. W jej spokojnym spojrzeniu nie dostrzegł śladu poczucia winy.

– Wszyscy jesteśmy, tak jak pan, skazani na śmierć.

Painter przebiegł w myślach możliwe opcje i niczego nie znalazł. Wprawdzie obie strony wzajemnie sobie nie ufały, znalazły się teraz w jednej łodzi i zgodna współpraca mogła tylko pomóc. Ucisnął dłoń Anny i lekko nią potrząsnął.

Przymierze między Sigmą a nazistami zostało zawarte.

# **KSIĘGA DRUGA**

## CZARNA MAMBA

**Rezerwat zwierząt Hluhluwe Umfolozi  
Kwazulu, RPA  
Godzina 5.45 czasu miejscowego**

Khamisi Taylor stał w gabinecie naczelnika rezerwatu i sztywno wyprostowany czekał, aż naczelnik Gerald Kellog skończy czytać jego raport dotyczący wczorajszej tragedii.

Jedynym dźwiękiem było ciche skrzypienie wentylatora, wolno obracającego się pod sufitem.

Khamisi miał na sobie pożyczone ubranie i spodnie były nieco przydługie, a koszula za ciasna, ale przynajmniej były suche. Po spędzeniu reszty dnia i nocy w letniej wodzie bajora, w którym zagrzebany w mule i zanurzony po szyję siedział z gotową do strzału strzelbą w mdlejących rękach, suche ubranie i twardy grunt pod stopami były prawdziwą rozkoszą.

A także światło wstającego dnia. Przez okno za plecami naczelnika widać było kawałek różowionego porannym słońcem nieba. Świat otrząsał się z mroków nocy.

Udało mu się przetrwać. Żył.

Choć świadomość tego dopiero do niego docierała.

W głowie wciąż miał wycie *ukufy*.

Naczelnik Kellog czytał raport w zamyśleniu, skubiąc kasztanowe wąsy. Wpadające przez okno promienie słoneczne rozświetlały jego łysą czaszkę i nadawały jej różowooleisty połysk. W końcu podniósł głowę i spojrział na Khamisiego znad połówek okularów do czytania.



– I to, Taylor, ma być raport, który mam dołączyć do akt sprawy? – Powiódł palcem po żółtej kartce wyrwanej z bloku. – „Nieznany drapieżnik z gatunku naczelnych”. Tylko tyle potrafisz powiedzieć o tej bestii, która zabiła doktor Fairfield i zabrała jej ciało?

– Nie miałem szansy się przyjrzeć, panie naczelniku. Wiem tylko, że to było duże i pokryte białym futrem. Tak jak napisałem.

– Może lwica? – zastanawiał się Kellog.

– Nie, panie naczelniku... to nie była lwica.

– A skąd ta pewność? Przecież mówisz, że się temu nie przyjrzałeś.

– Tak, panie naczelniku... tylko, że... że to, co widziałem, nie było żadnym znanym drapieżnikiem, jakie występują na tych terenach.

– Więc co to było?

Khamisi milczał. Rozsądek nie pozwalał mu wspominać o *ukufie*. Mówienie głośno w biały dzień o czymś, o czym szeptało się tylko pod osłoną nocy przy ogniskach, naraziłoby go na drwiny. Ot, głupi przesądny dzikus.

– A więc coś zaatakowało doktor Fairfield i zabrało jej ciało. Coś, czego nie widziałeś na tyle dokładnie, żeby to zidentyfikować, czy tak?

Khamisi wolno pokiwał głową.

– Ale jednocześnie udało ci się uciec i schować w wodopoju.

– Naczelnik Kellog ze złością zmiął raport. – Jak ci się zdaje, w jakim świetle stawia to naszą pracę tutaj? Strażnik pozwala zginąć sześćdziesięcioletniej kobiecie, a sam gdzieś się chowa. Wieje z podkulonym ogonem, nie wiedząc nawet, przed czym ucieka.

– To nie fair, panie naczelniku...

– Fair? – Głos przełożonego zagrzmiał tak donośnie, że musiał dotrzeć do sąsiedniego pomieszczenia, gdzie w związku z wydarzeniem zebrał się cały personel. – A czy to jest fair, że będę musiał skontaktować się z rodziną doktor Fairfield i zawiadomić, że matka czy babcia została zaatakowana

i zjedzona, podczas gdy jeden z moich strażników, i to uzbrojonych, uciekł?

– Nie mogłem nic zrobić.

– Poza ratowaniem własnej... skóry.

Khamisi wyraźnie usłyszał brakujące słowo.

Własnej czarnej skóry.

Gerald Kellog nie był zwolennikiem zatrudniania ludzi pokroju Khamisiego. Jego rodzina wciąż miała silne powiązania z dawnym rządem afrykanerskim, a on sam pisał się po szczeblach kariery dzięki układom i znajomościom. Ciągłe należał do starego Country Clubu Oldavi „tylko dla białych”, którego członkowie, mimo zniesienia apartheidu, wywierali znaczący wpływ na gospodarkę kraju. I choć uchwalono nowe prawa, obalono bariery w administracji państwowej i utworzono związki zawodowe, południowoafrykańska gospodarka nie uległa większym przeobrażeniom. Do De Beersów wciąż należały kopalnie diamentów, a do Waalenbergów praktycznie cała reszta.

Zmiany następowały powoli.

To, że Khamisi dostał taką pracę, oznaczało jednak pewien awans społeczny, który chciał zachować na użytek następnego pokolenia. I dlatego nawet nie podniósł głosu.

– Jestem pewien, że kiedy komisja dokona oględzin terenu, uzna moje postępowanie za prawidłowe.

– Tak myślisz, Taylor? Godzinę po tym, jak załoga helikoptera ratunkowego wypatrzyła cię w tym bajorze, wysłałem na miejsce dwunastu ludzi. Piętnaście minut temu wrócili i złożyli mi raport. Znaleźli szczątki nosorożca niemal do szczytu objedzone przez szakale i hieny. Ani śladu młodego, o którym tu wspominasz. I co ważniejsze, ani śladu doktor Fairfield.

Khamisi pokręcił głową, jakby chciał strząsnąć z siebie wszystkie oskarżenia. Wrócił myślami do wlokącego się w nieskończoność tkwienia w wodopoju. Reszta dnia dłużyła mu się niemiłosiernie, ale noc okazała się jeszcze gorsza. Od zapadnięcia mroku praktycznie czekał już tylko na atak.

Zamiast wycia *ukufy* słyszał jednak śmiechy hien i szczekanie szakali, których zbiegło się całe stado. Towarzyszyły im wrzaski i przepychanki innych padlinożerców.

Ich pojawienie się niemal przekonało go, że może bezpiecznie wyjść z bajora i spróbować dotrzeć do jeepa. Obecność szakali i hien mogła oznaczać, że *ukufa* opuściła już ten teren.

Mimo to nie ruszył się z miejsca.

Wciąż miał w pamięci zasadzkę zastawioną na doktor Fairfield.

– Ale przecież musieli też znaleźć inne ślady – powiedział z nadzieją.

– I znaleźli.

Na twarz Khamisiego spłynął wyraz ulgi. Bo jeśli będzie mógł udowodnić...

– Ślady lwów – sprecyzował naczelnik Kellog. – A ściślej, lwic. Dwóch dorosłych lwic. Tak jak mówiłem.

– Lwic?

– Tak. Chyba mamy tu gdzieś fotografię tych niezwykłych stworzeń. Może powinienes je obejrzeć, żebyś mógł je w przyszłości łatwiej zidentyfikować. Będiesz miał na to wystarczająco dużo czasu.

– Słucham?

– Zawieszam pana, panie Taylor.

Khamisi nie potrafił zapanować nad wyrazem twarzy. Wiedział doskonale, że gdyby chodziło o jakiegoś innego strażnika... białego strażnika... naczelnik okazałby znacznie więcej zaufania i wyrozumiałości. Ale nie wobec tubylca. Wiedział też, że na nic zdadzą się protesty. Przeciwnie, tylko pogorszą sprawę.

– Bezpłatny urlop, panie Taylor. Aż do zakończenia dochodzenia.

Dochodzenie. Z góry znał jego wynik.

– Mam też do przekazania decyzję miejscowej policji, że nie wolno panu opuszczać miejsca zamieszkania. Dochodzenie

wykaże, czy nie doszło do karalnego niedopełnienia obowiązków służbowych.

Khamisi przymknął oczy.

Mimo słonecznego poranka nocny koszmar trwał.

Dziesięć minut później Gerald Kellog wciąż jeszcze siedział przy biurku w swoim gabinecie. Przejechał spoconą dłonią po łysinie, jakby polerował jabłko. Na ustach wciąż miał grymas niezadowolenia. Ostatnia noc ciągnęła się bez końca – tyle było pożarów do ugaszenia. A wciąż jeszcze zostało mnóstwo spraw, z którymi będzie musiał się zmierzyć: użeranie się z mediami, tłumaczenie się rodzinie ofiary, w tym także jej partnerce.

Na myśl o tym aż się wzdrygnął. Spotkanie z doktor Paulą Kane na pewno okaże się najtrudniejsze ze wszystkich. Wiedział, że pod słowem „partnerstwo” dwóch starzejących się kobiet kryje się coś więcej niż tylko wspólne zainteresowania naukowe. To właśnie doktor Kane wymogła na nim wysłanie śmigłowca ratunkowego, bo okazało się, że jej przyjaciółka nie wróciła do domu z wczorajszej wyprawy do buszu.

Obudzony w środku nocy, początkowo próbował to zbagatelizować. Dość często zdarzało się, że wyprawiający się do buszu badacze spędzali tam noc. Zerwał się z łóżka, dopiero gdy usłyszał, co było celem wyprawy doktor Fairfield i jego strażnika. Północno-zachodnie krańce parku w sąsiedztwie prywatnego rezerwatu Waalenbergów.

Podjęcie akcji w tamtym rejonie wymagało jego osobistego nadzoru.

Konieczność podejmowania szybkich decyzji i osobistej koordynacji działań spowodowała, że do rana nie zmrużył oka. Na szczęście udało się prawie nad wszystkim zapanować i z powrotem wepchnąć dzinna do butelki.

Ale zostało jeszcze coś do załatwienia.

Nie było sensu odkładać tego na później.

Podniósł słuchawkę i wybrał numer. Stukając długopisem w notatnik, czekał, aż ktoś odbierze.

– Mów – usłyszał suche polecenie.

– Przed chwilą skończyłem z nim rozmawiać.

– I?

– Niczego nie widział... niczego dokładnie.

– Co to znaczy?

– Mówi, że coś widział, ale nie potrafi tego zidentyfikować.

W słuchawce zapadła cisza.

– Jego raport zostanie przerobiony – dodał pośpiesznie Kellog. – Podejrzenie padnie na lwy. W ciągu najbliższych dni odstrzelimy parę sztuk i na tym sprawa się zakończy. A jego zawiesiłem w obowiązkach.

– Bardzo dobrze. Wiesz, co musisz teraz zrobić.

Kellog spróbował zaproponować.

– Został zawieszony. Nie odważy się wychylić. Wystarczająco go nastraszyłem. Nie myślę, żeby...

– Otóż to. Nie myśl. Rób, co do ciebie należy. Ma to wyglądać na wypadek.

Połączenie zostało przerwane.

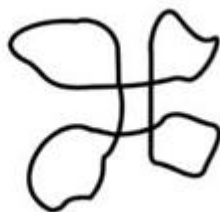
Kellog odłożył słuchawkę. Pomimo włączonej klimatyzacji i obracającego się pod sufitem wiatraka zrobiło mu się gorąco. Z upływem godzin i wzrostem temperatury za oknem nic nie mogło sobie poradzić z piekielnym afrykańskim upałem.

Ale nie to było przyczyną, że z jego czoła stoczyła się ciężka kropla potu.

Rób, co do ciebie należy.

Był za mądry, żeby się sprzeciwiać.

Spojrzał na leżący na biurku notatnik. Podczas rozmowy nabazgrał coś bezmyślnie. Dowód na to, jak stresujące są rozmowy z tym człowiekiem.



Gerald szybko zamazał swoje bazgroły, po czym wyrwał kartkę z notatnika i podarł na drobne strzępy. Żadnych dowodów. Takie są zasady. Musi zrobić, co do niego należy.

Tak, żeby wyglądało na wypadek.

### **Przestrzeń powietrzna nad Niemcami Godzina 4.50 czasu miejscowego**

– Do lądowania została jeszcze godzina – oznajmił Monk. – Może powinienes się trochę zdrzemnąć?

Gray się przeciągnął. Jednostajne buczenie odrzutowych silników challenger 600 działało usypiająco, ale jego umysł wciąż pracował. Próbował poskładać w całość wszystkie fragmenty układanki z ostatnich siedmiu dni. Na kolanach miał rozłożoną Biblię Darwina.

– Co z Fioną? – zapytał.

Monk wskazał głową kanapę w tylnej części samolotu. Fiona leżała na niej opatulona kocem.

– W końcu padła. Ale musiałem jej pomóc paroma tabletkami przeciwbólowymi. Dzieciaki nie potrafią się przymknąć.

Od przyjazdu na kopenhaskie lotnisko usta jej się nie zamykały. Gray porozumiał się telefonicznie z Monkiem, a ten zorganizował podstawienie samochodu. Dowieziono ich do samolotu, który stał na płycie i tankował paliwo. Przy pomocy Logana udało się też załatwić na odległość wszystkie formalności paszportowo-wizowe.

Mimo to Gray odetchnął dopiero, gdy znaleźli się w powietrzu.

– A jej rana postrzałowa?

Monk wzruszył ramionami i opadł na fotel obok Graya.

– Draśnięcie. Zgoda, paskudnie głębokie draśnięcie i przez parę najbliższych dni będzie ją bolało jak cholera. Ale dzięki antyseptycznej maści, kilku szwom i opatrunkowi za parę dni będzie jak nowa. Będzie mogła oskubać paru następnych frajerów.

Poklepał się po marynarce, upewniając się, że jego portfel nie wyparował.

– Podwędziła ci go tylko na dzień dobry – powiedział Gray i uśmiechnął się do swoich myśli. Coś podobnego powiedziała wczoraj Grette Neal. Boże, to naprawdę było wczoraj?

Podczas gdy Monk zajmował się Fioną, Gray złożył sprawozdanie Loganowi. Zastępca dyrektora nie był zachwycony relacją o tym, co się działo po aukcji... aukcji, na której zgodnie z poleceniem Gray nie powinien nawet być. Ale co się stało, to się nie odstanie. Na szczęście zachował się pendrive z przegranym plikiem ze zdjęciami uczestników aukcji – w tym także jasnowłosej pary. Przesłał go Loganowi, a także przefaksował kilka stron Biblii i własne notatki. Dołączył nawet rysunek tatuażu w kształcie czterolistnej koniczyny, który zauważył na dłoniach nocnych prześladowców. Członków bliżej nieznanego komanda bladolicych i jasnowłosych zabójców.

Logan i Kat mieli się teraz zająć sprawdzeniem, kto za tym wszystkim stoi. Logan już zdążył porozumieć się z kopenhaskimi służbami, które poinformowały go, że nie odnotowano żadnych ofiar śmiertelnych paniki w parku. Oznaczało to, że ktoś wcześniej usunął ciało zgilotynowanego bandziora. Zamieszanie wywołane w ogrodach Tivoli, poza kilkoma siniakami i zadrapaniami, nie spowodowało żadnych szkód wśród publiczności. Nie stwierdzono też poważniejszych zniszczeń urządzeń parkowych, poza jednym wehikułem...

Gray przyglądał się, jak Monk obmacuje kieszenie swoich dzinsów.

– Pierścionek na miejscu? – spytał z przesadną troską.

– Tego nie powinna już kraść – obruszył się Monk.

Gray musiał przyznać, że Fiona ma piekielnie zwinne palce.

– Powiesz mi coś o tym pierścionku? – Zamknął Biblię Darwina i spojrzał na Monka pytająco.

– Chciałem zrobić ci niespodziankę...

– Och, Monk, nie wiedziałem, że się we mnie kochasz.

– Przymknij się. Mówię, że chciałem ci powiedzieć we właściwym momencie, a nie... nie dlatego, że jakaś smarkata panna Copperfield wyciąga go z kapelusza...

Gray odchylił się w fotelu, skrzyżował ręce na piersiach i wpatrzył się w Monka.

– A więc dopiero ją poprosisz. Czy ja wiem? Pani Kat Kokkalis? Chyba nigdy na to nie pójdzie.

– Też tak sędzę. Kupiłem go już ze dwa miesiące temu, ale zabrakło odpowiedniego momentu, żeby się oświadczyć.

– Powiedz raczej, że zabrakło ci odwagi.

– Może trochę też.

Gray przechylił się i poklepał Monka po kolanie.

– Ona cię kocha. Przestań się zadręczać.

Monk zarumienił się jak uczeń. Niezbyt mu z tym było do twarzy, ale trudno. Gray widział w jego oczach prawdziwe uczucie, ale także towarzyszący mu strach. Monk rozmasował sobie rękę w miejscu, gdzie zaczynała się proteza. Mimo okazywanej brawury jego ubiegłoroczne okaleczenie było ciężkim przeżyciem i troskliwość Kat znaczyła dla niego więcej niż jakakolwiek pomoc lekarska. Nadal jednak nękało go uczucie niepewności.

Otworzył czarne aksamitne pudełeczko i przyjrzał się pierścionkowi z trzykaratowym brylantem.

– Może trzeba było kupić coś większego... zwłaszcza teraz.

– Co masz na myśli?

Monk podniósł wzrok na Graya. Jego twarz przybrała zupełnie nowy wyraz... Można go było odczytać jako nadzieję



zaprawioną niepewnością.

– Kat jest w ciąży.

Gray aż podskoczył.

– Co? Jak?

– Chyba wiesz jak.

– Chryste... moje gratulacje – wybąkał, choć widać było, że nie może dojść do siebie. – To znaczy... zatrzymacie to dziecko. – Zabrzmiało to trochę jak pytanie.

Monk uniósł brew.

– No jasne.

Gray pokręcił głową nad swoją głupotą.

– To dopiero początek. Kat nie chce jeszcze nikomu mówić... ale powiedziała, że tobie mogę.

Gray pokiwał głową. Starał się oswoić z tą myślą i wyobrazić sobie Monka w roli ojca. Zaskoczony stwierdził, że przychodzi mu to bez trudu.

– Mój Boże... to wspaniale.

Monk zatrzasnął pudełeczko z pierścionkiem.

– A jak z tobą?

– Jak to, jak ze mną? – mruknął Gray i spochmurniał.

– Z tobą i z Rachele. Co powiedziała na twoją akcję w Tivoli?

Gray ściągnął brwi.

Oczy Monka zaokrągliły się ze zdumienia.

– Gray!

– No, co?

– Nawet do niej nie zadzwoniłeś, tak?

– Nie sądziłem, żeby...

– Przecież pracuje w karabinierach. Wiesz, że musiała słyszeć o możliwości zamachu terrorystycznego w Kopenhadze. A zwłaszcza o idiocie wrzeszczącym „Bomba!” w zatłoczonym parku i porywającym dla zabawy pojazd z kaczką. Musi się domyślać, że maczałeś w tym palce.

Monk miał rację. Powinien od razu do niej zadzwonić.

– Graysonie Pierce, i co ja mam z tobą zrobić? – Monk ze smutkiem pokręcił głową. – Kiedy wreszcie przestaniesz zawracać głowę tej biednej dziewczynie?

– O co ci chodzi?

– Zastanów się. To miło, że między tobą a Rachele coś zaiskrzyło, tylko jaką to ma przyszłość?

Gray się zjeżył.

– Wprawdzie to w najmniejszym stopniu nie twoja sprawa – oświadczył sucho – ale przyjmij do wiadomości, że właśnie mieliśmy o tym porozmawiać. Przeszkodziła nam ta cała zawierucha.

– No to się ciesz.

– Wiesz, co ci powiem? To, że od dwóch miesięcy łazisz z zaręczynowym pierścieniem w kieszeni, nie robi z ciebie jeszcze eksperta od spraw męsko-damskich.

Monk uniósł ręce w geście poddania.

– Już dobrze... wycofuję się... Chciałem tylko powiedzieć, że...

– Że co? – Gray nie miał zamiaru odpuścić.

– Że ty naprawdę nie chcesz się z nikim wiązać.

Gray aż zmrużył oczy w obliczu tego frontalnego ataku.

– Co ty pieprzysz? Oboje z Rachele robimy wszystko, co w naszej mocy, żeby nam wyszło. Kocham Rachele i ty o tym wiesz.

– Wiem, że ją kochasz. Nigdy nie twierdziłem inaczej. Tylko nie chcesz się z nią wiązać na stałe. Bo to oznacza wzięcie sobie na głowę żony, hipoteki i dzieci. – Odliczał na palcach.

Gray zaprzeczył ruchem głowy.

– To co robisz z Rachele, to jest przeciąganie w nieskończoność frajdy pierwszej randki.

Szukał jakiejś zręcznej riposty, ale słowa Monka trafiły zbyt blisko celu. Pamiętał, że każde kolejne spotkanie musieli zaczynać od pokonania obcości, od przekroczenia bariery odgradzającej ich od prawdziwej intymności. Tak właśnie jak na pierwszej randce.

– Od ilu lat się znamy? – zapytał Monk.

Gray machnął tylko ręką.

– I ile miałeś w tym czasie poważnych związków z dziewczynami? – Monk ułożył palce w wielkie zero. – No

i patrz, kogo sobie wybrałeś na pierwszy poważny związek.

– Rachele jest cudowna.

– Pewnie, że jest. I wspaniale, że się bardziej otworzyłeś. Ale, człowieku, pomyśl o wszystkich barierach nie do przewalczenia.

– Jakich barierach?

– Choćby pierwszej z brzegu: cholernego Atlantyku, który leży na drodze do waszego poważnego związku. – Monk ponownie wystawił trzy palce.

Żona, hipoteka, dzieci.

– Jeszcze nie jesteś gotów – ciągnął. – Choćby twoja reakcja sprzed chwili. Trzeba było widzieć swoją minę, kiedy wspomniałem o ciąży Kat. Omal się nie posrałeś ze strachu. A to przecież moje dziecko, nie twoje.

Gray poczuł, że serce podeszło mu do gardła i zaczyna przeszkadzać w oddychaniu. Jakby dostał kopniaka w żołądek.

– Coś cię gnębi, kolego – stwierdził Monk i westchnął. – Może powinieneś pogadać o tym ze swoimi starymi. Sam już nie wiem.

Od konieczności odpowiedzenia uratował Graya gong zwiastujący komunikat pilota.

– Zostało nam około trzydziestu minut. Niedługo rozpoczniemy podchodzenie do lądowania.

Gray wyjrzał przez okno. Na wschodzie widać było wstające słońce.

– Może rzeczywiście trochę się jeszcze zdrzemnę – mruknął jakby do siebie. – Do wylądowania.

– Bardzo rozsądnie.

Gray wlepił w niego wzrok i już otworzył usta, by dopiec mu jakąś zjadliwą ripostą, ale nie przyszło mu do głowy nic poza powtórzeniem prawdy.

– Naprawdę kocham Rachele.

Monk położył oparcie swojego fotela i odwracając głowę, mruknął:

– Wiem. I dlatego to takie trudne.

## **Rezerwat zwierząt Hluhluwe Umfolozi Godzina 7.05 czasu miejscowego**

Khamisi Taylor siedział w niewielkim saloniku i sącył herbatę. Choć była mocna i posłodzona miodem, zupełnie nie czuł smaku.

– I nie ma żadnej szansy, że Marcia mogła przeżyć? – powtórzyła Paula Kane.

Khamisi pokręcił głową. Nie chciał chować głowy w piasek. Nie po to tu przyszedł. Po awanturze w gabinecie naczelnika wolałby zaszyć się w swoim dwupokojowym domku na obrzeżu rezerwatu, jednym z wielu identycznych domków udostępnionych przez dyrekcję parku zatrudnionym w nim strażnikom. Dręczyła go myśl o tym, jak długo pozwolą mu tam mieszkać, jeśli jego zawieszenie zamieni się w zwolnienie z pracy.

Mimo to nie pojechał prosto do domu. Wjechał w głąb parku i dotarł do innego osiedla domów należących do rezerwatu. Mieszkali w nich naukowcy prowadzący badania, a koszt ich wynajmu pokrywano z subwencji na programy badawcze.

Khamisi wielokrotnie odwiedzał ten pobielony wapnem, piętrowy dom w stylu kolonialnym. Stał w cieniu ogromnych akacji, miał z tyłu niewielki ogródek i równie małe podwórko od frontu, po którym kręciło się stadko kur. Wydawało się, że jego lokatorom nigdy nie brakuje środków na prowadzenie badań. Mieszkały tutaj od dawna i po raz ostatni Khamisi był tu na przyjęciu wydanym przez obie mieszkanki z okazji dziesiątej rocznicy ich pracy w parku. Miejscowe środowisko naukowe uznawało ich obecność w rezerwacie za coś równie naturalnego, jak występowanie pięciu wielkich gatunków zwierząt afrykańskich.

Tyle że teraz z dwóch została już tylko jedna.

Doktor Paula Kane siedziała na niewielkiej sofie, oddzielona od fotela Khamisiego niskim stolikiem. Miała oczy pełne łez, ale jej policzki pozostawały suche.

– Trudno – powiedziała i prześlizgnęła się wzrokiem po licznych fotografiach wiszących na ścianie, na których uwieczniono szczęśliwe momenty ich życia. Khamisi wiedział, że obie kobiety wiodły wspólne życie od ukończenia Oksfordu przed wielu laty. – I tak nie miałam złudzeń.

Była drobnej postury i miała szpakowate włosy obcięte równo na wysokości ramion. Wiedział, że zbliża się do sześćdziesiątki, ale wyglądała o dziesięć lat młodziej. Zawsze miała w sobie naturalne piękno, które rodzi się z poczucia pewności siebie i któremu nie dorówna żaden kamuflaż w postaci makijażu. Tego ranka była jednak jakby wymięta. Nagle się postarzała i wyglądała, jakby uszło z niej życie. Chyba spała tak jak stała, w spodniach khaki i luźnej białej bluzce.

Khamisi nie miał słów pociechy, którymi mógłby uśmierzyć jej ból. Mógł jej tylko współczuć.

– Przykro mi – rzekł ze smutkiem.

Paula przeniosła wzrok na jego twarz.

– Wiem, że zrobiłeś wszystko, co było możliwe. Już dotarły do mnie jakieś pomruki z zewnątrz. Biała kobieta ginie, a czarny mężczyzna żyje. Pewnym ludziom to się nie spodoba.

Khamisi wiedział, że to aluzja do naczelnika rezerwatu. Obie z Marcją wielokrotnie miały z nim scysje. Wszystkim znane były powiązania i poglądy naczelnika. Apartheid mógł być oficjalnie zniesiony w miastach i dużych skupiskach ludzkich, ale tu, w buszu, wciąż pokutował mit Wielkiego Białego Myśliwego.

– Nie ponosisz winy za jej śmierć – powiedziała Paula, jakby czytając w jego myślach.

Odwrócił głowę. Doceniał jej wyrozumiałość, ale oskarżenia rzucone przez naczelnika wzbudziły w nim poczucie winy. Rozum podpowiadał, że zrobił wszystko, co było w jego mocy, by uratować doktor Fairfield, niemniej prawdą było, że wyszedł z tego cało, a ona nie. I nic tego nie zmieni.

Wstał z fotela. Nie chciał przeciągać wizyty. Przyszedł tylko złożyć kondolencje i przekazać doktor Kane relację z pierwszej ręki o tym, co się wydarzyło. I zrobił to.

– Powiniennem już iść – oświadczył.

Paula odprowadziła go do siatkowych drzwi, ale zanim je otworzył, powstrzymała go ruchem ręki.

– Jak myślisz, co to mogło być? – spytała cicho.

Odwrócił się do niej.

– Co ją zabiło? – dodała.

Khamisi rzucił okiem na zalane porannym słońcem podwórze. Było zbyt jasno na snucie mrocznych opowieści o nocnych strachach. Zresztą zabroniono mu o tym mówić. Od jego postępowania mogła zależeć dalsza praca.

Wlepił wzrok w Paulę i powiedział prawdę:

– To nie był lew.

– Więc co?

– Dojdę do tego.

Pchnął drzwi i zszedł po schodkach. Na podjeździe stał jego nadjedzony przez rdzę pic-kup, smażąc się na słońcu. Khamisi wsiadł do rozpalonej jak piec kabiny i ruszył w stronę domu.

Po raz setny wrócił myślami do okropieństw poprzedniego dnia i nocy. Dudniące w głowie wycie *ukufy* niemal zagłuszało warkot silnika. To nie mógł być lew. Nigdy w to nie uwierzy.

Dotarł do osiedla prymitywnych i pozbawionych klimatyzacji domków na palach, gdzie mieszkali pracownicy parku. Zajechał pod furtkę i ostro wdepnął hamulec, wzbijając chmurę czerwonego pyłu.

Był wykończony i chciał odpocząć parę godzin.

Potem zajmie się dochodzeniem prawdy.

Wiedział już nawet, od czego zacznie poszukiwania.

Ale najpierw musi odpocząć.

Zaskoczyło go, że furtka jest otwarta. Wychodząc na dłużej, zawsze pamiętał, by ją dokładnie zamknąć. Lecz gdy ubiegłej nocy rozeszła się wiadomość o jego zaginięciu, ktoś mógł przecież chcieć sprawdzić, czy nie wrócił do domu.

Nerwy Khamisiego wciąż były napięte jak postronki. Nie mógł się uspokoić od chwili, gdy usłyszał w dżungli pierwsze wycie, i nie był pewien, czy kiedykolwiek potrafi się z tego otrząsnąć.

Wszedł na podwórko i z ulgą stwierdził, że drzwi wejściowe wyglądają na zamknięte. Ze skrzynki na listy wystawała nietknięta poczta. Powoli wszedł na schodki.

Przemknęło mu przez głowę, że wolałby mieć pod ręką jakąś broń.

Skrzypnęła podłoga, ale nie pod ciężarem jego stopy. Dźwięk pochodził z wnętrza domu.

Wszystko wskazywało na to, że powinien rzucić się do ucieczki.

Ale nie, tym razem już nie.

Wszedł na ganek, stanął z boku i przyjrzał się drzwiom.

Nie były zamknięte na klucz.

Uniósł zapadkę i je pchnął. Gdzieś w głębi domu rozległo się kolejne skrzypnięcie.

– Kto tam? – zawołał.

## **Himalaje**

### **Godzina 8.52 czasu miejscowego**

– Chodź coś zobaczyć.

Wyrwany ze snu Painter poczuł ostre ukłucie bólu w oczodołach i to natychmiast go otrzeźwiło. Uniósł się na łóżku. Był ubrany i nawet nie wiedział, kiedy usnął. Parę godzin wcześniej strażnicy przyprowadzili ich do pokoju i zamknęli drzwi od zewnątrz. Anna miała w tym czasie postarać się o wszystko, o co prosił.

– Jak długo spałem? – spytał. Czuł, że pulsujący ból głowy z wolna ustępuje.

– Przepraszam. Nie wiedziałam, że śpisz. – Lisa siedziała ze skrzyżowanymi nogami przy stoliku zarzuconym kartkami. – Najwyżej piętnaście... może dwadzieścia minut. Chciałam tylko, żebyś na to spojrział.

Painter wstał. Pokój przez chwilę lekko się kołysał, ale po sekundzie powrócił do równowagi. Niedobrze. Podszedł do Lisy

i usiadł obok niej.

Zauważył, że na rozłożonych papierach leży jej aparat. W ramach zawartego przymierza Lisa od razu zażądała zwrotu swego nikonu.

Przesunęła w jego stronę kartkę.

– Popatrz na to.

Narysowała na niej ciąg symboli, w których Painter rozpoznał znaki nagryzmołone na ścianach przez lamę Khemsara. Musiała je przerysować z fotografii w pamięci aparatu. Pod każdym symbolem widniała litera.

The image shows a sequence of ten hand-drawn symbols in the first row, each corresponding to a letter in the second row. The symbols are: a symbol resembling 'S', a symbol resembling 'C', a symbol resembling 'H', a symbol resembling 'W', a symbol resembling 'A', a symbol resembling 'R', a symbol resembling 'Z', a symbol resembling 'E', a symbol resembling 'S', and a symbol resembling 'O'. The second row contains the text 'SCHWARZESONNE' in capital letters.

– To prosty szyfr oparty na zastępstwie znaków. Każdy symbol runiczny reprezentuje inną literę alfabetu. Trochę nad tym posiedziałam i rozszyfrowałam metodą prób i błędów.

– *Schwarze Sonne* – odczytał Painter na głos.

– Czarne Słońce. Kryptonim tego ich programu.

– To znaczy, że lama Khemsar o nim wiedział. – Painter pokręcił głową. – A więc stary mnich był w to zamieszany.

– I wyraźnie go to dręczyło. – Lisa wzięła z jego rąk kartkę z szyfrem. – Widać napad szaleństwa otworzył w nim jakieś stare rany.

– Albo on cały czas z nimi współpracował. Zrobił z klasztoru coś w rodzaju wartowni strzegącej dostępu do zamku.

– Jeśli tak, to pomyśl, czym się to dla niego skończyło – prychnęła Lisa. – Czy nas też czeka taka nagroda za współpracę z nimi?

– Nie mamy wyboru. To jedyny sposób, żeby pozostać przy życiu. Musimy być im potrzebni.

– A co potem? Kiedy już przestaniemy?

Painter nie miał zamiaru jej oszukiwać.



– Wtedy nas zabiją. Współpraca z nimi pozwala nam tylko zyskać na czasie.

Wiedział już, że brutalna szczerłość nie tylko Lisy nie załamuje, ale wręcz dodaje jej sił. Teraz też zebrała się w sobie.

– To od czego zaczniemy?

– Od pierwszego kroku w każdej sytuacji konfliktowej.

– To znaczy?

– Od rozpoznania wroga.

– Wydaje mi się, że o Annie i jej kompanach wiem aż za dużo.

– Nie, chodzi mi o dowiedzenie się, kto stoi za tutejszym zamachem. O wykrycie, kim jest sabotażysta... i na czyje zlecenie działa. Bo dzieje się tu coś znacznie poważniejszego. Pierwsze akty sabotażu – majstrowanie przy Dzwonie i wywołanie chorób – miały na celu zwrócenie naszej uwagi. Narobienie szumu i ściągnięcie nas tutaj.

– Po co miano by to robić?

– Żeby mieć pewność, że ekipa Anny zostanie zdemaskowana i unieszkodliwiona. Czy nie zastanowiło cię, że Dzwon został uszkodzony dopiero podczas naszej bytności tutaj? Jak myślisz, o czym to świadczy?

– Że chcieli przerwać prace nad Dzwonem, ale w taki sposób, by tajna technologia nie dostała się w niepowołane ręce.

– Albo nawet coś więcej. – Painter pokiwał głową. – Wszystko może mieć na celu jedynie odwrócenie uwagi. Jak machanie ręką przez magika. Patrzcie tutaj, bo w tym czasie chcę wykonać prawdziwą sztuczkę, ale tak, żeby nikt tego nie zauważył. Pytanie tylko, kim jest ten tajemniczy, kryjący się za kulisami magik? I na czym polega jego sztuczka? Co naprawdę chce osiągnąć? Właśnie tego musimy się dowiedzieć.

– A ta cała elektronika, której sobie zażyczyłeś?

– Może nam pomóc wykurzyć kreta z nory. Jeśli uda nam się przyskrzynić sabotażystę, być może poznamy odpowiedzi na niektóre z pytań. Dowiemy się, kto naprawdę pociąga za sznurki.

Zaskoczyło ich pukanie do drzwi.

Painter wstał i zaczekał na odsunięcie zasuw i otwarcie drzwi.

Do środka weszła Anna z nieodłącznym Guntherem u boku. Od ich ostatniego spotkania zdążył się już ogarnąć, a o jego pewności siebie najlepiej świadczył fakt, że nie był nawet uzbrojony i nie towarzyszyła im żadna obstawa.

– Chciałam wam zaproponować wspólne śniadanie – oznajmiła Anna. – Nim je skończymy, wszystkie zamówione urządzenia powinny już dotrzeć.

– Wszystkie? Jakim cudem? Skąd?

– Z Katmandu. Po tamtej stronie góry mamy lądowisko dla helikopterów i hangar.

– Naprawdę? I nigdy was nie namierzono?

– Wystarczy odpowiednio wpasować się w rozkład lotów turystycznych i tych obsługujących wyprawy wspinaczkowe. W ciągu godziny nasz pilot powinien być z powrotem.

Painter pokiwał głową. Należało tę godzinę jak najlepiej wykorzystać.

Zebrać jak najwięcej informacji.

Bo każdy problem da się jakoś rozwiązać. Taką przynajmniej miał nadzieję.

Wyszli z pokoju. Na korytarzach panował ruch. Widać rozeszła się już wieść o ich bytności w zamku, bo mijający ich ludzie, udając wprawdzie, iż są czymś bardzo zaabsorbowani, ślali w ich kierunku wrogie spojrzenia, jakby to oni byli odpowiedzialni za niedawne akty sabotażu. Jednak nikt nie ośmielił się ich zaczepić. Obecność Gunthera wyraźnie budziła respekt i torowała im drogę. Grayowi przyszła do głowy gorzka myśl, że dotychczasowy prześladowca stał się nagle ich obrońcą.

Dotarli w końcu do gabinetu Anny.

Przy palenisku ustawiono długi stół, na którym stały talerze i miski. Rozłożono na nich wędliny, ciemne pieczywo, parujący gulasz, owsiankę, sery, a także owoce: parę gatunków jagód, śliwki i melony.

– Gości pani całą armię? – spytał Painter z przekąsem.

– W zimnym klimacie najważniejszy jest zapas paliwa, i to zarówno w domu, jak i w żołądku.

Typowa zapobiegliwa Niemka.

Usiedli przy stole i zaczęli usługiwać sobie wzajemnie niczym członkowie biesiadującej rodziny.

– Jeśli mamy mieć nadzieję na znalezienie antidotum – zaczęła Lisa – to musimy dowiedzieć się czegoś więcej o tym waszym Dzwonie. O jego historii... zasadzie działania...

Annę, którą atmosfera panująca na korytarzu nieco zmroziła, to pytanie wyraźnie ucieszyło. Jak każdy naukowiec uwielbiała rozprawiać o swym ukochanym dziele.

– Wszystko zaczęło się od prób zbudowania nowego rodzaju generatora mocy – zaczęła swą opowieść. – Nowego silnika. Nazwa Dzwon wzięła się od kształtu zewnętrznej skorupy – ceramicznego zbiornika o pojemności prawie czterystu litrów, od wewnątrz wyłożonego warstwą ołowiu. W skorupie umieszczono dwa metalowe cylindry nałożone jeden na drugi, które wirują w przeciwnych kierunkach.

By to zilustrować, Anna ułożyła odpowiednio dłonie.

– Do smarowania wirujących cylindrów służyła wypełniająca Dzwon kąpiel z metalu w stanie ciekłym, podobnego do rtęci. Nazwano go Xerum pięćset dwadzieścia pięć.

Painter zapamiętał tę nazwę.

– To ta substancja, o której mówiła pani, że nie udało się jej odtworzyć?

Anna przytaknęła.

– Od dziesiątków lat próbowaliśmy dokonać analizy składu tego ciekłego metalu. Bezskutecznie. Wiemy tylko, że zawiera nadtlenki toru i berylu, i właściwie niewiele więcej. Wiemy natomiast na pewno, że Xerum pięćset dwadzieścia pięć było produktem ubocznym uzyskanym w trakcie badań nad energią punktu zerowego. Było wytwarzane w oddzielnym laboratorium, które tuż po wojnie zostało doszczętnie zniszczone.

– I nie udało wam się znaleźć sposobu na wyprodukowanie większych ilości? – zapytał Painter.

Anna pokręciła głową.

– Ale do czego służył Dzwon? – chciała wiedzieć Lisa.

– Jak już wspominałam, to były tylko eksperymenty. Prawdopodobnie chodziło o kolejną próbę uzyskania niewyczerpanego źródła mocy punktu zerowego. Zajmujący się nią nazistowscy uczeni stwierdzili, że po włączeniu Dzwonu pojawia się wokół niego poświata. We wszystkich urządzeniach elektrycznych znajdujących się nawet w znacznej odległości od Dzwonu dochodziło do zwarc, zaczęły się też pojawiać doniesienia o ofiarach śmiertelnych. W wyniku przeprowadzonych badań urządzenie udoskonalono i wyposażono w osłonę, a dalsze eksperymenty przeniesiono głęboko pod ziemię, do nieczynnej kopalni. Od tej pory nie zanotowano dalszych ofiar, natomiast mieszkańcy wioski oddalonej kilometr od kopalni zaczęli się skarżyć na bezsenność, zawroty głowy i skurcze mięśni. Okazało się, że Dzwon wysyła jakieś promienie i to dodatkowo wzmogło zainteresowanie nim.

– Z uwagi na możliwe wykorzystanie Dzwonu do celów militarnych – domyślił się Painter.

– Tego nie wiem. Znaczną część dokumentacji zniszczył szef naukowy projektu. Wiemy natomiast, że naukowcy poddawali napromieniowaniu przez Dzwon wiele różnych substancji organicznych: paprocie, pleśń, jaja, mięso, mleko, a także całe spektrum gatunków ze świata zwierzęcego, zarówno bezkręgowce, jak i kręgowce. Karaluchy, ślimaki, kameleony, ropuchy i oczywiście myszy oraz szczury.

– A co ze szczytem łańcucha pokarmowego? – zapytał Painter. – Z ludźmi?

– Niestety, też. – Anna pokiwała głową. – Zasady moralne bardzo często bywają pierwszą ofiarą postępu.

– I jaki był wynik tych eksperymentów? – spytała Lisa. Wyraźnie przeszła jej ochota na jedzenie, choć wcale nie

dlatego, że zbulwersował ją temat rozmowy. Z zapartym tchem chłonęła słowa Anny.

Wydawało się, że Niemka wyczuła w niej pokrewną duszę, bo dalszy ciąg opowieści był właściwie adresowany do niej.

– Efekty były zaskakujące. Dzwon powodował na przykład zanikanie chlorofilu w roślinach, które bieleły, a następnie w ciągu paru godzin zmieniały się w smolistą maź. U zwierząt następowało krzepnięcie krwi w żyłach, a w tkance mięśniowej tworzyła się krystaliczna substancja niszcząca komórki od wewnątrz.

– Niech zgadnę – wtrącił Painter. – Jedynymi stworzeniami, które oparły się temu wszystkiemu, były karaluchy.

Lisa spojrzała na niego z wyrzutem i powróciła wzrokiem do Anny.

– Wiadomo, co powodowało te wszystkie zjawiska?

– Możemy się tylko domyślać. Uważamy, że obracając się, Dzwon wytwarza bardzo silny wir elektromagnetyczny. Obecność w wytworzonym przez ten wir polu Xerum pięćset dwadzieścia pięć, produktu otrzymanego w trakcie badań nad energią punktu zerowego, sprzyja powstawaniu dziwnej energii kwantowej.

Painter spróbował to sobie uporządkować.

– A więc Xerum pięćset dwadzieścia pięć jest paliwem, a Dzwon silnikiem pracującym na tym paliwie, czy tak?

– I robi się z niego wielki mikser – wtrącił jakiś głos.

Wszystkie spojrzenia skierowały się na Gunthera. Usta miał pełne jedzenia i po raz pierwszy włączył się do rozmowy.

– Dość prymitywne, ale trafne porównanie. – Anna skinęła głową. – Wyobraźcie sobie punkt zerowy jako misę ciasta. Wirujące cylindry Dzwonu są jak mieszadło, które zanurza się w misie, wyciąga z niej energię kwantową i wyrzuca do naszej rzeczywistości, spryskując ją dziwnymi cząsteczkami subatomowymi. Początkowe doświadczenia miały na celu uzyskanie kontroli nad szybkością owego miksera, a tym samym nad wielkością oprysku.

– I zapanowanie nad chaosem – rzucił Painter.

– A tym samym wyeliminowanie szkodliwych efektów ubocznych. I to się udało. Szkodliwe efekty zanikły, a w ich miejsce pojawiło się coś niezwykłego.

Painter czuł, że zbliżają się do sedna sprawy.

Anna pochyliła się do przodu.

– Zamiast degeneracji tkanki żywych organizmów nazistowscy uczeni odnotowali jej wzmocnienie. Przyspieszony rozrost pleśni. Gigantyczny rozrost paproci. Szybsze reakcje u myszy, wzrost inteligencji u szczurów. Powtarzalność wyników świadczyła o tym, że zmian tych nie można uznać za przypadkowe mutacje. Okazało się też, że im wyższy szczebel na drabinie ewolucji, tym te korzystne zmiany są wyraźniejsze.

– I dlatego zaczęto eksperymentować na ludziach – domyślił się Painter.

– Niech pan pamięta o kontekście historycznym, panie Crowe. Naziści byli przekonani, że doprowadzą do powstania nowej superrasy. I nagle dostali do rąk narzędzie, które pozwalało osiągnąć ten cel w czasie, w jakim żyje jedno pokolenie. Kwestie moralności nie miały znaczenia. Kierował nimi ważniejszy imperatyw.

– Imperatyw stworzenia rasy panów. Imperatyw zapanowania nad światem.

– Naziści w to wierzyli. I dlatego włożyli mnóstwo wysiłku w rozwój badań nad Dzwonem. Ale zanim zdolali doprowadzić go do finału, ich czas się skończył. Niemcy poniosły klęskę, a Dzwon w porę ewakuowano, w nadziei że po kryjomu uda się kontynuować badania. Na nich opierała się ostatnia nadzieja Trzeciej Rzeszy. Na stworzeniu na nowo rasy aryjskiej, która przejmie rządy nad światem.

– I dlatego Himmler wybrał to miejsce? – powiedział Painter, kręcąc głową. – W samym sercu Himalajów? To szaleństwo!

– Tak się składa, że to szaleńcy, a nie geniusze często popychają świat do przodu. Bo kto jak nie szaleniec gotów jest porwać się na rzeczy niemożliwe. I udowodniać, że niemożliwe staje się możliwe.

– I przy okazji obmyślać najefektywniejsze metody ludobójstwa.

Anna westchnęła.

Lisa postanowiła sprowadzić rozmowę na poprzednie tory.

– I jakie były wyniki eksperymentów na ludziach? – spytała obojętnie.

– U dorosłych efekty okazały się szkodliwe – odrzekła Anna.

– Zwłaszcza przy większej mocy. Ale badań nie zaprzestano. Okazało się, że w przypadku napromieniowania płodu w macicy jedno na sześćcioro dzieci rodziło się z wyraźnie ulepszonymi cechami. Zmiany w genach w zakresie miostatyny<sup>4</sup> powodowały, że rodziły się dzieci z dużo lepiej rozwiniętym układem mięśniowym. U tych dzieci występowały też ostrzejszy wzrok, lepsza koordynacja wzrokowo-ruchowa, zdumiewająco wysokie IQ.

– A więc prawdziwe superdzieci – mruknął Painter.

– Niestety, dzieci te rzadko żyły dłużej niż dwa lata. Występowała u nich stopniowa degeneracja organizmu. Błdły, pojawiało się zwapnienie tkanki mięśniowej, następowała martwica palców u rąk i nóg i w konsekwencji ich odpadanie.

– Ciekawe – powiedziała Lisa. – A więc wystąpiły takie same efekty uboczne, jak w trakcie pierwszej serii eksperymentów.

Painter spojrział na nią z niedowierzaniem. Czy ona naprawdę powiedziała „ciekawe”? Siedziała nieruchomo, gapiąc się na Annę z wyraźną fascynacją. Jak ona może tak obojętnie do tego podchodzić? A potem zauważył, że jej lewe kolano pod stołem nerwowo podryguje. Położył na nim dłoń i poczuł, że cała dygoce. I tylko jej twarz wciąż była spokojna i wyrażała zaciekawienie. Dopiero wtedy zdał sobie sprawę, że Lisa udaje. Tłumiąc gniew i odrazę, odgrywa, z jego udziałem, spektakl z cyklu „dobry gliniarz – zły gliniarz”. Jej pozornie czysto naukowe podejście pozwalało mu zadawać ostrzejsze, bardziej dociekliwe pytania. Wszystko po to, by wydobyć od Anny jak najwięcej informacji.

Lekko ścisnął jej kolano na znak, że docenia jej wysiłki.

Lisa bez mrugnięcia okiem kontynuowała grę:

– Wspomniała pani, że jedno dziecko na sześć wykazywało niezwykle cechy. A co z pozostałą piątką?

– Rodziły się martwe. Albo bardzo zdeformowane. Umierały też ich matki. Śmiertelność w tej grupie była bardzo wysoka.

– A kim były matki? – W tonie Paintera było dość odrazy, by starczyło za nich dwoje. – Bo domyślam się, że nie robiły tego ochotniczki.

– Niech pan nie osądza tego zbyt surowo, panie Crowe. Czy zna pan poziom śmiertelności niemowląt w Stanach Zjednoczonych? Jest wyższy niż w niektórych krajach Trzeciego Świata. A jaką mamy korzyść z tych wszystkich zgonów?

Boże święty, ona chyba nie mówi tego poważnie. Przecież to absurdalne porównanie.

– Naziści mieli jasny cel – powiedziała Anna. – I przynajmniej byli konsekwentni.

Painter próbował znaleźć odpowiednio ostrą ripostę, ale ze wzburzenia głos uwiązł mu w gardle.

Wyрęczyła go Lisa. Odnalazła pod stołem jego dłoń i lekko ścisnęła.

– Rozumiem, że naukowcy starali się lepiej dostroić Dzwon i wyeliminować takie niedogodności.

– Oczywiście. Ale niestety do końca wojny nie udało im się poczynić większych postępów. Znany jest tylko jeden przekaz o odniesieniu pełnego sukcesu. O narodzinach doskonałego dziecka. Tyle że nie wiadomo, na ile jest prawdziwy. Wcześniej dzieci urodzone w ramach programu Dzwon wykazywały jakieś niedoskonałości. Miejscową utratę pigmentu, asymetrię organów, oczy różniące się kolorem. – Prześlizgnęła się wzrokiem po Guntherze. – Natomiast w tym jednym przypadku niczego takiego nie stwierdzono i pobieżna analiza genomu chłopca potwierdziła jego doskonałość. Jednak technika, za której pomocą osiągnięto ten sukces, nie jest znana. Kierownik naukowy programu przeprowadził eksperyment w absolutnej tajemnicy. Gdy mój dziadek zjawił się na miejscu z zadaniem wywiezienia Dzwonu, człowiek ten w ramach protestu



zniszczył wszystkie swoje zapiski. Dziecko zmarło wkrótce potem.

– Także z powodu efektów ubocznych?

– Nie. Córka tego naukowca zabrała dziecko i wraz z nim się utopiła.

– Dlaczego?

Anna pokręciła głową.

– Dziadek nie chciał o tym mówić. Jak zresztą zaznaczyłam, nie wiadomo ile jest prawdy w tej opowieści.

– Jak się nazywał ten naukowiec? – zapytał Painter.

– Nie pamiętam. Ale mogę sprawdzić, jeśli pan sobie życzy.

Painter wzruszył ramionami.

Gdyby tylko mógł mieć teraz dostęp do bazy komputerowej Sigmy. Czuł, że w tej opowieści o dziadku kryje się coś więcej.

– A po wywiezieniu? – zapytała Lisa. – Badanie kontynuowano tutaj?

– Tak. Wprawdzie w ukryciu, ale byliśmy na bieżąco z osiągnięciami światowej nauki. Po wojnie nazistowscy uczeni rozpierzchli się po świecie i wielu trafiło do ściśle tajnych programów badawczych na różnych kontynentach. W Europie, w Związku Radzieckim, w Ameryce Południowej, w Stanach Zjednoczonych. Stali się naszymi oczami i uszami. Przekazywali nam najświeższe dane. Wielu nadal wierzyło w słuszność sprawy, innych szantażowano ujawnieniem ich przeszłości.

– I dzięki temu trzymaliście rękę na pulsie?

Skinięcie głową.

– W ciągu ostatnich dwudziestu lat odnotowaliśmy znaczący postęp. Rodzące się superdzieci żyły znacznie dłużej i były przez nas hołubione jak książęta. Nazywaliśmy je *Sonnenkönige*, Królowie Słońca, by nawiązać do ich urodzenia się w ramach programu Czarne Słońce.

– Jakież to okropnie wagnerowskie. – Painter parsknął pogardliwie.

– Być może. Mój dziadek kochał tradycję. Ale pozwólcie sobie powiedzieć, że wszyscy uczestnicy programu

eksperymentalnego tu, w Granitowym Zamku, byli ochotnikami.

– Tylko czy to szlachetne podejście wynikało z przesłanek moralnych? Czy też może z tego, że w Himalajach nie było pod ręką wystarczającej liczby Żydów?

Anna skrzywiła się, ale nie uznała za stosowne odpowiedzieć.

– Wprawdzie postęp był wyraźny – ciągnęła – ale program *Sonnenkönige* wciąż nękały problemy. U dzieci w wieku około dwóch lat nadal pojawiały się niekorzystne objawy, choć w znacznie mniejszym nasileniu. Gwałtowną degenerację organizmu zastąpiła degeneracja chroniczna, a wydłużonemu życiu zaczęły towarzyszyć nowe dolegliwości: niedorozwój umysłowy, ostra paranoja, schizofrenia, psychoza.

– To bardzo przypomina to, co przydarzyło się mnichom w klasztorze – zauważyła Lisa.

– Bo wszystko zależy od stopnia napromieniowania i wieku obiektu – wyjaśniła Anna. – Płód poddawany kontrolowanemu działaniu promieniowania kwantowego Dzwonu po urodzeniu wykazywał wyraźne udoskonalenie cech, po czym już do końca życia cierpiał na chroniczną degenerację organizmu. Natomiast u ludzi dorosłych, takich jak Painter i ja, na których zadziałały umiarkowane dawki niekontrolowanego promieniowania, mamy do czynienia z ostrzejszą postacią tej samej degeneracji i organizm znacznie szybciej się poddaje. Pod wpływem silnej dawki promieniowania u mnichów nastąpiło natychmiastowe przejście do stadium degeneracji umysłowej.

– A co z *Sonnenkönige*? – zapytał Painter.

– Tak jak dla nas, nie ma dla nich lekarstwa. A właściwie nawet gorzej, bo o ile Dzwon daje cię nadziei takim jak my, to *Sonnenkönige* są na jego działanie uodpornieni. Wydaje się, że napromieniowanie w okresie płodowym powoduje uodpornienie na dalsze oddziaływanie Dzwonu, i to zarówno w pozytywnym, jak i negatywnym sensie.

– A więc gdy *Sonnenkönige* ostatecznie się poddawali i popadali w szaleństwo...? – Painter wyobraził sobie szalejące

w zamku hordy nadludzi.

– Zagrażało to naszemu bezpieczeństwu. Z tego względu ostatecznie zaprzestano eksperymentów na ludziach.

Painter nie potrafił ukryć zaskoczenia.

– Zaprzestaliście badań?

– Niezupełnie. Eksperymenty na ludziach i tak stanowiły mało efektywny sposób prowadzenia badań. Zbyt długo trzeba było czekać na efekty. Zajęliśmy się nowym materiałem badawczym: zmodyfikowanymi odmianami myszy, tkanką płodową wyhodowaną *in vitro*, komórkami macierzystymi. Dzięki rozkodowaniu ludzkiego genomu badanie DNA pozwoliło na znacznie szybszą ocenę wyników. Tempo naszych badań bardzo wzrosło. Myślę, że gdybyśmy dziś uruchomili program *Sonnenkönige*, wyniki byłyby znacznie lepsze.

– Więc dlaczego tego nie zrobiliście?

Anna wzruszyła ramionami.

– Wciąż obserwujemy objawy demencji u naszych myszy. I to nas martwi. Ale przede wszystkim zrezygnowaliśmy z eksperymentów na ludziach dlatego, że w ciągu ostatnich dziesięciu lat nasze zainteresowania nabrały charakteru bardziej naukowego. Nie uważamy się już za twórców nowej rasy panów. Nie jesteśmy nazistami. Sądzymy, że z wyników naszych prac może korzystać cała ludzkość. Trzeba je tylko udoskonalić.

– To dlaczego nie chcecie się ujawnić? – zdziwiła się Lisa.

– I mieć ręce związane przepisami prawa międzynarodowego i głupotą ignorantów? Badania naukowe nie rządzą się zasadami demokracji. Tego rodzaju arbitralne ograniczenia pod hasłami moralności spowolniłyby postęp naszych prac. To byłoby dla nas nie do przyjęcia.

Painter z trudem powstrzymał się, by nie wybuchnąć. Więc jednak pewne elementy filozofii nazistowskiej nadal obowiązują.

– Co się stało z *Sonnenkönige*? – spytała Lisa.

– Spotkał ich tragiczny los. Wielu zmarło w wyniku degeneracji organizmu, innych musieliśmy poddać eutanazji

z uwagi na postępującą chorobę umysłową. Ale garstka przeżyła, jak choćby Klaus, którego już poznaliście.

Painter pamiętał rosłego strażnika widzianego przed paroma godzinami, a także jego niesprawną rękę i częściowo zmartwiałą twarz. Zapewne efekty degeneracji organizmu. Przeniósł wzrok na siedzącego obok Gunthera, który uniósł pozbawione wyrazu oblicze i odwzajemnił spojrzenie. Jedno oko niebieskie, drugie białe i martwe. Kolejny przykład *Sonnenkönige*.

– Gunther jest ostatnim z urodzonych tutaj.

Dała znak Guntherowi, dotykając swego ramienia.

Bruzdy na jego twarzy jeszcze się pogłębiły, ale bez słowa podwinął luźny rękaw i obnażył rękę aż do ramienia. Na jej górnej części widniał czarny tatuaż.



– To znak *Sonnenkönige* – wyjaśniła Anna. – Symbol ich dumy, poczucia obowiązku i umiejętności.

Gunther opuścił rękaw.

Painter pamiętał wczorajszą jazdę skuterem śnieżnym i pogardliwą uwagę rzuconą pod adresem Gunthera przez jednego ze strażników. Jak on to powiedział? *Leprakönig*. Król trędowatych. Widać dawni Królowie Słońca nie cieszyli się zbytnią estymą. Gunther jako ostatni z nich z wolna zapadał się w nicość. Kto miałby go oplakiwać?

Nim Anna znów na nich spojrzała, przez chwilę wpatrywała się w Gunthera.

A może jednak jest ktoś taki.

– Chciałabym, żeby mi pani jeszcze coś wyjaśniła – odezwała się Lisa. Wciąż trzymała dłoń na ręce Paintera. – Zasadę działania Dzwonu. Co wywołuje te wszystkie zmiany?

Powiedziała pani, że zmiany były zbyt wyraźne i powtarzalne, by mogły stanowić przypadkowe mutacje.

– To prawda – potwierdziła Anna. – Nasze prace nie ograniczyły się do badania efektów oddziaływania Dzwonu. Włożyliśmy dużo wysiłku w zbadanie zasady jego działania.

– I udało się osiągnąć jakiś postęp? – zainteresował się Painter.

– Oczywiście. Jesteśmy niemal pewni, że znamy zasadę jego funkcjonowania.

– Naprawdę? – Painter nie krył zdziwienia.

Anna ściągnęła brwi.

– Myślałam, że to sprawa oczywista – powiedziała, przenosząc wzrok z Paintera na Lisę. – Dzwon wpływa na przebieg ewolucji.

## **Rezerwat zwierząt Hluhluwe Umfolozi**

### **Godzina 7.35 czasu miejscowego**

– Kto tam? – powtórzył Khamisi, stojąc na progu swego domu. Coś poruszyło się w sypialni.

Może to tylko jakieś zwierzę?

Małpy wciąż włamują się do domów, czasem robią to też duże drapieżniki.

Mimo to nie chciał wchodzić do środka. Wytężył wzrok, ale wszystkie zasłony w oknach były zaciągnięte i w porównaniu z oślepiającym blaskiem słonecznego poranka było tu ciemno jak w środku dżungli.

Wsunął rękę przez drzwi i zaczął po omacku szukać wyłącznika światła. Znalazł go i nacisnął. Zapaliła się pojedyncza żarówka pod sufitem i oświetliła skromnie umeblowany pokój z wnęką kuchenną, jednak Khamisi nadal nie widział, co dzieje się w sypialni.

A właśnie stamtąd dochodziły wyraźne szmery.

– Kto...?

Bolesne ukłucie w szyję spowodowało, że słowa uwięzły mu w gardle. Zaskoczony, rzucił się do przodu i wpadł do pokoju. Sięgnął do miejsca ukąszenia. Dotknął palcami czegoś pierzastego.

Pociągnął i przeniósł rękę przed oczy.

Lotka.

Korzystał z takich do usypiania dużych zwierząt.

Tylko że ta była jakaś inna.

Wysunęła mu się z dłoni.

Ta krótka chwila zastanowienia wystarczyła, by toksyna dotarła do mózgu. Cały świat gwałtownie przechylił się na bok. Khamisi próbował zachować równowagę, bezskutecznie.

Deski podłogi gwałtownie ruszyły na spotkanie z jego twarzą.

Udało mu się wyciągnąć rękę, ale i tak mocno uderzył głową o podłogę. Opadła go ciemność rozświetlana nagłymi rozbłyskami światła. Głowa bezwładnie przechyliła się na bok. Tuż przed sobą zobaczył zwinięty na podłodze sznur. Wyteżył wzrok. Nie, to nie był sznur.

To wąż. Trzymetrowy.

Bez trudu go zidentyfikował.

Czarna mamba.

Martwa, przecięta na pół. Obok niej maczeta. Jego maczeta.

Dotarła do niego bezlitosna prawda i poczuł, że drętwieją mu kończyny.

Lotka była zatruta.

I różniła się od lotek, jakich używał w pracy. Ta miała dwa szpikulce. Zupełnie jak dwa zęby jadowe węża.

Prześlizgnął się wzrokiem po martwym gadzie.

Wszystko zostało ukartowane.

Śmierć od ukąszenia węża.

Z sypialni dobiegło skrzypnięcie podłogi. Wystarczyło mu jeszcze siły, by odwrócić głowę i spojrzeć. W drzwiach sypialni stała ciemna postać. Żarówka oświetlała jej pozbawioną wyrazu twarz i wbite w niego oczy.

Nie!

Przecież to bez sensu.  
Dlaczego?  
Ale nie dane mu było poznać odpowiedzi.  
Zapadł się w ciemność i odpłynął.

## 8

# MIESZANKA KRWI

**Paderborn, Niemcy**

**Godzina 6.54 czasu miejscowego**

– Ty zostajesz – oznajmił zdecydowanym tonem Gray, stojąc pośrodku kabiny challenger, podparty pod boki zwiniętymi w pięści dłońmi.

– Gówny prawda – prychnęła Fiona. Stała krok dalej w równie wojowniczej pozie.

Monk opierał się plecami o otwarte drzwi samolotu, starając się zachować powagę.

– Przecież nie dałam ci jeszcze tego adresu – ciągnęła Fiona.  
– Albo będziesz przez miesiąc łąził od drzwi do drzwi i szukał, albo cię zaprowadzę. Twój wybór, kolego.

Gray poczuł, że czerwienieje ze złości. Dlaczego nie wydobył z niej tego adresu, kiedy była jeszcze słaba i bezbronna? Pokręcił głową. „Słaba i bezbronna” jakoś nie bardzo do niej pasowało.

– No, to jak będzie?

– Zdaje się, że przyjdzie nam kogoś niańczyć – mruknął Monk.

Gray nie dawał za wygraną. Może powinien ją trochę postraszyć, przypomnieć, jak niebezpiecznie było w Tivoli?

– Jak tam twoja rana?

Fiona rozdęła nozdrza.

– A jak ma być? Bok jak nowy. Ten opatrunek w płynie od razu mnie zakleił.



– Może się z tym nawet kąpać – dodał Monk. – Jest wodoodporny.

Gray rzucił koledze wściekłe spojrzenie.

– Nie o to chodzi – warknął.

– No to o co? – spytała Fiona.

Obrzucił ją wściekłym spojrzeniem. Po prostu nie chciał być za nią odpowiedzialny. I z całą pewnością nie miał czasu, żeby się nią opiekować.

– Boi się, że znów coś ci się stanie – wyjaśnił Monk i wzruszył ramionami.

– Fiono, po prostu daj nam ten adres i już. – Gray westchnął.

– Kiedy wsiądziemy do samochodu. Wtedy wam powiem. Nie mam zamiaru siedzieć tu uziemiona.

– Chyba pogoda się psuje – zauważył Monk. – Wygląda mi na to, że zmokniemy.

Niebo rozświetlały promienie porannego słońca, ale od północy nadciągały ciemne chmury. Zbierało się na burzę.

– No dobra. – Gray kiwnął głową i spojrzał na Monka. Przynajmniej będą mieli dziewczynę na oku.

Wszyscy troje zeszli po schodkach na płytę lotniska. Przeszli już wcześniej odprawę paszportowo-celną i mogli ruszyć wprost na parking, gdzie czekało na nich wypożyczone bmw. Monk miał przewieszony przez ramię czarny plecak, Gray trzymał w ręce taki sam. Obejrząwszy się na Fionę, stwierdził, że ma na ramieniu identyczny. A ona skąd...

– Był jeden zapasowy – wyjaśnił Monk. – Ale się nie denerwuj. Nie ma w nim broni ani granatów. O ile mi wiadomo.

Gray pokręcił głową i ruszył w stronę parkingu. Poza plecakami upodabniało ich jeszcze identyczne ubranie: czarne dżinsy, adidas, swetry. Turystyczne *haute couture*. I tylko Fiona urozmaiciła swój strój paroma znaczkami. Na jeden z nich Gray zwrócił nawet uwagę: CUKIERKI OD OBCYCH SMAKUJĄ NAJLEPIEJ.

Weszli do budynku parkingu i Gray raz jeszcze sprawdził broń. Dotknął dziewięciomilimetrowego glocka w kaburze ukrytej pod swetrem i pomacał rękojeść noża ze stali węglowej,

który tkwił w pochwie przytroczonej do lewego nadgarstka. W plecaku miał jeszcze parę granatów, kilka kostek materiału wybuchowego C4 i zapasowe magazynki.

Tym razem nie da się zaskoczyć.

Dotarli w końcu do samochodu, ciemnogramatowego bmw 525i.

Fiona skierowała się ku drzwiom od strony kierowcy.

– Bardzo śmieszne – mruknął Gray, bezceremonialnie ją odsuwając.

Monk obszedł samochód i krzyknął:

– Kryj się!

Fiona przypadła do ziemi i zaczęła się nerwowo rozglądać.

Gray podniósł ją i podprowadził do tylnych drzwi.

– Chciał sobie tylko zaklepać miejsce z przodu – wyjaśnił.

Dziewczyna popatrzyła na Monka i wykrzywiła twarz.

– Palant.

– Przepraszam cię, dziecko. Ale nie możesz być taka nerwowa.

Wsiedli do samochodu, Gray uruchomił silnik i spojrzał do tyłu.

– No więc dokąd jedziemy?

Monk zdążył już rozłożyć na kolanach mapę miasteczka i okolic.

Fiona pochyliła się do przodu i wyciągnęła rękę nad jego ramieniem.

– Musimy wyjechać z miasta. Dwadzieścia kilometrów na południowy zachód. Wioska Büren w dolinie Alme.

– Ale konkretnie dokąd?

– Bardzo śmieszne – parsknęła, odchylając się do tyłu.

Monk spojrzał w lusterko wsteczne i napotkał jej wzrok. Patrzyła na niego z ironicznym uśmiechem. Było jasne, co myśli o jego kolejnej żalostnej próbie wyciągnięcia od niej adresu.

Próbować zawsze można.

Machnęła ręką, że ma ruszać.

Nie pozostało mu nic innego, jak jej posłuchać.

W śnieżnobiałym sportowym mercedesie na drugim końcu parkingu siedziały dwie osoby. Mężczyzna opuścił lornetkę i zsuwając z czoła włoskie okulary przeciwsłoneczne, skinął głową do siedzącej obok siostry bliźniaczki, która powiedziała szeptem parę słów po niderlandzku do słuchawki telefonu satelitarnego.

Drugą dłoń położyła na jego dłoni, on delikatnie pomasaował kciukiem jej tatuaż. W odpowiedzi lekko ścisnęła jego palce.

Spojrzał na jej rękę i zaskoczony zauważył, że paznokieć na jednym z palców jest ogryziony niemal do krwi. Na jej wymuskanych dłoniach raziło to jak złamany nos.

Zauważyła jego spojrzenie i zawstydzona schowała palec.

Ale nie miała się czego wstydzić. Rozumiał zdenerwowanie i żal, które ją do tego pchnęły. Wczoraj stracili Hansa, jednego z ich starszych braci.

Zabił go kierowca samochodu, który właśnie odjechał.

Wściekłym wzrokiem odprowadził wyjeżdżające z parkingu bmw. Nie musiał się spieszyć. Ukryta w nim pluskwa GPS pozwoli im śledzić każdy jego ruch.

– Jasne – rzuciła do mikrofonu kobieta. – Jak było do przewidzenia, ruszyli tropem książki. Na pewno jadą do pałacu Hirszfeldów w Büren. Ich samolot też mamy na oku. Wszystko gotowe.

Zamilkła i popatrzyła na brata.

– Tak, na pewno. – Te słowa zdawały się adresowane zarówno do rozmówcy, jak i do brata. – Nie zawalimy. Odzyskamy Biblię Darwina.

Brat skinął głową na znak, że myśli tak samo. Wysunął dłoń z jej ręki i przekręcił kluczyk w stacyjce.

– Do widzenia, dziadku.

Odłożyła telefon, wyciągnęła rękę do mężczyzny i zgarnęła z jego czoła kosmyk jasnoblond włosów. Przeczesła je palcami i przyglądała.

Idealnie.

Jak zawsze idealnie.

Ucałował koniuszki jej palców.

Miłość i obietnica.  
Ale najpierw zemsta.  
Czas żałoby przyjdzie później.  
Wyjechał śnieżnobiałym mercedesem z miejsca parkingowego.  
Polowanie się rozpoczęło.

## **Himalaje**

### **Godzina 11.08 czasu miejscowego**

Końcówka lutownicy rozżarzyła się purpurowo. Painter starał się zapanować nad drżeniem rąk. W prawym oczodole nadal czuł rwący ból. Połknął już garść tylenolu, a także dwie tabletki fenobarbitalu i środek przeciw konwulsjom. Wiedział, że żadne z tych lekarstw nie zapobiegnie ostatecznemu załamaniu organizmu i osunięciu się w szaleństwo, ale według Anny miały spowolnić proces degeneracji i pozwolić zyskać na czasie.

Ile mu jeszcze tego czasu zostało?

Trzy dni, może nawet mniej, i utraci zdolność kierowania swymi poczynaniami.

Starał się nie popadać w przygnębienie. Poddanie się rozpaczcy załame jego organizm równie szybko i skutecznie jak choroba. Jedną z mądrości indiańskiego szczepu Pequot, jakie często powtarzał jego dziadek, brzmiała: „Załamywanie rąk nie pozwala zakasać rękawów”.

Biorąc sobie do serca tę maksymę, Painter całą uwagę poświęcał lutowaniu kabla do przewodu uziemiającego. Przewód ten ciągnął się przez cały zamek i zapewniał uziemienie wszystkich anten – w tym talerza łączności satelitarnej gdzieś pod szczytem góry.

Po przylutowaniu odczekał chwilę, aż spoina ostygnie. Siedział przy warsztacie z narzędziami i podzespołami. Wszystko leżało starannie poukładane, jak narzędzia

chirurgiczne przygotowane do operacji. Z boku stały dwa włączone laptopy.

Oba przyniósł Gunther, brutalny zabójca mnichów i morderca Anga Gelu. Przebywając w jego pobliżu, Painter czuł przypływy zimnej furii.

Tak jak teraz.

Wielkolud stał tuż obok i nie spuszczał z niego oka. Byli sami w warsztacie i Painterowi przemknęło nawet przez głowę, że mógłby go dziabnąć w oko rozżarzoną lutownicą. Tylko co dalej? Znajdowali się dziesiątki kilometrów od najbliższych osad ludzkich, a nad jego głową wisiał wyrok śmierci. Współpraca była jedynym sposobem na przeżycie. Dlatego Lisa siedziała teraz z Anną w jej gabinecie, zastanawiając się nad znalezieniem jakiegoś antidotum.

Zadaniem Paintera i Gunthera było co innego.

Mieli wytropić sabotażystę.

Według relacji Gunthera eksplozja, która zniszczyła Dzwon, wywołana została przez celowo podłożoną i odpaloną bombę. A ponieważ od chwili wybuchu nikt nie opuścił zamku, było niemal pewne, że sabotażysta jest wśród nich.

Jeśli go wytropią, może uda się też dowiedzieć czegoś więcej.

I dlatego wśród personelu rozpuszczono plotkę, która miała posłużyć za przynętę.

Teraz należało tylko zastawić pułapkę, do której ta przynęta doprowadzi zdrajcę.

Jeden z laptopów był zalogowany do zamkowej sieci i korzystając z haseł dostarczonych przez Gunthera, Painter już w niej pobuszował. Wpuścił do niej kilka skompresowanych pakietów kodowych, które miały za zadanie monitorowanie całego systemu pod kątem komunikatów wychodzących. Gdyby sabotażysta spróbował porozumieć się ze światem zewnętrznym, system by to wykrył i określił jego sieciowy adres.

Jednak Painter nie oczekiwał, że sabotażysta okaże się aż tak nieostrożny. Od dawna z powodzeniem działał – czy działała –

w głębokiej konspiracji, a to świadczyło o jego sprycie i dostępie do środków łączności niezależnych od systemu zamkowego.

I dlatego Painter zrobił coś jeszcze.

Sabotażysta musiał dysponować oddzielnym przenośnym telefonem satelitarnym, który pozwalał mu porozumiewać się z mocodawcami. Ale telefon taki musi mieć niczym niezakłóconą widoczność w linii prostej między anteną nadawczą a krążącym po orbicie satelitą. Niestety, w zamku było wiele zakamarków, okien i włączów serwisowych, które spełniały ten warunek. Zbyt wiele, by można je wszystkie obstarwić, nie wzbudzając przy tym podejrzeń.

Dlatego potrzebne było inne rozwiązanie.

Painter sprawdził działanie wzmacniacza sygnału, którego wejście podłączył do przewodu uziemiającego. Sam kiedyś to urządzenie wymyślił i uruchomił w Sigmie. Przed objęciem stanowiska dyrektora zajmował się aparaturą nasłuchową i mikroinżynierią, i był w tej dziedzinie ekspertem.

Wyjście ze wzmacniacza zostało podłączone do drugiego laptopa.

– Powinno działać – mruknął Painter, czując, że ból głowy wreszcie ustępuje.

– To włącz.

Painter włączył zasilanie bateryjne, wyregulował amplitudę sygnału i ustawił częstotliwość. Do laptopa należała reszta, czyli wychwycenie wszelkich pojawiających się sygnałów. Zestaw był dość prymitywny i nie umożliwiał prowadzenia podsłuchu. Potrafił jednak wykryć każdy nielegalny sygnał i określić miejsce jego nadawania z dokładnością do trzydziestu metrów. A to powinno wystarczyć.

Painter podregulował czułość wzmacniacza.

– Wszystko gotowe. Teraz pozostaje tylko czekać, aż ten lajdak się odezwie. – Gunther skinął głową. – Pod warunkiem, oczywiście, że połknie przynętę – dodał.

Pół godziny wcześniej rozpuszczono plotkę, że w tajnym sejfie wyłożonym ołowiem znaleziono pojemnik z Xerum 525, który przetrwał eksplozję. Wiadomość rozbudziła nadzieję

w całym personelu. Uznano, że jeśli istnieje zapas paliwa, być może uda się też zbudować nowy Dzwon (Anna kazała nawet ekipie naukowców zacząć składać nowy Dzwon z części zamiennych), a jeśli nawet nowe urządzenie ich nie wyleczy, wszystkim mieszkańcom pozwoli zyskać nieco na czasie.

Ale nie o rozbudzenie nadziei im chodziło.

Wiadomość o budowie nowego Dzwonu musiałaby dotrzeć również do sabotażysty, a on musiałby w nią uwierzyć i dojść do wniosku, że jego plan spalił na panewce. Wówczas powinien zwrócić się do swoich mocodawców o instrukcje, czyli nawiązać z nimi łączność.

A gdy tylko to zrobi, Painter będzie na niego czekał.

Dla zabicia czasu wdał się w rozmowę z Guntherem.

– No to jak to jest być supermanem? – zapytał. – Królem Słońca?

Gunther wzruszył ramionami. Jego zasób środków porozumiewania się zdawał się sprowadzać do stęknień, prychnień i nielicznych monosylab.

– Czujesz się kimś lepszym? Silniejszym od innych, szybszym, zwinniejszym? Kimś, kto może przeskakiwać budynki?

Gunther wpatrywał się w niego w milczeniu.

Painter westchnął i postanowił spróbować od innej strony.

– Co to znaczy *Leprakönig*? Wiem, że ludzie tak na ciebie mówią.

Wiedział oczywiście, co znaczy to słowo, miał jednak nadzieję, że w ten sposób skłoni ponuraka do mówienia. Gunther odwrócił głowę, jednak Painter zdążył zauważyć, że w jego oczach rozjarzył się groźny blask. Mimo to w dalszym ciągu milczał i Painter zaczynał już wątpić w powodzenie swego fortelu.

– Król trędowatych – odezwał się nagle Gunther.

Teraz zamilkł Painter. Chciał, by te słowa zaczęły mu ciążyć w ciasnym warsztacie. Gunther dał się podejść.

– Jak mam być doskonałym, skoro nie chcę się godzić na niedoskonałość? A my albo wpadamy w szaleństwo, albo

umieramy w takich mękach, że nikt nie chce na to patrzeć. Więc lepiej nas ukryć tak, żeby nikt nie musiał nas oglądać.

– W odosobnieniu. Jak w kolonii trędowatych.

Painter próbował sobie wyobrazić, co musi czuć człowiek, który jako ostatni z grona *Sonnenkönige* żyje ze świadomością, że jego los jest od początku przesądzony. Niegdyś hołubiony członek kasty książęcej, teraz pogardzany i odpychany jak trędowaty.

– Ale mimo wszystko tu jesteś i pomagasz. Pełnisz służbę.

– Po to się urodziłem. Znam swoje obowiązki.

Painter był ciekaw, czy tego rodzaju podejście zostało im wpojone drogą ćwiczeń, czy zostali tak genetycznie zaprogramowani. Przyjrzał mu się badawczo. Czuł, że jest w tym wszystkim coś jeszcze. Tylko co?

– Dlaczego w ogóle cię obchodzi, co się z nimi wszystkimi stanie? – zapytał.

– Wierzę w to, co robią. Wierzę, że moje cierpienia pomogą kiedyś innym, których spotka taki sam los.

– Ale to ich szukanie lekarstwa? Czy chodzi o przedłużenie ci życia, wyleczenie cię?

Oczy Gunthera rozbłysły.

– *Ich bin nicht krank* – warknął.

– Co to znaczy, że nie jesteś chory?

– *Sonnenkönige* urodzili się pod Dzwonem – powiedział Gunther z naciskiem.

I nagle Painter zrozumiał. Przypomniał sobie, co mówiła Anna o zamkowych nadludziach i ich uodpornieniu na wszelkie wpływy Dzwonu, pozytywne i negatywne.

– Jesteś uodporniony – powiedział głośno.

Gunther odwrócił głowę.

Painter pozwolił, by treść tych słów w pełni do niego dotarła. A więc Guntherowi nie chodziło o własną skórę.

Ale skoro nie, to o co?

Pamiętał wzrok Anny, jakim patrzyła na niego przy stole. Pełen ciepła i troski. A on przed tym jej spojrzeniem nie uciekał.



Widać coś brało górę nad niechęcią i pogardą kompanów i skłaniało go do trwania na posterunku.

- Kochasz Annę – domyślił się.
- Pewnie, że tak. Jest moją siostrą.

Zamknięta w gabinecie Anny Lisa wpatrywała się w wiszący na ścianie podświetlony ekran. Urządzenia takie zwykle służą do oglądania zdjęć rentgenowskich, jednak tym razem na ekran nałożone były dwie klisze z seriami czarnych prążków. Stanowiły archiwalny zapis efektów działania Dzwonu i ukazywały mapy chromosomów „przed” i „po” w płodowym DNA pobranym z płynu owodniowego. Na kliszy „po” obwiedziono kółkami zmiany, jakie działanie Dzwonu wywołało w niektórych chromosomach. Obok widoczne były ręcznie naniesione uwagi w języku niemieckim.

Anna przetłumaczyła je i udała się na piętro po dodatkową literaturę.

Lisa wodziła palcem po kliszy, szukając prawidłowości w występowaniu zmian. Przejrzała już kilka par takich klisz i jak dotąd nie znalazła powtarzalnego wzorca zmian ani logicznego powodu ich występowania.

Zniechęcona wróciła do stołu, przy którym jedli śniadanie, a który teraz zarzucony był książkami i dokumentacją odzwierciedlającą dziesiątki lat eksperymentów na ludziach.

Na palenisku trzaskał ogień i Lisa musiała zwalczyć pokusę, by wrzucić to wszystko w płomień. Ale gdyby nawet Anna jej nie pilnowała, pewnie i tak by się na to zdobyła. Przyjechała do Nepalu badać zachowanie organizmu ludzkiego na dużych wysokościach i choć z wykształcenia była lekarką, w głębi serca czuła się naukowcem.

Tak jak Anna.

Chociaż nie... niezupełnie tak jak ona.

Odsunęła na bok opracowanie zatytułowane *Teratogeneza w embrionalnej blastodermie*. Omawiano w nim straszliwe

zwyrodnienia płodów, jakie powstały w wyniku oddziaływania Dzwonu. To, co serie czarnych prążków na kliszach przedstawiały z kliniczną obojętnością, fotografie dołączone do opracowania ukazywały z przerażającą dosłownością: embriony bez kończyn, płody cyklopoidalne, martwe noworodki z wodogłowiem.

Nie, zdecydowanie nie jest taka jak Anna.

Znów poczuła narastającą agresję.

Anna zeszła po metalowej drabince z górnego piętra biblioteki, trzymając pod pachą kolejną porcję książek. Rzeczywiście Niemcy niczego przed Lisą nie ukrywali, tyle że nie było właściwie powodu, by mieli cokolwiek ukrywać. Znalezienie lekarstwa na chorobę kwantową leżało również w ich własnym interesie. I choć Anna wiedziała, że w ciągu minionych kilkudziesięciu lat wszystkie możliwości zostały dokładnie przebadane, i uważała ich wysiłki za stratę czasu, bez trudu dała się w to wciągnąć.

Lisa zauważyła też, że dłonie Niemki lekko drżą i że od czasu do czasu je zaciera, by to ukryć. Reszta personelu nie kryła się ze swymi przypadłościami i w powietrzu czuło się narastające napięcie. Lisa była nawet świadkiem paru gwałtownych kłótni i jednej bójkii na pięści, słyszała także o dwóch samobójstwach popełnionych w ostatnim czasie. Świadomość, że Dzwonu już nie ma i że nikłe są szanse na znalezienie odtrutki, powodowała, iż wszystko zaczynało się rozpadać. A co będzie, jeśli zanim jej i Painterowi uda się znaleźć jakieś wyjście, ludzie zaczną pogrążyć się w szaleństwie?

Odsunęła od siebie tę myśl. Nie miała zamiaru się poddawać. Niezależnie od powodów nawiązania współpracy, chciała wyciągnąć dla siebie maksimum korzyści.

Skinęła głową Annie.

– Okej, myślę, że z grubsza mam pojęcie o sprawie. Ale wcześniej wspomniała pani o czymś, co nie daje mi spokoju.

Anna położyła książki na stole i usiadła na krześle.

– Mianowicie? – zapytała.

– Powiedziała pani, że Dzwon mógł wpływać na przebieg ewolucji. – Wskazała ręką stertę książek i opracowań leżących na stole. – Ja w tych materiałach znajduję tylko dowód na wykorzystywanie mutagennego promieniowania do działań z zakresu eugeniki. Na próby uzyskania ulepszonych osobników rodzaju ludzkiego metodą genetycznej manipulacji. Czy mówienie o wpływie na ewolucję dowodzi tylko pani przesadnej manii wielkości?

Anna pokręciła głową. Nie wyglądało na to, by słowa Lisy ją dotknęły.

– A co pani rozumie pod słowem ewolucja, pani doktor?

– Pewnie to, co każdy. To, o czym mówi Darwin.

– To znaczy?

– Jest to stopniowy proces zmian biologicznych – rzekła Lisa, marszcząc brwi. – Taki, w wyniku którego organizmy jednokomórkowe rozwinęły się i zróżnicowały w złożone organizmy znane dzisiaj.

– I Bóg nie miał z tym nic wspólnego?

To pytanie zaskoczyło Lisę.

– Ma pani na myśli kreacjonizm?

– Albo świadomą realizację zamysłu. – Anna wzruszyła ramionami i wbiła w Lisę przenikliwe spojrzenie.

– Chyba pani żartuje. Za chwilę pewnie usłyszę, że cała ewolucja to tylko teoria – obruszyła się Lisa.

– Proszę nie kpić. Nie jestem laikiem, który pod pojęciem teorii rozumie tylko domysły. Żadne zjawisko naukowe nie osiąga statusu teorii, póki nie zostanie podbudowane ogromną liczbą faktów i sprawdzonych hipotez.

– To znaczy, że akceptuje pani darwinowską teorię ewolucji?

– Oczywiście. Bez cienia wątpliwości. Znajduje potwierdzenie we wszystkich dziedzinach nauki.

– To dlaczego powiedziała pani, że...

– Bo jedno nie musi wykluczać drugiego.

– Świadomy zamysł i ewolucja jednocześnie? – Lisa uniosła brwi.

– Właśnie. Lecz by uniknąć nieporozumień, cofnijmy się nieco. Na początek odrzucimy majaczenia zwolenników koncepcji płaskiej ziemi, a także mrzonki zwolenników dosłownego traktowania Biblii, którzy utrzymują, że nasza planeta liczy najwyżej dziesięć tysięcy lat. Przejdźmy od razu do podstawowych argumentów tych, którzy wierzą w świadomy zamysł.

Lisa pokręciła głową. Zawracanie głowy pseudonaukowymi teoriami o nazistowskich korzeniach. Co się tutaj dzieje?

Anna odchrząknęła.

– Jestem gotowa przyznać, że większość argumentów na poparcie teorii świadomego zamysłu po prostu zmyślono. Oparto je na błędnej interpretacji drugiej zasady termodynamiki lub na modelach statystycznych, które nie poddają się próbie weryfikacji i wynikają z błędnej interpretacji radiometrycznego określania wieku skał. Takich przykładów jest mnóstwo. Żaden z tych argumentów nie wytrzymuje krytyki, a razem tworzą one gęstą mgłę, w której ludzie czują się zagubieni.

Lisa pokiwała głową. Właśnie to było główną przyczyną jej sprzeciwu wobec lansowanych ostatnio pomysłów, by w szkołach średnich pseudonaukowe poglądy prezentować na lekcjach biologii na równych prawach z nauką o ewolucji. Prowadzi to do interdyscyplinarnego mętliku pojęciowego, w którym z trudem udaje się połapać biologowi z doktoratem, a cóż dopiero uczniowi szkoły średniej.

Jednak Anna nie przedstawiła jeszcze wszystkich swoich argumentów.

– Mając to wszystko na uwadze, należy jednak przyznać, że zwolennicy świadomego zamysłu wysuwają jeden argument wart rozważenia.

– Jaki mianowicie?

– Kwestię przypadkowości mutacji. Zwykły przypadek nie mógłby doprowadzić do powstania tak wielu korzystnych zmian. Ile zna pani przypadków, by wady okołoporodowe same się później korygowały?

Lisa zetknęła się już wcześniej z tym argumentem. „Życie rozwinęło się zbyt szybko, by mogło to być dziełem przypadku”. Ale do niej to nie trafiało.

– Ewolucja wcale nie jest dziełem przypadku – obruszyła się.  
– Dobór naturalny czy presja środowiska prowadzą do eliminowania niekorzystnych zmian, powodując, że swoje geny mogą przekazywać dalej tylko organizmy lepiej przystosowane.

– W myśl zasady, że przetrwają tylko najsilniejsi?

– Lub przynajmniej wystarczająco silni. Zmiany nie muszą zawsze dążyć do perfekcji. Wystarczy, jeśli zapewnią przewagę. Ale w skali czasowej liczonej w setkach milionów lat drobne przewagi czy zmiany doprowadziły do powstania różnorodności, jaką znamy dziś.

– Setki milionów lat? To rzeczywiście ogromny przedział czasowy. Ale czy na tyle duży, by pomieścić wszystkie zmiany ewolucyjne? No i co z nagłymi skokami ewolucyjnymi, kiedy to wielkie zmiany zachodzą bardzo szybko?

– Domyślam się, że mówi pani o eksplozji kambryjskiej, tak?  
– upewniła się Lisa.

Sprawa ta była jednym z naczelných argumentów zwolenników teorii świadomego zamysłu. Epoka kambru obejmowała relatywnie niedługi okres piętnastu milionów lat. A jednak właśnie wtedy nastąpiła prawdziwa eksplozja nowych form życia, takich jak gąbki, ślimaki, meduzy i trylobity, które pojawiły się pozornie znikąd. Dla przeciwników ewolucji zdecydowanie zbyt nagle.

– *Nein*. Analiza skamielin dowodzi niezbicie, że tak zwane nagłe pojawienie się bezkręgowców wcale nie było takie nagłe. Już w epoce prekambryjskiej występowało mnóstwo gąbek i innych wielokomórkowców. Nawet różnorodność kształtów powstałych w tym okresie da się wytłumaczyć pojawieniem się genów hox.

– Geny hox?

– Zestaw od czterech do sześciu genów, które pojawiły się w kodzie genetycznym tuż przed okresem kambru. Odgrywały rolę genów sterujących rozwojem embrionalnym i decydowały

o rozrastaniu się organizmów we wszelkich możliwych kierunkach: w lewo i w prawo, w górę i w dół, w przód i w tył. Identyczne geny hox występują u muszek owocówek, u żab i u ludzi. Można pobrać gen hox od muszki owocówki, wszczepić go żabie i okaże się, że będzie u niej funkcjonował bez żadnych zakłóceń. A ponieważ geny te w sposób zasadniczy sterują rozwojem embrionalnym, nawet najmniejsze zmiany w ich strukturze powodują powstawanie ciał o zasadniczo odmiennych kształtach.

Lisa nie była pewna, do czego prowadzi wywód Anny, ale rozległość jej wiedzy robiła na niej wrażenie. Dorównywała jej własnej. Pomyślała, że gdyby spotkały się na konferencji naukowej, pewnie z przyjemnością podjęłyby z nią debatę. Nawet teraz musiała sobie co chwilę uzmysławiać, z kim ma do czynienia.

– Tak więc pojawieniem się genu hox tuż przed okresem kambry można tłumaczyć dramatyczną eksplozję nowych form życia – ciągnęła Anna. – Ale ich występowanie nie tłumaczy innych przypadków gwałtownego i niemal celowego przyspieszania ewolucji.

– Na przykład jakich? – Z każdą chwilą dyskusja stawała się coraz bardziej pasjonująca.

– Na przykład przypadku ćmy o nazwie krępak<sup>5</sup>. Zna pani jej historię?

Lisa przytaknęła. Anna odwoływała się do jednego z koronnych argumentów obozu przeciwnego. Krępaki na gałęziach brzoź i ich ciała nakrapiane były na biało, co upodobało je do kory i pomagało uniknąć zjedzenia przez ptaki. Jednak gdy w pobliżu Manchesteru uruchomiono nową kopalnię i na białej korze drzew osiadła sadza, białe kropki okazały się doskonale widoczne na ciemnym tle i ćmy stały się łatwym łupem dla ptaków. To wystarczyło, by w ciągu kilku pokoleń owady zmieniły swą wyróżniającą je cechę i przybrały ciemną barwę, która znów pozwoliła im wtopić się w tło poczerniałych drzew.

– Gdyby mutacje były tylko dziełem przypadku – mówiła Anna – to pojawienie się w tym miejscu czarnych ciem byłoby niebywale szczęśliwym zbiegiem okoliczności. I jeśli rządzi tym przypadek, to dlaczego nie ma ciem czerwonych, zielonych czy purpurowych? Albo wręcz dwugłowych?

Lisa z trudem powstrzymała się, by nie przewrócić oczami na znak oburzenia.

– Mogłabym na to odpowiedzieć, że te różnokolorowe ćmy też zostały zjedzone. I że dwugłowe same wyginęły. Ale mówiąc poważnie, myślę, że pani błędnie interpretuje ten przykład. Zmiana ubarwienia ciem nie nastąpiła w wyniku mutacji. Ten gatunek ciem już wcześniej miał w sobie gen czerni i w każdym pokoleniu rodziła się pewna liczba czarnych osobników. Tyle że większość z nich była zjadana przez ptaki i gatunek reprezentowały ćmy białe. Potem, gdy brzozy poczerniały, sytuacja się odwróciła. Czarne ćmy uzyskały przewagę i to one zaczęły reprezentować gatunek, podczas gdy białe padły łupem ptaków. Taki wniosek wynika z tej historii. Środowisko może wpływać na populację, ale to nie była kwestia mutacji. Gen czerni był już w nich obecny.

Anna słuchała z uśmiechem i Lisa nagle zdała sobie sprawę, że została poddana testowi. Wyprostowała się. Była zła, ale jeszcze bardziej zaintrygowana.

– Doskonale – powiedziała Anna. – Zatem pozwoli pani, że zacytuję znacznie świeższy przykład. Coś, co wydarzyło się w ściśle kontrolowanych warunkach laboratoryjnych. Pewien uczoney wyhodował szczep bakterii coli nietrawiących laktozy, po czym całą świetnie prosperującą populację naniósł na płytkę laboratoryjną, na której jedynym źródłem pożywienia była laktoza. Jakie według kanonów nauki powinny być dalsze losy tego eksperymentu?

– Nie mogąc trawić laktozy, bakterie zagłodziły się na śmierć i wyginęły – odrzekła Lisa, wzruszając ramionami.

– I dokładnie to się stało w odniesieniu do dziewięćdziesięciu ośmiu procent bakterii. Ale dwa procent populacji nadal doskonale prosperowało. W sposób

spontaniczny rozwinęły w sobie gen umożliwiający trawienie laktozy. Stało się to w obrębie jednego pokolenia i to jest coś zdumiewającego, *ja?* Bo to całkowicie przeczy występowaniu przypadkowości. Biorąc pod uwagę różnorodność genów w DNA bakterii coli i rzadkość występowania mutacji, należy zapytać, dlaczego dwa procent populacji przeszło mutację tylko tego jednego genu, który był im potrzebny do przeżycia? Przecież to wyklucza przypadkowość.

Lisa musiała przyznać, że to istotnie dziwna historia.

– Może doszło do zanieczyszczenia próbki w laboratorium?

– Doświadczenie powtórzono. Z podobnym rezultatem.

Jednak Lisy to nie przekonało.

– Widzę w pani oczach powątpiewanie. Zatem poszukajmy jeszcze innego dowodu na to, że przypadkowość w mutacji genów jest niemożliwa.

– To znaczy?

– Wróćmy do początków życia. Do pierwotnej zupy, z której wyłonił się mechanizm ewolucji.

Lisa pamiętała, że Anna już wcześniej wspominała o związku Dzwonu z początkami życia. Czy do tego teraz zmierza? Lisa była ciekawa, do czego to wszystko prowadzi.

– Cofnijmy zegar – powiedziała Anna – do czasów sprzed powstania pierwszej komórki. Pamięta pani twierdzenie Darwina, że wszystko, co istnieje, musiało powstać z prostszej, mniej złożonej formy? Skoro tak, to z czego powstała pierwsza komórka? Do jakiego punktu możemy cofać życie i wciąż jeszcze nazywać je życiem. Czy łańcuch DNA żyje? A pojedynczy chromosom? A co z białkiem lub enzymem? W którym miejscu przebiega granica między chemią a życiem?

– To istotnie ciekawe pytanie – zgodziła się Lisa.

– Więc zadam następne. W jaki sposób życie dokonało skoku od pierwotnej chemicznej zupy do powstania pierwszej komórki?

Odpowiedź na to Lisa знаła.

– Wczesna atmosfera okołozemska była pełna wodoru, metanu i pary wodnej. Wystarczyło podziałać na nią porcją



energii – na przykład w postaci pioruna – by gazy zaczęły się łączyć w proste związki organiczne. Potem nastąpiło mieszanie w pierwotnej zupie, w wyniku czego powstała molekula mogąca się powielać.

– A proces ten udało się odtworzyć w warunkach laboratoryjnych – przytaknęła Anna. – W butelce wypełnionej mieszaniną pierwotnych gazów uzyskano szlam aminokwasowy, aminokwasy zaś wchodzą w skład białek.

– I od tego zaczęło się życie.

– Ach, ależ pani niecierpliwa! – Anna skarciła ją żartobliwie.

– Na razie doszliśmy dopiero do aminokwasów. Czyli cegiełek do budowy białek. Jak jednak przejść od paru aminokwasów do pierwszego, w pełni odtwarzalnego białka?

– Zmieszać ze sobą wystarczającą ilość aminokwasów i odczekać, aż się w końcu powiążą we właściwe łańcuchy.

– Całkiem samorzutnie?

Lisa pokiwała głową.

– W tym miejscu, pani doktor, dochodzimy do sedna sprawy. Byłabym skłonna zgodzić się z panią, że Darwinowska ewolucja odegrała istotną rolę od powstania pierwszego, w pełni odtwarzalnego białka. Czy wie pani jednak, ile aminokwasów musi się połączyć w łańcuch, żeby powstało najprostsze, replikujące się białko?

– Nie.

– Co najmniej trzydzieści dwa. Z tylu musi się składać najprostsze białko, które posiada zdolność replikacji. Szansa na powstanie takiego łańcucha w sposób całkowicie samorzutny jest astronomicznie nikła. Jak jeden do dziesięć do czterdziestej pierwszej potęgi.

Na myśl o tej liczbie Lisa aż się wzdrygnęła. Mimo niechęci musiała przyznać, że do swej rozmówczyni zaczyna odczuwać coś w rodzaju podziwu.

– Spróbujmy sobie wyobrazić, co w praktyce oznacza takie prawdopodobieństwo – ciągnęła Anna. – Gdybyśmy wzięli całe białko występujące we wszystkich lasach deszczowych świata i rozpuścili je w zupie aminokwasowej, prawdopodobieństwo

powstania łańcucha trzydziestu dwóch aminokwasów byłoby nadal mikroskopijnie małe. Tak naprawdę do powstania jednego takiego łańcucha potrzebna byłaby liczba pięć tysięcy razy większa. Pięć tysięcy razy więcej lasów deszczowych! I dlatego pytam, jak można przejść od szlamu aminokwasowego do pierwszego replikatora, pierwszego przejawu życia?

Lisa pokręciła głową.

Anna skrzyżowała ręce na piersiach, wyraźnie z siebie zadowolona.

– Jest to luka w procesie ewolucji, której nawet Darwin nie potrafił przeskoczyć.

Mimo wszystko Lisa się nie poddawała.

– Ale próba wypełnienia tej luki Bogiem będzie odejściem od kanonów nauki. – Skrzywiła się. – To, że dziś nie znamy na to odpowiedzi, nie musi oznaczać, że odbyło się to za sprawą sił nadprzyrodzonych.

– A kto mówi o siłach nadprzyrodzonych? I kto mówi, że nie znamy na to odpowiedzi?

Lisa spojrzała na nią zdumiona.

– Jakiej odpowiedzi?

– Tego, co odkryliśmy już wiele lat temu w wyniku eksperymentowania z Dzwonem. Tego, czym współcześni uczeni dopiero zaczynają się poważnie interesować.

– Co to takiego? – Lisa bezwiednie wyprostowała się na krześle. Już nawet nie próbowała udawać, że kwestia Dzwonu jej nie interesuje.

– Nazwaliśmy to ewolucją kwantową.

Lisa pamiętała wcześniejszą opowieść o Dzwonie i nazistowskim programie badań dziwnego i tajemniczego świata cząsteczek subatomowych i fizyki kwantowej.

– Ale co kwanty mają wspólnego z ewolucją? – zdziwiła się.

– Ewolucja kwantowa nie tylko nam daje do rąk najpoważniejszy dowód na istnienie świadomego zamysłu, ale udziela też odpowiedzi na fundamentalne pytanie, kim jest autor tego zamysłu.

– Chyba pani żartuje. Więc kto? Bóg?

– *Nein.* – Anna spojrzała jej prosto w oczy. – My sami.

Nie zdążyła jednak rozwinąć myśli, bo nagle zachrypiał stary głośnik wiszący na ścianie i wśród trzasków zabrzmiał głos Gunthera.

– Namierzyliśmy sabotażystę. Jesteśmy gotowi do akcji.

## **Büren, Niemcy**

### **Godzina 7.37 czasu miejscowego**

Gray wyprzedził rozklekotaną ciężarówkę wypełnioną sianem, wrzucił piąty bieg i ostro wszedł w ostatni ostry zakręt. Ze szczytu wzniesienia roztaczał się wspaniały widok na całą dolinę.

– Dolina Alme – wyjaśnił Monk. Siedział spięty, wczepiony kurczowo w uchwyt przy drzwiach.

Gray zwolnił i zredukował bieg.

– Zdaje się, że Rachele udzieliła ci paru lekcji jazdy po włosku – powiedział Monk ponuro.

– Kiedy jesteś w Rzymie, to...

– Ale ty nie jesteś w Rzymie.

Nie można było mieć co do tego wątpliwości. Pod nimi leżała rozległa dolina rzeki Alme, pełna łąk, lasów i pól uprawnych. Pośrodku wyrastało pocztówkowe niemieckie miasteczko z pokrytymi czerwoną dachówką spadzistymi dachami i krętymi, wąskimi uliczkami.

Uwagę całej trójki zwrócił jednak od razu wznoszący się na przeciwległym zboczu potężny zamek ze sterczącymi nad gęstwiną leśną wieżami z powiewającymi flagami, który zdawał się dominować nad miasteczkiem. Budowla była masywna i rozłożysta i przypominała zamki w znacznie rozleglejszej dolinie Renu, miała też w sobie coś bajkowego, co przywoływało na myśl zaklęte księżniczki i rycerzy na białych rumakach.

– Gdyby Drakula był gejem – mruknął Monk – toby było coś w sam raz dla niego.

Gray wiedział, o co chodzi Monkowi. Pozornie sielskiemu obrazowi towarzyszył nieuchwytny nastrój grozy, choć przyczyniać się do tego mogło też niebo zasnuwane od północy nisko wiszącymi, ołowianymi chmurami. Pomyślał, że będą mieli szczęście, jeśli uda im się dotrzeć do miasteczka przed burzą.

– Dokąd teraz? – zapytał.

Z tylnego siedzenia dobiegł szelest rozkładanej mapy. Fiona zabrała ją Monkowi i przejęła obowiązki pilota. Argumentem było to, że ona jedna zna cel podróży.

Pochyliła się do przodu i pokazała ręką wijącą się w dole rzekę.

– Musimy przez tamten most przejechać na drugą stronę.

– Jesteś pewna?

– Jasne, że tak. Umiem czytać mapy.

Gray rozpoczął zjazd, omijając długi sznur kolarzy w różnobarwnych trykotach. Opadającą zakosami szosą dotarli na dno doliny i wjechali między pierwsze zabudowania miasteczka.

Mieli uczucie, jakby cofnęli się w czasie – jakby otworzyło się przed nimi niemieckie Brigadoon<sup>6</sup>. Na oknach wisiały skrzynki z kwitnącymi tulipanami, dachy domów były wysokie i spadziste, uliczki odchodzące w bok od głównej drogi wybrukowane kocimi łbami. Droga doprowadziła ich do otoczonego kawiarnianymi i ogródkami piwnymi ryneczku, na którego środku stała estrada. Gray wyobraził sobie zasiadającą na niej co wieczór orkiestrę, wygrywającą skoczne polki.

Minęli most i droga zaczęła się wíć pośród łąk i niewielkich gospodarstw.

– Teraz w lewo! – wrzasnęła Fiona.

By zmieścić się w ciasnym skręcie, Gray musiał ostro przyhamować.

– Następnym razem mogłabyś uprzedzić mnie wcześniej – mruknął ze złością.

Wąska, prowadząca wśród żywopłotów droga po chwili zwęziła się jeszcze bardziej, a asfalt ustąpił miejsca brukowi. Samochód trząsał się na wybojach, bruk był coraz obficiej porośnięty trawą. Wreszcie droga skończyła się bramą z kutego żelaza, której oba skrzydła były otwarte.

Gray zwolnił.

– I co teraz? – zapytał.

– To tutaj – oświadczyła Fiona. – Stąd pochodzi Biblia Darwina. Pałac Hirszfeldów.

Gray powoli przejechał przez bramę. Z zachmurzonego nieba zaczynały spadać pierwsze krople. Deszcz – początkowo niewielki – zaczynał szybko przechodzić w ulewę.

– W samą porę – mruknął Monk.

Za bramą rozciągał się obszerny dziedziniec, którego boki wyznaczały parterowe zabudowania. Pałac znajdował się na wprost wjazdu i choć miał tylko jedno piętro, dzięki wysokiemu stromemu dachowi prezentował się dość okazale.

Niebo rozświetliła błyskawica, zagrzmiało.

Ze wznoszącego się za budynkiem zalesionego zbocza wyrastała potężna bryła widzianego wcześniej zamku. Był tak blisko, że zdawał się wisieć tuż nad pałacem.

– Oj! – usłyszeli wystraszony okrzyk.

Gray oderwał wzrok od zamku i spojrzał przed siebie.

Ze ściany deszczu wyłonił się chłopak prowadzący rower, który omal nie wpadł im pod koła. Był ubrany w żółty piłkarski trykot i obcisłe kolarskie spodenki. Pochylił się nad maską i grzmotnął w nią otwartą dłonią.

– Uważaj, frajerze, jak jedziesz! – prychnął ze złością.

Fiona bez wahania opuściła boczną szybę i wystawiła głowę.

– Spadaj, łajzo! Sam uważaj, gdzie leziesz w tych swoich pedalskich gaciach!

Monk pokręcił z uśmiechem głową.

– Coś mi się widzi, że Fiona znalazła już sobie absztyfikanta.

Gray zajechał pod główne wejście i zaparkował. Stał tu tylko jeden samochód, natomiast w metalowych stojakach widać było kilkanaście poprzypinanych łańcuchami rowerów górskich i szosowych. Pod jednym z podcieni obok zwalonych na stertę plecaków tłoczyła się grupka zmokniętych dziewcząt i chłopców. Gray zgasił silnik i nastawiwszy ucha, stwierdził, że młodzi ludzie rozmawiają po hiszpańsku. Widać w pałacu mieści się schronisko młodzieżowe, a w powietrzu wisiał niemal namacalny zapach paczuli i konopi.

Graya opadły wątpliwości.

Czy to na pewno tu?

A jeśli nawet, to mało prawdopodobne, by udało im się natrafić na jakiś istotny ślad. Ale skoro już przebyli taki kawał drogi...

– Poczekajcie tu – rzucił. – Monk, zostań z...

Tylne drzwi się otworzyły i Fiona wyskoczyła z samochodu.

– Następnym razem – mruknął Monk, otwierając drzwi – wynajmij model z blokadą z tyłu. Taką, żeby dzieci nie mogły wysiąść.

– Fiona, nie wygłupiaj się! – Gray podążył za dziewczyną, która z plecakiem przewieszonym przez ramię ruszyła bez słowa do wejścia.

Dogonił ją na ganku i przytrzymał za łokieć.

– Trzymamy się razem – syknął. – Żadnego oddalania się.

– No właśnie. – Zwróciła ku niemu rozzłoszczoną twarz – Trzymamy się razem Żadnego oddalania się. A więc żadnego zostawiania mnie w samolotach i samochodach. – Wyszarpnęła łokieć i pchnęła drzwi.

Zadźwięczał gong anonsujący ich otwarcie.

Siedzący na wprost wejścia recepcjonista uniósł głowę znad mahoniowego biurka i przyjrzał się wchodzącym. W kominku palił się ogień pomagający zwalczyć poranny chłód. Hol miał belkowany sufit, na ścianach widać było wyblakłe freski wyglądające na bardzo stare, całość sprawiała jednak wrażenie zaniedbania. Miejscami odpadał tynk, belki pokryte były grubą

warstwą kurzu, na podłodze leżały poprzecierane dywany. Lata świetności pałac miał już niewątpliwie za sobą.

Ubrany w koszulę rugbysty i zielone spodnie, tryskający tężyzną chłopak za biurkiem skinął głową na powitanie. Miał około dwudziestu lat, blond włosy i przypominał modela z reklam Abercrombie & Fitch.

– *Guten Morgen* – powiedział, uśmiechając się do Graya, który pierwszy podszedł do biurka.

Monk rozglądał się po holu, wsłuchując się jednocześnie w przetaczający się nad głowami kolejny grzmot.

– Nic *guten* w tym *Morgen* nie widzę – mruknął pod nosem.

– Ach, Amerykanie – powiedział chłopak znacznie chłodniej. Gray odchrząknął.

– Chcieliśmy się tylko upewnić, czy to jest dawna posiadłość Hirszfeldów?

Oczy chłopaka wyraźnie rozbłysły.

– *Ja, aber...* Od prawie dwudziestu lat mieści się tu schronisko młodzieżowe Burgschloss. Od czasu, gdy odziedziczył to mój ojciec, Johann Hirszfeld.

Więc jednak są we właściwym miejscu. Gray spojrzał na Fionę, która w odpowiedzi uniosła brwi, jakby chciała powiedzieć: „No co?”. Zajęta była grzebaniem w plecaku i Grayowi przemknęło przez głowę, że pozostaje mieć nadzieję, iż Monk się nie myli i że w jej plecaku naprawdę nie ma granatów.

– Wobec tego chciałbym zapytać – odezwał się, przenosząc spojrzenie na chłopaka – czy mógłbym porozmawiać z pańskim ojcem.

– W sprawie? – W głosie Niemca obok chłodu pojawiła się nuta podejrzliwości.

– W sprawie tego – burknęła Fiona. Przepchnęła się do przodu i rzuciła na biurko znaną Grayowi książkę. Biblię Darwina.

Boże, przecież zostawił ją na pokładzie samolotu pod opieką pilota.

Widać to nie wystarczyło.

– Fiono... – syknął ostrzegawczo.

– Jest moja – odsyknęła dziewczyna i wykrzywiła usta.

Recepcjonista wziął książkę do ręki i pobieżnie przekartkował. Na jego twarzy nie widać było żadnej szczególnej emocji.

– Biblia? W naszym schronisku zabroniony jest wszelki prozelityzm. – Zamknął książkę i przesunął ją w stronę Fiony. – A poza tym mój ojciec jest Żydem.

Nie było sensu dłużej owijać w bawełnę.

– Ta Biblia była własnością Karola Darwina. O ile nam wiadomo, znajdowała się kiedyś w waszym rodzinnym księgozbiórze. Dlatego chcielibyśmy porozmawiać z pańskim ojcem i dowiedzieć się czegoś więcej.

Chłopak obrzucił Biblię nieco cieplejszym spojrzeniem.

– Księgozbiór sprzedano, jeszcze zanim ojciec przejął zamek – powiedział z namysłem. – Nigdy nie widziałem go na oczy. Wiem tylko, że przez kilkaset lat należał do naszej rodziny.

Wyszedł zza biurka i poprowadził ich przez łukowate przejście do sąsiedniego pomieszczenia, w którym wąskie i wysokie okna tworzyły nieco klasztorną atmosferę. Na ścianie naprzeciwko wejścia znajdował się kominek tak ogromny, że mógł się w nim zmieścić wyprostowany człowiek. Całe pomieszczenie było zastawione stołami i ławami. Nie było w nim nikogo, nie licząc starszej kobiety w fartuchu, która zamiatła podłogę.

– Kiedyś mieściła się tu biblioteka i gabinet. Teraz mamy tu stołówkę dla naszych gości. Ojciec odmówił sprzedania pałacu, ale były do zapłacenia zaległe podatki. Myślę, że właśnie dlatego postanowiono pozbyć się rodzinnej biblioteki. Ojciec musiał też sprzedać na licytacji większość oryginalnego wyposażenia. Z każdym kolejnym pokoleniem ubywa nam trochę historii.

– To przykre – powiedział Gray.

Chłopak pokiwał głową.

– Porozumiem się z ojcem – dodał, ruszając do wyjścia. – Zapytam, czy będzie chciał z wami porozmawiać.



Po kilku minutach przywołał ich ruchem ręki i poprowadził do szerokich podwójnych drzwi. Otworzył je kluczem i wprowadził gości do prywatnej części pałacu.

Przedstawiwszy się jako Ryan Hirszfeld, poprowadził ich przez cały dom, aż do przeszklonej oranżerii na tyłach, pełnej donic z paprociami i barwnymi bromeliami. Między oknami na schodkowo rozmieszczonych półkach stały liczne okazy roślin tropikalnych, niektóre przypominające chwasty. W głębi rosła samotna palma, której korona dotykała szklanego sklepienia, a część pierzastych liści pożółkła. Całość sprawiała przygnębiające wrażenie zaniedbania, co dodatkowo podkreślał chłupot deszczówki przeciekającej przez pękniętą szybę i kapiącej do podstawionego wiadra.

O pomarańczach z tej oranżerii można było tylko pomarzyć.

Na wózku inwalidzkim siedział owinięty kocem wychudzony mężczyzna i patrzył na zalane deszczem okno. Strugi deszczu powodowały, że widok przez nie zdawał się daleki i odrealniony.

– *Vater. Hier sind die Leute mit der Bibel.*

Ryan powiedział to prawie wstydliwie.

– *Auf English, Ryan... auf English.* – Mężczyzna obrócił wózek przodem do gości. Skórę na twarzy miał cienką jak papier, głos słaby i świszczący. Pewnie choruje na rozedmę płuc, pomyślał Gray.

Na twarzy Ryana zastygł grymas smutku.

– Jestem Johann Hirszfeld – powiedział starzec. – Słyszałem, że chcecie porozmawiać o naszej starej bibliotece. Ostatnio cieszy się dużym zainteresowaniem. Przez dwadzieścia lat panowała cisza, a teraz już druga wizyta w ciągu jednego roku.

Gray pamiętał opowieść Fiony o tajemniczym przybyszu, który odwiedził antykwariat Grette i szperał w dokumentach. Widać odnalazł zlecenie spedycyjne i podążył tym samym tropem, co oni.

– Ryan powiedział mi, że macie jedną z naszych książek.

– Tak, Biblię Darwina – potwierdził Gray.

Starzec wyciągnął ręce, Fiona podeszła bliżej i podała mu książkę, a on położył ją sobie na kolanach.

– Nie widziałem jej od dzieciństwa – powiedział cicho i spojrzął na syna. – *Danke*, Ryan. Powinieneś wrócić do pracy.

Ryan kiwnął głową, zrobił niepewny krok do tyłu, odwrócił się i wyszedł.

Johann poczekał, aż syn zamknie za sobą drzwi, po czym z westchnieniem pochylił głowę i zapatrzył się w Biblię. Uniósł okładkę i przyjrzał się drzewu genealogicznemu Darwinów.

– To była jedna z naszych najcenniejszych pozycji – powiedział. – Dostał ją w tysiąc dziewięćset pierwszym mój dziadek w prezencie od Brytyjskiego Towarzystwa Królewskiego. Na przełomie wieków był jednym z najbardziej znanych botaników. – W głosie starca pobrzmiwała melancholia. – Nasza rodzina ma długą tradycję i wiele osiągnięć naukowych. Nie da się tego oczywiście porównać z Darwinem, ale w paru sprawach zaznaczyliśmy swoją obecność. – Jego spojrzenie znów powędrowało ku ociekającym deszczem szybom i rozmytemu widokowi. – Ale to dawne dzieje. Teraz pewnie należałoby nas nazywać hotelarzami.

– A wracając do Biblii – wtrącił Gray – mógłby pan nam coś więcej o niej opowiedzieć? Czy księgozbiór zawsze mieścił się tutaj?

– *Natürlich*. Niektóre pozycje bywały zabierane z okazji wyjazdów członków mojej rodziny na badania naukowe za granicą, ale Biblia opuściła te mury tylko jeden jedyny raz. Wiem, bo byłem przy tym, jak do nas wróciła. Dziadek odesłał nam ją pocztą. Narobiło to wtedy dużo szumu.

– Dlaczego?

– Podejrzywałem, że będziecie chcieli o to zapytać. Dlatego odesłałem Ryana. Lepiej, żeby o tym nie wiedział.

– O czym?

– Mój dziadek, Hugo, pracował dla nazistów. Podobnie zresztą, jak jego córka, moja ciotka Tola. Byli nierozłączni. Później dotarła do mnie skandaliczna wiadomość, którą przekazywano sobie w rodzinie z ust do ust. Oboje byli

wybitnymi biologami i oboje uczestniczyli w jakimś nazistowskim programie badawczym.

– Wie pan może, co to był za program? – zapytał Monk.

– Tego nikt nie wiedział. Dziadek i ciotka Tola zginęli pod koniec wojny, ale jakiś miesiąc wcześniej dotarła do nas wysłana przez dziadka paczka. Były w niej książki, które zabrał wcześniej z naszej biblioteki. Może przewidział, jaki los go spotka, i chciał ratować nasze zbiory. Odesłał wtedy pięć książek. – Postukał dłonią w Biblię. – To była jedna z nich. Chociaż nikt nigdy nie potrafił mi wyjaśnić, do czego mu była potrzebna.

– Może miała mu przypominać dom rodzinny? – podsunęła cicho Fiona.

Johann jakby dopiero teraz zauważył jej obecność. Spojrzał na nią i wolno pokiwał głową.

– Może. Może była czymś, co wiązało się z jego ojcem. Symbolizowała zgodę ojca na jego poczynania. – Starzec pokręcił głową. – Na wysługiwanie się nazistom. Okropność.

Gray przypomniał sobie nagle słowa Ryana.

– Ale, zaraz, przecież jesteście Żydami, prawda?

– Tak, tylko musi pan wiedzieć, że moja prababka, matka Hugona, była Niemką o rozległych lokalnych koneksjach, które sięgały także partii nazistowskiej. Dzięki temu, kiedy zaczęły się prześladowania Żydów, nasza rodzina ocalała. Zostaliśmy uznani za *Mischlinge*, czyli mieszańców, mających wystarczająco dużą domieszkę niemieckiej krwi, by uniknąć wyroku śmierci. Ale na dowód lojalności wobec reżimu dziadek i ciotka dali się wciągnąć w służbę nazistom, którzy zewsząd ściągali naukowców.

– A więc zrobili to pod przymusem – zauważył Gray.

Johann zamilkł i zapatrzył się w szalejącą za oknami burzę.

– To były trudne czasy – powiedział w końcu. – A mój dziadek miał dość dziwaczne poglądy.

– W jakim sensie?

Starzec jakby nie usłyszał pytania, tylko bez słowa otworzył Biblię i zaczął ją powoli przeglądać. Gray przypomniał sobie

bohomy na marginesach i podszedłszy do wózka, pokazał palcem pierwszą z brzegu serię rysunczków.



– Zastanawialiśmy, co to może znaczyć – powiedział.

– Wie pan, co to było Stowarzyszenie Thule? – zapytał starzec, jakby pytanie znów do niego nie dotarło.

Gray pokręcił głową.

– Grupowało Niemców o skrajnie nacjonalistycznych poglądach. Mój dziadek był jego członkiem. Przyjęto go, gdy miał dwadzieścia dwa lata. Rodzina jego matki była skoligacona z założycielami stowarzyszenia. Byli gorącymi zwolennikami filozofii *Übermenschen*.

– *Übermenschen*, czyli nadludzi?

– Zgadza się. Stowarzyszenie przyjęło nazwę od mitycznej krainy Thule, która miała być pozostałością po zaginionym królestwie Atlantydy, kolebce superrasy.

Monk prychnął pogardliwie.

– Wspominałem, że mój dziadek miał dość dziwaczne poglądy. Ale w tamtych czasach nie należał do wyjątków. Zwłaszcza tu, w tych stronach. To właśnie w tutejszych lasach starożytne plemiona germańskie stawiały czoło rzymskim legionom, co doprowadziło do wytyczenia granicy między Niemcami a cesarstwem rzymskim. Członkowie Stowarzyszenia Thule wierzyli, że ci germańscy wojownicy byli w prostej linii potomkami owej zaginionej superrasy.

Gray wyobrażał sobie potęgę tego mitu. Jeśli starożytni germańscy wojownicy byli nadludźmi, ich potomkowie – współcześni Niemcy – musieli nosić w sobie ich genetyczne dziedzictwo.

– Od tego zaczęło się całe szaleństwo na punkcie aryjskości – powiedział w zadumie.

– Zwłaszcza że ich poglądy miały w sobie duży ładunek mistycyzmu i elementy okultyzmu. Nigdy do końca tego nie rozumiałem, ale wedle rodzinnych przekazów dziadek był człowiekiem niezwykle dociekliwym. Wciąż zajmował się jakimiś dziwactwami i badał tajemnice historii, a w wolnych chwilach ćwiczył umysł. Stosował różne sztuczki na poprawianie pamięci, rozwiązywał zagadki, szczególnie pasjonował się układankami. Potem zetknął się z różnego rodzaju tekstami okultystycznymi i zaczął doszukiwać się w nich prawdy. Stało się to jego obsesją.

Starzec powrócił do kartkowania Biblii i dotarłszy do końca, przesunął dłonią po wewnętrznej stronie tylnej okładki.

– *Das ist merkwürdig.*

*Merkwürdig.* Dziwne.

Gray zajrzał mu przez ramię.

– Co jest dziwne?

Niemiec pomacał kościstym palcem wewnętrzną stronę tylnej okładki, zajrzał pod przednią i powrócił do tylnej.

– Drzewo rodu Darwinów. Nie mieściło się całe pod przednią okładką... dalszy ciąg znajdował się pod tylną. Byłem jeszcze dzieckiem, ale dobrze to pamiętam. – Johann uniósł księgę. – A teraz tylna okładka jest pusta.

– Pozwoli pan, że zobaczę.

Gray wziął książkę i zaczął oglądać tylną okładkę. Fiona i Monk zrobili to samo.

Przejechał palcem po wewnętrznej krawędzi, potem obmacał całą okładkę.

– Patrzcie – powiedział. – Wygląda na to, że ktoś odciął ostatnią pustą stronę Biblii i nakleił ją na wewnętrzną stronę tylnej okładki. Na jej oryginalną wyklejkę. – Spojrzał pytająco na Fionę. – Czy Grette mogłaby zrobić coś takiego?

– Ależ skąd. Prędzej pocięłaby *Monę Lizę* na kawałki.

Skoro nie Grette...

Wszyscy spojrzeli na Johanna.

– Jestem pewien, że nikt z mojej rodziny nie zrobiłby czegoś takiego. Cały księgozbiór został sprzedany wkrótce po wojnie.

Nie sędę, żeby w ciągu tych paru lat, jakie upłyęły od odesłania księzek przez dziadka a ich sprzedażą ktokolwiek dotykał tej Biblii.

Zostawał więc tylko sam Hugo Hirszfeld.

– Nóż – rzucił Gray, kładąc Biblię na stole.

Monk sięgnął do plecaka i wyciągnął szwajcarski scyzoryk. Otworzył jedno z ostrzy i podał Grayowi, który koniuszkiem podważył krawędź okleiny okładki i odchylił róg. Była przyklejona tylko wzdłuż krawędzi i dała się łatwo usunąć.

Johann podjechał bliżej i uniósłszy się na rękach, pochylił się nad stołem. Gray nie próbował niczego zasłaniać. Pomyślał, że pomoc starego może mu się jeszcze przydać.

Ostrożnie usunął naklejoną grubą kartkę papieru i odsłonił oryginalną wyklejkę okładki. Rzeczywiście Johann się nie mylił. Widniała na niej druga część drzewa genealogicznego rodu Darwinów. Ale nie tylko.

– To straszne – jęknął Johann. – Dlaczego dziadek zrobił coś takiego? Tak zbezczścić Biblię.

Na drzewo rodzinne naniesiono czarnym tuszem dziwny symbol, i zrobiono to tak mocno, że rysunek się wrył w wyklejkę.



Poniżej tym samym tuszem ktoś dopisał krótkie zdanie po niemiecku.

*Gott, verzeih mir.*

Gray przetłumaczył na głos:

– Boże, przebacz mi.

– A cóż to takiego? – zapytał Monk, wskazując symbol.

– To symbol runiczny – jęknął Johann i opadł na siedzenie wózka. – Kolejne szaleństwo mojego dziadka.

Gray spojrział na niego pytająco.

– Członkowie Stowarzyszenia Thule wierzyli w magię runów. W starożytną moc i rytuały związane z symbolami nordyckimi. A ponieważ naziści wzięli sobie do serca filozofię Thule odnośnie do nadludzi, wraz z nią przejęli też mistyczny stosunek do runów.

Grayowi nieobca była nazistowska symbolika i jej odniesienia do nordyckich symboli runicznych. Jakie jednak znaczenie miał ten konkretny symbol?

– Czy wie pan, co ten symbol znaczy? – zapytał.

– Nie. Nie są to tematy szczególnie interesujące niemieckich Żydów. W każdym razie na pewno nie po wojnie. – Johann obrócił wózek i znów patrzył w ociekające deszczem szyby. Za oknami słychać było przetaczające się po niebie grzmoty, które zdawały się dochodzić z daleka, ale i skądś zupełnie blisko. – Ale wiem, kto może wam pomóc. Kustosz muzeum na górze.

Gray złożył Biblię i podszedł do wózka.

– Jakiego muzeum?

Oślepiające światło błyskawicy rozświetliło wnętrze oranżerii. Johann pokazał ręką i Gray wyciągnął szyję, starając się coś dojrzeć. Przez strumienie deszczu prześwitywała tylko potężna bryła zamczyska.

– Historisches Museum des Hochstifts Paderborn – powiedział Johann. – Dzisiaj czynne. W pomieszczeniach zamku. – Spojrział na Graya i wykrzywił niechętnie twarz. – Kto jak kto, ale oni na pewno będą wiedzieli, co znaczy ten symbol.

– A to dlaczego?

Johann spojrział na niego z politowaniem.

– Jak to, dlaczego? Przecież to zamek Wewelsburg. – Nie doczekawszy się reakcji Graya, westchnął i ciągnął: – Czarny Camelot Himmlera. Twierdza nazistowskiego SS.

– Więc nie myliliśmy się – mruknął Monk. – To rzeczywiście zamek Drakuli.

– W siedemnastym wieku urządzano tam sądy nad czarownicami – mówił Johann. – Tysiące kobiet poddano torturom i skazano na śmierć. Himmler tylko dołożył swoją

miarękę do morza przelanej wcześniej krwi. W trakcie prowadzonej na jego polecenie przebudowy zamku życie straciło tysiąc dwustu Żydów z obozu koncentracyjnego w Niederhagen. To przeklęte miejsce. Powinni je zburzyć.

– A to muzeum w zamku? – Widząc, że stary jest coraz bardziej zdenerwowany i ma coraz większe trudności z mówieniem, Gray spróbował skierować rozmowę na inny tor. – Myśli pan, że oni tam znajdują się na runach?

Starzec skinął głową.

– Himmler należał do Stowarzyszenia Thule i siedział po uszy w symbolice runicznej. Nawiasem mówiąc, właśnie to spowodowało, że zainteresował się moim dziadkiem. Obaj mieli fioła na tym punkcie.

Stawało się coraz bardziej jasne, że tajemnicze okultystyczne Stowarzyszenie Thule odgrywało rolę centralnego punktu, do którego zbiegały się wszystkie nitki. Tylko co z tego wynika? Trzeba zdobyć więcej informacji. Odwiedziny w zamkowym muzeum wydawały się konieczne.

Johann odjechał wózkiem od Graya.

– To dzięki tej wspólnocie zainteresowań z moim dziadkiem Himmler okazał łaskę naszej rodzinie, rodzinie *Mischlinge*. To nas uratowało przed obozem.

Życie z łaski Himmlera...

Gray pojął prawdziwą przyczynę rozgoryczenia i wzburzenia starca. Zrozumiał też, dlaczego kazał synowi wyjść z oranżerii. Sprawa ciążyła na sercu rodziny jak kamień, którego lepiej było nie ruszać. Johann w milczeniu wpatrywał się w okno.

Gray zabrał Biblię i dał znak pozostałej dwójce, że czas wychodzić.

– *Danke!* – zawołał w stronę wózka, jednak Johann nie odpowiedział. Siedział bez ruchu, zatopiony w odległej przeszłości.

Chwilę później cała trójka wyszła na ganek przed głównym wejściem. Ulewa ani trochę nie zelżała i na dziedzińcu było



pusto. Na żadne wycieczki piesze czy rowerowe i tak nie było szans.

– No to w drogę – powiedział Gray, ruszając w stronę samochodu.

– Pogoda w sam raz na wizytę w zamku Drakuli – parsknął Monk.

Zbliżając się do parkingu, Gray zauważył, że obok ich bmw pojawił się jakiś nowy samochód. Wewnątrz nie było nikogo, ale nad maską unosiła się mgielka pary. Widocznie dopiero co przyjechał i silnik był jeszcze gorący.

Śnieżnobiały mercedes.

# 9

## SABOTAŻYSTA

### Himalaje

#### Godzina 12.32 czasu miejscowego

– Skąd dochodzi ten sygnał? – spytała Anna.

Po usłyszeniu komunikatu Gunthera przybiegła natychmiast do warsztatu. Była sama, bo – jak powiedziała – Lisa wolała zostać w bibliotece i posiedzieć nad wynikami badań. Painter podejrzewał jednak, że decyzję podjęła Anna, która wolała trzymać ich oddzielnie.

Właściwie był nawet zadowolony, że Lisa nie będzie narażona na niebezpieczeństwo.

Zwłaszcza jeśli naprawdę są na tropie tego sabotażysty.

Pochylony nad ekranem laptopa, masował sobie koniuszki palców. Od pewnego czasu czuł pod paznokciami nieznośne mrowienie. Przerwał i wskazał fragment trójwymiarowego planu zamku.

– Według mnie gdzieś w tym rejonie – powiedział, stukając palcem w ekran. Przyglądając się planowi, stwierdził ze zdumieniem, jak daleko w głąb góry wchodzi pomieszczenia zamku. W górnych partiach przechodziły przez nią na wylot i namierzony sygnał dochodził właśnie z drugiej strony góry. – To nie jest precyzyjny namiar, ale wiadomo, że telefon satelitarny musi w linii prostej widzieć satelitę.

Anna wyprostowała się.

– W tamtym rejonie jest nasze lądowisko dla helikopterów.

Gunther mruknął potakująco.

Pulsujące na ekranie kreski nagle zanikły.

– Skończył rozmawiać – wyjaśnił Painter. – Trzeba się pospieszyć.

– Skontaktuj się Klausem – poleciła Anna Guntherowi. – Niech jego ludzie otoczą lądowisko. Natychmiast.

Gunther sięgnął po słuchawkę na ścianie i zaczął wydawać polecenia. Zamierzano zatrzymać i zrewidować wszystkie osoby znajdujące się w podejrzanym rejonie i w ten sposób odnaleźć posiadacza nielegalnego telefonu satelitarnego.

– Dzięki za pomoc – powiedziała Anna do Paintera. – Zaraz urządzimy obławę.

– Mógłbym zrobić coś jeszcze. – Od pewnego czasu stukał w klawiaturę laptopa. Zanotował w głowie numer telefonu odczytany z ekranu i odłączył wzmacniacz sygnału od sieci uziemiającej. – Ale potrzebny mi do tego wasz telefon satelitarny.

– Nie mogę zostawić pana samego z telefonem – obruszyła się Anna. Skrzywiła się boleśnie i przycisnęła palce do skroni. Ją też nękał ból głowy.

– Nie musi mnie pani zostawiać. Pójdę z wami.

Gunther zrobił krok do przodu i groźnie zmarszczył brwi.

– Szkoda czasu na kłótnie – powiedziała Anna i uspokajająco machnęła ręką. Painter czuł jednak, że tych dwoje rozumie się bez słów i że kazała bratu mieć go na oku.

Anna ruszyła pierwsza, Painter za nią. Znow zaczął masować końce palców, bo pod paznokciami zaczynał go palić żywy ogień. Po raz pierwszy przyjrzał im się bliżej. Spodziewał się, że paznokcie będą podbiegnięte krwią i zaognione. Ze zdziwieniem stwierdził, że jest dokładnie odwrotnie – były dziwnie blade i jakby zmartwiałe.

Czyżby je odmroził?

Gunther podał mu jeden z zamkowych telefonów satelitarnych. Zauważył przy tym, że Amerykanin ogląda swoje palce, pokręcił głową i wyciągnął ku niemu dłoń. Początkowo Painter nie zrozumiał tego gestu i dopiero po chwili zauważył, że na trzech palcach mężczyzny brak paznokci.

Gunther opuścił rękę i ruszył za Anną.

Painter kilkakrotnie zacisnął i rozprostował palce. Przyczyną mrowienia nie było odmrożenie, tylko postępująca choroba kwantowa. Przypomniawszy sobie słowa Anny opisującej dolegliwości ofiar Dzwonu: odpadanie uszu i palców u rąk i nóg. Jak u trędowatych.

Ile czasu mu jeszcze zostało?

Idąc korytarzem, obserwował Gunthera. Ten człowiek od urodzenia musiał żyć ze świadomością wyroku skazującego go na chroniczną i postępującą degenerację organizmu, która prędzej czy później skończy się szaleństwem. Jego czekało to samo, tylko w skróconej, skondensowanej formie. Nie próbował nawet udawać, że go to nie przeraża. I to nie tyle fizyczne dolegliwości, ile utrata władz umysłowych.

Więc ile miał jeszcze czasu?

Gunther musiał się domyślić przyczyny jego milczenia, bo odwrócił głowę i rzucił gardłowym szeptem:

– Nie pozwolę, żeby Annę to spotkało. Zrobię wszystko, żeby ją uchronić.

To jeszcze raz uzmysłowiło Painterowi, że ci dwoje są rodzeństwem, ale dopiero gdy się o tym dowiedział, zaczął w nich dostrzegać pewne subtelne podobieństwo: wykrój ust, zarys podbródków, identyczne linie zmarszczek. Na tym jednak podobieństwo się kończyło. Ciemne włosy i szmaragdowe oczy Anny silnie kontrastowały z wyblakłym, „wypranym” wyglądem brata. Ale z nich dwojga tylko Gunther urodził się w ramach eksperymentu z Dzwonem. Był jak dziesięcina zapłacona własną krwią, ostatni z *Sonnenkönige*.

Po drodze udało się Painterowi niepostrzeżenie zdjąć tylną osłonę telefonu. Schował ją do kieszeni, wysunął baterię i do gniazda antenowego pod nią podłączył wzmacniacz. Wiedział, że wysłany w ten sposób sygnał będzie słaby i potrwa tylko kilka sekund, ale miał nadzieję, że to wystarczy.

– Co ty tam robisz? – burknął Gunther.

– Podłączam wykrywacz GPS. Podczas rozmowy wzmacniacz zarejestrował parametry chipa w telefonie

sabotażysty. Dzięki temu uda mi się go wykryć, jeśli jest blisko.

Mruknięcie Gunthera świadczyło, że kupił kłamstwo.

Jak dotąd wszystko idzie dobrze.

Kolejnym ciągiem schodów dotarli do korytarza tak szerokiego, że mógłby swobodnie pomieścić czołg. Dnem biegły stalowe szyny, które prowadziły prosto przez środek górotworu na drugą stronę. Tam właśnie, po przeciwległej stronie wejścia do zamku, znajdowało się lądowisko dla helikopterów. Wsiadli do stojącej na szynach drezyny, Gunther zwolnił ręczny hamulec i nożnym pedałem uruchomił elektryczny silnik. Wagonik nie miał siedzeń i był osłonięty metalową barierką. Trzymając się jej, wjechali w korytarz skąpo oświetlony nielicznymi lampami umieszczonymi na suficie.

– Macie tu własne metro – zauważył Painter.

– Do przewozu ładunków – odrzekła Anna. Jej twarz nadal wykrzywił grymas bólu. Painter widział wcześniej, jak połyka dwie tabletki. Pewnie środki przeciwbólowe.

Jechali wzdłuż szpaleru komór magazynowych zawałonych skrzyniami, kartonami i beczkami, które zapewne dostarczano drogą powietrzną i tu składowano, i po paru minutach dotarli do końca korytarza. Powietrze stało się cieplejsze, wilgotniejsze, czuć w nim było woń siarki. Po wyjściu z wagonika Painter poczuł pod stopami wyraźne drgania, którym towarzyszyło głębokie, chrapliwe dudnienie. Z planu zamku pamiętał, że gdzieś na niższym poziomie mieści się siłownia geotermiczna.

Ruszyli jednak w stronę lekkiego spadku. Ciągący się przed nimi korytarz wyposażony był w rampę mogącą pomieścić samochód terenowy. Wkrótce dotarli do rozległej groty, w której przez otwarte stalowe wrota w sklepieniu sączyło się światło. Miejsce przypominało typowy magazynowy hangar wyposażony w podnośniki, wózki widłowe i różnorodny ciężki sprzęt, jego środek zaś zajmowała para śmigłowców A-Star Ecuriel w kolorze białym i czarnym. Wyglądały ja dwa rozłożone szerszenie i były przystosowane do latania na dużych wysokościach.

Zwalisty *Sonnenkönig* Klaus zauważył przybyłych i podszedł bliżej.

– Wszystko pod kontrolą – zameldował Annie po niemiecku, ignorując obu mężczyzn.

Ruchem głowy wskazał stojącą z boku grupę kilkunastu osób, którą otaczali uzbrojeni strażnicy.

– Nikt się nie wymknął? – upewniła się Anna.

– Nie. Jesteśmy gotowi.

Na polecenie Anny główne rejony zamku obstawili czterej *Sonnenkönige*, którzy z ogłoszeniem blokady swego rewiru czekali na sygnał od Paintera. Wiadomo jednak było, że gdyby pomiary Paintera okazały się błędne, wywołane zamieszanie ostrzegłoby sabotażystę, który zakamuflowałby się jeszcze staranniej. I dlatego mieli tylko jedną szansę.

Wiedząc o tym, Anna sztywnym krokiem ruszyła w stronę zatrzymanych.

– Znaleźliście?

W tym momencie potknęła się i zachwiała. Gunther przytrzymał ją za łokieć i wbił w nią niespokojne spojrzenie.

– Wszystko w porządku – szepnęła i uwolniwszy łokieć z uścisku, ruszyła dalej.

– Obszukaliśmy wszystkich – oświadczył Klaus. Wyraźnie próbował nie dać po sobie poznać, że zauważył jej chwilę słabości. – U nikogo nie znaleźliśmy telefonu ani niczego podejrzanego. Mieliśmy teraz przystąpić do przeszukania hangaru.

Twarz Anny jeszcze bardziej spochmurniała. Właśnie tego obawiała się najbardziej. Sabotażysta wcale nie musi mieć telefonu przy sobie. Mógł go po rozmowie spokojnie schować w jakiejś skrytce.

Albo Painter się pomylił.

Jeśli tak, odpowie za to.

Painter podszedł do niej i pokazał przygotowany zestaw.

– To powinno nam pomóc przyspieszyć poszukiwania – powiedział.

Spojrzała na niego podejrzliwie, ale nie mając wyboru, skinęła przyzwalająco głową.

Stojący obok Gunther nie spuszczał z niego wzroku.

Painter wyciągnął rękę z telefonem, włączył go i wybrał dziewięciocyfrowy numer. Nic się nie wydarzyło. Wszystkie oczy były wpatrzone w niego.

Zmarszczył czoło i ponownie wybrał dziewięć cyfr.

W dalszym ciągu cisza.

Czyżby źle zapamiętał numer?

– *Was ist los?* – zniecierpliwiła się Anna.

Painter wbił wzrok w ciąg cyferek na wyświetlaczu. Przeczytał go od początku do końca, potem jeszcze raz i znalazł błąd.

– Pomyliłem dwie ostatnie cyfry. Zamieniłem je miejscami.

Pokręcił głową i raz jeszcze uważnie nacisnął kolejne klawisze. Tym razem numer był prawidłowy. Uniósł głowę i napotkał wzrok Anny. Wiedział, że jego pomyłka nie wynikała ze zwykłego roztargnienia. I że ona też o tym wie. Naciskanie określonych sekwencji klawiszy często stosuje się w testach na sprawność umysłową.

A tu chodziło tylko o wybranie zwykłego numeru telefonicznego.

Zwykłego, ale ważnego.

Painterowi udało się wcześniej przechwycić numer telefonu sabotażysty i ten właśnie numer wybrał. Nacisnął przycisk „Połącz” i uniósł głowę.

Sekundę później zabrzmiał przenikliwy tryl telefonu.

Wszystkie oczy zwróciły się w stronę, skąd dochodził.

W stronę Klausa.

*Sonnenkönig* raptownie odskoczył do tyłu.

– Macie swojego sabotażystę... – powiedział Painter.

Klaus otworzył usta, jakby chciał zaprotestować, jednak twarz mu stężała i gwałtownie wyszarpnął broń.

Szybszy okazał się Gunther ze swym MK23.

Rozległ się huk wystrzału, rewolwer w ręce Klausa błysnął iskrą uderzenia metalu o metal i upadł na ziemię.

Gunther skoczył do przodu i przycisnął jeszcze dymiącą lufę swego pistoletu do policzka Klausa, którego skóra aż zaskwierczała w zetknięciu z rozpaloną końcówką lufy, ale nawet nie mrugnął. Potrzebny im żywy sabotażysta, który będzie mógł odpowiadać na pytania. Gunther nie czekał z zadaniem tego najbardziej oczywistego:

– *Warum?* – warknął. Dlaczego?

Klaus wbił w niego swoje zdrowe oko. Drugie, na sparaliżowanej stronie twarzy, przysłonięte było opadniętą powieką, przez co jego szyderczy uśmiešek wydawał się jeszcze bardziej odrażający.

– Żeby raz na zawsze skończyć z upokarzającym panowaniem *Leprakönige* – powiedział i splunął Guntherowi pod nogi.

Na jego twarzy malowała się długo tłumiona nienawiść. Painter wyobrażał sobie, co może czuć człowiek będący od dawna przedmiotem drwin, czujący, jak jego ciało ulega powolnemu rozpadowi. Niegdyś księżę, dziś trędowaty. Ale Painter czuł, że Klaus w swym postępowaniu nie kierował się tylko chęcią zemsty. Że ktoś uczynił z niego swego agenta.

Pytanie tylko – kto?

– Bracie – Klaus zmienił nagle ton, zwracając się do Gunthera – nie musi tak być. Nie musimy być żywymi trupami. Istnieje lekarstwo. – W jego głosie można było usłyszeć i nadzieję, i apel. – Możemy znów być królami wśród ludzi.

A więc to było jego czterdzieści srebrników.

Obietnica wyleczenia.

Ale Gunther był niewzruszony.

– Nie jestem twoim bratem – wycedził ponuro. – I nigdy nie byłem królem.

Painter dostrzegał wyraźną różnicę między tymi dwoma *Sonnenkönige*. Klaus był o dziesięć lat starszy i pierwsze lata przeżył w zamku jako hołubiony przez wszystkich księżę, dopiero później pozbawiono go zaszczytów. Gunther urodził się pod koniec serii eksperymentów, kiedy to konsekwencje w postaci postępującej degeneracji organizmu i powolnego



osuwania się w szaleństwo były już znane. To spowodowało, że od początku był traktowany jak trędowaty i nie znał innego życia.

Ale różniło ich coś jeszcze.

– Swoją zdradą skazałeś Annę na śmierć – ciągnął Gunther. – Osobiście dopilnuję, żebyś to odpokutował, ty i wszyscy twoi kompani.

Mimo to Klaus nie poddawał się, a jego głos przybierał na sile.

– Ją też można wyleczyć. To jest możliwe.

Gunther zmrużył oczy.

Po jego twarzy przemknęły wahanie i cień nagle rozbudzonej nadziei. Nie dla siebie. Dla siostry.

– Ona nie musi umierać – powtórzył Klaus.

Painter pamiętał słowa wypowiedziane po drodze przez Gunthera: „Nie pozwolę, żeby Annę to spotkało. Zrobię wszystko, żeby ją uchronić”. Czy tym „wszystkim” może być zdrada towarzyszy? Nawet wbrew woli siostry?

– Kto ci obiecał takie lekarstwo? – rzuciła Anna twardo.

Klaus roześmiał się chrapliwie.

– Ktoś znacznie potężniejszy od bandy mięczaków, jakimi się tu staliście. Najwyższy czas, żeby was usunąć. Odegraliście swoją rolę, ale teraz już koniec.

Rozległ się głośny huk i telefon satelitarny w ręce Paintera rozleciał się na kawałki. Widać podłączony do niego wzmacniacz wywołał zwarcie, a to doprowadziło do eksplozji baterii. Painter upuścił dymiące resztki telefonu, roztarł poparzone palce i spojrzał w niebo przez otwarte wrota hangaru. Pozostawało tylko mieć nadzieję, że wzmacniacz wytrzymał wystarczająco długo.

Wybuch zaskoczył zebranych i wszyscy – nie wyłączając Gunthera – spojrzeli na Paintera.

Klaus wykorzystał chwilową dekoncentrację swojego strażnika i wyszarpnąwszy z pochwy nóż myśliwski, rzucił się na niego. Ten zdążył jednak strzelić, trafiając napastnika

wielkokalibrowym pociskiem w brzuch. Mimo to Klaus zdołał jeszcze przeorać jego ramię ostrzem swego noża.

Gunther syknął, wykonał obrót i rzucił Klause na kamienną podłogę.

Klaus upadł ciężko, ale zdołał się jeszcze przekręcić na bok i docisnąć zdrową rękę do brzucha. Jego rana obficie krwawiła, zakrztusił się i z rany buchnęło jeszcze więcej krwi. Była jasnoczerwona, tętnicowa. Oddany na oślep strzał Gunthera musiał uszkodzić jakiś istotny dla życia organ.

Anna podbiegła do brata. Chciała obejrzeć jego ranę, ale ją odepchnął i wymierzył broń w Klause. Ramię Gunthera krwawiło, krew przesiąkała przez rękaw i kapiała na kamienną posadzkę.

Klaus roześmiał się chrapliwie.

– Wszyscy umrzecie! Udusicie się, kiedy węzeł się zaciśnie!

Zaniósł się konwulsyjnym kaszlem, a wypływająca z rany krew rozlała się w kałużę. Dostał drgawek, raz jeszcze zarechotał i runął twarzą na ziemię. Gunther opuścił pistolet. Widać było, że leżący nie wymaga już pilnowania. Wydał ostatnie tchnienie i znieruchomiał.

Był martwy.

Gunther pozwolił Annie obwiązać ramię naoliwioną szmatą, która miała tymczasowo zatamować krwawienie. Potem będzie czas na właściwy opatrunek.

Painter podszedł do ciała Klause. W całej tej scenie zastanowiło go coś, czego nie umiał zdefiniować. Obecni w hangarze ludzie zbili się w gromadkę i rozmawiali przyciszonymi głosami. Byli wystraszeni, ale w ich zachowaniu pojawił się też cień nadziei. Wszyscy usłyszeli słowa Klause o istnieniu lekarstwa.

Anna podeszła do Paintera.

– Każę technikom zająć się jego telefonem satelitarnym. Może uda się dojść, z kim rozmawiał i kto kierował całą akcją.

– Nie ma na to czasu – mruknął Painter obojętnie. Całą uwagę skupił na rozwikłaniu nękającej go zagadki.

Przypominało to próbę uchwycenia nitki, którą ma się przed oczami, ale której nie można złapać.

Krążył wokół ciała Klause, odtwarzając w myślach jego słowa:

„...możemy znów być królami wśród ludzi”.

„...odegraliście swoją rolę, ale teraz już koniec”.

Próbował złożyć je w całość, czując, że zbliża się kolejny atak bólu.

Klaus został zwerbowany do roli podwójnego agenta. Zrobiono z niego szpiega. Musiał tego dokonać ktoś prowadzący analogiczne badania, ktoś, kto uznał, że kontynuacja prac w zamku nie ma już sensu i należy wyeliminować konkurencję.

– Czy to możliwe, żeby mówił prawdę? – odezwał się Gunther.

Painter pamiętał jego moment wahania, gdy usłyszał o lekarstwie, o przynęcie, która wraz z Klausem przestała istnieć.

Jednak się nie poddawali.

Anna przyklękła i wyciągnęła z kieszeni Klause niewielki telefon satelitarny.

– Musimy działać szybko – powiedziała.

– Możesz jej pomóc? – spytał Gunther, wskazując głową telefon.

Ich jedyna nadzieja leżała w dowiedzeniu się, z kim rozmawiał Klaus.

– Gdyby udało się prześledzić to połączenie... – zaczęła Anna, podnosząc się.

Painter pokręcił głową, choć nie na znak odmowy. Uciskał palcami oczy, czując, jak w oczodołach wzbiera pulsujący ból. Zaczynał się kolejny ostry atak migreny. Ale i to nie było przyczyną kręcenia głową.

Czuł, że jest blisko... że to coś jest tuż-tuż...

Anna złapała go za łokieć.

– Przecież w naszym wspólnym interesie jest, żeby...

– Wiem – prychnął niecierpliwie. – Zostaw mnie. Daj mi pomysłu.

Z rezygnacją opuściła rękę.

Jego zachowanie spowodowało, że w hangarze zapadła cisza. Starał się wydobyć na wierzch coś tkwiącego w zakamarkach jego umysłu. I tak jak przy przestawieniu cyfr w numerze telefonu czuł, że jego sprawność umysłowa zaczyna szwankować.

– Telefon satelitarny... coś związanego z telefonem... – wyszeptał. Już tylko siłą woli nie poddawał się nadchodzącemu atakowi migreny. – Tylko co?

– Ale o co chodzi? – spytała cicho Anna.

I nagle wszystko stało się jasne. Jak mógł być aż tak ślepy?

Opuścił ręce i otworzył oczy.

– Przecież Klaus wiedział, że w zamku działa system nasłuchu elektronicznego. Więc dlaczego zdecydował się na tę rozmowę? Dlaczego zaryzykował, że ktoś go namierzy?

Painter poczuł, że zlewa go zimny pot. Zwrócił twarz ku Annie.

– Ta pogłoska. Że znaleźliście ukryty zapas Xerum pięćset dwadzieścia pięć. Kto oprócz nas wiedział, że wiadomość jest nieprawdziwa? Że dodatkowe ilości płynnego metalu tak naprawdę nie istnieją?

Słowa Paintera wywołały wyraźne poruszenie wśród zgromadzonych, rozległo się nawet kilka groźnych pomruków. Wiadomość rozbudziła nadzieję, że uda się zbudować drugi Dzwon, a teraz ta nadzieja prysła.

Ale widać nie oni jedni w to uwierzyli.

– Tylko Gunther znał prawdę – odrzekła Anna, potwierdzając tym najgorsze obawy Paintera.

Rozejrzał się nerwowo, starając się przywołać w myślach oglądany wcześniej plan zamku. Już wiedział, po co Klaus dzwonił i dlaczego właśnie stąd. Łajdak myślał, że uda mu się zamydlić wszystkim oczy, i tak był pewien swego, że nawet nie pozbył się telefonu. I specjalnie wybrał to miejsce.

– Gdzie rzekomo znajdował się schowek, w którym znaleziono zapas Xerum pięćset dwadzieścia pięć? Jak to się stało, że udało mu się przetrwać wybuch Dzwonu?

– Ogłosiłam, że był schowany w sejfie.

– W jakim sejfie?

– W moim gabinecie, daleko od miejsca wybuchu. A co?

A więc dokładnie na drugim krańcu zamkowego labiryntu.

– Wywiedli nas w pole – rzekł Painter. – Klaus dzwonił stąd, wiedząc, że cały teren zamku jest monitorowany. Zrobił to, żeby nas tu zwabić. Odwrócić uwagę od gabinetu, sejfu i jego rzekomej zawartości. Od zapasu Xerum pięćset dwadzieścia pięć.

Anna pokręciła głową, nic nie rozumiejąc.

– Klaus wystąpił w roli przynęty. Ich prawdziwym celem było przejęcie zapasu Xerum.

Anna wlepiła w niego zdumione oczy.

Dotarło to też do Gunthera, bo wykrzyknął:

– To znaczy, że jest ktoś jeszcze!

– I gdy my próbujemy namierzyć dzwoniącego, ktoś inny szuka Xerum.

– W moim gabinecie! – zawołała Anna.

Uświadomienie sobie, co go tak dręczyło i powodowało przyspieszone bicie serca i mdłości, było jak uderzenie obuchem w głowę. Jest przecież ktoś, kto przeszkadza w realizacji tego planu i kogo sabotażysta będzie musiał się pozbyć.

Lisa postanowiła przeszukać półki na piętrze. Wspięła się po żelaznej drabince na chybotliwą galeryjkę i trzymając się poręczy, obchodziła bibliotekę.

Ostatnią godzinę strawiła na szukaniu naukowych opracowań poświęconych mechanice kwantowej. Natknęła się nawet na oryginalną rozprawę Maksa Plancka, ojca teorii kwantowej, w której opisywał zdumiewający świat cząstek elementarnych. Świat, w którym można było dzielić energię na maleńkie porcje zwane kwantami i w którym materia elementarna miała równocześnie cechy cząsteczek i fal.

Aż rozbolała ją od tego głowa.

Bo jaki to wszystko ma związek z ewolucją?

Czuła, że w odpowiedzi na to pytanie tkwi klucz do całej sprawy.

Zdjęła z półki kolejną książkę i zaczęła studiować zatarty napis na okładce.

Może ta się do czegoś przyda.

Nagle uwagę Lisy zwrócił hałas za drzwiami. Wiedziała, że stoi za nimi strażnik. Czy to znaczy, że już po wszystkim i Anna wraca? Czy udało się złapać sabotażystę? Ruszyła w stronę drabinki. Miała nadzieję, że Annie towarzyszy Painter. Nie lubiła, kiedy ich rozdzielano. A poza tym miała nadzieję, że może jemu uda się coś zrozumieć z tych dziwnych teorii na temat materii i energii.

Dotarła do drabinki i już wyciągała nogę, by postawić ją na pierwszym szczeblu, gdy zza drzwi dobiegł krzyk. Trwał ułamek sekundy i ucichł równie nagle, jak się rozległ. Zamarła w bezruchu.

Krzyknął ktoś tuż za drzwiami. Lisa cofnęła się i rozpląszczyła na podłodze galeryjki Metalowa podłoga była ażurowa i nie stanowiła dobrej osłony. Wtuliła się w kąt pod półką z książkami, kryjąc się przed światłem umieszczonych pod galeryjką kinkietów.

Leżąc nieruchomo, słyszała, jak drzwi gabinetu otwierają się i ktoś wchodzi. Kobieta w białej kurtce, ale nie Anna. Zrzuciła kaptur i ściągnęła z twarzy szal. Miała długie białe włosy i była upiornie blada.

Wróg czy swój?

Na wszelki wypadek Lisa postanowiła pozostać w ukryciu.

Kobieta poruszała się z absolutną pewnością siebie. Omiotła spojrzeniem gabinet, wykonując obrót, i wtedy Lisa dostrzegła, że jedna strona jej białej kurtki jest zbryzgana krwią. W ręce trzymała katanę – japoński miecz, z którego ostrza kapłała krew.

Kobieta nie przestawała się obracać, wykonując zwinne, niemal taneczne ruchy.

Szukała kolejnej ofiary.

Lisa prawie przestała oddychać, modląc się, by cień rzucany przez półki okazał się wystarczający. Dół gabinetu oświetlało kilka lamp i dodatkowo płomienie na palenisku, ale na szczęście góra tonęła w mroku.

Czy to jednak wystarczy, by ją osłonić?

Lisa patrzyła, jak kobieta wykonuje kolejny piruet i zamiera bez ruchu z gotowym do ciosu zakrwawionym mieczem.

Najwyraźniej uspokojona, po chwili ruszyła w stronę biurka Anny. Nie zainteresowała się leżącymi na nim papierami, bez wahania obeszała biurko. Uniosła wiszącą na ścianie kotarę, spod której ukazały się masywne czarne drzwiczki dużego sejfu wmurowanego w ścianę.

Odsunąwszy kotarę, uklękła i zaczęła studiować szyfrowy zamek, obmacując blokady i krawędzie drzwiczek.

Widząc, że cała uwaga kobiety skoncentrowana jest na sejfie, Lisa po raz pierwszy od dłuższej chwili odważyła się głębiej odetchnąć. Bez względu na to, kto i co chce tu ukraść, nie miała zamiaru się do tego wtrącać. Niech sobie ta kobieta zabierze to, po co tu przyszła, i niech się wynosi. A jeśli wchodząc tu, wyeliminowała pilnujących gabinetu strażników, Lisa może nawet na tym skorzystać. I gdyby udało jej się znaleźć telefon, może byłaby szansa...

Usłyszała za plecami donośny hałas.

Kilka metrów od niej stojąca na półce księga przechyliła się i z hukiem spadła na żelazną podłogę galeryjki. Lisa poznała ją z daleka. To ta, którą chwilę temu wysunęła do połowy i którą w pośpiechu zapomniała wsunąć. Reszty dokonało prawo ciężenia.

Kobieta na dole jednym susem wyskoczyła zza biurka i stanęła na środku gabinetu.

W jej drugiej dłoni pojawił się pistolet, który wymierzyła w galeryjkę.

Lisa nie miała gdzie się schować.

## **Büren, Niemcy**

### **Godzina 9.18 czasu miejscowego**

Gray otworzył drzwi samochodu i już miał do niego wsiąść, gdy za plecami usłyszał wołanie. Obejrzał się i zobaczył Ryana Hirszfelda, który z otwartym parasolem biegł w jego stronę. Znowu zagrzmiało i kolejny strumień deszczu lunął na opustoszały dziedziniec.

– Wsiadajcie. – Gray machnął ręką na Monka i Fionę.

Sam został przy samochodzie i poczekał na młodzieńca.

– Jedziecie może do zamku... do Wewelsburga? – zapytał chłopak, unosząc parasol i osłaniając nim Graya.

– Tak, a co?

– Moglibyście mnie podwieźć?

– Nie sądzę, żeby...

– Pytaliście o pradziadka Hugona... Mogę mieć dla was trochę informacji. Wystarczy mnie tylko podwieźć na górę.

Gray się zawahał. Pewnie młody człowiek podsłuchiwał ich rozmowę z Johannem, ale cóż mógł wiedzieć takiego, czego nie wiedział jego ojciec? Szalę przeważało jasne, szczere spojrzenie chłopaka.

Gray otworzył tylne drzwi wozu.

– *Danke*. – Ryan złożył parasol i wsunął się na siedzenie obok Fiony.

Gray usiadł za kierownicą i chwilę potem jechali wąską wyboistą drogą.

– Nie powinieneś siedzieć w domu i pilnować interesu? – zainteresował się Monk, odwracając głowę.

– Alicia mnie zastąpi. Przez tę burzę i tak wszyscy grzeją się przy ogniu.

Gray obserwował w lusterku twarz młodzieńca, który pod ostrzałem spojrzeń Fiony i Monka zdawał się nieco tracić pewność siebie.

– To co nam chcesz powiedzieć? – zapytał.



Ryan podniósł wzrok na lusterko, skinął głową i przełknął ślinę.

– Ojcu się zdaje, że nic nie wiem o pradziadku Hugonie. Uważa, że najlepiej zostawić przeszłość w spokoju, *ja?* Ale ludzie pamiętają i gadają. O ciotce Toli też.

Gray to rozumiał. Wiedział, że tajemnice rodzinne potrafią wypływać na wierzch niezależnie od tego, jak bardzo byśmy chcieli je ukryć, a błysk w oczach Ryana świadczył o tym, że naprawdę interesuje się wojennymi losami swych przodków.

– Prowadzisz własne badania nad rodzinną przeszłością?

Ryan pokiwał głową.

– Już od trzech lat. Ale zaczęło się wcześniej. W czasach zburzenia muru berlińskiego i rozpadu Związku Radzieckiego.

– Nie rozumiem – mruknął Gray.

– Pamięta pan, jak Rosjanie odtajnili niektóre stare akta sowieckie?

– Mniej więcej. I co z tego?

– No więc, kiedy zaczęto odbudowę Wewelsburga...

– Zaraz, moment – przerwała mu Fiona. Siedziała dotąd nieruchomo z rękami skrzyżowanymi na piersiach, jakby urażona wtargnięciem intruza na jej teren. Gray przyłapał ją jednak na paru ukradkowych spojrzaniach, którymi wyraźnie taksowała chłopaka, i zastanawiał się, rozbawiony, czy Ryan ma jeszcze portfel. – Odbudowę? To znaczy, że odbudowali to okropieństwo?

Ryan przytaknął i razem z innymi spojrzął na sylwetkę zamku, który właśnie pojawił się w ich polu widzenia. Gray włączył kierunkowskaz i skręcił w Burgstrasse, ulicę prowadzącą prosto do zamku.

– Pod koniec wojny Himmler kazał wysadzić go w powietrze. Zachowała się tylko Wieża Północna. Po wojnie przystąpiono do odbudowy, częściowo miało to być muzeum, częściowo schronisko młodzieżowe. Ojciec wciąż jeszcze to przeżywa.

Gray pomyślał, że trudno mu się dziwić.

– Odbudowę zakończono w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym dziewiątym – ciągnął Ryan. – Kolejni

kustosze muzeum latami naprzykrzali się rządowi byłych państw sojuszników, domagając się, by przekazywały im dokumenty i wszelkie materiały dotyczące zamku.

– W tym też Rosjanom – upewnił się Monk.

– *Natürlich*. Gdy tylko Rosjanie odtajнили swoje archiwa, obecny kustosz wysłał do Rosji swoich archiwistów. Trzy lata temu wrócili ze stertami dokumentacji dotyczącej rosyjskich działań wojennych na tych terenach. Wyjeżdżając do Rosji, zabrali też z sobą długą listę nazwisk, których mieli szukać w rosyjskich archiwach. Był na niej także mój pradziadek, Hugo Hirschfeld.

– A to dlaczego?

– Był mocno zaangażowany w organizowanie na zamku uroczystych spotkań Stowarzyszenia Thule. Korzystano też z jego bogatej wiedzy o symbolach runicznych, którymi ozdobiono zamkowe pomieszczenia. Korespondował w tej sprawie z samym Karlem Wiligutem, osobistym astrologiem Himmlera.

Gray przypomniał sobie trójzab umieszczony w Biblii, ale zachował milczenie.

– Archiwiści przywieźli z Rosji parę kartonów dokumentów dotyczących pradziadka. Powiadomili o tym ojca, ale on nie wykazał zainteresowania.

– Za to ty jak najbardziej? – domyślił się Monk.

– Chciałem dowiedzieć się czegoś więcej. Zrozumieć, co się wtedy stało... i dlaczego... – Ryan pokręcił głową.

Bywa, że przeszłość chwyta za gardło i nie puszcza.

– I czego się dowiedziałeś? – zapytał Gray.

– Niezbyt dużo. Jeden karton zawierał dokumentację badań prowadzonych w nazistowskim laboratorium, gdzie pradziadek pracował. Był w nim *Oberarbeitsleiterem*, szefem programu badań. – W tonie chłopaka było zmieszanie, ale i zaczepność. – Jednak chyba to, czym się tam zajmowali, nie zostało odtajnione. Dokumentacja w większości obejmowała osobistą korespondencję pradziadka. Z przyjaciółmi i rodziną.

– I ty ją całą przeczytałeś?

Chłopak wolno pokiwał głową.

– W każdym razie dość, żeby stwierdzić, że pradziadek zaczynał mieć wątpliwości co do sensu swojej pracy. Ale nie mógł się wycofać.

– Załatwiliby go – domyśliła się Fiona.

Ryan ze smutkiem pokręcił głową.

– Myślę, że chodziło mu raczej o sam program badań... nie chciał się z nim rozstać. Nie do końca. Zdaje się, że czuł odrazę, a jednocześnie coś go do niego ciągnęło.

Gray pomyślał, że to samo można by powiedzieć o stosunku Ryana do jego rodzinnej przeszłości.

Monk odwrócił się tak gwałtownie, że aż mu coś chrupnęło w karku.

– Tylko co to wszystko ma wspólnego z Biblią Darwina? – prychnął. Znudziły go już te historyczne dygresje i chciał powrócić do głównego wątku rozmowy.

– Natknąłem się na pewien list – odparł Ryan. – Był zaadresowany do mojej stryjecznej babki Toli. Jest w nim mowa o książkach, które pradziadek odesłał do domu. Zapamiętałem go z powodu dość dziwnych sformułowań.

– Jakich mianowicie?

– List jest w zbiorach muzeum. Może do kompletu przydałaby się wam jego kserokopia.

– Nie pamiętasz, co było w nim napisane?

Ryan zmarszczył czoło.

– Tylko jeden fragment. *Perfekcja kryje się w moich książkach, kochana Tolu. Prawda jest zbyt piękna, by pozwolić jej szczeznąć, i zbyt straszna, by puścić ją samopas.*

W samochodzie zapadło milczenie.

– Dwa miesiące później już nie żył.

Gray zadumał się nad znaczeniem usłyszanych słów. *Perfekcja kryje się w moich książkach.* Zapewne chodziło o pięć książek odesłanych do domu na krótko przed śmiercią. Czy odesłał je po to, by zachować coś w tajemnicy? I aby przekazać potomnym prawdę, która jest *zbyt piękna, by pozwolić jej szczeznąć, i zbyt straszna, by puścić ją samopas?*

Spojrzał na twarz Ryana w lusterku.

– Mówiłeś o tym komuś? – zapytał.

– Nie, ale ten starszy pan, który nas odwiedził ze swoją siostrzenicą i siostrzeńcem... ci, którzy przyjechali na początku roku i rozmawiali z ojcem o tych książkach... Wyglądało na to, że oni byli już w zamku i przejrżeli papiery pradziadka. Wydaje mi się, że natknęli się na ten sam list i przyjechali wypytać o te sprawy ojca.

– A ci młodzi... ta siostrzenica i siostrzeniec. Pamiętasz, jak wyglądali?

– Białe włosy. Wysocy. Dobrze zbudowani. Rasowi, jak by powiedział mój pradziadek.

Gray i Monk wymienili spojrzenia.

Fiona odchrząknęła i postukała palcem w wierzch dłoni.

– A mieli tu jakiś znak... tatuaż?

Ryan w zamyśleniu skinął głową.

– Chyba tak. Krótco po ich zjawieniu się ojciec kazał mi wyjść. Tak jak dzisiaj. O takich rzeczach nie rozmawia się przy dzieciach. – Liczył, że zabrzmiałoby to jak żart, ale musiał wyczuć panujące w samochodzie napięcie, bo niespokojnie strzelał oczami na boki. – A co, znacie ich?

– Nasi konkurenci – mruknął Gray. – Kolekcjonerzy, tak jak my.

Chłopaka najwyraźniej to nie przekonało i na jego twarzy nadal malowała się nieufność, ale dał spokój.

Gray raz jeszcze odtworzył w pamięci symbol narysowany w Biblii. Czy to znaczy, że i pozostałe cztery książki zawierają jakieś tajemnicze runy? I czy wiązało się to z programem badań prowadzonych przez Hugona na polecenie nazistów? Czy właśnie o to w tym wszystkim chodzi? Mało prawdopodobne, by celem wizyty bezwzględnych zabójców było ślęczenie nad papierami... chyba że szukali w nich czegoś bardzo wyjątkowego.

A jeśli tak, to czego?

Monk w końcu odwrócił się w stronę przedniej szyby i rozsiadł wygodnie.

– Zdajesz sobie sprawę z tego, że mamy ogon? – mruknął pod nosem.

Gray skinął głową.

Jadący pół kilometra za nimi samochód pojawiał się na szczytach wzniesień, by za chwilę zniknąć w zagłębieniu pofałdowanego terenu. Ten sam, który wcześniej zauważył na pałacowym parkingu. Sportowy śnieżnobiały mercedes. Może to tylko turyści, którzy tak jak oni jadą zwiedzić zamkowe muzeum?

Może.

– Isaaku, chyba nie powinieneś się trzymać tak blisko.

– Już i tak nas zauważyli. – Mężczyzna wyciągnął rękę i przez zalaną deszczem szybę pokazał jadące pół kilometra przed nimi bmw. – Zwróć uwagę, jak zmienił się styl jego jazdy. O ile spokojniej i ostrożniej wchodzi w zakręty. Już wiedzą.

– I o to nam chodziło? Żeby ich zaalarmować?

Isaak spojrzał na siostrę.

– Polowanie udaje się najlepiej, kiedy zwierzyna jest wystraszona – powiedział z uśmiechem.

Jej twarz spochmurniała.

– Myślę, że Hans uważałby inaczej.

Isaak wyciągnął palec i dotknął jej dłoni w geście współczucia. Wiedział, jak potrafi być wrażliwa i uczuciowa.

– Do zamku i z zamku prowadzi tylko ta jedna droga – uspokoił ją. – A na miejscu wszystko jest gotowe. Pozostało nam tylko zagonić ich do pułapki. A im bardziej będą oglądali się za siebie, tym łatwiej przeoczą to, co ich czeka.

Kobieta westchnieniem dała znak, że rozumie i podziela jego zdanie.

– Najwyższy czas zakończyć sprawę i wracać do domu.

– Do domu – powtórzyła i znów westchnęła, tym razem z zadowoleniem.

– Jesteśmy już prawie u mety, Ischke. Musimy tylko cały czas pamiętać o głównym celu. Ofiara Hansa nie może pójść na marne. Przelana przez niego krew zwiastuje nowy poranek, narodziny lepszego świata.

– Tak mówi dziadek.

– I wiesz, że to prawda.

Pochylił głowę w jej stronę. Usta Ischke rozciągnęły się w bladym uśmiechu.

– Ostrożnie z krwią, dziecinko.

Kobieta opuściła wzrok na długie ostrze noża, które bezwiednie wycierała kawałkiem białej irchy. Niewiele brakowało, by rubinowa kropla spadła na nogawkę jej nieskazitelnie białych spodni. Kolejna załatwiona sprawa.

– Dziękuję, Isaaku.

## Himalaje

### Godzina 13.22 czasu miejscowego

Lisa nie spuszczała wzroku z wymierzonego w nią pistoletu.

– *Wer ist dort? Zeigen Sie sich!* – krzyknęła kobieta.

Lisa nie знаła niemieckiego, ale nietrudno było się domyślić, o co chodziło. Wstała powoli i uniosła ręce.

– Nie mówię po niemiecku! – odkrzyknęła.

Spojrzenie kobiety było tak przenikliwe, że Lisa czuła, jakby przewiercał ją laser.

– Jesteś tą Amerykanką – powiedziała kobieta czystą angielszczyzną. – Zejdź. Powoli.

Lufa jej pistoletu nawet nie drgnęła.

Na galerijce brak było jakiegokolwiek zasłony i Lisa praktycznie nie miała wyboru. Podeszła do drabinki, odwróciła się tyłem i zaczęła schodzić. Czując bolesne napięcie w mięśniach ramion i nóg, stając na każdym kolejnym szczeblu, oczekiwała huku wystrzału. Dotarła jednak do samego dołu i nic się nie wydarzyło.

Odwróciła się z rękami lekko odsuniętymi od ciała.

Kobieta ruszyła w jej stronę i Lisa odruchowo się cofnęła. Czowała, że nie zginęła od kuli głównie z jednego powodu: kobieta wolała uniknąć hałasu. Strażników pod drzwiami załatwiła mieczem niemal bezszelestnie. Zdołali tylko krótko krzyknąć.

W drugiej ręce nadal trzymała zakrwawioną katanę.

Może należało jednak zostać na galeryjce. Kobieta musiałaby do niej strzelać jak do tarczy na strzelnicy i odgłos strzałów mógłby ściągnąć odsiecz. Lisa popełniła głupstwo i sama ułatwiła mordercy zadanie, wchodząc w zasięg szabli. W przypływie paniki utraciła jasność myślenia. Ale trudno odmówić komuś, kto trzyma cię na muszce pistoletu.

– Xerum pięćset dwadzieścia pięć – odezwała się kobieta. – Jest w sejfie?

Lisa przez moment zastanawiała się, jak powinna zareagować. Powiedzieć prawdę czy skłamać? Uznała, że ma tylko jedną szansę.

– Anna zabrała. – Machnęła ręką w stronę drzwi.

– Dokąd?

Pamiętała, co mówił Painter, gdy ich złapano. Być potrzebną. Być przydatną.

– Nie znam zamku na tyle, żeby to wytłumaczyć. Ale wiem, jak tam trafić. Mogę... mogę cię tam zaprowadzić. – Jej głos lekko zadrżał. Musi brzmieć bardziej przekonująco. A cóż jest bardziej przekonujące niż stawianie warunków? – Pod warunkiem że pomożesz mi stąd uciec.

Wróg mojego wroga jest moim przyjacielem.

Czy kobieta da się na to nabrać? Była olśniewająco piękna: smukła, z nieskazitelną cerą, pełnymi wargami i błękitnymi oczami, z których biła inteligencja, ale też wyrachowanie.

Budziła w Lisie przerażenie.

Było w niej coś nieludzkiego.

– To mnie zaprowadź – powiedziała kobieta. Schowała pistolet do kabury, ale katanę wciąż trzymała w pogotowiu.

Lisa wolałaby, żeby było odwrotnie.

Kobieta pokazała mieczem drzwi.

Lisa ruszyła wolno w ich stronę, starając się trzymać jak najdalej od zabójczyni. Może po wyjściu na korytarz uda jej się uciec. Właściwie to jej jedyna szansa. Będzie musiała wybrać odpowiedni moment. Jakoś odwrócić uwagę kobiety, wykorzystać chwilę zawahania i rzucić się do ucieczki.

Leciutki podmuch powietrza i mignięcie płomienia na palenisku stanowiły jedyne ostrzeżenie.

Lisa szarpnęła się gwałtownie, ale na nic się to nie zdało. Napastniczka znalazła się tuż obok, poruszając się za jej plecami błyskawicznie i bezszelestnie. I nieprawdopodobnie zwinnie. Ich spojrzenia się skrzyżowały i w ułamku sekundy Lisa zrozumiała, że tamta ani przez chwilę jej nie wierzyła.

Udawanie miało tylko osłabić czujność Lisy.

I skłonić ją do popełnienia ostatniego w życiu błędu.

Świat Lisy stanął w miejscu oślepiiony błyskiem japońskiej stali, którą zabójczyni skierowała prosto w jej serce.

## **Wewelsburg, Niemcy**

### **Godzina 9.30 czasu miejscowego**

Gray wjechał na parking i wybrał miejsce za dużym mikrobusem wycieczkowym firmy Wolters, dzięki czemu ich BMW było niewidoczne od strony wjazdu. Nieopodal znajdowała się otwarta łukowata brama, prowadząca na zamkowy dziedziniec.

– Zostańcie w aucie – zarządził Gray, po czym spojrzał na Fionę i dodał: – Ciebie to też dotyczy, młoda damo.

Fiona skwitowała to nieprzyzwoitym gestem, ale nawet nie odpięła pasa.

– Monk, siadaj za kierownicą i trzymaj silnik na chodzie.

– Tak jest, szefie.

Ryan popatrzył na nich zdumiony.

– *Was ist los?*



– Nic nie jest *los* – mruknął Monk. – Ale na wszelki wypadek trzymaj nisko głowę.

Gray otworzył drzwi. Pędzony wiatrem deszcz, którego bębnienie o bok mikrobusu przypominało serię z karabinu maszynowego, uderzył go w twarz. Gdzieś w oddali przetoczył się grzmot.

– Ryane, mogę pożyczyć twój parasol?

Młodzieniec skinął głową.

Gray wysiadł i otworzywszy parasol, kilkoma susami dopadł mikrobusu. Stał obok tylnych drzwi i zakrył się parasolem. Miał nadzieję, że zostanie wzięty za pracownika firmy turystycznej. Ostrożnie obserwował drogę prowadzącą do zamku.

Wkrótce pojawiły się światła samochodu pokonującego ostatnie wzniesienie.

Chwilę później nadjechał biały sportowy mercedes, który nie zwalniając, minął wjazd na parking i pojechał dalej. Gray obserwował rozmywające się w deszczu tylne światła samochodu oddalającego się w stronę Wewelsburga, maleńkiej osady przytulonej do zamkowych murów. Chwilę później światła zniknęły za zakrętem.

Odczekał pięć minut, nie wychodząc z za mikrobusu, w końcu obszedł go i pokazał Monkowi, że może zgasić silnik. Upewnił się jeszcze, że mercedes nie wraca, i dał znak, że mogą wysiadać.

– Dopadła cię paranoja? – burknęła Fiona. Wyminęła go i ruszyła do wejścia na dziedziniec.

– Jeśli ktoś na ciebie poluje, to nie jest żadna paranoja! – krzyknął za nią Monk. Potem spojrzał na Graya i dodał ciszej: – Czy oni naprawdę na nas polują?

Gray zapatrzył się w ścianę deszczu. Nie lubił takich zbiegów okoliczności, ale nie miał zamiaru wycofywać się tylko dlatego, że ktoś próbuje ich zastraszyć.

– Miej oko na Fionę i Ryana – polecił. – Pogadamy z tym kustoszem, zdobędziemy kopię listu Hirszfelda do córki i zwijamy się.

Monk przyjrzał się nieufnie wznoszącej się nad ich głowami potężnej wieży obronnej zakończonej blankami. Po szarych kamiennych blokach spływały strugi wody, która z hukiem waliła z zielonych rynien. Zaledwie w kilku oknach widać było światło świadczące o tym, że w zamku są żywi ludzie. Reszta budowli tonęła w ciemnościach, tworząc nastrój prawdziwej grozy.

– Tylko żeby było jasne – mruknął Monk. – Jak zobaczę choćby jednego pieprzonego nietoperza, to od razu mnie nie ma.

## **Himalaje**

### **Godzina 13.31 czasu miejscowego**

Lisa widziała błysk ostrza śmigającego ku jej piersi. Wszystko trwało mgnienie oka, ale czas jakby się zagęścił i zwolnił. A więc tak wygląda śmierć.

Śmiertelną ciszę przerwały brzęk tłukącego się szkła i cichy odgłos strzału, które dotarły do niej gdzieś z bardzo daleka. Dużo bliżej, tuż przed nią, gardło napastniczki zamieniło się w gejzer krwi i odłamków kości, a jej głowa poleciała do tyłu.

Jednak nawet to nie zatrzymało śmiertelnego ciosu.

Klinga miecza uderzyła Lisę w klatkę piersiową, przecięła skórę i zatrzymała się na obojczyku. Cios został jednak pozbawiony impetu, a rękojeść katany wysunęła się z martwiejących palców zabójczyni.

Lisa zatoczyła się do tyłu, jakby nagle uwolniona od paraliżującego strachu.

Miecz z japońskiej stali wykonał salto i uderzając w podłogę, zadźwięczał czysto jak dzwon. Tuż obok niego upadło ciało kobiety.

Lisa cofnęła się. Czuła się odrętwiała i pozbawiona sił.

Usłyszała brzęk rozbijanego szkła i czyjeś słowa, docierające do niej jak spod wody.

– Żyjesz? Liso...

Uniosła głowę i spojrzała za siebie w stronę jedyne okna w bibliotece. Najpierw dostrzegła leżące na podłodze odłamki matowej szyby, potem w otworze okolonym kawałkami szkła pojawiła się twarz.

Painter.

Za jego plecami widać było gnane wiatrem, wirujące płatki śniegu. Z góry zjechało coś wielkiego i ciemnego. Śmigłowiec z liną zakończoną uprzężą.

Lisie zrobiło się słabo i padła na kolana.

– Zaraz tam będziemy – usłyszała głos Paintera.

Pięć minut później Painter pochylał się nad ciałem współpracownika sabotażysty, Anna klęczała na jednym kolanie i obszukiwała zwłoki. Obok paleniska siedziała na krześle Lisa. Zdjęła sweter i rozpięła bluzkę. Pod stanikiem widać było krwawiące, kilkucentymetrowe rozcięcie skóry, które przy pomocy Gunthera sama zdezynfekowała i teraz opatrywała. Miała szczęście. Drut usztywniający biustonosz zapobiegł głębszej penetracji ostrza miecza i praktycznie ocalił jej życie. Hasło reklamowe o gwarantowanej przez stanik większej pewności wyjątkowo dobrze się sprawdziło.

– Żadnych papierów, pełna anonimowość – oświadczyła Anna, podnosząc wzrok na Paintera. Dostrzegł w jej oczach coś na kształt pretensji. – Potrzebni nam byli żywi sabotażyści.

– Celowałem w ramię – powiedział niemal przepaszająco.

Zrezygnowany, pokręcił głową. Zjazd w uprzęży wywołał u niego straszny zawrót głowy, ale Painter nie mógł czekać, aż przejdzie. Ledwo zdążyli tu dolecieć z drugiej strony góry. Dotarcie na czas korytarzami nie wchodziło w rachubę i jedyną szansą było oblecenie góry śmigłowcem i opuszczenie kogoś na linie.

Anna nie była dobrym strzelcem, Gunther musiał siedzieć za sterami śmigłowca.

Został więc tylko Painter.

Walcząc z zawrotami głowy i podwójnym widzeniem, podczołgał się do okna i w miarę możliwości dokładnie wycelował. Musiał się spieszyć, bo przez otwór po wybitej szybie zobaczył, że kobieta właśnie zamierza się na Lisę kataną.

Nie czekając dłużej, strzelił.

Wiedział, że ten strzał może ich drogo kosztować – łącznie z utratą szansy na dowiedzenie się, kto kierował sabotażem – ale nie zawahał się ani na moment. Widział przerażenie na twarzy Lisy i mimo swego stanu od razu wystrzelił. Jeszcze teraz kręciło mu się w głowie i nagle zmroziła go przerażająca myśl.

A gdyby trafił w Lisę? Ile potrwa, zanim jego poczynania zaczną przynosić więcej szkody niż pożytku? Szybko odpędził tę myśl.

Przestań załamywać ręce i weź się do roboty.

– A może chociaż jakieś znaki szczególne? – zapytał, powracając do gry.

– Tylko to. – Anna wykręciła rękę kobiety i pokazała wierzch jej dłoni. – Poznajesz?

Na śnieżnobiałej skórze widać było czarny tatuaż. Cztery zachodzące na siebie pętle.

– Wygląda mi to na jakiś celtycki symbol, ale nie wiem, co znaczy.

– Ani ja. – Anna pokręciła głową i puściła rękę.

Painter zauważył jednak coś jeszcze. Ukląkł przy zwłokach i ponownie wykręcił jeszcze ciepłą dłoń. Na małym palcu kobiety nie było paznokcia, a zamiast niego widać było bliznę. Drobną skaza, ale dość charakterystyczną.

Anna ujęła dłoń kobiety i potarła miejsce po paznokciu.

– Suche... – powiedziała, marszcząc brwi. Uniosła głowę i spojrzała na Paintera.

– Czy to znaczy to, co podejrzewam? – zapytał.

Anna przeniosła spojrzenie na twarz denatki.

– Żeby się upewnić, musiałabym przeprowadzić badanie siatkówki. Sprawdzić, czy w okolicach nerwu wzrokowego

występują krwawe wybroczyny.

Ale Painterowi wystarczyło to, co zobaczył: nadludzką szybkość i zwinność, z jaką kobieta poruszała się po gabinecie Anny.

– To jedna z waszych *Sonnenkönige* – stwierdził.

Lisa i Gunther podeszli.

– Z naszych na pewno nie – zachnęła się Anna. – Jest na to o wiele za młoda. I zbyt doskonała. Ten, kto ją stworzył, musiał korzystać z naszych najnowszych technik. Tych, które wypracowaliśmy w ciągu ostatniej dekady za pomocą metod *in vitro*. Ktoś je wykorzystał do eksperymentów na ludziach.

– Czy ktoś mógłby to zrobić tutaj, bez twojej wiedzy... niejako po godzinach?

Anna pokręciła głową.

– Uruchomienie Dzwonu wymaga ogromnej ilości energii. Musielibyśmy to zauważyć.

– Więc jest tylko jedno wytłumaczenie.

– Że stworzono ją gdzieś indziej. – Anna podniosła się z klęczek. – A więc ktoś dysponuje sprawnym Dzwonem.

Painter pozostał przy zwłokach i raz jeszcze przyjrzał się dokładnie miejscu po paznokciu i tatuażowi na wierzchu dłoni.

– Ktoś, kto bardzo chciał się was pozbyć – mruknął pod nosem.

Wszyscy zamilkli.

W ciszy, jaka zapadła, dało się słyszeć cichutkie, niemal niezauważalne pikanie. Dźwięk wyraźnie dobiegał z ciała lub jego okolic i Painter dopiero teraz zdał sobie sprawę, że słyszał go już kilkakrotnie, tylko w panującym zamieszaniu nie zwrócił na niego uwagi.

Podciągnął rękaw kurtki denatki.

Na jej przegubie zobaczył cyfrowy zegarek z pięciocentymetrowym cyferblatem na szerokim skórzanym pasku. Painter przyjrzał się czerwonej tarczy z obracającym się holograficznym sekundnikiem. Pośrodku świeciły cyfry:

**01:32**

Z każdym skokiem sekundnika liczba sekund malała.

Jeszcze półtorej minuty.

Painter rozpiął pasek zegarka i obejrzał go od środka. W skórę wtopione były dwa srebrne styki. Monitor pracy serca. Gdzieś wewnątrz zegarka musi znajdować się mikronadajnik.

– Co robisz? – zainteresowała się Anna.

– Sprawdziłaś, czy nie ma na sobie ładunków wybuchowych?

– Jest czysta. A co?

Painter wyprostował się i zaczął szybko mówić.

– Była podłączona do monitora pracy serca. Gdy ustało jego bicie, monitor wysłał sygnał alarmowy. – Spojrzał na trzymany w ręce zegarek. – To nie zegarek, to timer.

Uniósł go i pokazał towarzyszom.

**01:05**

– Klaus i ta kobieta od dawna mieli dostęp do wszystkich waszych urządzeń, mieli więc dość czasu, żeby się zabezpieczyć w razie wpadki. – Uniósł czasomierz. – Coś mi mówi, że lepiej nie być w pobliżu, kiedy na tarczy ukaże się zero.

Sekundnik zakończył pełny obrót i znów dało się słyszeć ciche piknięcie.

**00:59**

Została niecała minuta.

– Wynośmy się stąd. I to już!

## CZARNY CAMELOT

### **Wewelsburg, Niemcy** **Godzina 9.32 czasu miejscowego**

– Początkowo zadaniem SS było ochranianie Hitlera – powiedział po francusku przewodnik oprowadzający grupę zmokniętych turystów. – Świadczy o tym sam skrót, który pochodzi od niemieckiego słowa *Schutzstaffel*, co znaczy „oddział strażniczy”. Dopiero Himmler kazał później zmienić nazwę na Czarny Zakon.

Gray usunął się na bok i przepuścił wycieczkę. W oczekiwaniu na kustosza wysłuchał wystarczająco dużo wyjaśnień przewodnika, by mieć jako takie pojęcie o historii tego miejsca. Poznał też kilka ciekawostek jak na przykład taka, że Himmler wydzierżawił cały zamek za jedną reichsmarkę, by następnie wydać ćwierć miliarda na jego przebudowę i przekształcenie w prywatny Camelot, co i tak było niczym w porównaniu z cierpieniami i krwią przelaną przez ludzi zatrudnionych przy budowie.

Gray zatrzymał się przy oszklonej gablocie z więziennym pasiakiem z obozu koncentracyjnego w Niederhagen.

Z zewnątrz wciąż dochodziły grzmoty, od których brzęczały szyby w oknach.

Wycieczka poszła dalej i głos przewodnika rozpląnął się w stłumionym gwarze nielicznych zwiedzających, którzy pewnie przeczekiwali burzę.

Monk stał z Fioną, bo Ryan poszedł ściągnąć kustosza. Nachylał się nad jedną z gablot i przyglądał niesławnemu pierścieniowi *Toten Kopf* – srebrnej obrączce noszonej przez oficerów SS. Miała wygrawerowane runy i trupa czaszkę z piszczelami. Sztuka ociekająca ponurą symboliką władzy.

W sali znajdowało się wiele eksponatów z tamtych lat: miniatury, fotografie ukazujące życie codzienne, mundury i odznaki SS, a nawet niewielki dziwaczny dzbanek do herbaty, należący niegdyś do Himmlera. Ozdobiony był symbolem słońca w aureoli rozchodzących się promieni.

– A oto i pan kustosz – mruknął Monk, ruszając w jego kierunku. Skinął głową przysadzistemu mężczyźnie, który wyłonił się z zaplecza w towarzystwie Ryana.

Kustosz miał około sześćdziesiątki, przetykane siwizną ciemne włosy i wygnieciony czarny garnitur. Zbliżywszy się, zdjął okulary i podał rękę Grayowi.

– Doktor Dieter Ulmstrom – przedstawił się. – Kustosz Historisches Museum des Hochstifts Paderborn. *Wilkommen*.

Ponura mina kontrastowała ze słowami powitania.

– Ryan poinformował mnie – ciągnął – że przyjechaliście w sprawie znaków runicznych znalezionych w jakiejś starej książce. To intrygujące.

I tym razem słowa nie pasowały do wyrazu jego twarzy, z którego wynikało, że jest bardziej zdenerwowany niż zaintrygowany.

– Nie zabierzemy panu dużo czasu – zapewnił go Gray. – Chcielibyśmy tylko spytać, czy mógłby pan zidentyfikować i objaśnić nam pewien konkretny symbol runiczny.

– Oczywiście. Jeśli kustosz muzeum w Wewelsburgu musi być z czymś za pan brat, to na pewno z nordyckimi runami.

Gray wyciągnął rękę do Fiony, by wziąć od niej Biblię.

Odchylił tylną okładkę i podsunął kustoszowi pod oczy.





Doktor Ulmstrom ściągnął usta, włożył okulary i pochyliwszy głowę, wpatrzył się w rysunek wykonany przez Hugona Hirszfelda.

– Czy mógłbym zajrzeć do tej książki, *bitte*?

Gray przez sekundę zawahał się, ale kiwnął przyzwalająco głową.

Kustosz przekartkował strony, zatrzymując się przy kurzych łapkach na marginesach.

– W Biblii... to bardzo dziwne.

– Chodzi mi o ten symbol na końcu – przypomniał Gray.

– Tak, oczywiście. To runiczny symbol *Mensch*.

– *Mensch* – powtórzył Gray. – Jak po niemiecku „człowiek”?

– *Ja*. Proszę zwrócić uwagę na kształt. Przypomina szkicowo narysowanego człowieka bez głowy. – Kustosz cofnął się do wcześniejszych stron. – Pradziadek Ryana musiał mieć obsesję na punkcie symboli kojarzących się z praojcem.

– Mógłby pan to wyjaśnić? – poprosił Gray.

Ulmstrom wskazał jeden z symboli wewnątrz Biblii.



– Ten znak reprezentuje *k* – wyjaśnił – przez anglosasów zwane też *cen*. To wcześniejszy znak symbolizujący „człowieka”, ale tylko z dwoma uniesionymi ramionami. Bardziej prymitywna wersja. W innym miejscu mamy jego lustrzane odbicie. – Przerzucił kilka stron do przodu i wskazał kolejny rysunek.



– Te dwa rysunki stanowią jakby połówki jednej całości. Jak jin i jang. Kobieta i mężczyzna. Światło i ciemność.

Gray skinął głową. Przypomniało mu to dyskusję z Angiem Gelu, którą odbył w ramach pobieranych u mnicha nauk. Rozmawiali o zasadzie dwoistości funkcjonującej we wszystkich społeczeństwach. Wspomnienie to uzmysłowiło mu, że wciąż nic nie wie o losie Paintera Crowe’a. Nadal brak było wiadomości z Nepalu.

Monk postanowił powrócić do głównego wątku.

– Ale co to ma wspólnego z tym, jak go pan nazwał, praojcem?

– Wszystkie trzy znaki runiczne są ze sobą powiązane. W sposób symboliczny. Ten duży, zwany *Mensch*, jest często uznawany za symbol Thora, boga północnych Germanów, dawcy życia i wyższej formy istnienia. Czegoś, do czego wszyscy dążymy.

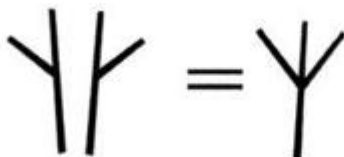
W umyśle Graya zaczęło się powoli rysować rozwiązanie zagadki.

– A te dwa wcześniejsze symbole, runy *k*, są dwiema częściami znaku *Mensch*.

– Jak to? – Monk się skrzywił.

– O tak – wtrąciła Fiona, też już zaczynając rozumieć. Wyciągnęła palec i zaczęła rysować na pokrytej kurzem szybie gabloty.

– Jak się złoży do kupy te dwa, to otrzyma się znak *Mensch*. Jak w puzzlach.



– *Sehr gut* – pochwalił ją kustosz, stukając palcem w dwa pierwsze symbole. – Te dwa reprezentują zwykłego człowieka, który w swej dwoistości łączy się, tworząc praojca, istotę wyższego rzędu. – Ulmstrom oddał Grayowi Biblię i pokręcił głową. – Widać, że symbolika runów wyraźnie zafascynowała pradziadka Ryana.

Gray przyjrzał się rysunkowi na tylnej okładce.

– Ryanie, twój pradziadek był biologiem, tak?

Ryan się skrzywił. Był w tym wszystkim wyraźnie zagubiony.

– *Ja*. Moja stryjeczna babka Tola też.

Gray w zamyśleniu pokiwał głową. Nazistów zawsze fascynował mit nadczłowieka – praojca, który miał dać początek aryjskiej rasie. Czy te wszystkie rysunki świadczą więc tylko o wierze Hugona w dogmaty nazizmu? Gray nie był skłonny w to uwierzyć. Pamiętał relację Ryana o listach pradziadka, z których przebijało rosnące rozczarowanie uczonego, a także o dziwnym liście do córki, w którym była mowa o jakiejś tajemniczej prawdzie. Zbyt pięknej, by pozwolić jej umrzeć, i zbyt strasznej, by ją uwolnić.

List pisany przez biologa do innego biologa.

Czuł, że wszystko łączy się w całość: runiczne symbole, mit praojca, dawno zarzucone badania naukowe. I cokolwiek to było, widać warto w imię tego zabijać.

– Znak *Mensch* – ciągnął Ulmstrom – żywo interesował też samych nazistów. Przemianowali go nawet na *Leben-rune*.

– Symbol życia? – upewnił się Gray. Słowa kustosza skierowały jego myśli ku teraźniejszości.

– *Ja*. Przyjęli go za symbol swojego programu *Lebensborn*.

– A co to takiego? – zainteresował się Monk.

– Nazistowski program hodowania ludzi – wyjaśnił Gray. – Fermy hodowlane służące do chowania jasnowłosych i niebieskookich dzieci.

Kustosz pokiwał głową.

– Ale zgodnie z zasadą dwoistości znaku *k*, *Leben-rune* ma też swoje lustrzane odbicie. – Gestem ręki pokazał, że Gray ma obrócić Biblię do góry nogami. – *Leben-rune* ustawiony

odwrotnie staje się swoim przeciwieństwem. Nosi wtedy nazwę *Toten-rune*.

Monk spojrzał pytająco na Graya.

– Symbol śmierci – przetłumaczył Gray.

## Himalaje

### Godzina 13.37 czasu miejscowego

Śmiertelne odliczanie trwało.

**0:55**

Painter trzymał w ręce tykający czasomierz.

– Nie ma czasu na ucieczkę pieszo. Nie zdążymy się ewakuować ze strefy wybuchu.

– A więc... – zaczęła Anna.

– Śmigłowiec – rzucił Painter, pokazując ręką okno. Czarny a-star, którym tu przylecieli, stał za oknem z jeszcze ciepłym silnikiem.

– Ale cała reszta... – Anna ruszyła do telefonu, by ogłosić alarm.

– *Keine Zeit* – mruknął Gunther, przytrzymując ją za rękę.

Ściągnął z ramienia rosyjski karabin szturmowy A-91, drugą ręką wyciągnął zza paska granat rozrywający i umieścił w czterdziestomilimetrowej lufie granatnika.

– *Hier!* – Ruszył w stronę masywnego biurka Anny. – *Schnell!*

Wyciągnął przed siebie ręce i wycelował karabin w zakratowane okno.

Painter wziął Lisę za rękę i pociągnął za biurko, Anna pospieszyła za nimi. Gunther odczekał, aż wszyscy troje dołączą do niego, i wystrzelił. Z miotacza buchnął strumień gazu.

Cała czwórka skuliła się za biurkiem.

Gunther objął siostrę w pasie, przewrócił na podłogę i przykrył własnym ciałem. Granat eksplodował z ogłuszającym hukiem. Painter poczuł w uszach kłujący ból, Lisa zdążyła swoje zakryć dłońmi. Eksplozja była tak potężna, że

spowodowała przesunięcie masywnego biurka o kilkadziesiąt centymetrów, a na kryjących się za nim ludzi posypały się odłamki skały i kawałki szkła. Pomieszczenie wypełniło się duszącą mieszaniną skalnego pyłu i dymu.

Gunther poderwał Annę na nogi. Nie było czasu na rozmowy. W ścianie biblioteki pojawiła się potężna wyrwa. Eksplozja rozrzuciła dziesiątki książek, z których wiele było w strzępach i płonęło.

Puścili się biegiem w stronę wyrwy.

Dobre czterdzieści metrów dalej, za skalnym załomem stał śmigłowiec. Zaczęli biec w jego stronę, potykając się o wyrwane wybuchem kawałki skał.

Painter wciąż trzymał w dłoni czasomierz, ale nawet na niego nie patrzył. Gunther pierwszy dobiegł do maszyny i jednym szarpnięciem otworzył tylne drzwi. Painter pomógł Annie i Lisie wsiąść, sam wskoczył za nimi.

Gunther zajął miejsce pilota. Wszyscy zapięli pasy i dopiero wtedy Painter rzucił okiem na odczyt. Wiedział, że nie ma to większego znaczenia, bo albo zdążą uciec, albo nie, i emocjonowanie się odczytem i tak niczego nie zmieni.

Patrzył na przeskakujące cyferki. W głowie mu huczało, w oczodoły wwierał się świdrujący ból. Z trudem udało mu się skupić wzrok.

**00:09**

Zostały już tylko sekundy.

Gunther ostro dodał gazu. Painter spojrział w górę na wolno... o wiele za wolno obracające się wirniki, po czym wyrzwał przez okno. Maszyna stała przycupnięta na szczycie stromego, pokrytego śniegiem zbocza. Wszędzie widać było zaspę świeżego puchu, które usypała nocna burza. Niebo zasnuwane było gęstymi chmurami, w kotlinach i rozpadlinach zalegała mroźna mgła.

Z miejsca pilota dotarły do nich rzucane pod nosem przekleństwa. Powietrze było tu bardzo rozrzedzone i śmigłowiec, by wystartować, potrzebował pełnego ciągu wirnika.

**00:03**

Wiadomo już było, że nie zdążą.

Painter sięgnął po dłoń Lisy.

Lekko ją uścisnął i w tym momencie cały świat podskoczył i gwałtownie opadł. Gdzieś z daleka dobiegł stłumiony huk detonacji. Wszyscy wstrzymali oddech w oczekiwaniu, że wybuch zdmuchnie ich na dół. Nic takiego się nie wydarzyło. Może nie będzie tak źle.

Jednak nawis pod nimi oberwał się i śmigłowiec pochylił się dziobem w dół. Wirniki nad ich głowami bezskutecznie młóciły rzadkie powietrze. Cała pokrywa śnieżna zbocza zaczęła sunąć w dół, jakby góra chciała strząsnąć z siebie niepotrzebny balast. Wraz ze śniegiem zaczął się zsuwać ich śmigłowiec.

Maszyna zjeżdżała wolno ku krawędzi urwiska, przez którą przesypywały się zwały śniegu, zamieniając się w coraz potężniejszą lawinę.

Góra znowu zadrżała, wstrząśnięta następną eksplozją...

Helikopter raptownie podskoczył i opadł.

Gunther walczył ze sterami, starając się wydusić maksimum mocy.

Krawędź urwiska była coraz bliżej. Huk spadającego za nią śniegu przebijał się nawet przez ryk silnika.

Lisa wtuliła się w Paintera, zaciskając na jego dłoni zbielełe z wysiłku palce. Anna siedziała wyprostowana i sztywna jak posąg. Na jej twarzy nie malowały się żadne emocje, patrzyła wprost przed siebie.

Siedzący za sterami Gunther w milczeniu wlepił wzrok w zbliżającą się krawędź urwiska.

Śmigłowiec dotarł do krawędzi, przechylił się i runął w chmurze śniegu w dół stromego zbocza. Szarpany nierównościami, nabierał prędkości, kołysząc się na wszystkie strony. Zewsząd otaczały go skalne ściany.

Nikt z pasażerów nie wydał dźwięku, słyhać było tylko wycie czterech wirników pracujących na najwyższych obrotach.

I w tym momencie wirniki złapały nośność. Z szarpnięciem nie większym niż w ruszającej windzie, śmigłowiec poderwał się i wyrównał lot. Gunther warknął coś i maszyna powoli... bardzo powoli zaczęła piąć się w górę.

Tuż pod nimi przez urwisko poleciały resztki lawiny.

Śmigłowiec wzniósł się na tyle wysoko, że można było ocenić zniszczenia zamku. Z wszystkich okien buchały kłęby dymu, wyrwana została brama wejściowa, z lądowiska po drugiej stronie góry bił w niebo potężny słup dymu.

Anna siedziała bez ruchu, zapierając się dłońmi o boczną szybę.

– Blisko sto pięćdziesiąt osób – jęknęła głucho.

– Może ktoś się uratował – wyszeptała Lisa, wpatrując się w obraz zniszczenia.

Ale w dole nic się nie ruszało.

Poza kłębami dymu.

– Powinniśmy... – zaczęła Anna, pokazując zamek.

Jej słowa przerwało jednak coś, co przekreśliło wszelkie nadzieje na podjęcie akcji poszukiwawczej czy ratunkowej.

Ostatecznie.

W otworach okiennych ukazało się oślepiająco białe światło, jak od pioruna, i boczna grań góry rozbłysła, jakby ktoś zapalił gigantyczną lampę łukową. I jak podczas uderzenia pioruna, przez chwilę nie towarzyszył temu żaden dźwięk. Błysk był tak intensywny, że wszyscy na chwilę oślepli.

Painter czuł tylko, że poderwany przez Gunthera śmigłowiec gwałtownie wyrywa do góry. Dopiero teraz dotarł do nich ogłuszający grzmot walących się skał. Nie przypominał huku lawiny. Bardziej trzęsienie ziemi, jakby natarły na siebie dwie płyty tektoniczne.

Śmigłowcem bujnęło niczym komarem na wietrze.

Paitner powoli odzyskiwali wzrok.

Przytknął twarz do szyby i spojrzał w dół.

– Boże święty... – szepnął przerażony.

Widok w większości przesłaniała chmura pyłu skalnego, ale nawet przez nią widać było rozmiar zniszczeń. Cały bok góry

runął do środka, wisząca nad zamkiem granitowa grań przestała istnieć, a wszystko, co było pod nią – zamek i znaczna część góry – jakby rozplynęło się w powietrzu.

– *Unmöglich* – jęknęła zdumiona Anna.

– Słucham? – spytał Painter.

– Taki kataklizm... to musiała być bomba EPZ – powiedziała, zwracając ku niemu niewidzące oczy.

Nie dopytywał się, cierpliwie czekając na wyjaśnienie.

Westchnęła głęboko i zaczęła mówić:

– EPZ. Energia punktu zerowego. Równania Einsteina doprowadziły do powstania pierwszej bomby jądrowej, w której wykorzystano energię kilku atomów uranu. Ale to nic w porównaniu z potencjalną mocą tkwiącą w teorii kwantowej Plancka. Zbudowane na jej podstawie bomby czerpałyby energię bezpośrednio z potęgi Wielkiego Wybuchu.

W kabinie zapadło głucho milczenie.

Anna pokręciła głową i podjęła:

– Wyniki doświadczeń ze źródłem paliwa dla Dzwonu, tym, co nazwano Xerum pięćset dwadzieścia pięć, wskazywały na możliwość wykorzystania energii punktu zerowego do celów militarnych. Ale nigdy na poważnie nie podjęliśmy badań w tym zakresie.

– No i wygląda na to, że zrobił to za was ktoś inny – powiedział Painter. Wciąż miał w pamięci bladolicą zabójczynię.

Anna zwróciła ku niemu stężałą z przerażenia twarz.

– Musimy ich powstrzymać.

– Ale kogo? Kim oni są?

– Coś mi się zdaje, że zaraz się dowiemy – powiedziała Lisa ponuro, pokazując na prawo.

Zza grani pobliskiego szczytu wyłoniły się trzy śmigłowce. Wszystkie były śnieżnobiałe i prawie zlewały się z pokrytą śniegiem i lodem ziemią. Leciały szerokim wachlarzem, kierując się w stronę ich samotnego a-stara.

Painter wiedział wystarczająco dużo o walce powietrznej, by nie mieć wątpliwości, co to oznacza.



Leciały w szyku bojowym.

## **Wewelsburg, Niemcy** **Godzina 9.32 czasu miejscowego**

– Tędy idzie się do Wieży Północnej – poinformował ich doktor Ulmstrom.

Poprowadził Graya, Monka i Fionę w głąb głównego holu. Ryan opuścił ich chwilę wcześniej w towarzystwie szczupłej kobiety w tweedowym kostiumie – jednej z muzealnych archiwistek – z pomocą której poszedł skopiować list Hugona Hirszfelda i inne dokumenty dotyczące jego badań. Gray czuł, że jest już bliski uzyskania odpowiedzi na kilka kluczowych pytań, ale wciąż potrzebował więcej informacji.

I dlatego z ochotą przystał na propozycję oprowadzenia ich po zamku Himmlera przez samego kustosa. W końcu to tu zaczęły się kontakty Hugona z nazistami i Gray czuł, że nie posunie się do przodu, jeśli nie pozna lepiej tła tamtych wydarzeń. A któż opowie o tym lepiej niż kustosz muzeum?

– Żeby zrozumieć nazistów – mówił doktor Ulstrom – należy przestać postrzegać ich w kategoriach partii politycznej. Nazywali się członkami NSDAP, Narodowosocjalistycznej Niemieckiej Partii Robotników, ale tak naprawdę byli sektą.

– Sektą? – zdziwił się Gray.

– Mieli wszystkie cechy sekty, *ja*. Duchowy przywódca, którego zdania nie wolno kwestionować, uczniowie noszący jednakowe stroje, oddający się potajemnie określonym rytuałom i składający przysięgi krwi. I co najważniejsze, posługujący się jednym wspólnym, otaczanym powszechną czcią symbolem, zwanym *Hakenkreuz*. Załamany krzyż, czyli swastyka. Ten symbol w ich oczach był jak chrześcijański krzyż czy gwiazda Dawida.

– Wyznawcy Hari Kriszny na sterydach – mruknął Monk.

– Proszę nie kpić. Naziści doceniali potęgę idei, przewyższającą potęgę karabinów czy rakiet. Wykorzystali ją do wyprania mózgow i podporządkowania sobie całego narodu.

Gdzieś niedaleko niebo przeciął zygzak błyskawicy, rozświetlając zamkowy hol. Zaraz potem rozległ się potężny grzmot, który aż zarezonował wszystkim w brzuchach. Światła w zamku na moment przygasły.

Zatrzymali się w korytarzu.

– Choćby jeden piszczący nietoperz – przypomniał szeptem Monk – nawet nieduży...

Światła na powrót rozbłysły. Ruszyli dalej. Krótki korytarz kończył się oszklonymi zakratowanymi drzwiami.

– *Obergruppenführersaal* – wyjaśnił kustosz. Wyjął z kieszeni okazały pęk kluczy i otworzył drzwi. – Najświętsze miejsce zamku. Ta część nie jest udostępniana zwiedzającym, ale pomyślałem, że może was to zainteresować.

Przytrzymał drzwi i puścił gości przodem.

Wsunęli się kolejno do środka. Deszcz bębnił o szyby okien wokół obszernej okrągłej komnaty.

– Himmler kazał upodobnić to pomieszczenie do zamku Camelot króla Artura. Poleciał nawet wstawić wielki okrągły dębowy stół, przy którym zasiadało dwunastu najważniejszych oficerów jego Czarnego Zakonu, odbywało swoje narady i odprawiało tajemne rytuały.

– Co to jest ten Czarny Zakon? – zapytał Monk.

– Inna nazwa Himmlerowskiego SS. Choć ściślej mówiąc, nazwę *Schwarze Auftrag* – Czarny Zakon – odnoszono do ścisłego kręgu ludzi Himmlera, tajnej kliki jego zauszników, wywodzącej się z okultystycznego Stowarzyszenia Thule.

Gray zastrzygł uszami. Znów Stowarzyszenie Thule. Wiedział, że należeli do niego i Himmler, i pradziadek Ryana, a to mogło mieć jakieś znaczenie. Tajna klika okultystów i naukowców wierzących, że światem rządziła – i znów będzie rządzić – rasa panów.

Kustosz kontynuował swą opowieść:

– Himmler uznawał to pomieszczenie i całą wieżę za duchowe i geograficzne centrum nowego świata aryjskiego.

– Dlaczego akurat to? – spytał Gray.

Ulmstrom wzruszył ramionami i przesunął się na środek komnaty.

– Na tych terenach Germanie pokonali Rzymian, a to stanowiło punkt zwrotny w historii ludów germańskich.

Mniej więcej to samo powiedział ojciec Ryana.

– Ale powodów może być więcej. Krąży wiele legend. Niedaleko znajduje się podobne do Stonehenge zgrupowanie prehistorycznych kamiennych bloków, które nosi nazwę Externsteine. Niektórzy twierdzą, że właśnie pod nim tkwią korzenie Yggdrasila, jesionu, świętego drzewa północnych Germanów. No i do tego opowieści o czarownicach.

– Mordowanych w tym zamku – uzupełnił Gray.

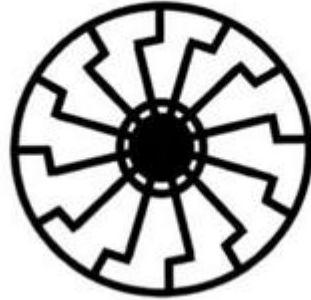
– Himmler wierzył, i być może się nie mylił, że zabijano je tu za pogaństwo i oddawanie się zakazanym nordyckim obrzędom i rytuałom. W jego oczach to, że te mury zostały zbryzgane ich krwią, przyczyniało się do jeszcze większej świętości tego miejsca.

– Czyli, jak mawiają spece od handlu nieruchomościami – mruknął Monk – wszystko jest kwestią lokalizacji, lokalizacji i jeszcze raz lokalizacji.

Ulmstrom zmarszczył niechętnie brwi, ale mówił dalej:

– Niezależnie od wszystkiego, widzicie tu powód istnienia Wewelsburga. – Mówiąc to, wskazał podłogę.

Pośrodku widoczny był kolisty wzór ułożony z ciemnozielonych płytek na białym tle. Przypominał nieco słońce, od którego rozchodziło się dwanaście zygzakowatych błyskawic.



– To *Schwarze Sonne*. Czarne Słońce. – Ulmstrom okrążył wzór. – Ten kształt też jest zakorzeniony w rozmaitych mitach, ale dla nazistów symbolizował krainę pochodzenia ich praocjów. Krainę znaną pod wieloma różnymi nazwami: Thule, Hyperborea, Agartha. W sumie wzór ten symbolizuje słońce, pod którym odrodzi się rasa aryjska.

– Znów wracamy do praocjów – powiedział Gray. Miał w pamięci słowa kustosza o znaku *Mensch*.

– Bo taki był ostateczny cel nazistów... a w każdym razie Himmlera i jego Czarne Zakonu. Zapewnienie narodowi niemieckiemu ponownego osiągnięcia boskiego statusu. Dlatego wybrał ten symbol na herb swego Czarne Zakonu.

Gray zaczynał już rozumieć charakter badań Hugona, naukowca ukształtowanego w atmosferze Wewelsburga. Czy chodziło o jakąś wykoślawioną postać programu *Lebensborn*, jakiś projekt z zakresu eugeniki? Tylko dlaczego tego rodzaju badania sprzed kilkudziesięciu lat miałyby dziś kazać ludziom zabijać? I cóż takiego odkrył Hugo, że uważał za konieczne trzymać to w tajemnicy, zaszyfrowanej w książkach z rodzinnej biblioteki?

Gray pamiętał przytoczony przez Ryana fragment listu Hugona do córki, który napisał krótko przed śmiercią. Pisał w nim o prawdzie *zbyt pięknej, by pozwolić jej szczeznąć, i zbyt strasznej, by puścić ją samopas*. Cóż więc takiego odkrył? I co chciał ukryć przed swymi nazistowskimi mocodawcami?

Błyskawica znów rozświetliła wszystkie okna, dodając Czarnemu Słońcu blasku. Światła przygasły jednocześnie

z grzmotem, który aż zatrzęsł zamkowymi murami. Nie było to najlepsze miejsce na przeczekiwanie burzy.

Światła raz jeszcze gwałtownie rozbłysły i zgasły.

Awaria zasilania.

Na szczęście przez okna wpadało tyle mrocznego światła dziennego, że ciemności nie były nieprzeniknione.

Z oddali dobiegły jakieś pokrzykiwania.

Znacznie bliżej dał się słyszeć głośny metaliczny szczęk.

Oczy wszystkich powędrowały w tamtą stronę.

Drzwi wejściowe zostały zablokowane. Gray sięgnął pod sweter i namacał rękojeść pistoletu.

– To tylko blokada bezpieczeństwa – uspokoił ich Ulmstrom.

– Nie ma się czym przejmować. Zaraz powinno się włączyć zasilanie awaryjne...

Światła zamigotały i rozbłysły na nowo.

– I po wszystkim. – Ulmstrom kiwnął głową. – *Es tut mir Leid* – dodał przepraszająco. – Możemy iść.

Poprowadził ich do wyjścia, ale zamiast pójść prosto w stronę głównego holu, skręcił w bok ku schodom. Widać tura jeszcze się nie skończyła.

– Myślę, że i to pomieszczenie może was zainteresować. Znajdziecie w nim znak *Mensch*, taki sam jak w waszej Biblii.

W korytarzu za plecami usłyszeli szybkie kroki.

Gray się odwrócił. Dopiero teraz uświadomił sobie, że nadal trzyma dłoń na rękojeści pistoletu. Jego czujność okazała się zbyt czuła, bo zza rogu wyłonił się Ryan z grubą brunatną kopertą w ręce.

Dołączył do nich, lekko zdyszany i nieco wystraszony chwilowym brakiem światła.

– *Ich glaube...* – Odchrząknął. – Mam tu wszystkie kopie, łącznie z listem do mojej stryjecznej babki Toli.

Monk wziął od niego kopertę.

– No to możemy się stąd zwijać – mruknął.

I może rzeczywiście należało. Gray spojrział na Ulmstroma, który zatrzymał się na szczycie schodów.

– Jeśli wam się spieszy... – powiedział i zrobił krok w ich stronę.

– Nie, *bitte*. Wspomniał pan coś o znaku *Mensch*. – Gray uznał, że byłoby głupio wyjść, nie wykorzystując takiej okazji.

Ulmstrom wyciągnął rękę i wskazał schody.

– Na dole mieści się jedyna sala w zamku, w której można zobaczyć symbole *Mensch*. Oczywiście ich obecność w tym miejscu nabiera sensu dopiero wówczas, gdy...

– Gdy co?

Ulmstrom spojrział na zegarek i westchnął.

– Chodźmy. Mnie też się już trochę spieszy.

Odwrócił się i ruszył schodami na dół.

Gray przywołał ręką młodych i podążył za kustoszem. Monk obrzucił go niechętnym spojrzeniem i skrzywił się.

– Strasznie tu... wynośmy się stąd – wymamrotał pod nosem.

Gray rozumiał jego zniecierpliwienie. Też czuł się tu nieswojo. Najpierw ten fałszywy alarm z mercedesem, potem zgaśnięcie światła i zablokowanie drzwi. Ale w sumie nie wydarzyło się nic naprawdę niepokojącego, a on nie chciał stracić szansy na dowiedzenie się czegoś więcej o runach i ich związkach z tym miejscem.

Z dołu dobiegł głos Ulmstroma mówiącego do młodych, którzy dotarli już do dolnego podestu.

– Ta komnata znajduje się dokładnie pod *Obergruppenführersaal*.

Gray dołączył do nich, w chwili gdy kustosz otwierał kluczem drzwi. Podobnie jak drzwi do sali wyżej, były zakratowane i zaopatrzone w grubą szybę. Gospodarz przepuścił ich przodem i wszedł za nimi.

Znaleźli się w identycznym okrągłym pomieszczeniu, tyle że pozbawionym okien i oświetlonym tylko kilkoma lampami zamontowanymi na ścianach. Dwanaście granitowych kolumn podtrzymywało kopulasty strop, na którym w samym środku widniała ogromna swastyka.

– To zamkowa krypta – wyjaśnił Ulmstrom. – Zwróćcie uwagę na zagłębienie na środku sali. Służyło do

ceremonialnego palenia tarcz herbowych oficerów SS, którzy stracili życie.

Gray od razu zwrócił na nie uwagę, jak i na to, że mieści się dokładnie pod symbolem swastyki na suficie.

– Jeśli zajrzycie do środka, na bocznych ściankach zauważycie wyryte symbole *Mensch*.

Gray podszedł bliżej i nachylił się nad otworem. Runy rozmieszczone były na kamiennej obudowie studni w miejscach wyznaczających zapewne strony świata. Dopiero teraz dotarło do niego, co Ulmstrom miał na myśli, mówiąc, że obecność runów w tym miejscu nabiera sensu dopiero wtedy, gdy...

Gdy się wie, że wszystkie runy *Mensch* są umieszczone do góry nogami.

*Toten-runes.*

Symbole śmierci.

Rozległ się głośny metaliczny szczęk, identyczny z tym, który słyszeli na górze. Tyle że tym razem to nie była awaria i światło nie zgasło. Gray okręcił się na pięcie. Wiedział już, że popełnił błąd. Ciekawość wzięła górę i osłabiła jego czujność. Dopiero teraz zdał sobie sprawę, że Ulmstrom w ogóle nie ruszył się od drzwi.

Stał teraz za nimi i przekręcał klucz.

Usłyszeli jego głos stłumiony przez grubą, zapewne kuloodporną szybę.

– Teraz się dowiecie, co to naprawdę jest *Toten-rune*.

Chwilę później usłyszeli pstryknięcie i zgasły wszystkie światła. Przy braku okien oznaczało to nieprzeniknioną ciemność.

Ciszę przerwał nagle nowy dźwięk: głośny syk.

Ale nie było to syczenie żmii czy węża.

Gray poczuł na języku charakterystyczny smak.

Gaz.

## Himalaje

### Godzina 13.49 czasu miejscowego

Trzy śmigłowce ustawiły się w szyku bojowym, by zaatakować.

Painter obserwował przez lornetkę, jak nadlatują. Odpiął pas i przecisnął się na fotel drugiego pilota. Udało mu się rozpoznać maszyny – średniej klasy śmigłowce bojowe Eurocopter Tiger, uzbrojone w podwieszane działka i pociski raketowe.

– Mamy tu jakieś uzbrojenie? – zwrócił się do Gunthera.

– *Nein*. – Niemiec podkreślił swą lakoniczną odpowiedź energicznym kręceniem głową.

Nacisnął pedały sterów, ustawił śmigłowiec tyłem do nadlatujących napastników i zwiększył obroty do maksimum. Chciał wykorzystać jedyną przewagę, jaką mieli.

Lżejszy i pozbawiony uzbrojenia a-star był szybszy i zwrotniejszy od maszyn wroga, ale nawet ta ich przewaga miała poważne ograniczenie.

Painter dokładnie przestudiował mapę regionu i wiedział, dokąd lecą. Do granicy chińskiej było stąd tylko około pięćdziesięciu kilometrów.

A to znaczyło, że znaleźli się w potrzasku między ścigającymi ich helikopterami a myśliwcami strzegącymi chińskiego obszaru powietrznego. Można było mieć pewność, że w związku z ciągłymi utarczkami między nepalskimi siłami rządowymi a maoistowskimi rebeliantami granica jest dobrze strzeżona. Znaleźli się więc między młotem a kowadłem.

– Poszła rakietka! – wrzasnęła z tylnego siedzenia Anna, która z głową odwróconą do tyłu obserwowała pogoń.

Jej krzyk nie zdążył jeszcze wybrzmieć do końca, gdy kilka metrów od ich lewej burty przemknęła z ogłuszającym świstem struga ognia i dymu. Pocisk uderzył w pokrytą lodem grań pobliskiego szczytu, wzbijając gejzer ognia i skalnych



odprysków. Duży fragment skały odłamał się i zsunął w przepaść, jakby lodowiec właśnie rodził.

Gunther pochylił śmigłowiec w prawo, umykając spod deszczu odłamków.

Obniżył lot i pognał między dwoma skalnymi grzbietami, które przez chwilę zasłoniły ich przed bezpośrednim atakiem.

– A jakby tak wylądować?! – krzyknęła Anna. – Zaskoczyć ich i uciec pieszo.

Painter pokręcił głową.

– To na nic! – zawołał, starając się przekrzyczeć huk silników. – Znam te maszyny. Są wyposażone w podczerwień. Znajdą nas. A wtedy nie będzie już ratunku.

– No to co robimy?

Piekielny ból znów rozrywał mu głowę, a pole widzenia zwęziło się tak, jakby zamiast oczu miał laser punktowy.

W odpowiedzi wyręczyła go Lisa, która wychylona do przodu, wpatrywała się w kompas.

– Everest – rzuciła.

– Co?

– Lecimy prosto na Everest – Pokazała ręką kompas. – Może moglibyśmy wylądować pod Everestem i wmieszać się w tłum wspinaczy?

Ukryć się w tłumie, pomyślał Painter.

– Burza pokrzyżowała plany wszystkich wypraw – mówiła dalej. – Kiedy stamtąd wyjeżdżałam, w bazie przebywało około dwustu himalaistów, którzy czekali na możliwość rozpoczęcia wspinaczki. W tej liczbie także nepalscy żołnierze. A po pożarze klasztoru mogło ich nawet przybyć.

Mówiąc to, spojrzała wymownie na Annę. Painter wiedział, co czuje. Walczą o życie razem z ludźmi, którzy są odpowiedzialni za spalenie klasztoru. Ale teraz mają do czynienia ze wspólnym, jeszcze groźniejszym wrogiem. Wprawdzie Anna była odpowiedzialna za masakrę w klasztorze, ale jej decyzja została wymuszona przez działania kogoś innego. To zapoczątkowało łańcuch zdarzeń, doprowadzający ich do miejsca, w którym się teraz znajdują.

Painter wiedział też, że na tym się nie skończy. Że to dopiero początek. Manewr mający zamydlić oczy. I że szykuje się coś wielkiego i strasznego. Miał w pamięci słowa Anny: „Musimy ich powstrzymać”.

– A z uwagi na liczbę telefonów satelitarnych i kamer telewizyjnych, nie odważą się zaatakować obozu bazowego – zakończyła Lisa.

– Miejmy nadzieję, że nie. – Painter pokiwał głową. – Bo inaczej narazimy życie wielu niewinnych ludzi.

Lisa opadła na oparcie fotela i zamyśliła się. Painter wiedział, że członkiem wyprawy jest też jej brat. Odwrócił głowę i ich spojrzenia się spotkały.

– Sprawa jest zbyt poważna – powiedziała, czytając w jego wzroku, że on też tak myśli. – Musimy zaryzykować. Świat musi się o tym dowiedzieć.

Painter rozejrzał się po kabinie.

– Bliżej będzie przelecieć na drugą stronę nad szczytem niż wokół masywu Everestu – zauważyła Anna, wpatrując się we wznoszącą się przed nimi ścianę.

– A więc lecimy do bazy, tak? – upewnił się Painter.

Nikt nie miał lepszego pomysłu.

Poza ich prześladowcami.

Z ogłuszającym klekotem zza grani wypadł jeden z trzech śmigłowców i przeleciał tak blisko, że jego płozy niemal zahaczyły o ich wirnik. Wyglądało na to, że pilot jest równie zaskoczony tym spotkaniem jak oni, bo tiger wykonał gwałtowny zwrot i ostro wyrwał w górę.

Ale znów zostali namierzeni.

Painter miał nadzieję, że w trakcie poszukiwań dwa pozostałe śmigłowce odleciały gdzieś daleko, choć wiedział, że jeden tiger wystarczy, by ich pokonać.

Ich bezbronny a-star wyskoczył z wąskiej rynny i wleciał w szerszy korytarz nad kotliną wypełnioną zwałami lodu i śniegu. Znaleźli się na otwartej przestrzeni, nie mieli się za czym ukryć. Pilot tigera postanowił to wykorzystać i z impetem ruszył w ich kierunku.

Chcąc jak najszybciej wydostać się z pułapki, Gunther otworzył do końca przepustnicę i zmienił kąt natarcia ramion wirnika. Mogli liczyć na to, że okażą się szybsi od cięższego tigera, ale na pewno nie od jego rakiet.

Jakby na potwierdzenie tego, zbliżający się od góry tiger otworzył ogień z podwieszonych działek i zasypał gradem pocisków zwały śniegu na dole.

– Nie próbuj się z nim ścigać! – wrzasnął Painter. – Uciekaj tam – pokazał kciukiem w górę.

Gunther spojrział na niego i ściągnął brwi.

– Jest od nas cięższy. Możemy wznieść się wyżej od niego. Tam za nami nie doleci.

Gunther kiwnął głową, pociągnął drążek do siebie i nie zmniejszając obrotów, zadarł nos maszyny. Śmigłowiec zaczął pruć w górę jak ekspresowa winda w wieżowcu.

Ta nagła zmiana kierunku lotu zdezorientowała pilota tigera, dopiero po chwili zrobił to samo i zaczął lecieć za nimi.

Painter nie spuszczał wzroku z wysokościomierza. Rekord wysokości osiągniętej przez śmigłowiec należał do maksymalnie odciążonego a-stara, któremu udało się dolecieć na szczyt Everestu i wylądować. Nie musieli lecieć aż tak wysoko, bo po przekroczeniu pułapu sześciu tysięcy siedmiuset metrów obciążony uzbrojeniem tiger zaczynał zostawać w tyle. Jego wirniki bezsilnie miały rozrzedzone powietrze, co dodatkowo utrudniało utrzymanie stabilności i oddanie celnego strzału.

Oni za to cały czas się wznosili, oddalając się od niebezpieczeństwa.

Ale nie mogło to trwać wiecznie.

To, co się wznosi, musi kiedyś opaść.

A ich prześladowca, jak polujący na ofiarę rekin, cierpliwie czekał, krążąc pod nimi. Wystarczyło tylko, by nie tracił ich z oczu. Painter dostrzegł też nadlatujące pozostałe dwa tigery. Widać dostały wiadomość przez radio i dołączały do polowania na bezbronną ofiarę.

– Ustaw się nad tamtym helikopterem – zarządził Painter i żeby nie było wątpliwości, ułożył jedną dłoń nad drugą.

Bruzda na czole Gunthera jeszcze się pogłębiła, ale bez słowa wykonał polecenie.

– Wy dwie – zwrócił się Painter do kobiet – patrzcie przez okna i dajcie mi znać, kiedy tamten znajdzie się dokładnie pod nami.

Obie skinęły głowami.

Painter położył dłonie na sterczącej przed nim dźwigni.

– Mniej więcej teraz! – krzyknęła Lisa.

– Już! – zawtórowała jej Anna sekundę później.

Painter szarpnął dźwignię sterującą pracą wciągarki umieszczonej pod śmigłowcem. To dzięki niej wcześniej została opuszczona lina z uprzężą, w której zjechał i zaatakował napastniczkę w zamku. Jednak tym razem nie chodziło o linę. Dodatkowa dźwignia służyła do awaryjnego pozbycia się całego zespołu wciągarki, w razie gdyby lina w coś się zaplątała. Pociągnął za dźwignię z całej siły i usłyszał metaliczny szcęk zwalnianego zamocowania.

Przytknął twarz do szyby, Gunther lekko przechylił maszynę, by widoczność była lepsza.

Wciągarka poleciała w dół wraz z rozwiniętym kawałkiem liny z uprzężą, koziółkując w powietrzu i tworząc jeden splątany kłęb.

Całość z impetem grzmotnęła w wirnik śmigłowca w dole. Uderzenie dorównywało efektem zdetonowaniu ładunku głębinowego. Ramiona wirnika rozpadły się na kawałki i rozprysnęły na boki. Śmigłowiec wykonał obrót wokół własnej osi jak odkręcana pokrywka, przechylił się na bok i jak kamień runął w przepaść.

Nie tracąc czasu na podziwianie efektywności swego ataku, Painter skupił uwagę na jedynym zagrażającym im na tej wysokości obiekcie – wyrastającym przed nimi, spowitym białymi chmurami masywie Everestu.

Ich celem była baza u jego podnóża, tyle że przestrzeń pod nimi najeżona była niebezpieczeństwami.

Pozostałe dwa śmigłowce, jak żądne krwi rozwścieczone szerszenie, były coraz bliżej.

A Painter nie miał już więcej wciągarek.

Lisa obserwowała dwa śmigłowce, które z komarów przemieniały się w drapieżne ptaszyska. Pościg trwał.

Wciąż nabierając wysokości, Gunther kierował się w stronę Przełęczy Południowej, oddzielającej Everest od Lhotse. Zamierzali przeskoczyć nad nią i zasłoniwszy się w ten sposób przed atakiem, polecieć w dół i wylądować w bazie.

Ale przedtem należy pokonać przełęcz...

Lisie stanął przed oczami brat z jego nieśmiałym uśmiechem i niesfornym kogutem na czubku głowy, z którym wiecznie walczył. Jak może sprowadzać mu na kark tę krwiożerczą watahę?

Widziała, że Painter mówi coś do Gunthera, ale jego słowa zagłuszało wycie silnika. Miała do niego zaufanie, wierzyła, że nie wystawi niczyjego życia na niebezpieczeństwo.

Przełęcz potężniała w oczach, a jednocześnie coraz szerzej otwierała się perspektywa za nią. Widok z prawej strony wypełniał masyw Everestu z ciągnącym się od szczytu śnieżnym pióropuszem. Z lewej strzelała w górę ściana Lhotse, czwartego co do wysokości szczytu na świecie.

Gunther jeszcze zwiększył kąt pochylenia maszyny i Lisa wczepiła się dłonią w pas bezpieczeństwa. Miała wrażenie, że za chwilę wypadnie przez przednią szybę. Całe pole widzenia wypełniała zwarta masa lodu i śniegu.

Przez wycie silnika przebił się przenikliwy gwizd.

– Rakieta! – krzyknęła Anna.

Gunther szarpnął drążek. Śmigłowiec zadarł dziób i przechylił się w prawo. Rakieta przeleciała tuż pod ich płozami i uderzyła we wschodnie zbocze przełęczy. Z miejsca trafienia wystrzelił słup ognia, Gunther uciekł w bok i ponownie opuścił dziób.

Lisa przycisnęła policzek do szyby i spojrzała do tyłu. Oba helikoptery wyraźnie się zbliżyły i wciąż leciały za nimi. Chwilę później widok przesłoniła ściana lodu i śniegu.

– Jesteśmy nad przełęczą! – wrzasnął Painter. – Trzymajcie się!

Lisa się rozejrzała. Byli już po drugiej stronie przełęczy i rozpoczęli gwałtowne pikowanie. Widziała pędzące pod nimi pola lodowe i rosnącą w oczach czarną plamkę daleko w dole. Baza pod Everestem.

Zbliżali się ku niej na pełnej szybkości, jakby pilot postanowił roztrzaskać się między namiotami.

Baza była coraz lepiej widoczna i Lisa mogła już rozróżnić poszczególne namioty i rozwieszane między nimi chorągiewki modlitewne.

– Rozbijemy się! – wrzasnął Painter.

Gunther nie zwalniał.

Lisa zaczęła szeptać słowa modlitwy. A właściwie mantry:

– O mój Boże... o mój Boże... o mój Boże...

Guntherowi udało się wreszcie opanować stery i zaczął wyrównywać lot, jednak pęd powietrza był potężny. Niemiec walczył ze sterami, wirniki wyły, a oni wciąż spadali.

Świat za oknem wirował.

Miotana szarpnięciami Lisa kurczowo wpijała dłonie w podłokietniki.

A potem płozy z impetem uderzyły w śnieżne podłoże i śmigłowiec przechylił się ostro do przodu, jakby chciał zrzucić Lisę z fotela. Przytrzymał ją pas bezpieczeństwa. Nachylony pod kątem wirnik wzbił gęsty тумan śniegu, ale w tym momencie maszyna opadła do tyłu i stanęła równo i pewnie na płozach.

– Wszyscy wysiadać! – krzyknął Painter, gdy tylko Gunther wyłączył silnik.

Kłapy otworzyły się i cała czwórka wypadła na zewnątrz.

Painter pociągnął Lisę za rękę, Anna i Gunther pospieszyli za nimi. W ich stronę ruszył zwarty tłum mieszkańców bazy. Lisa podniosła głowę i spojrzała na przełęcz. Z miejsca trafienia

rakiety strzelał w niebo słup dymu. Huk wybuchu widocznie dotarł aż tu, bo w bazie panowało poruszenie.

Powitała ich lawina słów wykrzykiwanych w różnych językach, ale Lisa była tak ogłuszona rykiem silników, że prawie nic nie słyszała.

Wreszcie przez harmider przebił się głos:

– Lisa!

Odwróciła się i zobaczyła przepychającą się ku niej dobrze znaną postać w puchowych spodniach i popielatej polarowej koszuli.

– Josh!

Painter puścił jej rękę i chwilę później Lisa znalazła się w objęciach brata, wtulając się w niego mocno. Pachniał jakami i Lisa pomyślała, że nigdy w życiu nie wąchała równie cudownego zapachu.

Za plecami usłyszała groźne warknięcie Gunthera.

– *Pass auf!*

Wokół zaczął narastać krzyk, głowy wszystkich skierowały się w górę, ręce wyciągnęły się w stronę przełęczy.

Lisa wyzwoliła się z objęć brata.

Tuż nad przełęczą zawisły oba helikoptery, rozpędzając wirnikami słup dymu unoszący się po wybuchu rakiety. Wisiały nieruchomo, jak polujące na zdobycz drapieżne ptaki.

Uciekajcie, jęknęła w duchu Lisa. Całą mocą woli zmuszała je do odwrotu. Po prostu sobie odlećcie.

– Co to za jedni? – odezwał się obok czyjś zaczepny głos.

Lisa nie musiała odwracać głowy, by wiedzieć, że to Bostoński Bob – jej fatalna pomyłka z przeszłości. Akcent i wieczna pretensja w głosie były jego znakiem rozpoznawczym. Jak zwykle wścibski, przywłókł się tu pewnie za Joshem. Udała, że go nie słyszy.

Josh widocznie zauważył, jakie wrażenie zrobiło na niej pojawienie się śmigłowców, bo obrzucił ją pełnym niepokojem spojrzeniem.

– Liso...?

Pokręciła tylko głową, ani na chwilę nie odrywając wzroku od maszyn. Zmuszenie ich do odwrotu wymagało od niej maksimum koncentracji.

Ale i tak się nie udało.

Jak na dany znak, oba równocześnie ruszyły z miejsca i zaczęły lecieć w ich stronę. Na ich dziobach rozbłysły czerwone ogniki i lodowo-śnieżne zbocze przeorały dwie równoległe linie śmierci. Śmigłowce schodziły coraz niżej i leciały wprost na bazę.

– Nie... – jęknęła Lisa.

Bostoński Bob z wrzaskiem odskoczył do tyłu.

– Coś ty, do cholery, zrobiła!

Ludzie, którzy na chwilę zamarli z przerażenia, zaczęli krzyczeć i rozbiegać się na wszystkie strony.

Painter złapał Lisę za ramię i pociągnął w bok, przy okazji ciągnąc też Josha. Zrobili parę kroków, ale wiedzieli, że i tak nie ma gdzie się ukryć.

– Radio! – krzyknął Painter do Josha. – Gdzie jest radio?

Josh stał bez ruchu, tępo wpatrując się w niebo.

Lisa potrząsnęła jego ramię.

– Josh, potrzebna nam radiostacja. – Domyślała się, o co chodzi Painterowi. Jeśli już nic nie da się zrobić, niech przynajmniej świat się o tym dowie.

Jej brat zakrzuszył się, otrząsnął i wyciągnął rękę.

– Tam... od ataku rebeliantów na klasztor uruchomili nam awaryjną łączność.

Puścili się biegiem w stronę dużego czerwonego namiotu.

Lisa zauważyła, że Bostoński Bob też z nimi biegnie. Rozglądał się nerwowo na boki, ale cały czas trzymał się blisko Paintera i Gunthera. Może wyczuł bijącą od nich siłę, a może przekonał go karabin na ramieniu Gunthera, który wetknął do lufy miotacza kolejny granat. Chciał im umożliwić nawiązanie łączności i był gotów podjąć desperacką próbę obrony.

Nie zdążyli jednak dobiec do namiotu, bo przygwoździł ich krzyk Paintera.

– Padnij!



Sam też rzucił się na ziemię, pociągając za sobą Lisę. Reszta poszła w ich ślady, choć Josh musiał w tym celu podciąć nogi Bostońskiemu Bobowi.

W górze zaczął narastać jakiś nowy, świdrujący gwizd.

Painter rozejrzał się niespokojnie po niebie.

– Co się znowu...? – zaczęła Lisa.

– Cicho! – Painter uciszył ją, rozglądając się wciąż niepewnie.

Chwilę później zza grani Lhotse wystrzeliła w górę para wojskowych odrzutowców, ciągnących za sobą po dwie białe wstęgi kondensacyjne. Pod ich skrzydłami ukazały się błyski ognia.

Myśliwce odpaliły pociski rakietowe.

No nie!

Okazało się jednak, że rakiety nie były przeznaczone dla nich. Odrzutowce z rykiem przeleciały nad bazą i pognały dalej.

Oba śmigłowce, którym udało się już pokonać trzy czwarte odległości od przełęczy do obozu, niemal równocześnie eksplodowały, trafione rakietami samonaprowadzającymi. Płonące jasnym ogniem wraki runęły na zbocze, wystrzeliwując w górę gejzery śniegu i ognia. Szczątki stoczyły się po stoku, nie doleciały jednak do bazy.

Painter wstał i podał rękę Lisie.

Pozostali też zaczęli się podnosić.

Bostoński Bob skoczył ku Lisie z twarzą wykrzywioną wściekłością.

– Co to, u diabła, było? Co za gówno sprowadziłaś nam na głowy?

Lisa odwróciła się do niego plecami. Co ją opętało wtedy w Seattle, że w ogóle się z nim zadała? Miała poczucie, jakby tamto dotyczyło innej, obcej kobiety.

– Nie odwracaj się do mnie plecami, ty suko!

Lisa zacisnęła pięści i odwróciła się, ale nie zdążyła. Szybszy był Painter, którego ręka wystrzeliła jak z katapulty i trafiła Boba prosto w twarz. Lisa знаła określenie „paść martwym bykiem”, ale nigdy nie miała okazji na własne oczy przekonać się, co ono znaczy. A właśnie to powiedzenie najlepiej oddawało

to, co się przydarzyło Bostońskiemu Bobowi. Odchylił się sztywno do tyłu i jak długi runął na plecy. Nawet się nie poruszył, leżąc rozciągnięty na śniegu i brocząc krwią ze złamanego nosa.

Painter pokręcił głową i skrzywił się.

Josh stał przez chwilę oniemiały, po czym jego twarz rozjaśnił szeroki uśmiech.

– Kurde, człowieku, od tygodnia o tym marzyłem.

Nim ktokolwiek zdążył zareagować, z czerwonego namiotu wyszedł mężczyzna z krótko ostrzyżonymi blond włosami, ubrany w mundur Amerykańskich Sił Powietrznych. Zbliżył się do grupy i odnalazł wzrokiem Paintera.

– Dyrektor Crowe? – zapytał śpiewnym akcentem z Georgii.

Painter podał mu rękę i skrzywił się, gdy tamten po wojskowemu ścisnął mu obolałe knykcie.

– Z najlepszymi życzeniami od Logana Gregory’ego. – Wojskowy się uśmiechnął, pokazując głową dopalające się szczątki helikopterów.

– Lepiej późno niż wcale – mruknął Painter.

– Mamy go na linii, panie dyrektorze. Gdyby zechciał mi pan towarzyszyć...

W towarzystwie majora Brooksa Painter podążył do namiotu łączności. Pozostała trójka ruszyła za nim, ale major stanowczym ruchem uniósł rękę i zagroził im wejście.

– Zaraz wracam – uspokoił ich Painter. – Wytrzymajcie.

Pochylił się i wszedł do środka. Namiot wypełniony był różnorodnym sprzętem telekomunikacyjnym. Mężczyzna w mundurze oficera łączności opuścił swoje stanowisko, Painter zajął jego miejsce i wziął do ręki słuchawkę.

– Logan?

– Dyrektorze Crowe. – Głos zastępcy brzmiał czysto i wyraźnie. – Cudownie znów pana słyszeć.

– To przede wszystkim wasza zasługa. Dziękuję.

– Odebraliśmy pański sygnał SOS.

Painter pokiwał głową. Więc jednak wiadomość wysłana automatycznie przez jego naprędcę sklecony wzmacniacz dotarła do celu. Na szczęście łączność została nawiązana, zanim przeciążony wzmacniacz eksplodował, a wysłany sygnał wystarczył do zlokalizowania miejsca nadawania.

– Stanęliśmy na głowie, żeby zdążyć z podjęciem obserwacji i skoordynowaniem naszych działań z Królewskimi Siłami Zbrojnymi Nepalu – powiedział Logan. – A i tak niewiele brakowało... Bardzo niewiele.

Widać od pewnego czasu – może nawet od chwili opuszczenia zamku – Sigma poprzez łącza satelitarne monitorowała rozwój wypadków. Ale omówienie szczegółów będzie musiało poczekać. Teraz Painter miał ważniejsze sprawy na głowie.

– Logan, zanim przejdziemy do szczegółów, chciałbym, żebyś od razu rozpoczął poszukiwania. Za chwilę prześlę ci faksem pewien symbol, wzór tatuażu. – Spojrzał na majora Brooksa i na migi pokazał, że chce coś napisać. Podano mu notatnik i długopis i Painter zaczął szkicować symbol widziany na dłoni zabójczynie. To jedyny trop, od którego można było zacząć.

– Zabierz się do tego od razu – mówił Painter. – Zobacz, czy da się ten symbol z czymś skojarzyć. Sprawdź wszystko: organizacje terrorystyczne, partie polityczne, kartele narkotykowe, nawet skautów.

– Zaraz się tym zajmę.

Painter skończył rysować tatuaż w kształcie czterolistnej koniczyny i podał łącznościowcowi, który zaniósł go do faksu.

Czekając, aż Logan otrzyma faks, Painter zrelacjonował pokrótce ostatnie wydarzenia. Ucieszyło go, że rozmówca nie przerywa mu zbędnymi pytaniami.

– Dostałeś już faks? – zapytał na zakończenie.

– Właśnie mi go przynieśli.

– Świetnie. A co do tych poszukiwań... nadaj im najwyższy priorytet.

W słuchawce zapadła cisza. Pewnie jakaś przerwa w łączności, pomyślał Painter i już chciał odłożyć słuchawkę, gdy usłyszał niepewny, lekko zmieszany głos Logana.

– Ale, dyrektorze...

– O co chodzi?

– Ja znam ten symbol. Osiem godzin temu przesłał mi go Grayson Pierce.

– Co takiego?!

Logan krótko zrelacjonował wydarzenia w Kopenhadze. Painter z trudem nadażał za jego opowieścią. Zastryk adrenaliny spowodowany ucieczką przed pościgiem przestał działać, a narastający ból głowy utrudniał koncentrację. Mimo to starał się skupiać i łączyć wszystko w logiczną całość. Wynikało z tego, że Graya ścigają podobni mordercy, *Sonnenkönige*, urodzeni pod działaniem innego Dzwonu. Tylko skąd się wzięli w Europie? I co aż tak ważnego może się znajdować w paru starych książkach? Z relacji wynikało, że Gray jest teraz w Niemczech i tam drąży sprawę. Ciekawe, do czego dojdzie?

Painter przymknął oczy, ale to tylko pogorszyło jego samopoczucie. Wydarzenia w Europie potwierdzały jego obawy, że dzieje się coś niedobrego, i to w skali globalnej. Że coś kiełkuje i pewnie niedługo wyda owoce.

Tylko co?

Praktycznie mieli w ręce tylko jeden trop, więc od niego należało zacząć.

– Ten symbol musi mieć jakieś istotne znaczenie. Trzeba się koniecznie dowiedzieć, do kogo należy.

– Być może znam już odpowiedź. – Głos Logana brzmiał dość obojętnie.

– Co? Już?

– Miałem na to całe osiem godzin, dyrektorze.

No tak, jasne. Painter pokręcił głową. Spojrzał na długopis trzymany w dłoni i zauważył coś dziwnego. Obrócił dłoń. Na jego serdecznym palcu nie było paznokcia. Pewnie zerwał go sobie, kiedy parę minut temu uderzył tego palanta. Ale nie było

też śladów krwi. Tylko blady, suchy kawałek ciała, obumarły i zimny.

Dopiero teraz dotarło do niego, co to naprawdę znaczy.

Jego czas się kończy.

Logan zaczął opowiadać, co udało mu się ustalić, ale Painter mu przerwał.

– Przekazałeś to Grayowi?

– Jeszcze nie. Mamy problemy z nawiązaniem łączności.

Painter się skrzywił. Troska o własne zdrowie zeszła teraz na dalszy plan.

– Przekaż mu to jak najszybciej – powiedział z naciskiem. – Wszystko jedno jak. Gray nawet nie wie, w co się wpakował.

## **Godzina 9.50**

### **WEWELSBURG, NIEMCY**

Monk zapalił latarkę i w krypcie zrobiło się widniej.

Gray odszukał w plecaku swoją, wyciągnął i oświetlił sklepienie. Na obwodzie kopuły widać było niewielkie otwory i wydobywający się z nich zielonkawy gaz. Był cięższy od powietrza i dymnymi kaskadami opadał ku posadzce.

Otwory umieszczone były zbyt wysoko i było ich za dużo, by mogli próbować je zatkać.

Fiona przysunęła się do Graya. Ryan stał po drugiej stronie paleniska i po jego minie widać było, że nie wierzy własnym oczom.

Gray dostrzegł kątem oka jakiś ruch i odwrócił głowę.

Monk uniósł dziewięćmilimetrowego glocka i wycelował do oszklonych drzwi.

– Nie! – zdążył jeszcze krzyknąć Gray, ale było już za późno.

Padł strzał.

Usłyszeli ogłuszający huk i głośne brzęknięcie. Wystrzelony pocisk odbił się od szyby i uderzył rykoszetem w jeden ze stalowych wywietrzników, krzesząc pokaźnych rozmiarów

iskrę. Gaz na szczęście okazał się niepalny, bo inaczej byłoby po nich.

Po minie Monka widać było, że zdaje sobie z tego sprawę.

– Kuloodporne – mruknął ponuro.

Zza drzwi dobiegł głos kustosza:

– Zgadza się. Musieliśmy zainstalować dodatkowe zabezpieczenia. Zbyt wielu dawnych nazistów próbowało się tu włamać. – W szybie jak w lustrze odbijały się światła ich latarek i twarz kustosza była zupełnie niewidoczna.

– Ty draniu – warknął Monk.

Gaz zaczynał snuć się po podłodze i wypełniać wszystkie zakamarki. Miał stęchło-słodki zapach i zostawiał cierpki posmak na języku. Dobrze chociaż, że to nie cyjanek. Cyjanek pachnie migdałami.

– Stańcie prosto – polecił Gray. – Trzymajcie głowy jak najwyżej. Ustawcie się bliżej środka, daleko od otworów.

Stanęli wokół rytualnego paleniska. Stojąca obok Graya Fiona odnalazła jego dłoń, ścisnęła i uniosła drugą rękę.

– Podwędziłam mu portfel. Nie wiem, może się do czegoś przyda.

Monk spojrzał na nią z wyrzutem.

– Rewelacja. A nie mogłaś doprowadzić mu kluczy?

– Mój... mój ojciec wie, gdzie jestem – wykrztusił Ryan po niemiecku. – Na pewno zadzwoni na policję.

Gray spojrzał na niego z sympatią. Chłopak starał się, jak mógł.

Zza drzwi dobiegł jakiś nowy głos, równie obojętny jak głos kustosza.

– Obawiam się, że twój ojciec już nigdy do nikogo nie zadzwoni. – W głosie nie było kpiny czy groźby. Ot, po prostu rzeczowa informacja.

Ryan zachwiał się, jak uderzony obuchem. Spojrzał z przerażeniem na Graya i znów na drzwi.

Gray znał ten głos. Fiona też go musiała rozpoznać, bo jej palce zacisnęły się na jego dłoni. Głos tatuowanego uczestnika licytacji w Kopenhadze.

– Tym razem nie pomogą wam żadne sztuczki – ciągnął. – Stąd nie ma ucieczki.

Gray miał zamęt w głowie. Czuł się tak, jakby jego ciało nic nie ważyło i unosiło się w powietrzu. Potrząsnął energicznie głową, starając się odzyskać jasność myślenia. Ich prześladowca miał rację. Nie ma stąd ucieczki, ale to nie znaczy, że są zupełnie bezbronni.

Wiedza daje siłę.

– Wyciągnij z plecaka zapalniczkę – polecił Monkowi.

Monk bez słowa wykonał polecenie. Gray wyjął z plecaka notatnik i wrzucił do paleniska.

– Monk, wrzuc tam kopie od Ryana. – Wyciągnął rękę. – Fiono, podaj mi Biblię.

Oboje bez słowa spełnili jego polecenia.

– Podpal to wszystko – rozkazał Gray.

Monk pstryknął zapalniczką, zapalił jedną z kopii Ryana i wrzucił płonąca kartkę do otworu. W ciągu paru sekund papiery zaczęły płonąć, a dobywający się z paleniska dym chyba nawet trochę spowolnił wydostawanie się gazu z otworów. Przynajmniej takie wrażenie odniósł Gray. Coraz bardziej kręciło mu się w głowie.

Zza drzwi dobiegł szmer rozmowy, jednak zbyt cichej, by można z niej było coś zrozumieć.

Gray uniósł Biblię Darwina.

– Tylko my znamy jej sekret! – krzyknął w stronę drzwi.

Głos bladolicego zabójcy za szybą był wyraźnie rozbawiony.

– Doktor Ulmstrom wyciągnął z niej wszystko, czego potrzebowaliśmy. Znak *Mensch*. Biblia jest już dla nas bezwartościowa.

– Czyżby? – Gray oświetlił książkę latarką. – Ulmstrom widział tylko to, co Hugo Hirschfeld umieścił na tylnej okładce. Ale nie to, co narysował na przedniej!

Za drzwiami zapadło milczenie, potem znów rozległ się szmer głosów. Grayowi wydało się, że słyszy głos kobiecy. Pewnie siostra bliźniaczka białasa.

Ponad przyciszone głosy wybiło się głośnie *Nein* wypowiedziane przez wyraźnie wystraszonego Ulmstroma.

Pod Fioną ugięły się kolana i gdyby Monk jej nie podtrzymał, pewnie by upadła. Kozuch trującego gazu sięgał coraz wyżej i on sam ledwo trzymał się na nogach.

Gray nie mógł czekać ani chwili dłużej.

Dla większego efektu zgasił latarkę i wrzucił Biblię do ognia. Był w głębi duszy katolikiem i czuł dyskomfort, że w taki sposób traktuje Pismo Święte. Stary papier natychmiast zajął się ogniem i płomień buchnął do wysokości ich kolan. W górę poszybował nowy kłęb dymu.

Gray zaczerpnął głęboko powietrza i zdając sobie sprawę, że od tego, co teraz powie, może zależeć ich życie, zrobił wszystko, by zabrzmiało to jak najbardziej przekonująco.

– Jeśli teraz umrzemy, razem z nami umrze sekret Biblii Darwina.

Zamilkł, bo pozostało mu już tylko modlić się, by jego podstęp się udał.

Minęła sekunda... dwie...

Kozuch gazu sięgał już do ich piersi i każdy oddech był coraz bardziej duszący.

Ryan upadł, jakby ktoś nagle przeciął podtrzymujące go sznurki. Monk wyciągnął do niego rękę, ale pod ciężarem Fiony sam się osunął na kolana. Walczył jeszcze przez chwilę, ale w końcu poddał się i pociągnął za sobą dziewczynę.

Gray wbił wzrok w ciemną szybę drzwi. Monkowi z drętwiejących palców wypadła latarka i potoczyła się po posadzce. Czy za drzwiami w ogóle jeszcze ktoś jest? I czy udało mu się ich przekonać?

Już nigdy się o tym nie dowie.

Cały świat odpłynął, Gray runął na plecy i zapadł się w ciemność.



## **Rezerwat zwierząt Hluhluwe Umfolozi Godzina 17.50 czasu miejscowego**

Tysiące kilometrów od Wawelsburga ktoś inny właśnie wydobył się z ciemności.

Widok powracającego świata stanowił mieszaninę barw i bólu. Khamisi uniósł powieki, czując na twarzy muskanie przypominające dotyk skrzydełek ptaka. Do jego uszu docierało monotonne nucenie.

– Budzi się – powiedział jakiś głos w zulu.

– Khamisi... – Tym razem usłyszał kobiecy głos.

Chwilę trwało, nim uświadomił sobie, że to jego imię. Jakoś nie bardzo mu pasowało. Usłyszał czyjeś jęknięcie i rozpoznał własny głos.

– Pomóż mu usiąść – powiedziała kobieta. Też mówiła w zulu, choć z wyraźnym brytyjskim akcentem. Dobrze mu znanym.

Khamisi poczuł, jak czyjeś ręce unoszą go do pozycji siedzącej i opierają plecami o poduszkę. Z wolna wracała mu zdolność widzenia. We wnętrzu lepianki panował mrok, ale w oczach czuł bolesne podrażnienie strumieniem światła przedostającym się do środka przez szpary w zasłonach i derce odgradzającej wejście. Sufit zdobiły kolorowe tykwy, skórzane plecionki i pęki barwnych piór. Naturalna woń zuluskiej chaty przesycona była jakimś obcym i nienaturalnym zapachem. Pod nos podetknięto mu coś cuchnącego amoniakiem i aż szarpnął głowę do tyłu.

Znów na moment odpłynął. Otworzywszy oczy, zobaczył, że do prawego ramienia ma podłączoną rurkę, którą spływa z plastikowego worka jakiś żółty płyn. Oba ramiona miał unieruchomione.

Jedno przytrzymał nagi do pasa szaman w wielkim pióropuszu na głowie. To on nucił i wachlował mu twarz skrzydłem sępa, które służy do odpędzania czyhających na śmierć trupojadów.

Za drugie ramię trzymała go doktor Paula Kane, pilnując, by leżało wygodnie na kocu. Był zupełnie nagi, a spływający pot powodował, że koc szczelnie oblepiał mu ciało.

– Gdzie... co... – Głos uwiązał mu w gardle.

– Wody – zarządziła Paula.

Polecenie zaadresowane było do kogoś trzeciego – przygarbionego członka plemiennej starszyny, który bez słowa wyciągnął ku niej starą, powgniataną menażkę.

– Dasz radę sam utrzymać? – spytała Paula.

Khamisi kiwnął głową. Czuł, że powoli wracają mu siły. Wziął menażkę i napił się ciepłej wody, opłukując skołowaciały język i nieco rozjaśniając pamięć. Ten członek rady starszych, który podał menażkę... to przecież jego widział u siebie w domu.

Nagle serce zabiło mu szybciej. Uniósł podłączoną do kroplówki rękę i dotknął szyi. Była obandażowana. Teraz wszystko sobie przypomniał. Lotka z rozdwojonym ostrzem. Czarna mamba. Pozorowany atak węża.

– Co się stało?

Starzec wypełnił luki w jego pamięci. Khamisi rozpoznał w nim tego samego członka starszyny, który pierwszy opowiedział mu o spotkaniu z *ukufą*. Było to pięć miesięcy temu i wtedy wszyscy go wyśmiali, nie wyłączając jego.

– Słyszałem, co się stało z panią doktor. – Stary człowiek kiwnął głową w stronę Pauli na znak współczucia i żalu. – I słyszałem, co podobno widziałeś. Ludzie plotkują. Więc idę do ciebie, żeby pogadać. Ale ciebie nie ma. Więc ja czekam. Przychodzą inni, więc ja się chowam. Oni tną węża. Mambę. Zła wróżba. Więc ja nie wychodzę.

Khamisi zamknął oczy i odtworzył w pamięci przebieg zdarzeń. Powrót do domu, postrzał lotką, zostawienie go na podłodze, żeby umarł. Ale napastnicy nie wiedzieli, że w domu jest ktoś jeszcze i wszystko widzi.

– Więc potem wychodzę – ciągnął starzec. – Wołam innych i po cichu cię zabieramy.

– Przewieźliśmy cię tutaj – podjęła opowieść Paula Kane. – Truczizna o mało cię zabiła. Uratowała ci życie medycyna, zarówno ta nowoczesna, jak i tradycyjna. Ale niewiele brakowało.

Khamisi przeniósł wzrok z kroplówki na szamana.

– Dziękuję – powiedział.

– Czujesz się na siłach stanąć na nogi? – spytała Paula. – Powinieneś rozruszać kończyny. Truczizna krąży w układzie krwionośnym jak wózki z cegłami.

Z pomocą szamana Khamisi zwlókł się na nogi i owinął biodra przepoconym kocem. Szaman i Paula doprowadzili go do wejścia. Przy pierwszych krokach słaniał się jak małe dziecko, ale czuł, że jego nogi szybko odzyskują sprawność.

Odsunięto derkę zasłaniającą wejście.

Zalało go dzienne światło i duszne gorąco.

Z położenia słońca blisko zachodniego horyzontu domyślił się, że musi być późne popołudnie.

Osłonił oczy dłonią i wyszedł z chaty.

Znał tę maleńką zuluską wioskę, do której go przywieziono. Leżała na granicy rezerwatu Hluhluwe Umfolozi, niedaleko miejsca, gdzie znaleźli padlinę nosorożca i gdzie doszło do ataku na doktor Fairfield.

Khamisi spojrzał na Paulę Kane. Stała z rękami skrzyżowanymi na piersiach, twarz miała bladą i wymizerowaną.

– To naczelnik. – Khamisi nie miał co do tego wątpliwości. – Chciał mnie w ten sposób uciszyć.

– W sprawie śmierci Marcii. Tego, co tam wtedy zobaczyłeś?

Przytaknął.

– A co takiego...?

Jej pytanie utonęło w ogłuszającym łoskocie wywołanym przez nisko lecący dwusilnikowy śmigłowiec, który przemknął tuż nad nimi. Pęd powietrza przygiął do ziemi zarośla, zakołysał gałęziami drzew i szarpnął derkami w wejściach do lepierek. Derki wyduły się i zafalowały, jakby chcąc odstraszyć intruza.

Ciężka maszyna z łośkotem pognęła nisko nad sawanną.

Khamisi odprowadził ją wzrokiem. To nie helikopter z turystami.

Paula uniosła do oczu lornetkę i też popatrzyła na śmigłowiec.

– Latają przez cały dzień, tam i z powrotem – powiedziała.

Khamisi wziął od niej lornetkę. Świat urósł i przybliżył się. Patrzył w ślad za dwusilnikową maszyną, aż do chwili gdy przeskoczyła nad trzymetrowym płotem i zniknęła w gęstwinie za nim. Taki płot otaczał cały prywatny rezerwat Waalenbergów.

– Coś się musiało u nich stać – zawyrokowała Paula.

Khamisiemu zjeżyły się włosy na karku.

Ustawił ostrość na ogrodzenie. Widać stąd było główną bramę, która jak zwykle była zamknięta na głucho. Widniał na niej stary rodowy herb ze srebrnego filigranu. Słynna korona i krzyż Waalenbergów.



# **KSIĘGA TRZECIA**

## DEMON W MASZYNIE

### **Przestrzeń powietrzna nad Oceanem Indyjskim Godzina 12.33 czasu miejscowego**

– Kapitan Bryant i ja robimy wszystko, co w naszej mocy, żeby rozszyfrować Waalenbergów tu, w Waszyngtonie – odezwał się w słuchawce głos Logana Gregory’ego.

Słuchawka tkwiła w uchu Paintera, mówił do mikrofonu umieszczonego blisko ust. Chciał mieć wolne ręce, by rozmawiając, przekopywać się przez stos materiałów przefaksowanych przez Logana do ich placówki w Katmandu. Było w nich wszystko, co udało się dotąd zebrać: historia rodziny Waalenbergów, sprawozdania finansowe, powiązania międzynarodowe, nawet krążące o nich plotki i pogłoski.

Na samym wierzchu leżała niewyraźna, gruboziarnista fotografia dwóch młodych osób wysiadających z limuzyny. Zdjęcie zrobił Gray Pierce z hotelowego balkonu, krótko przez rozpoczęciem licytacji. Cyfrowa analiza potwierdziła przypuszczenia Logana. Tatuż na ich dłoniach wiązał się z klanem Waalenbergów, a parą na zdjęciu byli Isaak i Ischke Waalenbergowie, bliźnięta należące do najmłodszego pokolenia dziedziców fortuny Waalenbergów. Fortuny mogącej konkurować z wartością produktu krajowego brutto większości małych i średnich państw.

Ale wygląd pary na zdjęciu – blada cera i białe włosy – powiedział Painterowi coś więcej. Byli nie tylko dziedzicami

fortuny, ale także *Sonnenkönige*, jak Gunther i kobieta, którą Crowe zastrzelił w Granitowym Zamku.

Painter uniósł głowę i spojrzał na przód kabiny gulfstreama.

Gunther spał, rozwalony na leżance. Jego siostra Anna siedziała obok w fotelu, pochylona nad stertą papierów nie mniejszą od sterty Paintera. Obojga pilnowali major Brooks i dwóch uzbrojonych komandosów. Role się odwróciły i porywacze stali się więźniami. Jednak mimo tego zasadniczego zwrotu, w ich wzajemnych relacjach nic się właściwie nie zmieniło. Annie potrzebne były możliwości i wsparcie logistyczne Paintera, Painterowi zależało na wiedzy Anny na temat działania Dzwonu i jego teoretycznych założeń. I dlatego przystał na propozycję kobiety wyrażoną wcześniej słowami: „Zajmiemy się kwestiami legalności i odpowiedzialności, ale najpierw niech się to wszystko skończy”.

Z zamyślenia wyrwał go głos Logana.

– Kat i ja idziemy rano na spotkanie w ambasadzie RPA. Postaramy się dowiedzieć czegoś więcej o tych odludkach.

Nazywanie ich „odludkami” było przejawem dobrodusznej łagodności. Waalenbergowie byli południowoafrykańskimi Kennedymi. Bogaci i bezwzględni, byli właścicielami prywatnego latyfundium pod Johannesburgiem o wielkości stanu Rhode Island. Rodzina posiadała też liczne włości w innych miejscach, ale jej członkowie rzadko opuszczali rodzinne gniazdo.

Painter wziął do ręki niewyraźną fotografię zrobioną przez Graya.

Rodzina *Sonnenkönige*. Rodzina Królów Słońca.

Czas uciekał i należało działać. Jedynym miejscem na ziemi, gdzie mógł się znajdować drugi Dzwon, była posiadłość Waalenbergów.

– W Johannesburgu będzie na pana czekał ktoś ze służb brytyjskich. MI six od lat ma na oku Waalenbergów, interesując się szczególnie ich niezwyklejmi transakcjami, ale jak dotąd nie udało im się przebić przez mur prywatności i tajemniczości.

Trudno się dziwić, skoro praktycznie cały kraj należy do nich.

– Zapewnią pomoc logistyczną i znajomość otoczenia – zakończył Logan. – Zanim wylądujecie w Johannesburgu, zdobędę jeszcze więcej informacji.

– Doskonale. – Painter nie odrywał wzroku od fotografii. – A co z Grayem i Monkiem?

– Przepadli jak kamień w wodę. Odnaleźliśmy tylko ich samochód. Stał na parkingu na lotnisku we Frankfurcie.

Lotnisko we Frankfurcie? To bez sensu. Frankfurt jest wprawdzie ogromnym węzłem międzynarodowego ruchu lotniczego, ale Gray może przecież korzystać ze służbowego odrzutowca, znacznie szybszego od połączeń komercyjnych.

– I ani słowa?

– Ani słowa, panie dyrektorze. Prowadzimy nasłuch na wszystkich kanałach.

To niewątpliwie bardzo niepokojąca wiadomość.

Rozcierając skronie i próbując choć trochę uwolnić się od uporczywego bólu głowy, któremu nawet kodeina nie była w stanie zaradzić, Painter wsłuchiwał się w jednostajne buczenie silników. Co się mogło stać z Grayem? Możliwością było niewiele: ukrywa się, jest przez kogoś więziony albo nie żyje.

– Zróbcie wszystko, co w waszej mocy.

– Już robimy. Miejmy nadzieję, że nim doleci pan do Johannesburga, będę wiedział coś więcej także w tej sprawie.

– Logan, czy ty w ogóle sypiasz?

– Mamy na rogu Starbucksa. To znaczy, na każdym rogu. – W jego głosie pojawiła się nutka smętnego rozbawienia. – A pan, dyrektorze?

Podczas gdy inni zajmowali się w Katmandu przygotowaniami do drogi i gaszeniem rozlicznych – tak politycznych, jak i dosłownych – pożarów w Nepalu, jemu udało się zdrzemnąć kilka godzin. Postój w Katmandu trwał zdecydowanie za długo.

– U mnie wszystko dobrze, Logan. Nie martw się.

Akurat.



Rozłączył się i machinalnie potarł kciukiem zbiełałą, szorstką skórę na końcu palca serdecznego, którą kiedyś przykrywał paznokiec. Teraz mrowienie czuł już we wszystkich palcach rąk i nóg. Logan próbował go namówić do powrotu do Waszyngtonu i poddanie się badaniom w Klinice Johns Hopkinsa, Painter uważał jednak, że Anna i jej ekipa są znacznie lepiej zorientowani w szczegółach tej konkretnej przypadłości. W dolegliwościach na poziomie kwantowym. Żadne konwencjonalne metody leczenia na nic się zdadzą. Do zatrzymania rozwoju choroby potrzebny jest działający Dzwon. Zdaniem Anny poddanie się napromieniowaniu przez Dzwon w sposób ściśle kontrolowany może im przedłużyć życie nie o dni, ale o całe lata. A niewykluczone, dodawała z nadzieją, że kiedyś nawet całkowicie ich wyleczy.

Ale do tego celu potrzebny jest sprawny Dzwon.

I więcej informacji.

Z zamyślenia wyrwał Paintera głos dobiegający z tyłu.

– Sądzę, że powinniśmy porozmawiać z Anną – powiedziała Lisa, jakby odgadując jego myśli.

Painter odwrócił głowę. Był przekonany, że siedząca za nim Lisa śpi. Przed odlotem zdążyła się wykąpać i przebrać w czyste spodnie khaki i kremową bluzkę, teraz siedziała pochylona do przodu i oparta o jego fotel.

Przyjrzała mu się chłodnym okiem zawodowca.

– Fatalnie wyglądasz – stwierdziła.

– Gdzie twoje lekarskie maniery? – Painter wstał z fotela i przeciągnął się.

Światła w samolocie przygasły i pilot wykonał nagły skręt. Painter zachwiał się i Lisa musiała podtrzymać go za łokieć. Świat powrócił do poziomu i pojaśniał. To nie wina pilota, to coś dzieje się w jego głowie.

– Obiecuj, że przed lądowaniem jeszcze trochę się zdrzemniesz – powiedziała Lisa i ścisnęła go za łokieć.

– Jeśli zdążę... aaaa! – Jej dłoń była jak imadło. – Dobrze, obiecuję – skapitulował.

Zwolniła uścisk i pokazała głową Annę, która siedziała pochylona nad stosem faktur i listów przewozowych na dostawy do posiadłości Waalenbergów. Szukała śladów mogących świadczyć o tym, że sprowadzali oni surowce potrzebne do funkcjonowania Dzwonu.

– Chciałabym się dowiedzieć czegoś więcej o pracy Dzwonu – powiedziała Lisa. – Poznać jego podstawy teoretyczne. Jeśli ta choroba powoduje kwantową utratę zdrowia, musimy wiedzieć, jak to się dzieje. Anna i Gunther są jedynymi pozostałymi przy życiu członkami załogi Granitowego Zamku. Ale wątpię, by Gunthera wtajemniczano w zasady działania Dzwonu.

– Był tam raczej psem łańcuchowym niż pełnoprawnym uczestnikiem badań – przytaknął Painter.

Jakby na potwierdzenie tych słów, Gunther zachrapał warkliwie.

– Cała wiedza na temat funkcjonowania Dzwonu siedzi w głowie Anny. Jeśli coś jej się stanie...

Wtedy stracą wszystko.

– Musimy to z niej wydobyć, zanim do tego dojdzie – powiedział Painter.

Lisa popatrzyła na niego i ich spojrzenia się skrzyżowały. Nie ukrywała tego, co myśli. Można to było wyczytać z jej twarzy. Pamiętał ich odlot z Katmandu. Widać było, że jest śmiertelnie zmęczona i wyczerpana, a jednak bez wahania postanowiła z nim lecieć. Tak rozumiała swoją powinność. I wtedy, i teraz.

Wiedziała, że zagrożone są nie tylko władze umysłowe i pamięć Anny.

Jego też.

Ona jedyna uczestniczy w tym od początku, a jej wiedza medyczna i analityczny umysł naukowca pozwalają lepiej rozumieć to, co się dzieje. Jest jedyną z tego grona, której umysłowi nie zagraża postępująca demencja. W zamku prowadziła dyskursy naukowe z Anną i na własną rękę szperała w bibliotece. Kto wie, czy jakiś fragment jej wiedzy nie

okaże się na tyle istotny, że od niego zależeć będzie ostateczne powodzenie całej akcji.

I dlatego wiedziała, że musi lecieć z Painterem.

W Katmandu nawet się nad tym nie zastanawiali.

Po prostu wsiadła do samolotu.

Puściła jego łokieć i wzięła go za rękę. Ścisnęła ją lekko i wskazała głową Annę.

– To chodźmy pogrzebać teraz trochę w jej głowie.

– By zrozumieć zasadę działania Dzwonu – zaczęła Anna – trzeba najpierw zrozumieć teorię kwantową.

Lisa przyjrzała się twarzy Niemki. Pod wpływem kodeiny jej źrenice były mocno rozszerzone. Chyba bierze tego zbyt dużo. Jej palce drżały i widać było, że zaciska je na trzymany w ręce okularach, jakby szukając w nich oparcia. Wszyscy troje usiedli z tyłu samolotu i tylko Gunther pozostał na swoim miejscu, śpiąc pod czujnym okiem żołnierzy.

– Boję się, że nie mamy czasu na seminarium doktoranckie. – Painter się skrzywił.

– *Natürlich*. Wystarczy, jeśli pojmiecie trzy podstawowe zasady. – Anna zdecydowała się puścić okulary i uniosła jeden palec. – Po pierwsze musicie zrozumieć, że z chwilą przejścia na subatomowy poziom materii, do świata złożonego z elektronów, protonów i neutronów, klasyczne prawa rządzące wszechświatem zaczynają zawodzić. Max Planck odkrył, że elektrony, protony i neutrony zachowują się równocześnie jak cząsteczki, i jak fale, co wydaje się dziwne i wewnętrznie sprzeczne. Cząsteczki poruszają się po ściśle określonych orbitach i torach, podczas gdy ruch falowy jest rozproszony, mniej określony i pozbawiony ścisłych parametrów.

– I cząsteczki subatomowe zachowują się jednocześnie jak to i to? – upewniła się Lisa.

– Mają zdolność bycia jednym lub drugim, falą lub cząsteczką. I stąd wynika następna kwestia, zasada

nieoznaczoności Heisenberga<sup>7</sup>.

Lisa czytała o niej w zamkowej bibliotece i temat nie był jej obcy.

– Z grubsza rzecz biorąc, Heisenberg twierdził, że wszystko jest nieokreślone, dopóki nie zostanie zaobserwowane – wtrąciła. – Tylko nie bardzo rozumiem, jak to się ma do elektronów, protonów i neutronów.

– Najlepszym sposobem na zrozumienie zasady Heisenberga jest kot Schrödingera – odrzekła Anna. – Umieszczamy kota w zamkniętym pudle i podłączamy je do automatu, który w każdej chwili może, ale nie musi, wpuścić do środka truciznę. Mamy sytuację czysto losową, bo kot w pudle albo żyje, albo jest martwy. Heisenberg konkluduje, że do chwili otwarcia pudła kot jest potencjalnie równocześnie żywy i martwy, i dopiero po zajrzeniu do środka możemy ustalić stan faktyczny.

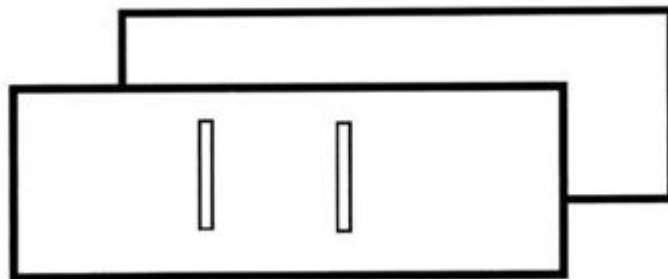
– Dla mnie jest to wywód bardziej filozoficzny niż naukowy – bąknęła Lisa.

– Może, gdy rzecz dotyczy kota. Ale to samo znajduje potwierdzenie na poziomie subatomowym.

– Potwierdzenie? Jakie? – zdziwił się Painter. Do tej pory milczał, umożliwiając Lisie zadawanie pytań. Przypuszczała, że Painter wiele z tych rzeczy wie, ale pozwala jej wyciągać z Anny wszelkie interesujące ją informacje.

– W postaci klasycznego doświadczenia z dwiema szczelinami – odrzekła Niemka. – I w ten sposób przechodzimy do trzeciej kwestii.

Wzięła do ręki dwie kartki, na jednej narysowała dwie szczeliny i ustawiła kartki jedna za drugą.



– To, co teraz powiem, zabrzmie dziwnie i wbrew zdrowemu rozsądkowi... Przyjmijmy, że te kartki to betonowe ściany, a te dwie szczeliny to okna na wylot. Gdybyśmy je ostrzelali z broni maszynowej, na ścianie z tyłu uzyskamy określony rozrzut śladów po pociskach. Mniej więcej coś takiego.

Na drugą kartkę naniosła dwa zbiory punktów.

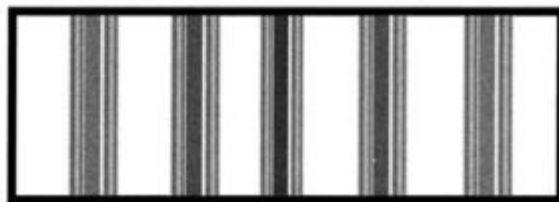


– Nazwijmy ten rozrzut wzorem dyfrakcji A. W taki sposób rozłożą się pociski lub cząsteczki przechodzące przez dwie szczeliny.

– No tak – zgodziła się Lisa.

– A teraz zamiast pocisków rzućmy na szczeliny wiązkę silnego światła. Światło rozchodzi się falowo i na ścianie uzyskamy zupełnie inny rozrzut.

Na nową kartkę naniosła kilka prążków i nierównomiernie je zaciemniła.



– W wyniku przejścia fal światła przez szczeliny i ich wzajemnej interferencji, na ścianie otrzymamy taki oto obraz. Nazwijmy go wzorem interferencji B... odnoszącym się do ruchu falowego.

– Rozumiem. – Lisa znów skinęła głową, choć widać było, że nie bardzo wie, do czego to wszystko zmierza.

Anna uniosła obie kartki.

– A teraz za pomocą działka elektronowego ostrzelajmy obie szczeliny strumieniem elektronów. Jaki uzyskamy wzór?

– Myślę, że skoro strzelamy elektronami jak pociskami, to pewnie wzór dyfrakcji A – odrzekła Lisa, wskazując palcem pierwszą kartkę.

– A jednak okazuje się, że w warunkach laboratoryjnych otrzymujemy ten drugi, wzór interferencji B.

Lisa na moment zamilkła, analizując słowa Anny.

– Rozrzut falowy B, co musi znaczyć, że elektrony poruszają się nie jak pociski wystrzelone z pistoletu, ale falowo jak wiązka światła.

– Otóż to.

– Zatem elektrony zachowują się jak fale?

– Tak. Ale tylko wtedy, gdy przejście elektronów przez szczeliny odbywa się bez świadków.

– Nie rozumiem.

– W innym doświadczeniu naukowcy wyposażyli jedną ze szczelin w bramkę z czujnikiem, który pikaniem sygnalizował każde przejście elektronu. Pozwalało to obserwować i liczyć przechodzące elektrony. Jak myślisz, jaki uzyskano rozrzut?

– Chyba nic nie powinno się zmienić, prawda?

– Tak by było w zwykłych okolicznościach. Ale nie w świecie cząstek elementarnych. Po włączeniu czujnika obraz rozrzutu na ścianie natychmiast przybrał wzór dyfrakcji A.

– Chcesz powiedzieć, że sam fakt liczenia spowodował zmianę rozrzutu?

– Dokładnie tak, jak to przewidział Heisenberg. Może się to wydawać niemożliwe, ale tak jest. Zjawisko to zostało wielokrotnie potwierdzone. Elektrony istnieją w stanie ustalonym jednocześnie jako fale i cząsteczki, ale tylko do momentu natknięcia się na przeszkodę. Zetknięcie z nią zmusza elektron do przejścia z jednego stanu w drugi.

Lisa próbowała wyobrazić sobie świat cząstek elementarnych, w którym wszystko istnieje tylko w formie potencjalnej, ale uznała, że to bezsensowne.

– Ale jeśli cząsteczki elementarne łączą się w atomy, a z atomów zbudowany jest znany nam świat materialny, który daje się dotknąć i poczuć, to gdzie przebiega granica między widmowym światem mechaniki kwantowej a otaczającym nas światem realnym?

– By spowodować rozładowanie potencjału, trzeba go znów zmierzyć. Ale tego rodzaju sytuacje stale występują w środowisku naturalnym. Wystarczy, by jedna cząsteczka zderzyła się z inną, albo żeby foton światła na coś padł. Środowisko cały czas dokonuje pomiaru świata subatomowego, powodując przechodzenie stanu potencjalnego w stan rzeczywisty. Spójrz choćby na swoje dłonie. Na poziomie kwantowym cząsteczki elementarne, które składają się na atomy twojego ciała, są posłuszne mglistym regułom kwantowym, ale wystarczy żebyś przeszła dalej, do świata miliardów atomów, z których zbudowany jest twój paznokieć. Atomy te są w ciągłym ruchu, zderzają się i wzajemnie na siebie oddziałują, wzajemnie się mierzą, zamieniając potencjał w ustaloną rzeczywistość.

– No dobrze...

Anna musiała usłyszeć w jej głosie powątpiewanie.

– Wiem, że to brzmi dziwnie, ale ja ledwie skrobnęłam powierzchnię mglistego świata teorii kwantowej. Nawet nie wspomniałam o takich kwestiach jak bezmiejsowość, tunel czasoprzestrzenny czy mnogość wszechświatów.

– To rzeczywiście brzmi odstraszaająco. – Painter pokiwał głową.

– Wystarczy zrozumieć trzy podstawowe rzeczy. – Anna zaczęła odliczać na palcach. – Cząsteczki elementarne istnieją w kwantowym stanie potencjału. Rozładowanie tego potencjału wymaga zmierzenia. Mierzenie odbywa się bezustannie w środowisku naturalnym, co prowadzi do ustalenia otaczającej nas rzeczywistości.

Lisa uniosła ręce w geście poddania.

– Ale co to wszystko ma wspólnego z Dzwonem? Bo jeszcze w zamku wspomniałaś o czymś, co nazwałaś ewolucją

kwantową.

– No właśnie. – Anna skinęła głową. – Bo czymże jest DNA? Niczym innym, jak wytwórnią białka, *ja*? Maszyną produkująca podstawowe cegiełki składowe komórek, a więc ciało.

– W dużym uproszczeniu.

– No to uprośćmy to jeszcze bardziej. Czy DNA nie jest po prostu genetycznym kodem zamkniętym w chemicznych wiązaniach? A co powoduje zrywanie tych wiązań, włączanie i wyłączanie genów?

Lisa przywołała swą podstawową wiedzę z fizyki.

– Ruch elektronów i protonów.

– A jakim regułem podlegają te cząsteczki elementarne: klasycznym czy kwantowym?

– Kwantowym.

– Gdyby więc proton mógł być w dwóch miejscach, A i B, i włączać lub wyłączać gen, to w którym miejscu byśmy go znaleźli?

Lisa zmarszczyła czoło.

– Jeśli ma zdolność przebywania w obu miejscach, to znaczy, że jest w obu. Czyli gen jest jednocześnie włączony i wyłączony. Do chwili, aż coś go zmierzy.

– I co to będzie?

– Środowisko.

– A środowiskiem genu jest...

Oczy Lisy rozwarły się szeroko.

– Sama molekula DNA – powiedziała wolno.

Anna kiwnęła głową i uśmiechnęła się.

– Na najbardziej fundamentalnym poziomie żywa komórka sama dla siebie stanowi instrument kwantowego pomiaru. I to właśnie ten ciągły pomiar komórkowy jest podstawową siłą napędową ewolucji. Tłumaczy to, dlaczego mutacje nie są przypadkowe. I dlaczego ewolucja postępuje szybciej, niż mogłoby to wynikać ze zwykłej przypadkowości.

– Zaraz – przerwała jej Lisa. – Musisz mi to dokładniej objaśnić.



– No to weźmy jakiś przykład. Pamiętasz te bakterie, które nie były zdolne trawić laktozy? I jak wygłodzone na diecie złożonej wyłącznie z laktozy w cudowny sposób przeszły mutację, wykształcając enzym pozwalający trawić laktozę? Na przekór astronomicznie małemu prawdopodobieństwu. – Anna uniosła brew. – Czy korzystając z trzech zasad kwantowych, potrafisz to teraz wyjaśnić? Szczególnie jeśli ci powiem, że zwycięskiej mutacji wystarczył zaledwie jeden proton, by przenieść się z jednego miejsca w drugie.

Lisa postanowiła spróbować.

– No dobrze. Skoro proton mógł być w dwóch miejscach, to zgodnie z teorią kwantową był w obu. A więc gen był zmutowany i jednocześnie niezmutowany. Zachowywał zdolność bycia tu i tam.

– Mów dalej – zachęciła ją Anna.

– I dlatego komórka, odgrywając rolę instrumentu pomiaru kwantowego, mogła wymóc na DNA pozostanie po jednej lub po drugiej stronie linii granicznej. To znaczy poddanie się mutacji lub nie. A ponieważ komórka żyje i podlega wpływowi środowiska, to przeważało i doprowadziło do korzystnych zmian.

– Nastąpiło coś, co naukowcy nazywają mutacją adaptacyjną. Środowisko wywarło wpływ na komórkę, komórka na DNA i doszło do mutacji korzystnej dla komórki. A wszystkim sterowały siły działające w świecie kwantowym.

Lisa zaczęła rozumieć, do czego to wszystko zmierza. Podczas dyskusji w zamku Anna mówiła o „świadomym zamyśle” i nawet odpowiedziała wtedy na pytanie, kto jest jego autorem.

Stwierdziła, że my sami.

Lisa dopiero teraz zrozumiała, co Anna chciała przez to powiedzieć. Że to nasze własne komórki sterują ewolucją, reagując na otoczenie i wykorzystując potencjał DNA tak, by lepiej przystawał do środowiska. I dopiero od tej chwili zaczyna działać darwinowska zasada doboru naturalnego i powoduje utrwalenie tych zmian.

– Ale to nie wszystko. – Anna mówiła dalej, choć jej głos zaczynał się lekko załamywać. – Jeszcze ważniejsze jest to, że teoria kwantowa wyjaśnia, jak powstała pierwsza iskra życia. Pamiętasz astronomicznie nikłe prawdopodobieństwo wyłonienia się z pierwotnej zupy pierwszego replikującego się białka? W świecie kwantowym przypadkowość przestaje odgrywać jakąkolwiek rolę. Pierwsze replikujące się białko powstało, bo reprezentowało porządek w świecie chaosu. Jego zdolność zmierzenia i rozładowania potencjału kwantowego zastępuje dotychczasową przypadkowość procesów zachodzących w pierwotnej zupie. Życie powstało, bo było lepszym instrumentem pomiaru kwantowego.

– I Bóg nie miał z tym nic wspólnego? – Lisa powtórzyła słowa, które Anna wypowiedziała chyba wieki temu.

Anna położyła sobie dłoń na czole. Widać było, jak drżą jej palce. Zmrużyła oczy i z grymasem bólu zapatrzyła się w okno. Jej głos przeszedł w ledwie słyszalny szept.

– Tego też nie powiedziałam... źle do tego podchodzisz, od niewłaściwej strony.

Lisa nie podjęła tematu. Widziała, że Anna jest zbyt wyczerpana, by ciągnąć tę rozmowę. Wszystkim potrzebny jest sen. Ale musi zadać jeszcze jedno pytanie.

– A Dzwon? Jak on działa?

Anna opuściła rękę i spojrzała najpierw na Paintera, potem na Lisę.

– Dzwon jest optymalnym instrumentem pomiaru kwantowego.

Lisa z zapartym tchem zaczęła rozważać znaczenie tych słów.

Grymas bólu i zmęczenia na twarzy Anny rozświetlił trudny do określenia błysk. Była w nim duma, poczucie racji i wiara... ale także lęk.

– Gdyby udało się w pełni zapanować nad Dzwonem, można by za jego pomocą nie tylko ewoluować DNA ku doskonalszym formom, ale objąć tym procesem całą ludzkość.

– A co z nami? – wtrącił Painter. Jego mina świadczyła o tym, że nie porwał go podniosły ton Anny. – Z tobą i ze mną? Jak nasze przypadki mają się do tej doskonałości?

Błysk w oczach Anny zgasł i został zastąpiony przez zniechęcenie i poczucie porażki.

– Tak jak Dzwon może pobudzać ewolucję, tak może też wywoływać efekt odwrotny.

– Odwrotny?

– Wywoływać schorzenie, które dotknęło nasze komórki. – Anna odwróciła głowę. – I nie chodzi tylko o ich degenerację... Mamy do czynienia z dewolucją.

Painter wlepił w nią zmartwiały wzrok.

Jej głos przeszedł w chrapliwy szept.

– Nasze organizmy cofają się do stadium pierwotnego szlamu, z którego powstaliśmy.

## **RPA**

### **Godzina 5.05 czasu miejscowego**

Obudziły go wrzaski małp.

Małpy?

Niezwykłość tych odgłosów błyskawicznie wyrwała go z otępienia i przywróciła trzeźwość umysłu. Gray usiadł i wytężając pamięć, starał się uświadomić sobie, gdzie jest i co się z nim dzieje.

Na pewno żyje.

I znajduje się w więziennej celi.

Pamiętał syk gazu, muzeum w Wewelsburgu, swój fortel. Rzucił Biblię Darwina w ogień, twierdząc, że zawiera sekret znany tylko jemu i towarzyszącym mu osobom. Miał nadzieję, że ostrożność weźmie górę nad żądzą zemsty, i widać nie pomylił się, bo wciąż żyje. Ale co z resztą? Gdzie są Monk, Fiona i Ryan?

Rozejrzył się po celi. Wyposażenie sprowadzono do niezbędnego minimum. Prycza, sedes, nieosłonięty niczym prysznic. Nie było okna, drzwi zastępowała kratka z żelaznych, grubych na trzy centymetry prętów. Widać było przez nią oświetlony jarzeniówkami korytarz. Był zupełnie nagi, ale ktoś pamiętał, by na przymocowanym do podłogi taborecie koło pryczy zostawić mu ubranie.

Zrzucił koc i wstał. Świat się zakołysał, ale kilka głębokich oddechów pozwoliło go ustabilizować. Było mu niedobrze, w gardle drapało, w płucach czuł jakiś ciężar. Zapewne pozostałości zatrucia.

Poczuł też ostry ból w mięśniu uda. Dotknął go palcami i wymacał obrzęk wielkości pięści, z wyraźnym śladem po ukłuciu igłą. Na wierzchu dłoni miał przyklejony kawałek plastra. Czyżby po kroplówce? Najwyraźniej ktoś się nim zajął i uratował mu życie.

Z oddali znów dotarły piski i wrzaski małąp.

Dzikich małąp na wolności.

Małąpy zamknięte w klatce tak nie krzyczą.

Te kojarzyły się z odgłosami natury.

Ale jakiej natury? Powietrze w celi było suche, gorące i przesycone wonią piżma. Znajdował się w miejscu o ciepłym klimacie, może w Afryce? Jak długo był nieprzytomny? Nie zostawili mu zegarka i nie wiedział, która jest godzina, nie mówiąc już o dniu, ale czuł, że minęła co najwyżej doba. Zarost na brodzie świadczył o tym, że nie stracił przytomności na długo.

Podszedł do taboretu i sięgnął po ubranie.

Jego poruszenie się zwróciło czyjąś uwagę.

Za kratą, po drugiej stronie korytarza, stanął Monk. Gray poczuł ogarniające go uczucie ulgi. Więc jemu też się udało.

– Bogu dzięki... – wyszeptał.

– Jak się czujesz?

– Trochę otumaniony... ale to przechodzi.

Monk miał już na sobie biały kombinezon – identyczny z tym przygotowanym dla niego. Gray się ubrał.

Monk uniósł rękę i pokazał obnażony kikut z wszczepionymi tytanowymi biostykami protezy dłoni.

– Bydlaki zabrali mi nawet pieprzoną łapę – burknął.

Ale brak protezy był najmniejszym z ich zmartwień. Właściwie może nawet uda się to wykorzystać. Ale to później...

– Co z Fioną i Ryanem?

– Nie mam pojęcia. Może są w innych celach... albo w ogóle gdzieś indziej.

Albo nie żyją, pomyślał Gray.

– To co teraz, szefie? – zapytał Monk.

– Nie mamy większego wyboru. Poczekamy, aż tamci zrobią pierwszy krok. Będą chcieli wydobyć z nas informacje. Zobaczmy, co uda nam się wytargować.

Monk przytaknął. Wiedział wprawdzie, że Gray blefował w sprawie Biblii, ale jego wersję należy podtrzymywać, a cele mogą być na podsłuchu.

Jakby na potwierdzenie, z końca korytarza dobiegł szcęk otwieranych drzwi i odgłos kroków.

Chwilę później zobaczyli oddział strażników w zielono-czarnych mundurach moro. Dowódca ubrany był po cywilnemu – wysoki jasnowłosy młodzieniec, znany Grayowi z licytacji w Kopenhadze. Jego strój był jak zwykle nienaganny – tym razem chłopak miał na sobie czarne obcisłe spodnie, świeżo wyprasowaną lnianą koszulę, białe skórzane mokasyny i biały kaszmirowy blezer. Wyglądał tak, jakby się urwał z eleganckiego garden party.

Otoczających go dziesięciu strażników rozdzieliło się na dwie grupy i ustawiło przy celach. Obu więźniów wyprowadzono, skuto im ręce plastikowymi kajdankami i ustawiono boso w korytarzu.

Młodzieniec stanął przed nimi.

Wyraz wbitych w Graya błękitnych oczu był lodowaty.

– Dzień dobry – powiedział sztucznie modulowanym głosem, zapewne na użytek rozmieszczonych w korytarzu kamer. – Dziadek przyjmie was teraz na audiencji.

Mimo pozornej uprzejmości jego słowa pełne były jadu; dawały przedsmak tego, czym naprawdę będzie „audiencja”. To, że wcześniej udało im się ujść z życiem, traktował tylko jako chwilową zwłokę. Co powoduje jego nienawiść? Chęć pomszczenia śmierci brata? Czy raczej to, że udało im się go przechytrzyć? Gray czuł, że pod eleganckim ubiorem i pozorami oglądy kryje się coś dzikiego.

– Proszę za mną – rzucił młody człowiek, ruszając przodem.

Strażnicy otoczyli więźniów i podążyli za nim. Idąc korytarzem, Gray rozglądał się na boki, ale wszystkie cele były puste. Nigdzie śladu Fiony i Ryana. Czy jeszcze żyją?

Korytarz kończył się masywnymi stalowymi drzwiami z wiodącymi do nich trzema schodkami.

Drzwi były otwarte i pilnowane przez kolejnych strażników.

Kontrast między ponurym więziennym wnętrzem a porośniętym bujną zielenią subtropikalnym rajem był oszałamiający. Wysoko rozpościerał się baldachim koron drzew, z których zwieszały się kolczaste pnącza i pędy kwitnących orchidei. Gęste listowie całkowicie zasłaniało niebo, ale Gray domyślił się, że do wschodu słońca pozostało jeszcze dużo czasu. Żeliwne latarnie, jakby żywcem przeniesione z epoki wiktoriańskiej, oświetlały ścieżkę wijącą się pośród leśnej gęstwiny. Wokół słychać było śpiew ptaków i brzęczenie owadów, a pojawienie się więźniów zaanonsował dochodzący gdzieś z wysoka długi, szczekliwy wrzask małpy, który wystraszył ptaka o płomiennoczerwonym upierzeniu. Ten zerwał się do lotu i poszybował pod koronami drzew.

– Afryka – mruknął Monk. – I to na pewno subsaharyjska. Może nawet równikowa.

Gray przytaknął bez słowa. Doszedł do wniosku, że musi to być ranek następnego dnia, czyli że od ich wizyty w zamku minęło około dwudziestu godzin. A to oznaczało, że mogą być w dowolnym miejscu Afryki.

Ale gdzie?

Strażnicy prowadzili ich zwirową ścieżką. Gray słyszał, że towarzyszą im miarowe kroki czegoś dużego, co przedziera się

przez gęstwinę kilka metrów od ścieżki, ale gęszcz całkowicie to krył. Gdyby udało im się uciec, dżungla mogłaby stanowić doskonałą kryjówkę.

Ale przez całą drogę nie pojawił się nawet cień szansy na ucieczkę, a dotarli już do skraju lasu i znaleźli się na otwartej przestrzeni.

Przed nimi rozpościerał się ogromny wypielęgnowany ogród pełen przystrzyżonych krzewów, stylowych lamp, strumyków i oczek wodnych. Słysząc było szemranie wody i szum licznych kaskad wodnych. Pojawienie się ludzi wystraszyło długorogą antylopę, która czujnie uniosła łeb, przez chwilę trwała w bezruchu, po czym rzuciła się do ucieczki i zniknęła w dali między drzewami.

Na ciemnym niebie świeciły jeszcze gwiazdy, ale horyzont na wschodzie był już wyraźnie zaróżowiony. Gray ocenił, że do wschodu słońca brakuje jeszcze około godziny.

Jednak nie horyzont, a coś znajdującego się znacznie bliżej przykuło jego wzrok.

Na końcu ogrodu stała sześciokondygnacyjna budowla. Ściany utworzone były z polnych kamieni, poprzetykanych egzotycznym drewnem. Dwór przypominał Grayowi hotel Ahwahnee w Parku Narodowym Yosemite, ale przerastał go ogromem i przepychem. Miał przed oczami prawdziwy Wersal w środku dżungli. Budowla była naprawdę olbrzymia i na poszczególnych kondygnacjach urozmaicona licznymi przybudówkami, balkonami i galeryjkami. Jej lewe skrzydło kończyło się przeszkloną oranżerią tak rzęsiście oświetloną, że w mroku świeciła jak słońce.

Zewsząd rzucało się w oczy niezmiernie bogactwo.

Do dworu prowadziła wijąca się wśród zieleni żwirowa alejka, biegnąca nad strumieniami i zbiornikami wodnymi po łukowatych mostkach. Na jednym z takich mostków natknęli się na dwumetrowego węża, którego Gray rozpoznał dopiero wtedy, gdy ów wojowniczo uniosł głowę i rozpostarł kołnierz.

Kobra królewska.

Gad wyraźnie nie miał zamiaru zejść im z drogi i dopiero dowódca straży musiał ułamać kawałek trzciny i postraszyć nią węża jak niesfornego kota. Groźnie sycząc i obnażając zęby, wąż zrejterował, spełził z mostka i znikł w ciemnej wodzie strumienia.

Grupa spokojnie ruszyła dalej, jakby nic się nie stało. Im bliżej byli dworu, tym uważniej Gray rozglądał się na boki.

W konstrukcji budynku zaciekało go coś, czego nigdy wcześniej nie widział. Z jednego z górnych pięter rozchodził się labirynt wiszących kładek widokowych, które zagłębiały się w dżunglę. Zbudowano je zapewne z myślą o gościach, którzy mogli po nich spacerować wśród konarów drzew. Kładki oświetlone były lampami, które wyznaczały świetliste szlaki w mroku leśnej gęstwiny.

– Spójrz w górę – mruknął Monk.

Z głębi lasu wolnym krokiem wyłonił się strażnik z karabinem, wyraźnie widoczny w blasku lamp. Gray popatrzył na Monka. Zapewne jest ich tam więcej, a las jest tak gęsty, że może kryć całą armię. Ich szanse na ucieczkę zdawały się maleć z każdą chwilą.

W końcu dotarli do schodów prowadzących na obszerny drewniany ganek, na którym czekała na nich siostra bliźniaczka młodzieńca. Ten podszedł do siostry i ucałował ją w oba policzki.

Powiedział coś do niej po niderlandzku i choć Gray nie znał zbyt dobrze tego języka, wychwycił sens rozmowy.

– Tamci już gotowi, Ischke? – zapytał młodzieniec.

– Czekamy tylko na sygnał od dziadka. – Pokazała głową rzęście oświetloną oranżerię. – Zaraz potem rozpocznie się polowanie.

Gray nie mógł się połapać, o czym mówią.

Młodzieniec westchnął, poprawił niesforny kosmyk nad czołem i odwrócił się w stronę grupy.

– Dziadek przyjmie was teraz w solarium – powiedział, cedząc każde słowo. – Macie się odnosić do niego grzecznie i z



szacunkiem. Osobiście dopilnuję, żebyście odpokutowali za każde niewłaściwe słowo.

Odwrócił się i ruszył gankiem w stronę oranżerii.

– Isaak...! – zawołała za nim siostra.

Zatrzymał się i odwrócił.

– *Ja, Ischke?*

– *De jongen en het meisje?* – spytała. – Mam ich teraz wyprowadzić?

Isaak przytaknął ruchem głowy i rzucił jakieś polecenie.

Gray zamyślił się nad usłyszonymi słowami tak, że któryś ze strażników musiał go popchnąć. Obejrzał się za kobietą, ale ta zdążyła już skryć się we wnętrzu domu.

*De jongen en het meisje.*

Chłopak i dziewczyna.

Musi chodzić o Ryana i Fionę.

A więc żyją. Wiadomość ucieszyła Graya, zaraz jednak zmroziła go treść ostatniego polecenia Isaaka.

„Tylko najpierw upuść im trochę krwi”.

## **Przestrzeń powietrzna nad Afryką Godzina 5.18 czasu miejscowego**

Painter siedział pochylony z długopisem w dłoni. W kabinie słyhać było beztroskie pochrapywanie Gunthera, który zachowywał się tak, jakby obojętne mu były trudy czekające ich u celu podróży. Painter pomyślał, że zapewne nie czuje na sobie takiej presji czasu jak on i Anna. Wprawdzie całej trójce groziło to samo, czyli dewolucja, ale Anna i Painter podążali ku niej w iście ekspresowym tempie.

Painterowi nie udało się usnąć, postanowił więc poczytać o klanie Waalenbergów. Chciał się dowiedzieć czegoś więcej o historii słynnego rodu, w myśl zasady, że by pokonać wroga, należy go najpierw poznać.

Pierwsi Waalenbergowie dotarli do Afryki przez Algier w roku 1617. Rodzina z dumą przyznawała się do przodków cieszących się ponurą sławą piratów z Maghrebu, którzy grasowali na wodach u północnych brzegów Afryki. Pierwszy znany Waalenberg był bosmanem u słynnego pirata Sleymana Reisa De Veenboera, dowodzącego całą flotyllą holenderskich korsarzy i galer z bazą w Algierze.

Wzbogaciwszy się głównie na handlu niewolnikami, Waalenbergowie przenieśli się na południe i osiedlili w dużej holenderskiej kolonii na Przylądku Dobrej Nadziei, nie zarzucając przy tym swych pirackich tradycji, a jedynie je utajniając. Udało im się zdobyć czołową pozycję w społeczności holenderskich imigrantów, dzięki czemu odkrycie złóż złota na zasiedlonych przez nich terenach zapewniło im znaczący udział w zyskach. A odkryte złoża nie należały do małych. Ciągące się w pobliżu Johannesburga niewielkie góry Witwatersrand kryły czterdzieści procent światowych zasobów złota, co wprawdzie nie dorównywało sławą słynnym kopalniom diamentów De Beersów, niemniej stanowiło jedno z najzasobniejszych na świecie źródeł bogactwa.

Opierając się na nim, zbudowano dynastię, która bez uszczerbku przetrwała pierwszą i drugą wojnę burską, a także różne polityczne zawirowania, które doprowadziły do powstania dzisiejszej Republiki Południowej Afryki. Waalenbergowie stali się jednym z najbogatszych rodów na świecie, choć od paru pokoleń coraz bardziej wycofywali się z życia publicznego. Szczególnie przybrało to na sile pod rządami obecnego patriarchy rodu, Baldrica Waalenberga. Jednak im bardziej Waalenbergowie kryli się przed okiem opinii publicznej, tym liczniejsze były pogłoski o nękających rodzinę problemach: zdriczeniu obyczajów, perwersjach seksualnych, uzależnieniu od narkotyków i endogamii. Mimo to bogactwo Waalenbergów wciąż rosło, a ich imperium poszerzyło się o udziały w kopalniach diamentów, szybach naftowych i przemyśle petrochemicznym i farmaceutycznym.

Wykorzystywanie zakresu pojęciowego przedrostka *multi* w słowie multidyscyplinary stało się ich specjalnością.

Czy taka rodzina może być zamieszana w wydarzenia w Granitowym Zamku?

Z całą pewnością byli dość potężni i wystarczająco bogaci, a tatuaż widziany przez Paintera na ręce jasnowłosej zabójczynie bardzo przypominał „krzyż” z herbu Waalenbergów. No i do tego bliźnięta, Isaak i Ischke Waalenbergowie. Czego szukają w Europie?

Wiele pytań i tak mało odpowiedzi.

Painter odwrócił stronę i postukał długopisem w herb Waalenbergów.

Jego kształt wywoływał w nim niejasne skojarzenie...

Logan przesłał mu nie tylko dossier rodu Waalenbergów, ale także historię ich herbu. Użyty w nim symbol wywodził się od Celtów, kolejnego nordyckiego plemienia. Wyobrażał słońce i był często wykorzystywany do zdobienia celtyckich tarcz wojennych, co spowodowało, że zaczęto go nawet nazywać „węzłem tarczowym”.

Dłoń Paintera zawisła w powietrzu.

Węzeł tarczowy.

W głowie zadźwięczały mu słowa wypowiedziane przez umierającego Klause. Klątwa, jaką na nich rzucił.

„Wszyscy umrzecie! Uduście się, kiedy węzeł się zaciśnie”.

Wtedy potraktował te słowa jak aluzję do zaciskającej się na ich szyjach pętli. A jeśli Klausowi chodziło właśnie o ten symbol?

Kiedy węzeł się zaciśnie...

Painter odwrócił kartkę i wpatrując się w herb Waalenbergów, zaczął rysować. Starał się odtworzyć coś, co powstanie w wyniku zaciśnięcia węzła. Próbował ściągnąć razem pętelki, jakby ściślej zawiązywał sznurowadło.

– Co ty tam robisz? – usłyszał tuż za uchem głos Lisy.

Tak go zaskoczyła, że dłoń mu drgnęła i końcówka długopisu pojechała po kartce, niemal ją rozdzierając.

– Boże święty, kobieto, nie strasz mnie.

Lisa ziewnęła, oparła się o podłokietnik jego fotela i klepnęła go w ramię.

– Ale z ciebie mimoza – parsknęła. Nie zabrała jednak ręki i przysunęła się bliżej. – Co ty tam bazgrzesz?

Painter poczuł jej prawą pierś tuż przy swoim policzku. Bardzo wyraźnie.

Odchrząknął i zmusił się do powrotu myślami do rysunku.

– Bawię się tatuażem, który miała na ręce ta kobieta w zamku. Jeden z moich ludzi zauważył w Europie identyczny symbol na dłoniach dwójki innych *Sonnenkönige*. Wnuków Baldrica Waalenberga. To nie może być przypadek. Jest w tym coś, co przeoczyliśmy.

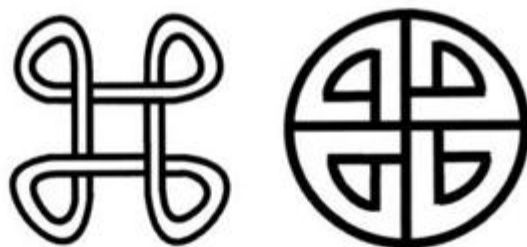
– Albo dowód na to, że stary łajdak znakuje swoje potomstwo, jak farmer bydło. Bo zdaje się, że jego metody hodowlane są podobne.

Painter pokiwał głową.

– Ale jest też coś, co powiedział Klaus tuż przed śmiercią. Mówił o zaciskaniu się węzła. Jakby było w tym jakieś ukryte znaczenie.

Kilkoma szybkimi kreskami dokończył rysunek i porównał z oryginałem.

Symbol rozwinięty i zaciśnięty.



Wystarczyło się przyjrzeć, by dojrzeć zawartą w symbolach sugestię.

Lisa musiała usłyszeć jego sapnięcie, bo przysunęła się jeszcze bliżej.

– Co takiego? – spytała.

– To tłumaczy, dlaczego Klaus dał się przeciągnąć na ich stronę – odrzekł Painter, wskazując długopisem drugi rysunek – A może i to, dlaczego w ciągu kilku ostatnich pokoleń stali się takimi odludkami.

– Nic z tego nie rozumiem.

– Nie mamy do czynienia z nowym wrogiem. To wciąż ten sam wróg. – Zacieniował środek zaciśniętego węzła i ich oczom ukazało się zawarte w nim jądro.



– To swastyka – zdumiała się Lisa.

Painter spojrział na uśpione rodzeństwo.

– Kolejni naziści – westchnął.

## **RPA**

### **Godzina 6.04 czasu miejscowego**

Oranżerię musiano zbudować razem z dworem, bo była równie stara jak on. Promieniście pofalowane szyby, jakby zmiękczano je pod gorącym afrykańskim słońcem i osadzano w żelaznych ramach, przypominały Grayowi pajęczynę i były od środka zaparowane. Widziany przez nie świat był rozmyty.

To, na co Gray zwrócił uwagę od razu po wejściu, to panująca w oranżerii wilgotność. Musiała sięgać stu procent, bo cienki bawełniany kombinezon natychmiast przylgnął mu do ciała.

Ale tej oranżerii nie zbudowano dla ludzkiej wygody. Pełna była najróżniejszych roślin. Rosły w donicach rozstawionych na

kilku poziomach, pięły się i zwisały girlandami, oplatając się wokół czarnych łańcuchów. Powietrze przesycone było zapachem kwiatów. Pośrodku oranżerii szemrała zbudowana z prętów bambusowych i kamieni niewielka fontanna. Było tu jak w prawdziwie rajskim ogrodzie i tylko Gray nie mógł się opędzić od nękającej go wątpliwości: po co komuś tropik pod szkłem, skoro ma za oknem prawdziwą Afrykę.

Na odpowiedź nie musiał długo czekać.

Siwowłosa mężczyzna stał na podeście z malutkim sekatorem w jednej ręce i niedużymi szczypcami w drugiej. Pochylając się nad drzewkiem bonsai – kwitnącą śliwą – jednym zręcznym ruchem odciął maleńką gałązkę, wyprostował się i odetchnął z satysfakcją.

Drzewko wyglądało na bardzo stare, było poskręcane i podparte szkieletem z miedzianego drutu. Mimo podeszłego wieku, było obsypane idealnie równymi, symetrycznie rozmieszczonymi kwiatami.

– To drzewko ma dwieście dwadzieścia dwa lata – powiedział z dumą mężczyzna, nie odrywając od niego wzroku. Mówił po angielsku, ale z wyraźnym obcym akcentem. – Było już bardzo stare, kiedy w tysiąc dziewięćset czterdziestym pierwszym roku dostałem je w prezencie od samego cesarza Hirohito.

Odłożył narzędzia i zwrócił się twarzą do przybyłych. Miał na sobie biały kitel, narzucony na granatowy garnitur z czerwonym krawatem. Wyciągnął rękę do wnuka.

– Isaak, *te`vreden...*

Młodzieniec skoczył do przodu i pomógł starcowi zejść z podestu, co ten skwitował ojcowskim klepnięciem w ramię. Mężczyzna zdjął kitel, wziął do ręki czarną laskę i ciężko się na niej oparł. Gray zauważył zdobięcy srebrną rączkę laski herb. Wykonane filigranem duże W wsparte było na dobrze mu znanym symbolu w kształcie czterolistnej koniczyny – takim samym, jaki wytatuowano Ischke i Isaakowi.

– Jestem Baldric Waalenberg – powiedział cicho starzec, patrząc na Graya i Monka. – Zechcą panowie dołączyć do mnie

w salonie. Mamy dużo spraw do omówienia.

Odwrócił się i pokuśtykał w głąb oranżerii.

Musiał dobiegać dziewięćdziesiątki, ale podpieranie się laską było jedyną rzucającą się w oczy cechą świadczącą o jego podeszłym wieku. Jego głowę zdobiła bujna czupryna srebrzyście siwych włosów z przedziałką pośrodku, które niesfornie opadały aż na ramiona. Na szyi zwisały na srebrnym łańcuszku okulary, a jedno ze szkieleł wyposażone było w coś w rodzaju jubilerskiej lupy.

Idąc za nim po wyłożonej terakotą posadzce, Gray zauważył, że roślinność w oranżerii pogrupowana jest według przemyślanego planu: sekcja drzewek bonsai i krzewów, sekcja iglaków i na końcu orchidee.

Starzec musiał zauważyć jego zainteresowanie, bo zatrzymał się obok wysokiego krzewu obsypanego ciemnofioletowymi kwiatami, w kolorze zwykle kojarzącym się z silnie podbitym okiem.

– *Phalaenopsis* hoduję już od sześćdziesięciu lat.

– Prześliczne – mruknął Monk tonem ociekającym sarkazmem.

Isaak obrzucił go groźnym spojrzeniem.

Wyglądało, że do starca w ogóle to nie dotarło.

– Ale wciąż nie udaje mi się czarna orchidea. Święty Graal dla hodowców tych kwiatów. Doszedłem już bardzo blisko, ale pod szkłem powiększającym wciąż widać albo cętki albo odcień bardziej wpadający w fiolet niż heban.

Machinalnie pomacał wiszącą na piersiach lupę.

Dopiero teraz różnica między tropikalną roślinnością na zewnątrz a hodowaną w oranżerii stała się dla Graya jasna. Tu nie było miejsca na cieszenie się przyrodą. Tu chodziło o jej ujarzmienie i podporządkowanie. Pod szklaną kopułą rośliny przycinano, regulowano ich wzrost i sztucznie krzyżowano. Oplatano miedzianym drutem i ręcznie zapylano, decydując o ich cechach i kształtach.

Dotarli do oszklonych witrażowym szkłem drzwi, za którymi mieścił się salon. Umeblowany ratanowymi i hebanowymi

meblami, był łącznikiem między oranżerią a głównym budynkiem. Na przeciwległej ścianie widać było uszczelnione gumową taśmą podwójne wahadłowe drzwi, za którymi zaczynał się właściwy dwór.

Waaalenberg rozsiadł się w fotelu z wysokim odchylanym oparciem.

Isaak podszedł do biurka, na którym stał komputer. Obok na ścianie wisiał płaski monitor i stała szkolna tablica.

Widniał na niej wypisany kredą rząd znaków. Gray rozpoznał symbole runiczne, z których ostatni przedstawiał znak *Mensch*, znany mu z Biblii Darwina.

Γ I X M Y

Gray starał się je zapamiętać. Pięć symboli. Pięć książek. Oto ma przed sobą komplet symboli runicznych Hugona Hirszfelda. Ale co one znaczą? Jakaż to prawda była *zbyt piękna, by pozwolić jej szczeznąć, i zbyt straszna, by puścić ją samopas?*

Starzec złożył ręce na kolanach i skinął głową na Isaaka.

Ten nacisnął klawisz i na ekranie pojawił się klarowny obraz o wysokiej rozdzielczości.

Przedstawiał zwisającą z konara drzewa wysoką klatkę z przegrodą, która dzieliła ją na dwie części. W każdej widać było skuloną ludzką sylwetkę.

Gray chciał podejść bliżej do ekranu, ale strażnik odepchnął go lufą karabinu. Jedna z postaci uniosła głowę i jej twarz oświetlił zwisający z góry reflektor.

Fiona.

W drugiej części klatki siedzi zapewne Ryan.

Lewa ręka Fiony obwiązana była skrajem jej bluzki, a na materiale widać było ciemne plamy, Ryan trzymał prawą dłoń wciśniętą pod lewe ramię. „Najpierw upuść im trochę krwi”. Ta suka musiała poharatać im ręce. Pozostawało mieć nadzieję, że



na tym poprzestała. Gray czuł narastającą w nim zimną furję. Serce waliło mu jak młot, wzrok jeszcze bardziej się wyostrzył.

– To teraz sobie porozmawiamy, *ja*? – Starzec powiedział to z pogodnym uśmiechem. – Jak dwaj dżentelmeni.

Gray popatrzył na niego, nie przestając zerkać na ekran. Niezły z niego dżentelmen.

– Co pan chce wiedzieć? – zapytał zimno.

– Chodzi o Biblię. Co jeszcze znaleźliście na jej stronach?

– A jak powiem, to ich uwolnicie?

– I niech mi jeszcze oddadzą moją cholerną łapę! – mruknął Monk.

Gray popatrzył na niego i wrócił wzrokiem do starca.

Baldric skinął głową na Isaaka, który ruchem ręki przywołał jednego ze strażników i rzucił jakiś rozkaz po niderlandzku. Strażnik odwrócił się na pięcie i szybko wmaszerował przez dwuskrzydłowe drzwi do wnętrza domu.

– Nie ma powodu was dręczyć. Jeśli będziecie z nami współpracować, macie moje słowo, że nikomu nic się nie stanie.

Gray uznał, że nie warto przeciągać struny, zwłaszcza że nie dysponował niczym poza własną inwencją. Wyciągnął przed siebie spętane ręce.

– Mogę wam tylko narysować, co znaleźliśmy. Nie potrafię tego opisać. To kolejny symbol w rodzaju tych na tablicy.

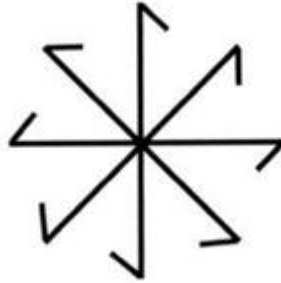
Kolejne kiwnięcie głową i chwilę później ręce Graya były wolne. Roztarł nadgarstki i podszedł do tablicy. Skierowało się na niego kilka karabinowych luf.

Wiedział, że musi narysować coś, co wyda się przekonujące. Jego znajomość runów była niemal zerowa, ale na szczęście przypomniał sobie symbol zdobiący dzbanek widziany w muzeum. Znak runiczny, którym Himmler kazał udekorować swój serwis do herbaty. Miał nadzieję, że okaże się wystarczająco tajemniczy i przekonujący, a jednocześnie opóźni postęp prac tych szaleńców.

Wziął kredę i narysował na tablicy zapamiętany symbol.

Baldric pochylił się do przodu i zmrużył oczy.

– Słoneczne koło. To ciekawe...



Gray stał przy tablicy z kredą w dłoni, niczym uczeń czekający na ocenę nauczyciela.

– I to już wszystko, co pan znalazł w Biblii Darwina? – upewnił się Baldric.

Gray kątem oka dostrzegał ironiczny uśmiezek błakający się na ustach Isaaka.

Coś jest nie tak.

Baldric wyraźnie czekał na odpowiedź.

– Najpierw ich wypuście – rzucił Gray stanowczo i pokazał głową monitor.

Podniósł oczy i napotkał wzrok starca. Mimo pozornej dobroduszości, wyczuwał w nim ostrą jak brzytwa inteligencję i skłonność do okrucieństwa. Widać było, że bawi się całą tą sytuacją.

Starzec spojrział na wnuka i raz jeszcze skinął głową.

– *Wie eerst?* – zapytał Isaak. – Kto pierwszy?

Gray zeszywniał. Coś zdecydowanie jest nie tak.

Baldric odpowiedział po angielsku. Znów spojrział na Graya, jakby chciał nacieszyć się przedstawieniem.

– Chyba chłopak. Dziewczynę zostawimy sobie na później.

Isaak wystukał polecenie na klawiaturze komputera.

Dno połówki Ryana otworzyło się, chłopak krzyknął i jak kamień poleciał w dół, z impetem spadając na porośniętą wysoką trawą ziemię. Szybko wstał i z wyrazem przerażenia na twarzy rozejrzał się. Widać było, że się czegoś panicznie boi. Może widział w pobliżu klatki jakieś dzikie zwierzęta, które przyciągnął zapach krwi?

A potem przypomniał sobie słowa Ischke.

„Czekamy na sygnał od dziadka. Zaraz potem zacznie się polowanie”.

Jakie polowanie?

Baldric dał znak Isaakowi, że ma podkręcić głoś.

Isaak nacisnął jakiś guzik i głośniki ożyły. Pokój wypełniły odgłosy dżungli i krzyki.

Nad wszystkim unosił się wrzask Fiony:

– Ryan, uciekaj! Właź na drzewo!

Chłopak jeszcze raz się rozejrzył, po czym, utykając, rzucił się do ucieczki i zniknął z kadru. Rozległ się głośny rechot, którym ktoś skwitował jego wysiłki. Pewnie śmiali się stojący poza kadrem strażnicy.

Zaraz potem powietrze rozdarło przeraźliwe wycie.

Dzikie i żądne krwi.

Dźwięk był tak przerażający, że Gray poczuł, jak jeżą mu się włoski na karku.

Baldric przejechał palcem po szyi i dźwięk ucichł.

– Zajmujemy się tu nie tylko hodowlą orchidei, komandorze Pierce – powiedział. Z jego głosu zniknęła dobroduszość.

– Dał nam pan słowo – przypomniał Gray.

– Pod warunkiem że podejmiecie współpracę! – Baldric bez wysiłku wstał i lekceważąco machnął ręką w stronę tablicy. – Ma pan nas za durniów? Od początku wiedzieliśmy, że w Biblii Darwina nie ma nic więcej. Mamy wszystko, czego nam potrzeba. To był tylko test. Przywieźliśmy tu pana w zupełnie innym celu. Szukamy odpowiedzi na całkiem inne pytania...

Do Graya zaczynało docierać, co się tu naprawdę dzieje i nogi się pod nim ugięły.

– A ten gaz...?

– Miał was tylko oszołomić. Nie był trujący. Ale muszę przyznać, że całe to pańskie przedstawienie było dość zabawne. Tylko teraz czas ruszyć do przodu. – Baldric podszedł do ekranu monitora. – Zależy panu na tej małej, prawda? Na tej chudej piekielnicy. *Zeer goed*. Zatem panu pokażę, co ją czeka w lesie.

Kiwnięcie głową, kolejne naciśnięcie klawisza i na ekranie pojawiło się dodatkowe okno z zupełnie innym obrazem.

Oczy Graya rozwarły się z przerażenia.

– Zależy nam na informacjach o pewnym pańskim współpracowniku – powiedział Baldric. – Chciałem się tylko upewnić, że wszyscy mamy jasność co do tego, że żarty się skończyły, *ja?* Chyba że życzy pan sobie jeszcze trochę pooglądać?

Gray nie spuszczał wzroku z ekranu. Czuł się pokonany.

– O kim? I co pan chce wiedzieć?

Baldric podszedł bliżej.

– Interesuje mnie pański szef. Painter Crowe.

# 12

## UKUFA

### **Richards Bay, RPA** **Godzina 6.19 czasu miejscowego**

Lisa z niepokojem obserwowała, jak Painter na drżących nogach pokonuje schody prowadzące do biura British Telecom International. Przybyli tu na spotkanie z brytyjskim agentem, który miał im pomóc w logistyce ewentualnego szturmu na posiadłość Waalenbergów. Do siedziby firmy dotarli po krótkiej jeździe taksówką z lotniska w Richards Bay, ważnym porcie handlowym na południowo-wschodnim wybrzeżu Afryki. Od posiadłości Waalenbergów dzieliła ich zaledwie godzina jazdy samochodem.

Painter kurczowo trzymał się poręczy, podciągając się i zostawiając ślady potu. Lisa podtrzymała go za łokieć i pomogła pokonać ostatni stopień.

– Dam sobie radę – burknął opryskliwie.

Nie zareagowała, wiedząc, że zżera go niepokój. Wiedziała też, że mimo kodeiny, którą łykał jak drażetki M&M's, wciąż ma ataki bólu. Mimo to sam dokuśtykał do drzwi wejściowych.

Anna miała nadzieję, że parę godzin snu w samolocie pozwoli mu choć trochę zregenerować siły, okazało się jednak, że dwunastogodzinny lot tylko pogorszył jego stan i posunął proces destrukcji organizmu... dewolucję, jeśli wierzyć Annie.

Anna i Gunther zostali na lotnisku, pilnowani przez strażników, choć prawdę mówiąc, nie było powodu, by ich pilnować. Ostatnią godzinę lotu Anna spędziła w toalecie,

walcząc z torsjami. Gdy odjeżdżali z lotniska, leżała półprzytomna na kanapie, a nachylony nad nią Gunther robił jej zimne okłady na czoło. Jej lewe oko nabiegło krwią i wyglądało, jakby ktoś je uderzył. Lisa podała jej środek przeciwwymiotny i wstrzyknęła morfinę.

Nie mówiła tego głośno, ale w duchu oceniała, że Annie i Painterowi został najwyżej jeden dzień do chwili, kiedy ich stan pogorszy się na tyle, że wszelkie zabiegi stracą sens.

Towarzyszący im major Brooks otworzył drzwi do budynku. Przed wejściem do środka czujnie rozejrzał się po ulicy, która z racji wczesnej pory była niemal pusta.

Painter wkroczył do środka na sztywnych nogach, starając się ukryć, jak źle się czuje.

Po chwili spędzonej w recepcji całą trójkę poprowadzono labiryntem przejść między biurowymi boksami i wpuszczono do sali konferencyjnej.

Sala była pusta. Przeszklona tylna ściana wychodziła na lagunę Richards Bay, która w północnej części była wielkim portem handlowym, pełnym dźwigów portowych i cumujących kontenerowców, natomiast od południa widać było wrzynający się w morze wał, za którym rozciągała się laguna w swej pierwotnej postaci. Urządzono tam park i rezerwat wodnych zwierząt, wśród których można było oglądać krokodyle, rekiny, hipopotamy, pelikany, kormorany i flamingi.

Promienie wschodzącego słońca zamieniły wody laguny w lśniące lustro.

Ktoś z pracowników przyniósł tacę z kawą i drożdżowymi bułeczkami i postawił na stole. Painter już przy nim siedział, Lisa poszła za jego przykładem. Major Brooks stał w wyczekującej pozycji w pobliżu wejścia.

Choć Lisa nie powiedziała tego głośno, Painter najwyraźniej wyczytał pytanie w jej wzroku, bo powiedział:

- Wszystko w porządku.
- Nieprawda – szepnęła. Wielka pusta sala konferencyjna dziwnie ją onieśmielała.

Uśmiechnął się do niej pogodnie. Mimo że źle się czuł, jego umysł zdawał się funkcjonować bez zarzutu. Lisa zauważyła wprawdzie, że zaczyna trochę seplenić, ale mogło to być spowodowane zażywaniem lekarstwami. Czy to znaczy, że umysł podda się ostatni?

Odnalazła pod stołem jego dłoń i uścisnęła.

Odwzajemnił uścisk.

Nie chciała go utracić. Siła targających nią emocji zaskakiwała ją samą. Przecież właściwie wcale go nie zna. Ale może właśnie chciałaby poznać go lepiej, dowiedzieć się, co lubi jeść i co go śmieszy, jak tańczy i co szepce do ucha na dobranoc. Nie chce tego utracić.

Ścisnęła jego dłoń, jakby mogła siłą woli zatrzymać go przy sobie.

Drzwi otworzyły się i osoba, na którą czekali, wkroczyła do sali.

Lisa spodziewała się kogoś w rodzaju Jamesa Bonda – gładko ogolonego i odzianego w garnitur od Armaniego tajnego agenta. Tymczasem zamiast rzeźkiego przystojniaka w drzwiach stanęła kobieta w średnim wieku, ubrana w wygnieciony kombinezon khaki i trzymająca także kapelusz. Twarz miała pokrytą warstewką czerwonego pyłu i tylko wokół oczu widać było jaśniejsze plamy po okularach przeciwsłonecznych. Nadawało to jej twarzy wyraz zdziwienia, a w oczach czaił się smutek.

– Jestem Paula Kane – powiedziała. Skinęła głową majorowi Brookswi i podeszła do stołu. – Nie mamy zbyt dużo czasu na rozmowy.

Painter pochylił się nad stołem, na którym leżały fotografie wykonane przez satelitę.

– Jak stare są te zdjęcia? – spytał.

– Zrobione wczoraj o zmroku – odrzekła Paula.

Zdążyła już pokrótce opowiedzieć o sobie. Po zrobieniu doktoratu z biologii podjęła pracę w brytyjskim wywiadzie i została wysłana do RPA. Wraz z partnerką prowadziły badania naukowe, a jednocześnie zajmowały się monitoringiem posiadłości Waalenbergów. Szpiegowały członków rodziny już od blisko dziesięciu lat, jednak niecałe dwa dni temu doszło do tragedii i jej partnerka zginęła w tajemniczych okolicznościach. „Zaatakowana przez lwa”, powtórzyła oficjalną wersję, ale widać było, że sama w nią nie wierzy.

– Po północy chcieliśmy uzyskać obraz w podczerwieni – ciągnęła Paula – ale nastąpiła jakaś awaria i nic z tego nie wyszło.

Painter przyglądał się przedstawionej na fotografiach olbrzymiej, liczącej ponad czterdzieści tysięcy hektarów posiadłości. Widać było ukryty w dżungli niewielki pas startowy i liczne budynki rozrzucone wśród zalesionych wzgórz, na rozległych równinach sawanny i schowane w dżungli. W samym środku zalesionych połaci można było dostrzec ogromną polanę ze stojącym na niej dworem z kamieni i drewna, główną rezydencję Waalenbergów.

– Nie da się uzyskać dokładniejszego obrazu otoczenia budynku?

Paula Kane pokręciła głową.

– Dżungla w tym rejonie jest bardzo specyficzna, przetrwała wyizolowana w nienaruszonym stanie, jest porośnięta starodrzewem. W całej Afryce Południowej zostało już tylko kilka takich obszarów leśnych. Waalenbergowie wybrali tę lokalizację ze względu na dzikość terenu, ale także dlatego, że chcieli przejąć ten gigantyczny las. Drzewa w tym rejonie miewają do czterdziestu metrów wysokości, rosną piętrowo i łącząc się koronami, tworzą gęsty baldachim. Różnorodność biologiczna pod osłoną tego baldachimu jest większa niż w kongijskiej dżungli czy jakimkolwiek lesie deszczowym.

– A w dodatku chroni przed wścibstwem satelitów – dodał Painter.



– Tylko Waalenbergowie wiedzą, co dzieje się pod tym sklepieniem. My wiemy tyle, że widoczna na zdjęciach budowla to tylko czubek góry lodowej. Pod nią ciągną się ogromne podziemne lochy.

– Jak głęboko pod powierzchnią? – spytał Painter. Jeśli rzeczywiście eksperymentują z Dzwonem, na pewno postarali się dobrze go ukryć.

– Nie wiemy. W każdym razie nie mamy pewności. Ale należy pamiętać, że Waalenbergowie zbili fortunę na kopalniach złota.

– W rejonie Witwatersrand Reef?

Paula spojrzała na niego z uznaniem.

– Zgadza się. Widzę, że odrobił pan zadanie domowe – powiedziała i powróciła wzrokiem do rozłożonych fotografii. – Wykorzystali tę wiedzę do zbudowania podziemnego kompleksu pod rezydencją. Wiemy, że inżynier górnictwa, niejaki Bertrand Culbert, doradzał im przy budowie tak zwanych fundamentów, ale wkrótce potem zmarł.

– Niech zgadnę. Pewnie w tajemniczych okolicznościach.

– Stratowany przez stado bawołów wodnych. Ale jego śmierć nie była ani pierwsza, ani ostatnia, jaka kojarzy się z Waalenbergami. – Paula widać pomyślała o swojej partnerce, bo w jej oczach błysnął ból. – Krąży mnóstwo plotek o tajemniczych zaginięciach ludzi w tamtych stronach.

– A mimo to nikt nie wydał nakazu przeszukania posiadłości?

– Musi pan pamiętać o specyfice południowoafrykańskiej polityki. Rządy mogą się zmieniać, ale prawdziwym władcą zawsze było tu złoto. Waalenbergowie są nietykalni. Złoto chroni ich lepiej niż mury obronne czy prywatna armia.

– A na czym polega pani rola? Co przyciągnęło uwagę MI six?

– Wywiad brytyjski interesuje się Waalenbergami już od zakończenia drugiej wojny światowej.

Painter czuł ogarniające go zmęczenie i nerwowo poprawił się w fotelu. W jednym oku tracił ostrość widzenia. Potarł je

i czując na sobie badawcze spojrzenie Lisy, odwrócił twarz do Pauli. Nie wspomniał dotąd o odkrytym związku herbu Waalenbergów z symbolem nazistów, ale widać MI6 już na to wpadło.

– Wiedzieliśmy, że Waalenbergowie byli hojnymi sponsorami Ahnenerbe Forschungs und Lehrgemeinschaft, nazistowskiego Towarzystwa Dziedzictwa Narodowego i Nauczania. Słyszał pan o tej organizacji?

Painter pokręcił głową, co wywołało ostry atak bólu. Ostatnio bóle głowy objęły też szyję i promieniowały na cały kręgosłup. Zacisnął zęby i przeczekał atak.

– Towarzystwo Dziedzictwa Narodowego było organizacją naukową pod osobistym patronatem Heinricha Himmlera. Prowadzili badania nad korzeniami rasy aryjskiej. Ponosili też bezpośrednią odpowiedzialność za niewyobrażalne zbrodnie, jakich dopuszczano się w obozach koncentracyjnych i tajnych ośrodkach badawczych. W skrócie można by ich nazwać oszalałymi naukowcami z pistoletami w garści.

Painter opanował grymas twarzy, który tym razem miał jednak zupełnie inne źródło. Słyszał podobny zarzut pod adresem Sigmy, której pracowników nazywano „uczonymi ze spluwami”. Czy tym są ich tutejsi przeciwnicy? Nazistowską wersją Sigmy?

– A co w tych badaniach interesowało Waalenbergów? – spytała Lisa.

– Nie jesteśmy do końca pewni. Wiadomo, że podczas wojny w byłej RPA znajdowało się wielu zwolenników ideologii nazistowskiej. Wiemy też, że obecna głowa rodziny, Baldric Waalenberg, osobiście interesował się eugeniką i jeszcze przed wybuchem wojny uczestniczył w konferencjach naukowych w Niemczech i Austrii. Po wojnie wycofał się z życia publicznego i wraz z całą rodziną ukrył się na swoim odludziu.

– Żeby lizać rany? – zastanawiał się Painter.

– Nie sądzimy, żeby o to chodziło. Po wojnie siły alianckie przeczesaly Niemcy w poszukiwaniu tajnych technologii nazistów. – Paula wzruszyła ramionami. – W tym także nasze.

Painter pokiwał głową. Słyszał już od Anny o powojennych rabunkach i szabrowaniu.

– Ale nazistom udało się wywieźć lub zniszczyć dużą część nowoczesnej technologii. Stosowali politykę spalonej ziemi, zabijali naukowców, bombardowali zakłady. W jednej z bawarskich fabryk nasze oddziały spóźniły się dosłownie o minuty. Natknęli się na miejscowego naukowca, który dostał kulkę w głowę, ale wciąż jeszcze żył. Zanim umarł, zdążył opowiedzieć, czym się tam zajmowano. Poszukiwano nowych źródeł energii, którą odkryto w trakcie badań nad teorią kwantową. Podobno odnieśli spektakularny sukces i odkryli paliwo o niespotykanej mocy.

Painter i Lisa wymienili spojrzenia. Pamiętali wykład Anny o energii punktu zerowego.

– Ale naziści wszystko wywieźli, korzystając z tak zwanych szuczurzych kanałów przerzutowych. Dlatego poza nazwą tej substancji i docelowym punktem przerzutu niewiele więcej wiadomo.

– Punktem docelowym była posiadłość Waalenbergów? – domyśliła się Lisa.

Paula przytaknęła.

– A ta substancja? – spytał Painter. Poskładał w myślach fragmenty układanki i właściwie znał już odpowiedź. – Nazywała się może Xerum pięćset dwadzieścia pięć?

Paula przyjrzała mu się podejrzliwie i zmarszczyła czoło.

– Skąd pan wie?

– To źródło napędu Dzwonu – powiedziała zduszonym szeptem Lisa.

Painter nie był zaskoczony. Doszedł też do wniosku, że pora wtajemniczyć we wszystko Paulę Kane.

– Myślę, że powinna pani kogoś poznać – powiedział, wstając z fotela.

Anna była równie poruszona.

– A więc tajemnica produkcji Xerum pięćset dwadzieścia pięć nie została utracona? *Unglaublich!*

Siedzieli w hangarze na lotnisku w Richards Bay, czekając na załadowanie dwóch zakurzonych łazików Isuzu Trooper bronią i niezbędnym ekwipunkiem.

Lisa przysłuchiwała się rozmowie Paintera, Anny i Pauli, kontrolując jednocześnie zestaw zabieranych środków medycznych. Gunther stał obok i z niepokojem zerkał na siostrę. Po lekarstwach zaaplikowanych przez Lisę Anna trochę doszła do siebie.

Tylko na jak długo?

– Gdy twój dziadek organizował ewakuację Dzwonu trasą północną – wyjaśnił Painter – tajemnicę produkcji Xerum wywieziono trasą południową. W ten sposób podzielono program badawczy na dwie części. W którymś momencie Waalenbergowie musieli się dowiedzieć, że Dzwon został uratowany, a jako ważny sponsor Towarzystwa Dziedzictwa Narodowego Waalenberg musiał wiedzieć o istnieniu Granitowego Zamku.

– To prawda – przyznała Paula. – Towarzystwo było zaangażowane we wspieranie organizowanych przez Himmlera ekspedycji w Himalaje.

– A odnalazłszy zamek, Baldric mógł bez trudu wprowadzić do niego swoich szpiegów.

Twarz Anny pobladła, choć nie spowodowało tego nagłe pogorszenie samopoczucia.

– Ten łajdak nas wykorzystywał! Od samego początku!

Painter przytaknął. W drodze na lotnisko zdążył zapoznać Lisę i Paulę ze swoją teorią. Za wszystkim od początku stał Baldric Waalenberg, który zdalnie pociągał za sznurki. Będąc pragmatykiem nieskorym do marnowania cudzych talentów i wymyślania koła na nowo, pozwolił uczonym z zamku kontynuować badania i śledził postępy ich prac dzięki szpiegom przekazującym informacje do Afryki.

– Dzięki uzyskanej wiedzy Baldricowi udało się zbudować własny Dzwon – ciągnął Painter – i rozpocząć samodzielne

badania. Mógł wyhodować własną odmianę *Sonnenkönige*, do czego wykorzystał wyniki badań waszych naukowców. Z jego punktu widzenia był to idealny układ. Pozbawiony własnej produkcji Xerum Granitowy Zamek był łatwym celem, w pełni uzależnionym od kaprysów Baldrice Waalenberga. Mógł wam w każdej chwili podciąć nogi.

– Co też zrobił – prychnęła Anna.

– Ale dlaczego? – zdziwiła się Paula. – Skoro ten układ tak mu odpowiadał?

Painter wzruszył ramionami.

– Nie wiem. Może dlatego, że zespół Anny coraz bardziej oddalał się od ideałów nazistowskich w kwestii wyższości rasy aryjskiej.

Anna zakryła twarz rękami, jakby nie chciała o tym słuchać.

– Docierały do mnie wieści... – powiedziała cicho – że niektórzy uczeni... zamierzają się ujawnić. Wyjść na powierzchnię i udostępnić środowisku naukowemu wyniki naszych badań.

– Nie sądzę, żeby to był jedyny powód. – Painter pokręcił głową. – Chodziło o coś więcej. O coś, co spowodowało, że wasz program badawczy stał się nagle przestarzały.

– Myślę, że może pan mieć rację – wtrąciła Paula. – Od jakichś czterech miesięcy notujemy wzmożoną aktywność na terenie posiadłości Waalenbergów. Wydarzyło się coś, co pobudziło ich do działania.

– Widać musieli sami dokonać jakiegoś odkrycia – rzekła Anna, unosząc brwi.

W tym momencie po raz pierwszy odezwał się Gunther, a jego głos zadudnił, jakby wydobywał się z kamiennego lochu.

– *Genug!* – Miał tego dość i ze zdenerwowania mieszał języki. – Łajdak ma Dzwon... ma Xerum... my je znajdziemy. I my go użyjemy. – Machnął ręką na siostrę. – Dość gadania!

Lisa była gotowa się z nim zgodzić.

– Trzeba znaleźć sposób, żeby się tam dostać. – I to bezzwłocznie, dodała w duchu.

– Żeby pokonać ich siłą, musielibyśmy mieć całą armię. Czy możemy liczyć na pomoc ze strony władz południowoafrykańskich? – zwrócił się Painter do Pauli.

– Nie ma szans. – Pokręciła głową. – Waalenbergowie posmarowali zbyt wiele dłoni. Trzeba będzie się uciec do jakiegoś podstępu.

– Te zdjęcia satelitarne nie na wiele się przydały – zauważył Painter.

– Zatem posłużymy się metodami bardziej tradycyjnymi. – Paula wstała i poprowadziła ich w stronę łazików. – Mam już na miejscu swojego człowieka.

## Godzina 6.28

Khamisi leżał rozciągnięty na brzuchu. Mimo że słońce już wzeszło, poszycie lasu zdawało się pogrążone w jeszcze większym cieniu. Miał na sobie kombinezon moro, przewieszoną przez ramię dubeltówkę Nitro Holland & Holland Royal, kalibru .465, w ręce trzymał tradycyjną krótką zuluską dzidę zwaną *assegai*.

Tuż za nim leżało dwóch zuluskich tropicieli: Tau, wnuk starca, który uratował Khamisiemu życie, wynosząc go z domu, i jego serdeczny przyjaciel Njongo. Obaj mieli broń palną i zuluskie dzidy. Byli też po zulusku odziani w skóry, mieli pomalowane ciała, a na głowach przepaski z wydrzego futra.

Wszyscy trzej spędzili noc w lesie, prowadząc rekonesans terenu wokół dworu i szukając podejść z dala od kładek widokowych, które były stale patrolowane przez strażników. Korzystali ze ścieżek wydeptanych przez zwierzynę i za którymś razem dołączyli nawet do niewielkiego stadka impali. W paru miejscach Khamisi przymocował liny udające pnącza i zwisające z kładek do samej ziemi. Przygotował też kilka innych niespodzianek.

Uznawszy, że zadanie zostało wykonane, ruszyli wzdłuż strumienia, który miał ich doprowadzić do obrośniętego żywopłotem ogrodzenia posiadłości.

I właśnie wtedy usłyszeli przeraźliwe wycie.

Huuu iiii UUUU!

Urwało się na wysokiej, skowyczącej nucie.

Khamisi zamarł. Wciąż jeszcze miał w głowie ten przerażający dźwięk.

*Ukufa.*

Paula Kane miała rację, twierdząc, że to coś żyje w rezerwacie Waalenbergów. Nie była pewna, czy stwory wyrwały się spod kontroli, czy zostały specjalnie poszczone na Marcię i Khamisiego, ale tak czy inaczej były na wolności i polowały.

Tylko co to jest?

Wycie dochodziło z dość daleka, z lewej strony.

A więc potwór nie poluje na nich. Był zbyt przebiegłym myśliwym, by z tak daleka zdradzać swoją obecność. Coś innego musiało być obiektem jego zainteresowania i rozbudzić żądzę krwi.

A potem Khamisi usłyszał ludzki głos krzyczący coś po niemiecku. Żałosne wołanie o pomoc.

Rozległo się znacznie bliżej.

W pierwszym odruchu Khamisi chciał rzucić się do ucieczki. Drżał i najchętniej uciekłby jak najszybciej i jak najdalej. W pełni zrozumiały, naturalny odruch.

Tau był widać tego samego zdania, bo cichym mruknięciem ponaglił go do odwrotu.

Khamisi popatrzył w stronę, skąd dochodziło żałosne wołanie. Te same stwory zabrały już Marcię i pamiętał przerażenie, z jakim tkwił zanurzony po szyję w wodopoju i modlił się o świt. Nie może przejść obojętnie obok następnej ofiary.

Podpełzł do Tau i podał mu mapę.

– Wracaj do obozu – szepnął. – Przekaż ją doktor Kane.

– Khamisi... bracie... nie idź tam. – Oczy Tau płonęły przerażeniem. Dziadek musiał mu opowiadać o *ukufie* i te straszne historie nabrały teraz rzeczywistych kształtów. Khamisi i tak był pełen podziwu dla obu chłopaków, bo nikt inny nie chciał nawet słyszeć o wejściu na teren posiadłości. Przesady mają potężną moc.

Ale w obliczu prawdziwego zagrożenia Tau też miał już dość.

Khamisiego to nie zdziwiło. Pamiętał, jaki był przerażony, gdy pierwszy raz zetknął się z potworem. Wtedy też uciekł i nie próbować czegoś zrobić. Rzucił się do odwrotu i pozwolił zginąć pani doktor.

– Wracaj – ponaglił chłopaka, pokazując głową widoczne w oddali ogrodzenie. Mapy muszą jak najszybciej trafić do adresatki.

Tau i Njongo wciąż jeszcze się wahali. W końcu Tau kiwnął głową, obaj chłopcy podnieśli się i nisko pochyleni, ruszyli ku ogrodzeniu. Khamisi nie usłyszał nawet szelestu ich kroków.

W dżungli zapadła ciężka, śmiertelna cisza. Khamisi ruszył w stronę słyszanych wcześniej odgłosów – ludzkiego wołania o pomoc i nieludzkiego wycia.

Chwilę później rozległo się kolejne wycie, tak głośne, że wystraszone ptaki zerwały się do lotu. Tym razem zakończyło się przeciągłym jęklwym chichotem. Khamisemu wydało się, że w tym chichocie słyszy coś znajomego, ale zanim zdążył się nad tym zastanowić, jego uwagę przyciągnęło żalosne szlochanie.

Rozległo się gdzieś blisko, przed nim.

Końcem dubeltówki rozgarnął liście i ujrzał niedużą polankę wygniecioną w gąszczu przez zwalone drzewo. W sklepieniu koron powstała niewielka dziura, przez którą na trawę padała wiązka porannych promieni słonecznych. Rozświetlona polanka kontrastowała z dżunglą, która wydawała się jeszcze mroczniejsza niż w rzeczywistości.

Coś się tam poruszyło. Kawalek nad ziemią młody mężczyzna – a właściwie chłopak – tkwił na pniu drzewa,



bezsukutecznie starając się sięgnąć następnej gałęzi i wspiąć wyżej. Widać było, że nie włada dobrze prawą ręką. Nawet z tej odległości Khamisi widział, że rękaw jego koszuli jest zakrwawiony i ręka zwisa niemal bezwładnie.

Po chwili chłopak poddał się, skulił i wtulił w pień.

Khamisi zobaczył, co go tak przeraziło.

Niczym sparaliżowany obserwował, jak z dżungli wyłania się jakieś stworzenie i staje obok drzewa. Mimo potężnej masy poruszało się niemal bezszelestnie. Wielkością przewyższało dorosłego lwa, ale z całą pewnością lwem nie było. Jego zmierzwione futro było białe jak u albinosa, oczy świeciły czerwonym blaskiem. Potężne bary przechodziły w pochylone do przodu plecy i kończyły się wąskim zadem. Na muskularnej szyi osadzony był wielki, wydłużony pysk z parą ogromnych uszu, jak u nietoperza. Potwór strzygł nimi w stronę drzewa.

Potem wywęszył zapach krwi i zadarł głowę.

Jego wargi rozchyliły się, obnażając rząd potężnych zębów.

Stwór znów zawył przeciągle, kończąc czymś w rodzaju przeraźliwego szczeku.

A potem zaczął wspinać się na drzewo.

Khamisi wiedział, co ma przed sobą.

*Ukufę.*

Śmierć.

Ale mimo monstrualnego wyglądu bestii wiedział też, czym ten potwór jest naprawdę.

## **Godzina 6.30**

– To osobnik z gatunku *crocuta crocuta* – wyjaśnił Baldrick Waalenberg, podchodząc do ekranu monitora. Widział, że Gray nie przestaje się wpatrywać w stwora widocznego w okienku nałożonym na obraz klatki z Fioną.

Gray patrzył na zatrzymany w kadrze obraz niedźwiedziowatego zwierzęcia ze zwróconym ku kamerze

pyskiem z rozwartą paszczą, w której widać było białe dziąsła i pożółkłe kły. Bestia ta musiała ważyć co najmniej sto pięćdziesiąt kilogramów i została sfilmowana nad rozszarpanymi szczątkami antylopy.

– Hiena plamista – mówił dalej Baldric. – To drugi pod względem wielkości gatunek mięsożernych w Afryce. Jest w stanie samodzielnie powalić antylopę gnu.

Gray zmarszczył czoło. Stwór na ekranie nie mógł być zwykłą hieną. Był od dwóch do trzech razy większy od przeciętnego okazu i miał jasne futro. To jakieś zmutowane monstrum.

– Co wyście z nią zrobili? – Chciał dać wyraz swemu oburzeniu, ale także wciągnąć starego do rozmowy i zyskać na czasie. Porozumiał się wzrokiem z Monkiem i przeniósł spojrzenie na starca.

– Uczyniliśmy ją lepszą i silniejszą – rzekł Baldric i zerknął na wnuka, który obojętnie przysłuchiwał się rozmowie. – Nieprawdaż, Isaaku?

– *Ja, grootvader.*

– Na prehistorycznych rysunkach w europejskich jaskiniach można oglądać przodków dzisiejszych hien. Znacznie większych, hieny olbrzymy. Znaleźliśmy sposób na przywrócenie osobnikom z gatunku *crocuta* dawnej świetności. – W głosie Baldrica była rzeczowość naukowca, tak jak w jego w opowieści o próbach wyhodowania czarnej orchidei. – Dzięki wszczępieniu do kory mózgowej ludzkich komórek macierzystych udało nam się nawet zwiększyć ich inteligencję. To fascynujące.

Gray czytał o podobnych eksperymentach na myszach. Naukowcom z Uniwersytetu Stanforda udało się wyhodować myszy, których mózg w jednym procencie był ludzki. Co się tu, u diabła, dzieje?

Baldric podszedł do tablicy z pięcioma symbolami runicznymi i postukał w nią laską.

– Cała bateria superkomputerów Cray XT trzy pracuje nad rozwiązaniem szyfru Hugona Hirszfelda. Kiedy nam się to uda,

będziemy mogli rozszerzyć nasz program na ludzi. Przejść do następnego etapu ewolucji gatunku ludzkiego. W Afryce znów narodzi się nowy człowiek, który położy kres plenieniu się podrzędnych ras i mieszańców, i zastąpi je rasową czystością. Gatunek ten czeka, żeby wyrwać się ze zdeprawowanego kodu genetycznego i oczyścić go.

Gray słyszał pobrzmiewające w słowach starca echa nazistowskiej filozofii *Übermenscha*, mitu nadczłowieka. Staruch musi być szalony. Nie ma innego wytłumaczenia. Ale Gray nie mógł też nie dostrzec bystrości jego spojrzenia i tego, że obraz na ekranie niezbitcie świadczy o przerażających sukcesach w drodze do celu.

Isaak nacisnął klawisz i zmutowana hiena zniknęła z ekranu. Nagle Grayowi coś zaświtało w głowie. Albinizm i ta hiena. Isaak i jego siostra bliźniaczka. Białowłosy morderca z Kopenhagi. Wszystko to jego twory. Baldric nie ograniczał się do eksperymentów na orchideach i hienach.

– A teraz wróćmy do Paintera Crowe’a – powiedział starzec i machnął ręką w stronę ekranu. – Teraz już pan wie, jaki los czeka młodą *meisje* w klatce, jeśli nie odpowie pan na nasze pytania. Mam nadzieję, że przeszła już panu ochota do żartów.

Gray wlepił wzrok w ekran i dziewczynę w klatce. Nie może pozwolić, by Fionie coś się stało, i musi grać na zwłokę. Dziewczyna została w to wplątana z jego winy – przez jego niezdarne śledztwo w Kopenhadze. Czuł się za nią odpowiedzialny. Co więcej, polubił ją i nawet miał dla niej swoisty szacunek, mimo że potrafiła nieźle zaleźć mu za skórę. I dlatego wiedział, co musi zrobić.

Zwrócił się twarzą do Baldrica.

– Co chce pan wiedzieć?

– W przeciwieństwie do pana, Painter Crowe okazał się większym zagrożeniem, niż przypuszczaliśmy. Wydostał się z naszej zasadzki i zniknął. Pomoże pan nam go odnaleźć.

– W jaki sposób?

– Nawiązując łączność z dowództwem Sigmy. Dysponujemy bezpieczną, niedającą się podsłuchać linią telefoniczną. Złamię

pan ciszę, porozumie się z dowództwem i dowie się, co Sigma wie na temat projektu o kryptonimie Czarne Słońce i gdzie ukrywa się Painter Crowe. A najmniejsza próba zwiedzenia nas... – Baldric wymownie spojrzął na monitor.

Gray już wiedział, po co było całe to przedstawienie. Chcieli w nim zdusić wszelką chęć oporu. Chcieli, by musiał wybierać między życiem Fiony a zdradą Sigmy.

Rozmowę przerwało spełnienie jednego z jego wcześniejszych żądań. Do pokoju wrócił strażnik z protezą Monka.

– Moja łapka! – wykrzyknął Monk, niezdarnie poruszając ramionami. Jego ręce były wciąż związane z tyłu.

Baldric ruchem ręki przywołał strażnika.

– Daj protezę Isaakowi – rozkazał.

– Sprawdzili ją w laboratorium pod kątem ukrytej broni? – spytał Isaak po niderlandzku.

– Tak jest, proszę pana. Wszystko w porządku.

Isaak dokładnie obejrzał protezę. Był to prawdziwy cud techniki DARPA, wyposażony w tytanowe styki, umożliwiające bezpośrednią kontrolę nad nerwami obwodowymi. W protezie zastosowano też najnowszą mechanikę i czujniki pozwalające wykonywać precyzyjne ruchy.

Monk popatrzył na kolegę.

Gray wiedział, że palce jego lewej dłoni wystukują teraz kod na stykach kikuta.

Skinął głową i podszedł do Monka.

Elektroniczna proteza miała jeszcze jedną właściwość.

Była radioodbiornikiem.

Z kikuta prawej ręki Monka został wysłany sygnał radiowy do protezy.

W reakcji na sygnał proteza zwinęła się w dłoni Isaaka.

Jej palce zacisnęły się w pięść.

Z wyjątkiem jednego, środkowego.

– Pieprz się! – syknął Monk.

Gray złapał go za łokieć i pociągnął w stronę podwójnych drzwi do wnętrza domu.

Eksplozja nie była ogłuszająca – nie większa od wybuchu granatu błyskowego. Substancja wybuchowa była domieszana bezpośrednio do tworzywa, z którego zrobiono zewnętrzną powłokę protezy, i była niewykrywalna. I wprawdzie nie wyrządziła zbytnich szkód, wywołała jednak wystarczająco duże zamieszanie. Kompletnie zaskoczeni strażnicy zaczęli wrzeszczeć, co pozwoliło Grayowi i Monkowi ruszyć do drzwi i puścić się pędem korytarzem. By umknąć z linii strzału, skręcili w pierwsze boczne przejście i popędzili korytarzem wyłożonym parkietem.

Wokół rozdzwoniły się sygnały alarmowe.

Musieli natychmiast znaleźć drogę ucieczki.

Gray zauważył szerokie, prowadzące na górę schody i pchnął Monka w ich stronę.

– Dokąd chcesz iść? – sapnął zdyszany Monk.

– Na górę, na górę! – odkrzyknął Gray, przeskakując po dwa stopnie. Strażnicy na pewno założą, że spróbują dotrzeć do najbliższych drzwi lub okna, jednak Gray wymyślił inny sposób ucieczki. Przez całą drogę do oranżerii uważnie przyglądał się rozkładowi mijanych pomieszczeń i teraz przywołał w pamięci plan budynku. Miał tylko nadzieję, że pamięć i zmysł orientacji go nie zawiodą.

– Tędy. – Pociągnął Monka w stronę jednego z korytarzy. Znajdowali się na szóstym poziomie. Dzwonki alarmowe nie milkły.

– Gdzie...? – zaczął Monk.

– Na drzewa! – krzyknął Gray, wskazując drzwi w końcu korytarza. – Na kładkę pod koronami drzew.

Ale okazało się, że nie jest to takie proste.

Zupełnie jakby ktoś słyszał ich rozmowę, na drzwi wychodzące na pomost zaczęła zjeżdżać stalowa żaluzja. Włączono automatyczną blokadę wyjść.

– Szybciej! – wrzasnął Gray.

Żaluzja zjeżdżała szybko i zasłaniała już trzy czwarte drzwi.

Gray przyspieszył i nie czekając na Monka, złapał krzesło i szurnął nim po podłodze. Krzesło przewróciło się i zaczęło

sunąć po gładkim parkiecie. Gray popędził za nim. Krzesło uderzyło w zamknięte drzwi tuż pod zjeżdżającą w dół stalową żaluzją. Żaluzja zatrzymała się, rozległo się zgrzytanie trybów i nad drzwiami zaczęła błyskać czerwona lampka sygnalizująca awarię. Gray był pewien, że gdzieś na tablicy kontrolnej błyska analogiczna lampka.

W chwili gdy dobiegał do drzwi, drewniane krzesło zaczynało już trzeszczeć i pękać pod naciskiem żaluzji.

Usłyszał za plecami zdyszany oddech Monka, któremu związane ręce bardzo utrudniały poruszanie się.

Gray schylił się i sięgnął do gałki na drzwiach. Opuszczona nisko żaluzja bardzo przeszkadzała i ledwo jej dosięgnął.

Uchwycił ją palcami i obrócił.

Drzwi były zamknięte na klucz.

– Jasna cholera! – syknął.

Krzesło trzeszczało i było coraz bliższe rozpadnięcia się. Z oddali dobiegał tupot wielu nóg i rzucane podniesionym głosem rozkazy.

– Podeprzyj mnie! – syknął Gray. Jedynym wyjściem było wypchnięcie drzwi siłą.

Wsunął się na plecach pod żaluzję, skulił nogi i zaczął pchać. Monk wpierał się w jego ramię, powiększając jeszcze siłę nacisku.

Drzwi odskoczyły i ukazały drewniany podest ze stojącą na nim parą nóg w kombinezonie khaki. Widać któryś ze strażników usłyszał alarm i podszedł do drzwi, żeby sprawdzić, co się dzieje.

Gray wycelował w golenie i kopnął z całej siły.

Cios zaskoczył strażnika. Nogi się pod nim ugięły, uderzył głową w żaluzję i jak długi runął na kładkę. Gray wysunął się na zewnątrz i wymierzył mu piętą jeszcze jednego kopniaka. Ciało strażnika zwiotczało.

Monk wysunął się tuż za Grayem. Pamiętał, by po drodze wykopnąć spod żaluzji krzesło. Żaluzja ponownie ruszyła w dół i po chwili ze szczękiem dotknęła podłogi.

Gray oskubał strażnika z wszelkiej broni. Nożem rozciął więzy Monka i wręczył mu pistolet – półautomatyczny model HK Mark 25 – dla siebie zatrzymał karabin.

Z bronią w rękach puścili się biegiem i po chwili dotarli do pierwszego rozgałęzienia kładek na granicy dżungli. Rozejrzeli się. Jak na razie obie drogi wydawały się wolne.

– Musimy się rozdzielić – zdecydował Gray. – To zwiększy nasze szanse. Musisz wezwać pomoc. Znajdź jakiś telefon i zawiadom Logana.

– A ty co?

Gray nie odpowiedział. Właściwie nie musiał.

– Gray... ona może już nie żyć.

– Ale tego nie wiemy.

Monk wlepił spojrzenie w jego twarz. Oglądał monstrum na ekranie monitora i wiedział, że kolega nie może postąpić inaczej.

Skinął głową i bez słowa rozeszli się w przeciwne strony.

## **Godzina 6.34**

Po drzewie rosnącym na drugim krańcu polanki Khamisi wspiął się na podniebną kładkę. Poruszał się szybko i bezszelestnie.

*Ukufa* wciąż krążyła wokół drzewa, pilnując zdobyczy. Chwilę wcześniej donośna detonacja na tyle ją wystraszyła, że zeskoczyła z pnia i zaczęła krążyć wokół niego, rozglądając się czujnie i nasłuchując postawionymi na sztorc uszami. Od strony dworu dochodziły stłumione nawoływania i dzwonki alarmowe.

Hałasy zaniepokoiły też Khamisiego.

Czyżby Tau i Njongo zostali złapani?

A może natknęto się na ich zamaskowany obóz po drugiej stronie ogrodzenia? Swoją bazę wypadową upozorowali na jedno z wielu obozowisk zakładanych przez wędrujących

z miejsca na miejsce myśliwych. Ktoś mógł się jednak zorientować, że tym razem chodzi o coś więcej.

Cokolwiek spowodowało alarm, hałasy wyraźnie zaniepokoiły monstrualną hienę – *ukufę* – i pohamowały jej zapędy. Khamisi wykorzystał jej wahanie i wspiąwszy się na kładkę, położył się na deskach i zdjął z ramienia dubeltówkę. Miał wyostrzone wszystkie zmysły, ale pierwsze przerażenie minęło. Odnotował niepewny chód potwora, jego chrapliwe pomrukiwanie i wydawany od czasu do czasu nerwowy chichot przechodzący w wycie.

Typowe zachowanie hieny.

Wprawdzie jej rozmiary budziły grozę, ale sama nie była czymś mitycznym czy nadprzyrodzonym.

To dodało Khamisemu odwagi.

Przebiegł przez pomost w pobliże drzewa i wyciągnął z plecaka linę.

Przechylił się przez stalowy drut podtrzymujący kładkę i wypatrzył ofiarę hieny. Zagwizdał głośno, imitując głos ptaka, ale uwaga chłopca była skierowana na poszycie u podnóża drzewa. Kolejny głośny gwizd tuż nad jego głową musiał jednak zwrócić uwagę chłopca, bo poderwał głowę, spojrzał w górę i napotkał wzrok Khamisiego.

– Wydostanę cię stamtąd! – zawołał cicho po angielsku Khamisi, w nadziei że chłopak zna ten język.

Ale jego wołanie dotarło też do uszu zwierzęcia.

*Ukufa* spojrzała w górę i jej płomiennie czerwone ślepia dostrzegły Khamisiego. Powieki potwora lekko opadły i zwierzę zaczęło badawczo przyglądać się człowiekowi na pomoście. Potem wyszczerzyło zęby i widać było, że zastanawia się, co robić.

Czy to ten sam potwór, który napadł na Marcję?

Khamisi z największą rozkoszą wycelowałby z obu luf prosto w rozdziawioną paszczę, ale bał się, że huk wystrzału z wielkokalibrowej broni przyciągnie czyjąś uwagę. Wszyscy w dworze i tak postawieni byli na nogi, dlatego odłożył strzelbę na kładkę. Potrzebne mu są teraz obie ręce.



– Chłopcze! – zawołał. – Spuszczę ci linę. Obwiąż się nią w pasie. – Na wszelki wypadek powtórzył polecenie na migi. – Wciągnę cię na górę.

Chłopak kiwnął głową. Miał twarz napuchniętą od łez i wpatrywał się w Khamisiego oczami okrągłymi jak spodki.

Khamisi wychylił się i zrzucił w dół zwój liny, która rozwinęła się, zaszeleściła wśród liści i zatrzymała na gałęziach nad głową chłopca.

– Musisz się do niej wspiąć!

Chłopak nie potrzebował zachęty. Pojawiła się szansa ucieczki i to dodało mu sił i energii. Wymachując nogami i przekładając ręce, zdołał dotrzeć na wyższą gałąź. Wyplątał z niej linę i całkiem sprawnie obwiązał się w pasie. To dobrze.

Khamisi tymczasem obwiązał linę wokół stalowego słupka podtrzymującego linę nośną pomostu.

– Zaraz zacznę ciągnąć! Będziesz musiał się puścić.

– Szybko! – krzyknął chłopak. Zrobił to jednak zbyt jękliwie i donośnie.

Khamisi zauważył, że *ukufa* wypatrzyła ruchy chłopca na drzewie, bo rzuciła się za nim jak kot za myszą. Dopadła do drzewa i zaczęła się wspinać, szarpiąc korę pazurami.

Nie było czasu do stracenia. Khamisi napiął mięśnie i przekładając ręce, zaczął ciągnąć linę do góry. Czuł, jak się napręży pod ciężarem młodzieńca, który zdecydował się opuścić kryjówkę na gałęzi i zawisł w powietrzu. Wychyliwszy się, Khamisi zobaczył, że dynda na linie jak wahadło.

W tym samym rytmie kołysał się łeb *ukufy*, która nie odrywając wzroku od ofiary, nie przestawała się wspinać. Khamisi czuł, że w pewnym momencie skoczy na chłopaka jak ryba na przynętę.

Przyspieszył wciąganie. Chłopak wciąż niebezpiecznie się kołysał.

– *Wie zijn u?* – usłyszał głos za plecami.

Tak go to zaskoczyło, że omal nie puścił liny. Ostrożnie obejrzał się przez ramię.

Na kładce stała wysoka, szczupła kobieta. Ubrana na czarno, miała ostrzyżone przy skórze jasnoblond włosy i wlepiała w niego wściekłe spojrzenie. Któreś ze starszych dzieci Waalenbergów. Przechodząc, natknęła się na niego przypadkiem, ale w ręce już trzymała nóż. Wyraźnie szykowała się do ataku, a Khamisi nie mógł puścić liny.

Niedobrze.

Z dołu dobiegł krzyk chłopaka.

*Ukufa* dosięgła już gałęzi, którą wcześniej opuścił, i teraz wyraźnie zbierała się do skoku. Kobieta za plecami Khamisiego parsknęła śmiechem, jakby imitowała chichot zwierzęcia na dole. Zaskrzypiała kładka, co znaczyło, że kobieta z nożem się zbliża.

Obaj z chłopakiem znaleźli się w pułapce.

## **Godzina 6.38**

Gray przyklęknął na kolejnym rozwidleniu. Z tego punktu odchodziły aż trzy kładki. Lewa zakręcała z powrotem do dworu, środkowa biegła wzdłuż granicy lasu i pozwalała podziwiać główny ogród. Prawa zagłębiała się w dżunglę.

Którą wybrać?

Ukucnął i zaczął analizować rozkład cieni, porównując je do obrazu zapamiętanego z ekranu monitora. Długość i kierunek padających cieni pozwalały z grubsza ocenić miejsce uwięzienia Fiony w stosunku do położenia słońca, ale zamiar był bardzo orientacyjny i oznaczałby konieczność przeszukania zbyt rozległego terenu.

Poczuł, że kładka drży pod tupotem biegnących nóg.

Następni strażnicy.

Napotkał już dwa takie patrole.

Zarzucił karabin na ramię, przeturlał się na krawędź kładki i schował się pod nią. Uchwyciwszy się stalowej liny i przekładając dłonie, dotarł do gałęzi i skrył się wśród liści.

Chwilę później nad jego głową przebiegło trzech strażników. Pomost się zakołysał. Trzymając się liny, Gray kołysał się wraz z nią.

Gdy strażnicy oddalili się, zaczął się gramolić na kładkę. Zdążył już zarzucić na nią nogę, kiedy trzymana w ręce lina zaczęła rytmicznie drgać. Czyżby nadbiegali kolejni strażnicy?

Ułożył się płasko na kładce i przyłożywszy ucho do liny, jak indiański tropiciel zaczął wsłuchiwać się w przenoszone przez nią dźwięki. Lina drgała w określonym rytmie, wydając dźwięk jak lekko trącana stalowa struna gitary. Trzy szybkie brzęknięcia, trzy wolne i znów trzy szybkie. I od nowa.

Alfabet Morse'a.

Sygnal SOS.

Ktoś wystukiwał na linie wołanie o pomoc.

Gray podniósł się i ostrożnie zawrócił do rozwidlenia. Pomacał wszystkie trzy liny i stwierdził, że drga tylko jedna z nich, ta podtrzymująca prawą, prowadzącą w głąb dżungli odnogę.

Czyżby to...?

Była to jedyna wskazówka, jaką dysponował, i Gray postanowił zaryzykować. Wkroczył na prawą odnogę, starając się trzymać jak najbliżej krawędzi, poruszać jak najciszej i nie kołysać kładką. Co jakiś czas pomost rozwidlał się i wtedy Gray ponownie klękał i sprawdzał liny. Każdorazowo w jednej z nich wyczuwał wyraźne drgania.

Tak był tym wszystkim przejęty, że dopiero po ominięciu rozłożystego liścia palmowego, niecałe cztery metry przed sobą ujrzał strażnika. Miał ciemne włosy, dwadzieścia parę lat i wyglądał, jakby dopiero co zdjął mundur Hitlerjugend. Stał oparty o poręcz kładki i mierzył prosto w Graya. Musiał wcześniej usłyszeć szelest liścia i zdążył się przygotować.

Nie było czasu na sięgnięcie po broń i Gray odruchowo rzucił się w bok. Nie miał nadziei, że uniknie trafienia. Wiedział, że z tej odległości napastnik nie może chybić.

Chciał całym ciężarem natrzeć na linową poręcz kładki i wywołać rezonans.

Opartego o linę strażnika odrzuciło i lufa jego karabinu podskoczyła do góry. To Grayowi wystarczyło, by dwoma susami dopaść go i jednocześnie zejść z linii jego strzału. W ręce trzymał już zdobyty nóż.

Wykorzystał moment dezorientacji strażnika i nim ten zdołał krzyknąć, Gray wbił mu nóż w tchawicę i przeciął krtań. Obrócenie ostrza wystarczyło do przecięcia tętnicy szyjnej i kilka sekund później mężczyzna już nie żył. Gray podtrzymał osuwające się ciało i przerzucił je przez poręcz. Nie miał wyrzutów sumienia. Pamiętał rechot strażników na widok Ryana spadającego w paszczę potwora. Ilu straciło życie w taki sam sposób? Ciało zaszeleściło w liściach i runęło na trawiaste podłoże.

Gray przykucnął i zaczął nasłuchiwać. Czy ktoś usłyszał hałas?

Gdzieś zaskakująco blisko, z lewej, odezwał się kobiecy głos. Kobieta mówiła po angielsku, ale z wyraźnie obcym akcentem.

– Przestań kopać w klatkę, bo zaraz spuszczę cię na dół!

Nie było wątpliwości, to głos Ischke, siostry Isaaka.

Odpowiedział mu inny, znacznie bardziej znajomy głos:

– Pieprz się, ty koścista dupo!

Fiona.

Więc jednak żyje.

Gray nie potrafił opanować uśmiechu ulgi i podziwu.

Skulony dotarł do miejsca, gdzie prosta dotąd kładka zataczała krąg wokół dużej polany. Pamiętał to miejsce z obrazu na monitorze.

Fiona ani na chwilę nie przestawała kopać w pręty: trzy szybkie, trzy wolne, trzy szybkie. Jej twarz wykrzywiał zawzięty grymas. Drgania wywoływane jej kopniakami przenosiły się na liny nośne i z tej odległości były już wyraźnie wyczuwalne pod stopami.

Dzielna dziewczyna.

Musiła usłyszeć dzwonki alarmowe w dworze, domyśliła się, że ma to jakiś związek z Grayem, i postanowiła dać mu

o sobie znać. Albo... albo po prostu dawała upust wściekłości i waliła w klatkę przypadkowo regularnie.

Zobaczył trzech strażników rozstawionych na obwodzie kolistej kładki, dokładnie naprzeciwko rozwidlenia stała Ischke. Była ubrana w swój elegancki czarno-biały strój i przechylona przez poręcz, wpatrywała się w Fionę.

– Jak ci przestrzelę kolano, to może się uspokoisz! – krzyknęła i położyła dłoń na rękojeści pistoletu.

Fiona zamarła z nogą w powietrzu, mruknęła coś pod nosem i postawiła nogę na podłodze klatki.

Gray rozważył swoje szanse. Sam jeden z karabinem przeciwko trzem uzbrojonym strażnikom i Ischke z pistoletem? Nie najlepiej.

Z drugiego końca polany dobiegł szum radiotelefonu.

Ischke odczepiła od paska mikrotelefon i uniosła do twarzy.

– *Ja?*

Przez dłuższą chwilę słuchała, rzuciła jakieś pytanie, którego Gray nie dosłyszał, i rozłączyła się. Zaczepiła urządzenie na pasku i zwróciła się do strażników:

– Są nowe rozkazy! Trzeba zabić dziewczynę.

## **Godzina 6.40**

Szykując się do skoku na dyndającego na linie chłopaka, *ukufa* wydała z siebie serię jękliwych skowytów. Khamisi czuł na sobie spojrzenie stojącej za nim kobiety, ale mając ręce zajęte liną, nie mógł sięgnąć po broń.

– Coś ty za jeden? – Kobieta powtórzyła pytanie i uniosła groźnie nóż.

Khamisi zrobił to, co w tej sytuacji mógł jeszcze zrobić.

Ugiął kolana i wyskoczył poza linową poręcz. Zaciskając dłonie na linie, poleciał w dół, słysząc, jak lina ze świstem ociera się o stalowy słupek. Kątem oka dojrzał chłopaka, który

szarpnięty przez linę, machając rękami, z krzykiem poszybował w górę.

*Ukufa* próbowała jeszcze złapać umykającą jej zdobycz, ale przewaga ciężaru Khamisiego spowodowała, że chłopak błyskawicznie podjechał na wysokość kładki i z hukiem uderzył w nią od spodu.

Ten nagły opór wyszarpnął linę z rąk Khamisiego.

Poleciał w dół i wylądował na plecach na trawie. Nad sobą widział chłopaka, któremu udało się uczepić kładki, i kobietę przechyloną przez poręcz i wlepiającą w niego szeroko otwarte oczy.

Coś ciężkiego spadło tuż obok niego.

Khamisi usiadł.

*Ukufa* toczyła ślinę z pyska i wściekle warczała.

Jej czerwone, płonące żądzą krwi ślepia były wbite w jedyną zdobycz, jaka jeszcze została.

W Khamisiego.

Pozbawionego broni palnej, którą zostawił na kładce.

Zwierzę zawyło wściekle i rzuciło się do gardła ofiary.

Khamisi upadł na plecy i użył jedynej broni, jaką dysponował – zuluskiej *assegai*. Krótka dzida przytroczona była do jego uda i przed szarżą *ukufy* zdążył ją odczepić i postawić na sztorc. Kiedyś, dawno temu, ojciec nauczył go posługiwania się *assegai*, tak jak robili to ojcowie wszystkich zuluskich chłopców. Było to jeszcze przed wyjazdem do Australii. Pamięć tamtych nauk i instynkt zakorzeniony w przeszłości przodków kazał mu wycelować ostrze dzidy między żebra potwora – już nie mitu, ale zwierzęcia z krwi i kości – i z całej siły wbić w jego cielsko.

*Ukufa* zawyła z bólu, ale gwałtowność, z jaką rzuciła się na Khamisiego spowodowała, że rękojeść dzidy wyslizgnęła mu się z dłoni. Khamisi odturlał się na bok, ale był już teraz całkowicie bezbronny. *Ukufa* zaczęła miotać się w trawie, co wbijało ostrze dzidy coraz głębiej w jej ciało. Wydała jeszcze jeden jęk, konwulsyjnie drgnęła i znieruchomiała.

Nie żyła.

Z góry usłyszał wściekły okrzyk.

Kobieta znalazła na kładce jego dubeltówkę i stała pochylona, mierząc wprost w niego. Huk wystrzału zabrzmiał jak wybuch granatu, a poszycie u stóp Khamisiego wzbilo się niczym gejzer ziemi i fragmentów roślin. Khamisi szarpnął się do tyłu. Kobieta na kładce przesunęła lekko dubeltówkę, pilnując, by tym razem nie spudłować.

Huk drugiego wystrzału zabrzmiał dziwnie ostro.

Khamisi znów się szarpnął i ze zdziwieniem stwierdził, że jest cały i zdrowy.

Spojrzał w górę i zobaczył, że kobieta przechyła się przez poręcz kładki i spada w dół, z krwawą miazgą zamiast piersi.

Na kładce pojawiła się jakaś nowa postać.

Muskularnie zbudowany mężczyzna z ogoloną głową. W ręce trzymał pistolet oparty na kikucie drugiej ręki. Wychylił się i dostrzegł chłopaka wciąż uczepionego kładki.

– Ryan...

Młodzieńcem wstrząsnął szloch radości.

– Zabierzcie mnie stąd – jęknął.

– Taki mamy zamiar... – Spojrzenie mężczyzny powędrowało w dół, do Khamisiego. – Pod warunkiem że ten facet na dole wie, jak się stąd wydostać. Bo mnie się już wszystko popieprzyło.

## **Godzina 6.44**

Po lesie niosło się echo dwóch wystrzałów.

Z gałęzi w koronach drzew zerwało się niewielkie stadko zielonych papug i skrzecząc z oburzenia, przefrunęło na drugą stronę polany.

Gray przykucnął.

Czy to znaczy, że dopadli Monka?

Ischke też musiała tak pomyśleć, bo zwróciła twarz w stronę, z której dobiegły strzały, i machnęła ręką na

strażników.

– Idźcie sprawdzić – rozkazała i ponownie wzięła do ręki radiotelefon.

Strażnicy z karabinami w rękach ruszyli truchtem wokół polany w stronę Graya. To go na tyle zbiło z tropu, że zdążył się tylko rozpląszyć na kładce, przetoczyć do krawędzi i przycisnąwszy do piersi karabin, zawisnąć pod kładką. Pierwszy strażnik już dobiegał do miejsca, pod którym zwisał. Gray chciał jak poprzednio złapać się liny nośnej, ale w pośpiechu dłoń mu się omsknęła i ledwie udało mu się zaczepić o linę drugą rękę. Bujnął się jak wahadło, karabin zsunął się z jego ramienia i poleciał w dół.

Gray wykręcił ciało i w ostatniej chwili zaczepił palcem o skórzany pasek przy broni. Z jego piersi wyrwało się westchnienie ulgi.

Usłyszał tupot buciorów i tuż nad jego głową przebiegło trzech strażników, kołysząc kładką i nim.

To spowodowało, że pasek zsunął mu się z palca, a siła ciężenia dokonała reszty. Karabin poleciał w dół i skrył się w poszyciu. Gray wyciągnął drugą rękę i złapał się liny. I tak miał szczęście, że karabin nie wystrzelił.

Tupot nóg się oddalił.

Usłyszał głos Ischke, która znów mówiła coś do słuchawki radiotelefonu.

Co teraz?

Przeciwko jej pistoletowi miał tylko nóż oraz brak złudzeń, że ta kobieta nie umie strzelać.

Jedyną przewagą, jaką dysponował, było zaskoczenie.

Które na ogół bywa mocno przeceniane.

Przekładając dłonie na linie, dotarł pod kładką do miejsca, gdzie zaczynało się koliste rozwidlenie. Wybrał lewą odnogę i zaczął przesuwając się pod kładką, starając się cały czas pozostawać w ukryciu. Musiał to robić bardzo powoli, by nie kołysać kładką. Starał się posuwać w miarę podmuchów wiatru, które co chwilę poruszały koronami drzew.

Ale i tak nie udało mu się pozostać niezauważonym.



Fiona przykucnęła w klatce, starając się w miarę możliwości kryć przed wzrokiem Ischke. Musiała zrozumieć wypowiedziane wcześniej po niderlandzku słowa – „Trzeba zabić dziewczynę” – i wiedziała, że odgłos strzałów tylko na chwilę odwrócił uwagę Ischke, która lada moment sobie o niej przypomni.

Przez pręty klatki dostrzegła Graya, który w białym kombinezonie zwisał pod kładką jak goryl i kryjąc się w listowiu, sunął na rękach. Drgnęła zaskoczona i niemal zerwała się na nogi, zaraz jednak opanowała się i znów przykucnęła. Nie spuszczał z niego wzroku, czekała, aż ich spojrzenia się spotkają.

Gray bez trudu dostrzegł, że jej hałaśliwa brawura była tylko zasłoną dymną i że naprawdę jest śmiertelnie przerażona. Kucając w ogromnej klatce, z rękami skrzyżowanymi na piersiach, zdawała się jeszcze węższa niż w rzeczywistości. Życie na ulicy nauczyło ją, że jedyną obroną przed załamaniem się i poddaniem panice jest brawura. I rzeczywiście, trochę jej to pomagało, ale widać było, że jest na granicy wytrzymałości.

Ustawiając się tak, by zasłonić sobą Graya, zaczęła dawać mu znaki. Pokazała na dół, po czym wpatrując się w niego z napięciem, wolno pokręciła głową.

Ostrzeżenie, że na dole jest niebezpiecznie.

Spenetrował wzrokiem gęste poszycie polany, ale poza kładącymi się wszędzie cieniami nie zauważył niczego szczególnego. Mimo to ufał ocenie Fiony.

Nie wolno mu spaść.

Obrócił głowę, by sprawdzić, jak daleko posunął się po okręgu wokół polany. Był mniej więcej na pozycji odpowiadającej godzinie ósmej. Ischke stała na godzinie dwunastej, więc został mu jeszcze do pokonania spory kawałek. Ręce zaczynały mu mdleć, palce coraz bardziej bolały. Mimo to musiał posuwać się szybciej. Ciągłe zatrzymywanie się i ruszanie z miejsca bardzo go męczyło, bał się jednak, że zbyt gwałtowne ruchy mogą zaalarmować Ischke.

Widać Fionie też przyszło to do głowy, bo nagle wstała i zaczęła kopać w pręty. Potrząsała przy tym klatką i kołysała nią jak huśtawką. Drgania przenosiły się na kładkę, co umożliwiała Grayowi szybsze przesuwanie się do przodu.

Niestety, zezłościło to Ischke.

Odsunęła od ust radiotelefon i wrzasnęła na Fionę:

– Dość tych wygłupów, smarkulo!

Fiona nie puszczała prętów i nie przestawała kopać.

Gray minął godzinę dziewiątą.

Ischke podeszła do wewnętrznej poręczy i gdyby teraz spojrzała we właściwym kierunku, zapewne dostrzegłaby na wpół odsłoniętego Graya. Na szczęście jej uwaga skoncentrowana była na Fionie. Wyjęła z kieszeni jakiś aparat, zębami wyciągnęła antenę i skierowała ją w stronę Fiony.

– Czas na spotkanie ze Skuld. Nazwaliśmy ją tak na cześć nordyckiej bogini przeznaczenia.

I nacisnęła przycisk.

Niemal tuż pod nogami Graya rozległo się przepojone złością i bólem wycie. Coś wypadło z mroku zarośli i wyskoczyło na środek porośniętej trawą polany. Jedna ze zmutowanych hien. Jej potężne cielsko musiało ważyć ze sto pięćdziesiąt kilo. Zwierzę warczało głucho, sierść na jego grzbiecie była zjeżona. Cofnięte wargi obnażały zęby, które kłapiąc, chwytają powietrze. Zwrócone ku klatce nozdrza węszyły.

Gray zdał sobie sprawę, że bestia musiała cały czas czaić się w nadziei, że on lada chwila spadnie. Zrezygnowała, wiedząc, co się za chwilę stanie.

Gray przyspieszył i minął godzinę dziesiątą.

Rozkoszując się przerażeniem dziewczyny, Ischke postanowiła jeszcze ją podręczyć.

– Chip umieszczony w mózgu Skuld pozwala stymulować jej żądzę krwi i apetyt. – Ponownie wcisnęła przycisk i hiena z dzikim wyciem wyskoczyła w górę, starając się dosięgnąć klatki. Z jej pyska ciekła strużka śliny.

A więc to tak Waalenbergowie sterują swoimi potworami.

Wszczepiają im radiowe implanty.

Kolejny przykład chęci podporządkowania sobie przyrody.  
– Więc czas zaspokoić głód biednej Skuld – parsknęła Ischke.  
Gray był bez szans. Nie mógł zdążyć, mimo to parł do przodu.

Godzina jedenasta.

Już tak blisko.

Za późno.

Ischke nacisnęła inny przycisk i do uszu Graya dobiegł metaliczny szczęk otwierającej się zapadni w klatce Fiony.

O, Boże!

Zamarł w bezruchu patrząc, jak zapadnia się otwiera i dziewczyna zsuwa się w paszczę czekającej bestii.

Gray był gotów skoczyć za nią i podjąć walkę.

Ale zrzuć Ryana widać czegoś Fionę nauczyło, bo była na to przygotowana. Sunąc w dół, zdołała złapać się dolnej ramy klatki i zawisała w powietrzu. Skuld skoczyła do jej nóg, Fiona zdążyła je jednak podciągnąć i zarzucić na dolną krawędź klatki.

Bestia nie dosięgła celu i z jękiem zawodu runęła na poszycie.

Fiona wgramoliła się na klatkę i przywarła do jej zewnętrznej strony niczym małpka.

Ischke wybuchnęła szyderczym śmiechem.

– *Zeer goed, meisje.* Co za inwencja! Może *grootvader* chciałby nawet dodać twoje geny do swojego banku. Ale będziesz musiała niestety zadowolić się rolą obiadu dla Skuld.

Gray widział od dołu, jak Ischke wyjmuje pistolet i celuje w Fionę.

Wisiał już tuż pod nią i obserwował jej ruchy przez szpary między deskami.

– No to kończymy sprawę – mruknęła Ischke po niderlandzku.

Gray podciągnął się na rękach, zrobił wymach nogami do tyłu i do przodu jak gimnastyk ćwiczący na drążku i piętami kopnął Ischke w żołądek, gdy ta, dla pewniejszego strzału, oparła się o poręcz.

Kopnięcie i wystrzał nastąpiły jednocześnie.

Gray usłyszał brzękliwy dźwięk pocisku odbijającego się od metalu.

Chybiła.

Cios w żołądek odrzucił kobietę do tyłu i nim się pozbierała, Grayowi udało się wspiąć na kładkę. Przyczał się z nożem w ręce, Ischke przyklękła na jedno kolano. Jej pistolet leżał dokładnie pośrodku między nimi.

Oboje rzucili się do przodu.

Ischke, mimo że kopnięcie musiało ją na chwilę pozbawić tchu, okazała się szybka jak atakująca żmija. Pierwsza dosięgła pistoletu i szarpnęła go w górę.

Ale Gray miał nóż.

Zamachnął się i przygwoździł jej przegub do desek kładki. Wrzasnęła zaskoczona i wypuściła pistolet. Gray rzucił się, by go złapać, ale ruch Ischke spowodował, że rękojeść odbiła się od desek i pistolet ześlizgnął się poza krawędź kładki.

Krótki moment potrzebny Grayowi na próbę przechwycenia pistoletu wystarczył, by kobieta oderwała rękę od deski, okręciła się na drugiej dłoni i wymierzyła kopniaka w jego głowę.

Szarpnął się do tyłu, ale jej goleń wyrznęła go w ramię z taką siłą, jakby dostał zderzakiem pędzącego samochodu. Zachwiał się, czując, że ma stłuczony mięsień. Cholera, silna jest!

Zanim udało mu się wstać, rzuciła się na niego i zamachnęła ręką ze sterczącym z przegubu nożem, celując w oczy Graya. Z trudem złapał ją za łokieć, wykręcił rękę i pociągnął ku krawędzi kładki.

Nawet nie próbował uchronić się przed upadkiem.

Spleceni, przechylili się przez krawędź i polecili w dół.

Tyle że Grayowi udało się zahaczyć lewym kolaniem o słupek konstrukcji nośnej kładki, co spowodowało gwałtowne szarpnięcie i zawiśnięcie na jednej nodze. Ischke zsunęła się po nim i runęła między konary.

Wisząc głową w dół, Gray patrzył, jak jej ciało przedziera się przez gałęzie i z impetem wali na trawę.

Podciągnął się z powrotem na kładkę i rozpląszczył na deskach.

Nie wierząc własnym oczom, przyglądał się, jak kobieta bez trudu wstaje i kulejąc, robi parę kroków. Musiała skrócić nogę w kostce.

Nagły dźwięk z boku zupełnie go zaskoczył.

To Fiona wylądowała na kładce tuż obok.

Gdy walczył z Ischke, musiała wdrapać się na szczyt klatki, a potem po linie wspięła się na pomost. Podbiegła do niego, machnęła lewą ręką i skrzywiła się. Z rany zadanej przez Ischke znów ciekła krew.

Gray spojrział w dół.

Tuż pod nimi stała Ischke, wlepiając w niego płonące nienawiścią oczy.

Ale nie była na polanie sama.

Za jej plecami biegła Skuld, z pyskiem tuż przy ziemi, jak polujący wśród traw i przyciągany zapachem krwi drapieżnik.

Jakże stosowne zakończenie, pomyślał Gray.

Kobieta wyciągnęła jednak zdrową rękę w stronę bestii i potężne zwierzę zatrzymało się, uniosło toczący ślinę pysk i dotknęło jej dłoni jak krwiożerczy pitbul liżący dłoń swego pana. Potem hiena zaskowyczała i położyła się na brzuchu.

Ischke ani na moment nie spuściła wzroku z Graya.

Kulejąc, ruszyła przed siebie.

Gray przez cały czas ją obserwował.

Kilka kroków dalej leżał jej pistolet.

Zerwał się na nogi, złapał Fionę za ramię i pchnął do przodu.

– Biegiem! – wrzasnął.

Nie musiał tego powtarzać. Dziewczyna była wystarczająco napompowana przerażeniem i adrenaliną. Obieгли łukiem polanę i dotarli do rozwidlenia kładki.

Fiona pomogła sobie na zakręcie, przytrzymując się metalowego słupka i okręcając wokół niego, Gray poszedł za jej przykładem. Ledwie zdążył go puścić, błysnęła iskra i rozległ się metaliczny brzęk odbijającego się od słupa pocisku.

Ischke znalazła pistolet.

Popędzili prostym odcinkiem kładki, chcąc jak najszybciej wydostać się z pola ostrzału. Chwilę później dotarli do kolejnego rozwidlenia i Gray uznał, że zagrożenie minęło. Teraz wystarczy już tylko zwykła ostrożność.

Przytrzymał ręką Fionę. Znajdowali się na tym samym potrójnym rozwidleniu, które mijali wcześniej. Którą z dróg wybrać teraz? Był pewien, że Ischke zdążyła już wszcząć alarm. Jej radiotelefon mógł wprawdzie zostać uszkodzony przy upadku, ale nie można było na to liczyć. Gray musiał założyć, że wszystkie drogi prowadzące ku wolności są już obstawione przez strażników.

A co z Monkiem? Co znaczyła strzelanina, która skłoniła Ischke do wysłania strażników? Żyje, nie żyje, został złapany? Zbyt dużo niewiadomych. Potrzebna im kryjówka, gdzie będą mogli czekać, aż ich trop wystygnie.

Tylko gdzie?

Spojrzał na kładkę skręcającą ku dworowi.

Nikomu nie przyjdzie do głowy szukać ich właśnie tam. Nie mówiąc o tym, że w dworze są telefony. Gdyby udało się dopaść któregoś... a może nawet sprawdzić, co się tam naprawdę dzieje...

Ale nie było na to szans. Wszystkie drzwi i okna były szczelnie pozamykane, a dom strzeżony jak forteca.

Fiona zauważyła jego zaszepienie.

Pociągnęła go za rękę i wyjęła coś z kieszeni. Wyglądało to jak plik kart do gry przyczepionych do łańcuszka. Uniosła je i pokazała.

To nie były karty do gry.

To były karty magnetyczne do zamków.

– Podpieprzyłam je tej wrednej suce. – Ton Fiony był jak splunięcie. – Za to, że mnie tak pocięła.

Gray wziął karty i przyjrzał się im. Pamiętał, że kiedy siedzieli zamknięci w krypcie Himmlera, Monk robił jej wyrzuty, że nie ukradła kluczy kustoszowi. Widać wzięła sobie do serca jego pretensje.

Zmrużył oczy i raz jeszcze spojrzął na mający w oddali dwór.

Dzięki kieszonkowcowi w spódnicy dysponował kluczami do fortecy.

Tylko co z tego?

# 13

## XERUM 525

**Rezerwat zwierząt Hluhluwe Umfolozi  
Kwazulu, RPA  
Godzina 10.34 czasu miejscowego**

Painter siedział po turecku w lepiance z błota i trawy i studiował mapy i rysunki. Powietrze przesycone było wonią łajna i kurzu, jednak małe zuluskie obozowisko, leżące zaledwie dziesięć minut drogi od posiadłości Waalenbergów, doskonale nadawało się na centrum operacyjne.

Co pewien czas ciszę zakłócał łomot wirników śmigłowców, które patrolowały posiadłość i tereny wokół niej, ale dzięki staraniom Pauli Kane z powietrza nikt nie był w stanie rozpoznać, że niewielka wioska jest czymś więcej niż tylko zwyczajnym obozowiskiem zuluskich koczowników. Nikt też nie mógł się domyślić, że w jednej z lepianek trwa właśnie narada wojenna.

Jej uczestnicy debatowali nad połączeniem sił i wypracowaniem wspólnej strategii.

Naprzeciwko Paintera siedzieli Anna i Gunther, tuż obok niego Lisa, która od chwili wylądowania w Afryce nie odstępowała go na krok. Cały czas zachowywała kamienny wyraz twarzy i tylko w jej oczach czaił się głęboki niepokój. Nieco dalej, z ręką opartą na rękojeści pistoletu, stał jak zwykle czujny major Brooks.

Wszyscy słuchali z uwagą opowieści Khamisiego, obok którego siedział najmniej oczekiwany uczestnik narady.



Monk Kokkalis.

Ku zaskoczeniu Paintera Monk wkroczył do obozowiska wraz ze ślaniającym się i lekko zamroczonym młodzieńcem, którego musieli z Khamisim podtrzymywać. Młody człowiek dochodził do siebie w innej lepiance i nie uczestniczył w naradzie, ale Monk przez blisko godzinę relacjonował jego losy i odpowiadał na pytania zebranych.

Anna z uwagą przyglądała się narysowanym przez niego runom. Oczywiście miała przekrwione, dłoń wyciągnięta nad kartką z rysunkami drżała.

– I te wszystkie symbole pochodzą z ksiązek Hugona Hirszfelda? – upewniła się.

Monk potwierdził skinieniem głowy.

– W dodatku ten stary ramol jest święcie przekonany, że są cholernie ważne. Wręcz kluczowe dla powodzenia jego planu.

Anna podniosła wzrok na Paintera.

– Doktor Hugo Hirschfeld był szefem naukowym projektu Czarne Słońce. Pamiętasz, jak mówiłam? Wierzył, że udało mu się rozwiązać zagadkę Dzwonu, a w ścisłej tajemnicy przeprowadził jeszcze jeden eksperyment, którego szczegóły znał tylko on. Eksperyment, w wyniku którego miało powstać idealne dziecko, nieobciążone żadnymi skazami i niezagrożone dewolucją. Perfekcyjny Król Słońca. Ale szczegóły... sposób, w jaki to osiągnął... znane były tylko Hirszfeldowi.

– I ten list napisany do córki – przypomniał Painter. – To, co odkrył, najwyraźniej go przeraziło. *Prawda zbyt piękna, by pozwolić jej szczeznąć, i zbyt straszna, by puścić ją samopas.* I dlatego ukrył ją w runicznym szyfrze.

– A Baldric Waalenberg jest pewny – Anna westchnęła – że potrafi ten szyfr złamać i osiąść ukrytą w nim wiedzę, postanowił więc zniszczyć Granitowy Zamek.

– Moim zdaniem chodziło o coś więcej niż tylko o to, że przestałaś być mu potrzebna – rzekł Painter. – Z pewnością miałaś rację, podejrzewając, że pogłoski o zamiarze twoich uczonych, by się ujawnić i włączyć w główny nurt badań naukowych, stanowiły dla niego rosnące zagrożenie. Był tak

blisko sukcesu i realizacji aryjskich mrzonek, że nie mógł pozwolić, byś nadal żyła.

Anna wzięła do ręki kartkę z narysowanymi przez Monka symbolami.

– Jeśli Hugo się nie mylił, złamanie tego szyfru może mieć kluczowe znaczenie dla ratowania naszego zdrowia. Już samo przebywanie w atmosferze Dzwonu może spowolnić rozwój choroby. Rozwiązanie zagadki da szansę na wyleczenie.

– Ale zanim będziemy mogli liczyć na jedno czy drugie – wtrąciła trzeźwo Lisa – musimy najpierw dotrzeć do Dzwonu Waalenbergów. Dopiero wtedy możemy myśleć o wyleczeniu.

– A co z Grayem? – spytał Monk. – I z tą dziewczyną?

Painter zachował kamienną twarz.

– Nie sposób ustalić, co się z nimi dzieje. Ukrywają się, zostali schwytani, nie żyją... W tej chwili komandor Pierce jest zdany wyłącznie na siebie.

Monk się zasepił.

– Mógłbym spróbować tam wrócić – powiedział. – Posłużyć się mapą Khamisiego.

– Nie. Nie możemy się teraz rozdzielać. – Painter rozmasował miejsce kłującego bólu za prawym uchem. Słyszał w głowie echa, czuł narastające nudności.

Monk przyjrzał mu się z troską.

Painter machnięciem ręki zbył jego niepokój, choć dostrzegał w nim coś więcej niż tylko obawę o stan jego zdrowia. Także rodzące się powątpiewanie – czy jego szef podejmuje właściwe decyzje? Czy jest w pełni władz umysłowych? Sam też borykał się z podobnymi wątpliwościami. Na ile jego rozważania są jasne i precyzyjne?

Jakby czytając w jego myślach, Lisa uspokajająco położyła mu rękę na kolanie.

– Wszystko dobrze – mruknął. Zapewnienie to adresował zarówno do niej, jak i do siebie samego.

Rozmowę przerwało uniesienie wiszącej przy wejściu derki. Do wnętrza wdarła się fala oślepiającego blasku i gorąca i weszła Paula Kane w towarzystwie członka starszyny

plemiennej w stroju ceremonialnym. Na łysej głowie miał pióropusz, pojedyncze pióra umieszczone na ciele i skórę lamparta ozdobioną kolorowymi koralikami. Choć był już dobrze po sześćdziesiątce, twarz miał gładką i czerstwą, jakby wykutą w kamieniu. W jednej ręce trzymał drewnianą laskę zakończoną pękiem piór, w drugiej – staroświecki pistolet.

Painter bez trudu rozpoznał broń. Angielski, gładkolufowy pistolet skałkowy Brown Bees, samopał z czasów wojen napoleońskich.

Wszyscy wstali i Paula Kane przedstawiła przybysza.

– Mosi D’Gana, wódz Zulusów.

– Wszystko gotowe – oznajmił wódz czystą angielszczyzną.

– Dziękuję za pomoc. – Painter pochylił się w ukłonie.

Mosi skwitował jego słowa lekkim pochyleniem głowy.

– Nasi wojownicy nie idą walczyć za waszą sprawę. Idą odpłacić się Voortrekkerom za Krwawą Rzekę.

Painter niepewnie uniósł brwi, ale Paula Kane od razu wyjaśniła:

– Kiedy Anglicy wypędzili z Kapsztadu Burów, ci zaczęli migrować coraz bardziej w głąb. Między napływającymi imigrantami a plemionami tubylców, takimi jak Xhosa, Pondo, Suazi czy Zulu, doszło do nieporozumień. W tysiąc osiemset trzydziestym ósmym w bitwie nad dopływem rzeki Buffalo Zulusi zostali zdradzeni, w wyniku czego tysiące z nich zginęło, a ich odwieczne tereny przeszły w ręce najeźdźców. To była prawdziwa rzeź. Od tamtej pory rzeka nazywana jest Krwawą Rzeką. Przywódcą Voortrekkerów, tym, który uknuł całą intrygę, był Piet Waalenberg.

Mosi wyciągnął do Paintera pistolet.

– My nie zapominamy.

Painter był pewien, że broń była użyta w tamtej niesławnej bitwie. Przyjął podarunek, wiedząc, że ofiarowanie tego starego skałkowego pistoletu symbolizuje zawarcie przymierza.

Mosi usiadł na ziemi i bez wysiłku skrzyżował nogi.

– Mamy wiele spraw do omówienia.

Paula skinęła głową na Khamisiego i uniosła derkę.

– Khamisi, twój pojazd jest gotowy. Tau i Njongo czekają. – Spojrzała na zegarek. – Musicie się pośpieszyć.

Khamisi bez słowa ruszył do wyjścia. Każdy miał przed nocą zadanie do wykonania.

Painter napotkał wzrok Monka i znów dostrzegł w nim niepokój, czuł jednak, że tym razem Monkowi chodzi o Graya. Do zachodu słońca zostało osiem godzin i do tego czasu mieli pozostawać bezczynni.

A to znaczyło, że przez ten czas Gray jest zdany wyłącznie na siebie.

## **Godzina 12.05**

– Trzymaj głowę nisko – szepnął Gray do Fiony.

Zbliżali się do strażnika stojącego na końcu korytarza. Gray miał na sobie mundur polowy – od butów z cholewami po czarną czapkę z daszkiem, nasuniętą na oczy. Poprzedni właściciel ubrania leżał nieprzytomny, zakneblowany i związany w szafie jednej z sypialni na piętrze.

Gray wziął też od niego radiotelefon przypinany do paska i słuchawkę zakładaną na ucho, dzięki czemu mógł podsłuchiwać prowadzone w sieci rozmowy. Toczyły się po niderlandzku, co znacznie utrudniało ich śledzenie, ale dawało przynajmniej pojęcie, co się dzieje.

Idąca krok za nim Fiona miała na sobie uniform pokojówki, który wygrzebali z tej samej szafy. Był na nią trochę za duży, ale dzięki temu lepiej maskował jej sylwetkę i wiek. Zatrudniony w dworze personel składał się niemal wyłącznie z miejscowych o różnych odcieniach skóry, co było normą w większości afrykanerskich domów. Kawowa cera Fiony i jej pakistańskie rysy wyglądały wystarczająco wiarygodnie. Długie proste włosy ukryła pod czepkiem i na pierwszy rzut oka mogła z powodzeniem uchodzić za miejscową. By jeszcze lepiej wejść

w swą nową rolę, trzymała głowę i ramiona skromnie opuszczone i stawiała drobne kroczyki.

Ich pojawienie się na korytarzu nie wzbudziło niczyjego zainteresowania.

Wśród strażników rozeszła się wiadomość, że Graya i Fionę widziano ostatnio w dżungli, a ponieważ dwór był szczelnie zamknięty, wewnątrz zostawiono tylko dyżurne posterunki, wysyłając całą resztę ochrony do przeszukiwania lasu i innych budynków, a także pilnowania granic posiadłości.

Zmniejszenie czujności nie dotyczyło niestety telefonów z wyjściem na zewnątrz. Zaraz po otwarciu drzwi ukradzioną kartą i dostaniu się do środka Gray wypróbował kilka aparatów, okazało się jednak, że do wyjścia na zewnątrz potrzebny jest specjalny kod. Zbyt natarczywe próby ominięcia go mogły zdradzić ich obecność.

A to oznaczało, że niewiele mogą działać.

Mogą się gdzieś ukryć, tylko co to da? Któż może wiedzieć, czy i kiedy uda się Monkowi sprowadzić pomoc? Należało działać. Pierwszym zadaniem było zdobycie planu dworu, a to oznaczało konieczność spenetrowania mieszczącego się na parterze centrum ochrony budynku. Ich jedyną bronią był pistolet Graya i podręczny paralizator w kieszeni Fiony.

Korytarz kończył się drzwiami na balkon, gdzie strażnik z karabinem automatycznym strzegł z góry głównego wejścia do budynku. Gray podszedł bliżej. Strażnik był rosły i zwalisty, a jego małe oczka pod ciężkimi powiekami nadawały mu wredny i nieco świński wygląd. Gray obojętnie kiwnął mu głową i skręcił na schody, Fiona podreptała za nim.

Wszystko poszło gładko.

Tylko że wtedy strażnik powiedział coś po niderlandzku. Gray nie rozumiał jego słów, ale zaczepny ton i kończący je gardłowy rechot były dość wymowne.

Przez ramię dojrzał, że jedna dłoń strażnika wędruje do pośladka Fiony, a druga łapie za łokieć.

I tu popełnił błąd.

Fiona szarpnęła się gwałtownie.

– Wal się, palancie.

Jej spódniczka otarła się o jego kolano, z kieszeni wystrzeliła niebieska iskra i trafiła go w udo. Ciało strażnika wygięło się do tyłu, a z jego gardła wydobył się zduszony charkot.

Gray podtrzymał padające ciało, które wciąż jeszcze konwulsyjnie drgało. Zwlókł strażnika z podestu i wciągnął do najbliższego pokoju. Na wszelki wypadek dołożył mu w głowę kolbę pistoletu i zabrał się do kneblowania i wiązania kończyn.

– Musiałaś to zrobić? – powiedział z pretensją.

Fiona podeszła bez słowa i z całej siły uszczypnęła go w pośladek.

– Aua! – Skrzywił się i spojrzał na nią z wyrzutem.

– I jak, przyjemnie było? – prychnęła.

Argument był mocny, ale Gray i tak się obruszył.

– Przecież nie mogę bez przerwy wiązać jakichś łajdaków – mruknął.

Stała z rękami skrzyżowanymi na piersiach i wzrokiem utkwionym w leżącym strażniku. Na jej twarzy malowała się złość zmieszana ze strachem. Gray nie mógł mieć pretensji, że tak ostro zareagowała. Otarł pot z czoła. Może jednak powinni się gdzieś schować i poczekać w nadziei, że coś się wydarzy.

Radiotelefon Graya nagle ożył. Z napięciem wsłuchiwał się w słowa, chcąc przynajmniej dowiedzieć się, czy zamieszanie koło schodów zwróciło czyjąś uwagę. Udało mu się wyłowić tylko pojedyncze wyrazy: „...ge`vangene... do głównego wejścia...”.

Ktoś coś jeszcze mówił, ale Gray nie słuchał. Zmroziło go to *ge`vangene*.

Więzień.

A to może znaczyć tylko jedno.

– Złapali Monka – szepnął, czując na plecach zimny dreszcz.

Fiona rozplotła ręce i spojrzała na niego ze smutkiem.

– Ruszamy – zarządził.

Zabrał strażnikowi karabin i paralizator i ruszył do wyjścia.

Schodząc po schodach, Gray szeptem zapoznał Fionę ze swoim planem. Korytarz na dole i ciągnący się do wejścia hol

były puste.

Ruszyli po lśniącej posadzce przykrytej chodnikami w afrykańskie wzory, a echo ich kroków niosło się korytarzem pełnym myśliwskich trofeów: olbrzymi łeb zagrożonego wyginięciem czarnego nosorożca, potężna lwia głowa z nadjedzoną przez mole grzywą, kolekcja poroży antylop.

Dotarli wreszcie do wejścia i Fiona wyjęła z kieszeni fartucha szczoteczkę z piór do odkurzania. Podeszła do drzwi i ustawiła się z boku. Po drugiej stronie stanął Gray z karabinem gotowym do strzału.

Po sekundzie zza drzwi dobiegły głosy.

Ciekawe, ilu strażników będzie towarzyszyć Monkowi?

Przynajmniej wiadomo, że żyje.

Metalowa żaluzja zasłaniająca wejście z klekotem ruszyła w górę. Gray spojrział w dół i pokazał Fionie dwa palce. Dwóch strażników z więźniem w białym kombinezonie.

Żaluzja odsłoniła wejście i Gray stanął na środku.

W oczach strażników był po prostu jednym z nich, tym, który z karabinem w ręce pilnuje głównych drzwi dworu. Bez wahania weszli do środka, prowadząc między sobą więźnia. Żaden nie zauważył paralizatora w ręce Graya, ani pokojówki, która zaszła ich od drugiej strony.

W ciągu paru sekund było po wszystkim.

Obaj strażnicy runęli na podłogę, wstrząsani gwałtownymi konwulsjami. Gray dołożył im jeszcze po kopniaku w głowę i pewnie mógł to zrobić lżej, ale czuł niepohamowaną wściekłość.

Więźniem nie był Monk.

– A ty kto? – rzucił Gray w stronę wyraźnie oszołomionego więźnia w białym kombinezonie, jednocześnie ciągnąc ciało strażnika do służbówki.

Siwowłosa kobieta jedną ręką pomogła Fionie zaciągnąć drugie ciało. Radziła sobie nadspodziewanie dobrze, zważywszy, że jej lewe ramię było obandażowane i umieszczone na temblaku, lewa strona twarzy zaś mocno pokiereszowana i pokryta głębokimi, podbiegniętymi krwią

szramami. Coś musiało ją zaatakować i mocno poturbować. Spojrzała hardo na Graya.

– Jestem doktor Marcia Fairfield.

## **Godzina 12.25**

Jeep sunął pustym traktem.

Siedzący za kierownicą naczelnik Gerald Kellogg co chwilę ocierał pot z czoła. Między kolanami trzymał butelkę piwa Birkenhead Premium Lager.

Mimo trwającego całe rano zamieszania nie zrezygnował ze swej codziennej rutyny. Zresztą i tak nic więcej nie mógł zrobić. Informacje przekazywane przez ochronę Waalenbergów były skąpe i wiedział tylko tyle, że doszło do ucieczki. Kellogg powiadomił strażników parkowych i rozstawił posterunki przy wszystkich bramach. Wyposażył ich też w fotografie otrzymane faksem z centrali Waalenbergów. Chodziło o kłusowników. Byli uzbrojeni i niebezpieczni.

Póki więc nie zameldują mu, że wypatrzono poszukiwanych, nie miał powodu zrezygnować ze swej codziennej, dwugodzinnej przerwy na lunch, którą zawsze spędzał w domu. Był wtorek, co oznaczało pieczone dzikie ptactwo z batatami. Minął ogrodzenie dla bydła i wjechał na obrosnięty niskim żywopłotem główny podjazd. Na wprost wznosił się piętrowy dom w stylu kolonialnym, stojący na pięknej działce o powierzchni czterech tysięcy metrów. Całość należała do rezerwatu i stanowiła służbową rezydencję naczelnika. Rezerwat opłacał też dziesięcioosobowy personel zajmujący się prowadzeniem domu i dbający o posiadłość. Jedynym lokatorem był on sam i wcale nie było mu spieszno, by to zmienić.

Po co kupować całą krowę, jeśli chce się tylko wypić szklanekę mleka?



Nie mówiąc o tym, że zdecydowanie preferował niedojrzałe owoce.

Obecnie miał w domu nową maskotkę, jedenastoletnią Nigeryjkę Ainę o skórze czarnej jak smoła. Wolał ciemne, bo na czarnej skórze trudniej dostrzec siniaki, choć miał pewność, że i tak nikt by o nic nie spytał. Miał też osobistego służącego imieniem Mxali – dzikusa z plemienia Suazi, którego wyciągnął z więzienia. Mxali zarządzał domem i siał terror wśród personelu. Wszelkie problemy na terenie posiadłości, a w razie potrzeby także poza nią, były przez niego rozwiązywane szybko i skutecznie. Zawsze też można było liczyć na pomoc Waalenbergów w kwestii pozbycia się stwarzających kłopoty rozrabiaków. Zrzucano ich z helikoptera nad posiadłością Waalenbergów. Gerald nie wiedział i nie chciał wiedzieć, co się potem z nimi działo. Ale jakieś plotki do niego docierały.

Mimo południowego upału po plecach przebiegł mu zimny dreszcz.

Najlepiej o nic nie pytać.

Zaparkował samochód pod rozłożystą akacją, wysiadł i ruszył zwirową ścieżką do bocznego wejścia prowadzącego wprost do kuchni. Po drodze minął dwóch ogrodników zajętych okopywaniem klombu. Tak jak im kazano, nie unieśli głów i nie patrzyli na przechodzącego Geralda.

Zapach czosnku i piekącego się ptactwa wzmógł jego apetyt. Poczul burczenie w żołądku i ochoczo wbiegł po trzech drewnianych schodkach. Minął otwarte na oścież siatkowe drzwi i wkroczył do kuchni.

Przy kuchence klęczał kucharz, trzymając głowę w otwartym piekarniku. Zaskoczony Gerald zmarszczył brwi i dopiero po chwili zorientował się, że to nie kucharz.

– Mxali?

Dopiero teraz poczuł, że przez kuchenne zapachy przebija smród nadpalonego ciała. Z ramienia służącego coś sterczało. Strzałka z pierzastą lotką. Ulubiona broń Mxaliego. Zwykle umoczona w truciźnie.

Musiał się tu rozegrać jakiś dramat.

Gerald cofnął się i zawrócił do wyjścia.

Ogrodnicy zdążyli już odłożyć motyki i stali teraz z karabinami wymierzonymi w jego imponujących rozmiarów brzuch. Napady na samotnie stojące domy w wykonaniu wędrownych band rzezimieszków z czarnych gett nie były w tych stronach niczym niezwykłym. Kellogg posłusznie podniósł ręce, czując, jak całe ciało zlewa mu zimny pot.

Skrzypnięcie podłogi za plecami spowodowało, że odruchowo skulił się i obejrzał.

Z pomieszczenia za kuchnią wyłoniła się ciemna postać.

Kellogg aż sapnął na widok intruza z oczami rozjarzonymi nienawiścią.

To nie przypadkowy rzezimieszek. To coś znacznie gorszego.

To upiór.

– Khamisi...

## **Godzina 12.30**

– To co mu właściwie jest? – zapytał Monk, pokazując palcem w stronę, w którą chwilę wcześniej oddalił się Painter. Z telefonem satelitarnym pożyczonym od doktor Kane poszedł do sąsiedniej lepianki, by konferować z Loganem Gregorem.

Monk siedział z Lisą na pniu zwalonego drzewa pod okapem jednej z chat i z przyjemnością zerkał na panią doktor, której urodzie nie zaszkodziły ani warstwa kurzu na twarzy, ani podkrążone oczy.

– Komórki w jego organizmie ulegają degeneracji – odrzekła. – Tak jakby rozkładały się od środka. Przynajmniej tak twierdzi Anna Sporrenberg. Przeprowadziła wcześniej szczegółowe badania nad szkodliwym wpływem promieniowania Dzwonu. Wywołuje ono zakłócenia w działaniu wielu organów. Jej brat Gunther też na to cierpi, tylko w wersji chronicznej. W jego przypadku postęp choroby jest jednak mocno spowolniony z racji wrodzonej odporności organizmu i jego lepszej

immunizacji. Anna i Painter zostali poddani silnemu napromieniowaniu jako ludzie dorośli i nie mają takiej odporności.

Wiedząc, że Monk zna się na medycynie, nie szczędziła mu szczegółów: niska liczba płytek krwi, rosnący poziom bilirubiny, obrzęki, nadwrażliwość mięśni ze skłonnością do sztywnienia w okolicach karku i ramion, obumieranie kości, zwyrodnienie wątroby, kołatanie serca, dziwne wapnienie kończyn, szklistość oczu.

Choć tak naprawdę wszystko sprowadzało się do jednego pytania, które zadał Monk:

– Ile czasu im jeszcze zostało?

Lisa westchnęła i spojrzała w stronę chaty, w której zniknął Painter.

– Nie więcej niż doba. Obawiam się, że gdybyśmy nawet dziś zdobyli lekarstwo, spustoszenie w organizmie jest trwałe i nieodwracalne.

– Zauważyłaś to jego mamrotanie... jak brakuje mu słów? Czy to jest efekt tych wszystkich lekarstw, czy... czy...?

We wzroku Lisy widać było smutek.

– To coś więcej niż tylko lekarstwa.

Chyba po raz pierwszy przyznała to głośno sama przed sobą. W jej głosie pobrzmiwały rezygnacja i przygnębienie, ale także cierpienie. Monk pomyślał, że jej reakcja świadczy o czymś więcej niż tylko o bezsilności lekarza czy żalu przyjaciela. Nie miał wątpliwości, że jej uczucia wobec Paintera są dużo głębsze i tylko stara się ze wszystkich sił trzymać je na uwięzi i nie dać się ponieść porywowi serca.

W drzwiach chaty stanął Painter i kiwnął na Monka.

– Mam Kat na linii! – zawołał.

Monk zerwał się na równe nogi, rozejrzał po niebie, sprawdzając, czy nie nadlatują śmigłowce, i ruszył w stronę Paintera. Wziął od niego telefon, przykrył dłonią mikrofon i pokazał głowę Lisę.

– Szefie, chyba tej pani przydałoby się towarzystwo.

Painter przewrócił niecierpliwie oczami. Były nabiegłe krwią, miały krwiste plamy na twardówce i piekły. Osłonił je dłonią i ruszył w stronę Lisy.

Monk przez chwilę patrzył na niego, po czym przyłożył słuchawkę do ucha.

– Hej, dziecinko.

– Ty mi tu lepiej nie dziecinkuj. Co ty, do cholery, robisz w Afryce?

Monk się uśmiechnął. Naburmuszony głos Kat był równie odpychający jak zimna lemoniada na pustyni. Nie mówiąc o tym, że jej pytanie musiało być retoryczne. Na pewno została o wszystkim poinformowana.

– Zdawało mi się, że pojechałeś tylko niańczyć Graya – przypomniała ze złością.

Monk milczał. Postanowił dać jej się wygadać.

– Jak wrócisz do domu, to zamknę cię na klucz w...

Mówiła tak jeszcze przez dobrą minutę międzykontynentalnego kodowanego połączenia.

W końcu udało mu się wtrącić:

– Ja też za tobą tęsknię.

Jej zacierzewienie przeszło w głębokie westchnienie.

– Słyszałam, że Graya wciąż nie ma.

– Da sobie radę. – Miał nadzieję, że się nie myli.

– Monk, znajdź go. Zrób wszystko, co w twojej mocy.

To go ucieszyło. I tak miał zamiar to zrobić, a ona nawet nie domagała się, żeby był ostrożny. Pewnie za dobrze go zna. Usłyszał, że następne słowa mówi przez łyżę.

– Kocham cię.

Ważniejsze od wszelkich zaklęć o zachowanie ostrożności.

– Ja też cię kocham. – Ściszył głos i odwrócił się do ściany. – Was oboje.

– Wracaj do domu.

– Spróbuj mnie powstrzymać.

Kat znów westchnęła.

– Logan coś ode mnie chce. Muszę kończyć. O siódmej rano jesteśmy umówieni na spotkanie z ambasadorem RPA.

Postaramy się go przycisnąć.

– Dajcie mu popalić, dziecinko.

– Damy. Na razie, Monk.

– Kat, ja... – Nie zdążył dokończyć, bo połączenie zostało przerwane. Cholera.

Monk opuścił rękę i spojrział na Lisę i Paintera. Siedzieli nachyleni ku sobie i rozmawiali. Czuło się, że wzajemna bliskość jest dla nich znacznie ważniejsza niż treść rozmowy. Popatrzył na telefon. Na szczęście Kat jest zdrowa i nic jej nie grozi.

## **Godzina 12.37**

– Prowadzili mnie do podziemnej celi – wyjaśniła Marcia Fairfield. – Na dalsze przesłuchania. Coś im widać nie daje spokoju.

Wszyscy troje ukryli się w pomieszczeniu przy schodach. Strażnik, który miał pecha zaczepić Fionę, wciąż leżał nieprzytomny na podłodze. Z nosa ciekła mu krew.

Doktor Fairfield opowiedziała pokrótce o napaści krwiożerczych bestii Waalenbergów, które po rzuceniu się na nią odciągnęły ją z miejsca zasadzki. Waalenbergowie swoimi kanałami dowiedzieli się o jej powiązaniach z brytyjskim wywiadem i zaaranżowali rzekome rozszarpanie przez lwa. Rany na jej twarzy i ciele rzeczywiście wyglądały paskudnie i musiały bardzo boleć.

– Udało mi się ich przekonać, że towarzyszący mi strażnik rezerwatu poniósł śmierć. Liczyłam, że nie będą go szukali i uda mu się wrócić do ludzi.

– Ale o co w tym wszystkim chodzi? – zapytał Gray. – Czym oni się tu zajmują?

– Jakąś makabryczną wersją genetycznego Projektu Manhattan – odrzekła Marcia, kręcąc ze smutkiem głową. – To wszystko, co wiem. Ale chyba chodzi też o coś innego. O jakiś

program uboczny. Podśluchałam rozmowę dwóch strażników. Rozmawiali o jakimś serum. Nazywali je serum pięćset dwadzieścia pięć. A później rozmawiali o jakiejś napaści. Może chodzić o Waszyngton.

– Mówili kiedy? – Gray zmarszczył brwi.

– Chyba nie. Ale z ich chichotania wynikało, że to, co ma się zdarzyć, zdarzy się już niedługo. Bardzo niedługo.

Gray w zamyśleniu potarł pięścią podbródek i zaczął krążyć po pokoju. To serum... może chodzi o broń biologiczną... jakiś patogen albo wirus... Pokręcił głową. Koniecznie musi dowiedzieć się czegoś więcej. I to jak najszybciej.

– Musimy się dostać do tych podziemnych laboratoriów – mruknął. – Zobaczyć, co się tam naprawdę dzieje.

– Właśnie prowadzili mnie do celi w podziemiach – przypomniała doktor Fairfield.

Gray popatrzył na nią i kiwnął głową.

– A więc gdybym wystąpił jako pani eskorta, mogłoby się udać tam dotrzeć.

– Tylko musielibyśmy się pospieszyć. Mogą się zacząć niepokoić, gdzie się podziałam.

Gray zerknął na Fionę. Czuł, że nie obejdzie się bez kłótni. Będzie musiała zrezygnować z pójścia z nimi. Byłoby trudno wytłumaczyć, co robi pokojówka w towarzystwie więźniarki i jej strażnika. Mogłoby to zwrócić niepotrzebną uwagę i wzbudzić podejrzenia.

– Wiem, wiem! Nie ma miejsca dla służby – prychnęła Fiona, kolejny raz zaskakując go swą reakcją. Potrąciła butem leżącego na podłodze strażnika. – Zaczekam z tym casanową do waszego powrotu.

Mimo dziarskiego tonu, w jej oczach czaił się strach.

– Nie zajmie nam to dużo czasu – zapewnił Gray.

– Mam nadzieję.

Wziął karabin i machnął w stronę drzwi.

– No to ruszajmy.

Zeszli na dół i Gray z bronią przystawioną do pleców Marcii doprowadził ją do drzwi głównej windy. Nikt ich nie zaczepił.

Tabliczka w windzie ostrzegała, że na dolne poziomy mogą zjeżdżać tylko osoby upoważnione. Gray wsunął do czytnika kolejną z kart Ischke i kolor podświetlenia przycisków z ujemnymi cyframi zmienił się z czerwonego na zielony.

– Wie pani, od którego miejsca powinniśmy zacząć? – zapytał.

Marcia bez wahania wyciągnęła rękę.

– Im większy skarb, tym głębiej zakopany – powiedziała, naciskając najniższy przycisk. Poziom minus siedem. Winda ruszyła w dół.

Patrząc na wyświetlające się oznaczenia poziomów, Gray przypomniał sobie jej słowa.

„A później rozmawiali o napaści. Może chodzić o Waszyngton”.

Jaka napaść?

## **Waszyngton, DC**

### **Godzina 6.41 czasu miejscowego**

Od National Mall do dzielnicy ambasad jest nieco ponad trzy kilometry. Szofer skręcił w Massachusetts Avenue i ruszył w stronę ambasady Republiki Południowej Afryki. Siedzący z tyłu Kat i Logan zajęci byli przeglądaniem notatek i nawet nie spojrzeli na lśniący w promieniach porannego słońca budynek.

A było na co popatrzeć. Zbudowana z amerykańskiego piaskowca trzypiętrowa budowla dumnie prężyła w słońcu liczne mansardy, przybudówki i więźby dachowe tak charakterystyczne dla kapsztadzkiej odmiany architektury holenderskiej. Szofer zajechał pod mieszkalne skrzydło budynku, bo ze względu na wczesną porę ambasador zgodził się przyjąć ich w prywatnym gabinecie swej rezydencji. Wydało im się też, że wszelkie sprawy dotyczące Waalenbergów woli omawiać w zaciszu swego gabinetu.

Kat było to zupełnie obojętne.

W kaburze przy kostce miała jak zwykle ukryty pistolet.

Wysiadła i zaczekała na Logana. Cztery kolumny podtrzymywały fronton z wyrzeźbionym na tympanonie godłem RPA. Portier zauważył ich przyjazd i otworzył przed nimi oszklone drzwi.

Logan jako wyższy rangą ruszył przodem, dwa kroki za nim podążała Kat, rozglądając się czujnie. Mając na uwadze bogactwo Waalenbergów, trudno było przewidzieć, kogo z personelu ambasady mogą mieć w kieszeni... nie wyłączając samego ambasadora, Johna Hourigana.

Wkroczyli do obszernego holu. Powitał ich sekretarz ambasadora, ubrany w elegancki granatowy garnitur, i poprowadził w głąb budynku.

– Ambasador Hourigan już schodzi – oświadczył. – Polecono mi zaprosić państwa do jego gabinetu. Czy mogę zaproponować kawę lub herbatę?

Oboje podziękowali.

Chwilę później znaleźli się w wyłożonym ciemną boazerią gabinecie, którego całe umeblowanie – biurko, gabloty na książki, stoliki – wykonane było z jednego gatunku drewna, knysny. Drewno to, zwane potocznie „śmierdziuchą” z uwagi na nieprzyjemną woń wydzielaną podczas obróbki, występuje tylko w Afryce Południowej i jest tak rzadkie, że praktycznie niedostępne w zwykłym handlu międzynarodowym.

Logan usiadł przy biurku, Kat stała.

Nie musieli długo czekać.

Drzwi gabinetu otworzyły się i stanął w nich wysoki, szczupły mężczyzna z płową czupryną. Ubrany był w granatowy garnitur, ale marynarkę miał przerzuconą przez ramię. Kat domyśliła się, że odstępstwo od formalnego ubioru ma podkreślać przyjazne nastawienie i chęć współpracy. Temu samemu miało też służyć zaproszenie ich do prywatnej rezydencji.

Była za sprytna, by dać się nabrać.

Gdy Logan ich przedstawiał, Kat rozglądała się po gabinecie. Doświadczenie z pracy w agencji wywiadowczej mówiło jej, że



rozmowa będzie nagrywana i starała się zgadnąć, gdzie ukryto urządzenia podsłuchowe.

Ambasador Hourigan usiadł w fotelu.

– Rozumiem, że chcą państwo porozmawiać o Waalenbergach... Zatem, czym mogę służyć?

– Mamy informacje, że ktoś pracujący dla Waalenbergów mógł być zamieszany w kidnaping na terenie Niemiec.

Ambasador otworzył szeroko oczy w dowód zdumienia. Nieco za szeroko.

– Jestem zaszokowany, słysząc tego rodzaju oskarżenie. Muszę też stwierdzić, że nie dotarły do mnie żadne informacje na ten temat z niemieckiego BKA, Interpolu czy Europolu.

– Nasze źródła są pewne. – Ton Logana był stanowczy. – Zwracamy się tylko z apelem, by Skorpiony przeprowadziły śledztwo na miejscu.

Kat obserwowała wyraz głębokiej zadumy na obliczu ambasadora. Skorpionami nazywano południowoafrykański odpowiednik FBI. Było niemal pewne, że na współpracę nie ma co liczyć i Loganowi tak naprawdę chodziło tylko o to, by tamtejsze służby nie wchodziły w drogę agentom Sigmy. Wprawdzie mieli nikłe szanse na współpracę godzącą w interesy takich politycznych mocarzy jak Waalenbergowie, można jednak było mieć nadzieję, że przy użyciu odpowiednich nacisków uda się zapobiec bezpośredniej konfrontacji z tamtejszymi służbami specjalnymi. Ustępstwo niewielkie, ale jakże istotne.

Kat nadal stała, przyglądając się, jak mężczyźni badają swoje słabe punkty i jeden próbuje zyskać nad drugim przewagę.

– Zapewniam pana, że Waalenbergowie odnoszą się z należyтым szacunkiem do społeczności międzynarodowej i jej kierowniczych gremiów. Rodzina bierze czynny udział w akcjach humanitarnych i udziela się w międzynarodowych organizacjach charytatywnych i fundacjach typu non profit na całym świecie. Dla przykładu powiem, że najnowszym przejawem jej hojności było dostarczenie wszystkim południowoafrykańskim ambasadorom i agendum rządowym

pamiątkowych złotych dzwonów. Wykonano je dla uczczenia setnej rocznicy wybicia w Związku Afryki Południowej pierwszej złotej monety.

– Bardzo to piękne i szlachetne, ale to jeszcze nie...

– Powiedział pan złote dzwony? – przerwała mu Kat. Odezwała się po raz pierwszy, od kiedy tu przyszli.

Hourigan zmierzył ją wzrokiem.

– Tak, to dar samego pana Baldrica Waalenberga. Sto pamiątkowych połączonych dzwonów z godłem Republiki Południowej Afryki. Nasz dzwon właśnie instalujemy w holu na trzecim piętrze.

Logan i Kat wymienili spojrzenia.

– Czy możemy go zobaczyć? – spytała Kat.

Ten nagły zwrot w rozmowie wyraźnie zbił ambasadora z tropu. Nie udało mu się wymyślić wiarygodnego powodu odmowy i Kat pomyślała, że pewnie zechce to nawet w jakiś sposób wykorzystać w toczonej rozgrywce.

– Z największą przyjemnością go państwu pokażę. – Wstał i spojrzał na zegarek. – Obawiam się jednak, że będziemy musieli się pospieszyć. Spodziewam się gości na śniadaniu i nie mogę się spóźnić.

Tak jak Kat przypuszczała, Hourigan postanowił skorzystać z oględzin dzwonu, by szybciej się ich pozbyć i wymigać się w ten sposób od podjęcia konkretnych zobowiązań. Logan spojrzał na nią z wyrzutem. Pozostawało jej tylko mieć nadzieję, że się nie myli.

Poprowadzono ich do windy i zawieziono na najwyższe piętro, gdzie korytarzem udekorowanym wyrobami południowoafrykańskiego rękodziela dotarli do dużej sali. Przypominała bardziej salę muzealną niż pomieszczenie w części mieszkalnej. Pod ścianami stały oszklone gabloty i masywne komody z mosiężnymi, ręcznie wykonanymi okuciami, środek zajmowało kilka długich stołów. Przeszklona tylna ściana wychodziła na podwórze i ogrody ciągnące się za budynkiem ambasady. W narożniku wisiał duży złocisty dzwon. Sprawiał wrażenie, jakby właśnie wyjęto go ze skrzyni, bo na

podłodze wałały się jeszcze źdźbła słomy otulającej go na czas transportu. Dzwon miał około metra wysokości i półmetrową średnicę u dołu. Na jego boku wygrawerowano godło RPA.

Kat podeszła bliżej. Z czubka dzwonu wychodził gruby kabel, którego duży zwój leżał na podłodze.

Ambasador zauważył jej zainteresowanie.

– Ma wbudowany automat, który pozwoli mu bić o określonych porach dnia. To prawdziwy cud techniki. Jeśli zajrzy pani do środka, zobaczy pani mechanizm jak w roleksie.

Kat spojrzała na Logana, który wyraźnie zbladł. Tak jak ona przestudiował rysunki Anny Sporrenberg, na których przedstawiła konstrukcję oryginalnego Dzwonu. Mieli przed sobą jego dokładną pozłacaną kopię. Oboje wiedzieli też o zgubnym wpływie wywieranym przez to urządzenie na zdrowie ludzi. Powolne osuwanie się w szaleństwo i śmierć. Kat wyjrzała przez okno. Roztaczał się z niego wspaniały widok na mającą w oddali kopułę Kapitolu.

Wcześniejsze słowa ambasadora nabrały nagle przerażającego wydźwięku.

„Sto pozłacanych dzwonów... do ambasad na całym świecie”.

– Do jego uruchomienia musiano nawet przysłać specjalnie wyszkolonego technika – ciągnął ambasador, wyraźnie dumny z podarunku, choć w jego głosie pojawiała się nutka zniecierpliwienia. Wyraźnie miał już dosyć tego spotkania. – Gdzieś się tu jeszcze kręci.

Za plecami usłyszeli trzaśnięcie drzwi.

Wszyscy troje odwrócili głowy.

– A, o wilku mowa... – zaczął Hourigan, ale głos uwiązł mu w gardle. Mężczyzna miał jasnoblonde włosy i widoczny nawet z tej odległości ciemny tatuaż na dłoni trzymającej wycelowany w nich pistolet maszynowy.

Kat schyliła się, próbując wyszarpnąć pistolet z kabury przy kostce.

Bez słowa ostrzeżenia mężczyzna otworzył ogień i zasypał ich gradem kul.

Wokół poleciały kawałki rozbitego szkła i odłamki drewna.

Odbijające się rykoszetem pociski musiały coś uruchomić, bo złościsty dzwon zaczął donośnie bić...

## **RPA**

### **Godzina 12.44 czasu miejscowego**

Drzwi windy otworzyły się na poziomie minus siedem. Gray wyszedł z karabinem gotowym do strzału i rozejrzał się po mrocznym korytarzu. W odróżnieniu od górnych pięter bogato wykończonych szlachetnym drewnem i wyrobami rękodzieła, oświetlony nielicznymi jarzeniówkami podziemny korytarz był posępny w swej prostocie: podłoga pokryta linoleum, surowe szare ściany, niski sufit. Po jednej stronie ciągnął się rząd stalowych drzwi z podświetlonymi elektronicznymi zamkami szyfrowymi. Drzwi po drugiej stronie korytarza wyglądały bardziej zwyczajnie.

Gray położył rękę na pierwszych drzwiach.

Całe wibrowały, ze środka dochodziło rytmiczne dudnienie.

Generator prądu? Musi być potężny.

Marcia podeszła bliżej.

– Chyba jednak zjechaliśmy za głęboko – szepnęła. – To mi wygląda na poziom magazynowy i techniczny.

Grayowi też się tak zdawało, ale skoro już tu są...

Podszedł do pierwszych stalowych drzwi.

– Aż się prosi, żeby zobaczyć, co oni tu magazynują.

Na tabliczce widniał napis EMBRYONAAL.

– Laboratorium embrionalne – wyjaśniła Marcia.

Podeszła, lekko krzywiąc się z bólu. Widać było, że ruszanie obandażowaną ręką sprawia jej trudność.

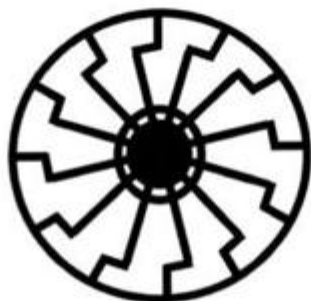
Gray wyciągnął kartę Ischke i przeciągnął przez szczelinę zamka. Lampka rozbłysła na zielono i zwolniła się magnetyczna blokada. Pchnął drzwi. Karabin przewiesił przez ramię, do ręki wziął pistolet.

Jarzeniówki na suficie zamigotały i zapłonęły równym światłem.

Pomieszczenie miało kilka metrów szerokości i co najmniej czterdzieści długości. Gray zwrócił uwagę na panujący we wnętrzu chłód. Całą jedną ścianę pokrywała bateria zamrażarek ze stalowymi drzwiami, zza których dochodziło ciche buczenie sprężarek. Przeciwległą ścianę zajmowały stalowe wózki i butle z ciekłym azotem, a także wielki mikroskop ze stołem do przeprowadzania sekcji pod mikroskopem.

Wszystko razem sprawiało wrażenie dużego laboratorium kriogenicznego.

Na stanowisku roboczym stał włączony komputer. Płaski monitor był ciemny i poruszał się na nim tylko wygaszacz ekranu – srebrzysty symbol na czarnym tle. Taki sam znak Gray widział na podłodze zamku w Wewelsburgu.



– Czarne Słońce – mruknął pod nosem.

Marcia spojrzała na niego pytająco.

Wskazał ręką kręcący się symbol.

– Emblemat Czarnej Zakonu Himmlera, zgromadzenia okultystów i naukowców ze Stowarzyszenia Thule, obsesyjnie propagujących filozofię nadczłowieka. Pewnie Baldric też był jego członkiem.

A więc właśnie zatoczyli krąg. Zaczęli od pradziadka Ryana i skończyli na tym. Pokazał głową komputer.

– Niech pani zajrzy do głównego wykazu. Może znajdziemy coś ciekawego.

Marcia zajęła się komputerem, Gray podszedł do jednej z zamrażarek i otworzył drzwi. Twarz owionęło mu mroźne powietrze. W środku znajdował się rząd ponumerowanych i opisanych szufladek. Gray wyciągnął jedną z nich. Wewnątrz leżały równo poukładane szklane rurki z żółtą cieczą.

– Zamrożone embriony – powiedziała Marcia, zaglądając mu przez ramię.

Wsunął szufladkę na miejsce i popatrzył na ciągnącą się przez całą długość ściany baterię ogromnych zamrażarek. Jeśli Marcia ma rację, muszą tu być tysiące zamrożonych embrionów.

Ruchem ręki przywołała go do ekranu monitora.

– To baza danych z genomami i genealogią. Zarówno ludzi, jak i zwierząt. Ale tylko ssaków. Niech pan spojrzy.

Na ekranie pojawiła się tabela z dziwnymi kodami.

NUCLEOTIDE VERANDERING (DNA)

[*CROCUA CROCUA*]

Czw 6 list 14:56:25 GMT

Schemat V.1.16

VERANDERING

CODE RANGSCHIKKEN

Loci A.0. Transversie

A.0.2. Dipyrimidine to  
Dithymidine (c[CT]>TT)

ATGG TTAC GCGC TCAT  
GGAA TTCT CGCT CATG  
GAAT TCTC GCTC GTCA ACT

Loci A.3. Gedeeltelijk

A.3.3.4. Dinucleotide  
(transcriptie)

CTAG AAAT TACG CTCT  
TACG CTTC TCGC TTGG ITTA  
CGCG CTCA

Loci B.5.

B.5.1.3. Cryptische

GTTA CGCG CTCG CGCT

plaatsactivering

CATG GAAT TCTC GCTC ATG

Loci B.7.

B.7.5.1. Pentanucleotide  
(g[TACAGATTC]  
verminderde stabiliteit)

ATGG TTAC GCGC TCCG  
CTGG AATT CTCG CTCA  
TGGA ATTC TCGC TC

– Wygląda to na zapis zmian mutacyjnych – stwierdziła Marcia. – Zdefiniowanych aż do poziomu polinukleotydów.

Gray postukał palcem w hasło na początku listy.

– *Crocota crocota* – odczytał. – Hiena plamista. Na własne oczy widziałem rezultat tych eksperymentów. Waalenberg mówił, że pracują nad udoskonalaniem tego gatunku. Wprowadzają mu do mózgu ludzkie komórki macierzyste.

Twarz Marcii pojaśniała.

– To tłumaczy nazwę całej bazy danych. *Hersenschim*. W tłumaczeniu to „chimera”, termin biologiczny oznaczający organizm, który zawiera materiał genetyczny więcej niż jednego gatunku. Albo w wyniku szczepienia, jak w przypadku roślin, albo wprowadzania obcych komórek do embriona. – W zamyśleniu postukała w ekran. – Tylko w jakim celu?

Gray wyprostował się i zamyślił. Czy prowadzone tu doświadczenia różnią się aż tak bardzo od ingerencji Baldrica w wegetację orchidei i drzewek bonsai? Tu też próbował podporządkowywać sobie naturę i kształtować ją wedle własnego rozumienia doskonałości.

– Hmm... – mruknęła Marcia. – To dziwne.

– Co takiego?

– Jak mówiłam, mamy tu do czynienia z ludzkimi embrionami. – Spojrzała na Graya przez ramię. – Według wpisów genealogicznych wszystkie te embriony są genetycznie powiązane z Waalenbergami.

Graya to nie zdziwiło. Już wcześniej zauważył fizyczne podobieństwo potomków Waalenberga. Widać patriarcha rodu

od wielu pokoleń aktywnie uczestniczył w doskonaleniu swej progenitury.

Ale okazało się, że nie to zdziwiło Marcie.

– Każdy embrion Waalenbergów jest powiązany z określoną grupą komórek macierzystych, które są następnie krzyżowane z *crocuta crocuta*.

– Z hienami?

Marcia przytaknęła.

Zaczynał coraz lepiej wszystko rozumieć i czuł coraz większą odrazę.

– Chce pani powiedzieć, że wszczepiał tym bestiom komórki macierzyste własnych dzieci? – Nie próbował nawet ukryć wzburzenia. Czy zbrodnicze zadufanie tego szaleńca nie ma granic?

– Ale to jeszcze nie wszystko – powiedziała Marcia.

Gray poczuł mdlące gnecenie w żołądku. Wiedział, co zaraz usłyszy.

– Zgodnie z tymi tabelami – powiedziała, wskazując ręką skomplikowany zapis na ekranie – komórki macierzyste hien były następnie znów krzyżowane z następnym pokoleniem ludzkich embrionów.

– Boże święty...

Gray miał w pamięci scenę, kiedy Ischke starczyło wyciągnąć rękę, by powstrzymać atakującą ją hienę. Było w tym coś więcej niż tylko posłuszeństwo zwierzęcia wobec swego pana. Były w tym relacje rodzinne. Baldric wszczepiał swoim dzieciom komórki pobrane od zmutowanych hien, robiąc kolejne krzyżówki jak u orchidei.

– Ale nie to jest najgorsze... – Widać było, że Marcia też jest głęboko poruszona. – Waalenbergowie podejmowali też...

Gray nie pozwolił jej dokończyć. Usłyszał już wystarczająco dużo, a zostało im jeszcze sporo do sprawdzenia.

– Powinniśmy ruszać dalej – powiedział.

Marcia z żalem popatrzyła na ekran, ale kiwnęła głową i wstała. Wyszli z hodowli monstrów i ruszyli w głąb korytarza. Napis na tabliczce na następnych drzwiach brzmiał



FOETUSSEN. Laboratorium płodów. Gray minął je i poszedł dalej. Nie miał ochoty oglądać kolejnych okropności.

– Jak oni uzyskują takie wyniki? – zastanawiała się Marcia. – Te wszystkie mutacje, te udane chimery? Muszą mieć jakiś sposób, dzięki któremu mogą dokonywać manipulacji genetycznych.

– Być może – mruknął Gray. – Ale jeszcze go w pełni nie opanowali... nie do perfekcji.

Pamiętał o eksperymentach Hugona Hirszfelda i szyfrze ukrytym w znakach runicznych. Teraz rozumiał obsesję Baldrica i chęć zdobycia za wszelką cenę szyfru, w którym zawarta była obietnica doskonałości. *Zbyt piękne, by pozwolić temu szczeznąć, i zbyt straszne, by puścić to samopas.*

Niewątpliwie żadne potworności nie były dla niego straszne, bo miał ich w bród we własnej rodzinie. Pytanie tylko, co zrobi po odczytaniu szyfru Hirszfelda, zwłaszcza że czuł już na karku oddech osaczającej go Sigmy. Nic dziwnego, że tak mu zależało na informacjach o Painterze.

Dotarli do kolejnych drzwi. Pomyślał, że pomieszczenie za nimi musi być wyjątkowo duże, bo od laboratorium płodów dzielił ich długi odcinek korytarza. Gray odczytał napis na tabliczce:

– XERUM pięćset dwadzieścia pięć.

Wymienili z Marcją spojrzenia.

– Więc jednak nie serum – zauważył.

– Xerum – odczytała Marcia i bezradnie pokręciła głową.

Gray znów użył skradzionej karty, zapaliła się zielona lampka i nastąpiło zwolnienie blokady. Samoczynnie rozbłysły jarzeniówki. Powietrze lekko pachniało rdzą z domieszką ozonu. Podłoga i ściany miały barwę ciemnoszarą.

– To ołów – powiedziała Marcia, dotykając ściany.

Wszystko to nie było zbyt zachęcające, ale Gray pomyślał, że musi się dowiedzieć czegoś więcej. Pomieszczenie wyglądało jak magazyn toksycznych odpadów. Przez całą jego długość ciągnął się regał wypełniony żółtymi czterdziestolitrowymi pojemnikami oznaczonymi numerem 525.

Gray pamiętał, z jakim niepokojem myślał o tym, że Waalenbergowie mogą dysponować bronią biologiczną. Ale te pojemniki mogły też zawierać materiały rozszczepialne. Jakież odpady jądrowe? To by tłumaczyło obecność ołowiu w pomieszczeniu.

Marcia nie wyglądała jednak na zbyt przejętą. Podeszła do regału z pojemnikami, w którym każda przegroda zaopatrzona była w oddzielną przywieszkę. „Albania” brzmiał napis na pierwszej, „Argentyna” głosił następny.

Odczytywali nazwy kolejnych krajów w porządku alfabetycznym.

Gray spojrział wzdłuż regału. Musi na nim stać co najmniej ze sto pojemników.

Dopiero teraz na twarzy Marcii pojawiło się przerażenie.

No, nie...

Gray ruszył w głąb pomieszczenia, zatrzymując się po drodze i odczytując kolejne przywieszki: BELGIA... FINLANDIA... GRECJA...

Przyspieszył kroku.

W końcu stanął przed szukaną przegrodą.

STANY ZJEDNOCZONE.

Pamiętał relację Marcii z podsłuchanej rozmowy strażników. Mówili o Waszyngtonie i możliwej napaści. Z napisów na regale wynikało, że groźba ataku dotyczy nie tylko Waszyngtonu, choć może nie od razu. Gray pamiętał, z jaką zjadłością Baldric wypowiadał się o Painterze i całej Sigmie. Uważał ich za największe zagrożenie dla swoich planów.

Chcąc ich wyeliminować, widocznie zmienił harmonogram ataków.

Przegroda oznaczona przywieszką STANY ZJEDNOCZONE była pusta.

Pojemnik z Xerum 525 został zabrany.

**Szpital Uniwersytecki w Georgetown  
Waszyngton, DC  
Godzina 7.45 czasu miejscowego**

– MedSTAR, podaj planowany czas przylotu – zażądał radiooperator. Siedział ze słuchawkami na uszach przed ekranem dotykowym szpitalnego systemu komputerowego.

Śmigłowiec zgłosił się natychmiast.

– Jesteśmy w drodze. Za dwie minuty.

– Oddział zabiegowy prosi o aktualną sytuację. – Wszyscy słyszeli już o strzelaninie w dzielnicy ambasad i uruchomieniu procedur awaryjnych w ramach programu bezpieczeństwa narodowego. Rozdzwoniły się telefony alarmowe i miasto postawiono na nogi, działaniom towarzyszyła jednak spora doza niepewności.

– Służba medyczna ambasady zgłosiła dwie ofiary śmiertelne wśród swego personelu. Obywatele RPA, w tym ambasador. Ale są też dwie ofiary wśród Amerykanów.

– Ich stan?

– Jedna nie żyje... druga w stanie krytycznym.

# 14

## MENAŻERIA

### RPA

#### Godzina 13.55 czasu miejscowego

Fiona stała przy drzwiach z paralizatorem w ręce. Głosy zbliżały się już do podestu pierwszego piętra. Dławiło ją przerażenie. Cały zapas adrenaliny pozwalającej jej przeżyć ostatnie dwadzieścia cztery godziny był na wyczerpaniu. Dłonie jej drżały, oddech stawał się płytki i przyspieszony.

Zakneblowany i związany strażnik leżał znów bez przytomności na podłodze za nią. Zaczynał się już wiercić i pojękiwać, więc musiała go ponownie potraktować paralizatorem.

Głosy zbliżyły się do jej kryjówki.

Fiona zeszywniała.

Co się dzieje z Grayem? Nie ma go już od blisko godziny.

Tuż za drzwiami słychać było rozmowę dwóch osób. Co do jednego z głosów nie miała wątpliwości: należał do blond suki, która ją pocięła. Ischke Waalenberg. Rozmawiała z kimś po niderlandzku, ale Fiona dobrze знаła ten język.

– ...karty od zamków – mówiła Ischke ze złością. – Musiałam swoje zgubić, kiedy spadłam.

– Teraz, kochana siostrzyczko, jesteś już bezpieczna w domu.

– Siostrzyczko. A więc ten drugi to jej brat. – Ale na wszelki wypadek zmienimy kody.

– I nikt nie znalazł tych dwóch Amerykanów ani dziewczyny?

– Podwoiliśmy strażę. Jesteśmy pewni, że nie wydostali się poza ogrodzenie. Znajdziemy ich. A dziadek przygotował dla nich niespodziankę.

– Jaką?

– Taką, która zagwarantuje, że żadne z nich nie opuści terenu żywe. Pamiętasz, jak tuż po ich przybyciu pobrano im próbki DNA?

Recht Ischke zmroził krew w żyłach Fiony.

– Pospieszmy się. – Głosy oddaliły się w dół schodów. – Dziadek chce nas widzieć na dole.

Po chwili głosy zatrzymały się, ale mimo że wyteęzała słuch, Fionie nie udało się przez drzwi rozróżnić słów. Z brzmienia głosów domyślała się tylko, że rodzeństwo o coś się sprzecza. Ale i tak usłyszała już wystarczająco dużo.

„Żadne z nich nie opuści terenu żywe”.

Co oni kombinują? Lodowaty i pełen zjadliwej satysfakcji śmiech Ischke wciąż jeszcze mroził jej krew. Cokolwiek to było, nie mieli wątpliwości co do końcowego rezultatu. Tylko jaki związek mają z tym próbki DNA?

Fiona uznała, że jest tylko jeden sposób, żeby się tego dowiedzieć. Nie wiedziała, jak długo jeszcze przyjdzie jej czekać na powrót Graya. Czuła, że czasu zostało niewiele, więc jeśli mają uniknąć niebezpieczeństwa, muszą je najpierw poznać.

A to oznaczało tylko jedno.

Schowała paralizator do kieszeni, wzięła do ręki pierzastą miotelkę i otworzyła zasuwkę. Do tej misji potrzebne jej były wszystkie umiejętności nabyte na ulicy. Uchyliwszy drzwi, wymknęła się na korytarz i delikatnie je za sobą zamknęła. Nigdy w życiu nie czuła się tak samotna i przerażona. Zawahała się i nawet położyła dłoń na klamce, po czym przymknęła oczy i zaczęła się modlić. Modlitwa nie była skierowana do Boga, tylko do kogoś, kto ją nauczył, że odwaga może mieć różne formy – nawet poświęcenia.

– *Mutti...*

Tak bardzo brakowało jej Grette Neal, przybranej matki. Zabiły ją tajemnice z przeszłości, a teraz nowe tajemnice

zagrozały życiu jej i pozostałych. I by je pokonać, musi, tak jak *mutti*, wznieść się na szczyty odwagi i bezinteresowności.

Dochodzące z dołu głosy zaczęły się oddalać.

Fiona ruszyła za nimi. W wyciągniętej ręce trzymała miotełkę z piór, jakby chciała się nią bronić. Wyjrzała z podestu między piętrami i udało jej się dostrzec dwie jasnowłose głowy znikające za rogiem. Znów dosłyszała strzęp rozmowy:

– Tylko nie pozwól, żeby dziadek musiał na ciebie czekać – powiedział mężczyzna.

– Zaraz będę. Chcę tylko sprawdzić, co ze Skuld. Upewnić się, że wróciła do klatki. Była bardzo podniecona i boję się, że ze zdenerwowania mogła sobie coś zrobić.

– To samo myślałem o tobie, najmilsza.

Fiona patrzyła, jak brat z czułością głaszcze siostrę po policzku.

Ischke na moment poddała się pieszczocie, potem delikatnie odsunęła jego dłoń.

– Zaraz wracam – powiedziała.

Brat skinął głową i podszedł do głównej windy.

– Zawiadomię dziadka.

Nacisnął przycisk i drzwi windy się otworzyły.

Ischke poszła w głąb korytarza.

Fiona podążyła za nią z dłonią zaciśniętą na paralizatorze trzymanym w kieszeni. Gdyby tak udało jej się dopaść tę sukę samą i zmusić do mówienia...

Niemal sfrunęła ze schodów i zwolniła dopiero na dole. Jej ruchy znów stały się ostrożniejsze. Ischke szła głównym korytarzem, który zdawał się przechodzić przez środek całego budynku.

Fiona podążała za nią, utrzymując bezpieczną odległość. Szła z opuszczoną głową, dzierżąc w złożonych dłoniach pierzastą miotełkę jak zakonnica modlitewnik. Stawiała drobne, niepewne kroczki, jak przystało na szarą myszkę należącą do służby. Ischke zeszła po kilku schodkach, minęła dwóch strażników i skręciła w korytarz odchodzący w lewo.

Fiona przeszła szybkim krokiem obok strażników, jak ktoś spieszący do czekających go zajęć. Szła skulona, niemal tonąc w za dużym uniformie, i na wszelki wypadek nie podnosząc głowy.

Dotarła do pięciu schodków prowadzących w dół.

Strażnicy nawet na nią nie spojrzeli. Chwilę wcześniej przeszła tędy pani domu i to spowodowało, że żadne figle nie wchodziły w grę. Fiona zbiegła ze schodków, skręciła w lewo i stanęła jak wryta.

Korytarz był pusty.

Ischke zniknęła.

Fiona poczuła mieszaninę ulgi i lęku.

Co powinna teraz zrobić? Wrócić na górę, w nadziei że jakoś to będzie?

Wciąż mając w uszach szyderczy rechot Ischke, usłyszała nagle jej pełen złości głos. Dochodził zza dwuskrzydłowych drzwi z kutego żelaza z matowymi szybami.

Coś musiało ją zirytować.

Fiona podbiegła na palcach i przyłożyła ucho do drzwi.

– Mięso ma być zawsze krwiste i świeże! – mówiła Ischke podniesionym głosem. – Bo inaczej sam się tam znajdziesz!

Pokorny głos mamroczący słowa przeprosin i tupot oddalających się stóp.

Fiona pochyliła się i przylgnęła do drzwi.

I tu popełniła błąd.

Drzwi gwałtownie się otworzyły i rąbnęły ją w głowę, a wybiegając z impetem ze środka, Ischke wpadła wprost na nią.

Wściekle zaklęła i odepchnęła ją ręką.

Reakcja Fiony była instynktowna i wynikała z doświadczeń życia na ulicy. Odskoczyła, opadła na jedno kolano i skuliła się ze strachu. Nie musiała zresztą specjalnie udawać.

– Uważaj, jak chodzisz – warknęła Ischke.

– *Ja, maitresse* – pisnęła Fiona, kuląc się jeszcze bardziej.

– Zejdź mi z drogi!

Fiona była sztywna ze strachu. Co ma teraz zrobić? Dokąd pójść? Widok służącej tkwiącej pod drzwiami musi zastanowić Ischke, która nadal stała w progu. W desperackim akcie rozpaczony Fiona podniosła się, wtuliła głowę w ramiona i precyzyjnie obok Ischke do środka. Chciała jak najszybciej zejść z oczu.

Jednocześnie jej dłoń powędrowała do kieszeni z paralizatorem, jednak tylko po to, by schować przedmiot wyjęty z kieszeni swetra Ischke. Tym razem nawet nie miała zamiaru kraść, ale odruch korzystania z nadarżającej się okazji był silniejszy od niej. Głupio zrobiła i teraz ten moment zwłoki może ją drogo kosztować. Nie zdążyła jeszcze zacisnąć dłoni na paralizatorze, gdy Ischke zakłęła i nie oglądając się za siebie, ruszyła korytarzem. Znajdujące się między nimi ciężkie kute drzwi zamknęły się z hukiem, jakby finalizując sprawę.

Fiona aż się wzdrygnęła na myśl o swojej głupocie. Bo co teraz? Musi odczekać, nim będzie mogła się stąd ruszyć. Ponowne spotkanie z tą kobietą byłoby przeciąganiem struny. Ischke musiałyby się nią zainteresować. Zresztą Fiona i tak wiedziała, dokąd ona poszła: z powrotem do windy. Fiona nie знаła rozkładu domu i nie miała szans, by dotrzeć do windy inną drogą i zastawić na nią zasadzkę.

Czuła, jak jej oczy napełniają się łzami. Bała się, a jednocześnie była na siebie wściekła.

Schrzaniła sprawę.

Tłumiąc gorzkie uczucie zawodu, zaczęła się rozglądać po pomieszczeniu. Było rozświetlone promieniami słonecznymi, które wpadały przez przeszklony dach. Znalazła się na czymś w rodzaju zadaszzonego dziedzińca w środku domu. Był okrągły, a rosnące pośrodku wysokie palmy wpierały się koronami w szklany kopulasty dach. Konstrukcja dachu wsparta była na stojących na obwodzie kolumnach, za którymi widać było rząd głębokich nisz. W trzech miejscach znajdowały się obszerne zagłębienia, co tworzyło układ bocznych naw na planie krzyża.

Jednak nie było to miejsce kultu religijnego.



W całym pomieszczeniu panował smród, w którym czuć było piżmo i trupi fetor, a nastrój grozy wzmagający wypełniające powietrze żalosne jęki i skowyty. Zaintrygowana Fiona zeszła trzy schodki w dół i stanęła w zupełnie pustej przestrzeni głównego kręgu. Nigdzie nie było widać dozorca, któremu Ischke zrobiła awanturę.

Fiona się rozejrzała.

W niszach za kolumnami widać było rząd potężnych klatek obudowanych od przodu przeszklonymi kratami, które wyglądem przypominały kute drzwi wejściowe. Przez kraty prześwitywały plamiste cielska zwierząt, z których jedne zwinięte w kłębek spały, inne krążyły po klatkach. Jedna z besti leżała, ogryzając udziec jakiegoś zwierzęcia. W klatkach mieszkały hieny.

Ale nie tylko.

Rozglądając się, stwierdziła, że są tu też inne zwierzęta. W jednej z dalszych klatek dostrzegła samotnego goryla, który siedział nadąsany i z niepokojąco inteligentnym wyrazem ślepi wpatrywał się prosto w Fionę. W wyniku jakichś mutacyjnych eksperymentów zwierzę zostało całkowicie pozbawione owłosienia i jego ciało pokrywały luźne fałdy słoniowatej skóry.

Po innej bezustannie krążył lew. Zwierzę miało wprawdzie futro, ale wyblakłe i plamiste, ubrudzone odchodami i ropiejące. Ciężko dysząc, rozglądało się podbiegniętymi krwią ślepiami. Z jego otwartej paszczy sterczały potężne, zakrzywione jak szable kły.

Wszędzie widać było wynaturzone zwierzęta: pasiastą antylopę z rogami skręconymi jak korkociągi, parę wysokich i chudych jak szkielety szakali, guźca-albinosa pokrytego skorupą jak u pancernika. Wszystkie sprawiały przerażające i jednocześnie żalosne wrażenie. Szakale zamknięte w jednej klatce bez przerwy skowyczały, kulejąc jak kaleki.

Współczucie dla tych nieszczęsnych istot ani trochę nie zmniejszało grozy, jaką budził widok monstrualnych hien. Wzrok Fiony spoczął na jednej z nich, tej, która właśnie ogryzała udziec jakiegoś dużego zwierzęcia – bawołu albo gnu.

Na kości wciąż jeszcze były strzępy czarnego futra i kawałki mięsa. Pomyślała z przerażeniem, że gdyby Gray jej nie uratował, równie dobrze to jej szczątki mogłyby teraz leżeć w tej klatce...

Wstrząsnął nią dreszcz.

Hiena rozwarła potężne szczęki i jednym kłapięciem zmiażdżyła grubą kość, co zabrzmiało jak wystrzał z karabinu.

Gwałtownie wyrwana z zamyślenia, Fiona aż podskoczyła.

Zawróciła do wejścia. Miała tego dosyć i odczekała już wystarczająco długo. Misja się nie powiodła i nie zostało jej nic innego, jak podkulić ogon i wrócić do kryjówki.

Chwyła za klamkę i pchnęła drzwi.

Były zamknięte.

## **Godzina 14.30**

Czując, że serce podchodzi mu do gardła, Gray wpatrywał się w rząd masywnych stalowych dźwigni. Na karku czuł łaskotanie silnego pola elektromagnetycznego tworzącego się wokół potężnych kabli elektrycznych. Znajdowali się w głównej nastawni, której znalezienie trwało zdecydowanie za długo.

Stracili zbyt dużo cennego czasu.

Po stwierdzeniu, że brakuje pojemnika z Xerum 525 przeznaczonego dla Stanów Zjednoczonych, zaczęło mu się bardzo spieszyć. Machnął ręką na sprawdzanie pozostałych pomieszczeń, uznawszy, że najpilniejszym zadaniem jest teraz ostrzeżenie Waszyngtonu.

Marcia poinformowała go, że w trakcie eskortowania z celi zauważyła w pakamerze strażników małą krótkofalówkę. Powiedziała też, że wiadomość mogliby przekazać jej partnerce Pauli Kane, która będzie wiedziała, co z tym zrobić. Oboje zdawali sobie sprawę, że próba przedarcia się do tej pakamery będzie misją samobójczą, ale praktycznie nie mieli wyboru.

Dobrze, że przynajmniej Fionie nic nie grozi.

– Nad czym się zastanawiasz? – ponagliła go Marcia. Wyjęła rękę z temblaka i założyła kitel znaleziony w jednej z szaf. Po ciemku można ją było wziąć za pracownicę laboratorium.

Stała za plecami Graya z latarką w dłoni.

Położył rękę na pierwszej z brzegu dźwigni.

Zlokalizowali już wcześniej schody awaryjne, które ciągnęły się w górę i zapewne kończyły na parterze głównego budynku, ale wydostanie się na zewnątrz i dotarcie do pomieszczenia dla strażników wymagało zorganizowania dywersji. Czegoś, co odwróci uwagę wszystkich i zwiększy szanse powodzenia ich samobójczej misji.

Pomysł dywersji zrodził się, gdy oparłszy się o drzwi w korytarzu, Gray wyczuł wibracje i usłyszał buczenie potężnych agregatów prądotwórczych. Gdyby udało się wyłączyć zasilanie i w ten sposób wywołać zamieszanie, a może na moment wręcz odebrać wzrok prześladowcom, szanse dotarcia do celu poważnie by wzrosły.

– Gotowa? – upewnił się.

Marcia zapaliła latarkę, spojrzała na niego i wstrzymując oddech, skinęła głową.

– Do dzieła.

– Awaria zasilania – mruknął Gray i pociągnął pierwszą z dźwigni.

A potem następną i następną.

## **Godzina 14.35**

Widząc gasnące kolejno światła, Fiona poczuła, że jej serce bije jak oszalałe.

Boże, co znowu...

Stała na środku obok niewielkiej fontanny. Przed chwilą zrezygnowała z prób otwarcia drzwi i wróciła na główny dziedziniec. Miała nadzieję, że znajdzie wyjście zapasowe, bo przecież muszą tu być jakieś inne wyjścia.

Ale zgasły światła i Fiona zamarła w bezruchu.

W całym ogromnym pomieszczeniu zapanowała głucha cisza, jakby ustanie niesłyszalnej dla człowieka wibracji sieci zasilającej dla zwierząt w klatkach oznaczało odczuwalną zmianę w otoczeniu. Jakby poczuły, że teraz to one stanowią tu jedyne źródło energii.

Fiona usłyszała za plecami skrzypnięcie drzwi klatki.

Obejrzała się ostrożnie.

Jedna z oszklonych żelaznych krat była uchylona, pchnięta pyskiem przez olbrzymią hienę. Wyłączenie prądu spowodowało odblokowanie zamka i bestia wyslizgnęła się z klatki. Z jej pyska skapywały krople krwi. To właśnie ona obgryzała przed chwilą ogromną kość. Z głębi jej trzewi wydobył się przejmujący charkot.

Gdzieś z oddali dotarła do Fiony seria skowytów, jakby zamieszkujące menażerię drapieżniki przekazywały sobie wiadomość. Wokół dziedzińca słychać było szczęk otwieranych klatek.

Fiona stała skamieniała obok fontanny. Elektryczna pompa stanęła i fontanna przestała działać, jakby nie chcąc szmerem wody przyciągać uwagi zwierząt.

Z jednej z bocznych naw dał się nagle słyszeć przeraźliwy krzyk. Głos wyraźnie należał do człowieka i Fiona pomyślała ze zgrozą, że to zapewne dozorca tego szczególnego zoo, którego wcześniej karmiła Ischke i której groźba właśnie się spełnia. Usłyszała odgłos biegnących w jej stronę nóg, jeszcze jeden pełen bólu i przerażenia wrzask i towarzyszący mu chór podnieconych skowytów i warknięć.

Fiona zatkała uszy, nie chcąc słuchać ostatniego rozpaczliwego wycia, po którym nastąpiły już tylko odgłosy ucztowania.

Całą uwagę kierowała na zwierzę, które pierwsze otworzyło klatkę.

Z unurzonym we krwi pyskiem hiena podążała w jej stronę. Fiona rozpoznała ją po charakterystycznym ubarwieniu –

niemal niezauważalnej jaśniejszej plamie na białym boku. Ta sama, którą wcześniej obserwowwała w dżungli.

Ulubienica Ischke.

Skuld.

Obiecana zdobycz już raz umknęła jej sprzed nosa.

Jej ruchy świadczyły, że tym razem do tego nie dopuści.

## Godzina 14.40

– Pomóżcie... *bitte*. – Gunther wpadł do chaty, mając za plecami majora Brooksa.

Lisa wyprostowała się i odjęła stetoskop od piersi Paintera. Wsłuchiwała się w pracę jego serca, w której w ciągu zaledwie kilku godzin nastąpiły znaczące zmiany. Rytm bicia z przyspieszonego przeszedł w opóźniony, co sugerowało gwałtowne zwężenie zastawki aorty. Łagodna dotychczas dusznica zaczynała przy każdym wysiłku powodować omdlenia i ostre ataki. Nigdy nie zetknęła się z tak błyskawicznie postępującymi zmianami w organizmie. Zaobserwowała też zmineralizowane wytrącenia na całym ciele, a nawet w płynie ocznym, co kazało podejrzewać zwapnienie w okolicach zastawki serca.

Rozciągnięty na wznak Painter uniósł się lekko na łokciu.

– Co się stało? – zapytał Gunthera.

– Chodzi o Annę – odpowiedział major Brooks ze swym wiecznie zatroskanym akcentem południowca. – Ma jakiś atak... coś w rodzaju konwulsji.

Lisa sięgnęła po torbę lekarską. Painter spróbował wstać, ale udało mu się to za drugim razem i to dopiero wtedy, gdy Lisa mu pomogła.

– Ty tu zostań – ofuknęła go.

– Poradzę sobie – odburknął.

Lisie szkoda było czasu na dyskusje. Puściła jego rękę i Painter się zachwiał.

– Chodźmy – powiedziała do Gunthera.

Brooks się zawahał. Nie był pewien, czy powinien pójść za nimi, czy zostać i pomóc Painterowi.

Ten jednak odesłał go gestem ręki i powlókł się za nim.

Lisa szybkim krokiem ruszyła do sąsiedniej lepianki. Upał był tak okropny, że wychodząc z chaty, odniosła wrażenie, jakby wchodziła do pieca. Powietrze wisiało nieruchomo i było tak rozgrzane, że z trudem dawało się oddychać, a blask słońca oślepiał. Na szczęście do sąsiedniej chaty było tylko parę kroków i Lisa z ulgą zanurzyła się w jej mroczne i chłodne wnętrze.

Anna leżała na sienniku wygięta w łuk, z boleśnie przykurczonymi kończynami. Jak Painter – w żyłę miała wbity wenflon, pozwalający łatwiej i szybciej podawać lekarstwa i płyny fizjologiczne.

Lisa uklękła na jedno kolano, wyjęła strzykawkę z odmierzoną porcją diazepamu i zaaplikowała całą dawkę. Po paru sekundach napięcie w mięśniach Anny zelżało, chora stoczyła się na podłogę, zatrzepotała powiekami i odzyskała świadomość. Nadal była oszołomiona, ale przytomna.

Do chaty dotarł Painter, a wraz z nim pojawił się Monk.

– Jak ona się czuje? – spytał Painter.

– A jak myślisz? – mruknęła Lisa opryskliwie.

Gunther pomógł siostrze usiąść. Twarz miała poszarzałą i zroszoną kropelkami potu. W ciągu godziny to samo czekało Paintera. Choć oboje dostali taką samą dawkę promieniowania, większa masa ciała powodowała, że jego organizm stawiał nieco większy opór. Ale dla obojga czas życia liczył się już tylko w godzinach.

Lisa popatrzyła na promienie słońca wdzierające się do środka przez okienną szparę i rozświetlające mrok chaty. Do zachodu słońca pozostało jeszcze dużo czasu.

Zbyt dużo.

Ponurą ciszę przerwał głos Monka:

– Mam wiadomość od Khamisiego. Donosi, że na całym tym cholernym terenie zgasły światła. – Powiedział to

z niewyraźnym uśmieszkiem, jakby nie był pewien, czy dobre wieści jeszcze kogoś ucieszą. – Czuję, że to sprawka Graya.

Painter się zasepił. Niemal na wszystko tak reagował.

– Tego nie wiemy.

– Podobnie jak nie mamy pewności, że tak nie jest – zaoponował Monk i przejechał dłonią po ogolonej czaszce. – Myślę, dyrektorze, że powinniśmy rozważyć przyspieszenie naszych działań. Khamisi twierdzi, że...

– Nie Khamisi tu dowodzi – przerwał mu szorstko Painter i zakasłał.

Monk porozumiał się wzrokiem z Lisą. Dwadzieścia minut temu odbyli rozmowę w cztery oczy, po której nawiązał łączność z Khamisim. Chciał się upewnić co do kilku kwestii. Lekko pokiwał głową.

Lisa wyjęła z kieszeni kolejną strzykawkę i podeszła do Paintera.

– Pozwól, że przepłuczę ci wenflon – powiedziała. – Masz w nim zakrzepłą krew.

Painter posłusznie wyciągnął rękę, która wyraźnie drżała.

Lisa ujęła jego dłoń i wstrzyknęła całą dawkę. Monk podszedł do szefa i podtrzymał go w chwili, gdy nogi odmówiły mu posłuszeństwa.

– Co jest...? – zaczął Painter, ale głowa poleciała mu bezwładnie do tyłu.

– To tylko dla pańskiego dobra – powiedział Monk, trzymając go pod ramię.

Painter spojrział groźnie na Lisę i machnął drugą ręką. Albo chciał ją uderzyć, albo dać wyraz rozczarowaniu jej zdradą i Lisa nie była pewna, czy on sam to wie. Silny środek uspokajający spowodował, że w ciągu paru sekund Painter zapadł w niebyt.

Major Brooks obserwował całą scenę ze zdumieniem i zgrozą.

Monk spojrział na niego i wzruszył ramionami.

– Co, nigdy nie widziałeś buntu załogi?

– Myślę, proszę pana, że to najwyższa pora – powiedział spokojnie Brooks.

Monk kiwnął głową.

– Khamisi i reszta są już w drodze. Powinni tu być za parę minut. Razem z doktor Kane będą koordynowali działania.

Lisa spojrzała na Gunthera.

– Możesz wynieść stąd siostrę?

Niemiec pochylił się bez słowa i wziął Annę na rękę.

– Co się dzieje? – spytała słabym głosem.

– Oboje możecie nie dożyć wieczora. Musimy przyspieszyć wasze dotarcie do Dzwonu.

– Ale jak...?

– Niech cię o to śliczna główka nie boli – mruknął Monk, biorąc z Brooksem pod pachy półprzytomnego Paintera. – Wszystko jest gotowe.

Oczy jego i Lisy ponownie się spotkały. Nie miała trudności z odczytaniem, co się w nich kryje.

Że mogą nie zdążyć.

## **Godzina 14.41**

Gray wszedł po schodach z pistoletem w wyciągniętej ręce, Marcia szła obok z latarką przysłoniętą dłonią. Starła się ograniczać blask do niezbędnego minimum i oświetlać tylko stopnie pod nogami. Gray obawiał się, że z powodu unieruchomienia wind mogą natknąć się na schodach na zabłąkanego strażnika, i mimo że sam udawał strażnika towarzyszącego komuś z obsługi laboratorium, wolał uniknąć zbędnej konfrontacji.

Minęli poziom minus sześć. Panowały na nim takie same ciemności jak niżej.

Gray przyspieszył kroku w obawie, że lada chwila mogą zostać włączone generatory awaryjne. Dotarłszy do podestu



półpiętra, ujrzeli przytłumiony blask dochodzący z następnego poziomu.

Dał sygnał ręką, by się zatrzymali.

Dochodzące z góry światło wyglądało na stacjonarne.

Czyli nie zabłąkany strażnik, tylko jakieś oświetlenie awaryjne.

Mimo to należało zachować maksymalną ostrożność.

– Zostań tutaj – polecił szeptem.

Marcia posłusznie przytaknęła głową.

Ruszył w górę, wciąż trzymając pistolet w wyciągniętej ręce. Dotarł do podestu piętra i stwierdził, że światło sączy się spod niedomkniętych drzwi, zza których dochodziły jakieś głosy. Ciągące się w górę schody tonęły w ciemnościach i światło paliło się tylko na tym jednym poziomie. Musiał być zasilany z oddzielnego źródła.

Głosy niosły się echem po korytarzu.

Gray rozpoznał je bez trudu. Isaak i Baldric.

Znajdowali się poza zasięgiem jego wzroku. Zerknął w dół za siebie i dojrzał majaczącą w półmroku twarz Marcii. Przywołał ją gestem ręki.

Do niej też już dotarły odgłosy rozmowy.

Wyglądało na to, że awaria zasilania nie dotknęła tego poziomu i Gray pomyślał, że przebywający na nim ludzie mogą nawet nie wiedzieć, że reszta budynku tonie w ciemnościach. Nie miał zamiaru tego sprawdzać. Trzeba przede wszystkim ostrzec Waszyngton.

Dotarł do niego sens wypowiedzianych słów.

Dzwon ich wszystkich zabije. Tak właśnie mówił Baldric.

Jeśli rozmawiają o Waszyngtonie, można by spróbować podsłuchać i dowiedzieć się czegoś więcej o ich planach...

Pokazał Marcii dwa wyprostowane palce. Dwie minuty. Jeśli w tym czasie nie wróci, ma uciekać sama. Zostawił jej swój drugi pistolet, nie była więc bezbronna. A jeśli jemu uda się dotrzeć do Dzwonu, może to uratować życie wielu ludzi.

Ponownie uniósł dwa palce.

Marcia skinęła głową. Jeśli go złapią, wszystko spadnie na jej barki.

Wcisnął się w szparę w drzwiach tak, by ich nie poruszyć i nie zaalarmować nikogo skrzypnięciem zawiasów. Za nimi ciągnął się taki sam korytarz jak na dole, tak samo oświetlony jarzeniówkami, był jednak dużo krótszy i kończył się dwuskrzydłowymi stalowymi drzwiami, obok których znajdowało się wyjście z pogrążonej w ciemnościach windy.

Jedno skrzydło drzwi było otwarte.

Przywierając plecami do ściany, Gray zbliżył się na palcach do drzwi, przyklęknął na jedno kolano i ostrożnie zajrzał do środka.

Pomieszczenie było dość niskie, ale ogromne i zajmowało praktycznie całe piętro. Najwyraźniej tu mieściło się serce całego systemu badawczego. Cała jedna ściana zastawiona była baterią monitorów z bezustannie płynącymi ciągami liczb i liter. Zapewne to obecność komputerów zadecydowała o tym, że ten poziom miał oddzielne zasilanie.

Ludzie znajdujący się w pomieszczeniu musieli być tak zaabsorbowani pracą, że nawet nie zauważyli awarii zasilania w reszcie budynku. Można się było jednak spodziewać, że lada chwila zostaną o tym powiadomieni.

Baldric i Isaak – dziadek z wnukiem – stali pochyleni nad konsolą. Na umieszczonym na ścianie płaskim trzydziestocalowym ekranie pojawiały się i znikwały symbole runiczne. Po kolei wszystkie pięć symboli z ksiązek Hirszfelda.

– Szyfr wciąż jest nierozwiązany – zauważył Isaak. – Czy powinniśmy wystartować z globalnym programem Dzwonu przed ostatecznym rozwiązaniem?

– Ale będzie rozwiązany! – Baldric uderzył pięścią w stół. – To tylko kwestia czasu. A poza tym jesteście już bliscy osiągnięcia doskonałości. Najlepszym dowodem jesteście wy, ty i twoja siostra. Macie przed sobą długie życie. Pięćdziesiąt lat. Zauważalne niedomagania wystąpią dopiero w ostatniej dekadzie. Czas zrobić następny krok.

Na twarzy Isaaka nie było widać entuzjazmu.

Baldric się wyprostował, wyciągnął rękę i machnął w stronę sufitu.

– Sam widzisz, do czego doprowadziło zwlekanie. Nasze próby zwrócenia uwagi międzynarodowej opinii na Himalaje spaliły na panewce.

– Bo nie doceniliśmy Anny Sporrenberg.

– I Sigmy – dodał Baldric. – Ale to nieważne. Teraz interesują się nami rządy innych krajów. Złoto może nam kupić ochronę tylko w ograniczonym zakresie. Dlatego musimy działać natychmiast. Najpierw Waszyngton, potem reszta świata. A chaos, jaki powstanie, zapewni nam dość czasu na złamanie szyfru. I osiągnięcie doskonałości.

– A w Afryce narodzi się nowy świat – dodał Isaak mechanicznie, jakby wypowiadał wyuczone na pamięć słowa roty, wpajane mu od urodzenia jak element jego kodu genetycznego.

– Czysty i wolny od korupcji – uzupełnił Baldric tonem księdza kończącego litanie. Jego słowa brzmiały beznamiętnie i wszystko razem przypominało relację z kolejnego etapu programu hodowlanego. Ot, jeszcze jeden eksperyment naukowy.

Baldric zachwiał się i musiał podeprzeć się laską. Widać było, że mając za towarzysza tylko wnuka, nie próbuje udawać i nie kryje swej słabości. Grayowi przyszło nawet do głowy, że przyspieszenie realizacji planu może wynikać bardziej z jego zbliżającej się śmierci niż prawdziwej potrzeby. Czy wszyscy w otoczeniu tego człowieka są tylko bezwolnymi pionkami, które wykorzystuje do realizacji swych zamierzeń? Czy świadomie lub nieświadomie tak wszystko zaaranżował, by móc rozpocząć działanie właśnie teraz?

Isaak przeszedł do sąsiedniej konsoli.

– Mamy zielone światła w całym systemie – oznajmił. – Dzwon jest sprawny i gotowy do aktywacji. Będziemy mogli wreszcie oczyścić teren ze zbiegów.

Gray zeszywniał. O czym on mówi?

Baldric odwrócił głowę od pulsującego na ekranie symbolu runicznego i spojrział w głąb pomieszczenia.

– Przygotuj się do uruchomienia – rozkazał.

Gray wystawił nieco bardziej głowę i podążył za jego spojrzeniem.

Na środku pomieszczenia widać było dużą metalową czy ceramiczną skorupę w kształcie odwróconego dzwonu. Miała wysokość dorosłego człowieka i obwód, którego nie objęłoby dwóch mężczyzn.

Dał się słyszeć szum silników i z sufitu zjechał metalowy cylinder wyposażony w liczne zębate przekładnie. Cylinder wsunął się do wnętrza Dzwonu, a jednocześnie na umieszczonym obok żółtym zbiorniku otworzył się zawór i do środka popłynął strumień purpurowej, metalicznie połyskującej cieczy.

Jakiś smar? Paliwo?

Gray tego nie wiedział, ale zauważył, że zbiornik oznakowany jest znanym mu symbolem 525. A więc to jest to tajemnicze Xerum.

– Podnieś osłonę bezpieczeństwa – rozkazał Baldric. Powiedział to donośnym głosem, by przekrzyczeć hurgot pracujących przekładni zespołu napędowego. Dla pewności stuknął laską w podłogę.

Podłoga w całym pomieszczeniu pokryta była szarą terakotą i tylko wokół samej skorupy widać było matowy czarny krąg z jakiegoś innego materiału. Krąg miał blisko trzydzieści metrów średnicy i był obwiedziony występem o szerokości trzydziestu centymetrów, przypominającym bandę wokół areny cyrkowej. Na suficie nad Dzwonem znajdował się tak samo wyglądający krąg, tyle że zamiast występu miał wgłębienie.

Oba kręgi wykonane były z ołowiu.

Gray domyślił się, że wystająca banda stanowi górną krawędź osłony, którą jakiś mechanizm wysunie spod podłogi. Występ wsunie się w zagłębienie na suficie i wokół całego urządzenia powstanie szczelna ochronna kapsuła.

– Co się dzieje?! – wykrzyknął Baldric niecierpliwie. Odwrócił głowę do wnuka, który pochylony nad konsolą, bezskutecznie walczył z jednym z przełączników.

– Nie ma zasilania na podnośniku osłony! – odkrzyknął.

Gray spojrział na podłogę. Mechanizm podnośnika musiał znajdować się piętro niżej, a na tamtym poziomie nie ma prądu. W tym momencie rozległo się świdrujące brzęczenie telefonu, wybijające się ponad hałas silników. Gray podejrzewał, co ten telefon może oznaczać. Ochronie udało się w końcu zlokalizować panów domu.

Pora się zwijać.

Wyprostował się i odwrócił.

W tym momencie metalowa rura uderzyła go w nadgarstek, wytrącając z dłoni pistolet. Napastnik zamachnął się i Grayowi w ostatnim ułamku sekundy udało się zrobić unik.

Ischke natarła na niego z impetem. Za nią widać było otwarte na oścież drzwi do ciemnego szybu windowego. Najwyraźniej brak zasilania uwięził ją w windzie, z której w jakiś sposób się wydostała i zeszła szybem. Warkot silników zagłuszył hałas towarzyszący otwieraniu drzwi za plecami Graya.

Kobieta wprawnym ruchem uniosła rurę. Widać było, że technika walki na kije nie jest jej obca.

Nie spuszczać z niej wzroku, Gray wsunął się tyłem do pomieszczenia z Dzwonem. Nawet nie spojrział w stronę schodów. Miał nadzieję, że Marcia na niego nie czeka i że jest już w drodze na górę, a potem uda jej się dotrzeć do nadajnika i zawiadomić Waszyngton.

Ischke w poplamionym smarem ubraniu i ze śladami brudu na twarzy podążyła za nim.

Za plecami usłyszał drwiący głos Baldrica:

– *Wat is dit?* Wygląda, że mała Ischke złapała szczura, który przegryzł nam przewody.

Gray odwrócił się twarzą do starca.

Był bezbronny i bez szans.

– Generatory zaczynają działać – zameldował Isaak spokojnym, beznamiętnym tonem, jakby wtargnięcie intruza nie zrobiło na nim żadnego wrażenia.

Podłoga pod stopami Graya zadrżała i z posadzki zaczęła się wysuwać ołowiana osłona Dzwonu.

– To będziemy mogli teraz wytepić resztę szczurów – parsknął Baldric.

## **Godzina 14.45**

Monk darł się, próbując przekrzyczeć łoskot wirników śmigłowca. Wokół unosił się tuman kurzu i piasku podrywany łopatom.

– Umiesz czymś takim latać?

Gunther kiwnął głową i chwycił drążek sterowniczy.

Monk poklepał olbrzyma po ramieniu. Doszło do tego, że musi zaufać naziście! Ale sam nie dałby rady, zwłaszcza że miał do dyspozycji tylko jedną rękę. Wiedząc jednak, jak temu osiłkowi zależy na życiu siostry, był gotów uznać, że ryzyko jest niewielkie.

Anna i Lisa usiadły z tyłu z Painterem, który ślaniał się między nimi ze zwieszoną głową. Dawka środka uspokajającego nie była zbyt duża, Painter nawet od czasu do czasu mamrotał coś bez sensu o nadchodzącej burzy piaskowej. Zapewne odzywały się w nim przeżyte stresy.

Monk pochylił głowę i obszedł śmigłowiec. Po drugiej stronie stali Khamisi i Mosi D’Gana, wódz Zulusów.

Mosi zdjął już swój ceremonialny strój i ubrany był w kombinezon khaki i wojskową czapkę. Na ramieniu trzymał strzelbę automatyczną, do pasa przytroczył kaburę z pistoletem. Miał też przewieszoną przez plecy krótką dzidę z groźnie wyglądającym ostrzem.

Widząc zbliżającego się Monka, odwrócił się do Khamisiego.

– Ty tu dowodzisz – powiedział oficjalnym tonem.

– Będę zaszczycony, wodzu.

Mosi skinął głową i puścił ramię Khamisiego.

– Słyszałem o tobie dużo dobrego, tłuściochu.

Monk zastrzygł uszami. Tłuścioch?

Na twarzy Khamisiego pojawiło się zmieszanie, ale i coś na kształt dumy. Skłonił głowę i odsunął się, patrząc, jak Mosi wdrapuje się do śmigłowca. Wódz zdecydował, że osobiście weźmie udział w akcji, i Monk nawet nie próbował oponować. Zasłużył na to.

Khamisi dołączył do Pauli Kane. Oboje mieli koordynować całą akcję z obozu.

Monk próbował dojrzeć coś przez wzbijane przez śmigłowiec tumany pyłu i piasku. Mobilizacja postępowała szybko i sprawnie. Wojownicy schodzili się pieszo, zjeżdżali konno lub na zardzewiałych motocyklach i rozklekotanych ciężarówkach. Mosi rozesłał wici wśród pobratymców i jak jego wielki przodek Chaka, skrzyknął prawdziwą armię. Zjeżdżali się mieszkańcy okolicznych wiosek, poubierani w tradycyjne skóry, podniszczone kombinezony i dżinsy. Starzy i młodzi. Kobiety i mężczyźni. I wciąż przybywali nowi.

Ich zadaniem było skoncentrowanie na sobie uwagi prywatnej armii Waalenbergów i w miarę możliwości przejęcie kontroli nad całym terenem posiadłości. Trudno było jednak przewidzieć, jak Zulusi poradzą sobie z dużo lepiej uzbrojonymi i wyćwiczonymi oddziałami strażników i czy nie powtórzy się historia znad Krwawej Rzeki?

Przekonać się o tym można było tylko w jeden sposób.

Monk wcisnął się na tylne siedzenie, Mosi usiadł obok majora Brooksa. Siedzieli na ławeczce zwrócenii twarzą do całej czwórki, obok nich przycupnął jeszcze jeden dodatkowy pasażer – półnagi wojownik zuluski imieniem Tau. Siedział pochylony do przodu, z krótką dzidą przytkniętą ostrzem do karku człowieka na fotelu drugiego pilota.

Był nim naczelnik rezerwatu Gerald Kellogg, który związany i zakneblowany siedział obok Gunthera. Jedno oko miał spuchnięte i podbite.

Monk klepnął Gunthera w ramię na znak, że można startować. Ten kiwnął głową, pociągnął drążek sterowniczy i śmigłowiec z rykiem silników oderwał się od podłoża.

Ziemia zaczęła szybko się oddalać. Nieco dalej zaczynały się tereny Waalenbergów. Monka uprzedzono, że ich ochrona dysponuje pociskami ziemia-powietrze i pozbawiony wszelkiego uzbrojenia, powolny śmigłowiec wycieczkowy będzie dla nich łatwym celem.

Nie mogą do tego dopuścić.

Monk pochylił się do przodu.

– Pora, naczelniku, żeby się wykazać – powiedział, uśmiechając się jadownicie. Wiedział, że ten uśmiech nie dodaje mu uroku, ale tym razem było mu to na rękę.

Kellogg zbladł jeszcze bardziej.

Zadowolony z efektu Monk wyciągnął rękę i przytknął mikrofon do jego ust.

– Połącz się z ochroną – rozkazał.

Khamisi już wcześniej wydobył z niego hasła, w czym istotną rolę odegrało podbicie naczelnikowskiego oka.

– Tylko uważaj, co mówisz – ostrzegł Monk i ponownie wykrzywił twarz.

Kellogg gwałtownie skulił ramiona.

Czyżby uśmiech Monka był aż tak straszny?

Tau postanowił dorzucić swoją cegiełkę i zdecydowanym ruchem dźgnął dzidą nalany kark naczelnika.

Łączność została nawiązana i Kellogg przekazał ochronie wiadomość.

– Złapaliśmy jednego z waszych zbiegów – poinformował centralę. – Jakiś Monk Kokkalis. Lecimy z nim do was na dach.

Gunther monitorował rozmowę przez słuchawki.

– W porządku. Koniec połączenia – potwierdził Kellogg.

Z ust Gunthera wyrwał się okrzyk radości.

– Dali zgodę! Lecimy!

Przechylił śmigłowiec dziobem w dół i na pełnym gazie ruszył w stronę posiadłości. W oddali ukazał się rozległy dwór



Waalenbergów, który z powietrza robił jeszcze bardziej imponujące wrażenie.

Monk wyprostował się i spojrzał na Lisę. Siedząca obok Anna miała głowę opartą o okno, powieki zaciśnięte, twarz wykrzywioną grymasem bólu. Painter pojękiwał, zwisając na pasach bezpieczeństwa. Środek uspokajający najwyraźniej przestawał działać.

Lisa pomogła mu usiąść wygodniej.

Monk patrzył, jak lekarka trzyma Paintera za rękę.

Podniosła głowę i ich oczy się spotkały.

W jego wzroku był strach.

Nie o siebie.

## **Godzina 14.56**

– Antena nadajnika wysunięta? – upewnił się Baldric.

Isaak przytaknął milcząco.

– Przygotuj Dzwon do aktywacji.

Zwrócił się do Graya:

– Wprowadziliśmy do pamięci Dzwonu kody DNA twoich kompanów. Dzięki temu jego promieniowanie zostanie tak zmodyfikowane, żeby wyłuskać i selektywnie zniszczyć tylko organizmy o pasujących kodach DNA. Dla wszystkich innych promieniowanie Dzwonu nie będzie szkodliwe. To nasz sposób na ostateczne rozwiązanie.

Gray pomyślał o czekającej w pokoju przy schodach Fionie i nadlatującym Monku.

– Nie musicie ich zabijać – powiedział. – Macie mojego partnera. Moglibyście resztę zostawić w spokoju.

– Jeśli wydarzenia ostatnich dni czegoś mnie nauczyły, to tego, że nie wolno zostawiać niedokończonych spraw. – Baldric kiwnął głową na Isaaka. – Aktywuj Dzwon.

– Czekajcie! – krzyknął Gray i zrobił krok do przodu.

Ischke przytknęła mu do piersi jego własny pistolet, który wcześniej podniosła z podłogi.

Baldric obrzucił go niechętnym spojrzeniem. Wyglądało na to, że jest znużony i niecierpliwi się.

Grayowi została jedna, ostatnia szansa.

– Wiem, jak odczytać szyfr Hirszfelda.

Zaskoczenie było tak wielkie, że twarz Baldrica wyraźnie złagodniała. Ruchem ręki powstrzymał Isaaka.

– Wiesz? Chcesz powiedzieć, że potrafisz zrobić coś, z czym nie poradziła sobie bateria komputerów?

W jego głosie słychać było niedowierzanie.

Gray wiedział, że to, co teraz powie, musi zabrzmieć na tyle przekonująco, by powstrzymało starca od aktywowania Dzwonu i pozwoliło uratować przyjaciół. Wskazał ręką monitor, na którym nieprzerwanie przewijało się pięć symboli runicznych. Komputery bezustannie je tasowały w poszukiwaniu prawidłowości, która mogłaby się stać kluczem do szyfru.

– Sami nie dacie rady. – W jego głosie brzmiała pewność.

– A to dlaczego?

Gray obliznął spierzchnięte wargi, ale nie mógł sobie pozwolić na moment dekoncentracji. Mógł z wiarą we własne słowa twierdzić, że komputer sobie nie poradzi, bo rzeczywiście rozwiązał zagadkę runów. Nie rozumiał sensu tego rozwiązania, ale wiedział, że się nie myli. Zwłaszcza uwzględniwszy żydowskie pochodzenie Hirszfelda.

Pytanie tylko, ile z tego powinien im zdradzić. Balansując między prawdą a tym, co im mówi, musi wytargować, ile się da.

– Posługujecie się niewłaściwym symbolem z Biblii Darwina – zaczął i to akurat było prawdą. – Rzecz dotyczy sześciu, a nie pięciu znaków runicznych.

Baldric westchnął niecierpliwie, a bruzdy wokół jego ust jeszcze się pogłębiły.

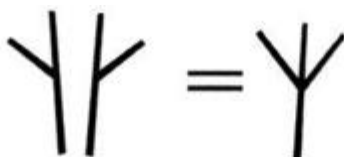
– I tym szóstym jest pewnie to koło słoneczne, które wcześniej rysowałeś, tak?

Przeniósł wzrok na Isaaka.

– Nie! – krzyknął Gray. – Pozwólcie, że wyjaśnię.  
Rozejrzał się i na jednym ze stolików komputerowych zobaczył flamaster.  
– Dajcie mi go.  
Baldric zmarszczył czoło, ale kiwnął przyzwalająco głową.  
Isaak rzucił czarny mazak.  
Gray złapał go w locie, ukląkł na podłodze i zaczął rysować na szarej terakocie.  
– To jest symbol runiczny z Biblii Darwina.



– Czyli znak *Mensch* – potwierdził Baldric.  
Gray postukał palcem w posadzkę.  
– Odnosi się do wyższych stanów istoty ludzkiej. Reprezentuje boski plan ukryty w nas wszystkich, w naszych udoskonalonych jaźniach.  
– I co z tego?  
– I właśnie o to chodziło Hirszfeldowi. Stanowiło jego cel ostateczny. Czy tak?  
Baldric wolno pokiwał głową.  
– Hugo nie użyłby swego ostatecznego celu jako elementu szyfru. Jego szyfr dopiero do tego zmierza – postukał mocniej w rysunek. – A skoro tak, nie może stanowić części szyfru.  
W umyśle starca zaczęło rodzić się zrozumienie i wiara w prawdziwość tych słów.  
– A więc chodzi o pozostałe runy z Biblii Darwina...  
Gray wykonał następny rysunek.



– Z tych dwóch powstaje trzeci. – Obrysował kółkiem dwa dwuramienne symbole. – To one reprezentują rodzaj ludzki w podstawowej postaci, z której przechodzi się do stanu wyższego. I to je należy wprowadzić do szyfru.

Gray narysował zapamiętaną serię symboli.

– Tak wygląda błędna sekwencja.



Przekreślił je i narysował na nowo, zastępując ostatni symbol dwoma innymi.



Baldric podszedł bliżej i przyjrzał się rysunkowi.

– I to jest ta prawidłowa sekwencja. Szyfr, który należy rozwiązać?

– Tak – potwierdził Gray, znowu mówiąc prawdę.

Baldric skinął głową i spod przymrużonych powiek wpatrywał się w znaki na podłodze.

– Myślę, że ma pan rację, komandorze Pierce – powiedział z namysłem.

Gray podniósł się z klęczek.

– *Dank u.* – Odwrócił się do Isaaka. – Aktywuj Dzwon. Wykończ jego przyjaciół.

## Godzina 15.07

Łopaty wirnika zwolniły i Lisa pomogła Painterowi wysiąść, z drugiej strony podtrzymywał go zuluski wojownik Tau.

Środek uspokajający miał krótkotrwałe działanie i Lisa wiedziała, że za parę minut przestanie skutkować.

Gunther pomógł wsiąść patrzącej niewidzącym wzrokiem Annie. Zaaplikowała sobie kolejną otępiającą porcję morfiny i zaczynała już odkasływać krwawy śluz.

Kawałek dalej Monk i Mosi D’Gana stali nad ciałami trzech strażników pilnujących lądowiska, którzy spodziewali się, że mają jedynie przejąć z rąk załogi złapanego zbiega, i atak całkowicie ich zaskoczył. Opanowanie lądowiska przez dwóch napastników uzbrojonych w pistolety z tłumikami odbyło się błyskawicznie i niemal bezszmerowo.

Monk zamienił się miejscami z Tauem.

– Zostań tu – polecił. – Pilnuj helikoptera i miej oko na więźnia.

Kellogga wywleczono z kabiny i rzucono na dach. Przedtem znów go zakneblowano, skuto ręce na plecach i spętano nogi, co skutecznie pozbawiło go chęci oporu.

Monk dał sygnał Mosiemu i Brooksowi, by ruszali pierwsi. Wszyscy mieli okazję przestudiować otrzymane od Pauli Kane plany pomieszczeń i na ich podstawie wytyczyli najdogodniejszą drogę do podziemi. Lądowisko mieściło się na tyłach budynku i mieli do przejścia spory kawałek drogi.

Brooks i Mosi skierowali się w stronę drzwi, przez które wchodziło się do dworu. Poruszali się tak pewnie, jakby już wielokrotnie ze sobą współpracowali i doskonale się rozumieli. Tuż za nimi posuwał się Gunther z pistoletem w wyciągniętej ręce i krótkolufowym karabinem szturmowym na plecach. Cała uzbrojona po zęby trójka dotarła do drzwi.

Pierwszy wszedł Brooks. Karty magnetyczne przejęte od zabitych strażników posłużyły do otwarcia kolejnych drzwi i obaj z Mosim zniknęli we wnętrzu.

Monk spojrział na zegarek. Czas odgrywał w ich planach kluczową rolę.

Z dołu dobiegło krótkie gwizdnięcie.

– Ruszamy – rzucił Monk.

Minęli drzwi i znaleźli się na szczycie krótkiej klatki schodowej, prowadzącej na szósty poziom. Na półpiętrze czekał Brooks, u jego stóp leżał kolejny strażnik z poderżniętym gardłem, z którego buchała krew. Mosi z zakrwawionym nożem w ręce kucał pół piętra niżej.

Odnaleźli schody prowadzące w dół i zaczęli schodzić, nie natykając się już na nikogo. Tak jak na to liczyli, większość członków ochrony została wysłana na zewnątrz. Zmasowany atak Zulusów spowodował, że wszystkie siły rzucono do walki z nimi.

Monk ponownie spojrzął na zegarek.

Dotarli do pierwszego piętra, opuścili klatkę schodową i ruszyli długim korytarzem z drewnianą podłogą. W korytarzu było cicho i ciemnawo. Rozmieszczone na ścianach kinkiety ledwo świeciły, jakby sieć zasilająca nie odzyskała jeszcze pełnej mocy po niedawnej awarii... albo jakby coś pobierało bardzo dużo prądu.

Lisa wyczuła dziwny fetor.

Korytarz kończył się na poprzecznym przejściu i dotarłszy do rogu, Brooks rozejrzał się, upewniając się, w którą stronę powinni skręcić. Nagle zrobił szybki krok do tyłu i rozpląszczył się na ścianie.

– Cofnąć się... cofnąć się...

Zza zakrętu dotarł do nich wściekły warkot, po którym nastąpiła seria skowytów i podnieconych kwiknięć. A potem rozległo się przeciągłe, mrozące krew w żyłach wycie.

– *Ukufa* – rzucił Mosi, dając ręką znak, że mają się cofnąć.

– Uciekajcie! – krzyknął Brooks. – Spróbujemy je wystraszyć i zaraz do was dołączymy.

Monk pociągnął za sobą Lisę i Paintera.

– Ale o co...? – zaczęła Lisa.

– Ktoś spuścił na nas psy – przerwał jej Monk.

Gunther powlókł za nimi Annę. Trzymał ją pod pachami i idąc tyłem, sprawiał, że szorowała stopami po podłodze.

Za plecami usłyszeli kilka wystrzałów.

Skowyty i kwiki ustąpiły miejsca pełnemu bólu i wściekłości charczeniu.

Przyspieszyli kroku.

Usłyszeli kolejne strzały, tym razem jakby oddawane w panice.

– Niech to szlag! – krzyknął Brooks.

Lisa spojrzała do tyłu.

Brooks i Mosi porzucili swoje posterunki i biegli do nich, strzelając na oślep za siebie.

– Szybciej, szybciej! – wrzasnął Brooks. – Cholernie ich dużo.

Zza narożnika wypadły trzy ogromne bestie pokryte białym futrem i z opuszczonymi łbami ruszyły za uciekającymi. Paszcze miały otwarte, szczecinę zjeżoną. Szarpiąc pazurami drewnianą podłogę, biegły zakosami, jakby świadomie unikając kul. Wszystkie trzy broczyły krwią i wszystkie zdawały się tym bardziej rozjuszone niż odstraszone.

Lisa odwróciła się i zobaczyła, jak z pomieszczeń po obu stronach ciągnącego się przed nimi korytarza wyłaniają się dwie inne bestie. Droga ucieczki została odcięta.

Znaleźli się w pułapce.

Huk wystrzału z ogromnego pistoletu Gunthera ogłuszył wszystkich, ale w tym samym momencie przewodzące atakowi zwierzę błyskawicznie odskoczyło i pocisk przeszedł obok.

Monk zatrzymał się i uniósł broń.

Lisa potknęła się i opadając na jedno kolano, pociągnęła na siebie bezwładne ciało Paintera. Runął na nią i pod wpływem uderzenia ocknął się.

– Gdzie... – wymamrotał.

Przydusiła go do podłogi, kryjąc się przed pociskami przeszywającymi powietrze tuż nad nimi.

Za plecami usłyszała rozdzierający krzyk.

Obejrzała się. Z pobliskich drzwi wypadł umięśniony potwór i rzuciwszy się na majora Brooksa, przycisnął go do ściany.

Z krzykiem zerwała się na nogi.

Mosi uniósł dzidę nad głowę i z dzikim wrzaskiem rzucił się na pomoc majorowi.

Lisa objęła Paintera, próbując osłonić go własnym ciałem.  
Dziki bestie były wszędzie.

Kątem oka dostrzegła jakiś ruch. Zawiasy drzwi z lewej strony skrzypnęły i ze środka wyłonił się kolejny potwór. Jego pysk ociekał jeszcze krwią po niedawno odbytej uczcie, ślepią jarzyły się w mroku na czerwono. Pamięć podsunęła Lisie obraz szaleństwa, którym ogarnięty był pierwszy napotkany mnich w buddyjskim klasztorze. Pamiętała jego oczy płonące dzikością, a jednocześnie błyszczące inteligencją i sprytem.

Dokładnie to samo dostrzegła we wlepionych w nią ślepiach bestii.

Obnażając zęby i wydając głęboki, pełen triumfu charkot, potwór ruszył w jej stronę.



## ROGI BAWOŁU

### RPA

#### Godzina 15.10 czasu miejscowego

Khamisi leżał w rowie przykrytym maskującą plandeką.

– Trzy minuty – powiedziała leżąca obok Paula Kane.

Oboje obserwowali przez lornetki czarną linię ogrodzenia.

Khamisi rozmieścił główne siły wzdłuż granicy parku, ale kilku Zulusów kręciło się na widoku, nie próbując ukryć swojej obecności i przepędzając bydło. Widać też było grupkę starszyny plemiennej w tradycyjnych strojach z koralikami, piórami i derkami zarzuconymi na ramiona, a z wioski dochodziły dźwięki bębnów i głośne śpiewy. Krzątania w obozowisku miała sugerować przygotowania do wesela.

Wokół stały zaparkowane chaotycznie motocykle, rowery górskie i niewielkie ciężarówki, a między nimi kręciły się grupy młodych wojowników obojga płci. Niektórzy udawali romansujące pary, inni kręcili się z drewnianymi naczyniami w rękach, udając podpitych biesiadników. Grupa mężczyzn z obnażonymi i pomalowanymi w rytualne wzory torsami wykonywała tradycyjny taniec z pałkami.

Jedyną widoczną bronią były właśnie pałki tancerzy.

Khamisi podregulował ostrość w lornetce i wpatrzył się w gęstwinę ponad wysokim ogrodzeniem oplecionym zwojami drutu kolczastego. W gałęziach drzew wystających ponad nim można było dostrzec jakiś ruch. Widać strażnicy Waalenbergów

obsadzili kładki w koronach drzew i z góry strzegli granic posiadłości.

– Jeszcze minuta – oznajmiła Paula. Jej dłonie spoczywały na karabinie snajperskim ustawionym na trójnogu i ukrytym pod siatką maskującą w cieniu rosnącej w pobliżu knysny. Khamisi ze zdumieniem dowiedział się, że kobieta w młodości zdobyła złoty medal olimpijski w strzelectwie.

Opuścił lornetkę. Tradycyjna zuluska strategia walki, nazywana „atakiem bawołu”, polegała na tym, że główne siły uderzeniowe – „pierś bawołu” – podejmowały atak frontalny, a jednocześnie z innych stron uderzały „rogi”, odcinając ewentualną drogę ucieczki i prowadząc do okrążenia nieprzyjaciela. Ze względu na przewagę uzbrojenia wroga Khamisi postanowił jednak nieco zmodyfikować tę strategię. To właśnie spowodowało, że całą poprzednią noc poświęcił na rekonesans terenu i przygotowywanie niespodzianek.

– Dziesięć sekund – powiedziała Paula. Oparła policzek o kolbę karabinu i zaczęła po cichu odliczać.

Khamisi uniósł nadajnik, przekręcił kluczyk i położył kciuki na przyciskach.

– Zero.

Nacisnął pierwszy przycisk.

Zdetonowało to ładunki rozmieszczone w nocy wzdłuż ogrodzenia, które w postaci potężnych ognistych kul zaczęły wzbijać się pod korony drzew. Wybuchy następowały jeden po drugim, co przyczyniało się do jeszcze większego zamętu. W powietrzu szybowały płonące kawałki kładek i gałęzi drzew, siejąc dodatkowy popłoch wśród ptaków, których przerażone chmary zerwały się do lotu. Wyglądało to, jakby ktoś sypnął na las garść kolorowego konfetti.

Na niemal wszystkich newralgicznych skrzyżowaniach kładek Khamisi pozakładał dostarczone przez Brytyjczyków ładunki materiału wybuchowego C4. Wybuchy następowały kolejno, otaczając dwór Waalenbergów pierścieniem ognia. Napowietrzne pomosty waliły się, pozbawiając armię

Waalenbergą przewagi wysokości i dodatkowo wzmagając chaos i panikę.

Grupy Zulusów zaczęły zrzucać derki i wyciągać ukrytą pod nimi broń, inni ściągnęli z ziemi siatki maskujące, którymi przykryte były schowki z bronią. Wszyscy oni stanowili „pierś bawołu”. Z boków zawarczały silniki i do pojazdów wskoczyli wojownicy tworzący „rogi”.

– Teraz – rzuciła Paula.

Khamisi naciskał następny rząd przycisków.

Żelazne ogrodzenie, na długości blisko kilometra, wyleciało w powietrze ognistą nawałnicą kawałków metalowych prętów i drutu kolczastego. Całe fragmenty ogrodzenia zawaliły się, odsłaniając niczym niezabezpieczone, miękkie podbrzusze wroga.

Khamisi wyplątał się spod siatki i wstał. Zza jego pleców wyskoczył motocykl z wyjącem na wysokich obrotach silnikiem i zatrzymał się tuż obok, w chmurze piachu i kurzu. Siedzący za kierownicą Njongo ponaglił Khamisiego ruchem ręki, ale ten miał jeszcze jeden ważny obowiązek do spełnienia. Uniósł nad głowę syrenę i nacisnął przycisk. W krainie Zulusów rozległ się donośny ryk bawołu, raz jeszcze zagrzewając lud do walki.

## **Godzina 15.13**

Dobiegającym z góry odgłosom eksplozji towarzyszyło przygaśnięcie świateł w komorze Dzwonu. Wszyscy zamarli. Baldric z wnukiem stali pochyleni nad konsolą. Ischke, o krok od Graya, trzymała go na muszce pistoletu. Wszyscy odruchowo spojrzeli w górę.

Wszyscy prócz Graya.

Nie odrywał wzroku od miernika mocy na konsoli sterowania. Wskazówka z wolna zmierzała ku kresce MAX. Ignorując prośby Graya, Baldric kazał uruchomić Dzwon i mimo ołowianej osłony, ze środka dochodził narastający szum.

Widoczna na ekranie monitora zewnętrzna skorupa Dzwonu zaczęła jarzyć się bladoniebieskim światłem.

Gray wiedział, że po osiągnięciu maksymalnej mocy urządzenie wyśle impuls, który w dowolnym miejscu, w promieniu ośmiu kilometrów, odnajdzie Monka, Fionę i Ryana i pozbawi ich życia. Z całej czwórki tylko Graya chroniła ołowiana osłona Dzwonu.

– Dowiedz się, co się tam dzieje – rzucił Baldric do wnuka, gdy ucichły eksplozje.

Isaak wyciągnął rękę po słuchawkę czerwonego telefonu.

Huk wystrzału stanowił potężny kontrast ze stłumionymi wybuchami i wszystkich całkowicie zaskoczył.

Odwróciwszy się, Gray zobaczył, że podłoga u jego stóp zbryzgana jest krwią.

Na lewym ramieniu Ischke wykwitła plama czerwieni, a siła pocisku była tak duża, że aż obróciło ją wokół osi. Trzymając broń prawą ręką, pozostała jednak sprawna i niemal automatycznie skierowała ją w stronę, skąd padł strzał.

W wejściu, w klasycznej pozycji strzeleckiej, klęczała doktor Marcia Fairfield. Rany prawej ręki zmusiły ją do strzelania lewą i niestety strzał okazał się niecelny.

Widać Ischke nie miała tego rodzaju problemów, bo jej prawa ręka z pistoletem nawet nie drgnęła.

Gray skoczył bez namysłu.

Oba pistolety – Ischke i Marcii – wypaliły jednocześnie, wypełniając pomieszczenie ogłuszającym hukiem.

Obie chybiły.

Gray zamknął Ischke od tyłu w niedźwiedzim uścisku i odciągnął od Marcii. Nie było to łatwe, bo kobieta była silna i zwinna jak tygrysica, Grayowi udało się jednak złapać ją za rękę z bronią.

Brat rzucił się jej na pomoc, trzymając w nisko opuszczonej ręce niemiecki bagnet o długim stalowym ostrzu.

Marcia ponownie wystrzeliła i ponownie chybiła. W dokładnym wycelowaniu tym razem przeszkodziło jej zataczanie się mocujących się z sobą Ischke i Graya.

Gray wcisnął brodę w rozorane pociskiem ramię Ischke i mocno nacisnął. Kobieta syknęła z bólu i nieco zwolniła uścisk. Uniósł jej dłoń i z całej siły ścisnął palce. Pistolet wystrzelił i Gray na własnym ramieniu odczuł siłę odrzutu. Kula poszła zbyt nisko, trafiła w podłogę koło stóp Isaaka, i odbita rykoszetem, zraniła go w łydkę. To zmusiło go do cofnięcia się o krok.

Widok zranionego brata jeszcze bardziej zmobilizował Ischke, bo nadludzkim wysiłkiem wyrwała rękę z uścisku Graya i walnęła go łokciem w żebra. Na moment odebrało mu dech, a w oczach rozbłysły tańczące iskry. To wystarczyło Ischke, żeby mu się wyrwać.

Isaak też już odzyskał równowagę i ze wzrokiem płonącym żądzą mordy wystawił bagnet.

Uprzedzając atak, Gray runął do przodu, potrącając ramieniem Ischke, a ta, nie odzyskawszy jeszcze w pełni równowagi, bezwładnie zatoczyła się na brata.

Prosto na jego bagnet.

Ostre jak brzytwa, ząbkowane ostrze zatopiło się w jej piersi.

Z ust Ischke wyrwał się okrzyk zdziwienia i bólu, brat zawtórował jej tym samym. Pistolet wysunął się jej z dłoni, obie ręce niepewnie wyciągnęły się ku Isaakowi.

Gray rzucił się i złapał w locie pistolet.

Jadąc na plecach, wycelował lufę w Isaaka.

Bliźniak miał dość czasu, by wykonać jakiś ruch, i na pewno powinien był coś zrobić. On jednak stał nieruchomo i z pełnym rozpaczy niedowierzaniem wpatrywał się w umierającą siostrę.

Gray strzelił mu prosto w głowę, definitywnie uśmierzając jego rozpacz.

Bliźniaki runęły razem na podłogę. Pozostali złączeni w uścisku, wzajemnie zalewając się krwią.

Gray podniósł się z podłogi.

Marcia wbiegła do pomieszczenia z pistoletem wymierzonym w Baldrice, który stojąc nieruchomo, przypatrywał się ciałom wnuków. W jego wzroku nie było śladu

smutku czy rozpaczy. Oparty na lasce, patrzył z wyrzutem, jak naukowiec, któremu zepsuto eksperyment.

Walka nie trwała nawet minuty.

Gray zauważył, że wskazówka miernika mocy Dzwonu wchodzi już na czerwone pole. Do emisji impulsu zostały najwyżej dwie minuty. Przyłożył gorący jeszcze wylot lufy do policzka starca.

– Wyłącz to – zażądał.

Baldric spojrzał na niego zimno.

– Nie!

### **Godzina 15.13**

Detonacje ustały i zastygły w bezruchu żywy obraz w holu dworu Waalenbergów zaczął z wolna otrząsać się z odrętwienia. Na odgłos wybuchów rozjuszone hieny przypadły do podłogi i kilka nawet się cofnęło, ale reszta została na miejscu, warując w pobliżu osaczonych ofiar. Cisza spowodowała, że bestie zaczynały znów stawać na nogi.

– Nie strzelać! – syknął Monk. – Wszyscy do środka! – Pokazał ręką drzwi.

W środku mieli większą szansę obronić się przed atakiem zwierząt. Gunther pociągnął Annę, Mosi D’Gana wyrwał włócznię z boku hieny i pomógł wstać majorowi, którego głęboka rana na udzie obficie krwawiła.

Jednak nim zdążyli się schować, z drugiej strony korytarza dobiegło do uszu Monka wściekłe warczenie i czyjś zduszony szept wymawiający jego imię.

– Monk...

Lisa siedziała w kucki nad rozciągniętym na podłodze, nieruchomym Painterem. Tuż obok widać było otwarte drzwi do sąsiedniego pomieszczenia, a w nich sylwetkę potężnej, na pewno największej ze wszystkich atakujących ich bestii.

Stała na rozstawionych łapach i z opuszczonym łbem warowała nad swą zdobyczą. Jej ostre jak brzytwa zęby były obnażone, z pyska kapały ślina i krew, z gardła dobywał się wściekły charkot. Oczy świeciły ostrzegawczo czerwonym blaskiem.

Monk czuł, że najmniejsza próba ruchu z jego strony spowoduje natychmiastowy atak zwierzęcia na parę na podłodze. Mimo to był gotów podjąć to ryzyko, nim jednak zdążył cokolwiek zrobić, z końca korytarza rozległ się głośny i władczy okrzyk:

– Skuld! Nie!

Monk odwrócił głowę w stronę, z której dobiegał głos.

Zza rogu wyłoniła się Fiona. Przeszła pewnym krokiem obok dwóch hien, które nagle rozpląszczyły się na podłodze i popiskując, zaczęły się do niej łąsić. W jednej ręce miała błyskający niebieskimi iskrami paralizator, w drugiej jakiś aparat z wysuniętą anteną, którą skierowała w stronę hieny warującej nad Lisą i Painterem.

– Niedobry pies! – powiedziała karcąco.

Monk patrzył osłupiały, jak zwierzę powoli wycofuje się, charczenie ustaje, a zjeżona na karku sierść kładzie się. Jak w transie, zwierzę zachwiało się i ciężko zważyło na podłogę. Czerwony blask w ślepiach przygasł, a z rozwartej paszczy wydobyło się ciche, przymilne mruczenie.

Fiona dotarła do miejsca, gdzie stali.

Monk rozejrzał się po korytarzu.

Wszystkie pozostałe bestie zdawały się trwać w takim samym transie.

– Waalenbergowie wszczepili tym bydlakom chipy. – Fiona wyciągnęła w jego stronę pilota z anteną. – Można sterować ich odczuciem bólu, głodu... albo rozkoszy.

Potwór leżący obok Paintera i Lisy wydał pełne zadowolenia miauknięcie.

Monk zmarszczył czoło.

– Ale skąd masz...?

Fiona spojrzała na niego i machnęła pilotem na znak, że mają iść za nią.

– Ukradłaś go?

Wzruszyła ramionami i poszła dalej korytarzem.

– Powiedzmy, że natknęłam się na pewną starą znajomą i tak jakoś trafiło to do mojej kieszeni. Jej nie było potrzebne.

Ischke, pomyślał Monk, dając znak pozostałym, że mają do nich dołączyć.

Wspólnie z Lisą dźwignęli Paintera, Gunther wziął Annę pod rękę, Mosi i Brooks ruszyli, wzajemnie się podpierając. Niezbyt przypominali oddział szturmowy.

Okazało się jednak, że mają nieoczekiwane wsparcie.

Całe stado zwierząt ruszyło za nimi, przyciągane emanującą z urządzenia aurą rozkoszy, po drodze dołączały do nich następne. Bestie zachowywały się jak szczury z Hameln, które posłusznie podążają za grającym na flecie Szczurołapem.

– Nie mogę się ich pozbyć – powiedziała Fiona, lekko się zacinając. Monk widział, że jej dłonie drżą i jest przerażona. – Gdy tylko nacisnęłam przycisk, wyszły z klatek i zaczęły za mną łązić. Schowałam się w pokoju, gdzie miałam czekać na Graya, ale one chyba mnie wyczuły i zaczęły się tu kręcić.

No to pięknie, pomyślał Monk. A nas uznały za pyszną przegryzkę po seksie.

– Potem usłyszałam wasze wrzaski, później te wybuchy, no i...

– Dobra – przerwał jej Monk. – Co z Grayem? Gdzie on jest?

– Zjechał windą na dół. Jakąś godzinę temu. – Wyciągnęła rękę w stronę balkonika wychodzącego na przestronny hol. – Pokażę wam.

Fiona ruszyła przodem, reszta poczłapała za nią, od czasu do czasu niespokojnie oglądając się na stado za plecami. Sprowadziła ich schodami do głównego holu wejściowego. Winda znajdowała się po drugiej stronie, naprzeciwko ogromnych, bogato zdobionych drzwi wejściowych.

Major Brooks pokuśtykał do elektronicznego czytnika i wyciągnął plik kart magnetycznych. Przytknięcie dopiero



którejs z kolei spowodowało, że czerwona lampka zmieniła barwę na zieloną, zaszumił silnik i klatka windy podjechała z dołu.

W tym czasie stado hien zeszło za nimi po schodach, wciąż widać rozkoszując się wrażeniami wywoływanymi w ich mózgach przez sygnały emitowane przez pilota w ręce Fiony. Kilka ruszyło w stronę windy, wśród nich osobnik nazywany przez nią Skuld.

Wszyscy w milczeniu przyglądali się potworom.

Gdzieś z oddali dobiegały stłumione przez mury budynku strzały i krzyki. Khamisi nadal toczył swą wojnę i trudno było przewidzieć, czy i kiedy tu dotrze.

Jakby dla rozwiania wątpliwości potężne dwuskrzydłowe drzwi wejściowe otworzyły się z hukiem i odgłosy bitwy gwałtownie przybrały na sile. Słysząc było strzelaninę i krzyki bólu i przerażenia. Hol zaroił się od cofających się oddziałów Waalenberga, spośród których Monk bez trudu wyłuskał dowodzących nimi kilkunastu jasnowłosych, ubranych na czarno członków rodu. Wyglądali na lekko tylko zdyszanych, jakby wracali z porannej rozgrzewki na korcie tenisowym.

Przy akompaniamencie odgłosów walki toczonej przed budynkiem obie grupy zamarły, przypatrując się sobie w milczeniu.

Sytuacja nie wyglądała najlepiej.

Oddział Monka był nie tylko pięciokrotnie mniej liczny, ale przyparty do muru i bez jakiegokolwiek możliwości manewru.

## **Godzina 15.15**

– Uważaj na niego – powiedział Gray do Marcii, odchodząc od Baldricea.

Stanął przy konsoli i obserwując miernik mocy, sięgnął do przełącznika, którym Isaak uruchamiał osłonę urządzenia.

– Co ty robisz? – rzucił Baldric ostro. W jego głosie pojawił się cień niepokoju.

A więc jednak jest coś, czego stary boi się bardziej niż przystawionej do głowy broni. Dobrze wiedzieć. Gray przesunął przełącznik, silniki pod podłogą zaszumiały i osłona zaczęła zjeżdżać w dół. Nad jej górną krawędzią pojawiło się intensywnie błękitne światło, tworząc na suficie powiększający się krąg.

– Przestań! Wszystkich nas pozabijasz! – wrzasnął Baldric.

Gray odwrócił się do niego.

– To wyłącz to gównno – warknął.

Baldric wędrował wzrokiem od sufitu do konsoli i z powrotem.

– Tego się nie da wyłączyć, ty durniu! Dzwon został aktywowany. Musi dojść do emisji.

Gray wzruszył ramionami.

– No to wszyscy ją sobie obejrzymy.

Szpara pod sufitem wypełniona błękitnym światłem była coraz szersza.

Baldric zaklął i podszedł do konsoli.

– Jedyne, co mogę zrobić, to usunąć kod śmierci. Wymazać go tak, że nie będzie groźny dla twoich przyjaciół.

– Zrób to.

Kościstymi palcami zaczął wystukiwać coś nerwowo na klawiaturze.

– Ale podnieś osłonę!

– Dopiero jak skończysz. – Zaglądając przez ramię, Gray kontrolował poczynania starca. Na ekranie pojawiła się lista nazwisk z towarzyszącymi im ciągami alfanumerycznych znaków opisanych słowami: GENETISCH PROFIEL. Starzec czterokrotnie nacisnął klawisz „usuń” i profile znikły.

– Zrobione! – sapnął i spojrzał na Graya. – Podnieś tę osłonę!

Gray wyciągnął rękę i z głośnym pstryknięciem przestawił przełącznik.

Spod podłogi dobył się głuchy zgrzyt mechanizmu, potem coś głośno trzasnęło i niedomknięta ołowiana osłona stanęła

w miejscu.

Spoza jej krawędzi bił oślepiający błękitny blask, wokół Dzwonu czuło się zawirowania powietrza wywołane obracającymi się w przeciwnych kierunkach skorupami.

– Zrób coś! – krzyknął Baldric błagalnie.

– Wsiadła hydraulika – zawyrokował Gray.

Baldric zaczął się cofać i widać było, jak z każdym krokiem jego oczy robią się coraz okrągłejsze.

– Wszystkich nas skazałeś na śmierć – jęknął. – Kiedy Dzwon osiągnie pełną moc, nieosłonięty niczym impuls zabije wszystko, co żyje, w promieniu ośmiu kilometrów... albo i gorzej.

Gray wolał nie dociekać, co może oznaczać to „gorzej”.

## **Godzina 15.16**

Monk patrzył na wycelowane w nich lufy.

Karabinów było bardzo dużo, znacznie więcej niż sami posiadali.

Klatka windy nie dotarła jeszcze na parter, ale gdyby nawet tu była, i tak nie zdążyliby do niej wsiąść i zamknąć drzwi. Musi dość do strzelaniny.

Chyba że...

Nachylił się do Fiony.

– Włącz im trochę bólu – powiedział, wskazując głową stado hien, które wycofały się na schody.

Fiona bez wahania przesunęła palec z przycisku rozkoszy na przycisk bólu i nacisnęła.

Efekt był natychmiastowy. Zareagowały tak, jakby ktoś nagle przypalił im ogony. Z kilkunastu gardeł dobył się głośny jęk i kilka zwierząt zeskoczyło z balkonu nad holem i wylądowało z hukiem na podłodze. Inne runęły w dół po schodach i rzuciły się na najbliższych stojących ludzi. W ataku dzikiej furii wbijały

pazury i zęby we wszystko, co się ruszało. Wrzeszcząc, atakowani ludzie zaczęli się na oślep ostrzeliwać.

Monk usłyszał za plecami cichy gong i drzwi windy się rozsunęły.

Wsunął się tyłem do windy pociągając za sobą Fionę i torując drogę reszcie.

W ich stronę posypało się trochę kul, jednak większość ludzi Waalenbergów zajęta była walką z hienami. Mosi i Brooks odpowiedzieli ogniem i jako ostatni cofnęli się do windy.

Zagrożenie wciąż jednak było ogromne. Bo co dalej? Uporawszy się z hienami, ludzie Waalenbergów i tak podejmą pogoń.

Monk na ślepo wcisnął przyciski podziemnych poziomów.

Będzie się tym martwił później.

Jednak był ktoś w jego grupie, kto miał inne zdanie.

Gunther wepchnął Annę w ramiona Monka.

– Weź ją! Ja ich zatrzymam.

Anna wyciągnęła rękę do brata, ale Gunther łagodnie ją odepchnął i wysunął się z windy. Trzymając pistolet w jednej i karabin w drugiej ręce, przez krótki moment stał, wpatrując się w Monka z niemym błaganiem w oczach.

„Opiekuj się Anną”.

Potem odwrócił się do nich plecami i zasłoniły go zasuwające się drzwi windy.

## **Godzina 15.16**

Khamisi pędził przez dżunglę nisko pochylony nad kierownicą motocykla, mając za sobą Paulę Kane z karabinem gotowym do strzału. Zuluski wojownik i brytyjska agentka. Niezwykła para. Dziewiętnastowieczne wojny Zulusów z Brytyjczykami należały do najbardziej krwawych w historii tej krainy.

Ale to było kiedyś.

Dziś stanowili doskonale rozumiejącą się parę sprzymierzeńców.

– Z lewej! – wrzasnęła Paula.

Khamisi szarpnął kierownicą, Paula przeniosła lufę karabinu na drugą stronę i wystrzeliła. Strażnik Waalenbergów krzyknął i runął na ziemię.

Cała dżungla rozbrzmiewała hukami wystrzałów i eksplozji.

Wróg rzucił do boju wszystkie swoje siły.

Ich motocykl niespodziewanie wypadł z leśnego gąszczu i wjechał do ponadczterohektarowego, idealnie utrzymanego ogrodu. Khamisi gwałtownie zahamował i ukrył się pod gałęziami ogromnej wierzby.

W oddali widniał dwór Waalenbergów.

Khamisi przyłożył do oczu zawieszoną na szyi lornetkę i zaczął penetrować wzrokiem dach budynku. Wypatrzył lądowisko dla helikopterów i jakiś ruch w jego okolicy. Wyostrzył obraz i w polu widzenia pojawiła się dobrze znana postać. Tau, jego zuluski przyjaciel, stał na krawędzi dachu i patrzył na toczącą się na dole bitwę.

W tym momencie po lewej stronie pojawiła się jakaś postać i zaczęła się skradać z uniesionym nad głową kawałkiem rury. Naczelnik Gerald Kellogg.

– Nie ruszaj się – usłyszał Khamisi szept Pauli.

Oparła lufę na jego głowie i posługując się lunetą snajperską, wycelowała.

– Mam cię – mruknęła.

Khamisi skurczył się w sobie, jednak jego głowa nawet nie drgnęła. Wstrzymał oddech, nie odrywając lornetki od oczu.

Paula nacisnęła spust i ogłuszający huk wystrzału rozdzwonił mu się w uszach.

Głowę Kellogga szarpnęło do tyłu, przerażony Tau zachwiał się i omal nie spadł z dachu. Udało mu się jednak utrzymać równowagę i padł plackiem na dach, nawet nie wiedząc, że ktoś właśnie uratował mu życie.

Przerażenie Tauga udzieliło się Khamisemu, który wiedział, jak mało brakowało, by doszło do nieszczęścia. A co z resztą?

## Godzina 15.17

– Skazałeś nas wszystkich na śmierć – powtórzył Baldric.

Gray nie miał zamiaru się poddawać.

– Czy można spowolnić działanie Dzwonu? Opóźnić moment wyładowania? Zyskać na czasie tak, żebym mógł zejść na dół i naprawić napęd?

Starzec nie spuszczał wzroku z unieruchomionej osłony, nad którą jarzył się pierścień błękitnego światła. Widać było, że jest przerażony.

– Może jest jakiś sposób, ale... ale...

– Ale co?

– Ktoś musiałby wejść do środka. – Machnął ręką w stronę osłony i pokręcił głową. – Na mnie nie liczcie.

– Ja to zrobię! – rozległ się od wejścia kobiecy głos.

Gray i Marcia jednocześnie unieśli pistolety.

W otwartych drzwiach ujrzeni dość żałośnie wyglądającą grupę. Na jej czele stał Monk podtrzymujący ciemnowłosą kobietę, za nimi dziwacznie wyglądająca para: starszy czarnoskóry mężczyzna i młodzieniec z wojskowym jeżem na głowie, na końcu Fiona z atletycznie zbudowaną blondynką, słaniającą się nogach, jakby właśnie ukończyła maraton. Obie podtrzymywały starszego mężczyznę, który leciał im przez ręce i ledwo trzymał się na nogach. Chyba jedynie siłą woli utrzymywał jako taką równowagę, bo gdy tylko kobiety się zatrzymały, nogi się pod nim ugięły. Głowę miał zwieszoną i dopiero teraz nieco ją uniósł i spojrzał na Graya błękitnymi oczami.

– Gray... – wymamrotał.

Gray nie wierzył własnym oczom.

– Dyrektor Crowe?! – wykrzyknął, ruszając do niego.

– Nie teraz – powstrzymała go ruchem ręki ciemnowłosa kobieta. Stała, wspierając się na Monku, ale sprawiała wrażenie, że jest w nieco lepszym stanie niż Painter. Obrzuciła osłonę Dzwonu fachowym spojrzeniem. – Ktoś musi mi pomóc

wejść do środka. I on pójdzie ze mną – dodała, wyciągając drżący palec w stronę Baldrica Waalenberga.

– Nie... – jęknął starzec.

– Potrzebne będą dwie pary rąk – powiedziała Anna i wbiła w niego wzrok. – A ty znasz to urządzenie.

Monk skinął na czarnoskórego.

– Mosi, pomóż Annie wejść do środka. Potrzebna nam będzie drabina.

Spojrzał na Graya i wymienił z nim formalny uścisk ręki, potem jednak nachylił się i poklepał w bardziej przyjacielskim geście.

– Mamy bardzo mało czasu – szepnął mu Gray do ucha. Zaskoczyła go ulga, jaką odczuł na widok Monka. Wyraźnie dodało mu to energii i nadziei.

– Bądźmy w kontakcie. – Monk odczepił od paska radiotelefon i podał Grayowi. – Idź uruchomić tę maszynę, ja się zajmę sprawami tutaj.

Gray bez słowa wyszedł z sali. Cisnące mu się do głowy pytania będą musiały poczekać. Radiotelefon był włączony i płynął z niego gwar głosów, kłótni i pokrzykiwań. Za plecami usłyszał czyjeś kroki. Obejrzał się. W drzwiach stała Fiona.

– Idę z tobą! – oznajmiła. Puściła się biegiem i dogoniła go jeszcze przed schodami.

Ruszyli w dół.

Wystawiła przed siebie pilota z wyciągniętą anteną.

– W razie, gdybyś się nadział na któregoś z tych bydlaków.

– Tylko ty się trzymaj.

– Odwal się.

Zeszli schodami piętro niżej i dotarli korytarzem do pomieszczenia maszynowni.

W słuchawce odezwał się głos Monka:

– Anna i stary są już w środku. Nie był zbyt zachwycony. Brakuje mi go, bo już zaczęliśmy się zaprzyjaźniać.

– Monk... – upomniał go Gray. Nie było czasu na żarty.

– Oddam teraz słuchawkę Annie. Dogaduj się z nią. Aha, przy okazji, została niecała minuta. *Ciao*.

Gray pokręcił głową i nacisnął klamkę u drzwi do maszynowni.

Były zamknięte na klucz.

Fiona przez chwilę patrzyła, jak mocuje się z zamkiem.

– Co, nie mamy klucza? – spytała ironicznie.

Gray prychnął ze złością, wyciągnął pistolet, wycelował w zamek i wystrzelił. Korytarz zadudnił echem, a w miejscu zamka pojawiła się dymiąca dziura. Pchnął drzwi.

– Można i tak – mruknęła Fiona, wchodząc za nim.

W głębi dojrzeli zespół napędowy i mechanizm hydrauliczny do podnoszenia i opuszczania osłony.

Ze słuchawki radiotelefonu dochodził dziwny pulsujący szum, wznosząc się i opadając jak fale bijące o brzeg. Gray przypuszczał, że to wynik interferencji wywołanej pracą Dzwonu. Widocznie Monk przekazał już radiotelefon Annie.

Jakby na potwierdzenie swych domysłów, usłyszał wybijające się ponad szum dwa głosy. Prowadziły ożywioną rozmowę w niemiecko-niderlandzkim żargonie naszpikowanym naukową terminologią. Skupiał uwagę na szukaniu przyczyny awarii zespołu napędowego i nawet nie próbował się przysłuchiwać. Potem jednak kobiecy głos przeszedł na angielski i zabrzmiał dużo głośniej i wyraźniej:

– Komandorze Pierce?

Gray odchrząknął.

– Proszę mówić.

– To jest jak zatykanie palcem dziury w tamie – powiedziała zrezygnowana Anna. – Nic z tego.

– Wytrzymajcie jeszcze trochę.

Zdążył już znaleźć przyczynę awarii. Przepalony bezpiecznik przy jednym z tłoków hydraulicznych. Trzymając go przez rąbek koszuli, wydlubał bezpiecznik z gniazda i spojrzał na Fionę.

– Potrzebny nam nowy. Muszą tu gdzieś mieć zapasowe.

– Szybciej, komandorze.

Intensywność szumu w głośniku niepokojąco wzrosła, nie na tyle jednak, by zagłuszyć głos Baldrica. Gray usłyszał jego



gorączkowy szept: „...i dołącz do nas. Przyda nam się jeszcze jeden specjalista od Dzwonu”.

Mimo śmiertelnego przerażenia Baldric wciąż nie rezygnował.

Gray zaczął się przysłuchiwać dalszemu ciągowi rozmowy. Czy Anna skorzysta z okazji i ich zdradzi? Kiwnął ręką na Fionę.

– Podaj mi tego pilota.

Rzuciła mu aparat, złapał go i rozciągnął metalową antenę. Nie było czasu na szukanie zapasowego bezpiecznika i postanowił zewrzeć gniazdo na krótko. Wetknął antenę między styki i podszedł do tablicy rozdzielczej z potężnych rozmiarów ręczną dźwignią, której przeznaczenie nie budziło wątpliwości.

U góry widniał napis OP, na dole ONDER’AAN.

W górę i w dół.

Niezbyt atomowa technika.

Gray uniósł mikrofon do ust.

– Anno, możecie wychodzić.

– Nie możemy, komandorze. Ktoś musi zatykać palcem tamę. Jeśli oboje wyjdziemy, Dzwon natychmiast zadziała.

Gray przymknął oczy. Nie odważyłby się polegać na Baldricu.

Szum w słuchawce wzrastał do poziomu ryku.

– Wie pan, komandorze, co należy zrobić.

Wiedział.

Pchnął dźwignię w górę.

Ledwo dotarły do niego ostatnie słowa Anny.

– Powiedzcie bratu... że go kocham.

Odjęła od ust mikrofon, ale i tak usłyszał coś jeszcze. Może odpowiadała na kolejną ofertę Baldrica, może żegnała się ze światem, a może chciała tylko dodać sobie otuchy.

– Nie jestem nazistką.

Lisa klęczała na podłodze i trzymając w ramionach Paintera, wsłuchiwała się w dochodzące z dołu zgrzytanie potężnej maszynerii i wibracje podłogi. Parę kroków dalej masywna ołowiana osłona zaczęła sunąć w górę, zamykając szparę pod sufitem i gasząc błękitny blask.

Szarpnęła się, wiedząc, że w środku została Anna. Nawet Monk sprawiał wrażenie poruszonego, bo zrobił parę nerwowych kroków w stronę Dzwonu.

Ze środka dobiegł przeciągły krzyk przerażenia.

To krzyczał Baldric. Lisa zobaczyła końce jego palców czepiających się krawędzi osłony. Jeszcze próbował się podciągnąć, ale było za późno. Palce puściły, osłona podjechała do góry i zagłębiła się w wyłobieniu na suficie.

Z zamkniętej kapsuły wciąż dochodziły jego stłumione, rozpaczliwe wrzaski.

Chwilę później Lisa odniosła wrażenie, jakby ktoś wymierzył jej potężny cios w żołądek. Nastąpiło wyładowanie mocy Dzwonu. Przypominało trochę efekt trzęsienia ziemi, tyle że nic się nie poruszyło. Panowała głucha cisza, jakby świat wstrzymał oddech.

Painter jęknął boleśnie.

Leżał z głową wspartą o jej kolana. Oczy miał wywrócone, oddech płytki i rzeźący. Lekko nim potrząsnęła, ale nie zareagował. Zapadł w stan przypominający śpiączkę. Widać było, że odchodzi.

– Monk!

## **Godzina 15.23**

– Gray, szybciej! – krzyknął Monk do mikrofonu.

Gray wbiegał już po schodach, tuż za nim podążała Fiona. Wiedział, że Painter cierpi na rodzaj choroby popromiennej i że jedynym ratunkiem dla niego jest Dzwon.

Docierał już do poziomu minus pięć, gdy z góry dobiegł odgłos ciężkich kroków. Ktoś zbiegał po schodach. Co znowu?

Na schodach pojawił się potężny mężczyzna z bladą twarzą i krzaczastymi brwiami, który w pośpiechu niemal staczał się po stopniach. Koszulę miał zakrwawioną, policzek rozorany szramą ciągnącą się przez całą twarz, od włosów aż po szyję. Do brzucha przyciskał rękę, która wyglądała na złamaną w nadgarstku.

Gray uniósł pistolet.

– Nie, on jest z nami! – krzyknęła Fiona. Ściszyła głos i dodała: – To brat Anny.

Wielkolud zrównał się z nimi. Poznał Fionę, ale i tak nieufnie przyjrzał się Grayowi spod przymrużonych powiek i machnął karabinem w górę schodów.

– *Blockiert* – mruknął.

Zablokowane.

Zyskał dla nich czas, płacąc własną krwią.

Ruszyli korytarzem w stronę pomieszczenia z Dzwonem. Gray pomyślał, że powinien uprzedzić Niemca, co go czeka. Winien był to bratu kobiety, która poświęciła dla nich życie. Przytrzymał go za łokieć.

– A co do Anny... – zaczął.

Gunther zeszywniał. W jego oczach pojawił się ból, jakby wiedział, co za chwilę usłyszy.

Nie bawiąc się w dobieranie słów, Gray przekazał mu ponurą prawdę. Powiedział, co się stało, i zakończył słowami:

– Jej poświęcenie uratowało życie nam wszystkim.

Efekt był piorunujący. To, czego nie dokonały rany zadawane przez wrogów, spowodowała rozpacz po utracie siostry. Wielki mężczyzna padł na kolana.

– Jej ostatnie słowa były skierowane do ciebie. Powiedziała, że cię kocha.

Gunther zakrył twarz dłońmi i skulił się na podłodze.

– Bardzo mi przykro... – powiedział cicho Gray.

W drzwiach stanął Monk.

– Gray, gdzie ty się, do cholery, podziewasz...? – Spojrzał na zwiniętego na podłodze Gunthera i głos zamarł mu w gardle.

Gray ruszył w stronę drzwi.

Walka nie była jeszcze skończona.

## Godzina 15.22

– Opuście osłonę!

Lisa podniosła wzrok na komandora Pierce'a, który wkroczył do sali razem z Monkiem. Szli z pochylonymi głowami, o czymś rozmawiając. Od kilku minut stała nad konsolą sterującą, zaznajamiając się z jej działaniem. Wcześniej Anna dokładnie objasniła jej zasady funkcjonowania Dzwonu. W obawie, że jej stan może później nie pozwolić na aktywne włączenie się w proces sterowania, postanowiła wtajemniczyć jeszcze kogoś. Wybór padł na Lisę.

– Osłona! – ponaglił ją Gray.

Posłusznie skinęła głową i przestawiła przełącznik.

Silniki pod podłogą zaszumiały i Lisa odwróciła się twarzą do Dzwonu. Wyładowanie już nastąpiło i spoza opadającej osłony nie wydostawało się już żadne światło. Na płachcie rozciągniętej na podłodze, leżał Painter, nad którym pochylała się doktor Fairfield. Dalej, na prawo, leżały ciała bliźniąt, które Mosi i Brooks przykryli taką samą płachtą.

Pozostawał jeszcze ich dziadek.

Osłona zjechała już do wysokości oczu i sunęła dalej. Pośrodku kręgu stał znieruchomiały Dzwon, gotowy do następnej aktywacji. Lisa miała w pamięci przekazany jej przez Annę opis tajemniczego urządzenia w kształcie dzwonu, które funkcjonowało jako niezrównany miernik kwantowy. Już sam jego wygląd budził przerażenie.

Po jej lewej stronie stał Monk, który przekrzykując hałas, przekazywał treść rozmowy radiowej z Khamisim. Oddziały zuluskich wojowników przejęły kontrolę nad całą posiadłością

Waaalenbergów, niedobitki strażników zostały zapędzone do wnętrza budynku i właśnie zaczynało się oblężenie posiadłości. Na górze wciąż trwała strzelanina.

– Gunther zablokował wejście na schody – rzucił Gray. – Winda też jest unieruchomiona, więc to nam powinno dać trochę czasu. – Skinął ręką na Brooksa i Mosiego. – Obstawcie korytarz.

Bez słowa unieśli broń i ruszyli do wyjścia.

W drzwiach minęli się z Guntherem, który chwiejnym krokiem wtoczył się do środka. Widać było, że już wie o losie Anny. Pozbył się broni i wszedłszy do pomieszczenia, poczłapał ciężko do jadącej w dół osłony. Musiał być świadkiem końca. Ostatecznego rozgrzeszenia za całą przelaną przez siebie krew.

Osłona zjechała i szum silników ustał.

Myśl o tym, co za chwilę zobaczy, napawała Lisę przerażeniem, wiedziała jednak, że nikt inny tego za nią nie zrobi.

Podeszła bliżej.

Anna leżała za skorupą Dzwonu, zwinięta na boku jak dziecko. Skórę miała szarą jak popiół, włosy śnieżnobiałe, przypominała pomnik z marmuru. Gunther przekroczył wystającą bandę, ukląkł obok siostry i podniósł ją bez słowa z twarzą wykrzywioną cierpieniem. Jej zwiotczone ciało wysuwało mu się z rąk, głowa bezwładnie oparła się na ramieniu.

Gunther wyprostował się, odwrócił i w milczeniu ruszył do wyjścia.

Nikt nie próbował go zatrzymać.

Chwilę później zniknął za drzwiami.

Lisa przeniosła wzrok na drugą postać leżącą na ołowianym kręgu wokół Dzwonu. Tak jak w przypadku Anny, skóra Baldrica Waaalenberga przybrała nienaturalnie jasnoszarą barwę i była niemal przezroczysta. Promieniowanie pozbawiło go włosów i był teraz nie tylko zupełnie łysy, ale nawet bez rzęs i brwi. Jego ciało jakby się zapadło i przyłgnęło do kości. Nadawało mu to wygląd mumii i podkreślało dziwaczne

nieregularności w jego obleczonym prześwitującą skórą układzie kostnym.

Lisa zamarła w bezruchu. Bała się podejść bliżej.

Brak owłosienia i zwiotczenie tkanki powodowały, że wyraźnie uwypukliły się zniekształcenia czaszki, która miejscami wyglądała tak, jakby ją stopiono i ponownie ukształtowano. Ręce miał powykręcane, palce wydłużone jak u małpy. W głowie zadźwięczało jej słowo „dewolucja”.

– Zabierzcie go stąd – mruknął z obrzydzeniem Gray i spojrzął na Lisę. – Pomogę pani wnieść do środka Painterera.

Lisa cofnęła się i wolno pokręciła głową.

– Nie, nie możemy... – Nie odrywała oczu od zniekształconych szczątków, należących do byłego patriarchy rodu Waalenbergów. Nie pozwoli, by coś podobnego spotkało Painterera.

Gray podszedł bliżej.

– To znaczy? – zapytał.

Przełknęła głośno ślinę, przyglądając się, jak Monk ciągnie Baldrica za rękaw koszuli, byle tylko nie dotknąć jego ciała.

– Choroba Painterera posunęła się zbyt daleko. Poddanie go działaniu Dzwonu dawało tylko nadzieję na opóźnienie czy spowolnienie procesu degeneracji, nie na jego odwrócenie. Chce pan podtrzymać życie szefa w tym stanie?

– Póki żyje, zawsze jest nadzieja.

Gray powiedział to z takim przejęciem, że niemal udało mu się odwrócić jej uwagę od Monka, który właśnie zmagił się z przeciągnięciem ciała przez bandę.

Już otwierała usta, by zaprotestować przeciw żywieniu złudnych nadziei, gdy powieki Waalenberga drgnęły i uniosły się, ukazując białe niewidzące oczy. Gałki oczne były zupełnie nieruchome i bardziej przypominały kamyki niż ludzką tkankę. Struny głosowe i język zostały wypalone i przeciągły krzyk wykrzywający mu usta był zupełnie bezgłosny. Nie było w nim nic poza cierpieniem i grozą.

Jakby w jego imieniu Lisa krzyknęła przeraźliwie i szarpnęła się do tyłu, opierając o konsolę. Do Monka też widać dotarła

potworność tej sceny, bo gwałtownie odskoczył, porzucając ciało Baldrica na podłodze.

Powykręcane szczątki leżały bez ruchu z rozrzuconymi bezsilnie kończynami i tylko usta otwierały się i zamykały jak u ryby wyrzuconej na ląd. Szeroko otwarte oczy były martwe.

Gray zrobił krok do przodu i stanął przed Lisą.

– Pani doktor – powiedział, potrząsając ją za ramię i zmuszając, by oderwała wzrok od koszmaru na podłodze. – Dyrektor Crowe potrzebuje pani pomocy.

– Nie mogę... nic już nie mogę zrobić.

– Nieprawda. Możemy użyć Dzwonu.

– Nie mogę mu tego zrobić. – Jej głos urósł do krzyku. – Czegoś tak potwornego!

– To mu nie grozi. Monk mi powiedział, że Anna panią poinstruowała. Mówił, że wie pani, jak ustawić Dzwon na minimalną moc, na promieniowanie paliatywne. To, co się tu przed chwilą stało, to coś zupełnie odmiennego. Baldric nastawił Dzwon na maksymalną moc. Taką, która ma zabijać, a wtedy... wtedy zbiera się taki plon, jaki się zasiało.

Lisa zakryła twarz, jakby chcąc odgrodzić się od wszystkiego.

– A jaki plon mamy zebrać? – jęknęła. – Painter jest o krok od śmierci. Po co przedłużać mu cierpienie?

Gray oderwał jej dłonie od twarzy i spojrzał prosto w oczy.

– Znam dyrektora Crowe'a. Myślę, że pani też. Wiem, że walczyłyby do końca.

W swojej praktyce lekarskiej Lisa wielokrotnie zetknęła się z taką argumentacją, ale była też realistką. Gdy kończy się nadzieja, lekarzowi pozostaje już tylko zapewnić pacjentowi spokojną i godną śmierć.

– Gdyby istniał choć cień szansy na wyleczenie – powiedziała beznamiętnym tonem i pokręciła głową – na pewno bym z niej skorzystała. Gdybyśmy przynajmniej wiedzieli, co Hugo Hirszfeld próbował przekazać córce. Znali ten jego udoskonalony sposób. – Znów pokręciła głową.

Gray uniósł palcem jej podbródek. Szarpnęła się i rzuciła mu wściekłe spojrzenie, ale on ją trzymał jak w kleszczach.

– Wiem, co Hugo ukrył w księgach – powiedział, nie spuszczać z niej wzroku. Zmarszczyła czoło, ale jego spojrzenie przekonywało, że mówi prawdę. – Znam odpowiedź.



## ZAGADKA RUNÓW

### RPA

Godzina 15.25 czasu miejscowego

– To nie jest szyfr – powiedział Gray. – I nigdy szyfrem nie był.

Ukląkł na podłodze i flamastrem obwiodł sekwencję znaków, które rysował dla Waalenberga.

Γ IXMYY

Wszyscy pochylili się nad nim, ale on mówił jakby tylko do Lisy. Rozwiązanie, które znalazł, jemu wydawało się bezsensowne, miał jednak nadzieję, że okaże się jak zamek, do którego klucz będzie tkwić w wiedzy o funkcjonowaniu Dzwonu. Należało tylko podjąć wspólny wysiłek.

– Znowu jakieś runy. – Skrzywiła się.

Podniósł na nią wzrok i uniósł pytająco brwi.

Wskazała głową rysunek.

– Widziałam kiedyś podobny ciąg runów. Były namazane krwią i znaczyły *Schwarze Sonne*.

– Czarne Słońce – przetłumaczył Gray.

– Tak się nazywał projekt Anny w Nepalu.

To go zastanowiło. Na monitorze dwa piętra niżej też widniał symbol Czarne Słońca. Po wojnie koteria Himmlera

rozpadła się na część północną pod wodzą Anny i część południową, którą dowodził Baldric. Drogi obu grup coraz bardziej się rozchodziły, aż w końcu dawni sprzymierzeńcy stali się wrogami.

Lisa stuknęła nogą w rysunki na podłodze.

– Tamte runy były prostym szyfrem, polegającym na zastąpieniu liter znakami. Myśli pan, że tu jest tak samo?

Gray pokręcił głową.

– Baldric tak właśnie uważał i dlatego do niczego nie doszedł. Sądzę, że Hugo nie ukryłby swego sekretu tak płytko i tak prymitywnie.

– Ale skoro nie szyfr – wtrącił Monk – to co?

– Układanka w rodzaju puzzli.

– Co?

– Pamiętasz naszą rozmowę z ojcem Ryana?

Monk potwierdził ruchem głowy.

Gray miał przed oczami spotkanie z Johannem Hirszfoldem – przykutym do wózka kaleką z rozedmą płuc, który żył przeszłością i którego rodzinne gniazdo zostało na zawsze zbrukane sąsiedztwem zamku w Wewelsburgu i nazistowskich sekretów jego przodków.

– Opowiadał nam, jakim dociekliwym człowiekiem był jego dziadek Hugo. Lubił grzebać w przeszłości i rozwiązywać historyczne zagadki.

– To go właśnie zbliżyło do nazistów – przypomniała Fiona.

– A w wolnych chwilach lubił ćwiczyć umysł.

Pamiętał słowa Johanna: „Stosował różne sztuczki na ćwiczenie pamięci. Rozwiązywał zagadki, szczególnie pasjonował się układankami”.

Postukał palcem w rysunki.

– Dla niego było to jeszcze jedno ćwiczenie umysłu. Ale nie w postaci szyfru, tylko właśnie układanki. Runy były elementami, które należało tak złożyć, by z chaosu wyłonił się porządek.

W ciągu minionych dni Gray obracał w myślach poszczególne znaki tak długo, aż złożyły się w jeden spójny

symbol. Od pierwszej chwili nie miał wątpliwości, że trafił na właściwe rozwiązanie – zwłaszcza w kontekście męczącej Hirszfelda pod koniec życia zmory i jego wyrzutów sumienia z powodu zaprzędania się nazistom. Tylko co z tego wynika?

Zaczął rysować poszczególne runy, nakładając je kolejno na siebie. Dorysował we właściwym miejscu ostatni znak i na podłodze pojawił się kompletny symbol.

Wyłaniający się z chaosu porządek.

Rozgrzeszenie za kolaborację.

Świętość z bezbożności.

Ułożone z pogańskich runów prawdziwe dziedzictwo Hugona Hirszfelda.



– To przecież gwiazda – zdziwił się Monk.

Lisa podniosła na niego wzrok.

– I to nie byle jaka... To gwiazda Dawida.

Gray potwierdził kiwnięciem głową.

Fiona przejęła na siebie zadanie kluczowego pytania:

– No i co z tego?

Gray westchnął.

– Tego właśnie nie wiem. Nie wiem, jak to się ma do Dzwonu i jego udoskonalenia. Może chciał tylko wyraźnie odnieść się do swoich korzeni, przekazać bliskim tajemne przesłanie.

Gray pamiętał ostatnie słowa wypowiedziane przez Annę:

„Nie jestem nazistką”.

Może tą układanką z symboli runicznych chciał przekazać to samo?

– Nie – powiedziała twardo Lisa. W jej głosie pojawiła się nagle dawna pewność siebie. – Jeśli mamy do czegoś dojść,

musimy to uznać za rozwiązanie.

Gray dostrzegął w jej wzroku coś, czego jeszcze chwilę wcześniej nie było.

Nadzieję.

– Według relacji Anny – mówiła – Hugo wszedł do komory Dzwonu sam, tylko z niemowłębem na ręce. Nie miał ze sobą żadnych specjalnych przyrządów. Tylko on i ten chłopczyk. A jednak późniejsze testy wykazały, że eksperyment zakończył się sukcesem. Że udało mu się stworzyć pierwszego prawdziwego, pozbawionego wad Rycerza Słońca.

– No to co on tam robił? – spytała Fiona.

– Odpowiedź w jakiś sposób wiąże się z tym – odparła Lisa, postukując stopą w gwiazdę Dawida. – Niestety nie znam dokładnego znaczenia tego symbolu.

Znał je Gray. W czasach młodości, w ramach szlifowania wiedzy pod kątem potrzeb Sigmy, studiował też religioznawstwo i kwestie duchowości człowieka.

– Gwiazda ma dość złożoną symbolikę. Symbolizuje modlitwę i wiarę. Ale także coś więcej. Zwróćcie uwagę, że sześcioramienna gwiazda to nałożone na siebie dwa trójkąty. Jeden skierowany jest wierzchołkiem w dół, drugi do góry. W żydowskiej kabale te dwa trójkąty reprezentują jin i jang, światło i ciemność, ciało i duszę. Jeden odnosi się do materii i ciała, drugi do duszy, naszego duchowego jestestwa i świadomości.

– A nałożone na siebie są jednym i drugim – dopowiedziała Lisa. – Nie cząsteczką lub falą, tylko jednym i drugim.

Gray czuł, że coś jej zaczyna świtać w głowie.

– To znaczy?

Lisa spojrzała na Dzwon.

– Anna powiedziała, że Dzwon to w zasadzie instrument pomiaru kwantowego, który pozwala wpływać na ewolucję. Ewolucję kwantową. Wszystko wiąże się jakoś z mechaniką kwantową. W tym musi tkwić klucz.

– Czyli co? – spytał Gray, marszcząc brwi.

Lisa pokrótce zrelacjonowała nauki Anny. Gray, który w ramach szkoleń Sigmy przeszedł szczegółowy kurs z zakresu biologii i fizyki, na szczęście nie musiał o nic pytać.

Usiadł, przymknął oczy i zamyślił się nad możliwymi związkami gwiazdy Dawida z mechaniką kwantową. I czy właśnie tam należy szukać odpowiedzi.

– Mówiła pani, że Hugo wszedł do komory z samym tylko z niemowlęciem, czy tak?

– Tak – odrzekła cicho Lisa. Nie chciała go rozpraszać i przeszkadzać mu w myśleniu.

Gray rzeczywiście intensywnie myślał. Zagadka Hugona była zamkiem, od Lisy dostał klucz i teraz jego kolej. Próbując zapomnieć o presji czasu, puścił wodze fantazji. Obracał i dopasowywał w myślach poszczególne tropy i strzępy wiedzy, testując i odrzucając kolejne kombinacje.

Jakby zmagał się z następną układanką Hugona.

I tak jak to było z gwiazdą Dawida, w głowie ułożyła mu się w końcu prawidłowa odpowiedź. Tak oczywista i jasna, że nie pojmował, jak mógł nie wpaść na to wcześniej.

Otworzył oczy.

Widać Lisa musiała coś wyczuć, bo spytała z nadzieją:

– No i?

– Proszę włączyć zasilanie Dzwonu. – Wstał i podszedł do konsoli. – Nie traćmy czasu.

Lisa stanęła obok niego i uruchomiła procedurę aktywacji.

– W ciągu czterech minut osiągnie stan impulsu paliatywnego. – Obrzuciła Graya badawczym spojrzeniem. – Co próbujemy osiągnąć?

Spojrzał w stronę Dzwonu.

– To nieprawda, że Hugo wszedł do komory bez niczego.

– Ale Anna mówiła, że...

– Nieprawda – przerwał jej. – Wszedł uzbrojony w gwiazdę Dawida. Wszedł z wiarą i modlitwą. Ale przede wszystkim z własnym komputerem kwantowym.

– Z czym?

Gray zaczął szybko mówić. Wiedział, że się nie myli.

– Naukowców od wieków intrygowała kwestia świadomości. Zajmowano się tym już w czasach Darwina. Bo czym jest świadomość? Czy to tylko kwestia mózgu? Czy tylko efekt reakcji nerwowych? Gdzie leży granica między mózgiem a umysłem? Między materią a duchem? Między ciałem a duszą?

Wskazał gwiazdę.

– Współczesne badania mówią, że znajduje się właśnie tu. Że jesteśmy jednym i drugim. Falą oraz cząstką. Ciałem i duszą. Życie samo w sobie jest zjawiskiem kwantowym.

– Dobra, teraz to już pieprzysz – obruszył się Monk. Staął przy nich nad konsolą, Fiona dołączyła do niego.

Gray zaczerpnął powietrza. Widać było, że jest podekscytowany.

– Współcześni naukowcy odrzucają element duchowości i przyrównują mózg do skomplikowanego komputera. Świadomość jest według nich tylko produktem ubocznym skomplikowanej interakcji neuronów. W zasadzie komputerem pracującym na poziomie kwantowym w sieci neuronowej.

– Czyli komputerem kwantowym – wtrąciła Lisa. – Już pan to powiedział. Ale co to, u diabła, jest?

– Widziała pani kiedyś kod komputerowy sprowadzony do podstaw? Kolumny samych zer i jedynek. Na tym polega zasada działania każdego współczesnego komputera. Na serii kolejnych włączeń i wyłączeń. Jedyńka to włączenie, zero wyłączenie. Gdyby jednak udało się zbudować komputer kwantowy, mielibyśmy jeszcze jedną możliwość. Tradycyjną sekwencję zer lub jedynek, ale także stan trzeci: zer oraz jedynek.

Lisa ściągnęła brwi.

– Więc jak elektrony w świecie kwantowym mogą być falami, cząstkami lub jednym i drugim naraz?

– Trzecia możliwość. – Gray kiwnął głową. – Z pozoru to niewiele, ale dodanie tego trzeciego wariantu do arsenału możliwości komputera pozwala mu wykonywać jednocześnie wielorakie funkcje algorytmiczne.

– Tak jak chodzić i żuć – mruknął Monk.

– Zadania, które współczesnym komputerom zajęłyby lata pracy, tu mogłyby trwać ułamki sekund.

– I tak właśnie funkcjonuje nasz mózg? – upewniła się Lisa. – Zachowuje się jak komputer kwantowy?

– Tak się obecnie uważa. Nasz mózg wytwarza mierzalne pole elektromagnetyczne, które powstaje w wyniku złożonych interakcji neuronów. Według niektórych naukowców to właśnie w tym polu rezyduje nasza świadomość, stanowiąc pomost między mózgiem a światem kwantowym.

– A wiadomo, że Dzwon jest wyjątkowo czuły na zjawiska kwantowe. – Lisa pokiwała głową. – I dlatego wchodząc z niemowlęciem do środka, Hugo mógł wpłynąć na końcowy rezultat.

– Przedmiot obserwacji zmienia się w wyniku samego aktu obserwacji. Ale myślę, że w tym przypadku chodziło o coś więcej. – Gray wskazał głową gwiazdę Dawida. – Bo dlaczego akurat to, symbol modlitwy?

Lisa pokręciła głową.

– Czymże jest modlitwa, jeśli nie skupieniem umysłu, stanu świadomości... a skoro świadomość to zjawisko kwantowe, modlitwa też staje się zjawiskiem kwantowym.

Lisa pojęła, do czego Gray zmierza.

– I jak wszystkie zjawiska kwantowe musi dokonywać pomiaru i wpływać na wynik.

– Czyli innymi słowy... – zaczął Gray i zawiesił głos.

Lisa wstała.

– Modlitwa przynosi skutek.

– I właśnie to odkrył Hugo, a wiadomość o swym odkryciu ukrył w książkach. Coś straszliwie niepokojącego, a jednocześnie zbyt pięknego, by pozwolić temu umrzeć.

Monk oparł się o konsolę obok Lisy.

– Chcesz powiedzieć, że wystarczyło, że chciał, żeby to dziecko było doskonałe?

Gray przytaknął.

– Wszedłszy z niemowlęciem do komory, Hugo zaczął się modlić, by stało się idealne. Wysłał skoncentrowany,

ukierunkowany przekaz myślowy, czysty i bezinteresowny. Ludzka świadomość w formie modlitwy działa jak idealny miernik kwantowy. Czysty potencjał kwantowy chłopca został przez Dzwon zmierzony, koncentracja i wola Hugona spowodowały jego ukierunkowanie i w rezultacie nastąpił dobór perfekcyjnych wartości dla wszystkich zmiennych parametrów. Można to porównać do perfekcyjnego rzutu genetyczną kością.

– I może teraz uda się zrobić to samo i odwrócić proces kwantowej degeneracji organizmu Paintera – dopowiedziała Lisa. – Uratować go, zanim będzie za późno.

Siedząca na podłodze i pochylona nad Painterem Marcia uniosła głowę.

– Tylko się pospieszcie.

## **Godzina 15.32**

Monk z Grayem przenieśli owiniętego w płachtę Paintera do wnętrza kręgu.

– Połóżcie go jak najbliżej Dzwonu – poleciła Lisa.

Pospiesznie wydała instrukcje pozostałym. Dzwon już się rozgrzewał i jego skorupy zaczynały wirować w przeciwnych kierunkach. Przypomniała sobie, że Gunther nazwał Dzwon wielkim mikserem, i pomyślała, że to całkiem trafnie oddaje istotę sprawy. Wewnętrzna ceramiczna skorupa zaczynała od środka świecić łagodnym światłem.

Lisa uklękła obok Paintera i szybko zmierzyła kilka podstawowych funkcji życiowych, które jeszcze wykazywał.

– Mogę tu z wami zostać – zaproponował Gray.

– Nie. Myślę, że obecność więcej niż jednego komputera kwantowego może zakłócić wynik.

– Gdzie kucharek sześć... i tak dalej – mruknął Monk.

– Więc pozwól, że to ja z nim zostanę. – Gray nie dawał za wygraną.



Lisa pokręciła głową.

– Mamy tylko tę jedną szansę. Jeśli do wyleczenia Paintera potrzebna jest siła woli i koncentracja, myślę, że najlepiej będzie, jeśli pochodzić będą od kogoś z wiedzą medyczną.

Gray westchnął. Nie był do końca przekonany.

– Gray, ty już zrobiłeś swoje. Znalazłeś odpowiedź i dałeś nam nadzieję. Teraz ja chcę zrobić to, co należy do mnie.

Skinął głową i cofnął się bez słowa.

Monk nachylił głowę w stronę Lisy.

– Tylko uważaj, o co prosisz – powiedział z filuternym uśmiechem. Zawarty w uwadze podtekst świadczył o tym, że wcale nie jest prostakiem, jakiego odgrywa. Cmoknął ją w policzek i dołączył do Graya.

Obaj wyszli z kręgu.

– Minuta do impulsu! – krzyknęła Marcia od konsoli. – Podnieść osłonę.

Spod podłogi doszedł zgrzyt obracających się trybów zespołu napędowego i Lisa pochyliła się nad Painterem. Jego skóra miała sinoniebieski odcień, choć mogło to być spowodowane poświatą dobywającą się z Dzwonu. Tak czy inaczej wyglądał na kogoś, komu zostało tylko kilka minut życia. Usta miał spękane, oddychał łapczywie i płytko, jego tętno bardziej przypominało szmery niż bicie serca. Nawet włosy przybrały przy skórze śnieżnobiałą barwę. Odchodził coraz szybciej.

Oslona Dzwonu unosiła się, odgradzając ich od reszty grupy. Głosy stawały się coraz odleglejsze i stłumione, aż wreszcie całkiem ucichły. Oslona zagłębiła się w wyżłobienie na suficie.

Ukryta przed wzrokiem innych, Lisa nachyliła się nad Painterem i oparła czoło na jego piersi. Nie musiała uciekać się do medytacji, by osiągnąć należytą koncentrację. Znała powiedzenie „jak trwoga, to do Boga” i odczuwała je teraz na własnej skórze, nie była tylko pewna, o co powinna Go prosić.

Miała w pamięci wywody Anny na temat ewolucji i świadomego zamysłu. Anna dowodziła wtedy, że to pomiar kwantowy ostatecznie przemienił potencjał w rzeczywistość. W rezultacie aminokwasy utworzyły pierwsze replikujące się

białko, życie bowiem okazało się lepszym miernikiem kwantowym. Ekstrapolując to stwierdzenie, można było przyjąć, że świadomość – jako jeszcze sprawniejszy miernik kwantowy – rozwinęła się z analogicznych przyczyn. Powstawało w ten sposób jeszcze jedno ogniwo ewolucyjnego łańcucha. Miała go przed oczami:

AMINOKWASY »»» PIERWSZE BIAŁKO »»» PIERWSZE ŻYCIE »»»  
ŚWIADOMOŚĆ

Tylko co następuje po świadomości? Jeśli przyszłość decydowała o przeszłości za pomocą pomiarów kwantowych, co zdecydowało o powstaniu świadomości? Jakież to jeszcze sprawniejszy miernik kwantowy występuje w dalszej przyszłości, że potrafi decydować o terażniejszości? I jak daleko w przyszłość sięga ten łańcuch? Co znajduje się na jego końcu?

AMINOKWASY »»» PIERWSZE BIAŁKO »»» PIERWSZE ŻYCIE »»»  
ŚWIADOMOŚĆ »»» ???

Lisa pamiętała jeszcze inne tajemnicze stwierdzenie Anny w reakcji na jej wątpliwości co do roli Boga w całym tym procesie. Choć ewolucja kwantowa zdawała się eliminować Boga z procesu gwałtownego powstawania korzystnych mutacji, Anna skarciła ją, że źle do tego podchodzi, i od niewłaściwej strony. Lisa uznała wtedy, że rozdrażnienie Anny wynikało z jej ogólnego wyczerpania. Ale może ona też się borykała z podobnymi wątpliwościami. Co mieści się na końcu procesu ewolucji? Czy będzie to jakiś doskonały, niezniszczalny miernik kwantowy?

A jeśli tak, czy będzie nim sam Bóg?

Nie знаła odpowiedzi na żadne z tych pytań. Jedyne, czego była pewna, to tego, że chce, by Painter żył. Mogła dotąd ukrywać przed innymi – a może nawet przed samą sobą – prawdziwą naturę swych uczuć do tego mężczyzny, ale nadszedł moment prawdy.

Otwierając serce, obnażała swą wrażliwość.

Dzwon szumiał, emanujący ze środka blask przybierał na sile, a ona czuła, jak coraz bardziej się otwiera.

Może właśnie tego brakowało w jej dotychczasowym życiu? Może dlatego kolejni mężczyźni rozplýwali się we mgle, a ona nie przestawała uciekać. Wszystko po to, by nikt się nie zorientował, jak łatwo można ją skrzywdzić. Ukrywała swą wrażliwość i bezbronność pod skorupą profesjonalizmu i nieangażowania się w przelotne romanse. Jej serce było zamknięte. Nic dziwnego, że w chwili pojawienia się w jej życiu Paintera tkwiła samotnie jak na szczycie góry.

Ale teraz koniec.

Uniosła głowę, przysunęła ją do twarzy Paintera i dopuszczając do głosu tę część swej osobowości, która do tej pory tkwiła w głębokim ukryciu, lekko pocałowała go w usta.

Potem przymknęła oczy, znieruchomiała i zaczęła odliczać sekundy. Całym sercem życzyła leżącemu obok mężczyźnie powrotu do zdrowia i długiego życia w dobrej kondycji fizycznej i psychicznej. Najżarliwiej modliła się o to, by było jej dane spędzić te lata u jego boku.

Czy na tym polega rzeczywista moc Dzwonu? Na udostępnieniu kwantowego przewodu, który prowadzi do wielkiego miernika kwantowego na końcu procesu ewolucji? Na osobistym kontakcie z owym finalnym decydującym?

Lisa wiedziała, co musi zrobić: wyrwać się ze szponów tkwiącego w niej naukowca i uwolnić od siebie samej. Zrobić coś, co wykracza poza świadomość i zwykłą modlitwę.

Musi po prostu uwierzyć.

I w tym momencie nieskażonego niczym uniesienia z wnętrza Dzwonu wystrzeliło oślepiające światło, spajając oba ciała i zamieniając rzeczywistość w ładunek czystego potencjału.

**Godzina 15.36**

Gray przestawił przełącznik i osłona zaczęła sunąć w dół. Wszyscy wstrzymali oddech, niepewni, co za chwilę ujrzą. Zapadła cisza, w której słychać było tylko pracę zespołu napędowego. Nikt nie mógł oderwać oczu od zjeżdżającej osłony.

We wzroku Monka widoczne było napięcie.

Gdzieś z boku rozległ się cichy brzęk.

Osłona zjechała w dół i oczom obecnych ukazało się wnętrze komory. U stóp cichego, ciemnego Dzwonu ujrzeli Lisę przykucniętą nieruchomo nad Painterem.

Nikt się nie odezwał.

Po chwili Lisa drgnęła, odwróciła się i powoli wyprostowała. Po jej policzkach płynęły łzy. Jedną rękę opierała na Painterze, który nie wyglądał ani trochę lepiej. Wciąż był śmiertelnie blady i oszołomiony, jednak chwilę później uniósł lekko głowę i spojrzał na Graya.

Wzrok miał jasny i całkiem przytomny.

Gray poczuł ogromną ulgę.

Ponownie dało się słyszeć ciche piknięcie.

Wzrok Paintera powędrował w stronę odgłosu i powrócił do Graya. Jego wargi poruszyły się, jednak nie wydobył się z nich żaden dźwięk. Gray podszedł bliżej.

Painter wpatrywał się w niego z napięciem. Podjął kolejną próbę i powiedział coś, co zabrzmiało jak pozbawiony sensu bełkot. Gray z niepokojem pomyślał o stanie umysłu szefa.

– Bomba... – powtórzył Painter chrapliwie.

Lisa podążyła wzrokiem za jego spojrzeniem. Patrzył na ciało Baldrica Waalenberga. Bez namysłu pchnęła Paintera w stronę Monka.

– Weź go – syknęła.

Podeszła do powykręcanych zwłok Waalenberga, który przez nikogo niezauważony zakończył wreszcie życie.

Dołączył do niej Gray.

Lisa uklękła i podciągnęła rękaw. Na nadgarstku denata widniał dużych rozmiarów zegarek. Przekręciła rękę i ich

oczom ukazała się tarcza z cyfrowym wyświetlaczem i dużym, krążącym po niej sekundnikiem.

– Już zetknęliśmy się z czymś takim – powiedziała. – Monitor pracy serca połączony z mikronadajnikiem. Od chwili ustania funkcji życiowych zaczyna się odliczanie.

Wykręciła rękę denata tak, by pokazać wyświetlacz Grayowi.

**02:01**

Sekundnik wykonał dwa skoki, usłyszeli ciche piknięcie i pokazały się cyfry **01:59**.

– Zostały nam niecałe dwie minuty na zwianie stąd, gdzie pieprz rośnie – oświadczyła Lisa.

Gray nie tracił czasu na niepotrzebne dyskusje.

– Wszyscy wychodzić! – krzyknął. – Monk, połącz się z Khamisim! Każ mu odsunąć ludzi jak najdalej od budynku.

Monk bez słowa wykonał polecenie.

– Na dachu mamy helikopter – przypomniała Lisa.

Parę sekund później wszyscy wybiegli. Gray z Monkiem chwycili Paintera, Mosi pomagał Brooksowi, korowód zamykały Lisa, Fiona i Marcia.

– A gdzie Gunther? – przypomniała sobie Fiona.

– Wszedł z siostrą – odrzekł Brooks. – Nie chciał, żeby ktoś za nimi szedł.

Nie było czasu go szukać. Gray wskazał ręką windę. Ludzie Monka zablokowali drzwi krzesłem, by uniemożliwić ściągnięcie jej na górę. Mosi wyszarpnął je i szurnął w głąb korytarza.

Wszyscy wcisnęli się do kabiny.

Lisa nacisnęła najwyższy przycisk i winda powoli ruszyła w górę.

– Połączyłem się przez radio z naszym człowiekiem na górze – poinformował Monk. – Nie umie latać, ale wie, jak przekręcić kluczyk. Już grzeje silniki.

– A ta bomba? – Gray spojrzał pytająco na Lisę. – Czego mamy się spodziewać?

– Jeśli jest taka jak w Himalajach, to najgorszego. Tam użyli bomby kwantowej, zbudowanej na bazie Xerum pięćset

dwadzieścia pięć.

Gray przypomniał sobie pojemniki w magazynie na dole.  
Cholera...

Winda wolno sunęła w górę. Minęli parter, na którym panowała głucha cisza, i zaczęli pokonywać kolejne piętra.

Painter się poruszył. Nadal nie było mowy o staniu o własnych siłach, ale zaczynał już kręcić głową i coś mówić.

– Na drugi raz... – wymamrotał, wbijając wzrok w Graya – ... sam sobie pojedziesz do Nepalu.

Gray uśmiechnął się. Jego szef wyraźnie wracał do formy.  
Tylko na jak długo?

Winda dotarła do szóstego poziomu i drzwi się rozsunęły.

– Została nam jeszcze minuta – odezwała się Marcia. Ona jedna pomyślała, żeby mierzyć czas.

Wbiegli po schodach prowadzących na dach i z ulgą stwierdzili, że silniki śmigłowca pracują i maszyna jest gotowa do startu. Podtrzymując się wzajemnie, pobiegli w jej stronę. Dotarli do kadłuba i Gray przekazał Paintera Monkowi.

– Wszyscy do środka! – wrzasnął.

Sam obiegnął maszynę i wspiął się do kabiny pilota.

– Piętnaście sekund! – zawołała Marcia.

Gray dodał gazu i łopaty wirnika zawyły. Pociągnął za drążek i płozy wielkiego ptaszyska bez trudu oderwały się od dachu. Gray pomyślał, że nigdy jeszcze nie opuszczał jakiegoś miejsca z taką radością. Śmigłowiec wznosił się coraz wyżej, wirniki coraz szybciej miały powietrze. Pozostawało tylko mieć nadzieję, że zdążą wystarczająco się oddalić.

Podregulował nachylenie łopat i zwiększył moc.

Nie zmniejszając wznoszenia, lekko przechylił maszynę dziobem w dół i zaczął się rozglądać. Widać było, jak chmara jeepów i motocykli rozpierzcha się na wszystkie strony, byle dalej od dworu.

Marcia zaczęła odliczanie:

– Pięć, cztery...

Widać niezbyt dokładnie zmierzyła czas, bo w tym momencie nastąpił tak oślepiający błysk, jakby słońce nagle

zmieniło położenie i znalazło się pod nimi. Jeszcze bardziej niesamowita była jednak towarzysząca temu absolutna cisza. Na moment oślepiony Gray starał się na wyczucie utrzymać maszynę w powietrzu. Miał wrażenie, jakby wybuch wessał całe powietrze, a śmigłowiec zaczynał gwałtownie opadać.

A potem otaczające ich światło z głośnym kłaśnięciem zgasło i opadło niczym fala przyływu.

Wirniki ożyły i po długim wahaniu maszyna od nowa rozpoczęła wznoszenie.

Gray wyrównał lot i czując w żyłach lód zamiast krwi, wszedł w skręt, przechylając śmigłowiec na bok. Widział pod sobą miejsce, w którym jeszcze przed chwilą stał dwór Waalenbergów. Był tam teraz tylko potężny krater o stromych ścianach, który wcinał się głęboko w skalisty grunt. Wyglądało to tak, jakby jakiś olbrzym zagłębił w ziemię potężną łychę do lodów i wygarnął cały dwór wraz z dużą częścią otaczających go ogrodów.

Wszystko zniknęło. Nie widać było nawet gruzów. Nie było nic, tylko pustka.

Rozerwane wybuchem stawy i strumyki wlewały się w potężną dziurę licznymi kaskadami.

W pewnej odległości od krawędzi krateru widać było grupki pojazdów, których pasażerowie wysiadają i zawracają w stronę miejsca wybuchu. Wojownicy Khamisiego. Już bezpieczni. Zulusi gromadzący się, by odzyskać dawno utraconą ziemię.

Gray przeleciał nad nimi i okrążył krater. Pamiętał o pojemniku Xerum 525, którego nie było w przegródce z napisem Stany Zjednoczone. Włączył radio i zaczął wprowadzać długą sekwencję kodu bezpieczeństwa, umożliwiającego połączenie z dowództwem Sigmy.

Ze zdziwieniem usłyszał głos inny niż zwykle. Zamiast Logana zgłosił się Sean McKnight, poprzedni dyrektor Sigmy. Na dźwięk jego głosu Gray poczuł gwałtowne ukłucie strachu. Co on tam robi? Musiało się coś stać. W kilku słowach McKnight potwierdził jego obawy. Opowiedział, co się wydarzyło, jednak

dopiero ostatnie słowa zadziałały na Graya jak potężny cios w żołądek.

Ogłuszony wiadomością, w końcu się rozłączył.

Widząc jego reakcję, Monk pochylił się do przodu.

– Coś się stało? – zapytał.

Gray spojrział do tyłu. Uznał, że nie może tego powiedzieć, nie patrząc przyjacielowi prosto w oczy.

– Monk... chodzi o Kat.

## **Waszyngton, DC**

### **Godzina 17.47 czasu miejscowego**

Minęły trzy dni. Trzy długie dni potrzebne na zamknięcie spraw w Afryce Południowej.

W końcu, po wielogodzinnym locie non stop z Johannesburga, ich samolot wylądował na międzynarodowym lotnisku Dullesa. Od razu po wejściu do terminalu Monk zgubił się reszcie, złapał taksówkę i szybko odjechał. Taksówka utknęła w korku w okolicach parku i Monk z trudem powstrzymywał się, by nie wyskoczyć i nie pognać dalej na piechotę. W końcu korek się rozładował i ruszyli dalej.

Monk pochylił się do przodu.

– Pięćdziesiąt dolców za dotarcie na miejsce w pięć minut.

Taksówkarz tak dodał gazu, że Monka aż rzuciło na oparcie. No, nareszcie.

Dwie minuty później ujrzeli w oddali masywne gmaszysko z brązowej cegły. Przemknęli obok tablicy z napisem SZPITAL UNIWERSYTECKI GEORGETOWN i z piskiem opon wjechali na parking dla gości, omal nie taranując karetki.

Monk rzucił kierowcy garść banknotów i wyskoczył.

Przecisnął się przez szparę w automatycznych drzwiach, zanim się na dobre rozsunęły, i puścił się pędem po korytarzu, lawirując wśród pacjentów i członków personelu. Nie musiał pytać o numer sali na oddziale intensywnej terapii.



Przebiegł obok dyżurki pielęgniarek, ignorując okrzyk wzywający go, żeby się zatrzymał.

Nie dzisiaj, kochana.

Wyskoczył zza narożnika i od razu zobaczył jej łóżko. Ruszył biegiem, padł na kolana i ostatnie kilkadziesiąt centymetrów przejechał ślizgiem po podłodze. Zrobił to z takim impetem, że uderzył klatką piersiową w opuszczoną metalową ramę.

Kat spojrzała na niego zdumiona i zastygła z łyżeczką zielonkawej galaretki owocowej przy ustach.

– Monk...?

– Przyjechałem najszybciej, jak się dało – wyrzucił z siebie, ciężko dysząc.

– Przecież półtorej godziny temu rozmawialiśmy przez satelitę.

– To tylko rozmowa.

Podniósł się, pochylił nad łóżkiem i pocałował ją w usta. Cała jej lewa strona z barkiem i kawałkiem klatki piersiowej była obandażowana i wyzierała spod niebieskiego szpitalnego kitla. Trzy rany postrzałowe, utrata dwóch jednostek krwi, przestrzelone płuco, zgruchotany obojczyk, poharatana śledziona.

Ale żyje.

Miała dużo szczęścia.

Pogrzeb Logana Gregory'ego odbędzie się pojutrze.

Oboje uchronili Waszyngton przed atakiem terrorystycznym, kładąc trupem zabójcę nasłanego przez Waalenbergów i dusząc w zarodku spisek, zanim zdążył nabrać rozmachu. Złoty dzwon znajdował się obecnie w laboratorium badawczym Sigmy, gdzie poddawano go szczegółowej analizie. Pojemnik z Xerum 525 przeznaczonym do napędzania dzwonu odnaleziono w bazie przeładunkowej w New Jersey. Zanim jednak pracownikom agencji wywiadowczych udało się namierzyć przesyłkę – w czym skutecznie przeszkadzały rozliczne kłody rzucane pod nogi przez filie i oddziały firm Waalenbergów – zawartość ostatniego istniejącego pojemnika z Xerum uległa degradacji. Zbyt długie przebywanie na słońcu

i niewłaściwe warunki magazynowania spowodowały, że substancja utraciła swe właściwości. Było pewne, że bez odpowiednich zapasów paliwa żaden z rozesłanych do ambasad dzwonoń już nigdy nie zadzwoni.

I chwała Bogu.

Do Monka znacznie bardziej przemawiała tradycyjna wersja ewolucji.

Położył dłoń na brzuchu Kat, ale ze strachu głos uwiązł mu w gardle.

Na szczęście nie musiał o nic pytać. Kat przykryła jego dłoń swoją.

– Z dzieckiem wszystko w porządku. Lekarze mówią, że nie powinno być żadnych komplikacji.

Monk ponownie opadł na kolana i z ulgą oparł głowę na jej brzuchu. Zamknął oczy, delikatnie wsunął rękę pod Kat i uważając, by nie zrobić jej krzywdy, lekko przyciągnął do siebie.

– Bogu niech będą dzięki.

Kat pogłaskała go po policzku.

Nie podnosząc się z klęczek, Monk sięgnął do kieszeni i wyjął czarne pudełeczko z pierścionkiem. Wyciągnął je do niej, nie otwierając oczu i nie przestając poruszać wargami w niemej modlitwie.

– Wyjdź za mnie.

– Okej.

Monk otworzył szeroko oczy i wbił je w twarz ukochanej kobiety.

– Co?

– Powiedziałam: okej.

Uniósł głowę.

– Jesteś pewna?

– A co, próbujesz mnie zniechęcić?

– No wiesz, jesteś nafaszerowana lekarstwami, może lepiej będzie, jak cię jeszcze raz...

– Dawaj już ten pierścionek. – Wzięła od niego pudełeczko i otworzyła. Wpatrywała się w nie przez chwilę, potem

przeniosła wzrok na Marka. – Ale tu nic nie ma.

Wziął od niej pudełeczko i zajrzał do środka. Pierścionek zniknął.

Pokręcił głową z niedowierzaniem.

– Co się stało? – spytała Kat.

– Cholerna Fiona.

## **Godzina 10.32**

Był ranek następnego dnia i Painter znajdował się w innym skrzydle Szpitala Uniwersyteckiego Georgetown. Leżał rozciągnięty na wznak na stole wysuniętym z tomografu komputerowego. Badanie trwało ponad godzinę i Painter niemal zapadł w drzemkę. Wcześniej niepokój strącał mu sen z powiek i od kilku dni prawie nie spał.

Drzwi się otworzyły i do środka weszła pielęgniarka.

Tuż za nią wślizgnęła się Lisa.

Painter usiadł. Na sali było dość chłodno, a on miał na sobie tylko cienki szpitalny kitel. Próbując ratować resztki męskiej godności, zaczął się nim opatulać, ale po chwili dał spokój.

Lisa usiadła obok niego i pokazała głową szybę, za którą widać było grupkę naukowców z Johns Hopkins i Sigmy. Stali z pochylonymi głowami, wpatrując się w ekrany monitorów pokazujących stan organizmu Paintera.

– Wygląda dobrze – powiedziała Lisa. – Objawy wewnętrznego zwapnienia ustępują. Wszystkie twoje funkcje wracają do normy. Mogą najwyżej zostać śladowe zabliznienia na zastawce aorty, ale niekoniecznie. Poprawa następuje w takim tempie, że... zakrawa to na cud.

– No i bardzo dobrze. A co z tym?

Dotknął palcami kępki siwych włosów za uchem.

Położyła dłoń na jego palcach i pogładziła go po włosach.

– Mnie się podoba. I wszystko będzie dobrze.

Wierzył jej. Po raz pierwszy zaczynał wierzyć, że się z tego wyliże. Z jego piersi wyrwało się głębokie westchnienie ulgi. Będzie żył. Ma przed sobą dalsze życie.

Ujął dłoń Lisy i ucałował jej wnętrze.

Lisa zarumieniła się i ukradkiem zerknęła na szybę, po czym, nie zabierając ręki, wdała się w fachową rozmowę z pielęgniarką.

Painter nie spuszczał z niej wzroku. Pojechał do Nepalu zbadać doniesienia Anga Gelu o tajemniczych zachorowaniach, ale także rozpoczynając coś na kształt prywatnej wyprawy, która miała stać się okazją do osobistych refleksji. Wyprawy, która zamiast wypełnioną dymem z trociczek, medytacjami, chóralnymi śpiewami i modlitwami wędrówką w głąb siebie, okazała się krwawą i brutalną gonitwą po świecie. Choć może się okazać, że efekt tej podróży będzie podobny do duchowego przeżycia.

Bo spotkał ją.

Choć tyle razem przeszli w ciągu minionych dni, właściwie wciąż prawie się nie znali. Bo kim tak naprawdę jest Lisa? Co lubi jeść? Co ją najbardziej śmieszy? Jak będzie im się z sobą tańczyło i co mu będzie szeptała do ucha na dobranoc?

Siedząc półnagi w szpitalnym kitlu ze świadomością, że Lisa zna wszystkie jego sekrety z kodem DNA włącznie, miał tylko jedno pragnienie.

Poznać odpowiedzi na wszystkie te pytania.

## **Godzina 14.22**

Dwa dni później karabiny wystrzeliły w bezchmurne niebo ostatnią salwę honorową, która odbiła się echem od zielonych wzgórz otaczających Narodowy Cmentarz w Arlington. Dzień zdawał się zbyt piękny i zbyt pogodny na pogrzeb.

Podczas całej ceremonii Gray stał nieco z boku. W oddali, ponad ubranymi na czarno postaciami żałobników, widać było

strzelający w niebo masyw Grobu Nieznanego Żołnierza – osiemdziesiąt ton białego marmuru z Kolorado. Pomnik symbolizował bezimienną ofiarę życia oddanego w służbie ojczyzny.

Logan Gregory stał się jednym z takich bezimiennych bohaterów. Niewielu będzie знаło tajemnicę jego poświęcenia i krwi przelanej w obronie innych.

Choć byli tacy, którzy wiedzieli.

Gray patrzył, jak wiceprezydent podaje matce Logana złożoną flagę państwową. Stała przy grobie ubrana na czarno, wsparta na ramieniu męża. Logan nie miał żony ani dzieci. Sigma była jego całym życiem... i stała się jego śmiercią.

Rozpoczęło się składanie kondolencji i uczestnicy pogrzebu powoli się żegnali. Uroczystość dobiegała końca i wszyscy ruszyli ku oczekującym czarnym limuzynom.

Gray skinął głową Painterowi, który stał opodal, wsparty na lasce. Dowłókł się do grobu o własnych siłach i widać było, że z każdym dniem czuje się coraz lepiej. Obok stała Lisa Cummings z ręką wsuniętą pod jego ramię, choć nie musiała go podtrzymywać. Po prostu chciała go dotykać.

Do procesji zdążających do oczekujących samochodów dołączył Monk. Był sam, bo Kat wciąż przebywała w szpitalu. Zresztą i tak było dla niej za wcześnie na emocje związane z udziałem w pogrzebie.

Przy samochodzie Gray podszedł do Paintera. Zostało im jeszcze kilka spraw do omówienia.

Lisa cmoknęła Paintera w policzek.

– Do zobaczenia na miejscu – rzuciła i dołączyła do Monka. Oboje mieli innym samochodem pojechać do domu Logana, gdzie dla grupki przyjaciół przygotowano poczęstunek.

Graya zaskoczyła wiadomość, że rodzice Logana mieszkają w Takoma Park, raptem kilka przecznic od jego rodziców. Najlepszy dowód, jak mało wiedział o zmarłym.

Painter podszedł do służbowego lincolna town car, otworzył drzwi i obaj z Grayem usiedli z tyłu. Przed ruszeniem w drogę

kierowca opuścił żaluzję na oddzielającej ich szybie, zapewniając im całkowitą dyskrecję.

– Przeczytałem twój raport – odezwał się Painter. – To interesujący punkt widzenia. Chciałbym, żebyś pociągnął to dalej. Tylko musiałbyś znów pojechać do Europy.

– Mam tam trochę spraw, które wymagają uporządkowania. Właśnie o tym chciałem porozmawiać i prosić o parę dni wolnego.

Painter z troską uniósł brew.

– Nie jestem pewien, czy świat wytrzyma twój kolejny roboczy urlop.

Gray musiał przyznać, że żart Paintera zawiera ziarno prawdy.

Painter poprawił się na siedzeniu. Widać było, że wciąż nękają go bóle.

– A co z raportem Marcii Fairfield? Ty też sądzisz... uważasz, że potomkowie Waalenbergów...? – Painter zawiesił głos i pokręcił głową.

Gray znał ten raport. Pamiętał moment, gdy wraz z Marcją myszkowali po laboratorium embrionów w podziemiach dworu. Stwierdziła wcześniej, że im cenniejsze skarby, tym głębiej są chowane. To samo dałoby się powiedzieć o wszelkich tajemnicach, zwłaszcza o sekretach Waalenbergów. Takich jak doświadczenia z chimerami, w ramach których mieszały w mózgu ludzkie i zwierzęce komórki macierzyste.

Ale nawet nie to było najstraszniejsze.

– Przejrzeliśmy akta medyczne z początku lat pięćdziesiątych – powiedział Gray. – Wynika z nich niezbicie, że Baldric Waalenberg był bezpłodny.

Painter pokręcił głową.

– Nic dziwnego, że ten łotr miał taką obsesję na punkcie rozmnażania i genetyki. Cały czas próbował nagiąć przyrodę do własnych wyobrażeń. Był ostatnim z rodu Waalenbergów. Ale te jego dzieci... te, które wykorzystywano w doświadczeniach. Myślisz, że to prawda?

Gray wzruszył ramionami.

– Baldric mocno zaangażował się w nazistowski program *Lebensborn*, ten szaleńczy pomysł hodowli aryjczyków. A także w inne programy z dziedziny eugeniki, w tym we wczesne próby magazynowania jajeczek i plemników. Wydaje się, że program Xerum pięćset dwadzieścia pięć nie był jedynym tajnym projektem naukowym, który pod koniec wojny dostał się w łapy Baldrica Waalenberga. Stało się tak z jeszcze co najmniej jednym projektem. Przechwycił szklane kapilary z zamrożonymi plemnikami, które po rozmrożeniu wykorzystywał do zapładniania swojej młodej żony.

– Jesteś tego pewien?

Gray przytaknął. W podziemnym laboratorium doktor Fairfield miała okazję obejrzeć na ekranie monitora prawdziwe drzewo rodzinne nowego, ulepszanego klanu Waalenbergów. Marcia na własne oczy widziała nazwisko dawcy nasienia, które umieszczono obok nazwiska żony Baldrica. Heinrich Himmler, przywódca Czarnej Księgi. Nazistowski zbrodniarz mógł sobie po wojnie odebrać życie, ale jego chory plan pozwalał mu żyć dalej. Z jego nasienia mieli się rodzić nowi, czysto aryjscy nadludzie, dając początek dynastii niemieckich królów.

– Dzięki wygaśnięciu klanu Waalenbergów – powiedział Gray – te okropności ostatecznie przestają istnieć.

– Miejmy nadzieję.

Gray pokiwał głową.

– Mam wiadomości od Khamisiego. Informuje nas o wszystkim, co się dzieje na terenie posiadłości Waalenbergów. Na razie udało im się wyłapać część strażników. Istnieje obawa, że niektóre okazy z menażerii uciekły i ukryły się w dżungli, ale większość zapewne zginęła w wybuchu. Poszukiwania trwają.

Khamisi został mianowany pełniącym obowiązki naczelnika rezerwatu zwierząt Hluhluwe Umfolozi. Rząd RPA nadał mu też status nadzwyczajnego stróża porządku. Wraz z wodzem Mosim D’Ganą miał nadzorować lokalną społeczność plemienną. Panie Paulę Kane i Marcję Fairfield zobowiązano do udzielania mu technicznego wsparcia w kontaktach

z międzynarodowymi kręgami wywiadowczymi, które z niepokojem śledziły ostatnie wydarzenia w posiadłości Waalenbergów – zbrojne wtargnięcie na teren i wysadzenie dworu w powietrze.

Obie kobiety zamieszkały znów razem w domu na terenie rezerwatu, szczęśliwe, że udało im się ujść z życiem. Zaprosiły też do siebie Fionę, której pomogły dostać się na listę przyszłych studentek Oksfordu.

Gray patrzył w zadumie na przesuwaną się za oknami krajobraz. Pozostawało mieć nadzieję, że w Oksfordzie umieją strzec swych cennych skarbów, choć podejrzewał, że w okolicach uczelni może gwałtownie wzrosnąć liczba drobnych kradzieży.

Myśl o Fionie przypomniała mu, że musi się też dowiedzieć, co się dzieje z Ryanem. Po zabójstwie ojca młodzieniec postanowił wystawić rodzinną posiadłość na licytację i w ten sposób ostatecznie uwolnić się od mrocznego dziedzictwa Wewelsburga.

I bardzo dobrze.

– A co z Monkiem i Kat? – zapytał Painter, wrywając Graya z zadumy. Jego głos brzmiał już trochę pogodniej, co świadczyło o tym, że Painterowi udało się otrząsnąć z przygnębienia po śmierci przyjaciela lub przynajmniej ukryć je głęboko w sercu. – Słyszałem, że wczoraj się zaręczyli.

Twarz Graya rozjaśnił pierwszy tego dnia uśmiech.

– To prawda.

– Boże, zmiłuj się nad nami.

W tym stwierdzeniu też było ziarno prawdy. Wiadomość była radosna, ale życie musiało biec naprzód. Zajęli się omówieniem jeszcze paru szczegółów i nawet nie zauważyli, że kierowca już wjechał w porośnięte drzewami uliczki Takoma Park. Chwilę później zatrzymał się przed niewielkim wiktoriańskim domem z zielonym gontem.

Painter wysiadł pierwszy.

Lisa już na niego czekała.

– Wszystko już omówiliśmy? – upewnił się jeszcze.



– Tak jest, panie dyrektorze.

– Daj znać, czego się dowiesz w Europie. I weź sobie te wolne dni.

– Dziękuję, panie dyrektorze.

Painter nadstawił ramię, Lisa wsunęła pod nie rękę i oboje ruszyli w stronę domu.

Do Graya dołączył Monk.

– Chcesz się założyć? – parsknął, wskazując głową oddalającą się parę.

Gray patrzył, jak podchodzą do schodków prowadzących na ganek. Od wyjazdu z posiadłości Waalenbergów byli praktycznie nierozłączni. Po śmierci Anny i zniknięciu Gunthera Lisa była jedynym źródłem informacji na temat Dzwonu i od powrotu spędzała wiele godzin w pomieszczeniach Sigmy, uczestnicząc w przesłuchaniach. Gray podejrzewał jednak, że długie sesje stanowiły jednocześnie wygodny pretekst umożliwiający Lisie i Painterowi spędzanie ze sobą czasu.

Wyglądało na to, że Dzwon leczy nie tylko chore ciała.

Patrząc, jak ze splecionymi rękami wchodzi na ganek, zastanawiał się nad pytaniem Monka. Czy jest już gotów założyć się o wynik? Chyba jeszcze za wcześnie, by można uznać sprawę za przesądzoną, ale skoro życie i świadomość są zjawiskami kwantowymi, może jest nim też miłość.

Kochać czy nie kochać?

Fala lub cząsteczka.

A może dla Paintera i Lisy odpowiedź wciąż jeszcze brzmi „jedno i drugie”, stanowiąc zawieszony w niepewności potencjał, o którym zadecyduje dopiero czas.

– Sam nie wiem – odpowiedział Gray mrukliwie i ruszył w stronę domu, rozmyślając nad własną przyszłością.

Bo i jemu – tak jak innym – przyszło zmierzyć się z rzeczywistością.

# EPILOG

**Wrocław, Polska**  
**Godzina 18.45 czasu miejscowego**

Był spóźniony.

Słoneczna kula zbliżała się już do linii horyzontu i Gray przyspieszył kroku. Znajdował się na zielonym żelaznym moście, którego barokowe przęsło spinało brzegi Odry. W dole spokojna zielona toń rzeki lśniła jak lustro w ostatnich promieniach zachodzącego słońca.

Ponownie spojrzął na zegarek. Samolot Rachele powinien właśnie lądować. Byli umówieni w kawiarni naprzeciwko hotelu w starej dzielnicy miasta. Przedtem jednak musi ostatecznie zakończyć swą misję i odbyć jeszcze jedno spotkanie.

Pod mostem dostępnym tylko dla pieszych przepływała para czarnych łabędzi, nad wodą kręciło się kilka mew, których sylwetki odbijały się w gładkiej toni. Powietrze przesycone było zapachem bzu, którym porośnięte były brzegi rzeki. Przygoda, która dla Graya zaczęła się od mostu w Kopenhadze, kończyła się na moście w zupełnie innym mieście.

Powiódł wzrokiem po panoramie starego Wrocławia z jego pokrytymi patyną iglicami kościołów, miedzianymi dachami baszt i renesansowymi wieżami zegarowymi. Wrocław nosił kiedyś nazwę Breslau i był miastem-twierdzą w pobliżu niemiecko-polskiej granicy. W wyniku walk w końcówce drugiej wojny światowej i zaciętej obrony miasta przed nacierającą

Armią Czerwoną duże jego fragmenty zostały zrównane z ziemią.

Dzisiejsza wizyta Graya była pokłosiem wydarzeń, jakie rozegrały się tu sześćdziesiąt lat temu.

Wprost przed nim roztaczał się Ostrów Tumski, zwany niegdyś Wyspą Katedralną. Wyrastające z niego dwie wieże gotyckiej katedry Świętego Jana Chrzciciela rzucały płomieniste refleksy zachodzącego słońca, ale to nie katedra była celem jego wyprawy. Poza nią na wyspie mieściło się kilkanaście mniejszych kościołów. Gray zdążył do jednego z nich, znajdującego się zaledwie parę kroków od mostu kościoła pod wezwaniem Świętych Piotra i Pawła.

Bryła kościoła nie rzucała się w oczy i tkwiła skromnie schowana tuż za mostem, a jego tylna ściana zrastała się z nadrzecznym murem z cegieł. Grayowi udało się z daleka wypatrzeć niewielką bramkę, która zamykała przejście od kamienistego brzegu do kościelnych zabudowań.

Czy właśnie tu bawiło się niegdyś pewne szczególne dziecko?

Dziecko doskonałe.

W niedawno odtajnionych rosyjskich archiwach Gray wyczytał, że chłopiec trafił do sierocińca przy kościele Świętych Piotra i Pawła. Wojna zostawiła po sobie mnóstwo osieroconych dzieci, jednak znając wiek, płeć i kolor włosów dziecka, mężczyzna znacznie zawęził pole poszukiwań.

Szczególnie przydatny okazał się ostatni z tych parametrów: śnieżnobiałe włosy.

Gray odnalazł też raporty z przeszukania miasta i okolicznych terenów przez Armię Czerwoną. W trakcie przeszukiwania podziemnych magazynów i zakładów, w kopalni Wenceslas natrafiono na tajne laboratorium badawcze. Z raportów wyczytał, że niewiele brakowało, a schwytano by wówczas obergruppenführera SS Jakoba Sporrenberga – dziadka Anny i Gunthera – któremu dowództwo niemieckie powierzyło wywiezienie Dzwonu. Z kolei na

podstawie relacji Anny Lisa wiedziała, że to w tym mieście i w tej rzece Tola, córka Hugona Hirszfelda, utopiła dziecko.

Czy na pewno?

Cień szansy, że jednak do tego nie doszło, skłonił Graya i grupę naukowców Sigmy do ślęczenia nad archiwaliami i podjęcia próby rekonstrukcji wydarzeń sprzed kilkudziesięciu lat na podstawie dawno wystygłych śladów i strzępów informacji. A potem nastąpił przełom. Natknięto się na notatki księdza prowadzącego przykościelny sierociniec, w których opisał historię znalezienia półżywego niemowlęcia płci męskiej w objęciach martwej matki. Matkę pochowano w bezimiennym grobie na miejscowym cmentarzyku.

Chłopcu udało się przeżyć. Został wychowany przez księży i wstąpił do seminarium duchownego, gdzie jego nauczycielem był ten sam ksiądz, który uratował mu życie. Po ukończeniu seminarium stał się księdzem Piotrem.

Gray podszedł do drzwi plebanii. Sześćdziesięcioletni ksiądz był uprzedzony o jego wizycie. Gray zadzwonił i podał się za reportera zbierającego materiały do książki o losach sierot wojennych. Uniósł żelazną kołatkę i zastukał w proste, pozbawione ozdób drzwi.

W kościele obok trwało nabożeństwo i do jego uszu dochodziły chóralne śpiewy.

Po chwili drzwi się otworzyły i Gray bez cienia wątpliwości rozpoznał stojącą przed nim postać po gładkiej cerze i gęstej grzywie białych włosów z przedziałką pośrodku. Ojciec Piotr ubrany był w dzinsy, czarną koszulę z koloratką i cienki, zapinany sweter.

Mówił po angielsku z silnym polskim akcentem.

– Na pewno pan Nathan Sawyer – powitał go.

Gray skinął głową, czując jednocześnie ukłucie winy, że musi okłamywać księdza. Uważał, że mistyfikacja z dziennikarzem jest jednak niezbędna, i to zarówno dla dobra księdza, jak i dla bezpieczeństwa jego samego.

– Dziękuję, że ksiądz zgodził się na wywiad – powiedział, odchrząkując.

– Ależ oczywiście. Proszę wejść. Witam.

Ojciec Piotr poprowadził go korytarzem do niewielkiego pomieszczenia z kuchnią węglową pod ścianą, w której buzował ogień, a na blasze stał czajnik z parzącą się herbatą. Gray usiadł na wskazanym krześle i wyjął z kieszeni notatnik z listą przygotowanych pytań.

Ksiądz Piotr nalał herbaty do dwóch kubków i rozsiadł się na zniszczonym fotelu, którego poduszki dawno już straciły sprężystość. Na stoliku pod lampą ze szklanym abażurem leżała Biblia i kilka wystrzępionych kryminałów.

– Chciał pan dowiedzieć się czegoś więcej o ojcu Varicku – zagaił ksiądz łagodnym głosem i uśmiechnął się pogodnie. – Wspaniały człowiek.

Gray pokiwał głową.

– A jeśli chodzi o życie księdza w sierocińcu... – zaczął.

Piotr upił łyk herbaty i zachęcił Graya ruchem dłoni, by kontynuował.

Pytania Graya nie miały większego znaczenia, a ich zadaniem było wypełnienie paru luk. Dzięki wujowi Rachele, Vigorowi, zdążył już dokładnie poznać losy księdza Piotra. Jako szef służby wywiadowczej Watykanu, Vigor dysponował jego kompletnym i szczegółowym dossier, które udostępnił Sigmie.

Była w nim nawet dokumentacja medyczna księdza.

Ksiądz Piotr wiódł cichy i skromny żywot na łonie Kościoła i poza wyjątkowo serdecznym stosunkiem do swej trzódki nie wyróżniał się niczym szczególnym. Warte podkreślenia było natomiast jego doskonałe zdrowie, o czym świadczył niemal całkowity brak wpisów w dokumentacji medycznej. Poza jedyną adnotacją dotyczącą spadnięcia ze skały i złamania nogi w wieku kilkunastu lat, wszystkie rutynowe badania potwierdzały brak jakichkolwiek dolegliwości. Nie był przy tym ani imponującej postury, jak Gunther, ani nie wykazywał chorobliwej aktywności jak Waalenberg. Był po prostu zwyczajnym człowiekiem o żelaznym zdrowiu.

Rozmowa z księdzem nie wniosła w tym względzie niczego nowego.

W końcu Gray zamknął notatnik i podziękował za poświęcony czas. Postanowił, że przy okazji następnych rutynowych badań postara się uzyskać próbkę krwi księdza w celu ustalenia jego kodu DNA. Liczył, że i w tej sprawie uda mu się skorzystać z pomocy wuja Rachele, choć nie sądził, by wynikły z tego jakieś rewelacje.

Doskonałe dziecko wyrosło po prostu na przyzwoitego, myślącego i cieszącego się wyjątkowo dobrym zdrowiem człowieka. I może na tym właśnie polega jego doskonałość.

Idąc do wyjścia, Gray zauważył rozłożoną na stoliku i niedokończoną łamigłówkę-układankę.

– Lubi ksiądz puzzle? – zapytał.

Ksiądz Piotr uśmiechnął się z rozbijającym zażenowaniem.

– Takie sobie niewinne hobby – powiedział. – Pozwala ćwiczyć umysł.

Gray skinął ze zrozumieniem głową i ruszył do wyjścia. Pamiętał, że Hugo Hirschfeld miał podobne zainteresowania. Czyżby działanie Dzwonu spowodowało przejście na chłopca jakichś cech żydowskiego naukowca? Opuścił teren kościoła i wracając mostem nad Odrą, zamyślił się nad podobieństwami łączącymi ojców i synów. Czy decyduje o nich tylko genetyka? Czy też jest w tym coś więcej? Coś na poziomie kwantowym?

Wątpliwości te nie były dla Graya niczym nowym. Nigdy nie miał ze swoim ojcem dobrych relacji i dopiero od niedawna zaczęli budować pierwsze mosty. Ale i tak nękało go wiele pytań. Co w jego przypadku jest puzzlem księdza Piotra, tym czymś, co przejął po ojcu? Niewątpliwie czymś bardzo konkretnym mógł być alzheimier – realna genetyczna groźba odziedziczenia po ojcu choroby – ale jego obawy z całą pewnością sięgały głębiej. Do ich zawsze szorstkich relacji.

Bo jakim ojcem byłby on sam?

Mimo że był już mocno spóźniony, zatrzymał się w pół kroku i zamarł bez ruchu.

Pytanie to sprowadziło go na ziemię. Pamiętał scenę w samolocie, kiedy Monk rzucił mu wyzwanie w sprawie

Rachele i jego zamiarów wobec niej. Z całą wyrazistością powróciły do niego wypowiedziane wtedy słowa.

„Trzeba było widzieć swoją minę, kiedy wspomniałem o ciąży Kat. Omal się nie posrałeś ze strachu. A to przecież tylko moje dziecko”.

Oto sedno jego obaw.

Więc jakim byłby ojcem?

Czy byłby kopią swojego ojca?

Odpowiedź nadeszła z najbardziej nieoczekiwanej strony. Tuż obok przeszła młoda dziewczyna w swetrze z kapturem, którym osłoniła głowę przed chłodem ciągnącym od rzeki. Przypomniała mu Fionę. Pamiętał ich walkę o życie i to, jak poszukiwała jego dłoni i jak go potrzebowała, jednocześnie nie przestając się z nim kłócić. Pamiętał, co wtedy czuł.

Położył dłonie na balustradzie mostu i z całej siły zacisnął.

Czuł wtedy radość i uniesienie.

I chciał znów to poczuć.

Roześmiał się na głos, jak ktoś niespełna rozumu. Przecież nie musi być taki jak jego ojciec. Wprawdzie tkwi w nim potencjał pójścia jego śladem, ale ma też wolną wolę. Świadomość decydującą o tym, jak ten potencjał zostanie rozładowany, w którą stronę się przechyli.

Wyzwolony, ruszył w dalszą drogę, pozwalając, by ta rzeczywistość rozładowała w nim inne potencjały, przewracając je jak klocki domino i doprowadzając do ostatniej kwestii, co do której wciąż nie miał pewności.

Do Rachele.

Zszedł z mostu i skręcił w kierunku miejsca ich spotkania.

Gdy dotarł do kawiarni, już na niego czekała przy stoliku na patio. Wyglądało na to, że też dopiero co przyszła. Nie zauważyła jego przybycia, więc stanął w drzwiach, napawając się jej urodą. Zawsze tak na nią reagował. Wysoka, długonoga, z obiecującymi krągłościami i lekko wygiętą szyją. Odwróciła głowę i zauważyła, że się jej przygląda. Jej twarz rozpromienił uśmiech, orzechowe oczy rozbłysły ciepłem. Jakby z zażenowaniem przeczesła palcami hebanowoczarne włosy.

Jak można nie chcieć spędzić życia u jej boku?

Ruszył ku niej z wyciągniętą ręką.

I w tym samym momencie poczuł spływające na niego wyzwanie rzucone przez Monka. Czuł, jakby od tamtej chwili minęły wieki. Wyzwanie dotyczące przyszłości Graya i Rachele, sprowadzone do trzech wystawionych palców.

Żona, hipoteka, dzieci.

Po prostu rzeczywistość.

Związek dwojga ludzi nie może trwać wiecznie w formie potencjału – być jednocześnie kochaniem i niekochaniem. Ewolucja na to nie pozwoli. Musi dojść do konfrontacji z rzeczywistością. Do zmierzenia tego potencjału.

I to się właśnie teraz działo.

Żona, hipoteka, dzieci.

Gray znalazł odpowiedź. Był gotów na wszystkie trzy wyzwania i uzmysłowienie sobie tego, co spowodowało przewrócenie w jego sercu ostatniego klocka domina.

Kochanie czy niekochanie.

Fala czy cząsteczka.

Ujął jej dłoń. Pozbył się już wszelkich wątpliwości, mimo to decyzja, jaką podjął, zaskoczyła go. Pociągnął Rachele do stolika, na którym stał już talerz ze stertą babeczek i dwie filiżanki kawy z mlekiem.

Jak zwykle pomyślała o wszystkim.

Posadził ją na krzeselku, sam usiadł na drugim.

– Rachele, musimy porozmawiać.

W jego głosie pobrzmiwały smutek i żal, ale było w nim też zdecydowanie.

Spojrzał jej w oczy i nagle dojrzał w nich to samo. Rzeczywistość. Dwie kariery, dwa kontynenty, dwoje ludzi o drogach życiowych, które właśnie się rozchodzą.

Ścisnęła mu dłoń.

– Tak, wiem.



Ojciec Piotr przyglądał się swemu gościowi oddalającemu się mostem. Stał w otwartej bramce, którą teraz wchodziło się do kościelnej piwniczki z winami. Odczekał, aż całkiem zniknie mu z oczu, i dopiero wtedy ciężko westchnął.

Sympatyczny młody człowiek, ale zagubiony w mroku.

Czekają go jeszcze ciężkie chwile.

Ale każda droga życiowa pełna jest wyboi.

Uwagę księdza przyciągnęło ciche miauczenie. Wychudzony kocur z postawionym na sztorc ogonem otarł się o jego nogi i z nadzieją spojrział w oczy. Jeden z nadrzecznych krzakowców ojca Varicka. Teraz już jego. Piotr przyklęknął i postawił na kamieniu talerzyk z resztkami jedzenia. Kot jeszcze raz otarł się o jego nogi i zaczął jeść.

Ksiądz Piotr przykucnął i zapatrzył się na rzekę rozbłyskującą ostatnimi promieniami zachodzącego słońca. Tuż przy nodze dostrzegł kępkę nastroszonych piór. Brunatny wróbelek z przetrąconym karkiem. Jeden z wielu podarków, jakie jego sieroty podrzucały mu na próg.

Pokręcił głową, ułożył bezwładne ciało na dłoniach uniósł do ust. Chuchnął w jego piórka i wyprostował skrzydełko, które od razu złapało wiatr. Wróbel z furkotem zerwał się i pofrunął w niebo.

Piotr przez chwilę przyglądał się jego tańcowi, jakby chciał coś wyczytać z kreślonych przez ptaka esów-floresów. Potem zatarł dłonie i przeciągnął się.

Życie zawsze pozostanie cudowną tajemnicą.

Nawet dla niego.

# NOTA AUTORA

## PRAWDA CZY FIKCJA

Dziękuję za wzięcie udziału w mojej najnowszej wyprawie. Jak zwykle chciałbym zająć Czytelnikom chwilę, by dokonać rozbioru mojej powieści i wyjawic, gdzie kończy się prawda, a zaczyna moja wyobraźnia.

Najpierw drobiazgi:

Naukowcy z DARPA naprawdę opracowali protezy kończyn z wykorzystaniem rewolucyjnej technologii (choć nie sądzę, by przyszło im do głowy zatapiać w tworzywie ładunki wybuchowe).

Na Uniwersytecie Stanforda rzeczywiście wyhodowano chimeryczny szczep myszy, których mózg zawiera ludzkie komórki neuronowe. Naukowcy pracują obecnie nad wyhodowaniem mutacji myszy, których mózgi będą w całości składać się z takich komórek.

W roku 2004 urodził się w Niemczech chłopiec z genem zmutowanym pod względem miostatyny, co wywołało u niego stan zwany zdublowaniem mięśni. Stan ten przejawia się dużym rozrostem tkanki mięśniowej i nadnaturalną siłą fizyczną. Czyżby pierwszy z naturalnie urodzonych *Sonnenkönig*?

W roku 1998 w sercu Himalajów odkryto Shangri-La – zagubioną wśród oblodzonych szczytów dolinę z płynącymi strumieniami i bogatą roślinnością. Co jeszcze może się kryć w głębi tych gór?

Przejdźmy jednak do spraw poważniejszych.

Jak wspomniałem na początku, Dzwon rzeczywiście istniał, co raz jeszcze dowodzi, że prawda bywa dziwniejsza od fikcji. Naziści skonstruowali tajemnicze urządzenie, do którego napędu stosowano substancję o nazwie Xerum 525. Bardzo mało wiadomo o jego prawdziwym działaniu i przeznaczeniu, wiadomo natomiast, że zatrudnionych przy nim naukowców zaczęły nękać dziwne choroby, które wkrótce dotknęły też mieszkańców okolicznych wiosek. Pod koniec wojny Dzwon zniknął, pracujących przy nim naukowców zabito i do dziś nie wiadomo, co się stało z tym tajemniczym urządzeniem. Czytelników zainteresowanych tym niezwykłym okresem historii nowożytnej i powojennym wyścigiem aliantów, wyrrywających sobie zdobycze nazistowskiej nauki, a także zafascynowanych Niemców teorią kwantową, chciałbym odesłać do książki Nicka Cooka *The Hunt for Zero Point*, która przy pisaniu tej powieści stała się dla mnie jedną ze źródłowych biblii.

Dużo miejsca poświęciłem też fascynacji Heinricha Himmlera kwestiami związanymi z nordyckimi runami <https://www.88em.eu/en/editor/6747647226416368/mi>, okultyzmem i szukaniem w Himalajach źródeł aryjskości. Wszystkie te opowieści, łącznie z opisem Himmlerowskiego Czarnego Camelotu z Wewelsburga, oparte są na faktach historycznych. Więcej informacji można znaleźć w pracach Christophera Hale'a *Himmler's Crusade* i Petera Levendy *Unholy Alliance*.

Na koniec muszę wymienić książkę, która stała się podstawowym źródłem inspiracji dla mojej powieści. Jest nią *Quantum Evolution* autorstwa Johnjoe'a McFaddena – fascynująca rozprawa na temat mechaniki kwantowej i jej roli w powstawaniu mutacji i rozwoju ewolucji. Znajdują się w niej także rozważania o ewolucji świadomości, o czym piszę pod koniec powieści. Zainteresowanych tymi tematami gorąco namawiam, by zajrzeli do oryginału.

Została mi na koniec jeszcze jedna sprawa, którą poruszam w mojej książce: kwestia świadomego zamysłu jako

przeciwstawienia ewolucji. W nadziei, że moja powieść zawiera tyleż pytań, co odpowiedzi, pragnę z całą mocą podkreślić, że moim zdaniem tocząca się debata jest w dużym stopniu bezprzedmiotowa. Zamiast tracić energię na zastanawianie się, skąd się wzięliśmy, powinniśmy z większym zapalem zająć się dużo ważniejszym pytaniem: dokąd zmierzamy?

Szukanie odpowiedzi na to pytanie i podążanie tym tropem to tajemnica i przygoda, które na pewno usatysfakcjonują każdego.

# PRZYPISY

- [1](#) Historia ta opisana jest w powieści *Mapa Trzech Mędrców*, Wyd. Albatros, 2006.
- [2](#) Valerie Jane Goodall (ur. 1934) – brytyjska badaczka, która przez czterdzieści pięć lat prowadziła badania populacji szympanсів w Kenii.
- [3](#) Energia punktu zerowego, inaczej energia próżni, to w mechanice kwantowej najniższa możliwa energia, jaką może przyjąć dowolny układ kwantowy. Z definicji wszystkie układy kwantowe posiadają energię punktu zerowego.
- [4](#) Miostatyna – białko odpowiedzialne za hamowanie lub redukcję wzrostu włókien mięśniowych.
- [5](#) Krępak, inna nazwa – boratek, łac. *Biston betula*, ciemny mutant tego gatunku zwany jest *carbonaria*.
- [6](#) Brigadoon – zaczarowana wioska w górach Szkocji, która ukazuje się tylko raz na sto lat.
- [7](#) Zasada ta mówi, że niepewność zawsze będzie częścią każdego przewidywania dokonanego przez naukę. Postęp musi ją zmniejszyć, ale tylko do pewnej granicy. Nieoznaczoność nigdy nie będzie równa zeru. W przypadku niektórych problemów nigdy nie da się wyliczyć, co się stanie w przyszłości.